

Paul Johnson

HISTORIA ANGLIKÓW



Paul Johnson

HISTORIA ANGLIKÓW



Przekład: Jarosław Mikos



Wydawnictwo MARABUT Gdańsk 1995

Tytuł oryginału: THE OFFSHORE ISLANDERS. A HISTORY OF THE ENGLISH PEOPLE

Copyright © 1972 by Paul Johnson,

Revised edition (under the title A HISTORY OF THE ENGLISH PEOPLE)

© 1985 by Paul Johnson, Revised edition (under the title THE OFFSHORE ISLANDERS)

© 1992 by Paul Johnson

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1995

Wydanie I w języku polskim

Redakcja: Małgorzata Jaworska, Katarzyna Budna

Redakcja merytoryczna: Ewa Sulima-Kotarska

Korekta: Anna Rozwadowska, Aleksandra Bednarska-Apa

Opracowanie graficzne: Tomasz Bogustawski

ISBN 83-85893-16-4

Wydawnictwo MARABUT

ul. Franciszka Hynka 71, 80-465 Gdańsk – Zaspą, tel. (0-58) 56-54-75

Skład: Maria Chojnicka

Druk: Zakłady Graficzne im. KEN, ul. Jagiellońska 1, 85-950 Bydgoszcz

Lordowie i Gminy Anglii! Rozważcie przeto, jakież to jest naród, którym przyszło wam władać i z którego sami się wywodzicie: to naród ani tępy, ani gnuśny, ale żywego, twórczego i przenikliwego ducha; uzdolniony do wynalazków, subtelny i mocny w rozumowaniu; zdolny wznieść się ku najwyższym szczytom, ku którym sięgnąć mogą możliwości ludzi.

John Milton, Areopagitica

Przedmowa

Co sprawia, że autor, który z zawodu jest dziennikarzem, bierze się za pisanie historii narodu angielskiego? Dlaczego miałby porzucić właściwą mu rolę, czyli rejestrację i komentowanie teraźniejszych wydarzeń, by zagłębić się w badanie przeszłości, podejmując zadanie, do którego jest być może źle przygotowany, a niewykłuczone, że w ogóle brak mu kwalifikacji? Na tak postawione pytanie chciałbym odpowiedzieć, po pierwsze, że nie można zbyt ostro wyznaczać linii dzielącej dziennikarstwo od pracy historyka. Obaj zajmują się tym samym: mają przekazać czytelnikowi swoje rozumienie wydarzeń. Przed jednym i drugim stoi zadanie odkrycia i wyjaśnienia prawdy, a to oznacza, że muszą wyselekcjonować istotne fakty oraz uporządkować je w sposób, który nadaje im odpowiednie znaczenie. Sądzę, że niepodobna stwierdzić, w którym momencie kończy się praca historyka, a zaczyna praca dziennikarza. Teraźniejszość nieustannie staje się przeszłością, granice obszaru historii wyznacza już wczorajsza gazeta. Dobry dziennikarz rzuca za siebie chciwe, niespokojne, badawcze spojrzenia, a dobry historyk podnosi oczy znad dokumentu, by rozejrzeć się w otaczającym go świecie. Czasami te role się stapiają bez reszty. Tukidydes pisał nie tylko relację historyczną, ale także pełną udręki opowieść o współczesnych wypadkach, w których osobiście brał udział. Bada, pierwszy wielki angielski historyk, żyjący w okresie spokoju przed burzą, której nadejście przeczuwał, pisał nie tylko, jak mówił, „ku nauce potomnych”, ale także na użytek swojego monarchy. W dedykacji dla króla Northumbrii stwierdził: „Jest pragnieniem Twoim, aby ta historia stała się lepiej znana Tobie i tym, nad którymi z mocy Bożych wyroków przyszło Ci panować, a to dla wielkiej dbałości, jaką żywisz dla powodzenia swych poddanych”. Matthew Paris był tyleż dziennikarzem co historykiem. Walter Raleigh w swojej *History of the World* zawarł gniewny komentarz skierowany do poddanych Jakuba I. Historia Wielkiej Rebelii autorstwa Clarendona stanowiła próbę analitycznego i polemicznego dziennikarstwa. Macaulay, opisując upadek Stuartów, poddawał przy okazji swoich wczesnowiktorianskich czytelników delikatnemu kursowi edukacji politycznej. Świadomie czy nieświadomie, większość wielkich historyków wywierała wpływ na współczesne wydarzenia, podobnie jak tego pragną wszyscy dziennikarze.

Po drugie, dziennikarz nie może odwrócić się plecami do historii, nawet gdyby chciał. Nie może zmienić faktu, że przeszłość wciąż daje znać o sobie. A im głębiej pragnie zrozumieć teraźniejszość, tym bardziej czuje się zmuszony sięgać w przeszłość w poszukiwaniu wyjaśnień. W pewnym sensie jest to odwrócenie metody badań historycznych zastosowanej przez F. W. Maitlanda w jego *Domesday Book and Beyond*, która polegała na „posuwaniu się wstecz od znanego ku nieznanemu, od pewnego ku temu, co niepewne”. Starając się przebić przez mgły teraźniejszości, dziennikarz odwołuje się do przełomowych wydarzeń z przeszłości, które pełnią rolę punktów orientacyjnych. Widzi walki i zamieszki na ulicach Belfastu. Dlaczego walczą? Z powodu wydarzeń, do których doszło w Londonderry w roku 1968? Po części tak. Ale także z powodu decyzji, które podjęto w Londynie w roku 1920 [*Government of Ireland Act*, wprowadzający obok lokalnego parlamentu irlandzkiego w Dublinie osobny parlament dla Ulsteru w Belfaście, co faktycznie sankcjonowało podział Irlandii], oraz powiązanych ze sobą wydarzeń wielu poprzednich stuleci, sięgających głęboko we wczesne średniowiecze, a nawet dalej, niemal ku najwcześniejszym znanym epizodom z dziejów stosunków anglo-irlandzkich. Nie wszystkie z tych zdarzeń są istotne, niektóre w ogóle nie mają związku ze współczesnością. Jednak dziennikarz nie może być pewny, dopóki sam tego nie sprawdzi. Musi nieustannie podnosić wzrok znad maszyny i sięgać po książki stojące na półkach. Oczywiście, Irlandia Północna jest sceną gwałtownych wydarzeń, w których przeszłość w sposób naturalny odgrywa rolę niezwykle ważną. Jednakże wszystkie zdarzenia, nawet najświeższej daty, są zakorzenione w historii, każdy problem stanowi spuściznę przeszłości. Dlaczego w latach osiemdziesiątych wciąż toczą się w Wielkiej Brytanii zastarzałe spory w sprawie szkół ogólnokształcących (*comprehensive schools*)? Aby je zrozumieć, musimy cofnąć się nie tylko do roku 1944 [*Education Act Butlera*], ale wręcz do korzeni nowoczesnego szkolnictwa brytyjskiego w początkach XIX wieku, oraz przeanalizować systemy, które je poprzedzały. Dlaczego tak trudno zmodernizować i ucywilizować brytyjskie związki zawodowe? Nie ma sensu stawiać tego pytania, jeśli nie jesteśmy gotowi do podróży w przeszłość brytyjskiego ruchu związkowego, a nawet do tego, by przeanalizować wydarzenia prowadzące do powstania takiej a nie innej struktury angielskiej gospodarki. Dlaczego w brytyjskim przemyśle tak często wybuchają strajki? Część wyjaśnień znajdziemy w rozwiązaniach prawnych pochodzących z ostatnich dwu dziesięcioleci przed wybuchem pierwszej wojny światowej, na które z kolei wpływały postawy ukształtowane w najwcześniejszej fazie rewolucji przemysłowej. Co więcej, dziennikarz przekonuje się, że musi wyczarować przeszłość nie tylko po to, by udzielić odpowiedzi na konkretne, współczesne pytania, ale także, by wyjaśnić ich wzajemne zależności. Dzieje powstawania struktury brytyjskiego przemysłu wywarły bezpośredni wpływ na rozwój związków zawodowych, a z kolei oba te procesy kształtowały się pod wpływem ewolucji brytyjskiego systemu edukacji. I tak dziennikarz zanurza się w historię coraz głębiej, włączając w swoje rozważania coraz więcej różnorodnych zjawisk. Prędzej czy później, aby zaspokoić swoją całkiem uzasadnioną ciekawość zawodową, sam zaczyna odczuwać pokusę pisania historii.

W ten właśnie sposób narodziła się ta książka. W latach 1965–1970, jako redaktor tygodnika poświęconego polityce, miałem obowiązek komentować z tygodnia na tydzień – aby zrozumieć samemu i spróbować wyjaśnić je innym – zmagania i niepo-

wodzenia jednego z najbardziej tragicznie nieskutecznych rządów w dziejach Anglii. Cały czas towarzyszyła mi wszakże świadomość, że te niepowodzenia nie biorą się wyłącznie z ograniczeń ludzi wchodzących w skład tego rządu, ale że ograniczenia te dotyczą całego narodu, jego instytucji i postaw, które je ukształtowały. W latach sześćdziesiątych Anglia przeżywała okres głębokich i dramatycznych przemian. Z roku na rok, niemal z tygodnia na tydzień, Anglicy tracili poważanie we własnych oczach, a także w oczach świata. Prawie całe imperium postradali jeszcze w poprzedniej dekadzie, ale po raz pierwszy odczuli to dopiero teraz, a Commonwealth, który miał je zastąpić, okazał się papierową fikcją. W latach sześćdziesiątych ten proces upadku Wielkiej Brytanii jako światowego mocarstwa, powolny i niemal niedostrzegalny w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, nabrał gwałtownego przyśpieszenia i teraz już nikt nie mógł mieć w tej kwestii najmniejszych złudzeń. Zarazem towarzyszyło mu rosnące poczucie, że kraj nie tylko traci pozycję polityczną, ale także zostaje coraz bardziej w tyle pod względem materialnego powodzenia obywateli. W dodatku nic nie wskazywało na to, że tę tendencję można jakoś powstrzymać, nie mówiąc już o tym, by ją odwrócić; w najbliższej, dającej się wyobrazić przyszłości czekało nas nie tylko względne osłabienie pozycji międzynarodowej, ale także zubożenie kraju; musieliśmy zmierzyć się z przyszłością, w której wspomniane cechy z każdym rokiem będą coraz silniej dawały znać o sobie. Wielka Brytania wkroczyła w epokę upokorzeń. Niepowodzenia rządu jedynie odzwierciedlały słabości całego społeczeństwa.

Czy był to jednak proces naturalny i w istocie nieuchronny? A może był pożądany? Co właściwie rozumieliśmy wówczas przez niepowodzenie? Utrata imperium i statusu światowego supermocarstwa mogła okazać się korzystna, wolne tempo wzrostu gospodarczego mogło stać się błogosławieństwem. Władza i bogactwo nigdy nie przyczyniały się zbytnio do ludzkiego szczęścia. U progu XXI wieku nie można wszak było powiedzieć o Anglikach, że są narodem cierpiącym fizycznie czy materialnie, a nawet że są – wedle własnych standardów – narodem szczególnie niezadowolonym. Cieszyli się większą wolnością niż kiedykolwiek przedtem, i to nie tylko większą swobodą indywidualną, która znacznie wzrosła w minionej dekadzie – także jako zbiorowość czuli się zwolnieni od uciążliwych obowiązków w świecie. Anglia przeżywała także okres społecznego pokoju i wewnętrznej stabilności, który nie miał ani precedensu w jej własnych dziejach, ani odpowiednika za granicą. Wszystkie wspomniane dobrodziejstwa Anglicy mogli uważać za rzecz oczywistą, choć większości ludzi na świecie zdawały się niedościgłymi i godnymi pozazdrosczenia przywilejami. Czy ten bilans narodowych strat i zysków nie krył w sobie pewnej logiki – w zamian za utratę potęgi politycznej realny zysk w postaci większego bezpieczeństwa? Czy Wielka Brytania, wciąż będąc światowym imperium i odgrywając rolę wielkiego mocarstwa, a zarazem przeżywając fazę gwałtownego wzrostu gospodarczego, niezbędnego, aby podolać takim wysiłkom, mogłaby równocześnie być krajem spokojnym, praworządnym i stabilnym, nie mówiąc już o tym, że mogłaby być krajem, w którym żyje się całkiem znośnie?

Te pytania w sposób naturalny prowokują następne. Jakimi ludźmi właściwie pragnęli być Anglicy i jak miał wyglądać kraj, w którym mieszkali? Z pewnością nie można było udzielić odpowiedzi na te pytania, nie ustalwszy najpierw, w jakim stopniu ewolucja Wielkiej Brytanii, to, jakim krajem była, oraz jej pozycja w świecie stanowiły efekt

świadomego wyboru ludzi, którzy decydowali o jej losach, wyboru odzwierciedlającego – z należyтым uwzględnieniem roli przypadku – ich postawy, aspiracje i pragnienia. Mówiąc krótko, aby sensownie odpowiedzieć na pytanie o dzisiejszy los Anglików, wydawało się rzeczą konieczną prześledzić ich dzieje, sięgając aż do najwcześniejszych początków, powiązać teraźniejszość z przeszłością i na podstawie tych związków nakreślić pewne hipotetyczne wizje przyszłości. Chciałem przeczytać książkę, która spełniłaby te wymagania; jednak takiej książki nie było. Postanowiłem więc ją napisać.

Tego rodzaju śmiałe przedsięwzięcie może stać się przedmiotem wielu poważnych obiekcji, których byłem głęboko świadomy. Po pierwsze więc: liczba prac poświęconych historii Anglii jest olbrzymia i ciągle rośnie. Już w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej zadanie przeczytania i przyswojenia sobie wszystkich najwybitniejszych specjalistycznych dzieł – obejmujących okres ponad dwóch tysięcy lat – przekraczało możliwości jednego człowieka. Tymczasem od tamtej pory nastąpiła wręcz eksplozja badań nad historią Anglii. Jeden z autorów, omawiając prace poświęcone najwcześniejszemu okresowi angielskiej historii wydane po roku 1939, określił rozmiary tej najnowszej literatury przedmiotu jako „gargantuiczne”; inny, omawiając okres późnego średniowiecza, przyrównuje najświeższe publikacje do „nurtu wezbranej rzeki”; to samo można powiedzieć o późniejszych okresach*. Ponadto historia Anglii od roku 1914, a nawet po roku 1945, przyciąga obecnie uwagę coraz większej grupy pracowitych i płodnych badaczy. Książki dotyczące rozmaitych aspektów dziejów Anglii opublikowane w ciągu ostatnich dwudziestu lat złożyłyby się na pokaźną bibliotekę, i to nawet nie licząc ogromnej liczby biografii, jakie się ostatnio ukazały; do tego dochodzą tysiące monograficznych rozpraw opublikowanych w dziesiątkach specjalistycznych czasopism, a za nimi dosłownie kilometry dokumentów w archiwach publicznych i prywatnych, które w ostatnich latach stały się dostępne dla badaczy. Jedna z wydanych ostatnio książek, dotycząca pewnego wąskiego aspektu dziejów na przestrzeni mniej niż jednego roku, wymagała zgłębienia sześćdziesięciu nie zbadanych dotąd zbiorów dokumentów prywatnych. Jak może jedna osoba – nie będąca zawodowym historykiem – żywić nadzieję, że zdoła zaznajomić się z tak potężną ilością materiałów, nie mówiąc już o tym, by nad nimi swobodnie zapanować?

A jednak byłoby tragedią, gdyby historycy pozwolili się zamknąć w ciasnych ramach wąskich specjalizacji, jak to się stało z fizykami, i zgodzili się odgrywać rolę mrówek w ogromnych, zbiorowych przedsięwzięciach, których żaden umysł nie czuje się zdolny w całości uchwycić. Jak mądrze zauważył pewien błyskotliwy młody historyk, „historia należy do wszystkich i to jest źródło jej siły, a nie ograniczenie”**. Ludzie mają prawo poznawać swoją historię w takiej formie, która im pozwoli zrozumieć ją bez większego trudu. Gdyby uznać, że to niemożliwe, wysiłki zawodowych historyków stałyby się dla

* Cytuję za: *Changing views on British history: essays on historical writing since 1939*, wyd. Elizabeth Chapin Furber, Harvard 1966. W ciągu dwóch dekad, które upłynęły od wydania tej pracy, angielska literatura wzbogaciła się o liczne i cenne uzupełnienia.

** Arthur Marwick, w: *The nature of history*, London 1970, najnowsza i najbardziej wyczerpująca praca poświęcona teorii i praktyce uprawiania historii oraz ewolucji sposobów jej rozumienia.

mnie w dużej mierze czymś w rodzaju jałowych, samolubnych i efekciarskich popisów miłośników starożytności. Potrzeba jedynie pewnej bezwzględności, gotowości do tego, by wziąć na siebie odpowiedzialność za dokonywanie wyborów oraz wydawanie sądów; nie bać się wybierać, pomijać i odrzucać.

Badania historyczne zwykle zataczają kręgi. Bohaterowie wydarzeń przekazują potomnym tradycyjny pogląd, który staje się ortodoksyjną, podręcznikową wersją historii. Z czasem pojawia się odważny badacz, który poddaje je krytycznej analizie i formuluje nową wersję. Historyk wychowuje uczniów, którzy tworzą rewizjonistyczną szkołę badawczą i wyciągają z jego konkluzji dalsze wnioski. Wraz z kolejnym pokoleniem przychodzi kontrrewolucja, rewizjonistyczna teoria sama staje się obiektem ataków. Czasem wyłania się z tego nowa synteza. Czasami zwycięża pogląd, że kwestia jest zbyt skomplikowana, by jakiegokolwiek wyjaśnienie uznać za ostateczne, i czytelnik (który do tej pory wiernie podążał za historykami) traci jasny obraz wydarzeń. O wiele częściej do łask wraca zmodyfikowana wersja poglądów tradycyjnych. Uczni toczą zawzięte boje, jednak bez widocznych rezultatów. Co więcej, zawodowi historycy są tylko ludźmi, czasami zbyt mocno dają się powodować swoim idiosynkrazjom; w wielu przypadkach w zamęcie zajadłych sporów i rywalizujących teorii nikną z pola widzenia istotne przyczyny: osobiste animozje wywodzące się z dawnych szkolnych awantur lub spory, które nie mają nic wspólnego z historią. Motywem gwałtownych ataków J. H. Rounda na profesora Freemana była, przynajmniej częściowo, wrogość, jaką Round żywił wobec Gladstone'a, liberalizmu w ogólności, wąskoangielskiej perspektywy politycznej w szczególności (*Little Englandism*); miało też w tym swój udział lobby przeciwników krwawych polowań. Można przytaczać także współczesne przykłady, których jest bez liku.

Mówiąc poważnie, wiele prac historyków przyczynia się bardziej do zaciemnienia niż rozjaśniania prawdy lub, co szczególnie przygnębiające, sugeruje, że prawdy nie można ostatecznie ustalić – i to niejednokrotnie w sprawach o pierwszoplanowym znaczeniu. Tak jak astronomowie, którzy najwyraźniej nie mogą dojść do zgody w tak podstawowej kwestii, jak to, czy kosmos się rozszerza, kurczy, czy pozostaje w bezruchu, podobnie historycy stale odkrywają nowe obszary wątpliwości bądź gwałtownych sporów w sprawach, które niegdyś zdawały się jasne i oczywiste. Dla przykładu: rozwój rzymskich miast stanowił w Brytanii całkowite niepowodzenie – i przeciwnie: Rzymianie osiągnęli w tej materii znaczący sukces. Kościół anglosaski (podobnie jak anglosaskie społeczeństwo w całości) był zacofany – miał na swoim koncie ogromne osiągnięcia kulturalne i artystyczne. Przed podbojem normańskim w Anglii nie było „feudalizmu” – był „feudalizm”. W początkach XIV wieku populacja Anglii rosła – nastąpił jej dramatyczny spadek. Wiek XV był okresem zastoju gospodarczego – była to epoka wyjątkowo dynamicznego wzrostu. Podobne czarno-białe, konkurencyjne wersje, zawzięcie brnione za pomocą potężnych arsenałów danych i świadectw, dotyczą natury monarchii Tudorów, przyczyn wybuchu Wojny Domowej, utraty kolonii amerykańskich, polityki Anglii za panowania Jerzego III oraz źródeł i chronologii rewolucji przemysłowej – by wspomnieć tylko kilka najważniejszych aspektów dziejów Anglii. Historycy wymieniają czasem poglądy w spornych kwestiach na seminariach, zwykle jednak na tym poprzestają. Laikowi pozostaje omieść z bezpiecznego miejsca pole bitwy spojrzeniem i samemu zdecydować, komu przypadł laur zwycięzcy. Pierre Mendès-France zwykł

mawiać do skłóconych członków swego gabinetu: „*Gouverner, c'est choisir*” („Rządzić, to wybierać”). By napisać historię jakiegoś narodu, trzeba nieuchronnie dokonywać wyborów, niemal na każdej stronie. Tak też uczyniłem, bez brawury, ale i bez lęku; i nawet jeśli w wielu miejscach popełniłem błędy, mogę na pocieszenie przytoczyć sobie słowa wybitnego profesora historii współczesnej na uniwersytecie w Oksfordzie, który zauważył, że czasami „nowy błąd wnosi więcej życia niż stara prawda, a płodna omyłka więcej niż sterylna precyzja”.

Książce takiej jak ta można także zarzucić, że opiera się na założeniu, iż przeszłość ma jakieś konstruktywne odniesienie do naszych czasów. Wielu historyków w całości odrzuciłoby takie przekonanie. Niektórzy poszli nawet dalej. Znakomity badacz dziejów XVII wieku S. R. Gardiner utrzymywał, na przykład, że jawne lub ukryte porównania z teraźniejszością „są dla wiedzy historycznej całkowicie szkodliwe”. „Ten, kto studiuje dawne społeczeństwo – pisał – tym lepiej przysłuży się własnemu społeczeństwu, im bardziej badając przeszłość o nim zapomni”. Nie zgadzam się z tym poglądem; co więcej, uważam, że stawia cel, którego nie sposób osiągnąć. Każdy historyk w jakiś sposób ulega wpływom teraźniejszości; lepiej przyznawać to otwarcie, niż błędnie zakładać, że takie skrzywienie perspektywy nie istnieje. Nie przypadkiem biskup Stubbs [1825–1901], pisząc w złotym wieku ustawodawstwa parlamentarnego, postrzegał dzieje Anglii głównie w kategoriach rozwoju form konstytucyjnych, przede wszystkim Parlamentu; podobnie nieprzypadkowo profesor Tout, który żył w czasach narodzin i rozkwitu „wielkiego rządu”, klucza do dziejów Anglii doszukiwał się w działalności administracji. Każda epoka pisze historię na nowo, ujmując ją we własnych kategoriach. Każdy z nas ma tylko dwoje oczu i są to oczy człowieka żyjącego współcześnie. W *History as the Story of Liberty* Benedetto Croce zauważył, że:

Praktyczne wymogi leżące u podstaw każdego sądu historycznego nadają całej historii charakter „historii współczesnej”, ponieważ nawet jeśli przywoływane w ten sposób wydarzenia wydają się jak najdalej odległe w czasie, w rzeczywistości historia odnosi się do obecnych potrzeb i obecnych sytuacji, w których wibrują te zdarzenia.

Wydaje się to niemal bezsporne, ponieważ nie sposób uciszyć tych wibracji. Pisanie historii, powiada profesor E. H. Carr, „to dialog między teraźniejszością a przeszłością”. Każda epoka w odmienny sposób analizuje minione wydarzenia, wyciągając z nich znaczące wskazówki, lekcje i ostrzeżenia. Jest czymś naturalnym, że człowiek zwraca się do swych przodków w modlitwach o przewodnictwo. Oczywiście, przeszłość może przynieść mu jedynie zagadki. Lord Acton niewątpliwie przesadził w jednym ze swych wykładów, powiadając, że „znajomość przeszłości, zapis prawdy odkrytej w doświadczeniu ma w najwyższym stopniu charakter praktyczny jako narzędzie działania oraz siła, która wpływa na kształt przyszłości”. Prawda jest często niejasna, działania polityków niejednokrotnie (czego byliśmy świadkami także w naszych czasach) rozbijają się o fałszywe analogie. Jednakże większość rozsądnych osób wszystkich epok skłoniłaby się raczej ku zdaniu Actona niż Gardinera. Historię zawsze uważano – i słusznie – za „szkołę książąt”. Nie powinniśmy się wahać, ale zdecydowanie zmierzać ku temu, by stała się szkołą narodów.

Trzeci zarzut, jaki można postawić tej książce, jest taki, że całkowicie koncentrując się na Anglikach – a raczej na ludach, które zamieszkiwały obszar zwany Anglią – zakłada, że sama historia jest anglocentryczna, a zatem że książka jako całość jest chybiona w epoce, w której centra uwagi świata przenoszą się w inne rejony. Wielu współczesnych historyków, w tym profesor Geoffrey Barraclough w swojej wspaniałej pracy *History in a Changing World*, dowodzi, że powinniśmy zarzucić nawyk pisania historii z założeniem, że jakiś pojedynczy naród jest jej jedynym aktywnym podmiotem. Dość powszechnie zgodzono się z tą opinią. Jeden z amerykańskich uczonych ze smutkiem odnotowuje wyraźnie dający o sobie znać w Stanach Zjednoczonych zmierzch badań nad dziejami Anglii w okresie, gdy

[...] nauczanie historii Anglii musi twardo walczyć o miejsce w programach szkolnych oferujących studentom takie przedmioty, jak dynamika potęgi Związku Radzieckiego, problem zafobania krajów Afryki, renesans kultury islamu, instytucje parlamentarne w krajach Azji, i gdy historia Anglii już wypadła z programów większości szkół.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem tego odchodzenia od zgłębiania dziejów Anglii, zgodnego zresztą z ogólniejszą tendencją do porzucania studiów nad historią Europy i obszaru północnoatlantyckiego. Niemal wszystkie idee, wiedza, techniki życia społecznego i instytucje, wokół których obraca się świat, narodziły się właśnie w świecie europejskim i jego transatlantyckich odroślach; wiele z nich pochodzi bezpośrednio z Anglii, która stanowiła główną matrycę współczesnego społeczeństwa. Co więcej, Zachód jest wciąż głównym strażnikiem instytucji wolnego świata, a tylko one w dłuższej perspektywie gwarantują dalszy rozwój myśli i postępy wynalazczości. Jeśli w innych miejscach na kuli ziemskiej powstają potężne społeczeństwa, to nie dlatego, że odrzuciły zwyczaje zachodniego świata, ale dlatego, że skutecznie zdolaty je naśladować. Jakie idee zrodził Związek Radziecki? Albo komunistyczne Chiny? Powojenna Japonia? Gdzie zalew odkryć przychodzących ze świata arabskiego? Albo z wyzwolonej Afryki? Czy, skoro już o tym mowa, z Ameryki Łacińskiej, niepodległej od ponad 150 lat? To żniwo jest bardzo skromne i stanowi głównie nie kończące się wariacje na odwieczne tematy przemocy, okrucieństwa, ucisku, zdławienia wolności i zniszczenia ducha indywidualizmu. Otrzeźwiająca i niepopularna prawda brzmi, że jeśli ludzkość ma przed sobą jakąś nadzieję – przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości – jej źródło leży w twórczej myśli i cywilizacyjnych standardach Zachodu, przede wszystkim zaś w tych ideach zachodniego świata, które ukształtowały się pod wpływem angielskich idei i tradycji. Zaprzeczać temu to poddać się modnemu żargonowi i bredni. Kiedy Rosjanie i Chińczycy zaczną nas uczyć, jak poprawić warunki życia ludzi, Japończycy obdarzą nowoczesną nauką, Afrykanie wielką literaturą, Arabowie pokażą nam drogę do powodzenia gospodarczego, a mieszkańcy Ameryki Południowej do wolności, wtedy przyjdzie czas na to, by zmienić punkt odniesienia naszej historii.

Do tego czasu dzieje Anglików wciąż będą jednak pouczające nie tylko dla nich samych, ale także dla innych. Dają w nich znać o sobie silne elementy ciągłości, dzięki czemu obecność pewnych postaw i charakterystycznych cech ukształtowanych przez geografę można odkryć wśród mieszkańców wyspy już na długo przedtem, zanim jej

ludność osiągnęła ostateczny skład etniczny. Dochodzi w nich do głosu prawdziwa i pełna wdzięku symetria dzieła sztuki; zacofana wyspa, którą delikatnie opływają fale kultur pochodzących z kontynentu; rozwój odrębności brutalnie zahamowany przez kolonizację; kilkakrotnie tracona i odzyskiwana niepodległość, którą w końcu udaje się ostatecznie umocnić w złożonych warunkach społeczeństwa wielonarodowego i zróżnicowanego etnicznie; intelektualny rozwód z kontynentem; zamorska ekspansja; wykrywanie się w granicach wyspy zupełnie nowego typu cywilizacji materialnej, który z czasem rozszerza się na całą kulę ziemską; moment buty i potęgi rozplywającej się w rujnujących wojnach; przetrwanie i poszukiwanie nowych ról. Nie jest to materia, z której można budować majestatyczne i złudne teorie dziejów świata. Nie ma w niej żadnej konieczności, ale też nie ma niczego, co byłoby całkowicie przypadkowe. Dzieje Anglików to studium powracających i zmieniających się tematów oraz ewolucji narodowych paradoksów. To historia, którą warto opowiedzieć i którą każde pokolenie będzie pragnęło opowiedzieć na nowo.

Książka wychodzi obecnie pod zmienionym i, jak sądzę, bardziej stosownym tytułem*. Skorzystałem z okazji, by dokonać drobnych zmian w przedmowie, oraz kilku większych w zakończeniu, uwzględniając wydarzenia lat ostatnich. Poza tym całość książki pozostaje bez zmian, dokładnie w tej formie, w jakiej została napisana na początku lat siedemdziesiątych.

wrzesień 1984

Iver, Buckinghamshire

* W polskiej edycji książka ukazuje się pod pierwotnym tytułem (przyp. wyd.).

Rozdział I

Wyspa Pelagiusza

100 p.n.e.–600 n.e.

W roku 410 n.e. Brytania wyzwoliła się spod rzymskiego panowania i stała się niepodległym państwem. Mieszkańcy przybrzeżnej wyspy – a raczej jej nizinnej, zamieszkaney części, którą dziś zwiemy Anglią – zrzucili tym samym okowy rozległego europejskiego systemu, który politycznie, militarnie i gospodarczo wiązał ją z resztą kontynentu, i wzięli własny los w swoje ręce. Angielska historiografia zwykle przedstawia to zdarzenie jako katastrofę: bez ochronnego parasola rzymskiego imperium bezbronni mieszkańcy wyspy zdani byli na łaskę dzikich hord barbarzyńców; cywilizacja w Brytanii upadła i wyspa na długie stulecia pograżyła się w mrokach „ciemnych wieków” (*Dark Ages*).

Rzeczywisty przebieg wydarzeń był jednak o wiele bardziej złożony, bardziej interesujący i – w świetle późniejszych dziejów wyspy – bardziej doniosły. Niestety, dysponujemy jedynie strzępami informacji o tym, co się wówczas stało; każda rekonstrukcja musi zatem z konieczności odwoływać się do interpretacji, a nawet domysłów. Mimo to warto się nad nią chwilę potrudzić, możemy się bowiem dzięki niej dowiedzieć czegoś istotnego o dziejach przybrzeżnych Wyspiarzy, a także zobaczyć, w jaki sposób geografia i kolejne migracje ludów kształtowały historię Anglii.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci IV wieku n.e. z brytyjskich prowincji Cesarstwa Rzymskiego stopniowo wycofywano regularne oddziały wojskowe. Władza Rzymu sięgała już tylko do Yorku na północy oraz Chester i Gloucester na zachodzie, przy czym i tak utrzymywano ją głównie za pomocą ekspedycji karnych wysyłanych z kontynentu pod wodzą specjalnie w tym celu mianowanych generałów, a nie stacjonujących stale na wyspie garnizonów. Na przełomie czwartego i piątego stulecia Rzymianie praktycznie utracili militarną kontrolę nad Brytanią, choć na wyspie pozostało jeszcze kilka oddziałów, a rzymska ad-

ministracja cywilna nadal spełniała swoje zadania. Mniej więcej w tym właśnie okresie możemy zaobserwować pierwsze nieśmiałe przejawy rodzenia się brytyjskiej opinii publicznej. Brytowie nie odgrywali dotąd żadnej znaczącej roli w polityce Cesarstwa. Od czasu powstania Boadicei przed trzystu pięćdziesięciu laty sprawiali wrażenie jeśli nie wzorowych, to w każdym razie bardzo uległych poddanych. Jednakże widoczny zmierzch potęgi Rzymu – coraz liczniejsze dowody świadczące o tym, że imperium nie jest w stanie wywiązywać się ze swych zobowiązań militarnych – sprawił, że wśród rdzennych mieszkańców wyspy pojawiły się dwa odrębne nurty myśli politycznej. Reprezentanci pierwszego z nich wierzyli, że Rzym zdoła odzyskać utraconą potęgę, że tylko Rzym może skutecznie utrzymać wewnętrzny porządek na wyspie i zagwarantować jej bezpieczeństwo zewnętrzne, że wraz z odejściem Rzymian nastąpi na wyspie kres cywilizacji, a życie oraz dobytek jej mieszkańców będą zdane na łaskę losu, a zatem – że jedynym ratunkiem dla wyspiarzy jest odtworzenie i wzmocnienie więzi z imperium oraz oparcie wszelkich nadziei na politycznych i gospodarczych możliwościach cywilizowanej Europy. Brytania uwolniona z pęt łączących ją z kontynentem pogrąży się w anarchii, a życie jej mieszkańców będzie brutalne, ponure i krótkie.

Drugi z owych nurtów reprezentowali nacjonałiści, stronnictwo niepodległościowe. Uważali oni, że nic nie powstrzyma sił odśrodkowych rozsadzających imperium i proces jego rozpadu jest nieunikniony, a zatem pokładanie nadziei w militarnym odrodzeniu Cesarstwa jest rzeczą niebezpieczną i głupią. Twierdzili, że niezależnie od biegu wydarzeń Brytania i tak nie odgrywa większej roli w polityce Cesarstwa i Rzym bez skrupułów poświęci jej interesy dla dobra bliżej położonych prowincji na kontynencie. Rzymscy dowódcy, którzy stacjonowali w ostatnich latach na wyspie, bardziej troszczyli się o wykrojenie sobie z upadającego Cesarstwa lokalnych miniimperiiów na kontynencie niż o bezpieczeństwo i majątek Brytyjczyków. Niczym wschodni awanturnicy i despoty zabierali bezcenne oddziały regularnej armii Brytanii na prywatne wyprawy po drugiej stronie Kanału, zostawiając wyspę i jej mieszkańców bez żadnej ochrony. Przyjrzyjmy się, na przykład, wypadkom, do jakich doszło cztery lata wcześniej, w roku 406. Resztki rzymskich oddziałów pod presją miejscowej opinii publicznej wybrały na swego lokalnego cesarza rdzennego mieszkańca wyspy, Gracjana. Akt był całkowicie bezprawny. Gracjan, którego historyk Orosius opatrzył mianem *municipis tyrannus*, pochodził prawdopodobnie z Londynu, gdzie piastował jakiś urząd w administracji lokalnej; jego pozbawiona wszelkiej podstawy prawnej nominacja stanowiła próbę pogodzenia interesów rzymskiej armii i miejscowej społeczności. Dla Brytów całe przedsięwzięcie miało jednak sens jedynie pod warunkiem, że Gracjan potrafiłby, zachowując jedność wojsk, wykorzystać je wyłącznie do obrony wyspy przed atakami z zewnątrz. Legiony wszakże sprzeciwiły się takiemu rozwiązaniu. Gdy

w cztery miesiące po objęciu urzędu Gracjan wyraźnie oświadczył, że wojska mają pozostać na wyspie, został zamordowany. Żołnierze obwołali wodzem innego uzurpatora, tym razem pochodzącego z kontynentu, który przybrał imię Konstantyna III, po czym zabrał wszystkie oddziały regularnej armii na drugą stronę Kanału, żeby zbudować sobie imperium w Galii. W roku 410 Brytwie wspominali te niedawne wydarzenia z goryczą. Dla stronników partii niepodległościowej stanowiły one argumenty nie do odparcia. Jaki pożytek miała Brytania z Rzymu? Przez stulecia była gospodarczo eksploatowaną kolonią. Rzymianie przyznali jej mieszkańcom jedynie minimum lokalnej samorządności. Gdyby w pełni przywrócić rzymską władzę nad wyspą, Rzymianie po prostu podjęliby przerwany proces wyzysku. Rzym jednak utracił swą moc, dla Brytanii nadszedł więc czas odzyskania niepodległości.

Praktyczne argumenty wysuwane przez rywalizujące stronnictwa wpisywały się jednak w kontekst o wiele szerszego sporu o charakterze tyleż politycznym, co religijnym. Już od stulecia, od nawrócenia się cesarza Konstantyna, oficjalną religią imperium było chrześcijaństwo. I chociaż siedzibę władz administracyjnych Cesarstwa przeniesiono do Bizancjum, centrum organizacyjne religii państwowej pozostało w Rzymie. W gruncie rzeczy już wówczas sieć religijnych powiązań i kontaktów chrześcijańskiego Rzymu nawet z tak odległymi prowincjami jak Brytania była trwalsza niż polityczne i militarne funkcje Cesarstwa. Chrześcijaństwo wciąż dysponowało skutecznie działającą międzynarodową infrastrukturą. Jako religia było zaś z samej swej istoty scentralizowane, uniwersalistyczne, autorytarne i nastawione wrogo do wszelkich przejawów lokalnej autonomii. Kierowała nim zdyscyplinowana kasta kapłanów pod wodzą biskupów zasiadających w miejskich ośrodkach imperium, nad którymi zwierzchnictwo sprawował biskup Rzymu, duchowy przywódca Zachodniego Cesarstwa. Absolutystyczne doktryny chrześcijaństwa głosiły bezwarunkowe podporządkowanie się boskiemu autorytetowi: cesarzowi i najwyższemu kapłanowi, biskupowi Rzymu, na tym świecie oraz jednemu Bogu, który uświęcał władzę cesarza – na tamtym. Człowiek rodził się w grzechu i musiał godzić się z nieuchronnością cierpienia; mógł być zbawiony, ale wyłącznie przez moce będące poza i ponad nim samym – Boga na tamtym świecie, cesarza w świecie doczesnym. Zbawienie, na dziś i na wieczność, leżało wyłącznie w gestii Imperium Chrześcijaństwa. Takie oto postawy i teorie współtworzyły koncepcje polityczne proimperialnego stronnictwa w Brytanii.

Oficjalne poglądy spotkały się wszakże z zyskującym coraz większy rozgłos wyzwaniem ze strony pewnego teologa, który przyjmował dużo mniej pesymistyczny pogląd na kondycję ludzką i boskie zrządzenia dotyczące losu człowieka. Ów teolog – co znaczące – pochodził z Brytanii. Pelagiusz, który urodził się około 350 roku i wywodził z rdzennej ludności wyspy, dopiero jako człowiek niespełna trzydziestoletni udał się w podróż do Rzymu. Zdobył dobre

wykształcenie, zgodne z najlepszymi tradycjami Cesarstwa, jednak decydujący wpływ na jego poglądy wywarły lokalne warunki – geograficzne, polityczne i gospodarcze – owej odległej, jedynie powierzchownie zromanizowanej prowincji, która odgrywała znikomą rolę w polityce imperium. Pelagiusz uderzył w podstawowe kanony chrześcijańskiej ortodoksji. Adam, grzesząc, zniszczył jedynie siebie samego – dowodził – nie można więc sensownie utrzymywać, że jego wina przeszła na wszystkich ludzi i że może ją zmasać jedynie łaska Boża; dziecko chrzczimy po to, by mogło połączyć się z Chrystusem, a nie po to, by je oczyścić z grzechu pierworodnego. Człowiek jest istotą rozumną, zdolną do doskonalenia się; jeśli tylko zechce, może żyć bez grzechu; łaska jest czymś pożądanym, ale nie niezbędnym. Człowiek jest istotą wolną, obdarzoną zdolnością wyboru między dobrem a złem. Może stać się panem swego przeznaczenia – jego najważniejszym przymiotem jest wolność woli. Jeśli człowiek upada, jest to jego własny błąd, ale też mocą swoich uczynków może się z upadku podźwignąć.

Pelagianizm stał się więc duchową formułą nacjonalizmu, ruchów wolnościowych wyłaniających się z za pękającej fasady imperium. W roku 410 Pelagiusz nadal przebywał w Rzymie, skąd wyjechał dopiero tuż przed zdobyciem miasta przez Gotów. Jego nauka nie przybrała jeszcze ostatecznego kształtu, a Kościół, który dostrzegał w niej zagrożenie dla swych uniwersalistycznych aspiracji, jeszcze nie zdążył obłożyć jej kłatwą. Poglądy Pelagiusza były już jednak szeroko znane i budziły ostre kontrowersje. Zdecydowanie odrzucali je zwolennicy politycznej i religijnej ortodoksji, którzy jedyną nadzieję na obronę przed barbarzyńcami widzieli w odrodzeniu Cesarstwa w całej jego potędze. Natomiast gorliwie wyznawali je wszyscy ci, którzy widzieli, że Cesarstwo jest martwe i że podbite ludy muszą szukać sposobów obrony na własną rękę. Człowiek mógł jednak swoim wysiłkiem zbawić siebie – a dając budujący przykład, także innych – w tym świecie, jak i w przyszłym. Imperium nie było w stanie mocą cudownej interwencji Bożej łaski zawrócić barbarzyńców sprzed bram swoich miast; mógł to sprawić jedynie zorganizowany opór lokalnych społeczności. Prawdopodobnie można było nawet liczyć na to, że uda się wciągnąć barbarzyńców w obręb cywilizacji i dzięki asymilacji z miejscową ludnością stworzyć, ku obopólnej korzyści, stabilne społeczności. Pelagiusz nauczał, że nawet barbarzyńcy mają wolną wolę; mogą się doskonalić, wybrać wolność i z niej korzystać.

Tego rodzaju argumenty trafiały do przekonania zwłaszcza Brytyjczykom, którzy zawsze czuli się mieszkańcami zapomnianej, wzgardzonej, z góry spisanej na straty peryferyjnej placówki kontynentalnego systemu Cesarstwa. Nie ma dowodów świadczących o tym, że Pelagiusz kiedykolwiek powrócił na wyspę. Wśród jego zwolenników nie brakowało jednak Brytyjczyków; jeden z jego najbardziej energicznych i zdecydowanych towarzyszy był Brytem, niewykluczone

zatem, że było ich więcej. Tak czy inaczej, poglądy Pelagiusza były bardzo popularne na wyspie – około roku 410 wśród warstwy zamożnych Brytyjczyków istniało silne stronnictwo pelagiańskie. Ortodoksyjne chrześcijaństwo miało na wyspie – w najlepszym razie – pozycję potężnej i popieranej przez władzę sekty, zapewne nawet nie najliczniejszej. Nie wszyscy przywódcy Brytów żywili przekonanie, że nie ma innych religii poza chrześcijaństwem. Pod koniec czwartego stulecia n.e. na wyspie dało o sobie znać odrodzenie kultów pogańskich, czego namacalnym świadectwem jest wspaniała świątynia w Nodens, na zachodzie kraju, zbudowana prawdopodobnie około roku 400 po Chrystusie. Brytyjscy pelagianie mieli dość ambiwalentny stosunek do innych religii. Odrzucali pogląd, że droga do zbawienia wiedzie wyłącznie przez chrześcijaństwo, i nie stonili od interesów z poganami. Za taką postawą stały wyraźne racje zarówno polityczne, militarne, jak i religijne, toteż w tej sytuacji tolerancja mogła stanowić po prostu nakaz zdrowego rozsądku. Niemal 150 lat później mnich Gildas, piszący z punktu widzenia ortodoksyjnego chrystianizmu, przyczyn zniszczenia niezależnej Brytanii przez barbarzyńskich najeźdźców dopatruje się w moralnych zaniedbaniach Brytyjczyków i braku zdecydowanego przywiązania do wiary świętej. Wtórzuje mu Beda, twierdząc, że Brytyjczycy zostali podbici, gdyż nie próbowali nawracać pogan na chrześcijaństwo. Wywody Gildasa mają jednak charakter zdecydowanie moralistyczny, a nie historyczny – jego poglądy cechował między innymi zdecydowany antypelagianizm. Dokonana przez niego rekonstrukcja wydarzeń po roku 410 zniekształca autentyczny przebieg wypadków, Gildas bowiem świadomie przyjmuje rolę rzecznika stronnictwa proimperialnego. Natomiast dla brytyjskich nacjonalistów, którzy byli równocześnie pelagianami, polityka negocjacji z barbarzyńcami, oparta na wzajemnej tolerancji oraz uznaniu odmienności religijnych i etnicznych, stanowiła naturalną konsekwencję zaistniałej sytuacji. Zmilitaryzowani sascy osadnicy już od wielu dziesięcioleci zajmowali znaczne obszary wschodniego wybrzeża, podporządkowując się, na zasadzie federacji, lokalnym władzom rzymskim. Stanowili oni element istniejącego, choć nader niedoskonałego systemu obronnego Brytanii. Toteż zachęcanie członków innych plemion – Jutów, Franków czy Fryzyczyków – by przeprawiwszy się przez morza osiedlili się w Kent i żyjąc w zorganizowanych, lojalnych społecznościach współdziałali z władzami Brytanii w obronie wszystkich mieszkańców wyspy przed obcym najazdem, wydawało się posunięciem nader rozsądnym. Owi germańscy osadnicy dostali się już zresztą w krąg oddziaływania cywilizacji rzymskiej, stanowili więc grupę wojowniczych plemion, które śmiało można było użyć przeciw całkowicie zewnętrznym, barbarzyńskim najeźdźcom. Dobrego przykładu takiej, na owe czasy politycznie i militarnie korzystnej, umowy dostarczają dzieje paktu, zwierzchnika królów brytyjskich, zwanego Vortigernem, z przywódcami Sasów, Hengistem i Horsą. Jak dowiadujemy się z późniejszych relacji kronikarzy brytyjskich i angielskich

„ciemnych wieków”, wszystko skończyło się tragedią. Jednak taka współpraca mogła z powodzeniem zapewnić Brytanii krótki okres pokoju, umożliwiając jej zorganizowanie się po zdobyciu niepodległości. Toteż wydaje się, że państwo brytyjskie, które w tej czy innej postaci przetrwało jeszcze 150 lat, upadło nie tyle w następstwie zewnętrznego podboju, co walk wewnętrznych; w dodatku jedyna znana nam relacja o tych czasach pochodzi od Gildasa, a więc z kręgu liderów tylko jednej z rywalizujących frakcji brytyjskich.

W roku 410 inicjatywę w Brytanii przejęła partia pelagiańskich nacjonalistów, jakkolwiek zasięg jej wpływów oraz możliwości działania były wyraźnie ograniczone. Przebieg wydarzeń znamy z grubsza z relacji historyka Zosimusa. Powiada on, że w roku 410 ogromna armia barbarzyńców, nie napotykając skutecznego oporu wojsk rzymskich, przekroczyła Ren. Brytowie zbuntowali się przeciw władzy Rzymian i utworzyli narodowe państwo. Obronili swe miasta przed barbarzyńskimi najeźdźcami, usunęli resztki cesarskiej administracji i powołali do życia własny system rządów.

Była to więc antykolonialna rewolucja, realizująca polityczny program stronnictwa pelagiańskiego. Równocześnie jednak chodziło o coś znacznie ważniejszego. Frakcja proimperialna, czy też proeuropejska, miała, jak się wydaje, wystarczające wpływy, by dokonać znaczących korekt w zarysowanym przebiegu wypadków. Prawdopodobnie w opinii wielu Brytyjczyków Rzym wciąż jeszcze mógł odzyskać utraconą potęgę, należało więc poczynić niezbędne kroki, by nadać arbitralnemu aktowi wyzwolenia jakieś pozory konstytucyjnego legalizmu. Być może doszło do kompromisu między obydwoma stronnictwami. W ramach systemu prawnego Cesarstwa Brytyjczycy mogli korzystać tylko z jednej formy zorganizowanej aktywności politycznej. Rzymianie podzielili zamieszkaną część kraju – a tylko ta nas teraz interesuje – na regiony, pierwotnie wyznaczone na podstawie plemiennej, którymi zarządzano z miast-stolic regionów. W istocie były to więc kantony, a ich wybieralni zarządcy (*magistrates*) żyli głównie w wiejskich posiadłościach, jedynie kilka miesięcy w roku spędzając w stolicy kantonu na spełnianiu swych obowiązków fiskalnych i prawnych. Od czasu do czasu ważniejsi rangą zarządcy mieli prawo uczestniczyć w posiedzeniu rady całej prowincji – wtedy gdy przedmiotem obrad były kwestie dotyczące religii państwowej; pierwotnie w trakcie takich zgromadzeń wybierano najwyższych kapłanów urzędowego kultu Cesarstwa. A zatem jedyną formą reprezentacji lokalnego samorządu Brytanii była sfera spraw religijnych i właśnie dlatego kwestia pelagianizmu odegrała tak istotną rolę w wydarzeniach roku 410. Członkowie rady spotkali się wtedy na sesji nadzwyczajnej, aby skoordynować wysiłki zmierzające do odparcia inwazji i uzgodnić strategię polityczną. Jak widzieliśmy, opowiedzieli się za niepodległością i poczynili zdecydowane kroki, aby ją utrzymać. Brytania rzymska była pod wieloma względami krajem wielonarodowym. Choć większość mieszkańców stanowili Celtowie, wielu

Brytów było potomkami osadników i żołnierzy pochodzących z innych plemion, głównie germańskich. Zarządcy zebrani w Londynie, administracyjnym i handlowym centrum prowincji, mówili w języku władzy, po łacinie – w czystej i nieskalanej postaci, dawno już zapomnianej w samym Rzymie. Ich język ojczysty stanowił mieszaninę dialektów celtyckich. Niektórzy z obecnych, reprezentujący osadników ze wschodniego wybrzeża, mówili zapewne tylko w dialektach germańskich, z rzadka wtrącając coś po łacinie. Musiało to być bardzo niejednorodne zgromadzenie notabli, których jednoczyła jedynie świadomość niebezpieczeństwa grożącego wszystkim mieszkańcom wyspy.

A mimo to udało im się wspólnie osiągnąć coś, co było wyjątkowym aktem politycznym. Przejawszy władzę, napisali do cesarza Honoriusza list z prośbą o formalną i prawną legalizację swojego czynu. Zdobyli niepodległość *de facto*, teraz pragnęli uzyskać ją *de iure* – dzięki dokumentowi z podpisem cesarza, że Brytania została zdekolonizowana za zgodą władz rzymskich. Ściśle biorąc, pragnęli uzyskać wyłączenie Brytanii spod działania sławnego *lex Julia de vi publica*, podstawowego statutu Cesarstwa Rzymskiego, zabraniającego osobom cywilnym noszenia broni, z wyjątkiem polowań i podróży. I tak się też stało. Honoriusz przyjął do wiadomości fakty dokonane i powiadomił *civitates* Brytanii, że odtąd muszą bronić się sami. Tak nastał kres starożytnego świata i Brytania, na drodze konstytucyjnej i całkowicie zgodnie z prawem, wkroczyła na drogę niepodległości. Prawo rzymskie nie przewidywało możliwości legalnego odłączenia się jakiegoś terytorium od Cesarstwa, ale dzięki pomysłowemu wykorzystaniu *lex Julia* Brytyjczycy obeszli tę trudność i przecięli więzy łączące ich z kontynentem na drodze negocjacji legitymizujących zbrojne wyzwolenie kraju. To niezwykle wydarzenie nie miało precedensu w dziejach Cesarstwa Rzymskiego, nikt też nie poszedł w ślady Brytyjczyków. Po raz pierwszy kolonia odzyskała niepodległość na drodze prawnej – taka sytuacja miała się powtórzyć dopiero w wieku XX, gdy sami Brytyjczycy rozpoczęli proces konstytucyjnego demontażu własnego imperium.

Sięgając po niepodległość, mieszkańcy rzymskiej Brytanii w istocie podejmowali zerwany wątek naturalnego biegu wydarzeń na wyspie, jaki dyktuje jej klimat, położenie i warunki naturalne. Nizinne regiony Brytanii stanowią na naszej półkuli pewien wyjątek. Łagodny klimat dzięki odpowiedniej ilości opadów i słońca umożliwia systematyczną uprawę roli, a nieliczne tereny góryste nie stanowią większej przeszkody dla rozwoju rolnictwa. Gleby są żyzne, rzeki nieduże, ale zasobne w wodę, a ukształtowanie terenu sprzyja komunikacji. Nie grożą tu straszliwe ekscesy natury – powódzie, susze i huragany, a jeśli już się pojawią, nie przekraczają granic przyzwoitości. Można zatem rozwinąć na tym obszarze dobrze prosperującą, samowystarczalną gospodarkę, czego nie da się powiedzieć o Szkocji, Walii czy Irlandii. Kanał morski oddzielający wyspę

od lądu jest dostatecznie szeroki, by zagwarantować jej mieszkańcom pewien stopień społecznej niezależności, ale wystarczająco wąski, by umożliwić stałe kontakty z kulturami rodzącymi się na kontynencie. W czasach prehistorycznych nizinna część Brytanii przyjmowała zawsze przybyszów przemierzających Europę podczas wędrówek ludów ze wschodu i południa, którzy zwykle zrywali więzi społeczne, zachowując związki kulturowe z kontynentem; jedynym czynnikiem ograniczającym liczebność tej migracji były trudy przeprawy morskiej. W wyżynnych i górskich rejonach wyspy warunki do powstawania osiadłych społeczności rolniczych były o wiele mniej sprzyjające, ale w części nizinnej można zaobserwować stały proces kulturalnego i gospodarczego rozwoju, cechującego się przy tym pewnymi własnościami, które nie występowały w Europie kontynentalnej. W epoce paleolitu i mezolitu Brytania miała prawdopodobnie nie więcej niż 3 tysiące mieszkańców, utrzymujących się głównie z łowiectwa. W epoce neolitu, z początkiem trzeciego tysiąclecia p.n.e., pojawiły się zaczątki prymitywnego rolnictwa; spalano wycięte krzewy i zarośla, po czym na oczyszczonym terenie siano i zbierano zboże, powtarzając następnie proces w nowym miejscu. Hodowano niewielkie stada owiec i bydła. Liczba ludności wciąż jednak rosła bardzo wolno i na początku epoki brązu wyspa miała nie więcej niż 20 tysięcy mieszkańców. W dłuższej perspektywie historycznej widać, że Brytania rozwijała się zawsze z pewnym opóźnieniem. Gdy Grecy koloniści zaczęli wznosić wielkie miasto Syrakuzy na Sycylii, Brytania tkwiła nadal w okowach restrykcyjnej kultury późnego brązu, a jej populacja nie osiągała 100 tysięcy mieszkańców. Gdy Solon rządził w Atenach, Krezus był królem Lidii, a Cyrus podbijał Babilon, na wyspie wciąż nie znano żelaza. Kultura żelaza dotarła tu dopiero pod koniec VI wieku p.n.e. i rozprzestrzeniła się w znacznie wolniejszym tempie niż w Europie kontynentalnej. Mieszkańcy Brytanii najwyraźniej nie byli społecznością wynalazców. Mimo to niektóre z ich dzieł zasługują na uwagę. Kamienny krąg w Stonehenge stanowił rodzaj katedry oficjalnego kultu, był potężną i złożoną budowlą, którą zmieniano i przebudowywano kilkakrotnie w latach 1900–1400 p.n.e.; kręgi w Avebury były jeszcze większe. Brytyjskie forty na wzgórzach także były większe i liczniejsze niż analogiczne umocnienia obronne spotykane w podobnych kulturach na kontynencie. Jednak aż do końca drugiego stulecia p.n.e., kiedy to na wyspę dotarła ostatnia fala celtyckich osadników – Belgów z północnej Galii, Brytania była pod każdym względem krajem kulturalnie i gospodarczo zacofanym.

Belgowie byli Celtami, wnieśli jednak ze sobą pewne charakterystyczne cechy germańskich mieszkańców lasów, nadto zdążyli się już zetknąć z kręgiem oddziaływania cywilizacji rzymskiej. Osiedliwszy się w Kent, Sussex, Hampshire, Essex i w dolinie Tamizy, wprowadzili nowe techniki rolnicze, które umożliwiały po raz pierwszy systematyczną uprawę ciężkich i żyznych gleb na terenach nizinnych. Prawdopodobnie nie znali jeszcze pługa wyposażonego

w radło do odwracania skiby, znacznie częściej i powszechniej niż Brytowie posługiwali się jednak narzędziami żelaznymi; mieli więcej pługów i innych narzędzi, a przede wszystkim tysiące siekier. Zainicjowali wyrąb lasów na dużą skalę i osiedlili się w dolinach rzek, w miejscach, w których ludzie mieszkają do dziś. Po raz pierwszy topograficzny układ terenów uprawnych, a zatem i osadnictwa, zaczął przesuwać się z regionów pagórkowatych w stronę dolin rzek, a nowe tereny, poddane dzięki temu pod uprawę, umożliwiły gwałtowny wzrost liczby mieszkańców. Rozpoczęty wtedy proces karczowania lasów trwał przez całe następne tysiąclecie, stając się pierwszym istotnym czynnikiem rozwoju gospodarczego w dziejach wyspy.

Toteż w pierwszym stuleciu p.n.e. nizinne tereny Brytanii przeżywały okres gwałtownego ekonomicznego, społecznego, a nawet politycznego rozwoju. W warunkach świata starożytnego Brytania znalazła się – jak byśmy to dziś określili – na progu ostrego przyśpieszenia historii. Między początkiem a połową stulecia ludność wyspy prawdopodobnie się podwoiła: z 250 tysięcy do pół miliona. Pojawiły się większe jednostki plemienne, później także konfederacje plemion, a ich królowie stali się szerzej znanymi postaciami sprawującymi zwierzchność nad dużymi obszarami kraju. Plemiona Brytów prowadziły intensywny handel, zastępując używane w roli pieniądza sztaby żelazne monetami, które początkowo przywożono z Galii, później bito na miejscu. Na wyspie pojawiła się aktywna, ekspansywna i dynamiczna społeczność, której członkowie mieli wyraźną świadomość radykalnych, a nawet rewolucyjnych zmian, jakie zachodziły za życia jednego pokolenia. I właśnie w tym momencie historii Brytania weszła w orbitę Rzymu. Ten znamienity fakt zapoczątkował jednak fundamentalne zniekształcenie optyki odczytywania dziejów wyspy: odtąd historię Brytanii nie tylko postrzega się wyłącznie w kategoriach wzrostu i upadku potęgi Cesarstwa Rzymskiego, ale także wyłącznie oczami Rzymian. Brytania stała się elementem politycznego systemu Europy kontynentalnej, a jej historia – zaledwie peryferyjną funkcją przebiegu wydarzeń na głównej scenie cywilizacji rzymskiej.

Aby uzyskać prawdziwą perspektywę, musimy zmienić punkt widzenia z rzymskiego na brytyjski i spróbować ujrzeć bieg wydarzeń oczami inteligentnego mieszkańca wyspy. Będzie to spojrzenie ludzi z epoki przedkolonialnej, z czasów okupacji rzymskiej oraz żyjących później. W okresie podboju Galii przez Cezara królowie Brytów z rosnącym niepokojem obserwowali gwałtowne zbliżanie się rzymskiej potęgi militarnej. Po raz pierwszy w Brytanii istniały organizmy polityczne, które mogły przeciwstawić się grożącej inwazji, zdolne sformułować świadomą politykę wobec tego, co działo się na kontynencie. Równocześnie Brytowie zdawali sobie jednak sprawę z licznych korzyści, jakie niosła za sobą cywilizacja rzymska, wiedzieli, że ich własne powodzenie gospodarcze opiera się w dużym stopniu na handlu i kontaktach z krajami

leżącymi po drugiej stronie Kanału. W jaki sposób społeczeństwo Brytanii mogło jednak z powstałej sytuacji zgarnąć całą śmietankę – w pełni korzystać z możliwości, jakie otwierał przed nim rozwijający się rynek i kultura Europy, nie narażając się równocześnie na inkorporację, a tym samym eksploatację, w ramach politycznego i militarnego systemu panującego na kontynencie? Jest to brzemiennie w skutkach pytanie, które nieodmiennie stawało wciąż przed mieszkańcami nizinnej części Brytanii. Nigdy też nie udało się znaleźć na nie zadowalającej odpowiedzi; być może taka odpowiedź po prostu nie istnieje.

Początkowo Brytowie zareagowali w sposób charakterystyczny dla ludów przedkolonialnych. Starali się jakoś wykręcić, wyczekiwali, byli niezdecydowani. Udzielili pewnego militarnego wsparcia plemionom walczącym z Cezarem w Galii – nie dość zdecydowanie, by zahamować postęp jego legionów, lecz na tyle wyraźnie, by dać mu pretekst do inwazji. Chętnie zawierali z nim traktaty, których jednak nie zamierzali dotrzymywać, jeśli groziły realnym uszczerbkiem suwerenności politycznej i gospodarczej. Zawsze też pamiętali, by zyskać nieco na czasie, niechybnie w nadziei, że pojawi się jakiś nowy i niespodziewany element, który odmieni bieg polityki zagranicznej Rzymu. Ale byli też wewnętrznie skłóceni i podzieleni. Niektórzy wodzowie plemienni aktywnie wspierali Cezara. Jeden czy dwóch udzieliło mu nawet wojskowej pomocy w trakcie inwazji. Na każdym dworze brytyjskim istniała frakcja pro- i antyrzymska. W niektórych przypadkach stronnictwo prorzymskie triumfowało: na przykład Trynowanci z Essex, obawiając się agresywnej ekspansji konfederacji plemion zamieszkałych na północ od Tamizy, zajęli postawę przychylną Rzymowi – tylko dzięki temu sojuszowi druga wyprawa Cezara zakończyła się względnym sukcesem. Na innych dworach zwyciężyła opcja antyrzymska, a przegrani politycy często szukali oparcia u władz rzymskich.

W sumie obie wyprawy Cezara zapewne przekonały większość politycznych elit na wyspie, że tak czy inaczej uda się zneutralizować rzymskie zakusy wobec Brytanii. Cezar w komentarzach stara się, jak może, przedstawić swe ekspedycje w jak najlepszym świetle, ale obie omal nie skończyły się katastrofą; ze strony Cezara cechowała je lekkomyślność, brak należytych przygotowań, a także jasnej koncepcji, jakie cele właściwie zamierza osiągnąć. Nie zrobiły większego wrażenia na Brytyjczykach, nie przyniosły mu też w ostatecznym rozrachunku chwały w Rzymie. Po pierwszej z nich Senat zorganizował wprawdzie Cezarowi, opierając się na jego własnych raportach, triumf na niespotykaną dotąd skalę, ale drugiej, znacznie bardziej kosztownej, towarzyszyło już wielu niezależnych obserwatorów, piszących listy do domu – tym razem w Rzymie powitało go wymowne milczenie. Co więcej, nieskuteczne manewry Cezara w Brytanii najwyraźniej zainspirowały powstanie w Galii. Brytyjczycy mieli wszelkie prawo przypuszczać, że Rzymianie na razie nie powrócą, co też przez najbliższych sto lat okazało się prawdą.

Dane historyczne dowodzą, że Brytania przeżywała wówczas okres niezwykle bujnego rozwoju. Jej mieszkańcy rzeczywiście czerpali profity z zaistniałej sytuacji. Importowali ogromne ilości wyrobów ceramicznych z kontynentu, ale zaczęli także wytwarzać własne, oryginalne wzory. Eksportowali różnorodne towary, uruchamiali kopalnie. Bili swoją monetę już nie tylko na terenie osadnictwa belgijskiego. Strabon, dworski geograf starożytnego Rzymu, twierdził, że władcy Brytanii zmienili „całą wyspę nieomal w rzymską kolonię”, ale akcent należałoby położyć na słowie „nieomal”. Brytyjczycy wyciągali wszelkie dostępne korzyści z gospodarczych kontaktów z wielkim rynkiem kontynentalnym, unikając negatywnych stron gospodarczej i politycznej podległości. Standard życia rósł w dużym tempie, prawdopodobnie większym niż na kontynencie. A co równie ważne, Brytania zmierzała szybkimi krokami w stronę jedności politycznej. W momencie inwazji za panowania cesarza Klaudiusza w roku 43 n.e. na południowym wschodzie kraju wyłaniał się już wyraźnie jednolity ośrodek władzy. Być może zabrakło tylko kilkudziesięciu lat, by cała nizinna Brytania znalazła się pod panowaniem jednego, silnego militarnie państwa, tak że w efekcie inwazja i okupacja wyspy znalazłaby się całkowicie poza zasięgiem Rzymu. A wtedy historia północno-zachodniej Europy w najbliższym tysiącleciu potoczyłaby się zupełnie innym torem, gdyż jednolite królestwo na obszarach nizinnej Brytanii zawsze stanowiło potężny czynnik polityczny w tym regionie.

Obawa przed dalszym jednoczeniem się Brytów była niewątpliwie jednym z głównych motywów skłaniających Rzymian do aneksji Brytanii, choć równie znaczącą rolę odegrało rosnące bogactwo nizinnej części wyspy. W Rzymie nieustannie toczyła się gwałtowna debata, czy imperium powinno rozszerzać swoje granice. Spodziewanym bogactwom, jakie mogłoby przynieść przyłączenie nowych terytoriów, należało zawsze przeciwstawić ogromne koszty utrzymywania stałych garnizonów, a zwłaszcza legionów, z których każdy, w kategoriach nakładów finansowych i niezbędnych kwalifikacji ludzkich, stanowił ówczesny ekwiwalent lotniskowca z bronią jądrową na pokładzie. Rzymowi brakowało jednak nowoczesnej gospodarki. Nie dysponował ani stale rozwijającą się technologią, ani solidną bazą przemysłową, nie potrafił bowiem stworzyć popytu na nowe towary i usługi, a nawet masowego rynku na te, które już produkował. Nie umiał też zwiększyć, a w każdym razie nie zwiększył, siły nabywczej przeważającej większości swoich poddanych. Na podbitych terenach rozprzestrzeniał jedynie cienką warstwę statycznej kultury ekonomicznej, ograniczając się raczej do eksportu rzemieślników i technologii niż gotowych produktów, a w dodatku nie potrafił wykreować specjalizacji, które stanowią klucz do samonapędzającego się wzrostu gospodarczego. Aby przetrwać, imperium musiało rozszerzać swoje granice, a gdy tylko przestało je rozszerzać, rzymski pieniądz załamał się pod wpływem inflacji i zabrakło środków na utrzymanie armii broniących

granic*. Tęgo rodzaju problemy ekonomiczne, choć jeszcze nie uświadamiane, dawały o sobie znać już w czasach podboju Brytanii za Klaudiusza. Przez poprzednich sto lat pozostawiono ją w spokoju, gdyż wyprawy Cezara przyniosły Brytanii reputację kraju trudnego do utrzymania, a zatem niewartego zachodu. Jednak z biegiem czasu liczne świadectwa rosnącego dobrobytu i politycznych procesów zjednoczeniowych na wyspie przeważały szalę w rzymskich debatach na rzecz podboju. W sumie niewiele brakowało, aby wszystko zostało po staremu – kilkadziesiąt lat później Rzym mógł postanowić odmiennie.

Dla ogromnej większości mieszkańców Brytanii okupacja rzymska stanowiła zupełną katastrofę. To prawda, że niektóre plemiona chętnie witały Rzymian, a w każdym razie uznały za rozsądne raczej podpisać z nimi traktaty pokojowe niż walczyć. Karatakus, wódz bez wątpienia obdarzony wielką energią i uporem, ani razu nie zdołał doprowadzić do powstania jakiejś ogólnonarodowej konfederacji zdolnej odeprzeć najeźdźcę. Wielu wodzów plemiennych wołało przyjąć z rąk Rzymian role, tytuły i zaszczyty marionetkowych władców. Niektórzy zezwolili na rozbicie swoich żołnierzy. Klasa posiadająca ochoczo skorzystała z możliwości dostępu do kredytowego rynku imperium i błyskawicznie pożyczyła w Rzymie olbrzymie sumy, by równie szybko zamienić je na nowe wyrafinowane świecidełka, wciskane przez podążających w ślad za legionami handlarzy. Jednak generalnie doświadczenia pierwszego pokolenia żyjącego pod okupacją odegrały decydującą rolę w ukształtowaniu się wśród Brytyjczyków wrogiej postawy wobec najeźdźcy. Znamienną cechą powstania pod wodzą królowej Boadicei był fakt, że zyskało ono masowe poparcie zarówno plemion, które zostały podbite, jak i tych, które poddały się bez walki. Wyraźnie wszystkie kręgi mieszkańców Brytanii miały już dość okupacji odznaczającej się jawnym rasizmem i systematyczną eksploatacją wszystkich warstw społeczeństwa. Dzikość i bezwzględność powstańców sprawiły, że okupanci poczuli się zmuszeni do zmiany polityki: nawet Rzymianie zrozumieli, że muszą rządzić przy pewnej, choćby minimalnej, akceptacji podbitej społeczności. Tak czy inaczej, gwałtowny wzrost poziomu życia, stanowiący tak uderzającą cechą ostatniego stulecia doby przedkolonialnej, należał już do przeszłości; nastąpił nawet regres. Mineralne zasoby wyspy przeszły całkowicie w ręce rzymskie;

* W pierwszym stuleciu n.e. funt złota stanowił ekwiwalent 1000 denarów, podstawowej monety srebrnej. Pieniądz srebrny stale tracił na wartości w stosunku do złota i w połowie trzeciego stulecia cały system monetarny się załamał. W roku 301 Dioklecjan podjął próbę ustabilizowania pieniądza, zakładając, że funt złota wart jest 50 tysięcy denarów, jednak już dziesięć lat później wartość ta wynosiła 120 tysięcy. W roku 324 wzrosła do 300 tysięcy, a w 337 wynosiła 20 milionów; po roku 350 osiągnęła 330 milionów denarów. Cesarstwo Rzymskie zostało zniszczone przez inflację; sama inflacja była jednak rezultatem działania głębszych czynników. Por. Sture Bolin, *State and Currency in the Roman Empire to AD 300*, Stockholm 1958.

ich eksploatacją zajmowały się bezpośrednio władze imperium lub licencjonowane firmy rzymskie. Wstrzymano wydobywanie cyny, aby to nie kolidowało z interesami kopalń położonych w podbitej Hiszpanii. Zakazano wielu form aktywności gospodarczej. Olbrzymie połacie najlepszej ziemi uprawnej zostały przekształcone w rzymskie posiadłości, na których pracowały kolonie niewolników. Rzymianie pozwolili zachować pewien status niewielkiej warstwie najbogatszych Brytów, aby naśladowali rzymskie obyczaje i objęli podrzędne funkcje administracyjne; jednak w ciągu następnych 150 lat ludzie ci nie mieli prawa do rzymskiego obywatelstwa, a do tego czasu przywilej mocno stracił na wartości. Dla większości Brytów rzymska kolonizacja oznaczała całkowitą utratę pozycji, zarówno społecznej, jak ekonomicznej; Rzym nie dał im nic, choć niektórzy liczyli odrobinę łąciny. To dość zdumiewające, ale w ciągu 350 lat rzymskiej okupacji zaledwie skromna garstka poddanych rodem z Brytanii zdołała osiągnąć, a i to skromne, pozycje w administracji Cesarstwa. Przy tym nawet nie mamy pewności, czy ci nieliczni, których imiona zachowały się do naszych czasów, rzeczywiście byli Brytami z pochodzenia.

Losu większości mieszkańców Brytanii tym bardziej nie poprawiała chwiejność i gwałtowne zwroty w rzymskiej polityce wobec wyspy. Doprawdy, Brytowie musieli być mocno zdziwieni i rozjątrzeni faktem, że Rzymianie najwyraźniej nie potrafili się zdecydować, jakie mają wobec niej zamiary. Okupacja rzymska zawsze nosiła tu znamiona improwizacji. Stanowiła źle zaplanowany eksperyment, przy którym po amatorsku dłużyły kolejne pokolenia rzymskich dowódców i polityków, by następnie wszystko porzucić w pół drogi. W ciągu tych 350 lat większość najwybitniejszych umysłów Rzymu, przy tej czy innej okazji, uwikłała się w sprawy brytyjskie: Cezar, Klaudiusz, Wespazjan, Hadrian, Septymiusz Sewer, Konstantyn Wielki. Dla każdego z nich był to jednak zawsze problem podrzędnej rangi: Brytania nigdy nie znalazła się w centrum uwagi rzymskich polityków. Rzymianie traktowali Brytanię dokładnie tak samo jak później Anglicy Irlandię: jako męczący, nie rozwiązany problem, z którym trzeba coś zrobić, gdy sprawy osiągną punkt wrzenia, po czym z ulgą można o wszystkim zapomnieć. Jedynie Agricola, który poświęcił wyspie znaczną część życia, miał, jak się wydaje, wyraźną i konsekwentną wizję polityczną: zamierzał podbić całe Wyspy Brytyjskie, ale został odwołany, gdy jego projekty uznano za rujnująco kosztowne.

Rzymski eksperyment w Brytanii w istocie padł z powodu pieniędzy. Nie sposób było tu stworzyć kolonii zarazem dochodową i bezpieczną. Gdy z wielkim nakładem sił udawało się zadbać o bezpieczeństwo rolniczej strefy nizinnej, kolonia natychmiast zaczynała przynosić deficyt. Początkowo Rzymianie zamierzali utrzymać granicę swych wpływów na linii rzek Trent–Severn, obejmującej wszystkie najżyźniejsze tereny rolnicze. Wtedy jednak zorientowali się, że poza strefą bezpieczeństwa znalazła się większość zasobów mineralnych. W ciągu

następnych 20 lat przesunęli linie obronne ku północy i zachodowi, wtedy jednak okazało się, że kłopoty z granicą skomplikowały się jeszcze bardziej. Gdzie bowiem należało się zatrzymać? Rzymianie nigdy nie znaleźli właściwej odpowiedzi. Przez 300 lat ponad 10% wszystkich lądowych sił imperium stacjonowało w Brytanii – w tej prawdopodobnie najmniej ważnej ze wszystkich kolonii. W kategoriach gospodarczych nie sposób usprawiedliwić tak ogromnych wydatków. Czy jednak można było ich uniknąć, nie narażając się na utratę kolonii? Hadrian uważał, że najlepszym rozwiązaniem dylematu będzie budowa linii stałych umocnień między Tyne a Solway, umożliwiającej skuteczniejsze rozlokowanie rzymskich oddziałów. Budowa Muru Hadriana wymagała przemieszczenia 2 milionów jardów sześciennych ziemi i piasku oraz ponad miliona dniówek pracy ludzkiej – była to największa pojedyncza budowa w dziejach imperium i zapewne najbardziej kosztowna. A przecież w końcu nie przyczyniła się nawet do bardziej ekonomicznego rozmieszczenia żołnierzy. Co więcej, Rzymianie nigdy nie byli pewni, czy zbudowali mur we właściwym miejscu. Kilkadziesiąt lat później wzniesli następny mur, bardziej na północ, na linii Clyde–Forth [Mur Antoninusa], po czym go porzucili. Niektóre z tych północnych fortyfikacji pochłonęły znaczną część zasobów całego Cesarstwa. Na przykład budowa fortu legionów w Inchtuthil, w północno-wschodniej Szkocji, wymagała zbudowania siedmiu mil drewnianych wałów. Gdy Rzymianie opuszczali nie wykończony fort, zakopali w ziemi 11 ton nie wykorzystanych żelaznych gwoździ. A przecież wszystkie te materiały trzeba było na północ dowozić setki mil. Rzymianie nieustannie wznosili w Brytanii bazy wojskowe, które wkrótce opuszczali, często zanim dokończono budowy. (Bardzo to przypomina postępowanie Brytyjczyków w ostatnim okresie istnienia Imperium Brytyjskiego.)

Brytania powinna, przynajmniej w teorii, sama ponosić koszty tych olbrzymich wydatków militarnych oraz utrzymywać armię i warstwę rzymskich zarządców, stanowiące w sumie mniej niż 5% całej populacji wyspy*. Jednakże takie rozwiązanie było po prostu niemożliwe, i to nawet uwzględniając fakt, że podatki stale utrzymywały standard życia podbitej ludności na bardzo niskim poziomie. Rzymianie nie dysponowali technologią umożliwiającą skuteczną eksploatację zasobów mineralnych Brytanii. Wydobywano wprawdzie znaczne ilości rudy ołowiu, jednakże wytopione z niej srebro było niezmiennie

* Profesor Sheppard S. Frere, w pracy *Britannia, A History of Roman Britain*, Oxford 1967, szacuje populację Brytanii pod koniec drugiego stulecia n.e. na 2 miliony osób. Podane wyczerpanie opiera jednak na wielu dyskusyjnych przesłankach. W tej sytuacji wielkość ta mogła równie dobrze wynosić 1 milion. Na podstawie danych z *Domesday Book* można przyjąć, że w roku 1086 liczba mieszkańców (z wyłączeniem Walii) wynosiła 1100 tysięcy, przy czym trzeba pamiętać, że obszar ziem uprawnych znacznie się do tego czasu zwiększył. Sądzę, że rzymska Brytania nie była w stanie wyżywić więcej niż około 1 miliona mieszkańców.

niskiej jakości. Natomiast wydobycie cyny, głównego towaru eksportowego Brytanii w czasach przedkolonialnych, zostało zahamowane aż do czasu wyczerpania się złóż hiszpańskich pod koniec istnienia Cesarstwa. Eksportowano nieco zboża, ale tylko w razie konieczności. Większość brytyjskiego eksportu stanowiły przedmioty zbytku: wyroby wełniane najwyższej jakości, z których dwa rodzaje znalazły się na liście celnej cesarza Dioklecjana, kamienie półszlachetne i psy myśliwskie: irlandzkie owczarki, buldogi, spaniele i charty. W sumie wymienione pozycje nie były w stanie zrównoważyć rzeki wyrobów ceramicznych, metalowych, innych przedmiotów użytkowych oraz wina i luksusowych towarów spożywczych, która nieprzerwanie płynęła na wyspę z kontynentu, by zaspokoić potrzeby rzymskiej elity i brytyjskich klas wyższych. Brytania rzymska przez większą część swego istnienia miała więc z konieczności ujemne saldo handlowe z resztą imperium i jedynym czynnikiem bilansującym deficyt był zapewne potrzebny, „niewidzialny” czynnik w postaci siły nabywczej okupacyjnej armii.

Nic więc dziwnego, że przy tak niezrównoważonej gospodarce wszelkie wysiłki, by zromanizować Brytanię, spęły na niczym. Brytowie odrzucili cywilizację rzymską, ponieważ odrzucili podstawowy instrument romanizacji – miasto. Dla Rzymian miasto było nie tylko centrum władzy i gospodarki, ale przede wszystkim żywym teatrem, w którym celebrowano wszystkie obrzędy cywilizacji; miasta wyrastające w ślad za posuwającymi się legionami stanowiły podporę panowania Rzymu i odgrywały rolę przekaźnika jego cywilizacyjnej misji. To właśnie rzymskie miasta tak dogłębnie zlatynizowały cały Półwysep Apeniński, Hiszpanię i Francję, że element romański przetrwał tam jako dominujący wzór kulturowy przez wszystkie stulecia politycznego i gospodarczego zamętu oraz wielkich migracji ludności. Jednakże rzymskie miasto było kosztownym luksusem – z natury było bowiem pasożytem. Odgrywało nie tyle rolę administracyjnego i usługowego centrum dla gospodarki wiejskiej, co sztucznego i egzotycznego tworu, który jako cel sam w sobie wiejska gospodarka musiała utrzymywać. Oferowało liczne atrakcje zgoła nieproporcjonalne do swej wielkości: ratusz-bazylikę, w której wszyscy wolni obywatele mogli gromadzić się w sprawach publicznych lub interesach, teatry i cyrki, gdzie mogli oddawać się rozrywce, termy i łaźnie zdolne co dzień zaspokoić ich potrzeby oraz świątynie gromadzące tłumy podczas ceremonii religijnych. Budowa takiego miasta była przedsięwzięciem niesłychanie kosztownym, a jego utrzymanie wymagało fortuny.

Tymczasem gospodarka brytyjska nie była w stanie sfinansować takiego systemu, podobnie jak nie mogła utrzymać okupacyjnej armii. Choć obszar uprawny rozszerzał się dzięki wprowadzeniu ciężkich pługów i melioracji, nie ma wcale pewności, że produkcja rolna rosła, a nawet jest dość prawdopodobne, że spadła w czasach rzymskich. Stosowane przez Rzymian technologie rolne stawały się coraz bardziej anachroniczne w okresie Cesarstwa, a pod

pewnymi względami nastąpił wręcz regres. Można więc zasadnie przypuszczać, że wielkie rzymskie majątki rolne w Brytanii były mniej wydajne niż małe gospodarstwa, które poprzednio znajdowały się na ich miejscu. W Brytanii nie istniała baza ekonomiczna do rozwoju kwitnącej cywilizacji miejskiej, a w każdym razie Brytowie nie byli tą ostatnią zainteresowani. Jednym z czynników, które wywołały masowe powstanie pod wodzą Boadicej, była właśnie budowa miasta Colchester i główny impet powstańców skierował się przeciw jego budowlom; podobnie było w Londynie. Tylko bardzo energiczna presja ze strony władz sprawiała, że w ogóle budowano jakieś miasta. W trzydzieści lat po przybyciu na wyspę Agricola był zde gustowany powolnością procesu urbanizacji i uruchomił szeroko zakrojony program prac budowlanych. Pół wieku później Hadrian poczuł się zmuszony postąpić podobnie. W efekcie miasta wprawdzie powstawały, ale żadną miarą nie kwitły. W Silchester – jedynym odkopanym przez archeologów w całości – można znaleźć pewne typowe elementy rzymskiego miasta z III i IV w. n.e.: budynki administracyjne, plac handlowy, cztery świątynie pogańskie, kościół chrześcijański, łaźnie, imperialną pocztę i amfiteatr. Miasto jest jednak małe: zaledwie 25 większych domów przeznaczonych dla magnatów plemiennych, 25 mniejszych dla zarządców i kupców; pozostali mieszkańcy w liczbie około 2,5 tysiąca żyli w warunkach urągających ludzkiej godności. Tradycyjny obraz wspaniałego życia w rzymskim mieście nie odnosi się więc do Brytanii*.

Na nieco więcej wyrafinowania zdobyli się Rzymianie jedynie w Bath, ale też Bath było kurortem, centrum wypoczynku i rozrywki dla żołnierzy i urzędników. Bez wątplenia można tam było spotkać także bogatych Brytyjczyków, jednakże większości rdzennych mieszkańców wyspy – jeśli w ogóle kiedyś o nim usłyszeli – musiało zapewne wydawać się równie obce i niedorzeczne jak górskie stacje wojskowe Brytyjczyków w Indiach czy centra urlopowe budowane przez wojska amerykańskie w Azji Południowo-Wschodniej. Tylko w Lincoln istniał system kanalizacyjny na miarę rzymskich standardów. Leicester nie miało nawet porządnego wodociągu. Dość znamienity jest fakt, że bardzo niewielu cywilnych Rzymian dało się skusić na osiedlenie się w Brytanii; jeśli istniała jakaś migracja, to raczej w drugą stronę – kulturalni Brytowie emigrowali na południe. W Rzymie do dobrego tonu należały szyderstwa na temat dzikości mieszkańców wyspy; Rzymianie utrzymywali, że Brytowie wciąż malują ciała, choć już w czasach Cezara wspomniana praktyka od dawna należała do przeszłości. Brytowie niewątpliwie odwzajemniali te uczucia. Jeśli nawet z biegiem czasu zaczęli doceniać fakt, że Rzymianie gwarantowali wyspie bezpieczeństwo, nigdy nie zaakceptowali ich cywilizacji. Większość nigdy

* Według najnowszych szacunków maksymalna liczba mieszkańców miast kształtowała się następująco: Londyn – 30 tysięcy, Colchester i St. Albans – po 15 tysięcy, Lincoln i Gloucester – po 5 tysięcy. Większość pozostałych miast miała 3 tysiące mieszkańców lub mniej.

nie nauczyła się mówić po łacinie, wyjąwszy kilka zwrotów codziennego użytku; nieliczni bogacze, którzy tę umiejętność posiadli, traktowali ją jako kulturalny dodatek do języka ojczystego, podobnie jak rosyjska arystokracja w czasach caratu traktowała francuski. Gdy tylko zelżała nieco presja władz, brytyjskie miasta szybko zaczynały podupadać, ograniczając się do roli narzędzi ekonomicznych. W okresie późnego Cesarstwa, gdy rzymska cywilizacja w Brytanii wyraźnie obumarła, miasta zyskały pragmatyczny brytyjski charakter. Liczne świadectwa historyczne dowodzą, że nastąpiło tu nie tyle zerwanie ciągłości życia miejskiego, co zmiana funkcji: ze sztucznego tworu służącego obcej kulturze miasto przekształciło się w efektywne, choć surowe w wyrazie centrum handlowe. Miejskie rezydencje przeszły w ręce rzemieślników, a na przykład w St. Albans amfiteatr zamieniono w targowisko. Liczba mieszkańców miast być może nawet wzrosła, ale miasta zaczęły teraz służyć wsi, a nie odwrotnie.

Jedyną rzymską instytucją, jaką Brytyjczycy przejęli z uznaniem, była wiejska willa, choć i jej nadali swoisty, brytyjski charakter. Członkowie wyższych klas społeczeństwa rzymskiego i ich naśladowcy na kontynencie traktowali willę jako miejsce ucieczki od zgiełku kulturalnego życia w mieście, zwłaszcza w sezonie letnim. Brytowie odwrócili ten porządek. Większą część roku spędzali w swych posiadłościach, mieszkając w willach, które spełniały rolę dworu*, do miast jeździli natomiast jedynie w celu załatwienia niezbędnych interesów i wielu z nich nie miało nawet domu w mieście. Stanowili więc klasę wiejskich posiadaczy ziemskich (*rural gentry*) i nie wydaje się, by całkowicie absurdalny był pomysł, ażeby doszukiwać się w ich postawach owej miłości do życia wiejskiego, zwłaszcza polowań, bliskich związków z dzierżawcami ich ziemię farmerami, znajomości zasad prowadzenia gospodarstwa i protekcyjnego stosunku do miast, słowem – wszystkich nader charakterystycznych skłonności i upodobań bogatszych mieszkańców wyspy z wieków późniejszych. Niezbyt interesowali się losami Cesarstwa. Nie szukali też – a w każdym razie nie ma dowodów, by się to komuś powiodło – kariery w służbie cesarskiej. Stanowili wyższą klasę społeczną, ale z pewnością nie klasę rządzącą. Późne Cesarstwo było scentralizowaną tyranią. Pod presją nie kontrolowanej inflacji z konstytucyjnej republiki zmieniło się w orientalną despotię, w której państwo bezpośrednio zarządzało znacznymi sektorami gospodarki. W tak niestabilnej i niepewnej strukturze nie było miejsca na kolonialny samorząd. Pod koniec rzymskiego panowania mieszkańcy Brytanii żyli w warunkach stanu wyjątkowego, wyspą rządziła – aczkolwiek nieliczna – armia. Gdy żołnierze rzymscy odeszli, a Brytowie sami pozbyli się cesarskich administratorów, na wyspie nie

* Wiemy o istnieniu około 600 willi w Brytanii; w sumie mogło być ich około 800. Jeśli chodzi o ich rozmieszczenie, zob. Ordnance Survey, *Map of Roman Britain*, 1956.

było nikogo, kto potrafiłby pokierować machiną państwową, zabrakło wykształconej klasy politycznej. Brytowie, naród skolonizowany, nagle zostali pozbawieni ochrony, przewodnictwa, umiejętności politycznych i rynków Europy; na domiar złego byli otoczeni przez wrogów.

Mimo to niezależne państwo Brytów przetrwało na terenach nizinnych, a w każdym razie na znacznej ich części, jeszcze przez półtora stulecia – okres dłuższy niż panowanie dynastii Tudorów, znacznie dłuższy niż dzieje zjednoczonych Niemiec czy Włoch, niemal tak długi jak historia Stanów Zjednoczonych. Jednak z powodu braku świadectw pisanych zwykle przechodzi niemal nie zauważony, choć stanowił spore osiągnięcie. Uwolnienie się spod ciężaru martwej ręki imperium wyzwoliło uśpioną energię Brytów. Gospodarczo Cesarstwo weszło w okres stagnacji już około roku 250 n.e., a więc 150 lat wcześniej, niż zakończyło swój żywot polityczny i militarny; ceną przedłużenia egzystencji było jednak wprowadzenie poddaństwa chłopów, państwowy kapitalizm w przemyśle oraz teokratyczny totalitaryzm w polityce i religii. Usunięcie tych pozostałości dawnego porządku dało Brytom szansę niezależnego rozwoju; teraz mogli myśleć i działać na własną rękę. Nic więc dziwnego, że odwołali się do pelagiańskiej doktryny wolnej woli, rodzimej odmiany chrystianizmu, która ostatecznie, w wyniku procesu wyspiarskiej transmutacji, przekształciła się w anglikanizm.

Tragedią pokolonialnych Brytów był fakt, że nie zdołali osiągnąć, a w każdym razie utrzymać, politycznej jedności. Brak jedności zawsze okazywał się fatalny w skutkach dla przybrzeżnych wyspiarzy, podobnie jak dla każdego innego narodu. Przyczyną podziałów był ostatni rodzaj więzi, jaki łączył ich jeszcze – przez pewien czas – z kontynentem, czyli chrześcijaństwo, a raczej jego scentralizowana rzymska wersja. Rzymskie chrześcijaństwo wcale nie prosperowało szczególnie dobrze na ruinach imperium, potrafiło jednak utrzymać się na większości jego terytorium, a nawet skierować znaczną część jego energii na walkę z tym, co uznało za herezję. Toteż przez kilka dziesięcioleci Rzym bacznie obserwował sytuację w odległych prowincjach. Jak widzieliśmy, w roku 410 mieszkańcy Brytanii byli podzieleni na stronnictwo narodowo-pelagiańskie oraz imperialno-papieskie; nacjonałiści wygrali, ale na zasadach kompromisu uwzględniającego prawne subtelności światowego systemu politycznego. Frakcja antynacjonalistyczna nie zrezygnowała jednak z walki o swoje cele. Jak wiemy z relacji Gildasa, w ciągu następnych kilkudziesięciu lat jej stronnicy dwukrotnie apelowali do władz imperium o przywrócenie więzów z Rzymem. Nie otrzymali wprawdzie żadnej odpowiedzi od władz świeckich, ale Kościół pośpieszył na ratunek utraconej prowincji. Przynajmniej dwukrotnie przed rokiem 450 wyruszyły z Francji klerykalno-wojskowe ekspedycje pod wodzą wojujących biskupów, w szczególności św. Germanusa z Auxerre. Germanus, jako wódz naczelny wspólnych wojsk, poprowadził Brytów – jak się dowiadujemy

– ku zwycięstwu nad pogańskimi najeźdźcami z okrzykiem bojowym „Alleluja!” na ustach. Jednakże głównym celem wyprawy była, jak się wydaje, walka z pelagianizmem. Polityka i religia były wówczas nierozłączne: misja Germanusa *de facto* stanowiła interwencję w wojnie domowej – po stronie partii kontynentalnej.

Ten wewnętrzny konflikt najwyraźniej tlił się przez całe dalsze dzieje niepodległego państwa Brytów, stając się główną przyczyną jego ostatecznego upadku. W jakiś czas po roku 455 stracono bezpośredni kontakt z Rzymem, ale ortodoksyjne chrześcijaństwo i pelagianizm nie zaprzestały walki o supremację na wyspie. Źródła dotyczące tego okresu są skąpe, fragmentaryczne, sprzeczne i zawsze, z tego lub innego względu, podejrzane; niektóre zaginęły na dobre, choć można wyśledzić ich odległe echa w pracach dwunastowiecznych kronikarzy, jak William z Malmesbury i Geoffrey z Monmouth. Gromadząc rozsiane fragmenty, można wszakże zrekonstruować sensowny obraz wypadków. Mniej więcej w połowie piątego stulecia n.e., gdy rajdy Sasów przybrały stopniowo postać masowej migracji, nizinna Brytania stała się konfederacją regionalnych królestw, uznających zwykle zwierzchnictwo jednego z potężniejszych władców (praktyka przekształcona następnie w angielską instytucję nadrzędnego króla, czyli *bretwalda*). Tego zwierzchnika nazywano Vortigernem, a pod koniec stulecia został nim Ambrosius Aurelianus. Ambrosius był prawdopodobnie ortodoksyjnym chrześcijaninem, z dobrymi koneksjami na kontynencie; często zwano go „ostatnim Rzymianinem”. Jeden z dowódców armii pod jego komendą, pochodzący z majątnej rodziny z Zachodniego Kraju, nazywał się Artorius lub Artur – było to rzymskie imię nadawane na znak wierności rodu wobec Cesarstwa. Artur urodził się około roku 475 i z początkiem nowego stulecia, po śmierci Ambrosiusa, przejął stanowisko wodza naczelnego. Walczył z najeźdźcami, najpierw jako generał, później jako zwierzchnik królów brytyjskich. Na czele zdyscyplinowanych, dobrze uzbrojonych oddziałów odnosił znaczne sukcesy: wygrał dwanaście starć w różnych rejonach nizinnej Brytanii, których kulminacją była bitwa pod Badon (lub jego oblężenie) w roku 516, gdzie Sasi stracili armię liczącą ponad 900 ludzi. Następstwem tego zwycięstwa była powrotna migracja wielu osadników germańskich.

Mniej więcej dwadzieścia lat później, prawdopodobnie w roku 537, królestwo Artura upadło, a on sam zginął podczas wojny domowej. Upadek Artura stanowił preludium do ostatecznego triumfu germańskich osadników w nizinnej Brytanii. O co toczyła się wojna domowa? Z pewnością istotną rolę odgrywały kwestie religijne. Gildas, co znamienne, choć odwołuje się do tych wewnętrznych sporów, ani razu nie wymienia imienia Artura; zupełnie jakby świadomie pomijał jego istnienie, wręcz starał się je zataić. Gildas nie pisał wszak bezstronnej kroniki historycznej, ale polityczno-religijną diatrybę, utwór o charakterze propagandowym i moralistycznym. Żył w czasach Artura – zmarł

około roku 570. Jak wspomina jego biograf, Gildas odbył dysputę z Arturem, którego nienawdził. Rzecz jasna, był zdecydowanym rzecznikiem chrześcijańskiej ortodoksji, w każdym razie takiej, jak ją pojmował (Brytania nie miała już wtedy kontaktu z Rzymem). Wydaje się dość prawdopodobne, że Artur, już jako zwierzchnik królów Brytanii, przeszedł na pozycje wyspiarskiego nacjonalizmu, którego podstawą teoretyczną były koncepcje Pelagiusza. Fakt, że Artur ruszał do boju pod sztandarem Maryi Dziewicy, nie miał większego znaczenia dla Gildasa, który uważał go nie tylko za heretyka, ale i zdrajcę. Możliwe, że żona Artura została przy ortodoksji; istnieje tradycja, zgodnie z którą Artur udał się na jej poszukiwanie do klasztoru w Glastonbury, gdzie się schroniła lub, być może, została uwięziona. Niewykluczone, że właśnie tam lub gdzieś w pobliżu Artur został zamordowany i może nawet tam go pochowano. Jego kariera wskazuje wyraźnie, że wpływy obu stronnictw w nizinnej Brytanii wciąż były dość wyrównane, być może nawet zbyt wyrównane, by któraś ze stron mogła ustąpić przeciwnej, toteż w efekcie wspólnym wysiłkiem doprowadziły państwo Brytów do upadku*.

Tradycje arturiańskie przetrwały i rozpowszechniły się głównie na terenach „celtyckich obrzeży” Brytanii. Nie zwróciły większej uwagi Anglosasów, natomiast szybko podbiły wyobraźnię Normanów, którzy rzeczywiście odczuwali pewne pokrewieństwo z brytyjskimi Celtami w swej nienawiści wobec szczepów angielskich. Normanowie zanieśli legendę Artura na kontynent, a dzięki Geofreyowi z Monmouth, genialnemu propagandyście literackiemu, oraz – jak na ironię – serii zbiegów okoliczności Artur stał się pierwszym kulturalnym towarem eksportowym Anglii. Na fali nastrojów antyfrancuskich, jako król ze średniowiecznego rycerskiego romansu, zajął miejsce Karola Wielkiego – postaci o wiele lepiej udokumentowanej historycznie. Kontynentalny debiut Artura odnotowujemy w Modenie, gdzie przedstawiono króla i jego rycerzy na portyku północnych drzwi katedry, z pewnością nie później niż w roku 1120. Postać Artura występowała w niezliczonych dziełach sztuki na terenie całej Europy: we Francji, Niemczech, Irlandii, Grecji, Skandynawii, Szwajcarii, Hiszpanii, Portugalii, na Cyprze i na Sycylii. Krzyżowcy powieźli go do Bejrutu i na Bliski Wschód. Każde pokolenie najwyraźniej miało coś nowego do powiedzenia na jego temat. Za Edwarda III stał się inspiracją dla natchnionego kręgu Rycerzy Podwiązki, swoistej formy męskiego stowarzyszenia – pod koniec średniowiecza szeroko naśladowanej nawet przez angielską klasę średnią – która z biegiem czasu przekształciła się w typowo angielską instytucję klubu. Rycerze Artura

* Niewykluczone, że Artur był człowiekiem gwałtownym i brutalnym; jego imię mogło znaczyć „nieokrzesany” (*bearish*). Do nowszych prac na temat Artura, o charakterze popularnym, należą: Geoffrey Ashe, *From Caesar to Arthur*, London 1960; Christopher Hibbert, *The Search for King Arthur*, London 1970.

znalezli miejsce na kartach poezji Dantego, a on sam, wspaniale oddany w brązie wedle projektu Dürera, strzeże grobowca cesarza Maksymiliana w Innsbrucku. Artur okazał się wręcz aktywniejszy po śmierci niż za życia. Kościół rzymski nieustannie gromko potępiał mit Okrągłego Stołu; być może za sprawą długiej pamięci, być może instynktownie zgadywał, że Artur był heretykiem. Tak czy inaczej, to właśnie do legend arturiańskich, a zwłaszcza do przekonania, że Artur władał brytyjskim imperium odrzucając uległość wobec Rzymu, odwołał się Henryk VIII poszukując amunicji historycznej w swojej walce z papieżem.

Prawdziwy sukces Artura polegał jednak na tym, że opóźnił, a nawet na pewien czas odwrócił, proces germańskiego osadnictwa na wyspie. Miało to ważne konsekwencje, ponieważ dzięki temu Brytowie nie zostali całkowicie wymordowani ani wypędzeni z nizinnej części Brytanii. To prawda – ich kultura zniknęła niemal bez śladu. Wprawdzie jako naród skolonizowany odrzucili rzymską cywilizację najeźdźców, ale przez stulecia niewoli zatracili w znacznej mierze własną kulturę celtycką, której wyższe warstwy brytyjskiego społeczeństwa nie były w stanie skutecznie wesprzeć, i w efekcie zostali zmuszeni do przyjęcia obcej religii. Natomiast pokolonialne dzieje Brytanii były zbyt burzliwe i krótkie, aby w tym okresie zdążył się odrodzić lub wykształcić jakiś wyraźnie odrębny styl życia rdzennej ludności. Tymczasem kultura przywieziona przez germańskich osadników, choć skromna i prosta, obejmowała wszystkie dziedziny życia. Nic więc dziwnego, że ludność wyspy przejęła sposób życia germańskich najeźdźców, ich prawa, obyczaje i skłonności, organizację polityczną i metody walki, religię, sztukę, rzemiosło i postawy, a zwłaszcza metody i formy uprawy ziemi. W Galii nazwy gallo-rzymskich posiadłości przetrwały do dziś jako najpospolitszy element w nazewnictwie wsi francuskich. W Brytanii, nawet w Kent, gdzie zachowały się inne elementy ciągłości, granice i nazwy posiadłości zniknęły bez śladu – w obrębie rolnictwa nastąpiło całkowite zerwanie z przeszłością. Anglosaskie dwory z późniejszego okresu nie zachowały żadnych namacalnych związków z przeszłością Brytanii rzymskiej. A równocześnie przetrwało wielu Brytów, choć głównie w najniższych warstwach społeczeństwa. Żyli na terenach górzystych, w lasach i na moczarach. Natrafiamy nawet na pewne niktę ślady ich egzystencji. W rejonie Humber i Wessex można, na przykład, napotkać niektóre ich imiona; nazwiska około dwudziestu udaje się wyśledzić w *Domesday Book*, późniejszej o siedem wieków. Jedna z anglosaskich rodzin królewskich weszła nawet, jak się wydaje, kilka razy w związki małżeńskie z Brytami – przykład zapewne naśladowany przez Sasów skromniejszego rodu. Prawa ustanowione przez królów Wessex – Ine i Alfreda – wyróżniały w systemie społecznym odrębną klasę „Walijczyków”, czyli Brytów: nie tylko walijskich niewolników, ale także Walijczyków posiadających do 5 *hides* [*hide* – łan, około 120–140 akrów, w zależności od hrabstwa] ziemi, z *wergildem* [głównszczyzną] wysokości 600 szylingów, oraz trzy inne kategorie wolnych Walijczyków.

Większość Brytów, zmieniona w wiejskich niewolników, całkowicie zatraciła wszelkie poczucie kulturalnej i narodowej odrębności. Mimo to bez wątpienia i oni wnieśli swój wkład w ukształtowanie się narodu Anglików; dzięki nim łatwiej wyjaśnić, dlaczego Anglicy stali się właśnie tacy, a nie inni. Brytowie stanowili ludzki pomost między odległą przeszłością i przyszłością Anglii.

Rozdział II

Jedność, stabilność, ciągłość

600–1154

Jesienią roku 663 grupa wybitnych osób, kobiet i mężczyzn, zebrała się w opactwie Whitby, w Yorkshire, aby podjąć decyzję o doniosłym znaczeniu dla przyszłości Anglii. Społeczeństwo angielskie wciąż jeszcze znajdowało się we wczesnej fazie rozwoju; jedyną trwale istniejącą instytucją, która umożliwiała upowszechnianie umiejętności czytania i pisania, a tym samym szerzenie cywilizacji, był Kościół. On też odgrywał główną rolę w procesie zmierzającym do zniesienia organizacji plemiennej kraju. Pytanie brzmiało jednak: który Kościół? Albowiem na wyspie działały w istocie dwa. Celtycki Kościół Walii, Szkocji i Irlandii, odkąd po roku 455 utracił kontakt z Rzymem, poszedł własną, odrębną drogą rozwoju. Innego dnia obchodzono w nim Wielkanoc, inny był kształt tonsury kapłanów, odmienne praktyki liturgiczne. A co ważniejsze, Kościół ten zachował odrębną formę organizacyjną, opartą na wiejskich monasterach, a nie miejskich biskupstwach. Skoncentrowany na praktykach ascetycznych, w oderwaniu od spraw ziemskich, był antyhierarchiczny i pełen pogardy dla doczesnej strony życia religijnego. Mnisi celtyccy woleli kamienne cele w pustelniach niż wielkie bazyliki i przedkładali umartwienia nad triumfalistyczne rytuały. Wciąż żywe były tu wyspiarskie tradycje pelagianizmu; znaczną rolę w kształtowaniu Kościoła celtyckiego odgrywały miejsca i ludzie, którym te tradycje były bliskie.

Z drugiej strony był natomiast Kościół rzymski, reprezentujący uniwersalistyczny porządek późnego Cesarstwa, ze swą organizacją biskupstw opartą na starej sieci rzymskich miast i administracji prowincji, skąd wszystkie nici biegły w stronę najwyższego autorytetu Wiecznego Miasta. Ceremonie Kościoła rzymskiego, jego szaty i budowle były niczym echo przepychu i wielkości Cesarstwa, a zasada hierarchii i zdyscyplinowania wspierała ideę dominacji świa-

towej teokracji, oddającej ostatecznie pełnię władzy w ręce jednego człowieka – namiestnika Chrystusa Imperatora na ziemi. Kościół rzymski wciąż przemawiał w imieniu Cesarstwa. Brytania zerwała więzi łączące ją z imperium już 250 lat wcześniej; w tym czasie kontynentalny korpus rzymskiego świata skutecznie wchłonął kolejne fale germańskich najeźdźców, narzucając przybyszom swą cywilizację i język. Dopiero przed kilkunastu laty jego miękkie podbrzusze, w rejonie Morza Śródziemnego, gwałtownie rozdarła nowa, wschodnia potęga religijna – islam. W Galii Merowingów miejska cywilizacja rzymska – zdominowana przez ludy mówiące językami romańskimi – wciąż stanowiła podstawę społeczeństwa. Myśl o przywróceniu chrześcijańskiemu Cesarstwu Zachodniemu jego dawnej świetności i przyłączeniu utraconej prowincji, Brytanii, nie była więc wcale taka niedorzeczna.

Nizinna Brytania, podbita przez Angłów, Sasów i Jutów – z biegiem czasu coraz częściej zwana przez jej mieszkańców Anglią – stała się tym samym polem ideologicznej batalii. W przypadku triumfu chrześcijaństwa celtyckiego Kanał stałby się z konieczności barierą nie tylko polityczną i militarną, jak dotychczas, ale także kulturalną i religijną. W efekcie cała Brytania przestałaby być częścią Europy. Z drugiej strony, gdyby wyspa dostała się pod panowanie rzymskiego chrześcijaństwa, świat celtycki czekała utrata autonomii i stopniowe wejście w koleiny wzorców europejskich. Konkretny problem, jaki należało rozstrzygnąć w Whitby, polegał na wyznaczeniu daty Wielkanocy – w istocie jednak ten czy inny werdykt pociągał za sobą wszystkie wspomniane konsekwencje. Rzym wyciągnął już jedną mackę w stronę Anglii 70 lat wcześniej: pod wodzą Augustyna wysłano na wyspę ekspedycję z zadaniem założenia dwu chrześcijańskich diecezji, w Londynie i Yorku – na wzór dawnych podbojów imperium. Wyprawa zakończyła się jednak umiarkowanym sukcesem, gdyż natrafiła na wiele przeciwności. Ostatecznie kwaterę główną rzymskiego chrześcijaństwa założono w Canterbury – jedynym ośrodku w Brytanii, w którym zachowała się ciągłość życia miejskiego do czasów angielskich. Próba nawrócenia przez Rzym Northumbrii zakończyła się katastrofą i chrześcijaństwo zostało tam ostatecznie zaprowadzone przez mnichów z Iony, głównego ośrodka chrześcijaństwa celtyckiego. W wielu rejonach wyspy misjonarze rzymscy i celtyccy wpadali teraz na siebie, niczym Anglicy i Francuzi w afrykańskim buszu pod koniec XIX wieku.

Sytuacja była więc dość skomplikowana, a siły na synodzie w Whitby – wyrównane. Przeorysza Hilda była zwolenniczką opcji celtyckiej, podobnie jak jej kuzyn, król Oswui, oraz biskup Colman, kościelny zwierzchnik tego regionu. Colman, który był uczniem najwybitniejszego misjonarza celtyckiego, św. Aidana, występował jako rzecznik strony celtyckiej. Partia internacjonalistów była jednak także bardzo mocna. Należeli do niej dziekan James, bezpośredni uczeń członków pierwotnej misji Augustyna, biskup Agilbert z Wessex, który ostatecznie doszedł do godności biskupa Paryża, oraz syn króla, jego przyszły

następcą. Rzecznikiem tej strony był Wilfred, młody, bezwzględny i entuzjastyczny zwolennik kultury romańskiej, który spędziwszy pięć lat na studiach w Italii oraz Galii, kierował obecnie ośrodkiem w Ripon. Dyspucie przewodniczył król, który ostatecznie opowiedział się po stronie Rzymu. Argumenty, jakie padły podczas debaty, dotarły do nas wyłącznie w przekazach strony rzymskiej i są sformułowane w technicznym języku kontrowersji teologicznej. Jednakże decydujący wpływ na decyzję królewską musiało wywrzeć, jak się wydaje, namiętne przekonanie Wilfreda, że Anglia, dzika wyspa na peryferiach świata, nie może odciąć się od europejskich źródeł cywilizacji i postępu; w przeciwnym razie skazywałaby się bowiem na słabość i stagnację. Król podjął więc w istocie decyzję o charakterze świeckim: uznał, że należy zachować więzy łączące Anglię z kontynentem.

Mimo to decyzja podjęta w Whitby była na wskroś angielska: niewyraźna, nie całkiem konsekwentna, obłożona licznymi zastrzeżeniami, a jej interpretację i realizację poddano wpływowi lokalnych warunków i ograniczeń. W sumie: konstruktywny kompromis lub – jeśli kto woli – bałagan, ale bałagan z rodzaju tych, jakie Anglicy potrafią z niezwykłym talentem kreować na własne potrzeby. Biskup Colman wrócił na Ionę pokonany. Celtyckie chrześcijaństwo utrzymało się jednak na północy i zostało łagodnie włączone w obręb nowego, angielskiego wzorca. Opactwo Colmana na Lindisfarne kwitło. Św. Cuthbert, uczeń jednego z pierwszych uczniów Aidana, stał się jedną z najbardziej wpływowych postaci Kościoła angielskiego. Formalnie przyjęto rzymski wzór organizacyjny biskupstwa, który z biegiem czasu rozszerzono na teren całej Anglii, a Kościół celtycki podporządkował się nowej strukturze. Aby wzmocnić swoje – jak mniemał – zwycięstwo, Rzym wysyłał do Anglii znaczące postaci o międzynarodowej sławie: Teodora z Tarsu i Adriana z Afryki Północnej. A jednak Kościół, jaki wyłonił się z tej reformy, był w istocie tworem *sui generis* – powstały Kościół Anglii przejął pewne elementy świata celtyckiego i świata rzymskiego, stapiając je w lokalną, narodową kompozycję o nowym, swoistym zabarwieniu. Plany Rzymu dotyczące struktury organizacyjnej diecezji angielskich nigdy nie zostały zrealizowane do końca; organizacja, która ostatecznie powstała, miała w znacznym stopniu przypadkowy charakter.

Tym samym pokrzyżowano plany Wilfreda dotyczące odtworzenia w Anglii państwa na wzór rzymsko-chrześcijański. Współczesny mu celtycki biskup Cuthbert cieszył się w całym kraju powszechnym szacunkiem, podczas gdy Wilfred dorobił się złej sławy i dwukrotnie usunięto go nawet z dworu w Northumbrii – jak na angielski gust, zbyt głęboko utożsamiał się z tradycją kontynentalną. Nazywał ostentacyjnie przywiązywał wagę do doczesnej strony religii. Znany z kumulowania beneficjów i gromadzenia bogactw, otaczał się ogromnym dworem i starał się odgrywać dominującą rolę zarówno w sprawach kościelnych, jak świeckich. Pokonany, zainicjował niebezpieczną praktykę odwoływania się do

autorytetu Rzymu, stając się pierwszym z szeregu wielkich dostojników kościelnych uwikłanych w wyczerpujące spory, a jego poczynania niemal do śmierci utrzymywały Kościół angielski w stanie wrzenia. To prawda, że dzięki niespożytej energii zdołał nawrócić pogan z wybrzeża Frygii, Sussex i na wyspie Wight oraz umocnić panowanie chrześcijaństwa w Mercji, ufundował wiele pięknych kościołów i wprowadził wspaniałe, bogate ceremonie. Jednakże bezkrytyczny podziw, jaki żywił dla wzorów rodem z kontynentu, budził niesmak zarówno kleru, jak ludzi świeckich; nawet stary arcybiskup Teodor, Grek z pochodzenia, dobrze rozumiał, że ekstremizm Wilfreda nie pasował do angielskich realiów. Mimo swoich talentów i energii Wilfred nigdy nie został głową Kościoła na wyspie i w sumie jego wpływy były dość ograniczone. Dzięki gorączkowym zabiegom propagandowym swego biografy, Eddiusa Stephanusa, został kanonizowany, ale w przeciwieństwie do Cuthberta nigdy nie stał się obiektem powszechnego uwielbienia. Wilfred pozostał więc przykładem wybitnej postaci związanej z przewijającą się przez całe dzieje Anglii tradycją kontynentalizmu.

Niemal dokładnie siedemdziesiąt lat po synodzie w Whitby historyk Beda zaczął pisać długi, wnikliwy list do swego ucznia Egberta, wówczas arcybiskupa Yorku. W tym okresie konstruktywny kompromis z Whitby, stapiający celtyckie i rzymskie elementy w jeden nurt angielskiej tradycji, zaowocował niezwykłym rozkwitem kulturalnym w północno-wschodniej Anglii; postać Bedy i jego dzieło stanowiły najpełniejsze ucieleśnienie tego procesu. Przy tym Beda stanowił przykład zupełnie nowego zjawiska – postaci cywilizowanego Anglika – i choćby dlatego warto poświęcić mu nieco więcej miejsca. Beda utożsamiał wszystkie zalety nowego angielskiego Kościoła: tolerancję, umiar, naukową dociekliwość i precyzję oraz poszanowanie dla prawdy, a także należyty stopień uduchowienia stonowanego domieszką zdrowego rozsądku. Jego życie układało się szczęśliwie. Powstanie silnego królestwa Northumbrii, zbiegające się z zażegnaniem wewnętrznych sporów w Kościele, zaowocowało gwałtownym rozwojem życia monastycznego na wzór rzymski, rozwijającego się na równi z życiem starych klasztorów celtyckich, jak opactwo na Lindisfarne. W roku 674 Benedykt Biscop, opat klasztoru Św. Piotra w Canterbury, ufundował rzymski klasztor w Wearmouth, a w następnej dekadzie podobny przybytek w Jarrow. Biscop przywiózł z Rzymu załączek klasztornej biblioteki, wzbogaconej przez jego następcę; w czasach Bedy biblioteka w Jarrow stanowiła jedną z najbogatszych kolekcji w północno-zachodniej Europie. W latach największego rozkwitu oba klasztory zamieszkiwało ponad 600 mnichów, w tym wielu wybitnych uczonych, rzemieślników i artystów. Beda przybył do Jarrow jako jedenastolatek, sierota z dobrego domu, i pozostał tam do końca swych dni. Tylko dwa razy w życiu opuścił klasztor, przerywając tę wyspiarską egzystencję – raz pojechał do Yorku, innym razem z braterską wizytą na Lindisfarne, gdzie uwieczniono

jego imię w *Liber Vitae*. Kulturalna atmosfera w Jarrow miała jednak charakter kosmopolityczny. Utrzymywano przyjazne stosunki z Lindisfarne; Beda osobiście napisał godny uwagi żywot Cuthberta, jednego z najwybitniejszych synów celtyckiego sanktuarium. Częste kontakty z Galią i Rzymem owocowały odwiedzinami licznych gości. Beda mógł więc czerpać z obu kultur, łacińskiej i celtyckiej, sam będąc spadkobiercą trzeciej – angielskiej. Pisał prostą i czystą łaciną, znał grekę i nawet odrobinę hebrajskiego. Za pośrednictwem ksiązek przyswoił sobie całą ówczesną wiedzę dostępną w Europie Zachodniej, a jego własne prace obejmują bardzo szeroki krąg zagadnień.

Beda poświęcił się głównie komentarzom do tekstów biblijnych i przekładaniu świętych tekstów na angielski – ale nie tylko. Pisywał także biografie, kroniki, hymny, epigramaty, homilie oraz traktaty naukowe i gramatyczne. Fascynowała go chronologia – poświęcił jej dwa traktaty, z których drugi, ważniejszy, ukończony w roku 725, nosi tytuł *De Temporum Ratione*. Beda zastosował w nim metodę datowania wprowadzoną w VI stuleciu przez Dionizjusza Exiguusa, która polegała na liczeniu lat od narodzin Chrystusa. Taki sposób datowania był w ówczesnej Europie Zachodniej kompletnie nieznanym; w Anglii po raz pierwszy usłyszano o nim, gdy Wilfred wyjaśniał jego sens na synodzie w Whitby. Na szerszą skalę zaczęto się nim posługiwać jednak dopiero dzięki upowszechnieniu traktatu Bedy. Manuskrypt w szybkim tempie zawędrował na kontynent, gdzie skopiowano go po wielokroć w licznych klasztorach, dzięki czemu to właśnie Bedzie przypadła rola spopularyzowania nowoczesnego sposobu datowania na Zachodzie. Zresztą wszystkie prace Bedy wędrowały za granicę; stał się pierwszym od czasów Pelagiusza brytyjskim uczonym, który wpłynął na rozwój myśli poza macierzystą wyspą*.

Prawdziwe znaczenie Bedy polegało jednak na tym, że przyczynił się do powstania odrębnej, angielskiej świadomości narodowej. Cechowało go bowiem głębokie, choć subtelne i nie narzucające się poczucie patriotyzmu i dumy narodowej; podziwiał królewski ród Northumbrii i jego osiągnięcia, kochał Angli-

* Beda nie miał jednak szczęścia do Anglików. Z powodu braku silniejszych nacisków ze strony angielskiej Rzym zwlekał z jego kanonizacją aż do roku 1899 i nawet dziś obdarza się Bedę groteskowym tytułem *venerable* (czcigodny), którego używa się za życia wobec wszystkich archidiaconów anglikańskich. Doczesne szczątki Bedy także nie zaznały spokoju. Już w początkach XI wieku niejaki ojciec Alfred, zawodowy złodziej relikwii, zabrał jego kości z Jarrow do Durham. Ponownie odkryto je w 1104 r. w trumnie św. Cuthberta i umieszczono w osobnej szkatule ze srebra i złota, ale w 1541 r. w szale reformacji zostały wyrzucone z kościoła przez jakiegoś gorliwego ignoranta. Po upadku staroangielskiego państwa prace Bedy bardziej niż we własnym kraju ceniono na kontynencie; pierwsze wydanie drukiem pojawiło się w Strasburgu i Mediolanie w roku 1473. Chociaż stanowił uosobienie anglikańskiego umiaru, bezmyślni angielscy protestanci uznali go za ciemnego papistę. Dzieła zebrane Bedy wychodziły w Paryżu (1544–1545), Bazylei (1563) i Kolonii (1612), podczas gdy w Anglii dopiero w 1843–1844. Ostatnio interesujące studium poświęcił mu Peter Hunter-Blair: *The World of Bede*, London 1970.

ków i ich język, a także darzył głębokim uczuciem ich Kościół, o stuletniej już historii. Wszystkie wspomniane uczucia znalazły wyraz w jego *Historia Ecclesiastica Gentis Anglorum*, którą ukończył około roku 731. Prawdopodobnie jest to najwybitniejsze dzieło całego okresu „ciemnych wieków”, a jako naukowa praca historyczna pod pewnymi względami przewyższa wszystkie dokonania starożytności. Beda nie tylko opanował niezbędne umiejętności krytyczne profesjonalnego historyka, ale zadawał sobie trud, by je sumiennie wykorzystał. Rozumiał naturę świadectw, konieczność oceny źródeł oraz podstawowe znaczenie oryginalnych dokumentów. Słał prośby do Rzymu o kopie listów z papieskiego archiwum, a następnie przytaczał otrzymane odpisy. Przetrzęsał biblioteki w poszukiwaniu właściwych materiałów, które następnie wykorzystywał nader selektywnie i z rozwagą. Zbierał informacje ze wszystkich zakątków Anglii; rozmawiał ze starymi ludźmi, którzy osobiście brali udział w opisywanych przezeń wydarzeniach, sięgał do tradycji rodzinnych i lokalnych. Dzięki tym zabiegom relację Bedy ożywia intensywność barwy i detalu, zwykle dostępna jedynie naocznym świadkom wydarzeń. Cechowała go pokora prawdziwego uczonego, dla którego jedynym celem jest prawda. Przedstawiał swoim informatorom, takim jak na przykład król Ceolwulf, próbne wersje swej relacji i uwzględniał ich korekty dotyczące faktów. Beda nie ukrywa przed czytelnikiem, że w jego materiałach istnieją poważne luki, i wyraźnie zaznacza, kiedy jego twierdzenia opierają się na wątpliwych świadectwach. Obdarza czytelnika zaufaniem, dzięki czemu sam budzi zaufanie. Nic więc dziwnego, że kolejne pokolenia Anglików, zwłaszcza odkąd król Alfred przełożył jego dzieło na angielski, czytając Bedę czuły, że obcują z autentycznym zapisem własnej historii, prawdziwą i rzetelną relacją z wydarzeń, które sprawiły, że Anglia i Anglicy są dziś tym, czym są*.

Co więcej, na relacjach i analizach Bedy wycisnęło się piętno jego nieprzeciętnej osobowości. Widział, że Anglicy są narodem zdolnym do wielkich osiągnięć, ale równocześnie podatnym na różne szaleństwa. Opowiadał więc nie tylko o tym, co się wydarzyło, ale także co mogło się wydarzyć, gdyby Anglicy nauczyli się panować nad swymi słabościami i pielęgnować zalety. Był nie tylko wielkim uczonym, ale też człowiekiem pełnym dobroci, obdarzonym wyrazistym charakterem. Ze wzruszeniem widzimy, jak pod koniec swego arcydzieła nieśmiało włącza garść informacji o swoim życiu i wymienia książki, które napisał. Potrafił także wybuchać gniewem, gdy w jawnie kłamliwy sposób oskarżono go o szerzenie herezji w jednym z traktatów poświęconych chronologii: w liście skierowanym do swego arcybiskupa nazywa oszczerców „pijanymi

* Beda był pierwszym mieszkańcem wyspy, który myślał o sobie jako o Angliku. W swych pismach przekracza granice podziałów plemiennych i wprowadza pojęcie „Anglii” jako tworu politycznego oraz „Anglików” jako grupy etnicznej. Por. wykład J. D. A. Ogilvy: *The Place of Wearmouth and Jarrow in Western Cultural History*, Jarrow 1968.

prostakami". Z natury był jednak łagodny i skromny. Możemy być pewni, że jeśli nie piastował żadnego wysokiego stanowiska, to tylko dlatego, iż sam tego nie pragnął. Pogodny i tolerancyjny, jako historyk starał się zawsze – kierowany tyleż instynktem, co zawodowym treningiem – dostrzegać jasne i ciemne strony każdego zagadnienia. Twierdził na przykład, że jego ulubieni Northumbryjczycy popełnili błąd atakując Irlandię – oceniał to jako godny pożałowania akt agresji. Starał się głosić przesłanie pokoju i kompromisu. Uważał więc, że oba Kościoły, celtycki i rzymski, mają swoje zalety. W potężnej organizacji, jaką jest Kościół, musi być dość miejsca i dla Cuthberta, i dla Wilfreda. Nawet heretyk mógł, jego zdaniem, postępować cnotliwie i nie powinno się go pozbawiać wszelkich praw. Choć sam był mnichem, w uderzający sposób był wolny od agresywnego poczucia wyższości, tak często spotykanego wśród jego współbraci. Niemniej nie tylko uznawał, ale wręcz domagał się prawa kleru świeckiego i hierarchii do należytego szacunku. Zdaniem Bedy, należy dążyć do łagodzenia sprzecznych opinii, a dyskusja ma zawsze prymat nad siłą i powinna prowadzić do kompromisu. Tylko w ten sposób można liczyć na postęp cywilizacji. Łatwo uwierzyć, że otaczała go głęboka miłość tych, którzy go znali. Sławna relacja jego ucznia, Cuthberta, z ostatnich godzin życia Bedy, zgodnie z którą do końca siedział wyprostowany w łóżku, dyktując ostatnie wersy przekładu Ewangelii według św. Jana, jest zapewne wytworem fantazji, który miał służyć budującym celom, lecz mimo to brzmi przekonująco. Podobnie pasuje do jego charakteru opowieść o tym, jak to nieraz łajał swego skrybę, żeby pisał szybciej, napominając tym samym tych współczesnych historyków, którzy obawiają się przelać swe myśli na papier, a także scena, gdy leżąc na łożu śmierci rozdawał swe nieliczne dobra osobiste – atrament, papier do pisania – wśród młodych mnichów zebranych w jego celi.

Beda to jednak nie tylko łagodny uczony starzec; to także przenikliwy obserwator współczesnych wydarzeń: starał się być zawsze dobrze poinformowany i nigdy nie wahał się wydawać zdecydowanych sądów na temat biegu wypadków. Gdy zasiadał do długiego listu do arcybiskupa Egberta, czuł, że zbliża się już do kresu życia i że w istocie pisze religijny i polityczny testament starego i doświadczonego historyka, spoglądającego z miłością na społeczeństwo, o którego losy się lękał. Udzieliwszy arcybiskupowi wielu szczegółowych, praktycznych porad na temat zarządzania północną prowincją, Beda przeszedł do swoich obaw związanych z pewnymi wydarzeniami w Northumbrii. Kościół angielski przeżywał w ciągu tego pierwszego stulecia okres bujnego rozwoju, a świecki patronat nad ruchem monastycznym umożliwiał rozkwit i krzewienie się cywilizacji. Jednak już w tym procesie tkwiły załączki późniejszego upadku. Zbyt wiele powstaje – powiadał Beda – pseudoklasztorów fundowanych przez możliwe rody i królewskich dostojników po to tylko, aby uzyskać wyłączenie swych ziem spod ciężaru podatków i innych powinności wobec państwa. Taka

praktyka, prócz uszczuplania skarbu o nie zapłacone podatki, miała także nie-dobre następstwa społeczne. Szkodziła Kościołowi, gdyż takie klasztory psuły mu reputację, ale jeszcze gorsza była dla państwa, ponieważ w tej sytuacji młodzi ludzie, którzy powinni tworzyć kadry armii, nie mieli szans na posiadanie ziemi ani założenie rodziny i w efekcie musieli szukać szczęścia za granicą. List Bedy pozwala lepiej zrozumieć przyczyny upadku królestwa Northumbrii. Beda, jak widać, był przekonany, że właściwie rozumiane interesy Kościoła i państwa są zbieżne, a zatem wykorzystywanie jednego na rzecz drugiego może się skończyć fatalnie dla obydwu. Dobrze rozumiał, że źródłem siły staroangielskiego społeczeństwa była zdolność harmonijnego współzycia Kościoła i państwa. Państwo wspierało swym autorytetem doktryny Kościoła i gwarantowało jego byt materialny; Kościół ze swej strony powinien więc wzmacniać autorytet i skuteczność funkcjonowania państwa; tędy wiodła droga do postępu społeczeństwa jako całości.

I, oczywiście, miał rację. Anglia była pierwszym krajem, który stworzył silny i cywilizowany, oparty na stabilnej podstawie ośrodek władzy centralnej, i ten fakt leży u podłoża całej późniejszej pomyślności Anglii. Takiego silnego ośrodka dotkliwie brakowało pokolonialnemu państwu Brytów i takie właśnie państwo potrafili stworzyć dopiero Anglicy, dzięki czemu Wilhelm I odziedziczył najstarszą i najsilniejszą monarchię w Europie. Warunkiem tego sukcesu był fakt, że na wyspie narodowy Kościół, utożsamiając swoje interesy z interesem ogółu, wsparł instytucję monarchii cieszącą się masowym poparciem społeczeństwa. Właściwe historykowi spojrzenie w długiej perspektywie pozwalało jednak Bedzie dostrzegać także i to, że procesowi temu daleko było jeszcze do zakończenia. Widział słabości swego kraju i – być może niedoskonalnie – dostrzegał też, że kluczem do nieskrępowanego rozwoju Anglii było systematyczne wykorzystywanie bogactwa, jakie stanowiła ziemia.

Dotykamy tu pewnej, słabo na ogół rozumianej, kwestii związanej z narodzinami angielskiego społeczeństwa. Patrząc wstecz na dzieje Anglii, z punktu widzenia ostatnich dziesięcioleci XX wieku, zbyt duże znaczenie przywiązujemy do rozwoju potęgi morskiej i morskiego handlu jako podstawowej siły napędowej jej osiągnięć. Anglicy istotnie potrafili w wyjątkowy sposób wykorzystać morze do zdobycia bogactwa, potęgi i wpływów. Jednak siła Anglii, będąca podstawą tej ekspansji, leżała w ziemi oraz w tym, że potrafili oni stworzyć system polityczny i społeczny stale pobudzający rozwój rolnictwa. W czasach przedkolonialnych, w stuleciu poprzedzającym rzymską okupację, rolnictwo na terenach nizinnej Brytanii przeżywało okres gwałtownego rozwoju. Kolonizacja rzymska zwolniła i zahamowała ten proces, a być może doprowadziła nawet do stagnacji i upadku, jako że Brytania znalazła się wówczas w obrębie imperium zorientowanego na życie miejskie. Imperium rzymskie nie potrafiło jednak wykorzystać technologicznych i gospodarczych możliwości kultury miejskiej

i w efekcie musiało czerpać środki na finansową ochronę swego bezpieczeństwa i cywilizacji z pełnego marnotrawstwa użytkowania ziemi. Uwolnieni od ciężaru imperium, mieszkańcy nizinnej Brytanii na nowo mogli podjąć dzieło pełnego wykorzystywania jej zasobów. Celtyccy Brytyjczycy odrzucili rzymską ideę życia miejskiego; nie lubili miast i korzystali z nich jedynie w celach praktycznych. Nowi przybysze z Niemiec i Danii wprost aktywnie miast nienawidzili. Wyjawszy Kent, gdzie osiedli także Fryzjczycy i Frankowie, którzy zdążyli zetknąć się już z cywilizacją rzymską, nastąpiło całkowite zerwanie ciągłości życia miejskiego. Anglicy wywodzili się z rasy mieszkańców lasów, a podstawą stosowanej przez nich technologii były topór, wół i ciężki pług. Podejmując dzieło belgijskich Celtów – z którymi byli spokrewnieni – osiedlili się w dolinach rzek i zabrali się do uprawy żyznych gleb nizinnej Anglii.

Jednak w czasach Bedy Anglia wciąż leżała w zasięgu przybrzeżnego prądu gospodarczych wpływów systemu kontynentalnego, które wygasły jeszcze przez kilka następnych stuleci. Aż do momentu gdy Arabowie rozbili jego południowe struktury i zamknęli Morze Śródziemne dla chrześcijańskiego handlu, Anglia stanowiła wciąż w znacznym stopniu część kontynentalnego systemu gospodarki morskiej. Osadnicy przybywali na wyspę w otwartych łodziach wiosłowych, bez masztów, żagli oraz kila umożliwiającego osadzenie masztu. Podoń zajmowała im do dwu miesięcy. Pogląd, że osiedlali się głównie z myślą o uprawie roli, jest jednak błędny. Znacznie szybciej można było zbudować bogate i silne państwo, korzystając z morza i morskich szlaków handlowych. Niemal dokładnie dziesięć lat przed synodem w Whitby żałobnicy oplakujący pogańskiego króla wschodniej Anglii wciągnęli za pomocą skomplikowanego systemu wałków z pni drzew na brzeg strumienia, nie opodal Sutton Hoo, olbrzymią łódź, którą przekształcili w cenotaf, pusty grobowiec swojego wodza. Ciało zginęło na morzu lub w bitwie, ale w łodzi umieszczono, przed zasypaniem jej piaskiem i ziemią, zestaw przedmiotów należących do zmarłego. Były to: królewski proporzec (Beda widział tego typu proporzec niesiony przed władcami Northumbrii), rzeźbione kamienne berło oraz wiele wyrobów, ze złota i srebra – między innymi wielki srebrny półmisek bizantyjski z cesarskim datownikiem, wiele zagranicznych wyrobów rozmaitego pochodzenia, obce monety oraz kilka pięknych przedmiotów zrobionych na wyspie, wyróżniających się wielkością i precyzją wykonania. Odkopanie skarbu w roku 1939 rzuciło zupełnie nowe światło na obraz władzy królewskiej i angielskiego społeczeństwa w połowie VII stulecia. Okazało się, że rozwijało się ono znacznie szybciej i w sposób o wiele bardziej imponujący niż wcześniej przypuszczano. Badacze jednak dopiero w ostatnich latach zaakceptowali pogląd, że tego typu regionalne społeczności były głównie wytworem kultury morskiej

i stanowiły lokalne potęgi morskie*. Bogactwo i kulturę zasadniczo zawdzięczały morskemu handlowi, wciąż stanowiły więc element rozpadającego się systemu kontynentalnego, miniimperium Zachodu, sięgającego aż po Morze Śródziemne. To, co można powiedzieć o wschodniej Anglii, odnosi się także do Kentu, królestw południowego wybrzeża i doliny Tamizy, a zapewne tym bardziej do Northumbrii. Cywilizacja, która wydała Bedę, zawdzięczała swą dynamikę morzu – dzięki niemu miała szlaki komunikacyjne, kontakty i bogactwa. Dopiero gdy w następstwie podbojów arabskich ostatecznie rozpadł się system gospodarczy odziedziczony po Cesarstwie Rzymskim, Anglicy przenieśli swe zainteresowania z morza w głąb lądu i odnaleźli prawdziwą podstawę rozwoju gospodarki w eksploatacji ziemi.

W roku 795 Offa, król Mercji, otrzymał nieprzyjemny list od cesarza Karola Wielkiego, jak ten ostatni zwykł się tytułować. Obaj władcy byli najpotężniejszymi monarchami w swym regionie, zwierzchnikami innych królów, i zwracali się do siebie z solenną powagą, jako równi sobie, choć Offa musiał nieco mocniej akcentować swą godność niż Karol. Między monarchami trwała, z przerwami, wojna handlowa i obaj okresowo zamykali porty dla statków drugiego kraju. Teraz Karol podsumował sytuację: jeśli Anglicy uskarżają się na jakość kamienia przysyłanego z Francji (prawdopodobnie z Tournai; używano go do budowy frontonów kościołów), to on także ma nie mniejsze prawo uskarżać się na wymiary przysyłanych z Anglii opony. Jak wiemy z innych źródeł, Karol nie znosił tych miniopon. Były zbyt krótkie, aby dobrze okryć go w łózkach czy skutecznie ochronić przed deszczem podczas jazdy konnej, a do tego, jak twierdził, sprawiły wiele kłopotów w ustępie. Powyższa korespondencja jest jednak uderzająca przede wszystkim jako świadectwo ubóstwa kontaktów handlowych między tak dużymi sąsiednimi krajami. Handel morski przestał odgrywać znaczącą rolę w gospodarce obu monarchii. Stary rzymski system gospodarczy załamał się i żaden nowy nie powstał na jego miejsce. Społeczeństwa VIII wieku zwracały się ku wnętrzu lądu, ku ziemi; podstawowym narzędziem postępu gospodarczego – w istocie wszelkiego postępu – w miejsce portu morskiego i rzeczno-stawiał się dwór i posiadłość ziemska. Proces ten z dużym większym natężeniem zachodził w Anglii, odgradzonej morzem od innych krajów kontynentu. Spotęgował izolację wyspy oraz przyspieszył i pogłębił proces kształtowania się odrębnego charakteru narodowego Anglików. Centrum władzy przesunęło się teraz ze społeczeństw południowego i wschodniego wybrzeża w głąb lądu, koncentrując się w rejonie Anglii środkowej (*midlands*).

* Najlepsza praca o charakterze popularnym, poświęcona wykopaliskom w Sutton Hoo i ich znaczeniu, to *Sutton Hoo, the Excavation of a Royal Ship Burial*, London 1963, autorstwa Charlesa Greena.

Toteż prawdziwe źródła narodu, jego instytucji, języka i stosunku do życia publicznego zawdzięczamy leżącemu w samym sercu Anglii królestwu Mercji.

Widomym znakiem zmiany była reforma systemu monetarnego. W miejsce złotych monet, jako obowiązującego środka wymiany, wprowadzono pieniądź srebrny. Nie świadczy to jednak wcale o upadku zamożności społeczeństwa, ale o zwycięstwie zdrowego rozsądku. Złoto stanowiło wygodny środek wymiany dla kupca prowadzącego handel z innymi krajami – dla bogacącego się farmera najlepsze było srebro. Złote monety bito w Brytanii już w czasach przedkolonialnych; na skalę lokalną powrócono do tej praktyki pod koniec VII wieku, była to jednak funkcja gospodarki skoncentrowanej na wybrzeżu, ostatni przejaw statusu pokolonialnego, w dzisiejszych terminach: neokolonializmu. Symbolem gospodarczej niezależności nowego angielskiego państwa był regularny srebrny pens (*penny*) o standardowej wadze 22 gramów, wypuszczony około roku 780 przez króla Offę. Nazwa monety, o nieznannej etymologii, pochodziła z niepamiętnych czasów, ale nowy pieniądź był od samego początku przedsięwzięciem zgoła nowoczesnym – zarówno w zamyśle, jak w realizacji. Pens króla Offy zachował swą jakość przez ponad 500 lat, stanowiąc podstawę późniejszych udoskonaleń. W X wieku Edwin z Wessex wprowadził praktykę ściągania wszystkich monet z obiegu i ponownego bicia, powtarzaną w regularnych odstępach czasu; obce monety przetapiano na krajowe, mennice dzierżawiono zawodowym mincerzom, którzy mieli obowiązek umieszczania swego imienia na rewersie, a kary za fałszowanie pieniądza były bardzo surowe i bezwzględnie egzekwowane. Dzięki temu Anglia miała pieniądź, którego mogliby jej pozazdrościć najpotężniejsi cesarze rzymscy. Funkcjonował jako uznany środek wymiany od Skandynawii po Bułgarię i stanowił wszechobecne, naoczne świadectwo stabilności i zamożności państwa Anglików. Purytański, pełen odpowiedzialności i oddania stosunek do własnego pieniądza był zawsze charakterystyczną cechą angielskiej świadomości publicznej.

Silny pieniądź był jednak tylko konsekwencją dwu znacznie głębiej zakorzenionych cech angielskiego społeczeństwa: traktowania ziemi jako podstawowego wskaźnika bogactwa i statusu społecznego oraz wyraźnych preferencji na rzecz istnienia silnej, skutecznej i uczciwej władzy państwowej. Budując państwo, które wyrażało te oczekiwania, Offa stworzył podstawy angielskiego życia publicznego. To doprawdy nieszczęście, że tak mało wiemy o nim jako człowieku; nowoczesna Anglia nikomu chyba nie zawdzięcza tyle co jemu. Choć, oczywiście, Offa budował na fundamencie wcześniejszych dokonań. Anglia zrodziła się ze szczęśliwego związku geografii i ludności wyspy, urodzajnej nizinnej gleby i ciężkiej pracy germańskich imigrantów. Anglia stworzyła Anglików – to ziemia ukształtowała ludzi. Angielscy osadnicy, choć dobrze pamiętali o swej germańskiej historii i tradycji, o wiele silniejszy związek czuli ze zdobytą ziemią.

Heroiczne legendy o podboju wyspy traktowali jak opowieści o dawnych dziejach, świąteczną rozrywkę; ich codzienność była zdominowana przez uprawę roli, a podbój, jakiego dokonali, miał zasadniczo charakter rolniczy, nie zaś militarny. Normanowie, przybywając na wyspę 500 lat później, stwierdzili, że „Anglicy o niczym tak wiele nie myślą jak o uprawie swych ziem”. Ich przodkowie byli przedsiębiorczymi i pracowitymi rolnikami w Germanii; teraz, w Anglii, energicznie wykorzystali zastane warunki. Odrzucili stosowane przez Brytów sposoby uprawy. Wyzaczyli po swojemu granice pól i wsi, wprowadzili własne metody produkcji rolnej, oparte na współdziałaniu całej wiejskiej społeczności. Podstawą tej techniki, a tym samym najważniejszym jednostkowym czynnikiem wpływającym na kształt staroangielskiego społeczeństwa, był więc zaprzęg do ośmiu wołów ciągnących ciężki pług. Wspólnym wysiłkiem uprawiano w ten sposób rozległe, otwarte pola, często o powierzchni ponad 100 akrów. Nizinne gleby wymagały ciężkiego pługa i silnego zaprzęgu kilku zwierząt. Jednak niewiele osób miało cały zaprzęg, a równocześnie taki zestaw osiągał maksimum wydajności przy obróbce ogromnych pól, które można było orać pasmowo. W ten sposób podstawowe jednostki miary własności ziemi i bogactwa zostały wyznaczone przez operacyjne potrzeby zaprzęgu. Akr stanowił powierzchnię pola, jaką jedna rodzina byłaby zdolna zaorać w ciągu dnia; łan (*hide*) – obszar, jaki dawał im pracę i utrzymanie w ciągu roku. Technologia dyktowała potrzebę istnienia ogromnych pól, a to z kolei oznaczało, że większą część prac trzeba było wykonywać wspólnie, aby skoordynować ich kolejność w ramach cyklu upraw i wspólnie się do niej dostosować. Jednakże w obrębie tego wspólnego porządku bardzo dokładnie przestrzegano granic indywidualnej własności oraz skrupulatnie wyznaczanych praw i należności. Obszar należącej do chłopca ziemi oraz udziały w zbiorach zależały od jego wkładu w postaci pracy fizycznej i narzędzi; mógł wnieść pług albo cały zaprzęg, albo jedno i drugie, albo częściowy udział i odpowiednio do tych nakładów uczestniczył w podziale zbiorów. Ciężące na nim obowiązki obejmowały zresztą, prócz orki, wiele innych zadań i jak widać z najwcześniejszych przekazów prawnych, za niewywiązywanie się z tych powinności wyznaczano surowe kary.

Była to gospodarka mieszana, ale element własności prywatnej stanowił w niej kwestię wolnego wyboru, natomiast element wspólnego wysiłku grupy pojawiał się tylko w razie konieczności – typowo angielskie rozwiązanie. W staroangielskim społeczeństwie można wyróżnić wiele stopni zamożności. Na jednym biegunie znajdowała się wielka klasa niewolników, pierwotnie składająca się głównie z podbitych Brytów, ale z biegiem czasu zasilana przez skazańców, jeńców, nowe nabytki i ofiary ekonomicznej degradacji. Nawet zwykły chłop, właściciel jednego łanu, trzymał niewolników, którzy podobnie jak woły stanowili element kapitału produkcyjnego wnoszonego do wspólnych przedsięwzięć. Człowiek był wolny, gdy posiadał ziemię, reszta nie miała znaczenia.

Gdy miał pięć lub więcej łanów, nabywał prawo do tytułu tana (*thegn*); i niezależnie od tego, jak wielki był jego majątek (wyjątek stanowili kupcy prowadzący handel morski), nie mógł zgłaszać pretensji do tytułów, „o ile nie miał w posiadaniu ziemi”. Pan wioski lub dworu, co zwykle oznaczało to samo, mocą swego majątku był symbolem posiadania, gwarantem bezpieczeństwa, wyrocznią we wszelkich sprawach (a zatem i sprawiedliwości) oraz przedstawicielem władz. Wieś często nosiła jego imię; nierzadko nosi je do dziś. Własność ziemi stanowiła podstawę systemu prawnego, gdyż determinowała zarówno naturę przestępstw, jak metody wymierzania sprawiedliwości.

Najbardziej uciążliwe dla społeczeństwa staroangielskiego były dwie kategorie przestępstw i obie miały związek z życiem wiejskim: morderstwa i krwawe zemsty rodowe, wybuchające na tle zatargów o prawa własności i sporów granicznych, oraz kradzież bydła. W przypadku pierwszego rodzaju przestępstw nakładano okup za zabitego, *wergild* [główszczyna], którego wysokość zależała od stanu posiadania ofiary: 100 szylingów za wolnego rolnika – ekwiwalent 100 wołów, na tyle bowiem wyceniano jego wartość – oraz 600 szylingów za pana gruntowego. Istniały też kategorie pośrednie i różnicowania lokalne, ale zasadę rekompensaty interpretowano zawsze wedle kryterium wartości dóbr związanych z uprawą ziemi. Ustalenie winy, w przypadku obu kategorii przestępstw, opierało się na ustnej przysiędze sprawcy, której wartość także wyznaczano na podstawie oceny jego stanu posiadania. Jeśli wartość przysięgi pozwanego nie dorównywała wielkości zarzutu, jego świadkowie musieli za niego ręczyć pod przysięgą i podobnie czynili oskarżyciele; aby ustalić werdykt, przeprowadzano skomplikowane obliczenia wartości spornych świadectw, w dokumentach natykamy się więc na takie sformułowania, jak „przysięga o wartości funta” albo „niech zaprzeczy temu przysięga trzech tuzinów”. System opierał się zatem na ludowej idei naturalnej sprawiedliwości, czy można sobie bowiem wyobrazić uczciwszą metodę dochodzenia swych racji niż odwołanie się do złożonych pod przysięgą świadectw ludzi, którzy znają podsądnego, mogą obserwować jego codzienne poczynania i których pragnienie zachowania pokoju i porządku w okolicy jest *ipso facto* zagwarantowane przez to, że tu posiadają ziemię? Taka realistyczna idea stosowania prawa gwarantowała ponadto, że system zachowa elastyczność i nie przerodzi się w narzędzie ochrony praw kasty – wartość sądową, a zatem status podsądnego, wyznaczano nie na podstawie urodzenia, ale obecnego stanu posiadania ziemi. W samym sercu staroangielskiego społeczeństwa działały więc potężne siły przekształcające uprawę roli w motor rozwoju społecznego i wszystkie jego instytucje służyły utrzymaniu dynamiki tego procesu.

Prawdziwy geniusz Anglików polegał jednak na zaprzęgnięciu tych dynamicznych sił w służbę państwa. Pojawia się bowiem pytanie: w jaki sposób odtworzyć tę samoregulującą się strukturę życia wioski – z jej immanentnym

mechanizmem rozwoju gospodarczego – na poziomie organizacji państwowej, całego społeczeństwa? To właśnie w tym punkcie angielski Kościół, ściśle utożsamiający się z władzą świecką, w decydujący sposób wpłynął na bieg wypadków. Kościół odziedziczył po Cesarstwie Rzymskim instrumenty, których wyraźnie brakowało germańskim przybyszom: zdolność tworzenia uporządkowanej i stabilnej hierarchii władzy oraz działania w granicach raz przyjętych struktur, umiejętność pisania, ale także posługiwania się prawem pisanim i formułowania umów w postaci dokumentów, zwłaszcza praw własności ziemskiej, skłonność do poszukiwania pryncypiów i zasad kryjących się za zasłoną nawyku i obyczaju oraz kosmopolityzm przyspieszający przepływ nowych idei. Kościół celtycki nie miał takich zalet – w tej perspektywie decyzja z Whitby dała Anglii coś, czego ta nie mogłaby zaczerpnąć z własnych zasobów intelektualnych. I nie przypadkiem administracyjny rozwój królestwa Mercji nastąpił po okresie misjonarskiej działalności Wilfreda, najzdolniejszego z ówczesnych zwolenników Rzymu. Kościół stał się podstawowym instrumentem władzy państwowej, biskupi – najbliższymi doradcami króla, jego kaplica – centrum administracji i archiwum, a kapelani – tyleż duchowymi przewodnikami, co urzędnikami administracji państwowej. Kościół uporządkował prawo i nadał mu formę pisaną. Społeczeństwo angielskie jeszcze przed pojawieniem się Kościoła zaczęło tworzyć wyrazistą strukturę władzy, jednak dopiero Kościół dzięki swym wykształconym i doświadczonym szeregom umożliwił budowę rozwiniętej maszyny państwowej.

Przebieg tego procesu można prześledzić w VIII wieku na przykładzie Mercji. Kluczem do wszelkiej władzy państwowej są finanse – środki pozwalające opłacać zdolność stosowania przymusu. Ich podstawą jest sprawny system regularnego ściągania podatków. Podatki natomiast wymagają istnienia pieniądza realistycznie powiązanego z działaniem gospodarki. Ustanowienie przez Offę jednolitej srebrnej monety jako powszechnego środka wymiany między rolnikami było pierwszym ogniwem w długim łańcuchu wydarzeń prowadzących do powstania silnego państwa. Nie wystarczy jednak samo nałożenie podatków; podatki muszą być także postrzegane jako sprawiedliwe. Skuteczny, zrozumiały i sprawiedliwy sposób ich ściągania jest podstawą zdrowego i stabilnego rządu. Taki system wymaga wiedzy i dokumentacji. Anglicy bardzo wcześnie zrozumieli doniosłość tego faktu i nigdy nie przestali poświęcać mu należytej uwagi. Podwaliny systemu położono w Mercji, w VIII wieku, w dokumencie zwanym *Tribal Hideage* [podział na łany wedle plemion], który ustala liczbę łanów podlegających opodatkowaniu w każdej prowincji państwa*. Bez precyzyjnej pod-

* *Tribal Hideage* opierał się prawdopodobnie na wcześniejszych wzorach, ponieważ *bretwalda* jako suweren przyjmował wasalny hold innych królów, którzy zobowiązywali się do określonych świadczeń w ramach istniejącego systemu. Przypuszczalnie królowie, którzy wcześniej zajmowali pozycję *bretwaldy*, także dysponowali jakimś rodzajem *hideage*; wydaje się też dość prawdopo-

stawy naliczania każdy podatek jest rodzajem wybiórczej tyranii, a jego ściąganie kłóci się z naturalnym rozwojem swobodnych instytucji i zasadą rządów opartą na akceptacji społeczeństwa. Trudno jednak sporządzić takie zestawienie i tu właśnie bezcenna okazała się pomoc Kościoła. *Hideage* był pierwszym wielkim krokiem w stronę nowoczesnego aparatu władzy. W zarodku zawierał ideę piramidy terytorialnej: od wsi do seciny, okręgu o powierzchni stu łanów (ang. *hundred*), od secin do hrabstwa i od hrabstw do całego kraju. Późniejsze udoskonalenia polegały na wprowadzeniu osobno *Burghal Hideage* dla miast i *County Hideage* dla hrabstw, to ostatnie zaś umożliwiło powstanie *Domesday Book*. *Domesday Book* stanowiła zapowiedź rozwoju instytucji Skarbu (*Exchequer*) i jego charakterystycznego instrumentu w postaci *pipe-roll* [archiwum Skarbu; zwijane w rulon rejestry skarbowe], który przetrwał jako podstawowa księga centralnych finansów państwa aż do roku 1832, gdy Anglia była już potęgą przemysłową, leżącą w sercu światowego imperium. To ogólne podsumowanie pomija, oczywiście, nieskończoną wielość złożonych detali, mimo to można śmiało powiedzieć, że rolnicze społeczeństwo Mercji z VIII wieku stworzyło w zarodku strukturę organizacyjną współczesnej Anglii.

Siła staroangielskiego społeczeństwa opierała się zatem na dobrze poinformowanej władzy centralnej, która wykorzystywała swą wiedzę z korzyścią dla kasy państwowej. Jednak bezpieczeństwo Anglii germańskich rolników wciąż było bardzo kruche: ten milion ludzi osiadłych na jednym z najlepszych kawałków ziemi ornej na świecie w pocie czoła pracował na to, by stała się jeszcze bardziej pożądanym celem dla gwałtownych i łupieżczych plemion północno-zachodniej Europy. Odwróciwszy się od morza w VIII stuleciu, Anglia stała się pokojowo nastawionym społeczeństwem rolników. Angielskie dwory nigdy nie przekształciły się w instytucje o charakterze militarnym; jego natury nie potrafili zmienić nawet zainteresowani niemal wyłącznie wojną przybysze z Normandii. Jednak choć Kanał i Morze Północne stanowiły potężne naturalne przeszkody chroniące przed agresją, jedno i drugie można było przekroczyć; nieustannie kusily więc kolejnych śmiałków gotowych zignorować niemiłe i kosztowne realia świata nagiej przemocy i szukać szczęścia na wojnie. Anglicy nigdy nie zbudowali zawodowej armii. Poza momentami skrajnego zagrożenia nie potrafili nawet stworzyć ochotniczej armii, zdolnej stawić czoło najeźdźcy. Podejmowane przez nich wysiłki, żeby zbudować flotę wojenną, niemal zawsze kończyły

dobne, że Beda wykorzystywał jako źródło *Tribal Hideage* sporządzony w okresie, gdy *bretwaldą* był jeden z królów Northumbrii. *Hideage* sporządzony w Mercji miał jednak wyjątkowy charakter. „Jako precyzyjny spis katastralny i szczegółowy zapis realiów topograficznych nie ma sobie równego odpowiednika w całej Europie Zachodniej tego okresu [...]. Spis nosi znamię gruntownej znajomości zagadnienia, połączonej z niezwykłą sprawnością administracyjną”. Por. Cyril Hart, *The Tribal Hideage*, „Transactions of the Royal Historical Society”, November 1971.

się żalosną katastrofą. Problem nie polegał wcale na tym, że Anglicy byli ja-
koś szczególnie łagodni – zawsze należeli do najbardziej agresywnych nacji
na świecie. Wyraźnie jednak nie byli zdolni do jakichkolwiek trwalszych wysił-
ków, by ową agresję wykorzystać na rzecz celów ogólnonarodowych. Rozumieli
potrzebę istnienia armii broniącej kraju przed obcym najazdem. Mieli nawet
administracyjną machinę powoływania takiej armii – na demokratycznych za-
sadach: jeden zbrojny z każdych dwu łanów, dzięki czemu *fyrđ* (pospolite ru-
szenie) obejmował około 1% całej populacji. Powołani zbierali się, choć nader
niechętnie, i jeśli bitwa zbytnio się nie odwlekała, walczyli nawet z wielkim za-
cięciem; potem myśleli już jednak tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić na
swoje gospodarstwa i do swoich krwawych waśni rodowych. W tej sytuacji sta-
roangielskie państwo zwykle było, praktycznie rzecz biorąc, bezbronne. Można
się dziwić, że Anglikom w ogóle udało się przeżyć. Z łatwością mogli prze-
cież podzielić los tylu innych ludów zaginionych w historii. Absolutnie nic nie
przesądzało o tym, że muszą przetrwać. W wiekach IX, X, XI padali ofiarą nie-
ustannej agresji ze strony przeważających sił najeźdźców. Dlaczego nie wybito
ich doszczętnie? Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. W historii zawsze
działa wiele czynników. Raz uratował Anglików wielki człowiek, innym razem
spryt i pomysłowość klasy rządzącej, a jeszcze innym – prężność ich instytucji
i języka. Warto się przyjrzeć każdemu z tych epizodów.

W roku 865 skandynawska armia o nie spotykanej dotąd liczebności ru-
szyła w głąb Anglii z zamiarem ustanowienia trwałego systemu eksploatacji
kraj. W ciągu następných trzynastu lat zmiotła wszystkie angielskie królestwa
z wyjątkiem Wessexu i w większości okręgów rozpoczęto parcelowanie ziemi
dla nowych osadników. W roku 878 wszystko wskazywało na to, że dni an-
gielskiej cywilizacji są policzone: że jej formy rządów, mowa i kultura znikną
na zawsze, a na wyspie zadomowi się nowa klasa rządząca obcego pochodze-
nia i pod jej egidą rozpocznie się proces masowej imigracji; że jeśli Anglicy
przetrwają, to tylko tak, jak przed nimi Brytowie – jako ludzie niewolni, któ-
rzy stopniowo przejmą dominującą kulturę najeźdźców. Gdy Alfred z garstką
swych najwierniejszych zwolenników szukał schronienia na moczarach na za-
chód od Selwood, wyglądało na to, że tak właśnie będzie wyglądać najbliższa
przyszłość czekająca jego kraj i ludzi.

Jednakże społeczeństwo cywilizowane, oparte nie na przymusie, ale na ak-
ceptacji pewnych wspólnych przekonań, ma niezmierzone rezerwy. Oto jedna
z najbardziej pocieszających lekcji, jakich może nam udzielić historia. Nieła-
two wyczerpać zasoby cywilizacji. Społeczeństwo jednoczące się w celu agresji,
którego etyka, kryteria wartościowania i hierarchia mają charakter wyłącznie
militarny, kierowane przez ludzi, którzy swój status zawdzięczają jedynie sile,

z początku dysponuje wielką przewagą. A jednak jego siła jest w istocie dość iluzoryczna. Brak mu bowiem jakichkolwiek autonomicznych wartości moralnych oraz źródła wewnętrznej dyscypliny nie odwołującej się do przemocy; może zaspokoić jedynie skromny zakres ludzkich pragnień. Jest skorumpowane, zepsute, a korzenie tego zepsucia tkwią głęboko w nim samym. Nie dysponuje zbiorową mądrością, z wyjątkiem doświadczenia wojennego; nie jest w stanie tolerować wolności wymiany opinii, a zatem nie potrafi adaptować się do zmieniających się okoliczności; jego zwycięstwa rodzą anarchię, a porażki rozpacz, ponieważ nie ma nic, czego warto byłoby bronić. Dla kontrastu – społeczeństwo cywilizowane o wiele lepiej radzi sobie z przeciwnościami losu i umie wyciągać z nich wnioski; ma poczucie sprawiedliwości i własnej racji, które rodzi determinację i – w razie potrzeby – niesłychaną gwałtowność; potrafi nieustannie konfrontować instynkty z rozumem, formułować długoterminowe strategie działania i tworzyć nowe formy społecznej dyscypliny i organizacji. Gdy tylko zdoła złapać chwilę oddechu po pierwszym szoku, z miejsca rozwija strategię przetrwania i zaczyna wykuwać narzędzia zwycięstwa. W dłuższej perspektywie ma w ręku wszystkie atuty, moralne i intelektualne, których połączenie odgrywa w końcu rolę decydującą.

Tyle że ta chwila oddechu jest absolutnie niezbędna i zwykle jej urzeczywistnienie los pozostawia jednostce. W starciach potężnych sił zbiorowych zawsze znajdzie się rola dla wielkiego człowieka i nikt, kto zna historię Anglii, nie może mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Rodzi się szansa, nadchodzi właściwy moment, wszystkie niezbędne siły są na miejscu, lecz jeśli nie zjawi się człowiek, który wprawi je w ruch, okazja szybko mija i zwykle już nie wraca. Skoncentrowany, obdarzony jasnym obrazem sytuacji, energią i silną wolą, może w pojedynkę zachwiać równowagę, przeważać szale historii i osiągnąć cele, które w innej sytuacji wymagałyby zbiorowego wysiłku. W retrospekcji bieg wydarzeń zdaje się koniecznością, ale gdyby nie ta jednostka, wszystko potoczyłoby się inaczej. Takim człowiekiem był właśnie Alfred. Sławiące go legendy nie są w stanie zaciemnić prawdziwego obrazu tego niezwykłego życia. Studiując je, chwilami odnosimy wrażenie, że Alfred brał na swoje barki powinności całego narodu: uratował państwo, podniósł z ruin cywilizację, zbudował flotę, zorganizował system grodów obronnych, stworzył ludową milicję, ustanowił służbę dyplomatyczną, zainicjował powszechną edukację klasy rządzącej, sprowadził uczonych z zagranicy, przekształcił swój dwór w centrum nauki i kultury, udoskonalił administrację oraz uporządkował prawodawstwo i system wymiaru sprawiedliwości – a wszystko, rzecz by można, gołymi rękami. Gdy dokumenty rzucają nam nieco światła na jego postać, zawsze widzimy go w samotności: dręczony przez niezliczone troski, przytłoczony sprzecznymi wymogami chwili. W jednym z listów mamy relację o tym, jak do jego sypialni wkracza grupa spierających się interesantów. Alfred podnosi wzrok – właśnie

myje ręce – i udziela spokojnej, rzeczowej odpowiedzi. Zawsze skupiony, zachowuje oryginalność sądu człowieka, który późno zaczął się uczyć, nie przejął więc bezkrytycznie gotowych odpowiedzi, ale doszedł do wszystkich poglądów samodzielnie; inteligentny człowiek zmuszony przez okoliczności do szukania rozwiązań dla zupełnie nowych problemów. Pod pewnymi względami naiwny, a także ekscentryczny – pierwszy angielski ekscentryk – projektujący dziwaczne, mechaniczne zabawki. Człowiek, któremu presja nawału spraw państwowych nigdy nie pozwalała nawet na chwilę odpocząć, a mimo to ktoś, kto nigdy nie przestawał sondować najgłębszych tajemnic egzystencji. Czym jest życie? Dlaczego tu jesteśmy? I co, w tej sytuacji, powinniśmy czynić?

Alfred nie był wybrańcem fortuny. Przez większą część życia chorował*. Sytuację rodzinną miał trudną, później wręcz tragiczną. W krótkich odstępach czasu zginęli jego ojciec i trzech starsi bracia. Jako dziecko nie odebrał niemal żadnego wykształcenia. Nie odziedziczył żadnych zdolniejszych doradców i zawsze miał kłopoty ze znalezieniem godnych zaufania podwładnych. Przejął rozpadającą się maszynę państwową, którą musiał od podstaw odbudować. Nie odnosił łatwych zwycięstw. Całe swe dorosłe życie poświęcił, zmagając się z wieloma przeciwnościami, na to, by zapewnić swemu narodowi minimum bezpieczeństwa. Jednak w jego dziele uwagę przyciąga nie tyle wielkość osiągnięć, co zastosowane środki. Widzimy go więc z jednej strony w roli skutecznego żołnierza i administratora, z drugiej – jako człowieka szerokich horyzontów, twórcę renesansu angielskiej cywilizacji. Z dzisiejszej perspektywy te dwie role wydają się ze sobą niezgodne, niemal sprzeczne. Dla Alfreda wzajemnie się dopełniały. Król może być, jego zdaniem, jeszcze lepszym żołnierzem i zarządcą, gdy przyswoiwszy sobie zdobycze cywilizacji – wiedzę i umiejętności – wykorzysta je w swych funkcjach publicznych. Na tym polegała jego teoria i praktyka rządzenia. Nie warto bronić królestwa, które samo nie broni prawdziwych wartości; dobre obyczaje i godne postępowanie znaczą nie mniej niż życie i własność. Nie wystarczy wroga pokonać, trzeba go jeszcze naprawić, zreformować i skłonić, by wszedł w jasny krąg światła cywilizacji. Alfred zachowuje się tak, jakby nigdy nie czuł rasowej nienawiści do Duńczyków ani nie planował ich fizycznego wyniszczenia. Być może uświadamiał sobie, że element skandynawski stał się nieodzowny w społeczeństwie angielskim; a zatem trzeba go wchłonąć na drodze pokojowego procesu, dzięki któremu obecność obcych przybyszów stanie się stopniowo akceptowalna – najpierw przyswoją sobie oni zewnętrzne przejawy angielskiej kultury, potem jej istotę. Medium

* Jego choroba, powiada Asser, wprawiała lekarzy w konsternację. Mogła to być epilepsja, ostra forma infekcji skórnej (bardzo często spotykana w społeczeństwie staroangielskim) lub hemoroidy. Por. Wilfred Bonser, *The Medical Background of Anglo-Saxon England*, London 1951, s. 109–110.

tego procesu miało być chrześcijaństwo. Próby osławiania Duńczyków poprzez chrzest podejmowano, oczywiście, już wcześniej, tyle że pod przymusem Duńczycy ulegali, a potem drwili sobie z niego. Jednakże Alfred zorientował się, że metoda, jeśli będzie się ją stosować cierpliwie i wytrwale, w końcu przyniesie spodziewane rezultaty. Traktaty przypieczone chrztem można złamać, ale była to rozsądna polityka – oraz chrześcijański obowiązek – by korzystać na równi z wojny i dyplomacji; każda chwila wytchnienia była warta zachodu, i to nie tylko ze względów militarnych. A jeśli w końcu Alfred często musiał uciekać się do wojny, za każdym razem coraz skuteczniej wykorzystywał swoje środki i coraz bardziej zdecydowanie realizował przyjętą strategię.

Alfred w istocie zastosował wykształcone w królestwie Mercji koncepcje administracji państwowej do celów militarnych: zwycięstwa na wojnie, zmuszając tym samym machinę państwową do przeskoczenia na następny szczebel rozwoju. W swych poczynaniach po raz pierwszy korzystał z regularnego budżetu oraz wprowadził zasadę rozkładania odpowiedzialności za realizację celów publicznych – rozwój armii, floty, budowę i obronę umocnionych grodów – na wielu wykonawców. Podjęte przez niego działania stworzyły więc infrastrukturę zjednoczonego królestwa, zarówno przez sam fakt ich urzeczywistnienia, jak i bezpieczeństwo, jakie zapewniały ludności. W roku 886 wojska Alfreda wkroczyły do Londynu i jak podaje *The Anglo-Saxon Chronicle*, „cały lud angielski podporządkował się Alfredowi, z wyjątkiem tych, którzy byli pod władzą Duńczyków”. Co się zaś tyczy Duńczyków zdomowionych już na ziemi angielskiej, Alfred rozumiał, że właśnie sam proces nabywania posiadłości ziemskich stanowi rozwiązanie problemu nieustannej wojny, jaką toczyli z Anglikami, gdyż teraz i oni, podobnie jak Anglicy, mieli dużo do stracenia. Traktat, jaki ostatecznie podpisał z Duńczykami, nie tylko wyznaczał granicę terenów duńskich i angielskich, ale także wiązał systemy prawne obu obszarów poprzez przyjęcie jednolitej skali *wergildu*. W efekcie stwarzał szansę harmonijnego współżycia obu społeczności, zarówno na poziomie stosunków indywidualnych, jak i na szczeblu państwowym, a tym samym otwierał perspektywę poddania Duńczyków wpływom kultury angielskiej. Wydaje się, że Alfred nigdy nie wątpił w to, iż dzięki działaniu prawa cywilizacja angielska będzie w stanie zasymilować Duńczyków bez potrzeby uciekania się do przemocy. Traktat Alfreda z Duńczykami stanowił więc jeden z pierwszych przykładów wiary Anglików w potęgę dyplomacji.

Alfred rzeczywiście sprawia wrażenie człowieka żywiącego niewyczerpaną wiarę w siłę cnót obywatelskich. Wierzył w potęgę moralną cywilizowanego społeczeństwa. W obrębie prawa, które stanowi moralny fundament władzy, król z konieczności musiał odgrywać rolę ostatecznej wyroczni, ale jego decyzje nie były arbitralne – król jedynie rozstrzygał, czy dane prawo nadal pozostaje

w powszechnym użyciu. Natomiast treść prawa, norm prawnych, stanowiła wyraz zbiorowej mądrości pokoleń; król jedynie je kodyfikował i tylko w tym sensie prawo było jego prawem. Mógł nawet tworzyć nowe prawa, ale zawsze w porozumieniu ze swoją radą, *witanem*. Alfred korzystał z tej prerogatywy nader rzadko i jego decyzje nie były wiążące dla następców. Fakt, że czuł się osobiście podporządkowany prawu, jasno wynika z jego testamentu, w którym gorliwie starał się pokazać egzekutorom swej woli i potomnym, że podjęte przez niego postanowienia są uczciwe, sprawiedliwe i zgodne z prawem; ogłaszając zaś swój własny kodeks praw, zachwycająco zwięźle sformułował wizję właściwego przebiegu procesu legislacyjnego:

[Święci biskupi oraz inni znamienici i mądrzy mężowie] na wielu synodach ustanowili sposoby zadośćuczynienia za wiele ludzkich występków i spisali je w wielu księgach synodalnych, tu jedno prawo, tam znów następne. A wtedy Ja, król Alfred, zebrałem je razem i nakazałem, aby spisano wiele takich, których przestrzegali nasi przodkowie, te, które uważałem za dobre; a wiele z tych, których nie uważałem za dobre, odrzuciłem za namową moich doradców i rozkazałem nadać im inną postać. Albowiem nie ośmieliłem się polecić, by spisano wiele z mych własnych praw, gdyż nie było mi wiadome, czy spodobają się tym, którzy tu po nas nastąpią.

W ten sposób do stworzonego w Mercji sprawiedliwego systemu bezpośrednich podatków – podstawy skutecznego i akceptowanego rządu – królestwo Wessexu dodało jasną doktrynę i praktykę legislacyjną. Prawo było zasadniczo oparte na zbiorowym obyczaju; inspiracją stały się dla niego racjonalne idee świadectwa, dowodu i przestrzegania zasad. Zostało uporządkowane przez ludzi wykształconych w tradycji prawniczej czerpiącej z prawa rzymskiego; gdy tego wymagała sytuacja, wzbogacano je przez uzupełnienia pochodzące od króla i jego rady. Nie było to prawo skostniałe, lecz zawsze otwarte na zmiany, dodatki i odwołania. Widzimy więc, jak już w końcu IX stulecia powstaje organiczna struktura spraw publicznych; ugruntowuje się jej polityczny i prawny model, otwarty na nieograniczony wzrost i przekształcenia, warunkujący jednak i kontrolujący ściśle jego przebieg. Struktura ta mogła przyjmować – i przyjmowała – obce elementy, ale nie można już jej było w zasadniczy sposób zmienić. Podstawą trwałości i stabilności dziejów Anglii była siła staroangielskiego społeczeństwa. Podstawą zaś tej siły była ścisła równowaga między potrzebami państwa a prawami jednostki, utrzymywana za pomocą prawa, któremu podlegali wszyscy – w tym państwo; prawa opartego na obyczaju i modyfikowanego na zgodą obywateli.

Dzięki takiemu systemowi Alfred dał narodowi Anglików i nizinnej części Brytanii, gdzie mieszkali, jedność, której nigdy dotąd nie mieli i której odtąd nigdy nie utracili. Następcy Alfreda rozszerzyli ją na całe terytorium Anglii,

ale podstawą owej jedności i jej spoiwem była różnorodność. Alfred podporządkował sobie Mercję i Northumbrię za pomocą dyplomacji, gestów pojednania i przekazywania lokalnym ośrodkom części prerogatyw władzy; ustanowione przez niego prawa obejmowały, na równi z prawami Wessexu, elementy praw Mercji i Kentu, a szacunek dla lokalnych zwyczajów stanowił zawsze znamiennej cechę jego rządów. Również osadnicy duńscy, w miarę jak stawali się poddaniymi jego królestwa, zachowywali organiczne elementy swoich praw i tytułów własności ziemskiej.

W ten sposób Anglia została zjednoczona nie siłą, lecz dzięki perswazji człowieka, który był nie tylko politycznym geniuszem, ale także osobą kryształowej dobroci i zdołał przekonać Anglików, że tego właśnie potrzebują. Jedność kraju była dla Alfreda, jak sądzę, bardziej sprawą kultury niż czynnikiem o charakterze politycznym albo etnicznym. Umiejętność czytania i pisanie oraz wykształcenie, które zdobył dość późno, poddany presji wydarzeń swego aktywnego i niespokojnego życia, musiały mu się wydawać cudownym darem, oknem wychodzącym na lepszy i czystszy świat; darem, którym powinien się podzielić z innymi. Oczywiście, szło też o cele praktyczne: edukacja to podstawowy warunek funkcjonowania sprawiedliwego prawa, które, jak Alfred słusznie zauważył, stanowi fundament ludzkiego szczęścia na tym świecie. I nic innego, powiada Asser, biograf Alfreda, jak tylko obawa przed królewską naganą sprawiała, że

[...] ealdormeni i wójtowie [*reeves*] pośpieszyli, by z całym zapalem podjąć trud uczenia się prawa [...], tak że w niezwykle sposób niemal wszyscy ealdormeni, tano wie i wójtowie, którzy wszak od dziecka byli ludźmi nieuczonymi, poświęcili się nauce czytania i pisanie, przedkładając tedy ów mozolny wysilek nauki nad rezygnację ze sprawowania swej władzy.

Alfred z pewnością nie traktował jednak wykształcenia jedynie użytkowo ani też nie uważał go za wyłączny przywilej warstwy rządzącej i ludzi zajmujących się administracją kraju. „Z wielką troską zebrał wielu szlachetnie urodzonych ze swego narodu, a też chłopców skromniejszego rodu, i założył dla nich szkołę”. Szkoła miała charakter kosmopolityczny. Kilku doradców Alfreda w sprawach kultury pochodziło z Wessexu, czterech – w tym Plegmund, którego mianował arcybiskupem Canterbury – pochodziło z Mercji, jeden importowany erudyta przybył z Francji, inny z Niemiec, a sam biskup Asser był Walijszym. Alfred korespondował z wieloma uczonymi za granicą, w tym z patriarchą Jerozolimy, „zawodowym” jałmużnikiem, któremu ofiarował pieniądze w zamian za recepty medyczne. Kultura, którą Alfred tak żarliwie starał się przyswoić, była uniwersalną kulturą starożytnych i ojców Kościoła, wyrażoną w łacinie; zapewne była to dla niego bardzo ważna chwila, gdy w roku 887 zaczął wreszcie czytać w tym języku. Jednak od dwunastego roku życia czytał i pisał po

angielsku i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie licząc wykształconej mniejszości, to właśnie angielski musi odegrać rolę narzędzia kulturalnego postępu. Zainicjował więc szeroko zakrojony program translacji podstawowych tekstów na angielski, biorąc znaczną część zadania na siebie. Jak powiada w liście do biskupa Worcester, wcześniej nie dokonywano przekładów, ponieważ uczeni nie wierzyli, że znajomość łaciny może kiedykolwiek pójść w zapomnienie. Nie mogli jednak przewidzieć straszliwych wydarzeń, jakich był świadkiem za swego życia. Literatura w języku angielskim była więc niezbędną gwarancją na wypadek ewentualnej katastrofy, a także jedynym sposobem zaznajomienia szerokich rzesz ludności ze światłem prawdy.

Przeto wydaje mi się słuszniejsze [...], abyśmy przetłumaczyli pewne księgi, których znajomość jest najbardziej potrzebna wszystkim ludziom, na język, który wszyscy znamy, tak byśmy mogli bez trudu sprawić, jeśli starczy nam spokoju, że wszyscy młodzieńcy w Anglii, ludzie wolnego stanu i dość bogaci, by poświęcić się temu bez reszty, póki nie staną się gotowi do innych zatrudnień, będą pobierać naukę, aż zaczną biele pisać i czytać po angielsku; a niech ci, którzy mają dalej postąpić w nauce i będą przeznaczeni do wyższych stanowisk, ucą się potem także łaciny.

Alfred nie mógł przewidzieć, że skromny język, do którego nauki zachęcał swych poddanych, zastąpi w przyszłości łacinę w roli międzynarodowego języka nauki i kultury, podbije świat jako główne narzędzie politycznego, gospodarczego, naukowego i technologicznego postępu oraz zajmie wyjątkowe miejsce pierwszego języka uniwersalnego, stosowanego w mowie i piśmie przez niezliczone rzesze ludzi w krajach, których istnienia nawet nie przeczuwał. Na pewno radośnie powitałby tak zdumiewającą perspektywę. Alfred wierzył w Anglików. Przełożył z łaciny słynną *Historia Ecclesiastica* Bedy oraz patronował idei prowadzenia systematycznej kroniki wydarzeń w Anglii, w swych różnych wariantach znanej jako *The Anglo-Saxon Chronicle*. Tego rodzaju dzieła kopiowano wielokrotnie, podobnie jak prawa i inne dokumenty publiczne, po czym wysyłano do bibliotek katedralnych i klasztornych we wszystkich zakątkach kraju, aby mogły zawsze służyć potrzebującym.

Jakże dziwnym człowiekiem był Alfred, archetyp wszystkich najlepszych i najbardziej tajemniczych cech osobliwej nacji, na której losy w tak znaczący sposób dane mu było wpłynąć. Możemy prześledzić rozwój jego myśli, od pierwszych literalnych przekładów aż po bardziej swobodne, w których pod koniec życia włącza fragmenty wiedzy zaczerpniętej od odwiedzających dwór przybyszów, niestrudzenie przezeń o wszystko wypytywanych, oraz swoje własne, prywatne refleksje. Mamy zatem niezwykle przywilej wejrzenia w bieg myśli tego wielkiego władcy i człowieka czynu, który żył ponad tysiąc lat temu. W pewnym sensie był to umysł niewprawny, niezdarnie zmagający się z abstrakcyjnymi pojęciami, przekraczającymi zakres jego doświadczenia, szukał więc wytchnienia

w wypracowanych metaforach. Podstawą gospodarczego rozwoju ówczesnego społeczeństwa była eksploatacja lasów, toteż jego metaforyka krążyła wciąż wokół drewna: drewniane statki, koła, budowle. Oto praktyczny angielski umysł usiłujący dojść do ładu z łacińską abstrakcją. Czuje się w tych zmaganiach tę samą niezmożoną energią, nieugiętą odmowę przyjęcia porażki, poddania się, upór i zdecydowanie, które tak dobitnie dawały o sobie znać w jego aktywności publicznej. Muszą istnieć odpowiedzi na najgłębsze pytania egzystencji, tak jak zawsze znajdowały się praktyczne rozwiązania problemów wojskowych, żeglarskich, prawnych i administracyjnych. „Chcę wiedzieć – pisał – czy po rozdzieleniu duszy i ciała będę kiedykolwiek wiedział więcej, niż wiem teraz o tym wszystkim, co tak długo pragnąłem poznać; albowiem nie widzę niczego cenniejszego nad to, że człowiek posiada wiedzę, i nic gorszego nad to, że jej nie ma”. Albo: „Człowiek musi pomnażać swą inteligencję, póki jest na tym świecie, a zarazem gorąco pragnąć, aby dostąpił życia wiecznego, w którym nic nie jest zakryte przed naszymi oczami”.

W tych dążeniach, by oświecić, rozjaśnić ziemski padół, widzimy u Alfreda pewien rys osobowości przekraczający granice średniowiecznej umysłowości chrześcijańskiej, zamykającej człowieka w pułapce nauki o daremności wszelkiego rozwoju w świecie doczesnym, z którego cierpienie może go uwolnić jedynie życie wieczne. Wszystko wskazuje na to, że Alfred był ortodoksyjnym chrześcijaninem, a jednak drzemał w nim instynkt rdzennego, wyspiarskiego pelagianizmu: wiara w ludzką wolną wolę i daną człowiekowi zdolność, dzięki której nie mógł wprawdzie stać się doskonałością, ale mógł podnieść swój status i poprawić warunki ziemskiego bytowania. Pewnego dnia renesans i reformacja zmiotą te więzienne mury; u Alfreda już kilkaset lat wcześniej pobrzmiwa ta nowa, angielska nuta żarliwego moralnego przekonania, że można odeprzeć mroki napierającej ciemności. Jakkolwiek typowy dla niego ton jest pesymistyczny, pewną ulgę przynosi nadzieja, jaką daje walka i jej owoce, nawet jeśli sukcesy są tylko połowiczne. „Niewiele Go rozumiem, lub nic zgoła, a mimo to czasami, gdy o Nim myślę z uwagą, nachodzi mnie przeczucie wiecznego życia”. Bitwa o wiedzę, jaką Alfred toczył w swym życiu, stanowiła odpowiednik toczonej przezeń batalii o przetrwanie królestwa i uratowanie cywilizacji. Mógłby śmiało powiedzieć: „Wessex uratował siebie mocą własnego wysiłku, a Anglię mocą przykładu” – tak jak kilkaset lat później Anglia kilkakrotnie uratuje Europę i świat. Większość prac Alfreda przyniosła owoce dopiero po jego śmierci; z pewnością za życia nie zaznał spokoju: pewne wskazówki świadczą, że bywał znużony, zniecierpliwiony i wybuchał gniewem na urzędników, którzy nie potrafili wypełnić jego poleceń, czy to w sprawie budowy fortec, czy w kwestiach wymiaru sprawiedliwości. Wygląda na to, że Alfred nigdy nie miał pomocników (z wyjątkiem wspaniałej córki, Ethelflaed i jej męża, ealdormana Ethelreda z Mercji) stawiających sobie, gdy szło o odpowiedzialność, równie

wysokie wymagania. Nie ma się czemu dziwić – Alfred byłby równie wybitną postacią w każdym społeczeństwie, w każdym czasie. Jednak wielkość często oznacza samotność. Alfred odczuwał dotkliwie brak ludzi odpowiedniego formatu, zdolnych podzielić z nim ciężar obowiązków, i z niepokojem myślał o przyszłości kraju po swojej śmierci. Przed śmiercią, w wieku lat pięćdziesięciu kilku, był już – jak większość wielkich angielskich monarchów – człowiekiem bardzo zmęczonym. Odwołał się do swej ulubionej metafory i kończąc smutną, chwytającą za serce frazę, pozostawił potomnym przesłanie, ewangelię pracy i aspiracji stojących przed angielskim narodem:

Zebrałem więc wszystkie kije, drągi, uchwyty i rękojeści do wszystkich narzędzi, jakimi umiałem się posłużyć, a też belki i deski do wszystkich konstrukcji, jakie umiałem zbudować, oraz najlepsze sztuki drewna, które wiedziałem, jak przetransportować. I nie wróciłem do domu z jednym ładunkiem, ale też nie uważałem za potrzebne przynieść wszystek budulec, nawet jeśli mogłem tak uczynić. W każdym drzewie widziałem jednak coś, co było potrzebne do mej budowy. Doradzam przeto każdemu, kto jest dość silny i ma wiele wozów, aby poszedł do tego samego lasu, gdzie ja ściałem pnie, i przyniósł sobie stamtąd więcej i wyładował swe wozy dobrymi drogami, tak aby mógł postawić sobie wiele mocnych ścian i wznieść wiele niezrównanych budowli, i zbudować mocne ogrodzenie wokół, by mógł mieszkać tam w spokoju i dostatku, zimą i latem, jak mnie nie było dane.

W roku 1014 arcybiskup Wulfstan z Yorku wygłosił w katedrze ważne kazanie. Musiało się odbić szerokim echem i wyrzucić na słuchaczach wielkie wrażenie, powtarzał je bowiem nie raz; pod tytułem *Sermon of the Wolf to the English* („Kazanie Wilka do Anglików”) zostało ono spisane i wielokrotnie skopiowane. Mamy tu do czynienia z pierwszym poświadczonym na piśmie przykładem dramatycznego i trzeźwego apelu do Anglików, aby ratowali się przed zagładą – był to początek długiej tradycji, biegnącej przez mowy Henryka V, Elżbiety, Pitta i osiągnąjącej kulminację w wielkich radiowych przemówieniach Churchilla. Wulfstan był znamienitą postacią swego czasu: jeden z najwybitniejszych biskupów, znakomity prawnik, świecki mąż stanu i nieoficjalny przywódca tego potężnego i nieuchwytnego tworu, jaki wtedy po raz pierwszy dość niewyraźnie wyłania się przed naszymi oczami – angielskiego establishmentu. Półtora wieku wcześniej Anglię uratował wielki monarcha. Teraz miała ją uratować klasa rządząca i człowiek, który występował w jej imieniu. W minionym okresie stworzone przez Alfreda królestwo wzbogaciło się stopniowo o wszelkie atrybuty stabilnej i dobrze ugruntowanej władzy: szumne tytuły monarchy, które spływały nań podczas wyszukanej mszy koronacyjnej wraz z namaszczeniem, rozbudowująca się hierarchia godności, urzędów i bogactw, tradycje i ceremonie budzące podziw przybyszów z obcych krajów. A mimo

to Anglia wciąż nie zapewniła sobie trwałego bezpieczeństwa granic: to zadanie przekraczało możliwości staroangielskiego państwa. Wulfstan zdawał sobie do głębi sprawę z faktu, że najpewniejszą bronią Anglii jest siła i spoistość jej cywilizacji – system praw i rządów, ustanawiających określone wzorce, zarówno w sprawach publicznych, jak prywatnych, wznoszony na fundamencie prac Offy i Alfreda. Jednak śmiertelnym zagrożeniem dla spoistości tej cywilizacji był nie tyle dopływ obcej krwi, bo z tym Anglicy zawsze potrafili sobie poradzić, ale niefrasobliwa akceptacja obcych wzorów i zachowań. Toteż bardziej niż mieczów pogan Wulfstan obawiał się zgubnego wpływu ich występków. Niewątpliwie z jego inspiracji pojawił się w *The Anglo-Saxon Chronicle* złowrogi zapis dotyczący roku 959, oskarżający króla Edgara o zbyt częste kontakty z obcymi: „Lubował się w złych, zamorskich zwyczajach [...] i przyciągał tu przybyszów zza morza, i zwabił ludzi, którzy przynieśli krajowi zniszczenie”. W roku 975 doszło do narodowej katastrofy. Edgar nieoczekiwanie zmarł, pozostawiając synów pochodzących od różnych matek; najstarszy spośród nich, Edward, był dopiero nastolatkiem. Edward z miejsca uwikłał się w gwałtowny konflikt z grupą wielmożów, niemal na pewno na tle zwolnień podatkowych z tytułu fundowania rodzinnych pseudoklasztorów – tej samej złej praktyki, przed którą Beda ostrzegał 250 lat wcześniej. Trzy lata później Edward został zamordowany przez sługi swego przyrodniego brata Ethelreda, który w ten sposób stał się beneficjentem (o ile nie sprawcą) najgorszej zbrodni stanu w dziejach monarchii staroangielskiej.

To straszne wydarzenie zapoczątkowało nieubłagany proces stopniowego, a w końcu dramatycznego upadku norm życia publicznego w Anglii. Ethelred nie poczynił żadnych kroków, by znaleźć i ukarać morderców. Zabójstwo rzucało jednak coraz dłuższy cień na jego panowanie i obecność skompromitowanego króla na angielskim tronie stanowiła niewątpliwie zachętę dla wrogich sił poza granicami kraju. Duńczycy już w roku 981 wznowili łupieżcze najazdy. Jednym z fundamentów staroangielskiego państwa była zasada lojalności wobec tronu, gdy jednak podważył ją sam monarcha, załamała się całkowicie. Niektórzy z mianowanych przez Ethelreda dostojników kilkakrotnie przechodzili na stronę wroga. On sam jako drugą żonę pojął normańską księżniczkę Emmę, wywodzącą się z barbarzyńskiego, skandynawskiego rodu. Wielcy panowie zawierali prywatne umowy z najeźdźcami. Duńczycy też zresztą nie grzeszyli lojalnością. Jeden z niewielu walczących z powodzeniem dowódców króla był duńskim dezerterskim, a królewski syn i dziedzic, Edmund Żelaznoboki, otrzymał więcej wsparcia i skutecznej pomocy od mieszkańców Danelaw* niż z Wessexu. Coraz trudniej było się ludziom zorientować, komu winni są wierność

* Danelaw – obszar północnej, środkowej i wschodniej Anglii, na którym w IX i X w. dominowało duńskie osadnictwo i prawo zwyczajowe (przyp. tłum.).

i lojalność. Miejsce patriotyzmu jako narzędzia walki o narodowe przetrwanie zajęły pieniądze. W roku 991 Ethelred kupił układ pokojowy z Duńczykami za 10 tysięcy funtów. Do tej pory płacenie haraczu, *Danegeld*, nie uchodziło bynajmniej za czyn niegodny czy nierozumny; sam Alfred usankcjonował tę praktykę jako dogodny sposób zyskania na czasie. Jednakże Ethelred przekształcił opłacanie się Duńczykom w podstawową zasadę swych rządów; żądane sumy rosły w coraz szybszym tempie: 16 tysięcy, 24 tysiące, 36 tysięcy, by w roku 1012 osiągnąć zawrotną sumę 48 tysięcy funtów. Oskarżanie Duńczyków o to, że łamią traktaty, nie miało większego sensu – sam król Anglii potrafił bez skrupułów rozkazać w roku 1002, by zgładzono wszystkich duńskich zakładników. Taka polityka byłaby nie do pomyślenia dla Alfreda, który zawsze starał się łączyć zdecydowanie z gotowością do kompromisu. Ta rzeź była jednak nie tylko zbrodnią, ale i niewybaczalnym błędem, gdyż wśród zabitych znajdowała się siostra króla Danii, Swena. Pod wpływem śmierci siostry Swen postanowił przekształcić masowe piractwo Duńczyków w ogólnonarodową inwazję i sięgnąć po tron Anglii – projekt triumfalnie zrealizowany przez jego syna Kanuta.

Sermon of the Wolf precyzyjnie oddaje panującą w kraju atmosferę powszechnego upadku woli walki i poniżenia godności narodu. Wulfstan ze wszystkimi detalami maluje porażający obraz załamania się systemu społecznego. Mówi o „chwiejnej lojalności wśród wszystkich mężów”. Powiada, że „zbyt często krewny jest obojętny na los krewnego, jakby to był obcy”; ludzie sprzedają członków swej rodziny w niewolę, otwarcie handluje się kobietami, dziewczętą i wdowy zmuszane są do małżeństwa dla pieniędzy, tanowie żyją jak niewolnicy, a zbiegli niewolnicy stają się panami. Zanikło poczucie godności:

Anglicy już dawno zostali zupełnie rozgromieni i za sprawą gniewu Bożego utracili wszelką odwagę, podczas gdy piraci, z Jego wyroku, stali się tak silni, że często w bitwie jeden starcza za dziesięciu [...], a często dziesięciu lub tuzin, jeden po drugim, znieważa haniebnie żonę tana, a czasem jego córkę lub inną kobietę z jego rodu, a on się temu przygląda, ten, który uważał się za dzielnego i silnego, i potężnego, nim to się stało [...]. Ale za wszystkie doznane zniewagi płacimy jeszcze z honorami tym, którzy nas znieważają, płacimy im nieustannie, a oni co dzień nas upokarzają.

Wulfstan wychował się w tradycji angielskiej, w której gwarantem bezpieczeństwa królestwa i zdrowych stosunków między ludźmi była silna władza centralna; uosobieniem tej władzy była królewska linia Wessexu, ówczesnie najstarsza i ciesząca się największym poważaniem dynastia w Europie, która dłużej nieprzerwanie zasiadała na tronie, niż istniały wszystkie – poza papieżem – pozostałe instytucje świata chrześcijańskiego. Wulfstan głęboko zastanawiał się nad instytucją Korony i cechami, jakimi powinien odznaczać się człowiek sprawujący władzę monarszą. Swoje przemyślenia zawarł w pracy *Institutes*

of Polity, pierwszym oryginalnym dziele angielskiej teorii politycznej. Spisując prawa Ethelreda, Wulfstan położył szczególny nacisk na sprawę godności i zakresu władzy Korony. Uważał, że w królestwie Anglii król jest ziemskim wikariuszem Chrystusa. Innymi słowy – by posłużyć się wyrażeniem zastosowanym później w odniesieniu do Edwarda Wyznawcy – sędzią ustanowionym przez Boga, by rządził Kościołem oraz państwem i rozsądzał między nimi. Cóż zatem należało czynić, gdy król nie nadawał się na swój urząd lub sprzeniewierzał się swemu powołaniu? Jedyнным ratunkiem było – osiągnięte takimi lub innymi sposobami – zgodne działanie ludzi z otoczenia króla, uczonych kapłanów i najpotężniejszych panów królestwa. W latach 1012–1013 nastąpił pierwszy znaczący kryzys konstytucyjny w dziejach Anglii. Wielcy magnaci odmówili poprowadzenia do walki kontyngentów ze swych terenów, o ile król nie stawi się osobiście na placu boju. Ethelred uciekł z kraju i schronił się u krewnych żony w Normandii. Ostatecznie zezwolono mu na powrót, ale tylko pod warunkiem, że podpisze dokument otwarcie zobowiązujący go do daleko idących reform w zakresie metod rządzenia krajem. Nie ulega wątpliwości, że nikt inny jak Wulfstan był *spiritus movens* takiego rozwiązania, które niemal o dwieście lat wyprzedza i zapowiada Wielką Kartę Swobód (*Magna Charta Libertatum*). Układ zawarty między królem Ethelredem a jego poddanymi wprowadził do systemu angielskiej monarchii nową zasadę, która w istocie od tamtej pory została w nim na stałe. Stanowi dobrą ilustrację aksjomatu – z pewnością odnoszącego się nie tylko do Anglii – że katastrofa militarna jest matką zmian konstytucyjnych: na zasadzie konsensu w Anglii, na drodze rewolucji w innych krajach. Po raz pierwszy bowiem władza stała się przedmiotem kontraktu – narodziło się pojęcie państwa jako dobra wspólnego.

Pod wodzą Wulfstana Anglia przetrwała nie tylko ten kryzys, ale także śmierć Ethelreda w roku 1016 i jego syna w rok później. W kraju były wówczas tylko dwa źródła władzy: angielski establishment oraz rosnąca w siłę wojskową tyrania Kanuta. Wulfstan był wszakże człowiekiem zdolnym do śmiałych posunięć. Postanowił pożenić oba źródła władzy ze sobą i obdarzyć uzdolnionego dzikusa aparatem legalnej władzy królewskiej. Jeszcze raz okazało się, że zasoby angielskiej cywilizacji są niewyczerpane. Angielska monarchia nadal dawała realną władzę, wciąż istniała administracja królewska, Kościół w dalszym ciągu stanowił skarbnicę wiedzy i źródło więzi z cywilizowaną społecznością międzynarodową. Wulfstan dobrze znał swoje rzemiosło dworzanina: biegły w zawieraniu kompromisów, potrafił pochlebstwami przyprawić dzikiego wojownika o zawrót głowy; równie chętnie podejmował się zadania oswojenia barbarzyńskiego Duńczyka, jak w przyszłości jego odpowiednicy będą oswajać socjalistycznych ministrów. Kanut okazał się uczniem pojętym, a nawet pilnym. Chociaż jego chrystianizm nie był zbyt mocnej próby, szybko się zorientował, że żarliwe poparcie dla Kościoła jest jednym z najważniejszych przymiotów

chrześcijańskiego władcy, i odpowiednio do tego dostosował swe zapatrywania religijne. Nie trzeba go było wcale prosić, by poddał się przewodnictwu łaskawie oferowanemu przez Wulfstana. W ten sposób stary angielski prałat i młody duński generał zawarli pakt stanowiący początek jednego z najbardziej udanych eksperymentów w historii Anglii.

W rzeczywistości Kanut tak samo niecierpliwie pragnął się ogrzać przy ogniu cywilizacji, jak Anglicy wpuścić go pod swój dach. Anglicy pragnęli pokoju, Kanut szacunku i uznania. Anglicy sądzili, że cywilizując go, wykonują dobrą robotę – i mieli rację. Kanut czuł, że nadszedł czas obmyć ręce z krwi i nauczyć się nowego rzemiosła cywilizowanego monarchy. Żaden ambitny karierowicz nie osiadł nigdy równie ochoczo u boku bogatej dziedziczki starożytnego imienia. Kanut pragnął władzy, ale pragnął też kariery w wielkim świecie, chciał zdobyć uznanie nie tylko jako żołnierz, ale także jako wielki chrześcijański dzentelmen. Tęsknił do pochlebstw gorącego południa – jak wielu jego współplemieńców w późniejszych wiekach. Kluczem zaś do tych wszystkich drzwi było zdobycie angielskiej korony w majestacie prawa, jako jej uznany, powolny i legalny dziedzic. Kanut nie wyzyił się bandyckich odruchów: rychło uwolnił się, bez sądu, od kilku niewygodnych przedstawicieli starej władzy. Ale poza tym szybko przeobraził się w pełnego entuzjazmu angielskiego króla. Posłusznie ożenił się z wdową po Ethelredzie – zadanie nie należało do najłatwiejszych. Ograniczył wydatki wojskowe i obniżył podatki, co zawsze było najprostszą drogą do serc Anglików. Zezwolił Wulfstanowi na kodyfikację praw – dzieło tak staranne i wyczerpujące, że odwoływano się do niego jako do autorytetu jeszcze w XII wieku. Podczas pobytu w Danii w latach 1019–1020 zachwyił Anglików, wysyłając im list otwarty, do odczytania na zgromadzeniu każdego hrabstwa, w którym relacjonował postępy prac i polecał sprawiedliwe stosowanie prawa. Nienaganne zachowanie się Kanuta przetrwało śmierć Wulfstana. W roku 1027 Kanut udał się do Rzymu na koronację cesarza. Został przyjęty z wielkimi honorami nie tylko przez papieża, ale także przez zgromadzonych tam europejskich dygnitarzy, co – jak słusznie zauważył – w większym stopniu zawdzięczał swej pozycji króla Anglii niż sławie północnego rycerza. W liście wysłanym z Rzymu do narodu angielskiego w naiwny sposób opisuje, jaką przyjemność sprawiły mu te zaszczyty, oraz wymienia pewne korzystne porozumienia handlowe, które wynegocjował z cesarzem, księciem Burgundii i papieżem, zwalniające angielskich kupców od kłopotliwych opłat drogowych. Stary arcybiskup mógł być dumny ze swego wychowanka. Kanut utrzymywał skromną, ale skuteczną flotę 16 okrętów wojennych. Popierał angielski handel. Spowiadał się narodowi ze swych poczynań. Na ważniejsze stanowiska awansował częściej Anglików niż Duńczyków, tak że pod koniec jego panowania aparat rządowy składał się niemal wyłącznie z tych pierwszych. Miał wszystkie pożądane cechy cieszącego się popularnością angielskiego monarchy i gdyby

znano wówczas narodową grę wyspiarzy, z całą pewnością grały w krykieta. W końcu stał się dla Anglików – którzy zawsze, zarówno wówczas, jak i dziś, potrafili pisać swą historię na gorąco, jeszcze w trakcie dziania się wydarzeń – postacią niemal mityczną, otaczaną czcią i uwielbieniem. W rzeczywistości był tworem angielskiego establishmentu. Barbarzyński król bez pomocy otaczających go i chroniących, uzdolnionych sług Kościoła, mówiących jego językiem i zawdzięczających mu karierę, nie miałby żadnych szans w starciu z machiną staroangielskiego państwa. Gdy wygasła królewska linia rodu Kanuta, Anglicy z całym spokojem ponownie osadzili na tronie króla z Wessexu. Zupełnie jakby nigdy nie było duńskiej dynastii na angielskim tronie. A duńscy osadnicy stali się Anglikami i wnieśli swój własny, odrębny wkład w dzieje języka i demokratycznych instytucji tego kraju.

Ale czy mogła przetrwać Anglia – i Anglicy – jeśli sam establishment dopełnił samobójstwo, jak to się stało w roku 1066 i latach następnych? Nadszedł moment prawdziwej próby żywotności kultury angielskiej. W roku 1085 Wilhelm Zdobywca spędził Święta Bożego Narodzenia w opactwie Gloucester, gdzie po uczcie i tradycyjnych ceremoniach

[...] król wiele rozmyślał i głęboko naradzał się ze swą radą o tym kraju – jak jest zaludniony, czyli kto go zamieszkuje. A potem rozesłał swoich ludzi po całej Anglii, do każdego hrabstwa, z rozkazem, aby stwierdzili, ile secin było w każdym hrabstwie.

Przeprowadzony spis był wyjątkowo szczegółowy i skrupulatny – do tego stopnia, że wzbudził niesmak anglosaskiego kronikarza, który uważał, że to wstyd, aby król był aż tak chciwy, żeby się musiał dowiadywać, ile świń ma każdy poddany. Jednakże kronikarz, zaślepiony nienawiścią do Normanów, częściowo mijał się z prawdą. Rzeczywiście, kierownictwo i nadzór nad spisem spoczywały w rękach arcybiskupa Lanfranca i grupy biegłych baronów, duchowych i świeckich, z przybocznej rady Wilhelma, ale reszta była dziełem anglosaskich urzędników posługujących się tradycyjnymi angielskimi metodami, stosowanymi już od VIII stulecia. Anglia była jedynym krajem ówczesnej Europy, w którym zrealizowano koncepcję bezpośredniego podatku gruntowego, a co za tym idzie, wprowadzono odpowiednią metodę i rozbudowano aparat wykonawczy. Aby dostosować otrzymane wyniki do wymogów Wilhelma, uporządkowano je wedle kryterium własności gruntów (według własności królewskich lenników – *tenants-in-chief*), a nie ściśle geograficznej przynależności do secin (*hundreds*); co preferowali Anglicy. Zachowano jednak kategorię hrabstwa i pod wszystkimi innymi względami spis *Domesday Book* (*Księga Dnia Sądu Ostatecznego*) był typowo angielską operacją administracyjną. Dokonany

w dwadzieścia lat po podboju kraju przez Wilhelma, daje świadectwo trwałości infrastruktury angielskiego społeczeństwa.

Równocześnie jednak fakty i liczby zawarte w *Domesday Book* stanowią świadectwo całkowitego upadku angielskiej klasy rządzącej. Ziemie należące uprzednio do 4–5 tysięcy angielskich earłów i tanów zostały rozdzielone między 180 baronów z kontynentu. Tylko dwaj Anglicy otrzymali ziemię – skonfiskowaną innym Anglikom – wprost od króla jako jego bezpośredni lennicy; obaj pochodzili z rodów niezbyt znaczących w czasach bitwy pod Hastings i z całą pewnością zawdzięczali swoje powodzenie współpracy z nowymi władzami. Jedna piąta ziemi znalazła się w bezpośrednim władaniu króla, jedna czwarta przypadła grupie potężnych wasali, związanych z królem więzami pokrewieństwa, urzędu i długotrwałej przyjaźni, jedna czwarta należała do Kościoła, a reszta do pozostałych baronów, prawie bez wyjątku pochodzących z Francji. Kilka znacznych starych rodów angielskich przetrwało w roli lenników baronów. Kilka mniejszych zachowało swe ziemie, przyjęło kulturę kontynentalną i w XIII wieku ponownie pojawiło się na scenie w roli magnatów – rody Berkeley, Cromwell, Neville, Lumley, Greystoke, Audley i Fitzwilliam mimo brzmienia swych nazwisk były pochodzenia anglosaskiego. Jednak, generalnie rzecz biorąc, Wilhelm w ciągu dwudziestu lat zmiotł z powierzchni ziemi całą angielską klasę rządzącą. Jak świadczą o tym jego nadania, w chwili śmierci Wilhelma niemal cała władza polityczna w Anglii leżała w rękach przybyszów z kontynentu. Zaledwie sześciu Anglików zajmowało ważniejsze stanowiska w aparacie władzy. Należały do nich tylko dwa biskupstwa i dwa większe opactwa, przy czym cała szóstka byli to ludzie starzy, powołani na swe urzędy jeszcze przed rokiem 1066, gdyż Wilhelm wyższe urzędy kościelne przyznawał wyłącznie ludziom z kontynentu. Francuzi zarządzali dworem oraz kancelarią królewską; niemal wszyscy szeryfowie byli również Francuzami.

Jednakże przejście kraju przez ludzi z kontynentu było głównie sprawą kadr, i to niemal wyłącznie na wysokim szczeblu władzy. Sprowadzono z kontynentu garstkę mnichów, w kilku większych miastach powstały małe kolonie Francuzów – niewątpliwie w celach obronnych, ale także handlowych; w ślad za Zdobywcą po raz pierwszy przybyły do Anglii grupy Żydów, podobnie jak garść innych kosmopolitycznych mieszkańców średniowiecznych miast. Wielcy panowie sprowadzili swoje świty i dwory, jednak od samego początku brali do służby wielu miejscowych. Instytucja *murdrum* – polegająca na tym, że poszczególne seciny ponosiły zbiorową odpowiedzialność karną w postaci wysokiej grzywny, jeśli nie potrafiły dowieść, iż znaleziony na ich terenie zamordowany człowiek nie był Francuzem – wskazuje nie tylko na istnienie napięć etnicznych, ale także na fakt, że w Anglii przebywała pewna liczba ludzi niskiego stanu, rodem z kontynentu, których zniknięcie mogło przejść w ogóle nie zauważone. Poza tym jednak nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że do Anglii

przybywały lub pragnęły przybyć jakieś większe grupy Francuzów. Gdy Wilhelm w roku 1070 zwolnił najemników, niemal wszyscy wrócili do Francji. Nawet perspektywa ogromnych majątków ziemskich nie zawsze stanowiła wystarczającą pokusę. W roku 1080 Wilhelm nadał Aubreyowi de Courcy tytuł earla Northumbrii, lecz ten wkrótce zrezygnował i wrócił do Francji, choć oznaczało to utratę pozostałych angielskich włości. W całym kraju osiadło może 10 tysięcy przybyszów z kontynentu, a niewykluczone, że było ich tylko 5 tysięcy – liczba znikoma wobec mieszkańców wyspy, których było dobrze ponad milion. Anglia dostała więc po prostu nową klasę rządzącą.

Co się zatem stało ze starą, która tak skutecznie wchłonęła duńskich najeźdźców i przekształciła ich potężnego władcę w dobrze ułożonego angielskiego dżentelmena? Odpowiedź jest krótka: zniszczyła się sama. Straciła wiarę w sens zachowania jedności i swoje powołanie do roli depozytariuszki wartości kultury angielskiej. Jak pamiętamy, już w czasach Ethelreda wielu członków angielskiej klasy rządzącej utraciło poczucie narodowej i państwowej tożsamości. Wraz z rozwojem szybkich i niezawodnych metod komunikacji morskiej jedenastowieczna Anglia w coraz większej mierze stawała się ofiarą geopolitycznej gry sił w północno-zachodniej Europie; jako najcenniejsza zdobycz w tej części świata, stanowiła potencjalny cel ataku agresywnych i niespokojnych ludów Skandynawii oraz ich pobratymców osiadłych w Normandii. Na dworach panujących tego regionu dochodziło do mieszania się kultur i, co ważniejsze, związków pokrewieństwa między najmoźniejszymi. Wulfstan przewidział to zagrożenie i dzięki jego politycznemu geniuszowi Anglia na jakiś czas zdołała się z nim uporać. Tyle że Wulfstan miał do czynienia z Duńczykami. Kultura skandynawska, mimo swej wyższości militarnej, nie stanowiła żadnej konkurencji dla starożytnej chrześcijańskiej cywilizacji angielskiej, a napór Duńczyków, odczuwany silnie także poza terenem Danelaw, nawet jeśli początkowo groził zalaniem całej wyspy, wkrótce dał się skutecznie opanować. Angielski system prawny, wyrastający ze wspólnych korzeni, dość szybko dostosował się do duńskich kategorii i obyczajów, które mogły tym samym zachować dominującą pozycję tam, gdzie większość stanowiła ludność duńska; Anglicy zawsze byli gotowi tolerować obce nabytki, oczywiście z wyjątkiem spraw zasadniczych. W kwestiach kultury Duńczycy zachowali skromność i łatwo poddali się angielskiemu przewodnictwu*.

Co innego jednak Skandynawowie z Normandii. Normanowie wraz z kulturą i językiem francuskim przyswoili sobie niezwykłą zaborczość i pewność siebie tej cywilizacji. A dzięki niefortunnemu małżeństwu Ethelreda z Emmą zdobyli cenny przyczółek w samym sercu angielskiej klasy rządzącej. Emma, niczym królowa-pająk czająca się w centrum sieci dynastycznych powiązań,

* Por. Dodatek I.

wywodziła się w prostej linii z barbarzyńskiej Północy, natomiast w tej mierze, w jakiej była cywilizowana – była Normano-Francuzką. Jej syn, Edward Wyznawca, ze względu na kulturę, powiązania, skłonności, a pewnie i język, także należał do świata normandzkiego. Podczas jego panowania doszło do otwartego i gwałtownego konfliktu kultur na dworze i w aparacie administracyjnym królestwa, którego wynik był o tyle trudny do przewidzenia, że żaden z głównych aktorów wydarzeń nie był pewny swej narodowej i kulturowej tożsamości. W jedenastowiecznej Anglii panowało kompletne zamieszanie z racji powiązań dynastycznych. Weźmy przykład Emmy. Była Normanką, cioteczną babką Wilhelma, który około roku 1040 sprawował już faktyczną władzę nad Normandią. Pierwszym mężem Emmy był Anglik, Ethelred, drugim – Duńczyk Kanut; z oboma miała synów. Po której stronie miała się opowiedzieć? Po stronie linii angielskiej, reprezentowanej przez Edwarda? Czy raczej po stronie synów Kanuta? A może po stronie rodzinnej Normandii? W teorii związki małżeńskie między domami panujących mają służyć przyjaźni między narodami, w praktyce o wiele częściej prowokują dyskusyjne pretensje dynastyczne i napięcia etniczne; zupełnie tak samo jak sport w dzisiejszym świecie. Oba domy panujące, Danii oraz Norwegii, zgłaszały – powołując się na więzy krwi – pretensje do korony angielskiej, oba też były spowinowacane z najważniejszymi aktorami angielskiej sceny politycznej. Earl Godwine, najpotężniejszy angielski polityk i posiadacz ziemski w połowie XI stulecia, był zdolnym karierowiczem wywodzącym się z szeregów drobniejszej szlachty. Aby zaskarbić sobie względy Kanuta, ożenił się z Cythą, siostrą jego szwagra, damą dość dzikich obyczajów, która między innymi kupowała w Anglii piękne dziewczęta i wysyłała do Danii jako niewolnice-prostytutki. Tosti, jeden z jej licznych synów, ostatecznie stanął po stronie skandynawskiej; pozostali, pod wodzą Harolda, w większości – w każdym razie na użytek celów politycznych – uważali się za Anglików. Problem dałoby się łatwo rozwiązać, gdyby Edward Wyznawca pozostawił męskiego potomka. Godwine namówił króla do małżeństwa ze swoją córką Edith (która była, rzecz jasna, pół-Skandynawką), jednak związek okazał się bezdzietny. W chwili śmierci Wyznawcy wszyscy pretendenci byli ze sobą blisko spokrewnieni. Nawet Harold miał bliskie rodzinne związki ze swym śmiertelnym wrogiem, Wilhelmem Zdobywcą. Europa XI wieku była małym, ale bardzo burzliwym światkiem, w którym więzy krwi rodziły więcej problemów, niż rozwiązywały.

Gdy Harold wstąpił na tron, niezwłocznie po śmierci Wyznawcy, angielska klasa rządząca nie tylko przeżywała kryzys tożsamości etnicznej, ale była też podzielona politycznie. Pierwszy poważny kryzys wewnętrzny nastąpił z początkiem lat pięćdziesiątych, następny w roku 1065, kiedy to prawdopodobnie za wiedzą Harolda wygnano z Northumbrii jego brata Tostiego i ten w efekcie związał swe losy z obozem duńskiego pretendenta. Anglia zaczęła puszcząć

w szwach. Rozwój ogromnych posiadłości earłów coraz poważniej zagrażał jedności królestwa; krajowi groził los Francji i Niemiec, podzielonych na półautonomiczne księstwa i baronie. Własne ziemie Edwarda Wyznawcy przynosiły mu zaledwie 2,5 tysiąca funtów rocznie, niewiele więcej niż włości kilku najpotężniejszych poddanych, toteż w rządzeniu państwem opierał się głównie na *geld* [podatku], który przynosił dodatkowych sześć tysięcy; król stawał się z wolna jedynie *primus inter pares**. W tej sytuacji Wilhelm nie tyle podbił Anglię, co uchronił ją przed rozpadem. Pośpiech, z jakim Harold działał po śmierci Wyznawcy, wskazuje, że jego pozycja nie była zbyt mocna. Pozostali earlowie, oprócz jego braci, nawet nie wzięli udziału w koronacji. Harold szybko ożenił się z siostrą dwu najważniejszych earłów, Edwina i Morcara, ale nawet ten gest nie powstrzymał ich przed zbrojnym wystąpieniem przeciw królowi. Pod Hastings Harold poprowadził przeciw Wilhelmowi głównie najemników. Kościół, który w przeszłości tak skutecznie wspierał jedność państwa i klasy rządzącej, tym razem także miał poważne kłopoty. Arcybiskup Canterbury, Stigand, nie mógł, idąc w ślady Wulfstana, odegrać roli nieoficjalnego przywódcy establishmentu. Nie tylko bowiem ciążył na nim zarzut pluralizmu – kumulowania beneficjów – ale przede wszystkim objął arcybiskupstwo w drodze niekanonicznej, w rezultacie kryzysu z początku lat pięćdziesiątych, i kilku kolejnych papieży ogłaszało pozbawienie go urzędu. Harold nie chciał przyjąć korony z rąk Stiganda i zlecił to zadanie arcybiskupowi Yorku. W ten sposób jednak jeszcze bardziej osłabił swą pozycję. Nie ulega wątpliwości, że wiele wpływowych postaci królestwa nie chciało go widzieć na tronie – w przekonaniu, że kierowały nim wyłącznie interesy rodzinne i osobiste. Toteż w efekcie Harold musiał odwoływać się wyłącznie do rozstrzygnięć na polu walki i ostatecznie bitwa przyniosła mu klęskę. Nie da się ukryć, że znaczna część angielskiego establishmentu po prostu uchyliła się od aktywnego udziału w kryzysie roku 1066.

Harold jednak był przynajmniej człowiekiem czynu. Po jego śmierci angielska klasa rządząca zaczęła się zachowywać w sposób równie głupi co godny pogardy. Ta grupa ludzi zasługiwała na to, by zniknąć ze sceny dziejów, ponieważ w istocie sama zrzekła się swych praw i godności – abdykowała. Oto dlatego bitwa pod Hastings stała się jedną z decydujących bitew historii. Początkowo sytuacja wcale nie przedstawiała się tak jednoznacznie: zaraz po zwycięstwie Wilhelm posłał przede wszystkim po posiłki z kontynentu. Mieszkańcy Londynu szykowali się do obrony miasta i osadzenia na tronie Edgara, wnuka Edmunda Żelaznobokiego, earlowie Mercji i Northumbrii obiecali pomoc. W rzeczywistości nikt nie uczynił najmniejszego gestu. Jak ujmuje to *Kronika*: „Ale zawsze im bardziej należało się śpieszyć, tym bardziej wszyscy się ociągali, i z dnia na

* Finansowy aspekt panowania Wyznawcy analizuje Frank Barlow, *Edward the Confessor*, London 1970, rozdz. VII.

dzień było coraz gorzej, dokładnie tak, jak się to okazało na końcu”. W rezultacie ci, których można by jeszcze nazwać angielskim establishmentem, zdecydowali się poddać Zdobywcy. Spotkali się z Wilhelmem w Berkhamstead i pojechali razem do Westminsteru, gdzie w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia odbyła się koronacja. Wilhelm przysiągł przestrzegać praw i obyczajów ustanowionych przez Wyznawcę, po czym arcybiskup Yorku (po angielsku) i biskup Coutance (po francusku) spytali mieszane zgromadzenie notabli krajowych i kontynentalnych, czy uznają go za swego władcę. Uznali.

Wilhelm objął więc tron w majestacie prawa – angielskiego prawa. W tym momencie oznaczało to jedynie przekazanie, w ramach istniejącej struktury angielskiego państwa, najwyższej władzy w ręce cudzoziemskiej grupy rodzinnej. To, że ta grupa przekształciła się w klasę, w całości obciąża konto Anglików. Wilhelm początkowo zamierzał kierować państwem za pomocą mieszanej arystokracji anglo-normandzkiej, w której element miejscowy szybko zyskałby przewagę. To prawda, skonfiskował majątek tych, którzy „stanęli przeciw mnie w bitwie i zostali zabici”. Część swoich oficerów wysłał w głąb kraju, aby zajęli newralgiczne punkty i rozpoczęli budowę zamków dla normandzkich garnizonów. Nie nastąpiły wszakże żadne masowe konfiskaty gruntów angielskich wielmożów. Na królewskich nadaniach z lat 1068–1069 widnieją podpisy angielskich magnatów, biskupów i królewskich urzędników odziedziczonych po Haroldzie. Do roku 1069 większość szeryfów stanowili Anglicy; oni też otrzymywali nominacje na liczne ważne urzędy. W przeciwieństwie do wielu swych stronników Wilhelm nie miał uprzedzeń etnicznych. Nie żywił do Anglików niechęci, próbował nawet nauczyć się ich języka – zadanie niełatwe dla zawodowego polityka i żołnierza w jego wieku, nic więc dziwnego, że, zniechęcony, zrezygnował. Wydaje się, że lubił wielu ze swych angielskich poddanych. W latach 1070–1071 miał rozstrzygnąć dysputę między Anglikiem, biskupem Worcesteru, a normandzkim arcybiskupem Yorku i chociaż cały dwór oraz wybitni doradcy, z jedynym wyjątkiem Lanfranca, opowiadali się za Yorkiem, Wilhelm rozstrzygnął kwestię na korzyść Worcestera – była to decyzja bardzo trudna i wymagająca odwagi. I nawet spis *Domesday Book*, przy całej swej niezwykłości, był w istocie (milcz, *Kroniko*) wymierzony bardziej w element normandzki niż angielski.

Ta pokojowa polityka Wilhelma załamała się jednak pod wpływem ślepej nieodpowiedzialności angielskiej klasy rządzącej. Anglicy, choć nie potrafili zorganizować powszechnego oporu, raz po raz wznęcali cząstkowe lub regionalne rewolty, przy czym, by doprowadzić Wilhelma do furii, sprzymierzali się, z kim popadło – z Irlandczykami, Szkotami, Walijszczykami, Norwegami, Duńszczakami, nielojalnymi Normanami i Francuzami – gotowi za wszelką cenę podważyć istniejący porządek. Czasami tym wystąpieniom nie towarzyszyło nawet szersze poparcie. *Peterborough Chronicle* nie pozostawia wątpliwości, że rewolta w Fenland, związana z osobą Herewarda, budziła głęboki sprzeciw

znacznej części miejscowej opinii publicznej. W następstwie buntu na północy kraju w roku 1069 Wilhelm odrzucił pierwotną koncepcję wiązania angielskiej arystokracji ze swoim rządem, wciąż jednak starał się być hojny dla jednostek. W roku 1072 nadał tytuł earla Northumbrii Waltheofowi, głowie jednego z najpotężniejszych angielskich rodów na północy. Trzy lata później Waltheof zawiódł zaufanie Wilhelma i wystąpił przeciw niemu wraz z jego dwoma własnymi baronami. Dość znamienne, że siły, jakie Wilhelm zgromadził, aby złamać ten bunt, obejmowały także kontyngenty dostarczone przez dwu biskupów angielskich. Wilhelm, zawiedziony i wściekły, rozkazał stracić earla – bolesna to decyzja dla króla, który z zasady był przeciwnikiem kary śmierci i zezwalał na jej stosowanie tylko w wyjątkowych wypadkach. Wilhelm był jednak władcą poważnym i odpowiedzialnym, wierzył, że jego podstawowy obowiązek, czyli utrzymanie porządku, nakazuje mu stłumić wszelkie skrupuły moralne. W tym momencie rozumiał, iż w praktyce będzie musiał się oprzeć w rządzeniu krajem na swoich kontynentalnych sprzymierzeńcach, to zaś oznaczało, że angielską klasę wyższą trzeba będzie pozbawić ziemi.

Najbardziej interesującym aspektem postępowania Wilhelma po podboju Anglii jest jednak fakt, do jakiego stopnia objęcie tronu wpłynęło na zmianę jego sposobu myślenia. Najazdu na wyspę dokonał wszak stojąc na czele europejskiej krucjaty, która miała za zadanie na powrót wciągnąć przybrzeżną wyspę w obręb systemu panującego na kontynencie. Rzym zawsze patrzył na Kościół Anglii i jej monarchię z podejrzliwą nieufnością, co było dość dziwne, zważywszy że w VIII stuleciu św. Bonifacy i setki innych odważnych mieszkańców wyspy obojga płci dokonały nawrócenia Niemiec. Anglicy nader gorliwie krzewili chrześcijaństwo; można wręcz powiedzieć, że pierwsze angielskie imperium miało duchowy charakter. Rzym przejawiał jednak zawsze głęboką ignorancję w sprawach wyspy, wykazując skłonność do traktowania Anglików jak heretyków i barbarzyńców. Nawet Wilfred, ultrapapista, czuł się nieswojo w Pałacu Laterańskim. W tych rzadkich momentach, gdy legaci papiescy zjawiali się na wyspie, zachowywali się tak, jakby gorliwie starali się niczego nie zrozumieć. W roku 786 legaci donieśli papieżowi Hadrianowi, że Anglicy rozstrzygają spory prawne rzucając losy oraz że zwykli brutalnie okaleczać i zjadać swoje konie – niezła historyjka! Niektóre z zachowanych listów papieskich także zdradzają zdumiewającą niewiedzę. Na przykład w roku 877 papież Jan VIII przechwalał się, że „przestrzeżał” króla Alfreda, najlepszego przyjaciela, jakiego Kościół kiedykolwiek miał w Anglii, przed pogwałceniem praw Canterbury. Alfred niewątpliwie upominał się o zgodne z prawem posługi wojskowe z ziem należących do Kościoła – rzecz całkiem zrozumiała w chwili, gdy całe królestwo, a więc i Kościół, znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zagrożone przez Duńczyków. Około roku 891 papież Formozus napisał zręczliwy list do angielskich biskupów, uskarżając się, że słyszał, jakoby „odrażające praktyki

pogańskie ponownie rozprzestrzeniały się na waszych terenach”, i dodawał, iż rozważa obłożenie kraju interdyktem. Trudno wymyślić przykład bardziej do- głębnego niezrozumienia prawdziwej sytuacji Anglii, pustoszonej właśnie przez, jak to ujmuje *Chronicle*, „wielką armię pogańską”. Jeszcze bardziej zapewne zirytował Alfreda list, jaki otrzymał od Fulka, arcybiskupa Reims, w odpowiedzi na królewską prośbę (popartą prezentem w postaci sporej gromadki chartów) o jego zgodę na przyjazd do Anglii uczonego Grimbalda. Tonem namaszczonej protekcyjności Fulko podkreśla, jak wielkie były jego wahania (szczęśliwie przeważył królewski podarunek) przed wystaniem cywilizowanego i bogoboj- nego Francuza do krajiny tak „prostackiej i barbarzyńskiej rasy” jak Anglicy*.

Te nieporozumienia ciągnęły się dalej, choć Anglia była jednym z niewielu krajów regularnie zaopatrujących Rzym w fundusze w solidnej srebrnej mone- cie. Tak czy inaczej, w roku 1066 w zachodniej Europie dominowała opinia, że Kościół angielski znalazł się w rozpaczliwym położeniu i będzie aktem najgłębs- zszej pobożności dokonanie najazdu na wyspę, żeby podciągnąć Anglików do kontynentalnych wzorców. Nieważne, czy Wilhelm podzielał te poglądy, ważne, że zrećźnie je wykorzystywał, aby zwiększyć swe szanse. Już w Normandii po- służył się Kościołem do umocnienia swej pozycji panującego księcia, dzięki czemu wyrobił sobie w Rzymie opinię władcy reformatora. Rzym pod wpły- wem archidiakona Hildebranda kipiał od nowych koncepcji zmierzających do wzmocnienia uniwersalistycznych aspiracji papieżstwa i ochoczo włączał się we wszystkie polityczne intrygi. Po śmierci Edwarda Wyznawcy Wilhelm miał czel- ność przedstawić swoje pretensje dynastyczne w Rzymie. Utrzymywał, że Har- rold złamał przysięgę, że jego koronacja jest nieważna, ponieważ (tak twierdził Wilhelm) koronował go Stigand, który objął arcybiskupstwo w sposób sprzeczny z prawem kanonicznym, wreszcie że Kościół angielski znajduje się potencjal- nie w stanie schizmy i że przywrócenie go na łono ortodoksji i bogobojności będzie naturalną konsekwencją uznania zasadności pretensji Wilhelma do ko- rony angielskiej. Żadne z tych twierdzeń nie było prawdziwe, ale właśnie to Rzym pragnął usłyszeć. W takim też duchu Hildebrand osobiście przedsta- wił pretensje Wilhelma papieżowi, który skwapliwie je uznał. Harold nie był w tym sporze reprezentowany w Rzymie i być może w ogóle o nim nie sły- szał, aż do chwili gdy zapadła niekorzystna dla niego decyzja. Wilhelm ruszył więc do Anglii, mając nie tylko emocjonalne poparcie Rzymu, ale też jego

* Można wątpić, czy Fulko albo Formozus mieli prawo kogokolwiek pouczać. Po śmierci For- mozusa jego ciało zostało wykopane przez rywalizującą faksję papieską, osądzone, potępione, porąbane i wrzucone do Tybru. Fulkowi powiodło się niewiele lepiej. W roku 900 pokłócił się z Baldwinem z Flandrii, zięciem Alfreda, i został zamordowany przez ludzi hrabiego. W na- stępnym pokoleniu jego prowincja stała się zabawką w rękach zdeprawowanych kobiet, które rządziły wówczas papieżstwem, i arcybiskupem mianowano pięcioletniego chłopca. Takie rzeczy nie zdarzały się wśród „barbarzyńskich” Anglików.

otwarte i formalne pełnomocnictwo: walczył pod sztandarem papieżstwa i szedł do boju z papieskimi relikwiami zawieszonymi na szyi. Jego pretensje popierali cesarz, król Francji i wielu innych potentatów ówczesnej Europy, toteż pod Hastings występował jako szermierz kontynentalnego katolicyzmu. Sam Filip II Hiszpański nie mógłby pragnąć więcej.

Można wątpić, czy Wilhelm na serio uważał się za przywódcę krucjaty, ale nawet jeśli tak było, kiedy tylko poczuł się pewnie na angielskim tronie, jego poglądy uległy znaczącej i cudownej przemianie. Natychmiast zaczął postrzegać sytuację z angielskiej perspektywy, co dobrze świadczy o jego politycznym realizmie, ale dla Hildebranda, który tymczasem sam został papieżem, musiało to stanowić przykrą niespodziankę. Kiedy bowiem Hildebrand polecił swym legatom, aby zażądali od Wilhelma wznowienia opłat i złożenia formalnego hołdu papieżstwu, król przesłał w odpowiedzi list – krótki i nie pozostawiający papieżowi złudzeń. Rzym może liczyć na pieniądze, ale na nic więcej: „Nie godziłem się składać hołdu lennego i nie zamierzam obecnie, ponieważ nigdy tego nie obiecywałem ani też nie słyszałem, aby moi poprzednicy składali go kiedykolwiek twoim poprzednikom”. Królowie Anglii zawsze rządili angielskim Kościołem, Wilhelm wydał więc szereg postanowień, które nie pozostawiały cienia wątpliwości, że zamierza kontynuować, a nawet wzmocnić ten obyczaj. Zasadniczo popełnił tylko jeden poważny błąd, zezwalając na utworzenie po raz pierwszy osobnych sądów kościelnych; kierował się motywami czysto praktycznymi, ponieważ sądził, że sprawy kościelne blokują i utrudniają pracę sądów w hrabstwach, jednakże był to znaczny błąd w ocenie sytuacji, który sprawił ogromne kłopoty następcom Zdobywcy. We wszystkich innych kwestiach Wilhelm skutecznie opierał się agresji Hildebranda.

Tę politykę ojca kontynuowali – co pozostaje ich niewątpliwą zasługą, obaj synowie Zdobywcy, Wilhelm i Henryk. Reputację Wilhelma II zbrukali mnisi-skrybowie, którzy mieli ówczesnie monopol na pisanie historii; przytrafiło mu się też nieszczęście, jakim są zawsze dla polityka rude włosy*. Oskarżano go o zniewieściałość, choć był doskonałym i bardzo aktywnym żołnierzem, który niemal całe życie spędził w siodle, a także o homoseksualizm, choć był ojcem dwu bastardów. W istocie był królem na miarę swego ojca: bystry, pomysłowy, energiczny, profesjonalny władca. Dość znamienne, że Zdobywca właśnie jego wybrał na swego następcę i powierzył mu królestwo. Przedwczesna śmierć Wilhelma II w wypadku na polowaniu pozbawiła Anglię wielkiego króla. Bez wąt-

* Wszyscy rudowłosi premierzy: Peel, Baldwin i Churchill mieli poważne kłopoty w stosunkach z własnymi partiami i trudno doprawdy racjonalnie wyjaśnić powody wielkiej nieufności, z jaką się wciąż spotykali. Podobny los spotkał ostatnio Barbarę Castle, gdy w roku 1969 usiłowała przeprowadzić w Parlamencie swój projekt ustawy związkowej. Osobiście słyszałem, jak jeden z przywódców związkowych mówił o niej: „Ta ruda...” Z pewnością starałby się bardziej powściągnąć język, gdyby Castle była Żydówką lub osobą o innym niż biały kolorze skóry.

pienia jednak brakowało mu ogłady ojca oraz sławy i szacunku, jakie Zdobycza zyskał dzięki bliskim związkom z ruchem reformatorskim. Wilhelm II miał zwyczaj publicznie przeklinać, a jego okrzyki w rodzaju: „Na Święty Krzyż z Lukki!”, czy: „Na twarz świętego Łukasza!”, przyniosły mu złą sławę. Kościół traktował z pewną dozą cynizmu, dostrzegając sprzeczność jego wybujałych aspiracji z jawnymi grzechami wielu kościelnych notabli. Miał lekarza Żyda i utrzymywał przyjazne stosunki ze społecznością żydowską; zaproponował nawet Żydom, żeby go nawrócili na judaizm, co powszechnie uznano za żart w bardzo złym guście. Jeśli chodzi o biskupów, Wilhelm traktował ich na równi z pozostałymi bezpośrednimi lennikami Korony: musieli wywiązywać się ze wszystkich powinności na rzecz aparatu władzy – zarówno wojskowych, jak i finansowych. Ponieważ nie mogły im się przytrafić przygody w postaci małżeństwa czy opieki nad nieletnim spadkobiercą – potężne źródła dochodów korony – Wilhelm przez dłuższy czas nie obsadzał wielu diecezji, zgarniając dochody dla siebie. Metoda była niewyszukana i budziła dziką wściekłość kleru. Wilhelm postępował bez skrupułów, oni nie pozostawali mu dłużni. Byli nie tylko świetnymi prawnikami, ale także uzdolnionymi fałszerzami. Mnisi nie tylko dokonywali rozmaitych machinacji z otrzymywanymi nadaniami ziemi, ale nawet fabrykowali zupełnie nowe. Po obu stronach Kanału działały całe gangi zawodowych fałszerzy, a kanceliści z Pałacu Laterańskiego stanowili śmietankę tej profesji. Co bardziej ekstremistycznie nastawieni prawnicy papiescy posuwali się do twierdzeń, że żadnego świeckiego dokumentu nie można cytować jako wiarygodnego źródła. Nie przypadkiem mniej więcej w tym okresie państwo angielskie zaczęło systematycznie gromadzić dokumenty – co instytucje kościelne czyniły już od wieków; *Exchequer*, Izba Skarbu, powstała prawdopodobnie za panowania Wilhelma II. Państwo, z pewnym opóźnieniem, zaczynało się bronić przed potężnym ruchem, który włączeniu wojowniczego idealizmu z systematycznym fałszowaniem prawdy wcale tak bardzo nie różnił się od dwudziestowiecznego komunizmu.

Dochodząc do siebie po chorobie, być może nie całkiem jeszcze przytomny, Wilhelm mianował włoskiego uczonego Anzelma na następcę Lanfranca w Canterbury. Anzelm był pobożnym intelektualistą, który nie nadawał się na stanowisko wymagające wielkiej odpowiedzialności politycznej. Miał typowo kontynentalne zapatrywania i, jak się wydaje, nigdy w pełni nie pojął szczególnej struktury angielskiego państwa oraz miejsca, jakie tradycyjnie zajmował w nim Kościół. Gdy tylko objął swój urząd, okazało się, że jest zagorzałym papistą, koncentrującym się, z właściwą sobie pedanterią filozofa, na subtelnym i zawitych kwestiach zasad prawnych, z pominięciem wszelkich innych względów, w tym zdrowego rozsądku. Wilhelm oczekiwał od swoich prałatów rad prostych i jasnych – od Anzelma natomiast usłyszał paplaninę na temat prawa kanonicznego; z punktu widzenia Wilhelma było to tak, jakby

kapelan polowy usiłował uczyć naczelnego dowódcę sztuki wojennej. W efekcie Anzelm udał się na dobrowolne wygnanie, oświadczając z niewzruszonym spokojem fanatyka: „Nie ośmieliłbym się stanąć w dniu Sądu przed tronem Bożym, gdyby prawa mojego urzędu zostały uszczuplone”. Posiłkując się rzeczowym tonem swego ojca, Wilhelm napisał do papieża Urbana II:

Jestem zdumiony, że starasz się interweniować w sprawie przywrócenia Anzelma na jego stanowisko. Zanim opuścił królestwo, ostrzegłem go, że jeśli wyjedzie, przejmę wszystkie jego dochody. Spełniłem swoje groźby, tak jak miałem prawo uczynić, i nie masz słuszności, gdy mnie o to winisz.

Widać wyraźnie, że Wilhelm miał za sobą większość opinii publicznej, w tym niemal wszystkich biskupów; warto też zauważyć, że jego brat i następca, Henryk I, który dokładał wszelkich starań, by traktować Kościół z atencją i z szacunkiem, szybko poczuł się zmuszony prowadzić te same spory z Anzelmem i zareagował dokładnie tak samo*. Prawda polega bowiem na tym, że żaden król Anglii, który pragnął zachować w stanie nienaruszonym utrwalone przez stulecia prawa angielskiego państwa, nie mógł sobie pozwolić na żaden kompromis z kontynentalnym papizmem. I tylko w chwilach gdy – jak na przykład za panowania Stefana – wewnętrzne spory istotnie osłabiały państwo, zwolennicy kontynentalizmu mogli osiągnąć jakikolwiek sukces.

Opierając się zakusom tej międzynarodowej organizacji z siedzibą w Rzymie, normandzcy zwycięzcy utrzymywali ciągłość historycznego rozwoju Anglii. Podobnie czynili zresztą w wielu innych ważnych sprawach. Pokolenia historyków tak goriwie analizowały połączenie pierwiastków angielskiego i normandzkiego w kategoriach moralnej, narodowej czy kulturalnej wyższości, opowiadając się po jednej albo drugiej stronie, że niektórzy autorzy sytuowali się wręcz na granicy śmieszności. Weźmy na przykład Carlyle'a, zdeklarowanego „Normana”:

Czymże byłaby Anglia, gdyby nie Normanowie? Krajem zamieszkanym przez rasę żarłocznych Jutów i Anglów, niezdolnych do żadnych wyższych zatrudnień; gnuśnie człapiących ze spokojem pasibrzucha; bez marzeń o heroicznych zmaganiach, ciszy i wytrwałości, jakie wiodą ku wyższym regionom Uniwersum i ozłoconym szczytom zamieszkałym przez duchy Świtania.

* Henryk miał u mnichów piszących historię lepszą prasę niż jego brat Wilhelm, chociaż moralnie prowadził się o wiele gorzej; był ojcem co najmniej 19 bastardów – rekord wśród angielskich monarchów.

Freeman, „Anglosas”, popada w przeciwną skrajność:

Musimy zrozumieć, że to ten sam duch, który podyktował *Petition of Rights**, zgromadził całą Anglię pod sztandarami Godwine'a, a także pamiętać, że Harold zginął na polu bitwy, Waltheof zaś oddał życie na szafocie za nic innego jak za „starą, dobrą sprawę”.

Spór toczy się dalej, nawet wśród świetnie erudycyjnie i metodologicznie przygotowanych historyków współczesnych. Jednak przyjmując postawę bardziej realistyczną, należałoby spojrzeć na Anglię przede wszystkim przez pryzmat jej instytucji i sposobu życia wyznaczanych przez położenie geograficzne, są to bowiem czynniki znacznie ważniejsze niż obyczaje plemienne. Normanowie zastali w Anglii zjednoczone społeczeństwo, opierające się na wyrafinowanym systemie prawnym i silnej, cieszącej się powszechną aprobatą monarchii. Przejęli to cenne dziedzictwo, utożsamili się z nim, po czym je rozwinęli – nie zmieniając jego zasadniczych podstaw. Z całą pewnością nie narzucili Anglikom jakiegoś abstrakcyjnego pomysłu zwanego „systemem feudalnym”**. Pod względem form własności ziemskiej rozwój Anglii od VIII wieku biegł podobnym torem, jak w krajach północno-zachodniej Europy. Różnica polegała jedynie na tym, że administracja państwa angielskiego, dzięki barierom, jakie stanowiły Kanał i Morze Północne, miała charakter organizacji cywilnej, podczas gdy państwa Europy kontynentalnej, gdzie granice były wciąż niepewne i płynne, musiały organizować się na zasadach militarnych. Wilhelm Zdobywca i jego następcy nie mogli tak zupełnie oderwać się od swoich kontynentalnych korzeni, a tym samym do pewnego stopnia musieli zmienić styl działania administracji angielskiej. Społeczeństwo staroangielskie miało zasadniczo rolniczy charakter, Wilhelm reprezentował społeczeństwo militarne. Anglicy prosperowali ujarzmiając ziemię, Normanowie – ujarzmiając ludzi. A zatem do spraw administracyjnych, zwłaszcza powinności podatkowych, podchodzili z całkiem odmiennych punktów widzenia. Angielskie jednostki obliczeniowe stanowiły: akr, łan (*hide*), secina (*hundred*), hrabstwo (*shire*). Ale, oczywiście,

* Petycja Praw, przedstawiona w 1628 r. przez Parlament Karolowi I. W zamian za uchwalenie subsydiów Parlament domagał się w niej zniesienia sądów wojennych, ochrony przed arbitralnym opodatkowaniem, aresztowaniem i więzieniem bez wyroku sądowego oraz przymusowym kwaterunkiem wojsk (przyj. tłum.).

** Mogli znać słowo *feodal*, oznaczające dzierżawcę lenna (łacińskie *feudum*), ale „feudalizm” – zakładając, że istniałby wtedy taki termin – byłby dla nich nic nie znaczącą abstrakcją. Wyrażenia i pojęcia w rodzaju „feudalna Anglia”, „feudalna armia” itp. stanowią wynalazek nowożytnych miłośników starożytności. Termin „feudalny” po raz pierwszy pojawił się w druku w roku 1614 i od tamtej pory historycy posługują się nim całkiem dowolnie, siejąc zamęt w głowach bogu ducha winnych uczniów. Bardziej stosowny wydaje się, o ile to w ogóle możliwe, w roli niewybrednego gazetowego wyzwiska, w rodzaju: „feudalni magnaci z Jockey Club” itd.

były to jednostki umowne, dla celów podatkowych, a nie realne wielkości. Podstawowa jednostka normandzka miała charakter militarny: był nią uzbrojony rycerz. Miarą zamożności, a tym samym – obciążeń podatkowych, była liczba rycerzy, jaką można było z danych ziem wystawić lub opłacić. A ponieważ w praktyce rycerze służyli pod sztandarami wielkich panów, Normanowie – do celów administracyjnych – postrzegali kraj jako zbiór wielkich posiadłości, za które odpowiedzialność ponoszą konkretne osoby, nie zaś jako jednostki terytorialne, gdzie odpowiedzialność spoczywa na całej zbiorowości. Niemniej i w tym przypadku, podobnie jak w przypadku seciny, chodziło o rycerza jako umowną jednostkę fiskalną, a nie rzeczywistego rycerza w zbroi, na żywym koniu. Gdy tylko uwzględnimy tę okoliczność, możemy spokojnie zrezygnować ze słowa „feudalny”, które w warunkach angielskich wprowadza jedynie zamieszanie. Podstawowym celem administracji, czy to angielskiej, czy normandzkiej, było zebranie pieniędzy. Anglicy posługiwali się w tym celu kluczem terytorialnym, Normanowie – osobowym. Toteż informacje zgromadzone w *Domesday Book* zebrano najpierw w porządku terytorialnym, a następnie uporządkowano w obrębie każdego hrabstwa według stanu posiadania bezpośrednich lenników króla (*tenants-in-chief*), według Normanów bowiem odpowiedzialność spoczywała nie na społecznościach, ale na osobach.

Zmiana dotyczyła jednak bardziej nawyków i nastawień niż fundamentalnych różnic w postępowaniu. Anglicy uważali, że armia powinna składać się z mieszkańców poszczególnych okręgów, broniących swego terytorium na zasadzie pospolitego ruszenia. Normanowie zaś – że to wielcy panowie powinni organizować wojsko w zależności od wielkości lenna, jakie otrzymali od króla. Oczywiście, w praktyce żaden z tych systemów nigdy się nie sprawdził. W kryzysowej sytuacji państwo angielskie i normandzkie tworzyło armię z grubsza tak samo: zaciągając najemników i dołączając tyłu miejscowych, ilu się udało zgromadzić. Te dwa rywalizujące systemy były więc w rzeczywistości dwoma nieco innymi sposobami zbierania pieniędzy na żołd dla zawodowych żołnierzy. W ówczesnych warunkach był to jedyny sposób, by zapewnić sobie posiadanie na polu walki skutecznej armii oraz utrzymać ją w boju, dopóki nie spełni swych zadań.

Zadanie polegało zaś na obronie państwa przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi: utrzymaniu jego integralności. Anglicy zapewne narzekali na nowe królewskie podatki, których wysokość, całkiem niesłusznie, traktowali jako normandzką innowację. Jednak Wilhelm i jego następcy, dzięki umiejętności panowania nad sytuacją militarną, co zależało z kolei od stałego dopływu gotówki, ustanowili bardzo wysokie standardy funkcjonowania władzy monarszej. W pełni wykorzystali możliwości odziedziczonej instytucji i nadali jej nową dynamikę. W XI stuleciu staroangielskie państwo chyliło się ku upadkowi. Wzrostowi potęgi lokalnych magnatów i względnemu spadkowi docho-

dów królewskich towarzyszył znaczny, przytłaczający konserwatyzm społeczny, który znalazł wyraz w niezliczonych nadaniach i dokumentach. Dynamiczny impuls rządów Alfreda i jego bezpośrednich następców poszedł całkowicie na marne. Zupełnie jakby staroangielskie społeczeństwo odwracało się plecami do rzeczywistości. Edward Wyznawca osobiście nadał ton:

Ja, Edward, z Bożej łaski król całego narodu Anglików, nietrwale dobra tego świata mając za nic oraz pragnąc, jak wszystkie istoty śmiertelne, dostąpić dóbr wiekui-
istych, przekazuję nie zwlekając tę ulotną i bez wątpienia nietrwałą majątność w nadziei, abym mógł otrzymać miejsce wiecznego zamieszkania w królestwie Chrystusa Pana naszego.

Wszystko to było niewątpliwie bardzo pobożne, ale równocześnie zabójcze dla silnej władzy centralnej, jakiej pragnęli i potrzebowali Anglicy. Bada byłby bardzo zawiedziony. Nadmierne uleganie obyczajom kontynentu zawsze stanowiło zagrożenie dla Anglii, podobnie jak nadmierny izolacjonizm. Najazd normandzki stanowił więc niezbędną korektę. Gwałtowne zmiany własności ziemskiej, jakie nastąpiły po Hastings, nie tylko zatrzymały, ale nawet odwróciły proces erozji własności królewskiej. Wilhelm Zdobywca wyrósł w twardej, kontynentalnej szkole nieustannej walki wśród ciągłych zagrożeń. Doceniał więc, może nawet bardziej niż sami Anglicy, jak trudno było osiągnąć wewnętrzną stabilność angielskiego państwa, jak łatwo ją można wystawić na szwank i jak ważne było w tej sytuacji utrzymanie i wzmocnienie instytucji silnej monarchii. Niewątpliwie był królem mocno osadzonym w tradycji angielskiej, tyle że dużo skuteczniejszym od swoich bezpośrednich poprzedników. Jego synowie kontynuowali dzieło ojca i stopiwszy kontynentalne innowacje, w postaci Izby Skarbu (*Exchequer*) i Kancelarii (*Chancery*), ze strukturami maszyny administracyjnej staroangielskiego państwa, zbudowali najpotężniejszy instrument władzy monarszej w całej ówczesnej Europie.

W rezultacie w Anglii nastąpił znaczny wzrost poziomu życia. Sprzyjały mu także inne okoliczności: lata 1050–1300 należały do najbardziej korzystnych klimatycznie okresów w czasach historycznych*; odżywał międzynarodowy handel, następował stały wzrost areалу ziemi uprawnej. Rozwijały się miasta; rosła populacja wyspy. Anglo-normandzkie państwo dość szybko zniosło też instytucję niewolnictwa na wsi, która w konserwatywnej Anglii utrzymała się znacznie dłużej niż na kontynencie. Za czasów starego reżimu nawet wysoko postawieni członkowie rodziny królewskiej otwarcie angażowali się w handel niewolnikami**. Królowie anglo-normandzcy – wprost przeciwnie – uważali

* Por. H. H. Lamb, *The Changing Climate*, 1966.

** Nie byli w tym osamotnieni. Szczery angielski patriota, William z Malmesbury, powiada, że angielska szlachta miała zwyczaj „sprzedawać swoje służące, gdy zaspokoiwszy swe żądze, uczynili je brzemieniami, do domów publicznych lub w niewolę za granicę”.

takie praktyki za niegodne, a ich sądy bardzo chętnie zwalniały niewolników z dalszej służby. Podobnie mógł w nich dochodzić swych praw zwykły *villein* (półwolny) lub chłop przypisany do pańskiej ziemi, jeśli jego status budził jakieś wątpliwości prawne. Wszystkie udoskonalenia w działaniu administracji, wynikające ze wzmocnienia władzy centralnej, miały na celu uściślenie stosowanych kategorii i precyzyjniejsze określenie ciężących na każdym powinności; z tego względu, oczywiście, trudniej przychodziło teraz *villeinowi* wykręcić się od swych obowiązków. Nie ma jednak dowodów świadczących o tym, że znaczne ograniczenie wolności zwykłego wieśniaka nastąpiło dopiero w wyniku najazdu Normanów; istotne kroki w tym kierunku poczyniono już w X i XI wieku, a więc wcześniej. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że chłop mógł teraz postrzegać prawo (o ile tylko było go stać na korzystanie ze sprawiedliwości) jako dostępną dla siebie drogę do wolności. Tak czy inaczej, zmiana struktury własności ziemskiej, jaka nastąpiła pod koniec XI wieku, poprzez wzmocnienie systemu ściągania podatków na wszystkich szczeblach sprzyjała wzrostowi produkcji rolnej – był to jedyny sposób, w jaki świat średniowiecza mógł wyrwać się z ekonomicznej pułapki produkcji wyłącznie na potrzeby własne. Najazd normandzki przyniósł tym samym zbawienny impuls popychający angielskie społeczeństwo na drogę rozwoju, nie zmieniając jednak w istotny sposób jego dotychczasowego kierunku.

Wilhelm Zdobywca najwyraźniej nie sądził, że trzeba czy też warto wiązać Anglię na stałe, poprzez osobę wspólnego monarchy, z wielkimi posiadłościami na kontynencie. Bardziej odpowiedzialnemu ze swych synów dał więc królestwo, a pierworodny, Robert, odziedziczył księstwo Normandii. W dłuższej perspektywie bieg wypadków potwierdził słuszność koncepcji Wilhelma. Jednak na krótką metę szaleństwa Roberta doprowadziły do zjednoczenia obu terytoriów i przez ponad stulecie Anglia stanowiła politycznie część systemu kontynentalnego*. Wywarło to niezatarty wpływ na rozwój języka angielskiego. Gdyby zrealizowano wolę Zdobywcy, Kanał odegrałby rolę bariery nie tylko politycznej, ale i językowej i w szybkim tempie językiem anglo-normandzkiej klasy rządzącej zostałby angielski. Normandię utracono jednak dopiero w roku 1204, a do tego czasu francuski zdążył stać się – i na długo pozostał – urzędowym językiem administracji; w każdym razie na jej wyższych szczeblach. Rzecz

* Robert ostatecznie utracił Normandię na rzecz Henryka I w roku 1106 i spędził pozostałych trzydzieści lat życia w angielskich więzieniach. Niewykluczone, że podczas pobytu w zamku w Cardiff nauczył się walijskiego; poemat w tym języku, przypisywany Robertowi, oplakuje los tych, „którzy nie są dość starzy, by umrzeć”. Syn Zdobywcy został pochowany w katedrze w Gloucester, pod wspnianiałym, barwnym, drewnianym nagrobkiem z jego podobizną. Powiodło mu się więc w tym względzie lepiej niż ojcu, którego wspnianiał grobowiec w Caen padł łupem kalwinistów w roku 1562; jedyną ocalałą kość udową pochowano w nowym grobowcu, który z kolei został doszczętnie zdemolowany w trakcie rewolucji francuskiej w roku 1793. Jedyne prosta płyta kamienna upamiętnia dziś największego króla w dziejach Anglii.

jasna, szerokie rzesze Anglików nigdy nie nauczyły się mówić po francusku. Na przykład zeznania dla potrzeb *Domesday Book*, zanim spisano je po łacinie, składały dwie zaprzysiężone grupy urzędników: angielska i francuska. Do pewnego stopnia administracja musiała być więc dwujęzyczna. Władza centralna mówiła po francusku i jedną z przyczyn, dla których angielscy notable nie odgrywali w niej praktycznie żadnej roli, był fakt, że nie mogli aktywnie uczestniczyć w długich debatach toczonych na dworze w języku francuskim. Anglik, który osiągał jakąś znaczącą pozycję w aparacie władzy, stawał się osobą francuskojęzyczną; podział językowy przebiegał więc raczej według przedziałów społecznych, a nie etnicznych. W Anglii zaczęła powstawać literatura francuska, a francuski dialekt, jakim posługiwano się na wyspie, wkrótce nabrał wyraźnych cech odróżniających go od kontynentalnej francuszczyzny.

Mimo to wielu członków klasy rządzącej cechowała dwujęzyczność. Znajomość obu języków stanowiła po prostu atut praktyczny. Henryk I znał nieco angielski; Henryk II rozumiał angielski świetnie, choć w mowie wołał posługiwać się francuskim albo łaciną. Niektórzy duchowni rodem z kontynentu nauczyli się nie tylko mówić po angielsku, ale także czytać staroangielskie teksty i dokumenty. Stosunek do języka zależał, oczywiście, od tego, czy ktoś urodził się i wychował w Anglii – w takim przypadku angielski był najczęściej jego pierwszym językiem. Historyk Odericus Vitalis, który urodził się w Anglii za czasów Wilhelma Zdobywcy z ojca Normana i matki Angielki, gdy w wieku lat dziesięciu znalazł się w Normandii, musiał się uczyć francuskiego od podstaw. Pod koniec XII wieku człowiek piastujący ważne stanowisko w administracji narażał się na otwartą krytykę, jeśli w ogóle nie mówił po angielsku. Wszystkie wyraźne różnice etniczne zatarty się dużo wcześniej i podział językowy miał z biegiem czasu charakter coraz bardziej funkcjonalny. Richard Fitz-Nigel, skarbnik królewski, pisał około roku 1179: „Anglicy i Normanowie żyją między sobą i między sobą się żenią, toteż obie rasy do tego stopnia się stopiły, że dziś z największym trudem przyszłoby odróżnić – mówię tu tylko o ludziach wolnego stanu – kto z pochodzenia jest Anglikiem, a kto Normanem”.

Po utracie Normandii, gdy ludzie, którzy mieli ziemię po obu stronach Kanału, musieli wybrać wierność jednej ze stron, czynnik decydujący o stałym posługiwaniu się francuskim nagle zniknął. Już dużo wcześniej w kręgach elity pojawiły się narzekania, że nie należy powierzać dowództwa zamków obronnych obcym, a angielskie dziedziczki nie powinny poślubić ludzi, których urodzenie może im przynieść ujmę, „to jest ludziom, którzy nie pochodzą z narodu królestwa Anglii”. Francuski utrzymywał się jednak w roli wyróżnika przynależności klasowej. Paradoksalnie to zdecydowany konserwatyzm Anglików – zwłaszcza prawników i urzędników – sprawił, że francuski pozostał oficjalnym językiem administracji. Około roku 1400 pojawiają się podręczniki do nauki francuskiego dla klas wyższych. Najwyraźniej w tym czasie już nikt nie mówił

tym językiem od urodzenia, natomiast w spetryfikowanej postaci wciąż uchodził on za niezbędny w kwestiach prawa i zarządzania państwem. Ale już w XIII wieku niektóre statuty spisywano nie tylko po łacinie i francusku, ale także po angielsku. W XIV wieku wojna, nacjonalizm i wrogość między oboma narodami definitywnie usunęły francuski z obiegu. W roku 1356 burmistrz i aldermani (ławnicy) Londynu zarządzili, aby postępowanie w londyńskich sądach prowadzono w języku angielskim. Sześć lat później po raz pierwszy Parlament został otwarty mową wygłoszoną po angielsku; przyjęto wtedy *Statute of Pleading*, ustanawiający regułę, że od tej pory, jako że język francuski „jest prawie nie znany w rzeczonym królestwie”

[...] król [...] postanawia [...], aby wszelkie sprawy, wnoszone we wszystkich jego sądach, przed którymkolwiek z jego sędziów lub w innych miejscach ku temu stosownych, lub przed którymkolwiek z jego pełnomocnych urzędników, lub w sądach i należnych miejscach przed innymi panami tego królestwa, przedstawiano, broniono, argumentowano, dyskutowano i osądzano w języku angielskim, i aby następnie były spisywane i wciągane do rejestru po łacinie.

Warto zauważyć, że ten zwycięski pochód angielskiego dokonał się wbrew gwałtownemu oporowi aparatu władzy, gdyż francuski był ówczesnie w mowie, tak jak łacina w piśmie, międzynarodowym językiem kultury – zwłaszcza środowiska prawnicze i uniwersytety stanowiły główne bastiony oporu przeciw angielszczyźnie. W ostatnim dziesięcioleciu XIII wieku klasztory w Canterbury i Westminsterze wprowadziły regulaminy zabraniające nowicjuszom posługiwania się angielskim i wymagające, aby wszystkie rozmowy prowadzono po francusku. Oksfordzki statut z XIV wieku nakazywał prowadzenie analiz gramatycznych po francusku, „gdyż w przeciwnym razie język francuski całkiem wyjdzie z użycia”; uskarżano się, że członkowie Merton College rozmawiali po angielsku (i nosili „nieobyczajne obuwie”). Około roku 1400 było już jednak po wszystkim; francuski stał się całkowicie i we wszystkich dziedzinach, z wyjątkiem pewnych specyficznych zastosowań prawnych, językiem obcym.

Do tego czasu angielski wyciągnął jednak z owego procesu ogromne korzyści. Wracając do roli pełnoprawnego języka życia społecznego, musiał wchłonąć wiele podstawowych terminów francuskich związanych z administracją, sądownictwem oraz innymi zajęciami klas wyższych. Warto zauważyć, że większość z tych słów weszła do angielskiego w XIII i XIV stuleciu, czyli wtedy, gdy sam francuski właśnie w szybkim tempie wychodził z użycia. Ogólna liczba słów francuskich przejętych przez język średnioangielski wynosiła nieco ponad 10 tysięcy, z czego 75% używa się do dziś. Ponad 40% z tych 10 tysięcy weszło do angielskiego w latach 1250–1400; w latach 1350–1400 – trzy razy więcej niż we

wszystkich pozostałych pięćdziesięcioleciach*. Jeszcze ważniejsze były jednak wewnętrzne zmiany w strukturze języka, towarzyszące procesowi wzbogacania zasobu słownictwa. Dialekt z Wessex, czyli język władzy i administracji w państwie staroangielskim, był równie nieporadny co konserwatywny. Podbój normandzki zadał mu jednak cios śmiertelny. Angielski w wersji, w jakiej wyłonił się w roli języka urzędowego (czyli ostatecznie także uniwersalnego), w okresie późnego średniowiecza opierał się głównie na dialekcie z Mercji, w postaci używanej w południowo-wschodnich *midlandach*, zwłaszcza w Londynie. Był to język znacznie elastyczniejszy i zdolny do dynamicznego rozwoju. Język staroangielski w formie, w jakiej używano go przed podbojem normandzkim, jest dziś dla nas zasadniczo językiem obcym; natomiast tak zwany średnioangielski, język Chaucera, jest jedynie archaiczną wersją współczesnej angielszczyzny. Podbój normandzki przyczynił się więc w decydującym stopniu do wykształcenia się angielskiego jako międzynarodowego języka polityki, kultury i handlu – w której to roli, jak na ironię, zastąpił ostatecznie francuski.

W roku 1153 dwaj najwięksi magnaci w Anglii, earl Chester i earl Leicester, zasiedli ze swymi kancelistami do stołu, by podpisać między sobą traktat. Jego tekst szczęśliwie dochował się do naszych czasów i jest dokumentem szalenie interesującym, jako że bardzo szczegółowo formułuje warunki rozwiązywania sporów granicznych oraz innych kwestii spornych między oboma baronami i ich lennikami. Osobę króla wspomina się tylko raz, a i to jedynie pośrednio. Na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że angielskie państwo po prostu przestało istnieć i utrzymanie jakichkolwiek form politycznej stabilności zależy teraz wyłącznie od osobistych wysiłków niezależnych lokalnych suwerenów oraz od umów, jakie między sobą zawierają. Pierwsze wrażenia bywają jednak często zwodnicze. Wspomniany dokument i motywy, które doprowadziły do jego powstania, nie są bynajmniej świadectwem anarchii, wprost przeciwnie, stanowią wyraz głębokiej tęsknoty Anglików za jakimś rodzajem prawa i porządku. Ci dwaj wielcy anglo-normandzcy panowie starali się w miarę swych możliwości sformułować garść orientacyjnych reguł, które mogłyby wypełnić istniejącą próżnię prawną. Nie odrzucali państwa; starali się właśnie wzmocnić jego słabnący autorytet. I choć traktat spisano po łacinie, a warunki omawiano i ustalono w normandzko-francuskim, to intencje autorów noszą znamię

* Wiele z nich stanowiło duplikaty słów staroangielskich; pod koniec średniowiecza członkowie klasy wyższej, a zwłaszcza ci, którzy do niej aspirowali, woleli używać słów pochodzenia francuskiego. Ostatnio pojawił się proces odwrotny – używanie słów pochodzenia francuskiego zamiast „uczciwych” i „konkretnych” słów angielskich uważa się za znamię złego gustu i afektacji typowej dla podmiejskiej klasy średniej. Toteż należy mówić *looking-glass* zamiast *mirror* [oba słowa oznaczają lustro]. Takie rozróżnienia czasem wprowadzają jednak zamieszanie: *lavatory* ma być bardziej odpowiednie niż *toilet*, choć oba słowa są pochodzenia francuskiego [oznaczają ubikację].

postawy odpowiedzialnych Anglików. W osiemdziesiąt lat od normandzkiego podboju wybitni członkowie angielskiej klasy rządzącej przejawiali już odruchy prawdziwych wyspiarzy.

Tak zwana „anarchia”, do jakiej rzekomo doszło podczas panowania Stefana, jest w istocie jednym z najbardziej interesujących i pouczających epizodów w dziejach Anglii. Stanowiła wyjątek, który daje nam prawdziwy klucz do zrozumienia reguły. W świetle dzisiejszej wiedzy przerażenie, jakie wzbudziła we wszystkich warstwach angielskiego społeczeństwa, było zgoła nieproporcjonalne do faktycznych wydarzeń. Oczywiście, bardzo nieszczęśliwie się złożyło, że jedyny syn i dziedzic Henryka I utonął w katastrofie, w stylu „Titanica”, spowodowanej pijaństwem załogi „Białego Okrętu”*. Jeszcze gorzej, że Henryk starał się następnie, wbrew wyraźnej niechęci Anglików, uczynić następczynią tronu swą córkę Matyldę. Wychowana na niemieckim dworze cesarskim, budziła swymi nieznośnie germańskimi manierami opór wszystkich klas społecznych; co więcej, Henryk pośpiesznie wydał ją ponownie za mąż za dziedzica domu Anjou, uważanego przez Anglo-Normanów za odwiecznych wrogów. W tej sytuacji trudno się dziwić, że po koronę sięgnie – i ją dostanie – Stefan, jeden z wnuków Wilhelma Zdobywcy i najbogatszy posiadacz ziemski w północno-zachodniej Europie, pan pół miliona akrów tylko po tej stronie Kanału. Jak się okazało, wybór nie był najszcześniejszy. Stefan był – jak powiada *Chronicle* – „miękki”. Brakowało mu „krzepkiego głosu”, w czasie bitwy musiał więc wydawać rozkazy za pośrednictwem herolda. Był też niezdecydowany. W niektórych jego nadaniach słychać ton usprawiedliwień; w jednym, na rzecz katedry w Worcester, przyznaje się, że podjął złą decyzję, bo nie zasięgnął właściwych rad. Z drugiej strony zdarzało mu się postępować arbitralnie i działać z pominięciem stosownych procedur prawnych. Przyjazny, zwłaszcza

* Znamienici pasażerowie też byli wszyscy pijani. Gdy Stefan zobaczył, co się dzieje, odmówił wejścia na pokład, dzięki czemu mógł w przyszłości zostać nieszczęśliwym królem. Pijaństwo uważano za przywarę angielską, nie normandzką. Być może jednak do tego czasu wielu Normanów przejęło już angielskie zwyczaje. William z Malmesbury powiada o Anglikach: „Powszechnym obyczajem było picie w większej kompanii, na czym spędzali całe dni i noce. [...] mieli obyczaj jeść aż do przesyty i pić, póki się nie pochorowali”. Kleksę pod Hastings przypisuje właśnie pijaństwu Anglików. Normanowie, przeciwnie, powstrzymywali się od picia, choć lubili wykwintne potrawy. Wilhelm Zdobywca pił niewiele, mieszając wino z wodą; Henryk I „pił tylko tyle, aby zaspokoić pragnienie, i ubolewał nad każdym przejawem ulegania skłonności do pijaństwa, zarówno u siebie, jak u innych”. Inne źródło podaje, że nigdy „nie pił więcej niż trzy razy po zakończeniu uczt”. Walter Map pisząc o dworze Henryka I podaje jednak, że obowiązywało stałe polecenie wstawiania karafki z winem do królewskiej sypialni. Ponieważ król nigdy o nie nie prosił, zwykle wypijali je służący; pewnej nocy Henryk rozkazał podać wino i wtedy okazało się, że wina nie ma. Pałacowe obyczaje nie zmieniają się tak często. W zamku Balmoral co noc przeznaczano butelkę whisky na użytek królowej Wiktorii; królowa nigdy jej nie tknęła i przez dziesięciolecia butelka padała łupem służby. Dopiero Edward VII po wstąpieniu na tron odkrył i zniósł tę praktykę.

wobec dzieci, rycerski i szczodry. Z pewnością bardzo się starał. Warunki życia sprawiały, że wczesnośredniowieczny król musiał wykazywać się niezwykłą wytrzymałością fizyczną. Stefan był w tym względzie prawdziwym męczennikiem królewskich obowiązków. Na przykład w roku 1139 odbył co najmniej 34 większe podróże, objeżdżając dosłownie całe królestwo, i brał udział w pięciu większych oblężeniach; praktycznie nie zsiadał z konia jak rok długi, niezależnie od pogody. Zmarł wyczerpany i odarty z wszelkich złudzeń związanych z władzą, toteż nic dziwnego, że jego syn zrzekł się praw do tronu w zamian za rekompensatę pieniężną. Jednakże mimo licznych wysiłków Stefanowi nie udało się zachować jedności królestwa. Nadal podnoszono pretensje Matyldy; nastąpił okres walk, które nie przyniosły rozstrzygnięcia, a wtedy Anglicy gromkim chórem zakrzyknęli: „Anarchia!”

Tyle że była to skandaliczna przesada. Sławny *passus* w kronice z Peterborough, nasze najbardziej autorytatywne źródło dla epoki panowania Stefana, maluje przerażający obraz chaosu i rozszalałych namiętności. Mówi o „dziewiętnastu strasznych zimach”, gdy „Chrystus i jego święci byli pogrążeni we śnie”, i opisuje z zapierającymi dech szczegółami potworne męczarnie i niegodziwości, jakie stały się udziałem ludu, gdy państwo abdykowało, a ster wydarzeń przejęli rozmaici desperaci i szaleńcy. Wersja z Peterborough stała się oficjalną wykładnią dziejów Anglii, przytaczaną i podziwianą niezliczoną ilością razy przez całe pokolenia praworządnych Anglików, a także cytowaną w charakterze przestrogi, do czego może dojść, gdy załamuje się władza centralna. Wszelako cały ten fragment jest z pewnością grubą przesadą, a liczne szczegóły mogą być czystym zmyśleniem. To prawda, Peterborough należało do niewielu rejonów, w których władza istotnie przestała działać skutecznie. Jednak zaraz po sławnym opisie chaosu następuje długi wywód poświęcony powodzeniu i bogactwu, jakie w tym okresie było udziałem miejscowego opactwa, po czym z kolei idzie niesmaczna antysemitka historia, bez związku z jakimikolwiek faktami. Jako relacja z okresu panowania Stefana, ta końcowa część kroniki z Peterborough jest więc niemal całkowicie pozbawiona wartości.

Jakie są zatem fakty? Istotnie, doszło w trakcie tej „wojny domowej” do walk, ale nie miały one większego znaczenia. Toczyły się przez kilka lat, w środkowym okresie panowania Stefana, głównie w Wiltshire i Gloucestershire. Matylda nigdy nie opanowała nawet namiastki władzy centralnej, a kariery samowolnych baronów-rozbójników, takich jak Geoffrey de Mandeville, trwały krótko i kończyły się gwałtownie. Ich nielegalnie wznoszone zamki były tandetne i nie zostało po nich niemal śladu. W wielu hrabstwach przez cały czas skutecznie egzekwowano prawa Henryka I. Kancelaria królewska pracowała bez przerwy, choć w zmniejszonym składzie i z ograniczonym zakresem obowiązków. Podobnie aparat Skarbu, choć przeszkody, jakie napotykał w swej

działalności, zostały następnie, rzecz jasna, przesadnie wyolbrzymione przez ludzi przypisujących sobie zasługę przywrócenia go do pełnej świetności za panowania Henryka II. Stefan robił, co mógł, aby utrzymać wartość pieniądza; niektóre z jego siedmiu emisji były mniejsze, inne lżejsze niż powinny, pojawiło się także sporo monet nieregularnych, nie doszło jednak do jakiegś katastrofalnej dewaluacji, co sugerują kronikarze. Nawet tam, gdzie władza centralna istotnie zawiodła, miejscowi wielmoże starali się utrzymywać pokój na swoich terenach – jak dwaj earlowie wspomniani na wstępie. Zginęło niewielu Anglików, a ściśle biorąc – Normanów. Nie licząc prywatnych drużyn niektórych wielkich baronów, walki toczono głównie siłami najemników, walijskich (po stronie „cesarzowej”) oraz flamandzkich i bretońskich (po stronie Stefana). Warto zauważyć, że nawet w najbardziej spustoszonych rejonach opactwa, takie jak Malmesbury i Tewkesbury, realizowały w tym czasie ambitne i kosztowne przedsięwzięcia budowlane; za panowania Stefana rozpoczęto budowę oraz wykończono więcej budynków klasztornych i kościołów niż kiedykolwiek wcześniej.

Cały ten zgiełk powstał więc nie dlatego, że Anglicy doświadczyli anarchii, ale dlatego, że zbliżyli się do niej na tyle, by poczuć, jak straszne mogą być skutki rzeczywistego upadku wszystkich instytucji państwa. Za panowania króla Stefana Anglia była krajem bardziej stabilnym i lepiej rządzonym niż pozostałe królestwa w północno-zachodniej Europie. Anglików przeraził jednak już sam sposób, w jaki ich kraj zaczął się osuwać w stronę kontynentalnych norm i obyczajów. Zareagowali przesadnie, z naszej perspektywy rzecz by można – histerycznie, jednak ich reakcja wyrastała ze zdrowych instynktów. Bieg wydarzeń w trakcie panowania Stefana był na tyle niepokojący, by przekonać szerokie rzesze społeczeństwa, ze wszystkich warstw i stanów, że trzeba zdecydowanie i niezwłocznie zahamować proces upadku. Nic więc dziwnego, że Henryk II objął tron obdarzony potężnym mandatem zaufania społeczeństwa do silnej władzy centralnej – z czego z upodobaniem skorzystał. Anglicy jeszcze raz uciekli się do precedensu pisania swojej historii na gorąco, pod kątem bieżących potrzeb politycznych. W tej wersji Andegawieńczyk podjął więc po prostu zainicjowane przez Wilhelma I dzieło przebudowy monarchii staroangielskiej i zwykłą koleją rzeczy przekształcił się w pełnokrwistego mieszkańca wyspy. Powszechne zadowolenie, z jakim przyjęto jego koronację, dowiodło, że Anglicy nade wszystko cenią sobie skuteczną władzę centralną, działającą zgodnie z tradycyjnym prawem i obyczajem. Podbój normandzki przekształcił się w odległe wspomnienie, dynastia anglosaska zamieszkała w ludowej legendzie; narodową dumę Anglików bardziej satysfakcjonowały teraz opowieści o królu Arturze i jego rycerzach niż pamięć o niedawnej przeszłości. „Normalność” to były stare, dobre dni Henryka I. Nowego króla oceniano jedynie przez pryzmat zdolności do przywrócenia pożądanej spójności królestwa. Arystokracja to już nie byli obcy, cudzoziemcy, a jedynie klasa wyższa. Panowanie Stefana

w jednym błysku ukazało Anglikom przerażającą perspektywę przejęcia przez możnowładców roli, jaką ta grupa odgrywała na kontynencie. Przywracając prestiż korony, odnawiając i ulepszając działanie aparatu władzy, Henryk II jeszcze mocniej podkreślił dystans dzielący króla od wszystkich poddanych, niezależnie od warstwy społecznej; dystans, który stanowi podstawę równości wszystkich wobec prawa, a tym samym zasadniczy warunek jedności narodowej i etnicznej. Anglicy i Normanowie spotkali się ostatecznie w roli poddanych, a ponieważ doszło do tego w obrębie struktury i praw staroangielskiego państwa, w istocie to Normanowie stali się Anglikami. Utrzymano więź łączącą wyspę z kontynentem, ale o tym, jaka będzie natura i granice tych związków, twardo i wyraźnie zdecydowano wyłącznie po tej stronie Kanału.

Rozdział III

„To królestwo jest cesarstwem”

1154–1603

W styczniu 1308 roku król Edward II na polecenie papieża kazał aresztować wszystkich rycerzy zakonu templariuszy w Anglii, obłożył ich majątek sekwestrem i powołał komisje, w Londynie i Yorku (z udziałem papieskich inkwizytorów), które miały sądzić ich pod zarzutem herezji i moralnego zepsucia. Templariusze w większości – o ile nie całkowicie – byli niewinni i zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczali. Kłopot polegał jednak na tym, że byli zakonem bogatym; z biegiem czasu ze strażników świątyni Salomona w Jerozolimie przekształcili się w bogatych bankierów i posiadaczy ogromnych majątków ziemskich rozsiansych w całym świecie chrześcijańskim. Szczególnie cenne były ich posiadłości we Francji, na które padło chciwe spojrzenie Filipa IV. Zapragnąwszy ziemi i pieniędzy zakonu, Filip nie omieszkał wykorzystać posiadanych środków nacisku, by wymóc na papieżu rozwiązanie zakonu. Papież uległ i wkrótce rozpoczęły się procesy, które temu aktowi bezwstydnego grabieży miały dostarczyć moralnego alibi.

Templariusze nie narazili się Anglikom jakoś szczególnie, ale podobnie jak inni bogaci ludzie Kościoła, nie cieszyli się w Anglii zbyt dużą popularnością, a ich ziemie stanowiły dość łakomy kąsek. Powołano więc komisje. Tu jednak pojawiła się pewna trudność. Jak sprawić, żeby rycerze się przyznali? Jedyнным dostępnym środkiem wydawały się tortury, po które bez wahania sięgnięto we Francji i innych krajach. Biskupi z prowincji południowej na spotkaniu w Londynie dali się w końcu przekonać i zezwolili na stosowanie tortur, jednak towarzyszący im inkwizytorzy skarżyli się, że nie mogą znaleźć żadnego Anglika, który podjąłby się tego zadania. W Yorku biskupi z prowincji północnej byli oburzeni; oświadczyli, że tortury są w Anglii metodą nieznaną i całkowicie nielegalną, że nie zatrudniają oprawców i nie mają pojęcia, gdzie mieliby ich

szukać. Czy mieliby sprowadzać ich z zagranicy? Niech lepiej papież albo król Francji sami wykonują swoją brudną robotę. W całym tym osobliwym epizodzie słyhać wyraźną nutę angielskiej irytacji – dreszcz zgrozy, jaką budzi niegodziwość i barbarzyństwo obcokrajowców. W kwestiach prawnych, zwłaszcza gdy szło o szacunek dla paru niezbywalnych zasad przyzwoitości w zakresie stosowania prawa, Anglicy lokowali się już na innym – wyższym – poziomie niż ludzie z kontynentu; pewnych rzeczy już się w Anglii nie robiło i do pewnych rzeczy już nie można było Anglików przymusić. Równocześnie jednak – zarówno wówczas, jak i dziś – Anglicy byli narodem pragmatycznym; przejawiali przy tym skłonność do czegoś, co ich krytycy zwykli nazywać hipokryzją. Dali upust oburzeniu, po czym zabrali się do dzieła. W końcu templariusze byli zakonem zagranicznym, a ich majątki nie pomnażały bogactwa Anglii; jeśli papież w swej mądrości pragnął, aby im je odebrano, kimże byli Anglicy, żeby mu odmówić? W rezultacie procesy odbyły się także w Anglii. Jak uzyskano obciążające zeznania, dokładnie nie wiadomo, jednakże templariusze wkrótce zaczęli przyznawać się do winy. Honor Anglików został uratowany, a w jakiś czas później została także zaspokojona angielska chciwość. Większą część majątku templariuszy – który, zgodnie z życzeniem papieża, miał przypaść rycerzom św. Jana – gładko wchłonęła Korona angielska. Pomijając kwestie tortur, sprawa templariuszy stanowiła jednak znamienny precedens o złowieszczych implikacjach dla papieża, wszystkich zakonów i w ogóle rzymskiego katolicyzmu na wyspie. Anglicy nie zapomnieli tej pouczającej lekcji, która głęboko zapadła w ich narodową pamięć i z której w odpowiednim momencie zrobili nader stosowny użytek.

Zastosowanie tortur nie znalazło kontynuacji. Wielki sędzia i teoretyk prawa sir John Fortescue, pisząc ponad dwieście lat później na temat praw Anglii, z naciskiem podkreślał, że prawo angielskie zabrania stosowania tortur; był to jeden z przytaczanych przez niego przejawów wyższości prawa angielskiego nad systemami prawnymi innych krajów. O tym, że Fortescue wyrażał nie tylko opinie prawników, ale także odczucia większości Anglików, świadczy choćby powszechne oburzenie, jakie wywołał swymi poczynaniami John Tiptoft, earl Worcester. Tiptoft był jednym z najzdolniejszych świeckich uczonych swojej doby. Wiele podróżował po Bliskim Wschodzie i rejonie Morza Śródziemnego, spędził także dwa lata na włoskich uniwersytetach. Po powrocie do Anglii stał się zwiastunem nowych idei epoki odrodzenia i w tej roli jest ważną postacią w dziejach kultury angielskiej. Tiptoft przywiózł jednak ze sobą także inne zwyczaje i idee, które Anglikom wydawały się nie mniej znaczące, a przy tym budziły gwałtowną odrazę. Tiptoft wyraźnie za bardzo nasiąkł kontynentalną „kulturą”. Jako justycjariusz Edwarda IV uznał, że angielskie prawo zwyczajowe i statutowe nie nadaje się do realizacji jego zamierzeń – ostatecznego rozgromienia Lancasterów. W roku 1462 postawił przed sądem

i skazał na śmierć earla Oksfordu i Aubreya de Vere, stosując praktykę sądową, niesłusznie nazwaną przez Anglików *law padowe* (prawo padewskie) – barbarzyński, zagraniczny wymysł – która odmawiała Anglikowi jego tradycyjnego prawa do obrony. Przewód sądowy w tej sprawie nie był bardziej niesprawiedliwy niż wiele innych, jakie w tym okresie toczyły się z zachowaniem wszelkich reguł prawa angielskiego. Mimo to wywołał głębokie wzburzenie i stracenie obu oskarżonych uznano za zwykłe morderstwo. W roku 1468 Tiptoft kazał torturować w śledztwie dwu agentów Lancasterów, Corneliusa i Hawkinsa – był to pierwszy przypadek zastosowania tortur pod egidą prawa. Dwa lata później wprowadził dla zdrajców karę wbijania na pal, rodzaj egzekucji nie mniej barbarzyński od tradycyjnych kar angielskich, wszelako z pochodzenia włoski i najwyraźniej nieznośnie odrażający dla bezlitosnej i nigdy niesytej krwi londyńskiej gawiedzi. Gdy w tym samym roku wieziono Tiptofta na egzekucję na Tower Hill, potężny oddział dobrze uzbrojonych żołnierzy musiał go chronić przed wściekłością tłumu, który wśród okrzyków: „rzeźnik Anglii!”, gotów był rozerwać go na strzępy. Niewiele morderstw sądowych (upadek Tiptofta śmiało można tak zaklasyfikować) przyjęto z równie powszechnym zadowoleniem i jeszcze przez kilka pokoleń Tiptoft żył w ludowej pamięci jako potwór rodem z obcych krajów. Jak na ironię, Tiptoft z całą pewnością uważał się za cywilizowanego reformatora, który zaszczerpia wśród ciemnych i nieokrzesanych Anglików najnowsze zdobycze kontynentalnej myśli prawniczej.

Owo niezwykle przywiązanie, z jakim Anglicy odnoszą się do swego systemu prawnego (o ile w ogóle można go nazwać systemem), głębokie uczucia, jakimi go obdarzają, oraz porażająca ufność – często niczym nie uzasadniona – z jaką wierzą w jego zdolność do wymierzania sprawiedliwości, a także nieustępliwość, czy wręcz gwałtowność, z jaką opierają się wszelkim próbom wprowadzenia zagranicznych udoskonaleń, stanowią jedną z najtrwalszych cech narodowego charakteru Anglików. W pewnym sensie prawo jest jedyną prawdziwą angielską religią – jedynym zespołem przekonań, w który konsekwentnie i namiętnie wierzyła zdecydowana większość Anglików. Badając dowolny okres dziejów Anglii, z którego zachowały się przekazy pisemne, nie sposób nie natknąć się na uderzające świadectwa dogłębnej i upartej wiary w doskonałość prawa, o ile tylko – a jest to zastrzeżenie o podstawowym znaczeniu – stosuje się je zgodnie z tradycją i obyczajem. Wszelkie skargi i narzekania mają więc charakter wyłącznie konserwatywny. Nie przestrzega się praw. Prawo wyszło z użycia. Zostało zachwaszczone i zepsute, wypaczone przez niepotrzebne innowacje. Narzekania nie ustają i nie słabną, ale nieodmienne padają wyłącznie pod adresem wykonawców – królów, sędziów, szeryfów; samo prawo pozostaje nietknięte. Zachowuje dziewiczą cnotę, która zawsze przebiję się na światło dzienne, pod warunkiem że od czasu do czasu usunie się zbędne narośle i dodatki.

Stosunek Anglików do prawa stawia wszakże pewien delikatny problem przed każdą władzą, która chciałaby je ulepszyć, czy choćby w ogóle umożliwić jego skuteczne funkcjonowanie. Idea starożytnego i doskonałego systemu praw jest, oczywiście, iluzją. Taki system nigdy nie istniał i nie mógł istnieć. Jednak Anglicy tak mocno wierzą w jego istnienie, że każdy nowator z konieczności musi występować pod sztandarem konserwatyzmu. Zmiana może pojawić się tylko pod hasłem cofania wskazówek zegara do okresu wyimaginowanej przeszłości, gdy prawo kwitło w całej swej świetności i majestacie. Jedyną dopuszczalną formą postępu jest więc powrót do przeszłości – którą należy jednak tak zrekonstruować, aby zawierała w sobie wszystkie niezbędne elementy pożądanej zmiany. Na tym polega podstawowa zasada rządząca rozwojem angielskiego prawa, a w istocie także rozwojem wszelkich angielskich form konstytucyjnych. Aby zreformować teraźniejszość, należy nadać taki kształt przeszłości, żeby stała się przyszłością. Dzięki temu można zachować ciągłość, nie atakując niczych utartych przekonań (pozornie zostają nawet wzmocnione), a ruch naprzód przybiera postać regresu. Mamy tu do czynienia z procesem, który wymaga pogardy dla logiki, pewnej dozy samooszustwa, a często wręcz jawnej hipokryzji, ale tych akurat cech Anglikom nigdy nie brakowało.

Dopiero pamiętając o tej zasadzie, możemy przyrzec się rozwojowi angielskiego prawa w średniowieczu. Cały czas zachodzą w nim zmiany, a jednak każde nowe prawo jawi się jako element dotychczasowego obyczaju, nie jest więc postrzegane jako innowacja i nie wzbudza protestu, wprost przeciwnie: zawsze występuje jako reakcja, powrót do źródeł. Najwięksi władcy Anglii potrafili bardzo skutecznie stosować tę magiczną sztuczkę. Weźmy choćby Henryka II, być może najzdolniejszego magika z nich wszystkich. Nikt rozsądny nie nazwałby go radykałem. Był najbogatszym monarchą i największym posiadaczem ziemskim swojej doby, panem Anglii i połowy Francji na dokładkę – trudno o kogoś bardziej zainteresowanego utrzymaniem istniejącego porządku. Jego program polityczny był ewidentnie zachowawczy. Wilhelm I Zdobywca potwierdził prawa ustanowione przez Edwarda Wyznawcę, Henryk I uczynił to samo. Henryk II odziedziczył królestwo, które (jak powszechnie wierzone) znalazło się na krawędzi upadku, ponieważ dawne prawa popadły w zapomnienie, łamano je i fałszowano. Henryk II w swym statucie koronacyjnym obiecuje więc, że zmaże hańbę „dziewiętnastu strasznych zim” panowania Stefana, przywracając do dawnej świetności prawa obowiązujące za życia jego dziada. A zatem w pewnym sensie obiecuje powrót do złotego wieku panowania Wyznawcy.

Ale jak, ściśle biorąc, wyglądał ten złoty wiek? Nikt nie miał pojęcia. Obowiązujące prawo było niejasne, zagadkowe i pełne sprzeczności. Pisane wersje praw Wyznawcy stanowiły zagmatwane dokumenty, które często dotyczyły kwestii już nieaktualnych w latach sześćdziesiątych XII wieku; prawa Henryka I

także po większej części nie nadawały się do praktycznego użytku. Normowie odziedziczyli po państwie staroangielskim trzy różne systemy prawne: prawa Wessexu, Mercji i Danelaw; dodali do nich elementy swoich własnych, Kościół gorliwie starał się wbić w tę płataninę klin prawa kanonicznego, a coraz większy zachwyt profesjonalnych jurystów budziło świeżo przywrócone do łask prawo rzymskie. Jak stopić te rozmaite elementy w jedną spójną całość, tak żeby każdy wiedział, do czego się stosują? I jak to prawo potem zmieniać – w stosownej chwili i zakresie – aby odpowiadało potrzebom coraz szybciej zmieniającego się społeczeństwa?

Rozwiązanie przyjęte przez Henryka na dobrą sprawę polegało właśnie na braku rozwiązania. Po prostu zainicjował ożywioną działalność sądowniczą, główny ciężar zadań biorąc na siebie, równocześnie jednak włączając w nią z czasem coraz większą grupę uzdolnionych ludzi, którzy uzyskawszy kompetencje profesjonalnych sędziów, wyruszyli na regularne ekspedycje po całym kraju. Ściśle biorąc, żadne z tych posunięć nie było innowacją; nowa była tylko skala i systematyczność, z jaką zabrano się do dzieła. Henryk najwyraźniej uważał, że samo systematyczne stosowanie prawa doprowadzi do jego kodyfikacji i racjonalizacji; że wszechobecność centralnie kierowanego systemu usunie z czasem regionalne odmienności, a zgromadzone doświadczenie automatycznie ośmieli sędziów do wprowadzania ulepszonych procedur, które uchodzący jedynie za środki służące poprawie skuteczności działania, *de facto* doprowadzą do radykalnej zmiany treści prawa. I tak też się stało. Henryk II dokonał rewolucji w angielskim prawie. Tyle że nikt tego nie zauważył. Nie sposób było wskazać w niej żadnego pojedynczego elementu, który nie miałby za sobą sankcji wcześniejszej praktyki. A mimo to prawo uległo zasadniczej zmianie.

W istocie Henryk II ustanawiał nowe prawa ukradkiem. W roku 1166 podczas wielkiej sesji sądu królewskiego (*Assize*) w Clarendon dokonał szczegółowej analizy wszystkich przestępstw i podejrzanych wypadków, nadużyć i zaniechań w zakresie wymiaru sprawiedliwości, do jakich doszło – lub przypuszczano, że do nich doszło – od początku jego panowania. Zadanie zaowocowało gorączkową aktywnością nie tylko króla-sędziego, ale także dziesiątków zawodowych sędziów, którzy dosłownie przewrócili królestwo do góry nogami. Dokument stanowiący zapis sesji przepisano następnie w wielu egzemplarzach i rozesłano po całym kraju; ponownie opublikowano go w latach 1176 i 1195, dzięki czemu w efekcie zastąpił kodeksy staroangielskie i pełne sprzeczności kompilacje normandzkie jako jednolity system prawa zwyczajowego, obowiązujący na terenie całej Anglii. W rzeczywistości więc statut clarendoński powinien zająć prawem pierworództwa miejsce Wielkiej Karty Swobód (*Magna Charta Libertatum*) w zaszczytnej roli pierwszego statutu w zbiorze *Statutes of the Realm*. A jednak cóż takiego nowego mogli zobaczyć w nim współcześni? Król odbył jedynie ważną sesję sądową, tak jak to czynili od czasu do czasu

wszyscy jego poprzednicy, i wydał, „za zgodą – jak to ujmuje zapis – wszystkich swoich baronów”, szczegółowe instrukcje dotyczące stosowania prawa. Nie było w tym nic nowego, nic rewolucyjnego, szło jedynie o nie spotykaną dotąd skalę działania i energię, z jaką zabrano się do pracy.

Albo inny przykład: sławne *petty assizes* (drobne statuty) Henryka II. Henryk zorientował się, że podstawowym problemem angielskiego społeczeństwa w XII wieku była przerażająca niepewność dotycząca praw własności ziemskiej. Stosunki gospodarcze stawały się coraz bardziej złożone; ziemia często zmieniała właścicieli w wyniku śmierci, dziedziczenia, podziału, sprzedaży i darowizny. Wiele tytułów własności stanowiło przedmiot sporu, brakowało dokumentów albo budziły podejrzenia, zostały skradzione lub sfalszowane. Aparat sądowniczy działał opieszale; często nie działał w ogóle. Czasem mijały lata, zanim udawało się uzyskać ostateczny werdykt. Zachował się pewien ciekawy dokument, w którym właściciel ziemski Richard z Anstey bardzo szczegółowo, krok po kroku, opisał cierniową drogę, jaką musiał przejść, żeby zagwarantować sobie prawa do schedy po wuju, do której roszczenia wysuwał także kuzyn z nieprawego łoża. Zapis jest bardzo przygnębiający. Anstey poniósł ogromne koszty: ponad 330 funtów, prawdopodobnie więcej niż cała wartość majątku; a do tego wszystkie te pieniądze musiał, z całą pewnością, pożyczać pod zastaw tegoż majątku, przy oprocentowaniu w wysokości ponad 50%. W takiej sytuacji pokusa, żeby uciec się do siły, zawsze rywalizowała z drogą prawną. Wdowa, młody dziedzic czy dziedziczka, każdy, kto nie dysponował środkami obrony przed szybkim i gwałtownym wyzuciem z majątku, mógł nigdy nie doczekać się sprawiedliwości. I właśnie tego rodzaju nieszczęściom można było jakoś zaradzić. Tam, gdzie wchodziły w grę bardziej złożone spory, reforma nie mogła wiele pomóc. Jednakże większość przypadków stanowiły sprawy proste, które można było załatwić za jednym pociągnięciem pióra; brakowało tylko prostych narzędzi prawnych, umożliwiających uporanie się z nimi w sposób szybki, łatwy i tani. Henryk II i jego doradcy przygotowali zatem serię gotowych pozwów sądowych (*writ*), odpowiadających najczęściej spotykanym rodzajom spraw majątkowych, które można było wykupić od Korony. Gdy człowiek został wyzuty ze swej ziemi, kupował pozew *novel disseisin* („świeżo wywłaszczony”), przedstawiał go miejscowym władzom, te powoływały ławę przysięgłych (*jury*) i jeśli jej członkowie zgodnie oświadczaali, że dany posiadacz ziemi lennei został jej pozbawiony bezprawnie, automatycznie w imieniu króla stawał się na powrót właścicielem majątku i mógł występować o odszkodowanie. Aby zapewnić sobie prawa do ziem odziedziczonych po ojcu, kupował pozew *mort d'ancestor* („śmierć przodka”); aby udowodnić, że odziedziczył ziemię stanowiącą dar jałmużniczy na rzecz Kościoła, a nie ziemię świeckie – istotna różnica podatkowa – występował o nakaz *utrum „czy”* [tj. czy dana sprawa leży w kompetencji sądów kościelnych, czy królewskich]; aby udokumentować swoje prawo do

prezentacji kandydata na beneficjum kościelne (*advowson*), potrzebny był nakaz *darrein presentment* („ostatnia prezentacja”). W tym przypadku procedura, nader typowa dla nowych metod, była wcieleniem prostoty. Przysięgłym zadawano tylko pytanie: „Kto ostatnio zgłaszał kandydata na to beneficjum?” Po czym, gdy udzielili stosownej odpowiedzi, padał werdykt: „Ten sam lub jego dziedzic powinien zgłosić go ponownie”.

Pozwy sądowe Henryka II bardzo silnie przemawiały do poczucia sprawiedliwości Anglików. Na czym jednak polegała innowacja? Przecież nie było żadnej innowacji – a w każdym razie śmiało można było tak utrzymywać. Pozwy królewskie znano od stuleci, nawet jeśli wydawano je w nieco innych celach. Od równie dawna zaprzysięgano grupy mieszkańców danej okolicy w celu ustalenia faktów w takich sprawach. A sam pomysł, by wydawać werdykt po prostu na podstawie istniejącego wcześniej stanu rzeczy, stanowił nader zadowalającą i ściśle konserwatywną zasadę. Wszystkie trzy elementy były więc stare, znane; tylko ich połączenie było czymś nowym. W ten sposób udało się ustanowić precedens, oparty na zdrowej podstawie odwiecznej tradycji, i w prawie dokonana się, choć znów nikt tego nie zauważył, fundamentalna rewolucja – być może najważniejsza w całych dziejach angielskiego prawodawstwa. A skoro precedens został uświęcony, otworzyła się droga do dalszego postępu. Pomysł z użyciem ławy przysięgłych uznano za narzędzie tak poręczne, godziwe i powszechnie akceptowane, że wkrótce zastosowano go także w innych przypadkach. W roku 1179 orzeczenie ławy zastąpiło – ku powszechnemu zadowoleniu – pojedynkę sądowy w sprawach majątkowych. To zaś w szybkim tempie doprowadziło do zaniku elementów przesądów religijnych w całym postępowaniu sądowym. Z kolei odwołanie się do oświadczenia ławy przysięgłych w sprawach cywilnych, w których żadna ze stron nie miała pewności co do ostatecznego werdyktu, otworzyło drogę do korzystnej praktyki pozasądowych umów między stronami. Strony zawierały ugodę, wносиły opłatę sądową na rzecz Korony, spisywały umowę, zatrzymywały po jednym egzemplarzu dla siebie, a trzeci składały w archiwum Skarbu. Od czasu panowania Jana bez Ziemi stosowano taką procedurę także w sprawach, w których nie istniały kwestie sporne – tylko po to, aby uzyskać absolutnie wiarygodny tytuł własności poświadczony przez księgi Skarbu; w tym przypadku opłata sądowa stawała się opłatą skarbową za prawo do złożenia kopii umowy w archiwum państwowym, a tytuł własności zyskiwał trwałe potwierdzenie autorytetu Korony. W sumie wszyscy mogli być zadowoleni: Korona zyskiwała stałe źródło niemałych dochodów, społeczeństwo – ważną podporę swego dobrobytu, a prawo przybrało nowy, radykalny i owocny kurs, umożliwiający ciągłe usprawnienia. Gdzieś po drodze nastąpiła rewolucja, ale zanim ktokolwiek to zauważył, jej elementy otaczał już szacunek należny prawnym instytucjom, głęboko zakorzenionym w tradycji kraju. Była to operacja w bardzo angielskim stylu.

A mimo to Henryk II, człowiek, który w tak znaczący i umiętny sposób przyczynił się do powstania w tym kraju zaczątków sprawiedliwego i skutecznego systemu wymiaru sprawiedliwości, zajmuje w angielskim panteonie miejsce raczej poślednie, a jego pozycja jest niepewna. Historycy prawa darzą go głębokim szacunkiem – w przypadku Maitlanda jest to prawdziwe uwielbienie – ale dla większości Anglików Henryk II to jedynie gwałtowny, porywczy władca, który swą nierozważną wypowiedzią przyczynił się do brutalnego zabójstwa największego świętego średniowiecznej Anglii. Zawdzięczamy to głównie mnichom piszącym kroniki oraz hagiografom Becketa; nawet tak przenikliwy i oryginalny obserwator jak Gerald Walijszyk maluje postać króla w czarnych barwach – niechybnie z pobudek osobistych, gdyż Henryk nie zgodził się na jego nominację na stolec św. Dawida [biskupa Wali]. Tymczasem wizerunek Henryka jako człowieka urodzonego do wielkości, którego pogrążyły nieopanowane namiętności, tyrana stojącego na czele wrzaskliwej, skłóconej rodziny awanturników, niemal w całości rozmija się z prawdą. W istocie bowiem Henryk wyjątkowo dobrze nadawał się do tego, aby rządzić średniowieczną Anglią. Anglicy oczekiwali, że ich król będzie zwierzchnikiem władzy wykonawczej w najszerszym tego słowa znaczeniu, człowiekiem pełnym godności i należytej *gravitas*, biegłym znawcą obyczajów królestwa, skrupulatnie przestrzegającym ich ducha, przyjmującym z uwagą opinie magnatów, wsłuchującym się w nastroje szerszych mas społeczeństwa, a równocześnie skłonny przyjąć pełną odpowiedzialność za inicjowanie i realizację właściwej polityki. Powinien być monarchą w każdym calu – wyglądać i zachowywać się po królewsku – a równocześnie poświęcać się drobiazgowej pracy administracyjnej z oddaniem, jakie rzadko można spotkać nawet wśród najbardziej pracowitych urzędników.

Anglicy rzeczywiście mieli nadmierne oczekiwania, bardzo rzadko mogli zatem czuć się w pełni usatysfakcjonowani. Henryka II chyba jednak niewiele dzieliło od ich ideału. Był bardzo profesjonalnym władcą. Osobiście interesował się pracami Skarbu i być może nawet przewodniczył posiedzeniom: „Gdzie skarb króla, tam i serce jego” – powiada *Dialogue* [Fitz-Nigel, *Dialogus de Sacchario*]. Henryk niezwykle sprawnie zarządzał finansami nie tylko Anglii, ale także swoich rozległych terytoriów we Francji. Szacunkowe oceny wielkości nadwyżki, jaką zostawił po sobie w kasie państwowej, sięgają od 60 tysięcy funtów (półtoraroczne dochody państwa) do astronomicznej sumy 600 tysięcy funtów, przy czym wszystko zgromadził nie dzięki uciskowi i nadużyciom, ale dzięki ostrożnej i skutecznej polityce finansowej. Henryk był ostatnim królem na przestrzeni trzystu lat, który zostawił po sobie państwo w pozycji wierzyciela, a nie dłużnika. Nie tylko wprowadzał innowacje w zakresie prawa, ale był także wytrwałym i bardzo szanowanym sędzią. Znaczną część czasu pochłaniało mu przewodniczenie sesjom sądowym, trwającym niekiedy od ósmej rano do zapadnięcia zmroku, a nawet dłużej; wszystkie ważniejsze sprawy rozstrzygał

osobiście – czasem przyczyniało się to do opóźnień, ale nie ulega wątpliwości, że każda ze stron pragnęła przedstawić swoją sprawę przed królem, nie tylko dlatego, że jego werdykty nosiły znamię najwyższego autorytetu, ale także dlatego, że towarzyszyła im przekonująca i dobitna argumentacja. Gdziekolwiek się pojawiał – a odwiedził w czasie swego panowania praktycznie każdy zakątek królestwa – otaczały go ogromne tłumy; jego twarz była znana z widzenia wielu poddanym. Henryk był nieśmiały i nie lubił zwracać na siebie uwagi, dzielnie przeciskał się jednak przez ciżbę i nigdy nie tracił kontenansu, gdy unosił go napór tłumu. Miał imponujący dar zapamiętywania twarzy i miejsc; gdy raz dobrze uchwycił czyjeś rysy, nigdy już ich nie zapomniał. Był bardzo uzdolniony językowo, a rozmowa z nim stanowiła pamiętne przeżycie, gdyż szybko trafiał w sedno i potrafił zwięźle rzecz spuentować. Dzięki dokumentom docierają do nas echa wielkich debat politycznych z jego udziałem i znać w nich mistrza celnej argumentacji. Finansista, sędzia, administrator, specjalista od *public relations*, wytrawny polityk i dyplomata – oczekiwano, że z powodzeniem podoła każdej z tych ról i Henryk nie zawiódł oczekiwań; jednak, co najtrudniejsze, dość często musiał być jeszcze do tego wszystkiego zawodowym żołnierzem. Jest coś bardzo przynębiającego w obrazie Henryka, który u schyłku pracowitego życia, zbliżając się do sześćdziesiątki, musi wciąż wkładać zbroję, by osobiście wziąć udział w gwałtownej i zjadłej walce wręcz na polu bitwy.

Nie sposób było jednak tego obowiązku uniknąć. Profesjonalny średnio-wieczny władca musiał być nie tylko wszechwiedzący, ale także wszechobecny; osobista obecność na polu bitwy należała do jego podstawowych obowiązków. Jeśli machina władzy państwowej miała w ogóle funkcjonować, król musiał aktywnie nadzorować wszystkie jej ogniwa, a każda próba wprowadzenia innowacji czy reformy wymagała od niego ogromnego nakładu pracy i wytrwałości. Henryk miał wprawdzie kilku oddanych pomocników, ale żadnemu urzędnikowi nie można wierzyć bez zastrzeżeń. Najzdolniejsi byli często najbardziej niepewni i skorumpowani. Z kolei każda delegacja władzy niosła ze sobą ogromne ryzyko nadużyć. Król nieustannie znajdował się więc w podróży służbowej, zużywając niezliczone ilości koni. Pewnego razu w ciągu dwu dni jazdy pokonał odległość 140 mil [ok. 220 km]; 50 do 80 mil dziennie w siodle to był normalny dystans, żaden wyczyn. Szybkość przemieszczania się stanowiła jednak w przypadku króla podstawę sukcesu; podobnie jak zachowanie tajemnicy. Niektóre z najważniejszych posunięć Henryka umknęły uwadze nawet najlepiej poinformowanych kronikarzy i można się o nich dowiedzieć jedynie z jego statutów i rejestrów Skarbu (*pipe-rolls*). Król Francji, zdumiewając się szybkością, z jaką Henryk przenoślił się z miejsca na miejsce, sądził, że chyba musi uciekać się do jakichś magicznych sposobów.

Takie życie było jednak niezwykle uciążliwe. Poza polowaniem król nie mógł pozwolić sobie na żadne rozrywki. Nigdy nie wzięął urlopu i rzadko mógł

liczyć na to, że spędzi noc spokojnie, nie dręczony troskami. Bez wątpienia miał ogromne zasoby energii; jego dworzanie narzekali, że – wyjąwszy sen i posiłki – nigdy nie zagrzał miejsca. Zmęczenie odciskało jednak swoje piętno. Henryk gorączkowo starał się przestrzegać odpowiedniej diety, dobrze wiedząc, że król, który nie jest w stanie szybko pokonywać konno długich dystansów, może nagle wypuścić sytuację spod kontroli i w efekcie stracić koronę i życie; bierny król, bez inicjatywy, nieustannie ryzykował własną głową. Pod wieloma względami było to brutalne i bezlitosne społeczeństwo, które za porażkę polityczną karało śmiercią. Ostatnie miesiące życia Henryka spowija mrok coraz głębszej rozpacz, wywołanej przez fizyczne i nerwowe wyczerpanie skumulowane przez lata. Taki był los wszystkich wielkich średniowiecznych królów Anglii, którzy nie umarli młodo.

Ambicja osobista nie była jednak najważniejszym motywem postępowania Henryka. Prawdziwie wielkim władcą i specyficznie angielskim mężem stanu uczyniła go pasja, z jaką dążył do zaprowadzenia ładu w królestwie, i właśnie w tym względzie najpewniej zaspokajał oczekiwania Anglików. Żaden naród na ziemi nie przejawia tak konsekwentnej i głęboko zakorzenionej nienawiści dla nie uprawomocnionej przemocy, albowiem dobrze wiedząc o swej przyrodzonej skłonności i upodobaniu do niepohamowanej gwałtowności, Anglicy zawsze starali się przyznawać w polityce najwyższy priorytet kontroli nad tymi destrukcyjnymi siłami własnej natury. Historia Anglii od czasów anglosaskich aż do dziś stanowi nieprzerwane pasmo walki o panowanie nad sobą, bezwzględnych i często nieskutecznych wysiłków, by uwolnić się od narkotyku przemocy. Walka w sumie zakończyła się znaczącym sukcesem, ale ponieważ z takiego uzależnienia nie sposób wyleczyć się bez reszty, trzeba zachować czujność, dopóki będzie istniała nacja Anglików. I właśnie Henryk II wyjątkowo dobrze rozumiał ten podstawowy angielski problem. Był człowiekiem gwałtownym, a zarazem namiętnie dążył do samodyscypliny. Uwielbienie porządku stało się więc w jego przypadku świadomym celem, który z żelazną bezwzględnością starał się narzucić swej nieokiełznanej naturze. Królestwo stanowiło makrokosmiczne odzwierciedlenie jego własnej osobowości. W jaki sposób narzucić mu, choćby w niewielkim stopniu, szacunek dla prawa – jakąś alternatywę dla zwyczajowej przemocy? Na tym polegał główny problem, jaki Henryk stawiał przed sobą w życiu publicznym.

Liczba gwałtownych, poważnych przestępstw w dwunastowiecznej Anglii była ogromna. Z rejestrów sądowych, które zaczęto publikować wkrótce po śmierci Henryka, wyłania się obraz przestępczości, który mógłby przerazić nawet najbardziej pesymistycznie usposobionego komisarza policji w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych. Na przykład w roku 1202 sędziowie, którzy przybyli do Lincoln, musieli rozpatrzyć 114 przypadków zabójstw, 89 przypadków rabunku, najczęściej z użyciem przemocy, 65 przypadków zranień, 49 gwałtów i całą masę

innych zbrodni. Co więcej, wielu sprawców brutalnych przestępstw nigdy nie trafiło do sądu – z powodu braku świadków albo ich obaw przed złożeniem skargi. Henryk tylko częściowo uporał się z tą falą ciągłego łamania prawa*, jednak do pewnego stopnia udało mu się wciągnąć część bardziej prospołecznie nastrojonych poddanych w działalność aparatu wymiaru sprawiedliwości. Uporządkowawszy zarówno prawo cywilne, jak i karne, włączył zwykłych wolnych obywateli (jako członków ławy przysięgłych) i miejscową szlachtę (jako administratorów aparatu ścigania) w wysiłki mające zapewnić przestrzeganie prawa; co bardziej odpowiedzialni z jego baronów mogli zawsze liczyć na stałą i dobrze płatną posadę sędziów. Otoczywszy sądy królewskie zbawienną aurą majestatu i grozy, Henryk przesunął do nich stopniowo coraz większą liczbę spraw z doraźnych, prywatnych sądów lokalnych feudałów. Postęp przebiegał powoli i w ograniczonym zakresie, lecz mimo to był to postęp. W czasach panowania Henryka morderca coraz bardziej musiał się liczyć z tym, że zostanie aresztowany, i rzadko można było bezkarnie stawiać opór sędziemu. Państwo w sposób namacalny znalazło się tym samym bliżej obywateli; czasem złowieszczo blisko i w nader nieprzyjemny sposób. Artykuł 6 Statutu z Northampton (1176) zobowiązywał wszystkich, nawet villeinów, do złożenia osobistej przysięgi wierności monarsze, pod karą aresztu; artykuł 2 szedł nawet dalej:

Aby nikt, czy to we wsi, czy w grodzie, nie dawał gościny w swoim domu przez więcej niż jedną noc człowiekowi nieznanemu, za którego nie chce odpowiadać, chyba że istnieje rozsądny powód tej gościnności, który gospodarz domu powinien okazać swym sąsiadom. A gdy gość będzie odjeżdżał, niech wyjeżdża za dnia i w przytomności sąsiadów.

Aczkolwiek tego rodzaju zarządzenia mogły budzić niezadowolenie, można być pewnym, że wdrożona przez Henryka kampania na rzecz prawa i porządku spotkała się z entuzjastyczną aprobatą zdecydowanej większości Anglików ze wszystkich klas i stanów. Odpowiadała nie tylko obiektywnym potrzebom społeczeństwa, lecz także powszechnie wyrażanym żądaniom.

Wszelako istniała pewna grupa społeczna, która nie tylko odmawiała współpracy, ale nawet aktywnie stawiała opór poczynaniom Korony. Tą grupą

* Wilhelm Zdobywca był przeciwnikiem kary śmierci i zastąpił ją okaleczeniem; Henryk I przywrócił wieszanie w przypadku mężczyzn; kobiety palono. Za jego panowania podczas jednej tylko sesji sądowej w Leicestershire sędzia Ralph Basset kazał powiesić czterdziestu czterech złodziei. Za Henryka II wieszanie stosowano zamiennie z okaleczeniem; w roku 1166 na sesji sądowej w London-Middlesex czternaście osób powieszono, a czternaście okaleczono. W następstwie reform prawnych Henryka II trudniej było władzom uzyskać wyrok skazujący, ale z drugiej strony przestępca o wiele bardziej musiał się teraz liczyć z tym, że stanie przed sądem. Ludzi złapanych na gorącym uczynku często wieszano bez sądu; jeszcze w roku 1603 Jakub I w drodze na swoją koronację do Londynu kazał na miejscu powiesić złodzieja złapanego na kradzieży.

był Kościół, a ściślej – jego wpływowi członkowie. Dochodzimy tutaj do ważnego momentu o przełomowym znaczeniu w dziejach Anglii, do epizodu, z którego wiele się możemy dowiedzieć o Anglii i Anglikach. Jakkolwiek Kościół Anglii był instytucją przywiezioną z Rzymu, odegrał niezwykle ważną rolę w tworzeniu i funkcjonowaniu państwa w czasach anglosaskich. Od samego początku był ściśle związany z szerzeniem cywilizacji, z ideą porządku prawnego, zwłaszcza prawa pisanego, z rozwojem sprawiedliwego systemu podatkowego, obrony kraju podczas wojen, administracji w czasach pokoju, a przede wszystkim z właściwym funkcjonowaniem aparatu silnej, scentralizowanej monarchii. W procesie ewolucji w stronę stabilnego, zjednoczonego społeczeństwa ustępował swym znaczeniem tylko Koronie. Z nader nielicznymi wyjątkami biskupi i królowie zgodnie współdziałali w konstruktywnej harmonii. Doprawdy, nie sposób było oddzielić funkcji państwa i Kościoła. W istocie jest to arcyangielska idea: myśl, że władze duchowne winny firmować swoim autorytetem działania władzy świeckiej. A nawet więcej – to także doskonała formuła na zachowanie wewnętrznego spokoju. Żaden angielski autor średniowieczny nie wyraził jej słowami, gdyż była zbyt oczywista jako naturalne i pragmatyczne rozwiązanie problemu utrzymania istniejącego porządku rzeczy.

Jednakże Kościół Anglii zachował także swe więzy z potężną międzynarodową organizacją z siedzibą w Rzymie. Anglicy przychylnie patrzyli na te związki, gdy szło o kanał przepływu idei i kultury, tak samo jak cenili sobie Kanał Angielski jako drogę kontrolowanego przepływu towarów i poglądów z kontynentu. Nacisk pada tu jednak zawsze na słowo „kontrola”. Nigdy natomiast nie zamierzali zaakceptować faktu wykorzystywania międzynarodowych powiązań Kościoła do przekazywania rozkazów, które mogłyby w jakikolwiek sposób ograniczyć ich suwerenność jako narodu. Kierunki i formy działania Kościoła w Anglii ostatecznie musiały spoczywać w rękach Anglików i albo kontrolowano te więzy z tej strony Kanału, albo należało je przeciąć. Historia stosunków między Anglią a Rzymem w ciągu następnych pięciu stuleci stanowi serię wariacji na ten nigdy nie milnący temat.

Pod koniec XI wieku rozpoczął się okres zdecydowanej ekspansji papieństwa. Pod pozorem reformy religijnej papież Grzegorz VII (Hildebrand) opracował program działań politycznych, które miały w zamierzeniu podporządkować całe zachodnie chrześcijaństwo scentralizowanej teokracji podlegającej jednoosobowej i absolutnej władzy papieża. Grzegorz VII przedstawił swoje cele w serii twierdzeń, które podyktował sekretarzowi, aby ten zamieścił je w papieskiej korespondencji. Świat jest królestwem Chrystusa, papież zaś – jego namiestnikiem, który skupia całą należną władzę, posiłkując się Kościołem jako ramieniem duchowym i państwem jako ramieniem świeckim; biskupi i królowie winni być na równi zwykłymi funkcjonariuszami Rzymu, nad którymi stoi

kapłan-cesarz przekazujący polecenia Bóstwa. Aż do chwili ogłoszenia *Manifestu komunistycznego* w roku 1848 władcy i rządy świata nie mieli do czynienia z tak śmiałym programem międzynarodowej rewolucji, podważającej istniejący porządek. Program Grzegorza stanowił zagrożenie dla istniejącego ładu we wszystkich krajach. Jednak najsilniej uderzał w uczucia Anglików i w Anglii spotkał się z najostrzejszym sprzeciwem. To właśnie wtedy, po raz pierwszy w jej dziejach, Anglii przypadła rola przywódcy w walce przeciw jawnej próbie ustanowienia tyranii obejmującej obszar całej Europy.

Wstępna faza papieskiego planu polegała na przekształceniu kleru, agentów papieżstwa działających we wszystkich krajach, w odrębną uprzywilejowaną klasę, która nie podlegałaby władzy miejscowej administracji, a zwłaszcza władzy sądowniczej. Kościół dążył więc przede wszystkim do ustanowienia odrębnych sądów zajmujących się wyłącznie sprawami o charakterze duchowym, zamierzając następnie uczynić z nich jedyny instrument sądzenia kleru oskarżonego o przestępstwa natury świeckiej, by na koniec objąć kompetencjami tych sądów coraz większy zakres rozmaitych przestępstw kryminalnych i spraw cywilnych ludzi świeckich. W ten sposób Kościół mógłby przejąć sądownicze funkcje państwa, a stąd już tylko mały krok do przejęcia jego pozostałych funkcji administracyjnych i pełni władzy świeckiej.

Taki plan mógł się udać w Tybecie, ale trudno sobie wyobrazić, żeby się powiódł w Europie, a zwłaszcza w Anglii. Problem sprowadzał się więc do pytania: czy da się osiągnąć kompromis, a jeżeli tak, to w jakiej postaci? Anglicy mają prawdziwy dar znajdowania pragmatycznych rozwiązań, w których obie strony niezbyt mocno obstają przy swoich teoretycznych pryncypiach. Fakt, że ostateczne zerwanie z Rzymem nastąpiło tak późno, wiele mówi o angielskim geniuszu kompromisu. Modelowe rozwiązanie pochodzi tu od Wilhelma Zdobycy: połączenie stanowczości w sprawach zasad z dwornymi gestami (głównie pieniędzmi), żeby ukoić serce papieża. Toteż mimo problemów z ludźmi takimi jak Anzelm i jemu podobni wszystko wskazuje na to, że do połowy XII wieku zwykle udawało się osiągać zadowalające obie strony porozumienie w większości kwestii spornych, takich jak nominacje biskupie czy pokrywanie się jurysdykcji sądów. Przy tym w większości przypadków państwo osiągało swe cele – jak być powinno, skoro to państwo *de facto* ponosiło odpowiedzialność za kierowanie krajem. I właśnie wtedy na scenie pojawił się Tomasz Becket, a jego historia dobrze ilustruje, co może się zdarzyć, gdy człowiek o silnej i gwałtownej osobowości usiłuje zniweczyć typowo angielskie metody postępowania.

Jak widzieliśmy, Henryk bardzo poważnie starał się uporać z problemem przemocy w społeczeństwie, zwłaszcza gdy chodziło o przestępstwa gwałtowne. Jednym z najdotkliwszych aspektów tego zjawiska był ciągły wzrost liczby przestępstw popełnianych przez ludzi Kościoła. W Anglii żyło wówczas około 100 tysięcy osób, które rościły sobie pretensje do posiadania święceń, ale tylko

nieliczna garstka miała prawo do jednego z około 9 tysięcy dostępnych beneficjów lub mogła liczyć na wsparcie któregoś ze zgromadzeń zakonnych. Niektórzy z nich na co dzień żyli więc z działalności przestępczej; wielu, aby przeżyć, od czasu do czasu ulegało pokusie zbrodni. Stara cesarzowa Matylda, matka Henryka, mogła przytaczać z pamięci długą listę przerażających wyczynów kleru. Niektóre zdobyły rozgłos w skali całego kraju. Najbardziej bulwersujący dla wszystkich był jednak fakt, że sądy kościelne stanowiły dla swych podopiecznych wygodny sposób unikania wszelkiej odpowiedzialności karnej. Weźmy choćby głośny przypadek archidiakona Yorku, który w roku 1154 rzekomo zamordował swego arcybiskupa, wysypując truciznę do kielicha mszalnego. Niewykluczone, że archidiakon był niewinny, jednak największe wzburzenie świeckich w całym kraju, od samego monarchy poczynawszy, wywołało to, że podejrzany nigdy nie stanął przed królewskim sądem. Albo świeższej daty sprawa kanonika z Bedford, który oskarżony o zabójstwo rycerza znieważył szeryfa i usprawiedliwił swój czyn, powołując się na dobro kleru. (Becket w końcu kazał go wychłostać za obrazę sądu, ale nie zezwolił na postawienie przed sądem pod zarzutem morderstwa.)

Niemal na pewno to właśnie problem przestępczości ludzi Kościoła skłonił Henryka do powołania Becketa na arcybiskupstwo Canterbury. Becket pochodził z Londynu, z rodziny kupieckiej wywodzącej się z Normandii. Odebrał dobre wykształcenie, wiele podróżował, nadto zaskyszał nieco o nowych papiejskich ideach na dworze starego arcybiskupa Theobalda. Był jednak człowiekiem światowym, pluralistą; Henryk znalazł w nim energicznego i oddanego urzędnika, mianował go więc kanclerzem. Becket walczył u boku króla z mieczem w ręku i służył mu jako ambasador w Paryżu. Miał wyraźną słabość do pieniędzy, zwłaszcza do ich wydawania, zawsze jednak stawał po stronie króla w jego zmaganiach z Kościołem. Henryk nie dążył wcale do wojny z papieżem, przeciwnie, pragnął rozsądnego kompromisu, takiego, jaki swego czasu był dziełem Lanfranca. Sądził więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie skupienie przez Becketa funkcji prymasa i kanclerza w jednym ręku i z tą myślą mianował właśnie jego, pomijając apetyty kilku bardziej kompetentnych biskupów.

Tymczasem tak wyjątkowo zapracowanemu i obowiązkowemu szefowi rządu, jakim był Henryk, zachowanie Becketa po objęciu nowego urzędu musiało się wydawać skandalicznie, wręcz zbrodniczo nieodpowiedzialne. Becket bowiem nie tylko natychmiast rzekł się funkcji kanclerza, ale energicznie wzięty się do sabotowania królewskich projektów reformy sądownictwa, dokładnie w tej kwestii – przestępczości kleru – na której, jak wiedział, Henrykowi tak bardzo zależało. Wygląda na to, że Henryk kompletnie się pomylił w ocenie charakteru Becketa; być może znał go o wiele słabiej, niż chce legenda. Tymczasem Becket – pełen energii i siły woli, obdarzony umysłem syna klasy

średniej i całkowicie pozbawiony wyczucia proporcji – był niebezpiecznym typem człowieka. Równorzędne traktowanie potrzeb państwa i Kościoła najwyraźniej przekraczało jego możliwości. Wiemy, że Becket patronował aktorom; w pewnym sensie sam był jednym z nich. Potrafił jednak grać tylko jedną rolę naraz, za to z całą pasją i oddaniem. Poprzednio grał kanclerza, teraz wcielił się w arcybiskupa; gdy i ta rola się zużyła, zaczął odgrywać męczennika.

Prowokacyjne zachowanie Becketa sprawiło, że król popełnił taktyczny błąd i zawarł swoją wizję stosunków państwo–Kościół na piśmie – w postaci Konstytucji clarendońskich. To zaś z konieczności musiało doprowadzić do formalnej debaty z papieżem, a także, niestety, z angielską hierarchią, która skądinąd we wszystkich innych kwestiach opowiadała się po stronie króla i była gotowa przyznać, że tradycja i obyczaj stoją za Henrykiem. Mamy tu pouczającą lekcję angielskiej historii: jeśli masz za sobą poparcie tradycji, wystrzegaj się formułowania swoich racji na piśmie. Becket uparcie odmawiał jakiegokolwiek kompromisu, co niewątpliwie doprowadzało Henryka do wściekłości. Arcybiskup nie czynił żadnych kroków, żeby ukrócić przestępczość kleru, choćby poprzez ulepszenie metod selekcji czy wprowadzanie rozsądnego programu zmniejszenia liczby klerków albo surowsze sankcje sądów kościelnych. Nic nie wskazuje też, by przejmował się moralnymi aspektami zagadnienia, a nawet, by choć w najmniejszym stopniu interesował się swoimi podstawowymi obowiązkami, które spoczywały na nim jako arcybiskupie – posługą pasterską wobec dwu trzecich angielskiego społeczeństwa. W istocie poza odprawianiem mszy w ogóle nie spełniał żadnych obowiązków kapłańskich. Nie zwracał najmniejszej uwagi na kwestie natury moralnej czy religijnej; można wątpić, czy w jakimkolwiek istotnym sensie był chrześcijaninem. To, co naprawdę go interesowało, to władza i autorytet, jurysdykcja i przywileje kasty, do której należał. Nic dziwnego, że Henryk, obdarzony bardzo zdecydowanym świeckim poczuciem sprawiedliwości, nie mógł ścierpieć wygórowanych pretensji Becketa.

Przebieg sławnego sporu – potępienie Becketa przez sąd królewski w Northampton, ucieczka i długie wygnanie, pozorne pojednanie z królem, wyzywający powrót i śmierć z rąk zabójców – należy do najlepiej udokumentowanych epizodów w dziejach średniowiecza: dochowało się do naszych czasów jedenaście ówczesnych biografii Becketa, ponad siedemset listów wszystkich zainteresowanych oraz wiele innych materiałów. Dzisiejszego czytelnika najbardziej zaskakuje wszakże niezwykła gwałtowność postaw i opinii arcybiskupa, a także wyraźne oznaki stopniowej utraty przez niego równowagi umysłu. Gdy został potępiony przez sąd w Northampton, wrzasnął w stronę dwu członków królewskiego dworu, Hamelina, przyrodniego brata Henryka z nieprawego łoża, i Ranulfa de Broc: „Bastardzie nasienie! Gdyby nie sukienka duchowna, moja prawica zadałaby kłam twoim słowom. A co do ciebie [do de Broca], to jeden z waszej rodziny już został powieszony”. Za mniejsze zniewagi zabijano w XII

stuleciu. Korespondencja obu stron roi się od obelg, ale Becket wyróżnia się w tym względzie soczystością i bogactwem wyrazu. Angielska arystokracja, murem stojąca za Henrykiem, mogła nie bez racji uważać Becketa za wulgarnego i pozbawionego manier parweniusza; nienawiść, jaką w niej budził, niewątpliwie zabarwiał rys solidarności klasowej. Nawet naturalni sojusznicy Becketa byli wyraźnie zakłopotani. Żaden papież równie gorąco nie pragnął rozszerzenia zakresu przywilejów kleru co utalentowany intrygant Aleksander III, ale, niestety, sam był uwikłany w spór o prawomocność swej elekcji – fatalna słabość średniowiecznego papieństwa – i potrzebował wsparcia Henryka przeciw antypapieżowi. Mniej zdeklarowanych papistów zniechęcały taktyczne gafy Becketa, jego rosnące zgorzknienie i nieustępliwość. Znaczniejsi biskupi na ogół sympatyzowali z królem. Najmądrzejszy z nich, Gilbert Foliot, biskup Londynu, znany ze swej wiedzy i zasług duszpasterskich, uważał, że Kościół i państwo powinny żyć w harmonii – wyrażał tym samym (zapewne nieświadomie) światły anglikański ideał Bedy. Jak ujął to wobec Becketa: „Jeśli król miałby równie gorliwie podnosić miecz w sprawach doczesnych, jak ty podnosisz miecz duchowy, czy moglibyśmy kiedykolwiek żyć w pokoju?” Problem z Becketem „polega na tym – dodawał – że zawsze był durniem i durniem pozostanie”. Cesarzowa Matylda, przemawiając w imieniu starszej generacji angielskiego establishmentu, udzieliła obu stronom sensownej rady: nie należało spisywać Konstytucji clarendońskich. Obie strony powinny wycofać wszystkie dokumenty i przysięgi. Po czym królewskim sędziom należy polecić, aby byli ostrożni, a biskupom – żeby byli rozsądni. Wydaje się, że Henryk na wszystkich etapach sporu był gotów zaakceptować sensowny kompromis, umożliwiający mu spełnianie swej powinności, czyli rządzenie królestwem; spór pochłaniał mnóstwo czasu i energii, a on (w przeciwieństwie do Becketa) miał pełne ręce pracy.

Becket był jednak ekstremistą i doktrynerem; nie chciał kompromisu, ale upokorzenia króla w stylu Grzegorza VII, który przywiódł cesarza do Cannosy. Wydaje się, że pod koniec w ogóle stracił z oczu pierwotny przedmiot sporu i wyszukiwał wciąż nowe powody do niezadowolenia. Jeden udało mu się znaleźć, jeszcze zanim 1 grudnia 1170 roku ponownie postawił nogę na angielskiej ziemi. Kilka miesięcy wcześniej król zarządził koronację swego następcy, najstarszego syna, a ponieważ Becketa nie było w kraju, zastąpił go arcybiskup Yorku w towarzystwie sześciu innych prałatów. Bez wątplenia prerogatywa koronowania króla Anglii tradycyjnie należała do Canterbury, jednak z drugiej strony taka rywalizacja między prowincjami stanowiła przykład wulgarnego i niegodnego klerykalizmu w czystej postaci, czegoś, co dałoby się od biedy tolerować, gdyby chodziło o na wpół piśmiennych mnichów z dwu rywalizujących zakonów, okładających się (jak to faktycznie zrobili w roku 1176) pałkami w ramach teologicznej dysputy. Becket jednak był już do tego stopnia opętany przez poczucie krzywdy, że uchwycił się tego banalnego pretekstu

i ekskomunikował biskupów biorących udział w ceremonii. W efekcie to właśnie ich skargi, skądinąd zrozumiałe, sprawiły, że wyczerpała się wytrzymałość Henryka, co doprowadziło do tragedii.

Świadectwem stanu ducha Becketa niech będzie fakt, że kilka dni przed śmiercią, w kazaniu na dzień Bożego Narodzenia do słów „Pokój ludziom dobrej woli”, gwałtownie zaatakował niegodziwość ludzi króla, którzy, jak stwierdził, obcięli ogon koniowi należącemu do jednego z jego służących. Becket z miejsca ekskomunikował sprawców. Tak oto potężny konflikt między Kościołem a państwem sprowadził się na koniec do banalnej kwestii końskiego ogona. Arcybiskup zaczynał narażać siebie i swoją sprawę na śmieszność. Być może uświadamiał sobie, że doszedł już do kresu drogi i że nadszedł czas, by porzucić zgraną rolę znękanego kapłana i przywdziać nową – rolę męczennika. W jakim momencie dążenie do męczeństwa staje się poszukiwaniem śmierci samobójczej? Jedyne sposoby, w jakie Becket mógł jeszcze zniszczyć króla, to dać się zabić. Nie ma dowodów świadczących o tym, że czterej ludzie, którzy przyjechali z dworu Henryka na spotkanie z Becketem, planowali zabójstwo. Nie byli czwórką zabijaków szukających awantury, ale poważnymi baronami, posiadaczami znacznych włości, jeden z nich był nawet królewskim sędzią. Za pierwszym razem przyszli do Becketa bez broni, mieli zamiar udzielić mu reprimendy, może zagrozić; niewykluczone, że chcieli go aresztować i postawić przed sądem, gdyż arcybiskup bez wątpienia złamał prawo. Dopiero w następstwie gwałtownej kłótni baronowie pobiegli po broń – zabójstwo zawisło w powietrzu. Zachowanie Becketa wywołało smutny protest najzdolniejszego z doradców – pozostali to służalczy mnisi – sławnego pisarza i prawnika kanonisty, Jana z Salisbury. Dlaczego – pytał – Becket nigdy nie słucha dobrych rad? Po co miotać na tych niegodziwych ludzi obelgi, które jeszcze bardziej rozpalają ich furie? Po cóż Becket poszedł za nimi do drzwi i dalej krzyczał? Becket odparł, że skończył ze słuchaniem rad. A mimo to wciąż jeszcze mógł się bezpiecznie schować. Wszystkie jego dalsze poczynania tego wieczoru, z którego mamy szczegółowe relacje wielu naocznych świadków, nie pozostawiają wątpliwości, że Becket świadomie dążył do tego, by go zamordowano*.

Morderstwo psychicznie zdruzgotało Henryka i nietrudno zgadnąć, dlaczego – był człowiekiem prawa, zaprzysięgłym wrogiem przemocy, który całe życie i politykę poświęcił zaprowadzeniu ładu prawnego w kraju i odpowiedniemu funkcjonowaniu sądów. Odróżniająca zbrodnia, za którą musiał wziąć na siebie część odpowiedzialności, była zaprzeczeniem, odrzuceniem wszystkich zasad, w które wierzył. Stanowiła katastrofę dla Korony, upokorzenie dla Anglików, a także osobistą tragedię dla niego samego.

* Znacznie bardziej wyrozumiałą interpretację poczyznań Becketa można znaleźć w pracy Davida Knowlesa *Thomas Becket*, London 1970.

Gdy jednak Henryk doszedł do siebie, zaczął działać nader roztropnie i dalekowzrocznie. Odwołał się do głębokich źródeł angielskiej hipokryzji, do jakże angielskiej zdolności mącenia w głowie przeciwnikom i zamazywania kłopotliwych problemów. Po pierwsze, nagle okazało się, że niezwłocznie musi wszcząć kampanię w Irlandii (wówczas, podobnie jak w następnych stuleciach, Irlandia stawała się schronieniem dla ważnych postaci angielskiej sceny politycznej, które chwilowo popadły w niełaskę), dopóki nie ucichnie pierwsza nawałnica oburzenia. Po powrocie odbył stosowną pokutę. Pokazne sumy z kieszeni angielskich podatników znalazły drogę do niecierpliwych dłoni na Lateranie. W Canterbury tymczasem zaczęły dziać się pierwsze cuda, aliści teraz, gdy powiedziano i zrobiono, co należało, były to już angielskie cuda. Za życia zamordowany biskup stanowił zagrożenie dla Korony; jako powszechnie czczony męczennik mógł odegrać pozytywną rolę w służbie swego narodu. Angielski establishment ruszył do dzieła. Becketowi szybko przyznano palmę męczeństwa – papież Aleksander kanonizował go już dwa lata po jego śmierci. Rzym zawsze żywił głęboką wdzięczność wobec duchownych, którzy utrudnili życie Anglii, jednak w tym przypadku nie docenił zasobów angielskiego charakteru. Korona z bezwstydną bezczelnością zawłaszczyła sobie nowego świętego. Słyszano, jak Henryk w trudnych chwilach mamrocząc oddawał się pod opiekę św. Tomasa. Trzy córki króla, szczęśliwie poślubione europejskim monarchom, gorliwie rozsiewały nowy angielski kult na kontynencie. Justycjariusz koronny, śmiertelny wróg Becketa, zbudował mu kaplicę, ani na jotę nie odstępując przy tym od programu walki z przywilejami kleru. Canterbury stało się miejscem kultu o międzynarodowej sławie, rywalizującym z budzącym zawiść przybytkiem św. Jakuba w Composteli i niosącym dobrą nowinę finansowego powodzenia mieszkańcom miasta, mnichom i świeckim, a jako miejsce ożywionej wymiany handlowej – zapowiadało pożytek dla całej gospodarki kraju.

Co się zaś tyczy powodów, dla których Becket zginął, Korona z grubsza postępowała po staremu, w praktyce wcielając w życie Konstytucje clarendońskie. Z jedynym wyjątkiem – kryminalnych przestępstw kleru. Tutaj państwo musiało, na jakiś czas przynajmniej, oszczędniej wysuwać swoje roszczenia. Becket zginął więc po to, by kilka morderstw mogło ująć klerowi bezkarnie. Ale czy rzeczywiście bezkarnie? Istnieją dowody, że od czasu do czasu po sprawców tych zbrodni sięgała surowa ręka sprawiedliwości, jednak nie w sądach królewskich ani w sądach biskupich, ani w ogóle w żadnych sądach: po prostu (jak uskarżał się pewien rzecznik interesów Kościoła) „wieszano ich potajemnie, nocą albo w porze obiadu”. Sprawa Becketa pod jednym względem zmieniła jednak bieg dziejów Anglii: przyniosła narodziny angielskiego antyklerykalizmu, siły, która tłąc się przez całe stulecia, stopniowo nabierała mocy, by wybuchnąć podczas reformacji. Sposób, w jaki Henryk VIII potraktował Becketa, stanowi coś więcej niż przykład ponurego symbolu. W roku 1536 Henryk

polecił swemu prokuratorowi generalnemu wszcząć *quo warranto* postępowanie przeciw św. Tomaszowi. Ciało przydzielono na koszt publiczny obrońcę, wszelako sąd uznał je za winne „nieposłuszeństwa, zdrady i buntu”. Kości Tomasz zostały więc rozrzucone, a wota z przybytku skonfiskowane przez Koronę. Ogłoszono, że nazywanie Becketa świętym jest sprzeczne z prawem, po czym wydano rozkaz, aby „wszystkie przedstawiające go wizerunki i obrazy zostały zniszczone, święta obchodzone na jego cześć – zniesione, a jego imię i pamięć o nim wymazane ze wszystkich ksiąg, pod karą gniewu Jego Wysokości i uwięzienia z woli Jego Majestatu”*.

Angielski antyklerykalizm był, rzecz jasna, tylko jednym z ważniejszych przejawów angielskiej ksenofobii. Wrogość wobec obcokrajowców zawsze stanowiła jedną z najgłębiej zakorzenionych i najtrwalszych cech narodowego charakteru Anglików. Podobnie jak powszechny wśród nich pociąg do przemocy, stanowi ona siłę drzemiącą w najszerszych masach, którą udaje się utrzymać w ryzach (jeśli w ogóle się udaje) jedynie dzięki najostrzejszej dyscyplinie, zaprowadzonej wbrew woli społeczeństwa przez autorytarne władze centralne, działające w duchu oświeconego egoizmu. Nienawiść rasowa zawsze wzbierała i wybuchała w Anglii w okresach osłabienia władzy centralnej, gdy wyrafinowana elita rządząca traciła wolę i zdolność do przeciwstawiania się powszechnej nagonce. Wysuwana niekiedy w dzisiejszych czasach opinia, że Anglia jest krajem o międzynarodowych horyzontach, obdarzonym talentem do promowania harmonii w stosunkach między narodami, jest bezpodstawna i brak jej historycznego uzasadnienia, w każdym razie w odniesieniu do szerszych mas Anglików. Tolerancja została im narzucona w twardej, bezlitosnej walce. Dowodów świadczących o takim obrocie sprawy jest bez liku; jedyny problem stwarza precyzyjne ustalenie, kiedy ten angielski rasizm się zaczął. Obszar szacunku dla współplemieńców, koncentrujący się wokół Londynu, często nie sięgał, jak się wydaje, poza strefę kraju nizin, zamkniętą granicą rzek Trent i Severn, a czasem bywał nawet mniejszy**. Henryk VIII, napominając ludzi z Lincolnshire, którzy wzięli udział w buncie Pielgrzymów Łaski, powiedział im, że wywodzą

* Nie dysponujemy żadną autentyczną relacją z tego „procesu”, niewykluczone więc, że stanowią jedynie wymysł szesnastowiecznych propagandystów katolickich. Istnieje także, trudna dziś do zweryfikowania, opowieść, zgodnie z którą taki sam los spotkał ciało Henryka VIII; jego córka Maria kazała jakoby wydobyć je z grobu i spalić jako zwłoki heretyka. Pewne jest tylko to, że grobowiec Henryka VIII nigdy nie został ukończony; w roku 1646 z polecenia Parlamentu zdjęto płytę i sprzedano ornamenty, natomiast sarkofag Henryka, w którym ostatecznie złożono ciało admirała Nelsona, znajduje się obecnie w krypcie kościoła Św. Pawła w Londynie.

** Stąd pochodzi wyrażenie *Home Counties* (rodzime hrabstwa); chodzi tu o hrabstwa graniczące z Londynem oraz Hertfordshire i Sussex. Mieszkańcy tego regionu posługiwali się dialektem ze wschodniej Mercji, który stał się podstawą nowożytnego angielszczyzny.

się „z jednego z najdzikszych i najbardziej nieokrzęsanych hrabstw w całym królestwie”*. Angielskie rządy zwykle z powodzeniem radziły sobie z rebeliami wybuchającymi poza tą strefą, nie zakorzenionymi w rdzennie angielskiej tradycji politycznej; natomiast bunt w Anglii południowo-wschodniej zawsze stanowił poważne, a często śmiertelne zagrożenie. To właśnie hrabstwa południowo-wschodnie wyznaczyły bieg reformacji, zdecydowały o losach Wojny Domowej, Sławetnej Rewolucji i osadzeniu na tronie dynastii hanowerskiej. Dopiero w połowie XIX wieku, w następstwie gwałtownych zmian mapy zaludnienia i zasobów materialnych, region północno-zachodni zdołał osiągnąć bardziej znaczące wpływy polityczne: zniesienie Praw Zbożowych w 1846 roku było jego pierwszym zwycięstwem – i w pewnym sensie także ostatnim, gdyż równowaga przechyliła się ponownie na stronę południowego wschodu; żaden angielski rząd w ostatnich dziesięcioleciach nie mógł się obyć bez poparcia większości mieszkańców tego regionu.

Jednak rzeczywisty zasięg poczucia wspólnoty plemiennej wyznaczają pograniczne tereny marchii walijskiej i szkockiej. Poza tymi obszarami nawet rzymska ekspansja militarna napotykała poważne problemy, których rozwiązanie ostatecznie okazało się zbyt kosztowne. To prawda, że Rzymianie ustanowili pewien rodzaj militarnej okupacji Walii, ale nie zdołali ani zaprowadzić tam formalnych procesów kolonizacji gospodarczej – gospodarka walijska pozostała gospodarką pasterską – ani skutecznie rozbroić miejscowej ludności: w końcowym okresie okupacji Rzymianie rekrutowali nawet Walijszyków jako pomocnicze siły zbrojne. Organizacja plemienna, prawa, język i obyczaje przetrwały w Walii w stanie nie zmienionym i jedynie chrześcijaństwu udało się tam osiągnąć pewne wpływy. W Szkocji nawet rzymska obecność militarna była dość krótkotrwała i nieskuteczna, a działalność gospodarcza nie sięgnęła na północ dalej niż do linii Tyne-Tees, w istocie zaś – o wiele mil bliżej. Podobnie sprawy wyglądały w czasach kolonizacji germańskiej, która sięgnęła w Walii do linii zwanej Rowem Offy, a na północy – do starego muru rzymskiego. Granice narodowe i kulturalne zaczęły się więc utrzymywać już w VIII stuleciu i nigdy nie zmieniły swego przebiegu bardziej niż o kilkadziesiąt mil. Normanowie, jako spadkobiercy państwa staroangielskiego, zdobyli pozycję dominujących posiadaczy ziemskich jedynie na terenach trwale zasiedlonych przez Anglików. Toteż stosunki między Anglią a jej celtyckimi sąsiadami zaczęły przybierać współczesny kształt już z początkiem XII wieku.

Stosunki te cechowała zawsze – i cechuje do dziś – pewna zasadnicza ambivalencja. Z jednej strony Anglicy, mimo wczesnej dominacji i ostatecznego

* Henryk VIII nigdy nie czuł się bezpiecznie na północy i jeździł tam bardzo niechętnie, pod osłoną silnej eskorty. Elżbieta, choć ciągle znajdowała się w podróży, nigdy nie dotarła na północ od rzeki Trent i na zachód od rzeki Severn; była więc królową *Home Counties*.

triumfu języka angielskiego, nigdy nie zdołali narzucić Walii czy Szkocji swojej wyższości kulturalnej ani też zniszczyć w mieszkańcach tych regionów poczucia narodowej odrębności, opartej na odrębności pochodzenia etnicznego. Z drugiej natomiast, Anglia niewątpliwie zawsze stanowiła najpoważniejszą siłę polityczną i militarną na Wyspach Brytyjskich. Do jakiego stopnia jednak ta przewaga, oparta na większych zasobach materialnych i ludzkich, powinna znaleźć wyraz w bezpośredniej zwierzchności politycznej? Na to pytanie nigdy nie znaleziono ostatecznej odpowiedzi; być może nie istnieje taka, którą wszystkie strony przyjęłyby z równą aprobatą. Teoretycznie ambicje i roszczenia Korony staroangielskiej były nieograniczone, co znalazło wyraz choćby przy okazji koronacji Edgara; taką też opcję odziedziczyła monarchia anglo-normandzka. Co innego jednak, gdy przychodziło wcielić je w życie; tutaj bieg wydarzeń przedstawia obraz zagmatwany i pełen sprzeczności. Walia leżała na tyle blisko środka ciężkości terenów angielskich, że jej podbój był całkiem możliwy, Szkocja o wiele za daleko, toteż w jej przypadku nowoczesny kształt wzajemnych relacji wyznaczyły raczej dyplomacja i porozumienie niż siła i podbój. Wszystkie te procesy zajęły jednak sporo czasu; w średniowieczu Anglicy stykali się ze swymi celtyckimi sąsiadami w atmosferze wzajemnej, często gwałtownej wrogości. Co więcej, te lęki i wrogości wzmacniane były jeszcze przez czynniki geograficzne. Szkoci i Walijscy bardzo szybko nauczyli się synchronizować swój opór wobec Anglików z poczynaniami kontynentalnych wrogów Anglii, zwłaszcza monarchii francuskiej. W ten sposób wewnętrzne podziały na Wyspach Brytyjskich stawały się integralnym elementem walki o supremację w północno-zachodniej Europie, a do antagonizmu etnicznego, opartego na aroganckim poczuciu wyższości kulturowej, jakie Anglicy zawsze żywili wobec Celtów, dochodziły obawy, że Anglia potencjalnie zawsze może paść ofiarą sojuszu otaczających ją wrogów.

Ofiarą tej psychozy zagrożenia najwcześniej padli Walijscy. Co ciekawe, Walijscy początkowo widzieli w Normanach swoich naturalnych sprzymierzeńców przeciw zniechęconym Anglikom – i to nie tylko w sensie militarnym. Pod koniec XII stulecia Gerald Walijszyk opisywał Anglików jako ludzi zrodzonych do niewoli; narodami godnymi szacunku byli szlachetni Normanowie i wolno urodzeni, nieustraszeni Walijscy. Tymczasem już sto lat później interesy społeczności i Normanów, i Anglików stopiły się do tego stopnia, że obie nacje zjednoczyły się we wspólnej nienawiści rasowej wobec Walijszyków. Ostateczny kształt rozwiązania problemu granicy walijskiej wyznaczył Edward I, rozpoczynając permanentną, wojskową okupację całego kraju, opartą na potężnej infrastrukturze zamków, dróg, portów i miast zasiedlonych przez angielskich kolonistów oraz dodatkowo wzmocnioną przez rasistowską ideologię. Kościół rzymski zawsze popierał angielską politykę całkowitego podboju celtyckiego obrzeża – zainicjowaną w VII stuleciu na synodzie w Whitby – jako

jedyny sposób wciągnięcia Kościołów celtyckich w obręb swego zunifikowanego systemu dyscypliny i administracji. Arcybiskup Canterbury Pecham otrzymał więc polecenie z Rzymu, by odegrał rolę rzecznika armii Edwarda; wszyscy Walijszycy, którzy stawiali opór, mieli automatycznie zostać ekskomunikowani; jeden z klerków arcybiskupa wysmażył nawet rasistowską diatribę, stanowiącą moralny manifest najeźdźców. Walijszycy jawili się w niej jako „trojańskie szczytki” rzucone w dzikie lasy Cambrii za sprawą i przewodnictwem szatana. Znani z rozwiązłości, pędzili swe dni na złodziejstwie i grabieży lub gnuśnym lenistwie, a byli tak zdeprawowani, że tylko niewielu potrafiło uprawiać ziemię. I gdyby nie łagodna wspaniałomyślność królów Anglii, Anglicy już dawno zmietliby ich z powierzchni ziemi i wytrzebili wszelką pamięć o tym „godnym pożałowania ludzie”. Wojskowy architekt Edwarda, Jakub z Savoy, ujął sprawę bardziej prozaicznie: dopóki będzie możliwa wojna z Francją i Szkocją, Walia zawsze będzie stanowiła dla Anglii potencjalne zagrożenie, albowiem – jak powiedział – „Walijszycy to zawsze Walijszycy”. Nieco ponad sto lat później, pod wpływem niegasnącego oporu Walijszyków wobec Korony, w Parlamencie pojawiły się petycje domagające się wprowadzenia ustawodawstwa o charakterze rasistowskim: Walijszyków rezydujących w Anglii należy pozbawić otrzymanych wcześniej przywilejów, zakazać im nabywania ziemi w Anglii, walijscy dzierżawcy powinni zostać automatycznie zobligowani do dawania gwarancji lojalności, a Anglicy w Walii powinni uzyskać specjalną ochronę przed złośliwością walijskich sędziów. W roku 1403 jeden z oficerów Henryka IV powiedział mu, że „cały naród walijski zamieszkały na tych terenach jest zamieszany w rebelię” i że błaga króla, „aby nakazał ostateczne zniszczenie całego fałszywego narodu Walijszyków, o którym była mowa”. Do eksterminacji jednak nie doszło – leżała poza zasięgiem możliwości, a zapewne także pragnień Anglików; okazało się, że polityka kolonizacyjna jest niewykonalna nawet w najogólniejszych zarysach. Mimo to walijska klasa rządząca i arystokracja zostały w znacznej mierze zniszczone, a Walia całkowicie wchłonięta w obręb angielskiego systemu administracji. Proces ten ostatecznie dobiegł końca za panowania Henryka VIII.

Anglicy bez wątpienia chcieli zgotować podobny los także Szkocji. Nienawidzili swych północnych sąsiadów jeszcze bardziej niż Walijszyków, ponieważ bardziej się ich bali – przymierze szkocko-francuskie zawsze stanowiło o wiele groźniejszą kombinację – oraz dlatego, że zdradliwość Szkotów (tak to postrzegali) była bardziej kosztowna i trudniej ją było ukarać. Zawsze o wiele łatwiej przychodziło rządowi angielskiemu zebrać wojska przeciw Szkocji niż przeciw Francji, choć szanse sukcesu i ewentualne korzyści były tu dużo mniejsze. Dla wielu Anglików walka ze Szkotami stanowiła nie tylko obowiązek, ale i przyjemność. Angielską postawę zwięźle podsumował poseł Henryka VIII w Szkocji, Ralph Sadler, który uskarżał się swemu panu: „Mieszkańcy tego kraju to

najbardziej nieokrzesany i bezmyślny lud pod słońcem”*. Szkotów uratowało położenie geograficzne, opór stawiany w odpowiednim momencie, a przede wszystkim Elżbieta I, pierwszy angielski monarcha myślący nowoczesnymi kategoriami; zawarty przez nią w roku 1560 traktat ze Szkotami uitorował drogę rozwiązaniom politycznym opartym na porozumieniu.

W przeciwieństwie do tego stosunki Anglii z Irlandią, od połowy XII wieku aż do dziś, to dzieje niczym nie złagodzonej tragedii. Żadna teoria głosząca, że Anglicy mają jakąkolwiek naturalną zdolność do rządzenia innymi narodami, nie może się ostać nawet przy najbardziej pobieżnej analizie dziejów kontaktów angielsko-irlandzkich; władcy i politycy angielscy od samego początku popełniali wszystkie możliwe błędy, po czym w drodze dzikiej przemocy starali się naprawić ich skutki. Główny problem, jak na ironię, polegał wszakże na tym, że Irlandia nigdy nie znalazła się w centrum polityki angielskiej. Stanowiła zawsze marginalne zagrożenie, marginalny problem i marginalną zdobycz. Anglicy nigdy nie potrafili się zdobyć na to, żeby zostawić Irlandię w spokoju, a równocześnie nigdy nie chcieli przyznać jej ważniejszego miejsca w swoich planach politycznych. Aż do okresu wielkiej migracji zarobkowej w XIX wieku większość Anglików nie miała bezpośredniego kontaktu z Irlandczykami; narodowe uprzedzenia brały się więc po tej stronie Morza Irlandzkiego z pogłosek, mglistych opowieści o jakimś podejrzanym narodzie. Rola utrzymywania kontaktu między oboma nacjami przypadła małej grupie anglo-normandzkich osadników, wyposażonych wprawdzie przez państwo angielskie w pełnomocnictwa do podboju wyspy, ale zbyt nielicznych i pozbawionych środków materialnych, by tego dokonać. Żyli poza zasięgiem skutecznej kontroli Londynu, byli za to wystarczająco aktywni i agresywni, by wzbudzić wrogość Irlandczyków i prowokować ponawiane co jakiś czas próby oporu, których nie mogli następnie zdławić własnymi siłami bez pomocy z Anglii. Stosunki angielsko-irlandzkie przybrały więc postać serii powracających ze złowrogą monotonią epizodów: złych rządów, buntu, stłumienia buntu, a następnie mściwego zaniechania, prowadzącego do ponownych nadużyć i buntu. Klasa angielskich osadników nie zdołała dokończyć podboju, a równocześnie nie potrafiła zdecydować się na politykę pełnej asymilacji; oscyłowano niepewnie między jednym a drugim. Społeczeństwo irlandzkie uległo więc rozwarstwieniu o charakterze etnicznym; podobny rodzaj stosunków istniał między Anglikami a Normanami tuż po roku 1066, jednak w Irlandii przerodził się w trwałą, ostrą antagonizm. Angielska polityka

* Z drugiej strony ambitni Szkoci przynajmniej od XIII wieku udawali się na południe, szukając kariery w Anglii. Robert Bruce, earl Carrick i pretendent do szkockiego tronu, przez ponad 20 lat służył Henrykowi III jako sędzia, a służbę swą kończył na stanowisku przewodniczącego King's Bench [najważniejszy trybunał królewski]. Król Szkocji służył w armii Edwarda III i dostawał 2 funty 10 szylingów dziennie. Także Walijszczy zaciągali się do angielskiej armii jako łucznicy.

w Irlandii od samego początku zawiodła jako narzędzie tworzenia trwałego organizmu państwowego; była niczym więcej, jak tylko okupacją, w dodatku nietrwałą i niepełną. Motywem tej polityki był strach, a jej instrumentem nieodmiennie siła. Anglicy nie potrafili podbić Irlandii, nie chcieli się jej jednak wyrzec. Nie mogli nią zarządzać, mogli ją tylko od czasu do czasu ujarzmić. Aby dopełnić tragedii, Anglicy w Anglii, patrząc na Irlandię z oddali i uświadamiając sobie jej istnienie jedynie w chwilach, gdy nędza i udręka eksplodowały w postaci otwartej przemocy (którą czuli się w obowiązku szybko stłumić), zaczęli uważać Irlandczyków za naród całkowicie nierozumny, za ludzi, którzy nie potrafią znaleźć sobie miejsca w żadnych znanych instytucjach i formach sprawowania władzy – społeczeństwo *contra naturam*. Winę za swoje niepowodzenia zrzucili więc w błogim samozadowoleniu na głowy ofiar, po czym spokojnie zamknęli oczy na prawdziwą naturę problemu irlandzkiego. Nie widzą jej do dziś i choć Irlandia wciąż – przemocą – zwraca na siebie uwagę Anglików, nie może zdobyć ich zrozumienia. Księgarze i wydawcy zgodnie twierdzą, że bardzo trudno sprzedać angielskiej publiczności poważną książkę na tematy irlandzkie, a równocześnie w ciągu tych setek lat niejeden Anglik w życiu nie słyszał o Statutach z Kilkenny.

A przecież te angielskie prawa, ustanowione w roku 1366 i utrzymane w mocy aż do połowy XVII wieku, były kamieniem węgielnym polityki, która z Irlandii uczyniła Republikę Południowej Afryki średniowiecza. Z ducha były całkowicie rasistowskie i miały za zadanie ustanowienie brutalnej formy apartheidu. Zrezygnowano wówczas z prób rządzenia całą Irlandią. Angielską kolonię ograniczono do terenu „posłusznych hrabstw”, czyli tzw. Pale. Wszyscy mieszkańcy terenów leżących poza Pale zostali oficjalnie uznani za „irlandzkich wrogów”. Już w roku 1285 pojawiły się postulaty, aby uniemożliwić Irlandczykom obejmowanie biskupstw, ponieważ „w kazaniach zawsze występują przeciw królowi”. A zatem Irlandczycy – spadkobiercy starożytnego Kościoła, który przeżywał okres rozkwitu, gdy Anglicy żyli jeszcze w pogaństwie – zostali teraz w majestacie prawa wykluczeni z dostępu do urzędów kościelnych. Anglikom nie wolno było podejmować z Irlandczykami negocjacji, wchodzić w związki małżeńskie, sprzedawać im koni ani uzbrojenia. Liczne zakazy miały chronić angielskich osadników przed „degeneracją”. Nie mogli zatrudniać irlandzkich minstrelów, poetów i bazarzy, musieli słuchać angielskich kazań, mówić po angielsku i przestrzegać angielskich obyczajów. Nie wolno im było oddawać się irlandzkim sportom, takim jak *hurling* [rodzaj hokeja] czy *quoits* [rzucanie pierścieniami], natomiast byli zobowiązani do ćwiczenia się w łucznictwie „i innych szlachetnych rozrywkach”.

Jak widać, religia miała bardzo mało wspólnego z powstaniem kwestii irlandzkiej; a raczej, ściśle biorąc – miała, tyle że w sposób, któremu późniejsze dzieje przydały charakter gorzkiej ironii. Pierwsza angielska inwazja na

Irlandię w latach siedemdziesiątych XII wieku nastąpiła bowiem na żądanie papieżstwa, a uprawomocniła ją bulla *Laudabiliter* (1155). Co prawda, autentyczność bulli budzi pewne wątpliwości, a jej domniemany autor, Hadrian IV, był jedynym Anglikiem, który zasiadał na tronie św. Piotra. Jednakże Hadrian był bardziej kosmopolitycznym karierowiczem niż angielskim nacjonalistą; tak czy inaczej, rzeczywiste i niewątpliwe usprawiedliwienie podboju można znaleźć w przesyłanych Henrykowi II listach papieża Aleksandra III, pontifexa w stylu Hildebranda, który nie żywił wobec Anglików żadnych sentymentów. Anglicy zostali wezwani do zniewolenia Irlandczyków w imię supremacji papieżstwa. Angielskie prawa własności do Irlandii zostały więc podpisane nie w Londynie, ale w Rzymie. Papieże gorąco nienawidzili Kościoła irlandzkiego od czasu Whitby, a nawet wcześniej.

Gdy Ryszard II przybył do Irlandii w latach dziewięćdziesiątych XIV wieku, podziały etniczne zdążyły już okrzepnąć – podzielił więc jej mieszkańców na „*irrois savages, nos enemis; irrois rebelz; et les Englois obseissantz*” [dzikusów irlandzkich, naszych wrogów; irlandzkich buntowników; lojalnych Anglików]. Przez „*irrois rebelz*” rozumiał „zdegenerowanych” Anglików, którzy „zmieniili się w miejscowych”. Prawo zabraniało osadnikom urodzonym w Anglii i urodzonym w Irlandii obrzucać się nawzajem rasistowskimi wyzwiskami – powinni trzymać się razem, zachowując narodową solidarność przeciw „irlandzkim wrogom”. Klasyfikację Ryszarda II już tylko krok dzieli od sławniejszej, autorstwa Cromwella, która wyróżnia „angielskich protestantów (lojaliści) i irlandzkich papistów (buntownicy)”. Stąd zaś jeszcze bliżej do antagonizmu unioniści-nacjonałiści we współczesnym Ulsterze. Religia z pewnością nie stanowi więc przyczyny konfliktu irlandzkiego; co najwyżej nadaje zabarwienie bardziej zadawnionym i głębiej zakorzenionym podziałom etnicznym*. Natomiast utożsamienie irlandzkiego nacjonalizmu z rzymskim katolicyzmem było zasadniczo sprawą przypadku. Albowiem to nie kto inny, jak fanatycznie katolicka królowa Maria rozpoczęła proces systematycznego osadzania angielskich kolonistów na skonfiskowanych ziemiach irlandzkich buntowników. Toteż gdy za Elżbiety Anglia zwróciła się ku protestantyzmowi, stara klasa anglo-irlandzkich właścicieli ziemskich schroniła się pod opiekę Kościoła rzymskiego

* Dziekan Swift, pisząc z Dublina do Aleksandra Pope'a, stwierdził, iż jest „zasmucony faktem, że nie czynisz żadnej różnicy między angielskim ziemiaństwem tego królestwa a dzikimi Irlandczykami ze starych rodów (którzy są tylko prostakami i niewiele znajdziesz dżentelmenów na irlandzkich terenach królestwa)”. Edward Carson, twórca współczesnego Ulsteru (choć sam był dublińczykiem) nie krył się specjalnie ze swoim rasizmem. W roku 1933 pisał: „Celtowie potrafili robić w Irlandii tylko kłopoty i bałagan. Irlandczycy, którym coś się udało, w żadnym ze znanych mi przypadków nie są czysto celtyckiego pochodzenia” (H. Montgomery Hyde, *Carson*, London 1953, s. 491).

bardziej w akcie protestu przeciw nowej fali osadnictwa niż z powodów doktrynalnych. Katolicyzm i przywiązanie do papieża stały się wyznacznikami irlandzkiego nacjonalizmu i to samo papieżstwo, które niegdyś oddało Irlandię Anglikom, teraz zachęcało Irlandczyków do buntu. Niewątpliwie celtycki konserwatyzm pomagał Irlandczykom uszywnić opór wobec reformacji, ale wpływ na wybór religii miały w Irlandii przede wszystkim motywy natury politycznej i etnicznej. Gdyby Anglia pozostała katolicka, a Francja przyjęła protestantyzm, nie ulega wątpliwości, że Irlandia także stałaby się krajem protestanckim.

Głębokiej ironii całej sytuacji przydaje fakt, iż niewykluczone, że Anglia mogła nawet zapewnić Irlandii tolerancję religijną, zachowując zwierzchność polityczną. Edykt nantejski Henryka IV we Francji stanowił ważny i w swoim czasie skuteczny precedens. Przyjęcie takiego rozwiązania rozważano także w rządzących kręgach Anglii. Bacon zanotował: „Tolerancja religijna (na czas nieokreślony), o ile ograniczałaby się do kilku ważniejszych miast i regionów, na wzór pewnych edyktów francuskich, wydaje mi się posunięciem uzasadnionym z religijnego punktu widzenia i absolutnie niezbędnym politycznie”. Jednakże tego rodzaju polityka rozbiła się o skałę wrogości etnicznych, zwłaszcza odkąd w Irlandii Północnej zaczęli się masowo osiedlać szkoccy prezbiterianie. Irlandia stała się w ten sposób – i pozostaje do dziś – ofiarą narodowościowej agresji ubranej w kostium kontrowersji religijnej; wyznanie stało się znakiem przynależności etnicznej, a tym samym wierności swemu narodowi.

Ta rosnąca agresja, towarzysząca budzeniu się poczucia świadomości narodowej i jedności etnicznej Anglików, znajdowała upust nie tylko we wrogości wobec celtyckich sąsiadów, ale także wobec wszystkich ludzi obcego pochodzenia żyjących w angielskim społeczeństwie. W okresie wczesnego królestwa anglo-normandzkiego klasa rządząca miała wyraźne nastawienie kosmopolityczne; nie słyhać, na przykład, o żadnych zarzutach wobec Lanfranca czy Anzelma – obaj byli Włochami – z racji ich pochodzenia narodowego. Także Żydzi po raz pierwszy pojawili się w Anglii w ślad za Wilhelmem Zdobywcą i utworzyli bogate, dobrze prosperujące gminy w wielu większych miastach. Wydaje się, że przez ponad siedemdziesiąt lat żyli w spokoju. Jednak w miarę upływu XII stulecia ludność angielska, wliczając w to na ogół francuskojęzyczną arystokrację, zaczęła wytyczać ostre granice między sobą a „tymi, którzy nie pochodzą z narodu królestwa Anglii”. I choć ochrona cudzoziemców, umożliwiająca im nieskrępowaną aktywność gospodarczą, zawsze leżała w najlepiej pojętym interesie ekonomicznym angielskiego państwa, szerokie rzesze Anglików zawsze przejawiały nieodpartą skłonność do tego, żeby obcych przesładować, a jeśli się da – także ograbić. Gdy średniowieczne państwo było silne, cudzoziemcy byli bezpieczni; gdy nieco połuźniło swój uścisk, ich życie i majątek znalazły się w niebezpieczeństwie. Cudzoziemskie społeczności kupieckie zawsze musiały więc pozostawać pod osobistą ochroną monarchy.

Przede wszystkim chodziło o Żydów. W sensie prawnym stanowili własność Korony, która ich systematycznie „dzierżawiła”. Jako jedyni, przynajmniej w teorii, mieli prawo pożyczać pieniądze na procent (zwykle około 50 %, czasem jednak nawet do 66 i 2/3 %). Król mógł opodatkowywać ich wedle upodobania, a po śmierci majątek Żyda stawał się własnością Korony; spadkobiercy mogli go przejąć jedynie po wniesieniu opłaty pochłaniającej znaczną część spadku. Korona umożliwiała Żydom ściganie dłużników w sądzie, dzięki czemu sama z kolei pobierała swą działkę. W Westminsterze rezydowali specjaliści sędziowie rozstrzygający sprawy Żydów oraz działała odrębna Izba Skarbu. Żydzi prowadzili rozległe interesy, dzięki czemu odgrywali niepoślednią rolę w gospodarce pieniężnej; finansowali rozwój rolnictwa i rzemiosła, przyczyniając się w ten sposób do szybkiego wzrostu poziomu życia i rozwoju kultury, tak znamienych dla XII i XIII stulecia w Anglii. Aaron z Lincoln, który prawdopodobnie zrobił największą karierę spośród wszystkich Żydów w dziejach Anglii, prowadził interesy w dwudziestu pięciu hrabstwach; do jego klientów należeli król Szkocji, arcybiskup Canterbury, kilkudziesięciu biskupów, opatów, earłów, nie licząc rzeszy drobniejszych pożyczkobiorców. Finansował budowę katedry w Lincoln, opactw w Peterborough i St. Albans oraz przynajmniej dziewięciu klasztorów cysterskich. Gdy zmarł w roku 1185, utworzono specjalny wydział skarbu, *Scaccarium Aaronis*, aby ściągnąć pożyczone pieniądze, co zajęło ponad dwadzieścia lat; prawdopodobnie była to największa finansowa gratka, jaka trafiła się angielskim rządcom.

Jednak rosnąca świadomość odrębności etnicznych sprawiła, że coraz trudniej było Koronie chronić swych protegowanych. Płomień nienawiści podsycił także Kościół, głęboko zadłużony u Żydów, fabrykując opowieści o żydowskich mordach rytualnych. Pierwsza i najbardziej znana z tych pogłosek, z roku 1144 – tzw. sprawa „św. Williama”, dziecka z Norwich – skwapliwie rozsiewana przez mnichów zawdzięczających swe wspaniałe posiadłości i budowle pieniądзом pożyczonym od Żydów, doprowadziła do wybuchu odrażających zamieszek antyżydowskich. Warto zauważyć, że doszło do nich w najgorszym okresie panowania Stefana, gdy władza centralna była bliska upadku. Wraz z przywróceniem przez Henryka II rządów prawa i porządku gminy żydowskie ponownie mogły się cieszyć okresem rozwoju, a nawet osiągnęły apogeum rozkwitu; jednak wkrótce po jego śmierci antysemityzm znów wylał się na ulice. Nastąpiły pogromy w Londynie, Norwich, Lincoln i Stamford; w Yorku zmasakrowano stu pięćdziesięciu Żydów, którzy schronili się w zamku królewskim. Zdolność Korony do zapewnienia Żydom bezpieczeństwa stanowiła więc wiarygodny i czuły barometr jej realnej władzy i autorytetu; gdy Jan bez Ziemi został rzucony na kolana w Runnymede, znakiem zwycięstwa sił „konstytucyjnych” było między innymi włączenie trzech antysemitycznych zapisów do tekstu Wielkiej Karty Swobód [*Magna Charta Libertatum*]. Arcybiskup Stephen Langton, który brał

udział w pracach nad projektem, czczony jako jeden z architektów tej swoistej angielskiej konstytucji, był znanym antysemitą; rozkazał spalić na stosie jako heretyka pewnego archidiakona, który ożenił się z Żydówką i przeszedł na judaizm; usiłował także wprowadzić obowiązek noszenia przez Żydów specjalnych znaków naszytych na ubraniu.

Magna Charta podważyła ekonomiczne podstawy życia Żydów w średnio-wiecznej Anglii, choć gminy nadal starały się jakoś wiązać koniec z końcem. W roku 1264, gdy Korona ponownie została upokorzona, nastąpiła kolejna fala pogromów: starając się zdobyć poparcie szerszych rzesz społeczeństwa, Szymon de Montfort (jak na ironię Francuz, który gardził Anglikami) odwołał się między innymi do agresywnego antysemityzmu. Gdy Edward I, najbardziej apodyktyczny przedstawiciel władzy monarszej, objął rządy, żydowska społeczność w Anglii była niemal zrujnowana. W roku 1275 Edward wprowadził *Statute of the Jews* (Statut o Żydach), mający na celu przekształcenie Żydów z lichwiarzy w rzemieślników. Takie rozwiązanie wywołało jednak furię rzemieślników cechowych, co więcej – pozbawiło Żydów ich wyjątkowej roli w służbie Koronie. W roku 1290 Edward umył ręce od całej sprawy i wygnał ogołoconych już do reszty Żydów z Anglii. W XIV wieku rolnictwo angielskie bardzo boleśnie odczuło brak żydowskich finansistów i całkowite niepowodzenie prób zastąpienia ich w tej roli przez rodzimy element.

Wygnanie Żydów otworzyło z kolei przed Włochami perspektywy odegrania nowej roli – zarówno w angielskiej gospodarce, jak i w świadomości Anglików. Teraz oni stali się obiektem nienawiści w miastach. Nie znoszono Włochów, ponieważ byli bankierami, ponieważ to głównie oni korzystali z papieskiego systemu przyznawania angielskich beneficjów, jaki rozwinął się na szeroką skalę w późnym średniowieczu, a także dlatego, że byli uzdolnionymi kupcami, utrzymującymi regularne centra handlowe we wszystkich większych miastach. W okresie ponownego upadku autorytetu Korony za panowania Lancasterów, a zwłaszcza Henryka VI, ich życie i majątek znajdowały się nieustannie w niebezpieczeństwie, przy czym na czele ksenofobicznej bandy stał teraz, naturalnie, Parlament. W latach 1440–1442 Parlament zaaprobował ustawy, które w praktyce sankcjonowały pirackie napady na statki handlowe należące do cudzoziemców. W 1456 i w roku następnym w Londynie wybuchały antywłoskie zamieszki. Włosi w przerażeniu zbiegli do Southampton, gdzie też osiedli; jednak w roku 1460 władzę w mieście zdobyła frakcja wroga cudzoziemcom i Włosi uciekli także stamtąd. Jednym z elementów polityki Edwarda IV, dążącego do przywrócenia silnej pozycji władzy królewskiej, było zapewnienie bezpieczeństwa obcokrajowcom w Anglii i położenie kresu zalegalizowanemu piractwu na wodach Kanalu. Generalnie rzecz biorąc, Edwardowi i jego następcom z dynastii Tudorów stopniowo udało się uspokoić sytuację, jednakże

żywiłowa niechęć do Włochów pozostała jedną z wyraźniejszych cech angielskiego charakteru. Włosi, rzecz jasna, nie pozostawali dłużni. Jak się wydaje, przeważała wśród nich opinia, że Anglia to bogaty kraj, zamieszkanym przez nieokrzesanych głupców, których człowiek cywilizowany i wyrafinowany potrafi bez trudu oskubać. W roku 1436 papieski wysłannik Piero da Monte stwierdził, że Anglia to „bardzo zasobna kraina, bogata w złoto, srebro i wiele drogocЕННОści, gdzie nietrudno o przyjemności i rozkosze”. Silvestro Gigli, agent Henryka VIII w Rzymie, ujął sprawę dużo dosadniej (a w każdym razie tak doniesiono królowi): „A niech barbarzyńskie narody Anglii i Francji powybijają się nawzajem. O co mamy się martwić, skoro jeszcze dają nam pieniądze, żebyśmy się tu dobrze bawili?” Z kolei Anglicy postrzegali Włochów jako chciwych, kosmopolitycznych awanturników, wyzbytych poczucia tożsamości narodowej, lojalności czy patriotyzmu. Jak ujął to jeden z elżbietańskich autorów: „Włosi służą wszystkim książętom naraz i swymi perfumowanymi rękawiczkami, kosztownymi prezentami, a nadto złotem, jeśli taka zajdzie potrzeba, robią z nami, co im się podoba, i zlizują tłuszcz nawet z naszych bród”. Powszechne nastroje antywłoskie stanowiły jedną z podstawowych sił napędowych angielskiej reformacji.

Jednakże krajem, który krystalizował, a następnie przez stulecia symbolizował ksenofobię rodzącego się narodu Anglików, była Francja. Od połowy XII wieku aż do połowy wieku XIX historia kontaktów zewnętrznych Anglii w dużej mierze stanowi dzieje wzajemnej wrogości angielsko-francuskiej. Czasem daje o sobie znać w otwartej wojnie, czasem w dyplomacji czy handlu, kiedy indziej we wszystkich trzech dziedzinach równocześnie. Od czasu do czasu scenę dziejów przemierza, niczym błyskawica, inny przeciwnik – hiszpański lub holenderski – jak gdyby chciał rozdzielić walczących, ale zawsze i nieubłaganie potężny, tłący się wciąż konflikt francusko-angielski na powrót opanowuje umysły; ożywa wówczas utrwalony wzorzec wzajemnych nienawiści. Ta bezsensowna agresja i rywalizacja dzieląca dwa zasobne i wysoko rozwinięte narody stanowi jedną z największych tragedii ludzkości; któż może zagwarantować, że pewnego dnia nie wybuchnie ponownie? Anglicy prawdopodobnie zawsze będą nader podejrzliwie odnosić się do każdego dużego państwa, które zajmuje południowe brzegi Kanału. O gwałtownych nastrojach antyfrancuskich po raz pierwszy słyhać już w latach pięćdziesiątych XI wieku, kiedy to na dworze Edwarda Wyznawcy pojawiła się frakcja francuskojęzyczna. A jednak ani Kanał, ani odmienny język nie tłumaczą w zadowalający sposób genezy tego konfliktu. Normanowie natychmiast po zainstalowaniu się w Anglii rozpoczęli politykę bezwzględnej wrogości wobec Korony francuskiej. Bardzo szybko ustalił się też obowiązujący przez wieki wzorzec wzajemnych stosunków dyplomatycznych: Francuzi wspierali i finansowali antyangielskie frakcje w Walii, Szkocji i Irlandii, a Anglicy finansowali i zbroili antyfrancuskie koalicje w Niderlandach

i krajach niemieckich. Początek antyfrancuskiej dyplomacji w Niemczech dał Henryk I, wydając córkę za cesarza; nieco później sam poślubił żonę z niemieckojęzycznej Lotaryngii. Henryk II zainicjował praktykę opłacania przeciwników Francji w krajach położonych na jej granicy północnej i wschodniej, a nawet we Włoszech; kontynuowali ją Ryszard I i Jan, budując szeroką koalicję antyfrancuską obejmującą Flandrię i kraje leżące wzdłuż Renu. Trudno zliczyć, ile złota w ciągu siedmiu stuleci popłynęło na te intrygi z angielskiego skarbcza. Jak widać z rejestrów *pipe-roll*, od Henryka II do Williama Pitta Młodszeo każde niezależne terytorium – królestwa, pryncypaty, księstwa, palatynaty, hrabstwa, arcybiskupstwa i miasta-państwa – jeśli tylko leżało w zasięgu ewentualnych działań wojennych przeciw Francji, w tym czy innym momencie pozostawało na służbie podatników angielskich.

Wzajemna wrogość sięgała w istocie głębiej niż kultura i język. Angielscy arystokraci nienawidzili Francuzów nawet wtedy, gdy sami od urodzenia mówili po francusku, a wielu z nich wciąż posiadało wielkie majątki we Francji. Tę przepaść jeszcze bardziej pogłębiła utrata Normandii w roku 1204, gdyż ludzie, którzy mieli ziemię po obu stronach Kanału, musieli wówczas ostatecznie wybrać wierność jednemu narodowi; ponadto południowy brzeg Kanału stanowił odtąd terytorium wroga. W tym sensie utrata Normandii stanowiła więc decydujący moment w dziejach Anglii*; nie tylko bowiem zapoczątkowała wojnę między oboma państwami, ale także nadała jej silne nacjonalistyczne zabarwienie. Upadek w XIV wieku znaczenia języka francuskiego w Anglii stanowił zarazem przyczynę i skutek fazy intensywnych walk znanych jako wojna stu-letnia. Spowodował też kulturalną separację między klasami rządzącymi obu krajów, co jeszcze bardziej utrudniało ewentualne pojednanie.

Mimo to stosunek Anglików do kultury francuskiej był wciąż osobiście ambiwalentny. Anglicy, zwłaszcza wykształceni i zamożni, czuli, że jej potrzebują. Francuski był międzynarodowym językiem kultury, tak jak łacina była językiem nauki. Pierwszym wykwitom angielskiej literatury narodowej pod koniec XIV wieku towarzyszyły gorliwe wysiłki, żeby nadażyć za rozwojem pisanej i mówionej francuszczyzny. To dzięki językowi francuskiemu nowe idee i osiągnięcia

* Między innymi zmusiło to Anglików do utrzymywania regularnej floty wojennej. Jan bez Ziemi w następstwie swej wojskowej niekompetencji zapisał się więc w dziejach Anglii jako założyciel Royal Navy. W roku 1205 flota królewska liczyła już pięćdziesiąt jeden galer zgrupowanych w trzech flotyllach; mniej więcej z tego okresu pochodzą pierwsze wzmianki o Portsmouth jako bazie marynarki wojennej, o użyciu kompasu oraz istnieniu kodeksu prawa morskiego; z polecenia Jana wszystkie statki musiały oddawać honory mijając okręt królewski. Żeglarze dostawali 3 pensy dziennie, dowódcy 6 pensów, płatne z góry. Wkrótce niezbędne okazały się jednak specjalne oddziały siłą wcielające do służby na morzu (*press-gangs*). Pierwszym „nadzorcą statków królewskich” za Jana został archidiakon, co przywróciło związki między Kościołem Anglii a flotą, po raz pierwszy nawiązane w IX wieku.

kulturalne docierały na wyspę; francuski stanowił znak firmowy pretensjonalnych niewolników mody, którzy wplatali w swe wypowiedzi francuskie słówka i wyrażenia. W przerwach między okresami otwartej wojny czternasto- i piętnastowieczni Anglicy chętnie podróżowali do Francji, zupełnie jak ich potomkowie, którzy hurmem zjadą do Paryża w krótkim okresie pokoju podpisanego w Amiens w roku 1802, a potem po Waterloo. Pod koniec XIV wieku pojawiają się pierwsze podręczniki konwersacji francuskiej, pisane na użytek podróżników angielskich. Jeden z nich, zatytułowany *La Maniere de language qui t'enseignera bien a droit parler et escrire doulx françois*, pochodzący z roku 1396, instruuje Anglika, co należy w odpowiednich sytuacjach powiedzieć na drodze czy w gospodzie. Nieświadomie daje przy tym wyraz angielskim uprzedzeniom: dowiadujemy się więc, jak pouczyć leniwych, niezdarnych i chciwych francuskich stajennych o ich obowiązkach, jak powiedzieć francuskiemu oberżyscie, żeby posprzątał brudne i zarobaczone pokoje gościnne oraz podawał niewystygłe i nie zepsute jado, a także jak skorzystać z rozpustnego francuskiego zwyczaju podsuwania podróżnym dziewcząt i jak następnie nie zostać oszukany. Ten czternastowieczny przewodnik tylko w szczegółach – bo nie w ogólnej wymowie – różni się od rozmówek wręczanych angielskim wojażerom w wieku XVIII, a nawet klientom Mr Thomasa Cooka. Już wtedy Anglicy zaczęli przypisywać Francuzom wszystkie możliwe rodzaje gorszących zwyczajów i postaw, a także, już bardziej zasadnie, budzących ich przerażenie i zgrozę obyczajów politycznych.

Ten rasizm w dużej mierze brał się, oczywiście, ze strachu: Francja była cztery razy większa niż Anglia i wielokroć zasobniejsza w ludzi i bogactwa. Powszechnie wierzone, że Francuzi są agresywni, podstępni i wrogo nastawieni do Anglików; stare angielskie przysłowie mówiło: „Jak Etiopczyk będzie biały, Francuz pokocha Anglika”. Uważano, że to Francuzi wymyślili tortury i że są u nich w powszechnym zastosowaniu. Fortescue namiętnie przeprowadzał porównania między prawem angielskim i francuskim – całkowicie na korzyść praw angielskich; pisał na przykład, że król Anglii musi rządzić mając na względzie dobro swoich poddanych, podczas gdy król Francji to zasadniczo niepohamowany tyran. Pewien Francuz w XV wieku ze zgrozą opowiadał, jak to podслуchał w rozmowie dwu mieszczan londyńskich, że będą tak długo detronizować i ścinać królów, aż znajdą takiego, który im będzie odpowiadał. W roku 1460 książę Yorku i earl Warwick, podżegając z Irlandii do buntu przeciw Lancasterom, oskarżyli Koronę o chęć wprowadzenia odrażającej i niewolniczej francuskiej praktyki przymusowych dostaw na rzecz państwa. Henryk VII, wyczerpany ciągłym konfliktem z Parlamentem, oświadczył, że już nigdy nie zwoła następnego i będzie rządził „na modłę francuską”. Nawet w chwilach pojednania angielska nienawiść do Francuzów tliła się, jątrzyła, nadal pod powierzchnią. W trakcie

spotkania monarchów na Field of the Cloth of Gold* wenecki ambasador pod-
słuchał strzęp rozmowy między markizem Dorset a jednym z jego przyjaciół:

- Gdybym miał w żyłach choć kroplę krwi francuskiej, otworzyłbym sobie żyły, żeby się jej pozbyć.
- Uczyniłbym podobnie.

Do pewnego stopnia wszyscy angielscy władcy w średniowieczu czuli się zobligowani do prowadzenia wojny z Francją. Dopóki utrzymywała się tradycja, że do powinności arystokracji wobec Korony należy także, w pewnym wymiarze, nie opłacana służba zbrojna, wielcy możnowładcy niechętnie patrzyli na królewskie wojny po drugiej stronie Kanału, które nie przynosiły im żadnych namacalnych korzyści. Po utracie Normandii sprawa służby poza granicami kraju stała się, jak zobaczymy, kością niezgody między Janem a jego baronami. Jednak pod koniec XIII wieku, wraz z rozwojem zawodowych armii najemnych, prowadzenie ciągłej wojny z Francuzami stało się dla znacznej części angielskiego społeczeństwa niezłym interesem. Dopóki Skarb był w stanie słać na drugą stronę Kanału worki szczerzego srebra, armie, od wodzów po najniższych rangą, mogły liczyć na godziwy zarobek. Czarny Książę [najstarszy syn Edwarda III] dostawał za czynną służbę 1 funta dziennie, łucznik – 4 szylingi, czyli tyle, ile wynosiła roczna renta z akra żyznej ziemi ornej. Sukces militarny oznaczał olbrzymie zyski, gdyż wszyscy jeńcy stawali się przedmiotem wykupu, niektórzy za sumy rzędu dziesiątków, a nawet setek tysięcy funtów; wykształcił się skomplikowany system podziału tych łupów między poszczególne rangi oraz regularny rynek schwytych jeńców z centralą w Calais i innych miastach handlowych. System przyczyniał się wprawdzie do zmniejszania liczby ofiar wśród walczących, równocześnie jednak stanowił podstawowy motyw skłaniający do wznowienia walk pod najblahszym pretekstem. „Za przyczyną tych zawziętych wojen wielu ludzi ubogich i niskiego stanu doszło do wielkiej zamożności” – napisał pewien współczesny Edwarda III. Książę Gloucester skarżył się Ryszardowi II, że pokój „wpędza w przygnębienie biednych rycerzy, giermków i łuczników Anglii”. Ale nie tylko zawodowi żołnierze ciągnęli korzyści z prowadzenia wojny. Znaczna część angielskiej gospodarki czerpała zyski z dostaw dla wojska; na przykład w połowie XIV stulecia w ciągu jednego roku dostarczono 2000 bel sukna na użytek marynarki wojennej. Powszechnie sądzono, że Anglia w sumie zarobiła na tych wojnach. Uważano, że wojna, jeśli się ją odpowiednio prowadzi, może przynosić zyski; za takim poglądem zdecydowanie opowiedział się na przykład Parlament w roku 1376.

Dla króla, jako zwierzchnika władzy państwowej, wojna niosła ze sobą zarazem ogromne ryzyko i wielką szansę. Wielokrotnie okazywało się, że udane

* Pole złotogłowiu – miejsce spotkania Henryka VIII z królem Francji Franciszkiem I w roku 1520 (przyp. tłum.).

działania wojenne we Francji przynosiły królowi bezpośredni zysk w postaci wzrostu autorytetu Korony w opinii publicznej, nawet jeśli to były bardzo kosztowne sukcesy; natomiast niepowodzenie natychmiast groziło poważnymi następstwami na krajowej scenie politycznej. Dla przykładu: Ryszard I był jednym z najmniej odpowiedzialnych monarchów, jacy zasiadali na tronie Anglii. Interesował się wyłącznie zawodowym prowadzeniem wojen, a Anglię (w której spędził zaledwie sześć miesięcy podczas swego dziesięcioletniego panowania) traktował po prostu jako bank finansujący jego ekspedycje. Żeby zgromadzić pieniądze, wystawił na aukcję cały aparat władzy państwowej. Jak powiada jego biograf: „Wszystko było na sprzedaż – władza, tytuły, stanowiska earłów, szeryfów, zamki, miasta, posiadłości i cała reszta”. Ryszard żartował: „Sprzedałbym nawet Londyn, gdybym tylko znalazł kogoś, kto chciałby go kupić”^{*}. A jednak wszystko puszczono mu w niepamięć jako wspaniałemu wodzowi międzynarodowej krucjaty; oghupiała i wojownicza publika jeszcze za życia uczyniła go bohaterem ludowej legendy i do dziś zachowuje go w swej wdzięcznej pamięci. Jan bez Ziemi, wprost przeciwnie, był sumiennym, odpowiedzialnym władcą, ale zrujnowała go klęska militarna. Nieszczęsny Henryk III, którego prawdziwe zainteresowania skupiały się w sferze sztuki i religii i który nie miał żadnych talentów do rządzenia, a tym bardziej do prowadzenia wojen, poczuł się jednak w obowiązku osobiście dowodzić wyprawami do Francji; efektem tych skazanych z góry na porażkę przedsięwzięć, komplikowanych jeszcze przez niedorzeczne plany osadzenia syna na tronie królestwa Sycylii, był poważny kryzys polityczny, który uczynił z Henryka więźnia partii parlamentarnej. Nawet jego wybitny syn, Edward I, miał kłopoty pod koniec swego panowania z powodu nieudanej kampanii we Francji. Z kolei Edward III odziedziczył tron zhańbiony i poniżony: jego ojciec Edward II padł ofiarą nikczemnego skrytobójstwa, a on sam znalazł się pod kuratelą zachłannej, chciwej oligarchii. Wszystko to jednak zatarły jego wspaniałe zwycięstwa we Francji – bardzo nietrwałe, jak się

* Por. uwagę, jaką podczas kryzysu sueskiego w roku 1956 Harold Macmillan, minister skarbu, rzekomo wypowiedział do Johna Fostera Dullesa: „Prędzej sprzedamy National Gallery, niż poddamy się Naserowi”. Wszystkie dochody Ryszarda pochłonęła przyniesiona przez wyprawy krzyżowe rewolucja w technologii wojennej, która spowodowała potężny wzrost kosztów prowadzenia wojen. Placa rycerza wzrosła do 1 szylinga dziennie, żołnierz konny dostawał 4 pensy, pieszy 2. W ciągu jednego roku Ryszard wydał 49 tysięcy funtów – więcej niż całe regularne dochody angielskiego państwa – na ufortyfikowanie części Normandii; większość z tych pieniędzy poszła na jeden zamek, Chateau Gaillard. Była to gigantyczna suma; sto lat później Edward I wznosił doskonałe zamki w Walii za sumę 10 tysięcy funtów każdy (jednak Edward rozumiał już znaczenie księgowości i kontroli kosztów). Ciężkie uzbrojenie, zwłaszcza zbroje, stało się bardzo złożone i drogie; trzeba więc było wyhodować silniejsze konie, aby udźwignęły zwiększony ciężar. W XIV wieku bojowy koń rycerski kosztował do 100 funtów, a nawet więcej; Ryszard II za konia, na którym jechał podczas koronacji, zapłacił 200 funtów. (Dla porównania: koń myśliwski pierwszej klasy w latach sześćdziesiątych XIX wieku kosztował do 300 funtów.)

wkrótce okazało. Mimo to Edward III cieszył się reputacją wielkiego wojownika jeszcze przez długie lata starczego zniedołężnienia, gdy kraj stopniowo pogrążył się w kryzysie gospodarczym i politycznym chaosie. Obląkany Ryszard II prawdopodobnie i tak prędzej czy później zniszczyłby swoją dynastię; jednak o jego upadku ostatecznie przesądziły próby wprowadzenia władzy autorytarnej, opartej na pokoju i przymierzu z Francją, w ramach którego Korona francuska zobowiązywała się nieść Ryszardowi pomoc „przeciw wszelkim ludziom, którzy winni mu posłuszeństwo, oraz wspierać go i podtrzymywać z całą swoją mocą przeciw każdemu z jego poddanych”. Anglicy uznali za rzecz karygodną, że król Anglii mógł przypuścić tego rodzaju frontalny atak na swobody swych poddanych z pomocą odwiecznych i naturalnych wrogów kraju; nic dziwnego więc, że gdy postawiono Ryszarda przed sądem, pięćdziesięciu ośmiu magnatów kościelnych i świeckich jednomyślnie – choć każdego pytano z osobna – uznało, że należy go pozbawić tronu i umieścić w trwałym odosobnieniu.

Sprawa wojny z Francją wywierała bezpośredni wpływ na losy angielskich monarchów aż do połowy XVI wieku. Henryk V odbudował silną władzę centralną – taką, jakiej odmówiono Ryszardowi II – wyłącznie dzięki udanym kampaniom we Francji, po czym właśnie niepowodzenia militarne, jakie nastąpiły po jego śmierci, położyły kres dynastii Lancasterów. Z drugiej strony monarcha wcale nie musiał osobiście angażować się w wojnę z Francuzami; Edward IV i Henryk VII uchylili się od tego ryzyka i dzięki tak rozważnemu posunięciu mogli przywrócić stabilność polityczną w kraju. Natomiast, co ciekawe, Henryk VIII, który niecierpliwie pragnął przywrócić świetność Korony, podejmował nie sprowokowane i bezsensowne akty agresji wobec Francji. Polydore Vergil powiada, że Henryk „uważał za swój obowiązek szukać sławy na polu walki”, zamówił więc angielski przekład francuskiej biografii Henryka V, gdzie we wstępie tłumacz nawołuje go do pójsicia w ślady wielkiego poprzednika. Henryk VIII, konserwatysta w każdym calu, odpowiedział na apel z tą samą bezmyślną brawurą co Ryszard I czy Edward III; być może jednak czuł także, że zwycięstwo nad Francuzami wciąż wywołuje magiczny dreszcz podziwu u wszystkich Anglików. Również i pod tym względem był ostatnim średniowiecznym królem Anglii. Coś z tego zapatrzonego w przeszłość monarchy w starym stylu pokutowało jeszcze w myśleniu obu jego córek. Maria boleśniej przyjęła utratę Calais niż wszystkie inne nieszczęścia, choć była to najbardziej kosztowna i zarazem bezużyteczna spośród angielskich kolonii. Nawet Elżbieta jako młoda władczyni poczuła stare tęsknoty i usiłowała zdobyć Hawr. Jednak wraz z doświadczeniem przychodzi mądrość. Jako pierwszy nowocześnie myślący angielski monarcha, Elżbieta ostatecznie położyła kres długiej historii jałowych wysiłków Anglii, aby zdobyć ziemie po drugiej stronie Kanału.

Jak to się stało, że Anglicy nie zaniechali tych okrutnych i bezmyślnych, agresywnych wojen? Nie licząc Henryka V, bardzo nieangielskiego władcy,

który pod wpływem religijnego fanatyzmu doszedł do przekonania, że Bóg Wszechmogący powierzył mu misję objęcia tronu Francji, a wszystkie swe wspaniałe zwycięstwa przypisywał entuzjastycznemu poparciu Opatrzności, Anglicy traktowali swoje pretensje dynastyczne jedynie jako pretekst. W tej sytuacji można żywić obawy, że najważniejszym czynnikiem napędzającym wojny z Francją był po prostu gwałtowny szowinizm. Odkrycie w roku 1295, że pewien Anglik, Thomas de Turberville, pracuje jako szpieg dla Filipa Pięknego, wywołało szalone wzburzenie: uważano, że tak monstrualna zdrada jest czymś niesłychanym, zbrodnią przeciw naturze; gdy prowadzono szpiega na okrutną śmierć, londyńczycy gołymi rękami usiłovali rozedrzeć go na strzępy. Zwycięstwa Edwardów wbiły Anglików w arogancką pychę. Ambasador Mediolanu w Burgundii pisał do swego księcia w roku 1475: „Anglicy są dumną rasą – nie szanują nikogo i głoszą swą wyższość nad wszystkimi pozostałymi narodami”. Wojny przynosiły Anglii poważne trudności gospodarcze, ale niewiele bezpośrednich cierpień fizycznych. Głównymi ofiarami byli nieodmiennie francuscy chłopci*. Stosunki między walczącymi regulowały skomplikowane zasady, w sumie dość powszechnie przestrzegane, nic natomiast nie chroniło ludności cywilnej, którą obie strony grabiły bez litości i mordowały tysiącami. Całe wsie i miasta ginęły z głodu na szlaku przemarszu żarłocznych armii. Tylko zaraza zachowywała bezstronność: najpierw osłabiła, a potem zabiła Czarnego Księcia, natomiast arcyagresora Henryka V spotkał smutny koniec za sprawą dyzenterii. Kościół, jedyna międzynarodowa instytucja ciesząca się pewną dozą

* W teorii średniowieczne prawa wojny chroniły kler i chłopów zajmujących się swoimi obowiązkami. Dowody świadczą jednak o tym, że reguły nie miały większego znaczenia. Edward III i Czarny Książę starali się unikać walnej bitwy i woleli stosować taktykę spalonej ziemi, żeby wyrzucić na monarchię francuską presję ekonomiczną. Jedynie Henryk V zdołał zaprowadzić odpowiednią dyscyplinę, aby zapobiec ekscesom, przynajmniej wobec kleru, toteż w czasie jego kampanii normandzcy chłopci nosili mnisie habity, aby uniknąć śmierci. Generalnie jednak Anglicy nie przejawiali żadnego szacunku dla własności kościelnej. W roku 1373 naoczny świadek widział ponad sto kielichów mszalnych zrabowanych z kościołów, których używano zamiast pucharów podczas uczty sir Johna Harlestone'a i jego ludzi. Obie strony torturowały i mordowały chłopów, aby wyciągnąć od nich pieniądze. Raport dotyczący poczynań żołnierzy Delfina w Luzeuil i Fauconney w roku 1439 zawiera marginesowe uwagi o „*femme violée*”, „*gens crucifiez, rotiz et penduz*”, „*homme rotz*” itd. Nawet autorzy teoretycznych prac na temat wojny przechodzili do porządku nad tymi realiami. Bonet w *The Tree of Battles* pisze, że „w owych czasach wszystkie wojny były skierowane przeciw biednym, ciężko pracującym ludziom”. Paris de Pozzo przyznaje w *De Re Militari*: „Wielu walczących nie torturuje jeńców, aby wy dostać od nich pieniądze w formie okupu, jednak zupełnie inaczej ma się sprawa z chłopami, w każdym razie jeśli chodzi o obyczaje najemników”. Toteż idee średniowiecznej rycerskości, wśród których poczesne miejsce zajmowała ochrona słabych, stanowiły martwą literę. Por. Maurice H. Keen, *The Laws of War in the Later Middle Ages*, Oxford 1965; H. J. Hewitt, *The Organisation of War under Edward III, 1338–1362*, Manchester 1966; zwięzłe podsumowanie ostatniej pracy można znaleźć w: Kenneth Fowler [wyd.], *The Hundred Years War*, London 1971.

szacunku, od czasu do czasu próbował arbitrażu i mediacji. Kilkakrotnie udało się papieżom doprowadzić do rozejmu, ale równie często podzegli walczących, zwłaszcza w okresach schizm papieskich, gdy rywalizujący papieże popierali przeciwne strony konfliktu. Wszystkie armie miały za sobą błogosławieństwo krajowej hierarchii. Wiklef, wyprzedzający zarówno w tej, jak i w innych kwestiach swoją epokę, potępił „grzech Korony, napadającej królestwo Francji”, ale był to głos wołającego na puszczy*. Zastrzeżenia wysuwane wobec agresji na Francję dotyczyły celowości praktycznej, a nie kwestii moralnych.

Doprawdy jedyne ograniczenia dla angielskiego militarystyki stanowiły pieniądze. Były to jednak ograniczenia istotne. Średniowieczni Anglicy byli gwałtowni, agresywni, ksenofobiczni i pełni rasistowskich uprzedzeń; byli jednak także chciwi, skąpi, praktyczni i pełni hipokryzji. Gromko popierali agresję, ale niespieszno im było ją finansować. Sądziło się, że wojna to interes, który powinien przynosić zyski. W rzeczywistości nigdy nie było aż tak dobrze. Od czasu panowania Ryszarda I, gdy wojny z Francją rozgorzały na dobre, przez następne trzy stulecia Korona angielska była poważnie zadłużona, czasem na granicy bankructwa, przy czym najwięcej gotówki, niczym studnia bez dna, pochłaniała agresja na Francję; samo utrzymanie Calais kosztowało jedną piątą stałych dochodów państwa. Dopiero rezygnacja Edwarda IV z pretensji do korony francuskiej w zamian za stałą pensję przywróciła wypłacalność angielskiego państwa; Henryk VIII, ponownie angażując się w wojnę, jeszcze raz wpędził państwo w długi, z których już nigdy nie wyszło. Oczywiście, wymienione fakty wyraźniej rysują się dziś przed historykami, którzy mogą analizować rachunki państwa na przestrzeni dłuższych okresów, niż wtedy przed ówczesną angielską klasą rządzącą. Wszelako gdy Anglicy dostrzegali, że wojna oznacza stratę pieniędzy, co zdarzało im się od czasu do czasu, natychmiast odczuwali nagły przypływ pacyfizmu. Można by powiedzieć, że znaczna część dziejów An-

* Nurt silnego sprzeciwu wobec przemocy, a nawet pacyfizmu, dał o sobie znać także wśród reformatorów. Biskup Pecock, niezależny głos establishmentu w połowie XV stulecia, uznał wojnę z Francją za niemoralną; twierdził też, że z lollardyzmem należy walczyć argumentami racjonalnymi, a nie za pomocą stosów, i zakończył karierę w ścisłym odosobnieniu w jednym z klasztorów. Roger Ascham nazwał rycerskość prawem do mordów i grabieży. Z kolei papież zachęcał Henryka VIII do inwazji na Francję, obiecując mu koronę w razie powodzenia. Antyfrancusko nastawionemu nacjonalizmowi angielskiego Kościoła zawdzięczamy styl perpendykularny [pionowy] w architekturze, powstały jako przeciwwaga dla późnego gotyku francuskiego. Pierwsze arcydzieło tego stylu, projekt chóru katedry w Gloucester, powstało w dekadzie bitew pod Crécy i Sluys. Szkoci, sojusznicy Francji, wytrwale obstawali przy francuskim gotyku „płomienistym”. Kler angielski dołożył też swoje trzy grosze do wojennych wysiłków narodu. Anglicy od dawna zazdrościli Francuzom, że ich królów namaszczano podczas koronacji świętym olejem, który archanioł Gabriel wręczył Clovisowi. W roku 1399, akurat tuż przed koronacją Henryka IV, mnisi w Canterbury „odkryli” dzbanek z olejem, który św. Tomasz Becket otrzymał ni mniej, ni więcej tylko od Dziewicy Maryi.

głii upłynęła na zmaganiach ksenofobii z chciwością, przy czym zwykle w końcu brała górę ta druga. Nieodparte angielskie pragnienie toczenia wojen zawsze natyka się na niewzruszoną przeszkodę w postaci odmowy ponoszenia ich kosztów. Anglicy uwielbiają wyładowywać agresję na obcych, na szczęście jednak jeszcze bardziej kochają pieniądze. Mamy tu młot i kowadło, które ukształtowały polityczną strukturę angielskiego społeczeństwa.

Weźmy choćby dzieje Wielkiej Karty Swobód, które stanowią dobry przykład działania opisanego mechanizmu, a ponadto celnie pokazują, na czym polega polityczny geniusz Anglików zdolny przekształcić zamęt, jaki sami na siebie ściągnęli, w triumf ducha narodu. Warto przy tym dokładniej przyjrzeć się tej historii ponieważ wiele się można z niej dowiedzieć o narodowym charakterze Anglików. Kryzys, który doprowadził do Runnymede [miejsce podpisania Karty], w istocie zaczął się w roku 1204, gdy Jan bez Ziemi stracił Normandię – w okolicznościach wskazujących na to, że zabrakło mu opanowania, woli i energii, a być może po prostu odwagi. Angielska klasa rządząca chciała odzyskać księstwo, zarówno ze względów osobistych, jak i narodowych, jednakże jej członkowie nie sądzili, że Jana stać na taki wyczyn, zwłaszcza w postaci frontalnej inwazji, na pewno zaś nie byli gotowi mu w tym pomóc. Dość łatwo można było utrudnić życie królowi Francji, finansując jego przeciwników i ochraniając ich za pomocą własnych okrętów, co też Jan uczynił: na razie więc sprawił się nieźle. W roku 1213 jego statki rozgromiły flotę francuską pod Zwyn we Flandrii, prowadził także wojnę finansową na szeroką skalę. Cesarz Otto, wróg Francuzów, dostawał 1000 marek rocznie; potężne sumy szły do książąt Limburgii i Brabantu, hrabiów Flandrii i Holandii oraz setek flamandzkich rycerzy, stale pozostających na liście płac Jana. Stworzona w ten sposób koalicja antyfrancuska nie była wprawdzie tak potężna, jak to wyglądało na papierze, ale miała znaczną siłę nękającą. Anglicy nie mieli nic przeciw roli sponsora. Byli też gotowi bronić własnego terytorium. Wszczęto poważne przygotowania do obrony przed inwazją. Zaprzysiężono wszystkich mężczyzn powyżej lat dwunastu i powołano konstabłów, których zadaniem było zorganizowanie społeczności miejskich „do obrony królestwa i zachowania pokoju przeciw cudzoziemcom i innym wicherzycielom”. Poczynione kroki cieszyły się przy tym znacznym poparciem ludności. Natomiast poważny opór wzbudziły otwarcie formułowane przez Jana plany użycia Anglików do walki na ziemi francuskiej – pod jego dowództwem. Anglicy uważali, że się do tego nie nadaje, że jest zdradliwy i nie można na nim polegać w trudnych momentach. Wiedzieli, że jest okrutny i że jest kłamcą; większość wierzyła, że po pijanemu własnymi rękoma zamordował swego bratanka Artura*. Choć w innych warunkach byli gotowi walczyć z Francuzami, nie chcieli służyć pod komendą Jana na

* Niektóre opowieści na temat okrucieństwa Jana są niewątpliwie przesadzone, a w każdym razie nie sprawdzone. Z całą pewnością jednak zagłodził na śmierć żonę i syna Williama z Braose

ziemi francuskiej; nie chcieli też finansować jego ekspedycji. Doradcy ostrzegali Jana przed taką polityką już w roku 1205, on jednak powracał do niej raz za razem, jak gdyby honor nakazywał mu osobiście pokonać Filipa Augusta na jego własnej ziemi. W roku 1213 Jan przeprowadził zakrojoną na szeroką skalę inspekcję powinności militarnych swoich bezpośrednich lenników. Wielu baronów, zwłaszcza z Anglii północnej i wschodniej, nie kryło sprzeciwu wobec planów króla. Tymczasem w roku 1214 Jan wysłał armię do Flandrii, żeby wesprzeć swą pstrokatą koalicję, a sam wyładował w La Rochelle, by zaatakować Francuzów z południa. To przedsięwzięcie, na fali wzbierających uczuć narodowych, mogło w przypadku sukcesu zmienić opinie poddanych. Jednak na południu zawiedli go sprzymierzeńcy z Poitevin, a protegowani na północy ponieśli sromotną klęskę pod Bouvines. Jan wrócił do Anglii jako jawny i upokorzony nieudacznik. A mimo to natychmiast nałożył na wszystkich baronów, którzy nie ruszyli za nim do Francji – a była ich znaczna większość – prowokacyjny trzymarkowy (40 szylingów) podatek tarczowy (*scutage*) od każdego rycerza. I taka była bezpośrednia, a zarazem podstawowa przyczyna rewolty baronów.

Każda anglo-normandzka i andegaweńska administracja królewska miała do czynienia ze spiskami baronów, jednak zwykle były to słabo zorganizowane bunty o ograniczonym zasięgu, które wynikały z czysto osobistych ambicji i frustracji. Jednakże Jan, podobnie jak niegdyś Stefan, nierozważnie uwikłał się równocześnie w poważny spór z papieżem. I w tym nie było niczego nowego, tyle że w przeszłości większość biskupów wyraźnie popierała swego monarchę. Na nieszczęście Jan miał nie tylko niezwykle utalentowanego przeciwnika w sprawach świeckich w osobie Filipa Augusta, ale także w sporze z Kościołem musiał zmierzyć się z najbardziej śmiałym i nieugiętym spośród średniowiecznych papieży, Innocentym III. W roku 1205 opróżniło się arcybiskupstwo Canterbury. Mnisi z kapituły katedralnej [do których tradycyjnie należała prerogatywa wyboru] bez zgody Jana wybrali swego przeora, po czym – przerażeni gniewną reakcją monarchy – zaakceptowali wyznaczonego przez kandydata. Papież unieważnił obie elekcje, wezwał kapitułę do Rzymu

w więzieniu zamku w Windsorze; dwudziestu dwóch więźniów zmarło też z głodu w zamku Corfe. Uwielbiał przyglądać się pojedynkom sądowym, które często stanowiły krwawe jatki; angielska opinia publiczna była już im w tym czasie zdecydowanie przeciwna. Pomijając jednak okrucieństwo i niekompetencję wojskową, trudno powiedzieć, dlaczego Jan wzbudzał tak powszechną niechęć. Był wykształcony (jego nauczycielem był Glanvill) i bardzo lubił czytać; w roku 1203 wydano 43 szylingi i 10 pensów na „skrzynie i wozy do przewozu ksiąg króla za morze”. Brał kąpiel średnio co trzy tygodnie i był pierwszym angielskim monarchą, który nosił szlafrok. Posiadał ogromną kolekcję klejnotów. Choć spłodził co najmniej pięciu bastardów i miał nałożnicę imieniem Suzanne, ufundował opactwo Beaulieu, ofiarował dotacje wielu klasztorom i regularnie nakładał na siebie kary pieniężne za łamanie postu lub łowienie ryb w dni świąteczne. Miał dokładnie 5 stóp 5 cali wzrostu (ok. 165 cm), co zostało potwierdzone, gdy pod koniec XVIII wieku otworzono jego grobowiec w katedrze Worcester.

i wymusił na niej nominację angielskiego kardynała Stephena Langtona, który reprezentował papieską linię w kwestiach kanonicznych. Było to bezprecedensowe naruszenie prerogatyw królewskich i Jan naturalnie odmówił potwierdzenia nominacji; Langton od konsekracji w 1207 aż do roku 1213 nie mógł postawić stopy na ziemi angielskiej. W roku 1208 Innocenty obłożył Anglię interdyktem, co przynajmniej w teorii oznaczało zawieszenie wszystkich religijnych funkcji Kościoła; w roku następnym ekskomunikował króla Jana. Takie zerwanie z Rzymem samo w sobie nie musiało doprowadzić do katastrofy. Jan początkowo przyjął interdykt spokojnie – Kościół angielski niezbyt przykładał się do jego przestrzegania – a nawet zagroził, że każe powiesić każdego, kto będzie molestował księży posłusznych Rzymowi; jednak po papieskiej ekskomunice coraz więcej biskupów zaczęło zwracać się przeciw niemu, na co zareagował wściekłością, ściągając z Kościoła zwiększone podatki. Wyścannicy Korony zajmowali własność kościelną i przekazywali płynące z niej dochody bezpośrednio do Skarbu; zebrano w ten sposób ponad 100 tysięcy funtów. Uzyskane fundusze w większości poszły na sfinansowanie udanych kampanii Jana w Szkocji, Irlandii i Walii w latach 1210–1212 i w tej mierze konflikt z Kościołem zyskał nawet aprobatę ludności świeckiej. Jednakże królestwo zaangażowane w spór z papieżem stawało się potencjalnym obiektem krucjaty; Filip niezwłocznie zgłosił w imię Boże pretensje do tronu Anglii, podobnie jak Wilhelm Zdobywca 150 lat wcześniej. W roku 1213 Jan gwałtownie zmienił front i zrzekając się korony na rzecz papieża, a następnie przyjmując ją ponownie jako lenno, uczynił Innocentego swoim sprzymierzeńcem. Papież odwołał interdykt i ekskomunikę, biskupi wrócili do Anglii, a Rzym mógł teraz wykorzystywać w interesie nowego wasala swe znaczne wpływy dyplomatyczne.

Niewykluczone, że ten desperacki akt *realpolitik* mógł rozwiązać wszystkie kłopoty Jana, jednak militarna katastrofa z roku 1214 oraz jego nieprześlądana reakcja sprawiły, że wielu baronów, którzy poprzednio wspierali go w konflikcie z Kościołem, zwróciło się zdecydowanie przeciw niemu. W teorii – a także w praktyce, w tej mierze, w jakiej słuchano rozkazów papieża – Kościół był teraz po stronie króla, wszelako wielu hierarchów miało z Koroną gorzkie porachunki finansowe. Tak czy inaczej, uznanie przez Koronę zwierzchności Rzymu postawiło ją w zupełnie nowej sytuacji prawnej, otwierając szeroko wrota konstytucyjnej opozycji. Baronowie mogli teraz, na przykład, składać skargi na swego monarchę w sądzie papieskim. Problem, jak daleko można się posunąć w opozycji wobec króla-pomazańca Bożego, już od półwiecza stanowił przedmiot uczonej debaty. W roku 1159 Jan z Salisbury w dziele *Polycratius*, pierwszej próbie sformułowania filozofii polityki, stwierdził, że jest powinnością poddanych zdetronizować, a nawet zabić złego króla; Jan z Salisbury snuł jednak swoje rozważania oczywiście wyłącznie w kategoriach konfliktu państwa z Kościołem. Przeciwny pogląd wyraził skarbnik Henryka II, Fitz-Nigel,

w dziele *Dialogus* powstałym około roku 1178, opowiadając się za prawami administracji królewskiej: „Jakkolwiek znaczne bogactwa mogą często przypadać królom nie na mocy dobrze ugruntowanych praw, ale [...] nawet w drodze arbitralnej decyzji podjętej wedle ich woli, wszelako poddani nie mogą dyskutować ani potępiać ich uczynków”. Nie wiadomo, do jakiego stopnia – ani też czy w ogóle – baronowie Jana byli obeznani z tymi argumentami, jednakże prawna rewolucja, jaka dokonała się w XII wieku, zmusiła wszystkich posiadaczy ziemskich do bliższego zapoznania się z materią prawa i odpowiedniego dostosowania swoich zapatrywań; warto zauważyć, że najbardziej zdecydowani krytycy Jana wywodzili się z młodszej, lepiej wykształconej generacji. Tak czy inaczej, baronowie bardzo dobrze uświadamiali sobie coś, co można by nazwać konstytucyjną tradycją angielskiego państwa. Mogli nie słyszeć o przywilejach Ethelreda z roku 1014, ale z pewnością znali pojęcie statutów koronacyjnych. Jan sam wydał taki statut, w którym obiecywał znieść szczególnie zniechęcony przez baronów statut Ryszarda – instytucję zmuszającą bezpośrednich lenników króla do odnawiania ważności posiadanych tytułów do ziem lennych za ustaloną z góry opłatą. W owym czasie w obiegu znajdowały się ponadto wersje praw Edwarda Wyznawcy i statut koronacyjny Henryka I. *Magna Charta* nie zjawiła się więc jak grom z jasnego nieba, ale stanowiła rozwinięcie pewnej praktyki znanej od dawna, nawet jeśli była tylko sporadycznie stosowana; nazwano ją wielką tylko dlatego, że była tak długa.

Jednakże, choć tło konfliktu jest jasne, wszystkie pozostałe okoliczności narodzin Karty, poza podstawową chronologią wydarzeń, są owiane mgłą tajemnicy. Mamy tu do czynienia nie tylko z jednym z bardziej złożonych, ale także najbardziej zagadkowych zdarzeń w dziejach Anglii. Jak widzieliśmy, partia baronów formowała się już przed nieszczęsną wyprawą króla do Francji. Po powrocie Jan spotkał się ze zbuntowanymi baronami w Bury St. Edmunds w listopadzie 1214 roku, pod koniec tego miesiąca – w Londynie i jeszcze raz w Londynie po Nowym Roku: toczono gniewne spory, które nie przynosiły żadnego rozwiązania; zawarto rozejm do kwietnia. Obie partie odwołały się do papieża. W marcu papież polecił baronom, aby zaniechali spisków, ale równocześnie polecił królowi, żeby spełnił ich słuszne żądania. W kwietniu król spotkał się z częścią baronów, prawdopodobnie lojalnych wobec Korony, którzy następnie odegrali rolę pośredników między nim a rebeliantami; 26 kwietnia wygaśnięcie rozejm. W maju król zaproponował, że sam przygotowuje odpowiedni statut, zachowując prawo do odwoływania się do wyroku papieża; zaoferował też, że podda się arbitrażowi papieża występującego w roli „zwierzchnika”. Baronowie zajęli Londyn i zaaranżowano kolejne rozejmy. Król spotkał się z baronami w Runnymede 15 czerwca i w ciągu następnego pięciu dni wynegocjowano, podpisano i przypieczętowano statut. Następnie 17 lipca król spotkał

się z baronami w Oksfordzie, aby omówić sposób realizacji statutu, jednak nastąpiły kolejne spory i rozmowy zerwano; król natychmiast po spotkaniu zwrócił się do papieża o unieważnienie statutu. W sierpniu baronowie wypowiedzieli królowi posłuszeństwo, papież ich ekskomunikował i wybuchła wojna domowa.

Tyle jeśli chodzi o chronologię; jakie jednak cele i motywy kierowały obu stronami? Negocjacje były skomplikowane i trwały dłużej, niż można by się spodziewać. Występowali w nich baronowie z północy i wschodu oraz baronowie, którzy trzymali ich stronę, dalej – baronowie, którzy popierali króla, oraz tacy, którzy uważali się za pośredników między stronami. Dodajmy do tego administrację królewską, obejmującą znaczących posiadaczy ziemskich, duchownych i świeckich, oraz frakcję kościelną lojalną wobec króla i drugą, pod wodzą Langtona, zdecydowaną mu wroga, a przynajmniej neutralną, gdyż pozostającą pod naciskiem papieża, żeby Jana popierać. Był wreszcie sam papież, reprezentowany przez legata, no i na koniec król. Wszyscy mieli inne cele i motywy, nic dziwnego więc, że krzyżujące się interesy wzajemnie się wykluczały lub zamazywał się sens proponowanych rozwiązań; listy i wysłannicy krążyli tam i z powrotem, między Anglią a Rzymem oraz po całym królestwie.

Zbuntowani baronowie mieli świadomość swoich celów, a w każdym razie tak im się wydawało. Nie chcieli służyć za granicą ani płacić za służbę innych, jeśli sami nie wyrażą na to zgody. Chcieli położyć kres różnorodnym podatkom, które uważali za nielegalne. Domagali się, by proces sądowy przebiegał zgodnie z tradycyjną formułą oraz aby decyzje dotyczące ważnych spraw państwowych zapadały na wielkiej radzie królewskiej, w której chcieli mieć zagwarantowane prawo uczestnictwa – osobiście (w przypadku wielkich baronów) lub za pośrednictwem reprezentantów (w przypadku baronów niższej rangi). Najbardziej zartwardziałym buntownikom chodziło, rzecz jasna, głównie o pierwszy postulat – służbę za granicą. Król przyznał im to prawo już w pierwszym szkicu statutu, zwanym Nieznaną Kartą Swobód, który powstał prawdopodobnie w maju. Jednakże ten punkt w ogóle nie pojawia się we właściwej Karcie Swobód. Jeśli chodzi o ekstrakratki – z tytułu opieki nad nieletnim, małżeństwa itp. – król chętnie rezygnował z nich już wcześniej; kodyfikacja istniejącego stanu rzeczy, co czyni *Magna Charta*, mogła jednak istotnie stanowić pewne ułatwienie dla administracji; tak czy inaczej, wiele z tych powinności było już nieaktualnych. Jeszcze dziwniejsze jest żądanie utworzenia formalnej rady królewskiej. Najsilniejsi z angielskich monarchów zawsze starali się rozstrzygać najistotniejsze sprawy państwa w obecności możliwie największej liczby swych bezpośrednich lenników. Taki był właśnie cel solennie celebrowanych posiedzeń tronowych, odbywających się trzy razy do roku. Na jednym z takich posiedzeń Zdobywca wyłożył swój plan przeprowadzenia spisu *Domesday Book*. Rufus (Wilhelm II) sądził, że wszyscy magnaci powinni towarzyszyć mu od czasu do czasu, i tych,

którzy się nie stawiali, uważał za potencjalnych buntowników. Król lubił osobiście załatwiać sprawy z możliwymi swego królestwa, popatrzeć im w oczy, odkryć, co naprawdę myślą. A poza tym żaden znaczący akt władzy państwowej nie mógł liczyć na skuteczną realizację bez generalnej aprobaty arystokracji. We wszystkich sesjach sądów królewskich Henryka II brał udział tłum baronów. Jan nie tylko kontynuował tę praktykę, ale nawet nadał jej status formalny. W roku 1213 zwołał posiedzenie rady do St. Albans, na które wezwał nie tylko swych bezpośrednich lenników, ale także po czterech ludzi i wójta z każdej gminy leżącej na ziemiach królewskich; kilka miesięcy później ponownie zwołał baronów, tym razem do Oksfordu, a obok nich po czterech uczciwych ludzi z każdego hrabstwa, aby omówić, jak stwierdza wezwanie, „sprawy naszego królestwa w przytomności wszystkich obecnych”. Dlaczego więc król miałby teraz przyznawać baronom to, co już sam otwarcie stosował?

Sens Wielkiej Karty umknie nam jednak, jeśli będziemy na nią patrzeć jak na dokument wyrażający po prostu stanowisko baronów. Nie można nawet powiedzieć, że była wersją ich żądań, przesianych i złagodzonych przez partię establishmentu pod wodzą Langtona. W istocie Langton był nikim, słabą postacią bez woli, wpływów i znajomości angielskiej sceny politycznej, osobiście nie znaną baronom; liczył się jedynie jako zaufany papieża i gdy wkrótce po podpisaniu Karty stracił to zaufanie, papież zdmuchnął go jak świeczkę – Langton przestał się liczyć w ogóle. A zatem czym była Karta? Jedyna adekwatna odpowiedź brzmi, że była chaotycznym, naprędce wypichconym kompromisem, który nie reprezentował postaw i interesów żadnej ze stron – a raczej reprezentował wszystkie po trochu – i w efekcie był całkowicie nieskuteczny jako układ polityczny. Sam duch tego dokumentu stanowi wyraz licznych sprzeczności i pomieszania. Żądania baronów, w przeszłości i aktualnie, były nieodmiennie konserwatywne. Pragnęli cofnąć wskazówki zegara dziejów do miejsca, gdzie ich zdaniem zawsze się znajdowały; dlatego odwoływali się do statutów koronacyjnych. Wszystkie bunty skierowane przeciw królowi miały w tym sensie charakter ściśle reakcyjny. Tradycyjnie to król miał odgrywać rolę reformatora. Taką znaczącą innowacją były jednak wielkie sądy Henryka II. I nie kto inny jak Henryk, Ryszard i Jan, ponaglani przez żądania administracji i jej rosnący poziom kompetencji, wprowadzali w państwie liczne zmiany, w większości o zbytecznym znaczeniu. Baronowie chcieli więc zachowania *status quo*. Korona dążyła do zmiany. Jednakże Karta, w tej postaci, w jakiej ostatecznie została podpisana, opowiada się za jednym i za drugim. Nie ma w niej jakiegoś jednego, jednoczącego punktu widzenia i trudno się temu dziwić, zważywszy na okoliczności jej powstania. Zbyt wielu było uczestników kompromisu, a stojące za nimi siły militarne – zbyt wyrównane. Baronowie wycofali postulat dotyczący służby poza krajem. Jednocześnie z powodzeniem włączyli „klauzulę bezpieczeństwa” – zapis o powołaniu rady dwudziestu pięciu baronów mających stać na straży

poczyznań króla. Kościół także dodał w statucie artykuł dotyczący swych praw. Londyn umieścił klauzulę dotyczącą swoich wolności. Niemal wszystkie frakcje były zadłużone, umieszczono więc trzy stosowne paragrafy, których konsekwencje skrupiły się głównie na Żydach. Podobnie jak w przypadku wcześniejszego projektu baronów, zadanie szkicowania dokumentu powierzono królewskiej administracji, gdyż tylko klerkowie z Kancelarii mogli się z nim uporać. Toteż w końcowej wersji znalazło się wiele zapisów służących interesom biurokracji, a pozostałe uporządkowano wedle wskazówek królewskich oficjeli. Jakiś radykał zdołał nawet upchnąć fragmencik dotyczący ochrony praw *villeinów*. Przez tych pięć dni sporów i ciągłego przepisywania tekstu Karta rosła i rosła. W końcu przybrała już takie rozmiary, że żadna ze stron nie była w stanie nad nią zapanować i ogarnąć jej sensu. Dopiero po uroczystym podpisaniu aktu, gdy opadły nieco wezbrane namiętności, zaczęto na nowo wczytywać się w drobne literki. Wszyscy znaleźli coś, co im się nie podobało. Dla baronów z północy najważniejsza była kwestia służby poza granicami, rezygnację z tego żądania przyjęli więc jako kapitulację na całej linii. Niektórzy ze złością opuścili Runnymede, jeszcze zanim podpisano dokument. Dla Jana również nie do przyjęcia była „klauzula bezpieczeństwa”; gdy w miesiąc po Runnymede baronowie dali mu jasno do zrozumienia, że zamierzają wprowadzić postanowienia Karty w życie, Jan odrzucił statut w całości. Ale i tak gdyby król pozostał przy Karcie – w tym sensie, jaki jej przypisywał – odrzuciliby ją baronowie. Dzieje Wielkiej Karty Swobód nie są więc wcale przykładem udanego kompromisu, ale historią negocjacji, które się nie powiodły.

Na szczęście angielski geniusz pisania historii na gorąco, w trakcie wydażeń, przekształcił kompletną katastrofę w triumf umiaru i zdrowego rozsądku w kwestiach ustrojowych. I tak jak Kanut ze skandynawskiego prostaka stał się angielskim, chrześcijańskim dżentelmenem, a Dunkierka z narodowej katastrofy – preludium końcowego zwycięstwa, tak samo dzięki cechującej Anglików umiejętności nieprzyglądania się zbyt szczegółom Wielka Karta z całym swym chaosem i zamętem została uświęcona jako podstawa angielskiej myśli konstytucyjnej. Szczęśliwym trafem Innocenty III zmarł już rok później, Jan wkrótce podążył jego śladem; zejście zaś ze sceny dwu głównych aktorów otworzyło drogę twórczej fikcji. Na tronie zasiadł teraz nowy, młody władca, Karta po stosownych uzupełnieniach mogła więc odegrać rolę dostojnego konkordatu, któremu podporządkowało się całe angielskie społeczeństwo; mniej liczyła się jej konkretna zawartość, bardziej – poczucie konsensu, jakie zainspirowała. Ponownie wydano ją w roku 1216 i następnym; ostateczną formę przybrała w roku 1225, król potwierdził jej postanowienia w latach 1237, 1297 i przy wielu innych okazjach – w sumie co najmniej trzydzieści dwa razy. Umieszczona jako pierwszy – najważniejszy – dokument w księdze statutów królestwa, usunęła z tej zaszczytnej pozycji o wiele bardziej na to zasługujące akty prawne

Henryka II. Stała się instytucją w skali ogólnonarodowej, symbolem – i to wcale nie wojny domowej, którą wywołała, ale konstytucyjnego pokoju między głównymi siłami w państwie, do czego w zamierzeniu istotnie miała doprowadzić*. Niewielu ją czytało, każdy się na nią powoływał i ją cytował. Arcybiskup Pecham wymachiwał nią przed królem w obronie praw Kościoła, Edward I wymachiwał nią przed papieżem w obronie praw państwa; Parlament cytował ją przeciw Koronie, a Korona przeciw Parlamentowi; niepiśmienni chłopci powoływali się na nią przeciw panom, panowie przeciw mieszczanom, mieszczenie przeciw posiadaczom ziemskim. Odwołanie się do Wielkiej Karty stanowiło argument nie do odparcia, do którego mógł się uciec każdy Anglik niezależnie od warstwy i stanu. Po upływie jednego pokolenia wiele z jej zapisów stało się mało czytelnym – wiele z nich stanowi zagadki do dziś – a mimo to Karta jest pisaniem ucieleśnieniem złotego wieku angielskiej przeszłości, wspaniałym pomnikiem sprawiedliwości w kwestiach ustrojowych. Dzięki niej działania polityczne po raz pierwszy stały się czymś godnym szacunku, ponieważ pokryły się patyną czasu. Anglicy zaczęli postrzegać umiejętność zawierania kompromisu, prowadzenia konsultacji, rozmów, rozwiązywanie sporów w dyskusji, a nie przez odwołanie się do siły, jako wybitne cechy swego charakteru narodowego i z biegiem czasu dostosowali swoje rzeczywiste zachowania do tego wizerunku. Dzieje Wielkiej Karty stanowią więc przykład triumfu hipokryzji – zawsze jednego z najpotężniejszych atrybutów Anglików.

Polityczny rozwój angielskiego społeczeństwa w długim cieniu Wielkiej Karty cechuje bogactwo ironii i paradoksów. Nie można go jednak sensownie analizować w kategoriach konfliktów między klasami. W tamtych czasach powszechnie sądzono, że tego rodzaju konflikty są – a w każdym razie powinny być – niepotrzebne, jako że każda grupa ma w społeczeństwie swoją odwieczną i z góry przypisaną rolę do odegrania, a zatem konflikt między nimi stanowi oznakę zepsucia, które trzeba naprawić, wracając do stanu z przeszłości. Wszyscy zgodnie pragnęli kontynuacji, wszyscy byli konserwatystami lub za takich się uważali; postęp w stosunkach politycznych można więc było osiągnąć jedynie za cenę swoistej konstruktywnej samoułudy, samooszustwa polegającego na posłużeniu się konserwatywnymi instrumentami do osiągnięcia radykalnej zmiany. Dotyczyło to zarówno aktów, jak i instytucji. Toteż, na przykład, Edward I,

* Nawet dziś Anglicy często powołują się na Wielką Kartę, nie znając jej zawartości; w roku 1970 słyszałem, jak lord Wigg, przewodniczący Zarządu Torów Wścigowych (Race Course Board), twierdził w audycji BBC, że przyjmowanie zakładów poza terenem wścigów jest unikatowym angielskim przywilejem gwarantowanym przez Wielką Kartę Swobód. Amerykanie przejęli ten obyczaj: wszyscy przysięgają na Deklarację Niepodległości, niewielu wie, co się w niej znajduje. W roku 1970 pokazywano jej tekst, bez dodatków, przypadkowym przechodniom na ulicy, proponując, by się pod nią podpisali. Tylko jeden na pięćdziesięciu był gotów to zrobić; pozostali odmawiali, argumentując, że „to jakiś komunistyczny kit”, „hippisi to napisali” itp.

który niewątpliwie uważał się za ultraortodoksyjnego konserwatystę – i za takiego był uważany – zapoczątkował rewolucję społeczną w przekonaniu, że cofa wskazówki zegara historii najdalej, jak to tylko możliwe. Dwa jego wielkie akty prawne, *Quo Warranto* i *Quia Emptores*, miały w zamierzeniu ukrócić i usunąć bezprawne zmiany i innowacje w całej sferze tytułów własności ziemskiej, położyć kres nabywaniu przez właścicieli ziemskich przywilejów, które prawnie im się nie należą, oraz tworzeniu nowych struktur społecznych w następstwie dysponowania posiadaną ziemią. Edward chciał wydać prawa całkowicie reakcyjne, wsteczne; myślał o postanowieniach, które spotkałyby się z gorącą aprobatą tak wspaniałych poprzedników, jak Wilhelm Zdobywca i Henryk II. I rzeczywiście, jako odwołanie się do przeszłości cieszyły się one w swoim czasie szeroką aprobatą społeczną, jednak w dłuższej perspektywie doprowadziły do zniszczenia tego fundamentu społeczeństwa, jakim było feudalne posiadanie ziemi, do podkopania systemu – sięgającego swymi korzeniami początków angielskiego społeczeństwa i jedynie wzmocnionego przez podbój normandzki – w którym władza polityczna, wojskowa i sądownicza wypływała bezpośrednio z faktu posiadania ogromnych majątków ziemskich. W efekcie było to więc jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Anglii, odtąd bowiem ludzie dążący do zdobycia pozycji lub władzy musieli, stopniowo w coraz większej mierze, szukać jej w obrębie i za pośrednictwem formalnych instytucji państwa.

A mimo to wcale nie postrzegano tych instytucji jako narzędzi zmiany, wprost przeciwnie, widziano w nich głęboko zakorzenione strażniczki obyczaju, gwarantujące, że zawsze można będzie wyczarować przeszłość, aby wesprzeć teraźniejszość przeciw nadchodzącej przyszłości. Parlament był w zasadzie wynalazkiem późnego średniowiecza; dopiero w roku 1325 ustalono, że obowiązkowo musi obejmować przedstawicieli hrabstw i miejskich *boroughs*; dopiero w roku 1376, jak się dowiadujemy, gniewnie i z pełnym przekonaniem przywołał do porządku skorumpowaną i nieudolną administrację; dopiero w połowie XV wieku widzimy zdesperowanych przedstawicieli administracji królewskiej, *in extremis*, którzy przedkładają Parlamentowi swego rodzaju wyciąg ze stanu kasy państwowej, aby wykazać, że państwo po prostu nie da rady dalej funkcjonować bez dodatkowych pieniędzy. A mimo to nikt nie uważał Parlamentu za jakąś nowość, innowację, a co dopiero narzędzie rewolucji społecznej; uznawano, że zawsze istniał i zawsze, z mniejszym lub większym skutkiem, spełniał swoje funkcje, a jego obyczaje honorowano – jak ciągle powtarzali członkowie Izby – „od niepamiętnych czasów”. Nie było podręczników historii czy prawa konstytucyjnego, a literatura przedmiotu podkreślała nieodmiennie odwieczną starożytność wszystkiego. Przy tym istniejące instytucje postrzegano nie tylko jako starożytne, ale także naturalne i pochodzące od Boga. Jan z Salisbury w XII wieku przyrównywał państwo do ciała ludzkiego, w którym król stanowi głowę, a inne warstwy i stany – pozostałe członki i organy. Obraz utrzymywał

się w zbiorowej świadomości, choć czasem pojawiały się odmiany. W połowie XV wieku sir John Fortescue w wyrafinowanej dysertacji na temat sposobów rządzenia Anglią widział króla jako „żołądek, który przesyła jądło, jakie otrzymuje, do wszystkich pozostałych członków i niczego sobie nie zatrzymuje ponad to, co konieczne”. Nie można zmienić tak naturalnego układu rzeczy; można tylko żyć dalej i się rozwijać. Nawet tam, gdzie komentatorzy angielskiej polityki mieli nowe, odmienne poglądy, przedstawiali je jako fakt, a nie program. Toteż tajemniczy dokument zatytułowany *Modus Tenendi Parliamentum*, pochodzący – jak wiemy dziś – z roku 1321, został bez wątpienia napisany z punktu widzenia członka Parlamentu, niecierpliwie pragnącego zwiększenia jego władzy i przywilejów. Autor tego tekstu nie mówi jednak: „Parlament powinien robić to a to”; mówi: „Parlament to właśnie robi i zawsze to robi”. Kłamie więc, a ściśle biorąc – przesadza, wszelako jego traktat cieszył się ogromną popularnością i przez całe następne stulecie wydawano go wielokrotnie z nowymi dodatkami. Ostatecznie praktyka działań Parlamentu – niewątpliwie pod wpływem traktatu – rzeczywiście zaczęła się zgadzać z wyłożoną teorią.

Gdy rola Parlamentu stała się wreszcie przedmiotem otwartego sporu, stanowił on już od dawna nieusuwalny element tkanki życia politycznego Anglii. Parlament przemawiał w imieniu królestwa – na tym polegało jego zadanie; a tym skuteczniej mógł się z niego wywiązać, im wierniej odzwierciedlał opinię poddanych, czyli im bardziej był reprezentatywny. Ogólnie rzecz biorąc, Parlament miał pomagać królowi w realizacji pewnych przedsięwzięć dotyczących wszystkich poddanych, z czym król nie mógłby sobie poradzić zdany tylko na własne siły. Oficjalny dokument z roku 1300 powiada, że powinnością Parlamentu jest „wysłuchać i uczynić wszystko, co niezbędne dla wspólnego pożytku królestwa”. Walter Burley, komentując w roku 1340 *Politykę* Arystotelesa, powiada: „Król zwołuje Parlament, gdy przychodzi parać się trudnymi sprawami”. Dwieście lat później Henryk VIII oświadczy wobec Izby Gmin, że jego władza, majestat i godność nigdy nie są tak wielkie jak wtedy, gdy zbiera się Parlament i Korona działa za jego pośrednictwem. Parlament jest więc służką władzy wykonawczej – aczkolwiek służką, który cieszy się znacznymi (i stale rosnącymi) prawami związkowymi. Jego podstawowe zadanie polega na zbieraniu dodatkowych pieniędzy w sytuacji alarmowej. Król ciągle tonie w długach, gdyż jego regularne źródła dochodu, które w teorii powinny mu wystarczyć do pełnienia jego powinności, zwykle się nie zmieniają i ich wartość nieustannie pożera pelżająca inflacja, jaka na ogół towarzyszy gospodarce dynamicznie rozwijającego się społeczeństwa i jest stałym czynnikiem motywującym i wymuszającym zmiany polityczne. Tylko Parlament może dostarczyć tych niezbędnych pieniędzy, bo w praktyce tylko jego członkowie mogą zagwarantować, że eks-trapodatki zostaną ściągnięte. Parlament wspiera jednak króla także na inne

sposoby. Jest zobowiązany przysięgą do przeciwdziałania wszelkim niepożądanym zmianom społecznym. Poddane działaniu swej immanentnej dynamiki społeczeństwo i tak wciąż pędzi naprzód, król musi więc od czasu do czasu pohamować je za pomocą jakiegoś trzeźwiącego statutu. Jednak takie akty często mają skutki przeciwne do zamierzonych: zawsze wszak kryją w sobie różne nieprzewidywalne następstwa, który to fakt nieodmiennie uchodzi uwagi legislatorów. Król zwołuje Parlament, aby ten swym autorytetem poparł jego postanowienia i wcielił je w życie. Parlament dzieli też z królem obowiązek rozpatrywania petycji oraz skarg i z czasem przejmuje go w całości. Nie ma w tym nic nowego. Zawsze kierowano pod adresem Korony skargi, oczekując naprawienia krzywd. Pokrzywdzonym wcale przy tym nie chodzi o zmiany czy innowacje, ale o „reformy” – przywrócenie starożytnych praw i pierwotnej, mitycznej, sprawiedliwości. W ten sposób Parlament zaczyna być kojarzony z ideą wolności, ponieważ ludzie widzą w nim najskuteczniejszy środek prowadzący do usunięcia ucisku i przywrócenia wspaniałej przeszłości. Nawet Milton, pisząc podczas rewolucji *Areopagitica*, nie żywił wobec Parlamentu wyższych oczekiwań: „Gdy skargi zostają wysłuchane bez przeszkód, głęboko rozważone i szybko naprawione, mamy do czynienia z ostatecznymi granicami wolności obywatelskiej, tak poszukiwanymi przez mędrców”.

Toteż interpretowanie narodzin Parlamentu jako próby przeciwstawienia się władzy wykonawczej, a tym bardziej przejęcia jej uprawnień jest całkowitym nieporozumieniem. W wieku XIV i XV wykorzystywano wprawdzie Parlament do zatwierdzania detronizacji królów, ale zawsze pod dyktando i wedle instrukcji gupy rządzącej oraz nowego króla i tylko po to, aby nadać pozory legalności faktom dokonany – zwykle pod pozorem przywrócenia sprawiedliwości. Ta władza Parlamentu opierała się, w jego własnym mniemaniu, na „starożytnym statucie i nowoczesnym precedensie”. Z kolei Henryk VIII posłużył się Parlamentem do stworzenia prawnej obudowy dla zarządzanej przez siebie rewolucji religijnej. I w tym przypadku chodziło jednak o przywrócenie czegoś, co wszyscy, szczerze lub nie, uważali za pierwotny stan rzeczy. Takie właśnie było w języku średnioangielskim znaczenie terminu *reform* [reforma]; dopiero pod koniec XVIII wieku zyskał on współczesne znaczenie wprowadzania zmiany, która nie ma precedensu.

Doprawdy, idea konfliktu między władzą wykonawczą a instytucjami reprezentującymi społeczeństwo była – i jest – całkowicie obca angielskiemu sposobowi myślenia. Anglicy zawsze z wdzięcznością witali silną, opartą na dawnym obyczajach władzę centralną. Toteż model sprawowania władzy, jakim obdarzył ich Edward I, jeden z największych królów Anglii, był właśnie tym, czego pragnęli – czego zawsze pragną. Zasiadając na tronie w wieku lat trzydziestu pięciu Edward był już bardzo doświadczonym administratorem i żołnierzem o europejskiej reputacji. Był wysoki (ponad 185 cm), dobrze więc leżały na nim

szaty i zbroje, które nosił poruszając się z godnością i gracją; miał przyjemny, potężny głos, bogate słownictwo, talent do lotnych zwrotów i wyrażań. Obdarzony świetnymi manierami, z pewną skłonnością do powagi, zawsze wyglądał i zachowywał się jak król. Doskonale rozumiał i podzielał opinie, upodobania, smak, sympatie i antypatie, przesady i namiętności rządzącej arystokracji, wielkich posiadaczy ziemskich. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że król, który właściwie rozumie swoją rolę, mógłby wejść w konflikt z tymi, których Bóg i natura, logika, precedens i pradawny obyczaj postawiły u jego boku, aby wraz z nim zawiadywali sprawami królestwa. Swoją koncepcję konstytucyjnych relacji w państwie zwięźle wyłożył w roku 1280, oświadczając, że zawsze będzie „zgodnie z wolą Boga i sprawiedliwością czynić to, co praelaci i magnaci królestwa mu doradzą, zwłaszcza że nikt nie może sądzić, iżby ludzie tak rozważni mogli udzielić królowi rady nierozsądnej czy sprzecznej z rozumem”. Był profesjonalnym władcą w każdym calu: aktywnym, przedsiębiorczym, pracowitym, dobrze poinformowanym; potrafił omawiać z sędziami subtelności prawne, szkicować projekty statutów, przewodniczyć Radzie Królewskiej i Sądowi Skarbowemu (*Court of the Exchequer*), układać plany bitew i nadzorować budowę fortec. Był ostatnim angielskim monarchą, który potrafił zajmować się szczegółowo wszystkimi aspektami władzy. Jednak nawet on czuł, że tak szeroko zakrojonej roli władcy trudno podołać. Usiłował oszczędzać swój czas i energię, metodycznie planując i realizując zadania; aby skoncentrować znaczną część prac administracyjnych w jednym czasie i miejscu, zwoływał Parlament regularnie późną wiosną i późną jesienią, zgodnie z rytmem najgorętszych okresów roku finansowego. Warto zauważyć, że wszystkie problemy pojawiły się dopiero pod koniec jego panowania, gdy był już stary i zaczęło go opuszczać zdrowie umysłowe i fizyczne. Średniowieczny król nie mógł czuć się bezpieczny, gdy wiosnę życia miał już za sobą – nie mógł liczyć na niczyją wdzięczność ani litość.

Żaden następny monarcha-zwierzchnik władzy wykonawczej nie zdołał dorównać Edwardowi pod względem rozległości podejmowanych zadań i kompetencji. Niektórzy nie potrafili nawet dobrze odegrać swej roli; jego własny syn Edward II, którym pogardzał, był człowiekiem pospolitych obyczajów i z upodobaniem oddawał się wiosłowaniu i wiejskim sportom – rozrywki w naszych oczach dość niewinne, jednakże zabójcze dla autorytetu średniowiecznego władcy*. Inni wprawdzie usiłowali grać swoją rolę, ale nie potrafili napęłnić jej głębszą treścią: Ryszard II wprowadził ozdobny tron rodem z teatru, kazał się ludziom płaszczyć i padać na kolana, ilekroć spocznie na nich jego spojrzenie, wymachiwał mieczem przed arcybiskupem – wszystkie te puste gesty nie miały jednak większego znaczenia i w rezultacie wzbudzały jedynie

* Ale nawet Edward II znalazł swego apologetę. Por. H. F. Hutchison, *Edward II, The Plant King*, London 1971.

nienawiść i wzdargę. Moźni królestwa szybko zorientowali się, że mają do czynienia z człowiekiem marnego gatunku, który nie zna się na swojej robocie, zdmuchnęli go więc bez współczucia czy litości. Co się zaś tyczy Henryka VI, nawet prości ludzie widzieli, że jest do niczego: londyńczycy oglądali go wciąż w tej samej starej niebieskiej opanczy, „jak gdyby nie miał drugiej na zmianę”^{*}. Jego cnoty stały się źródłem katastrof. Nienawidząc wojny, śpiewał histerycznie w trakcie bitew, w których musiał uczestniczyć pod wpływem nalegań swego otoczenia. Nie potrafił nawet rozpoznać cuchnących kończyn poćwiartowanego zdrajcy, które wisiały na londyńskiej ulicy; gdy mu powiedziano, co to jest, cofnął się ze zgrozą. Był pruderyjny: „A fe! Co za wstyd!” – zawołał na widok grupy półnagich tancerek i nie życzył sobie nawet widzieć nagich mężczyzn korzystających z łaźni w Bath. Anglicy nie chcieli mnicha na tronie i tylko gorączkowym zabiegiem swojej gwałtownej i bezwzględnej żony, „wilczycy z Francji”, zawdzięczał, że utrzymał się na nim tak długo.

Edward III z powodzeniem radził sobie z fizycznymi wymogami roli monarchy. Nie miał kłopotów z obnoszeniem majestatu, był dzielnym żołnierzem, bawił go militarne teatralia stanu rycerskiego – ucieleśnione we wprowadzonych przez niego ceremoniach Zakonu Rycerzy Podwiązki. Jednak w przeciwieństwie do swego dziada nigdy nie opanował mniej spektakularnych aspektów rządzenia państwem. Nie potrafił wybrnąć z potężnych długów, jego administracja stanowiła chaos, a jego władza szybko uległa erozji, dając pole zwalczającym się frakcjom, gdy zaczął tracić siły około sześćdziesiątki. Stanowił więc tylko fasadę profesjonalnego monarchy. Być może, w miarę jak rosła złożoność procesu rządzenia państwem, niczego więcej nie można było od króla wymagać. Henryk V z rozmysłem usiłował raz jeszcze uchwycić wszystkie nici władzy; przedsiębiorczy, niezwykle pewny siebie, świadom swych celów i zdecydowany narzucać swą wolę we wszystkich sprawach, budził prawdziwy postrach wśród klasy rządzącej. Jednakże prowadząc zaborczą wojnę we Francji, po prostu nie miał czasu, żeby równocześnie dokładnie nadzorować pracę sądownictwa i Skarbu.

Z biegiem czasu król musiał coraz bardziej zdecydowanie wybierać, na jakich aspektach rządzenia zamierza się skoncentrować. Edward IV przywrócił autorytet i wypłacalność władzy centralnej, świadomie rezygnując ze swych zagranicznych roszczeń. A mimo to w nader udanym okresie jego panowania i tak

* Henryk VI potrafił być jednak rozrzutny, gdy szło o kulturę, toteż podobnie jak inni królowie, którzy patronowali sztuce (Ryszard II, Karol I, Jerzy IV), powiększał w ten sposób swoje kłopoty finansowe i umierając zostawił ponad 350 tysięcy funtów długów – prawie siedem razy więcej, niż wynosiły jego regularne dochody roczne. Bardzo kosztowny był założony przez niego Eton College, Edward IV zamierzał go więc zamknąć, w końcu jednak został odwiedzony od tego zamiaru, niechybnie przez szczerzonych starych etończyków. Yorkowie faworyzowali zwolenników Wykehama. Jeden z nich, John Russell, biskup Lincoln, w kazaniu na otwarciu Parlamentu za Ryszarda III w roku 1484 powiedział, że obowiązkiem Izby jest „słuchać głosu ludu wspartego przez rozsądek przewodniczącego” – iście w stylu Wykehama.

było coś z żonglerki. Musiał się zniżyć do praktyk, które jego poprzednikom wydawałyby się odrażające. Sprzedał swe prawo pierworództwa we Francji za (bardzo mile widzianą) pensję z kiesy Korony francuskiej, osobiście angażował się w operacje handlowe, które przynosiły mu olbrzymie zyski, kierował sprawami ziem koronnych z wytrawnością profesjonalnego zarządcy majątku, nadto był pierwszym angielskim królem – a nawet pierwszym angielskim politykiem – który świadomie dbał o dobry wizerunek monarchii w oczach poddanych, zwłaszcza handlowej społeczności Londynu. Sześciu londyńskich *aldermanów* zostało kawalerami Orderu Łaźni nie za jakieś specjalne zasługi, ale tylko po to, by uświetnić koronację Edwarda – bardzo wczesny przykład listy honorów. W roku 1474 jego żona Elizabeth Woodville pisała, bez wątpienia zgodnie z instrukcją męża, do jednego ze swych rządców z poleceniem,

[...] żeby dostarczył naszemu wiernemu i drogiemu burmistrzowi i jego braciom z Coventry, miasta mego Pana, i ich żonom [...] dwanaście tegorocznych koziołków, aby je sprawiedliwie między nich rozdzielono; to znaczy, sześć z rzeczonych koziołków burmistrzowi i jego braciom, a pozostałych sześć – ich rzeczonym żonom...

W roku 1482 Edward zaprosił burmistrza Londynu, rajców miejskich i „pewną liczbę takich znaczniejszych ludzi z gminu, jakich burmistrz uzna za stosowne wezwać”, aby spotkali się z nim w królewskim lesie w Waltham. Tu z rana zabawiono ich wspinałym polowaniem, po czym

[...] zaprowadzono ich do przestronnego i przyjemnego namiotu z zielonych gałęzi i innych przyjemnych materiałów. Wewnątrz namiotu nakryto kilka stołów, gdzie od razu rzeczony burmistrz i jego towarzysze zostali usadowieni i podano im do woli wszelkich smakołyków, jak gdyby byli w Londynie, a zwłaszcza dziczyzny, zarówno sarniny, jak i zwierzyny płowej, i [...] wszelkie gatunki win gaskońskich w nader obfitych ilościach.

Podczas posiłku Edward dwukrotnie posyłał Lorda Szambelana, „aby wznieśli okrzyki”, i sam nie usiadł do obiadu, „póki nie zobaczył, że zostali obsłużeni”. Następnie król ponownie ruszył z nimi na łowy, a kilka dni później posłał żonom swych gości „dwa jelenie i sześć koziołków wraz z beczką gaskońskiego wina”*. Natura hojnie obdarzyła Edwarda do takich bezwstydných

* Tradycję królewskiej gościnności wobec poddanych anemicznie kontynuują *garden parties* w pałacu Buckingham. Także magnaci Edwarda IV urządzali podobne przyjęcia dla klienteli politycznej. Gdy earl Warwick przebywał w Londynie, na śniadanie w jego domu zjadano sześć wołów; każdy, kto mógł się odpowiednio zaprezentować, miał prawo wstępu i mógł zabrać ze sobą tyle mięsa, ile zdołał wieść na ostrzu sztyletu. Lokalni magnaci podtrzymywali obyczaj podobnych uczt bez mała do końca XIX wieku; nazywano je *ordinaries*. Opis takiego przyjęcia wydane go przez księcia Omnium można znaleźć w powieści Trollope'a *Dr Thome*, w rozdziale XIX.

popisów w sferze *public relations*: był wysokim, dobrze zbudowanym, przystojnym i zmysłowym mężczyzną; zawsze uśmiechnięty, przyjazny wobec wszystkich, znakomicie opowiadał nieprzystojne historyjki*. Przechwalał się swym powodzeniem u kobiet, twierdząc, że ma „trzy konkubiny, szczególnie uzdolnione w trzech różnych dziedzinach: jedna jest najweselszą, druga najsprytniejszą, a trzecia najświętszą ladacnicą w całym królestwie”. Atrakcyjną powierchowność Edward odziedziczył po matce, Cecyli Neville; natura dała mu jednak także niezgorszy umysł – był jednym z najbardziej przebiegłych ludzi, jacy kiedykolwiek zasiedli na angielskim tronie – i wiele różnych talentów. Miał piękny charakter pisma. Był wspaniałym i gorliwym tancerzem. Znał się na prowadzeniu rachunków, a jego reforma zarządzania dworem doprowadziła do znacznego obciążenia zbędnych wydatków. Przede wszystkim jednak potrafił obchodzić się z ludźmi. Powiadano, że znał imiona, twarze i dochody wszystkich ważniejszych osób w królestwie.

Pod koniec średniowiecza monarchia rzeczywiście zaczęła tracić niektóre funkcje władzy wykonawczej, z biegiem czasu stając się po części widowiskiem wystawianym na użytek poddanych. Poprzednio król, jeśli chciał być bezpieczny, musiał nade wszystko zadbać o dobre stosunki osobiste z czołowymi magnatami; jednak w XV wieku krąg ludzi, których poparcie było dla monarchii nieodzowne, bardzo się rozszerzył, by w następnym stuleciu objąć znaczną część całego społeczeństwa. Król musiał poświęcać swój czas pewnym aspektom rządzenia krajem oraz spędzać całe dni na mozolnej pracy administracyjnej; jego realna władza w dużej mierze zależała więc od tego, ile czasu faktycznie był gotów poświęcić tym zajęciom. Powyższa zasada zachowywała swą ważność aż do czasów Jerzego III, ostatniego monarchy, który starał się być profesjonalistą, i dopiero w następstwie jego upośledzenia, wywołanego chorobą umysłową, a potem gnuśności jego synów doszło do ostatecznego upadku realnej władzy monarchy. Z czasem tę zdolność do koncentrowania się na pracy administracyjnej w coraz większym stopniu musiały uzupełniać talenty aktorskie. Dość znamienne, że Henryk VII, prawdziwy (choć nie we wszystkim) zawodowiec, który był o wiele zdolniejszy i bardziej pracowity od swego syna, nigdy nie czuł się na tronie tak pewnie jak on i nie mógł zaryzykować wystawienia

* Brat Edwarda, Ryszard III, również był wysoki i przystojny, choć szczuplejszy. Jego rzekomy garb stanowi wymysł propagandy Tudorów. Nicholas von Poppelau, który spotkał go w roku 1484, opowiada, że Ryszard miał bardzo subtelne ręce i nogi. Księżna Desmond, która dożyła ponad stu lat, wspominała Walterowi Raleigh, że często tańczyła z Ryszardem i że, nie licząc jego brata Edwarda, był najprzystojniejszym mężczyzną na dworze. Nie ma ostatecznych dowodów świadczących o tym, że to Ryszard zamordował królewiczów w Tower [synów Edwarda IV]; prawdopodobnie natomiast wierzył, podobnie jak wielu innych, że małżeństwo Edwarda było nieważne i że obaj chłopcy są bastardami. Nie miałby jednak skrupułów, gdyby uznał, że trzeba ich zgładzić. Wszyscy królowie rządzący Anglią od Henryka VI po Elżbietę mieli zabójstwa na sumieniu.

swego autorytetu na próbę, ponieważ brakło mu królewskiego majestatu. Henryk VIII był leniwy, nieodpowiedzialny, niedouczony, niezbyt roztropny i kompletnie pozbawiony jakiegokolwiek poczucia obowiązku wobec społeczeństwa, którym władał. Jednakże potrafił odpowiednio mocno walić w bęben monarchii i zachwycony naród podązał tam, gdzie go poprowadził. We wszystkich karkołomnych imprezach i chybionych awanturach, w jakie Henryk VIII wciągał królestwo – katastrofalne wojny za granicą, bankructwo Skarbu, zepsucie pieniądza, zmiana religii, rządy oparte na konfiskatach majątku i sądowych morderstwach – większość Anglików posłusznie szła za nim. Anglicy zawsze pozytywnie reagują na silną władzę centralną obdarzoną połorem majestatu, świetności i barwy, będącą przejawem niezachwianej siły woli. Ostatnia mowa Henryka do Parlamentu była zdumiewającym dokonaniem. Jego rządy można było podsumować jako fiasko, a mimo to król powalił zgromadzenie na kolana wspaniałą oracją, w której surowo napomniał wszystkie warstwy społeczeństwa na okoliczność ich niezliczonych grzechów. Udało mu się wywołać wrażenie, że to społeczeństwo jest całkowicie winne wszystkich nieszczęść, jakie na nie spadły, i że powinno okazać głęboką wdzięczność fortunie za to, że on, Henryk, zdołał wytrwać u steru i szczęśliwie uchronić je od jeszcze gorszych konsekwencji jego szaleństwa. Wyszuchano tej mowy z zapartym tchem i ci, którym było dane ją słyszeć, na zawsze zachowali ją w pamięci. Wielu z nich, jak się dowiadujemy, ronilo nawet łzy miłości, skruchy i wdzięczności.

Ten dar odgrywania królewskiego splendoru Henryk przekazał w całej pełni swej olśniewającej córce Elżbiecie. I nie ulega wątpliwości, że Elżbieta wzbogaciła go o godną pozazdroszczenia paletę zalet i talentów: przenikliwą inteligencję, pracowitość i samodyscyplinę, ostrożność i rozwagę, gorące serce i cnotliwy umysł. Jednakże bez tego szczególnego talentu w ogóle nie miałyby szans utrzymać się na tronie, a co dopiero obdarzyć rozdartą, słaby i rozpaczliwie zagrożony przez wrogów naród siłą, która pochodzi z jedności i wspólnoty celów. Zadaniem średniowiecznego dworu było włączanie wielkich posiadaczy ziemskich w proces rządzenia i sprawiedliwy podział płynących stąd łupów – nic więc dziwnego, że żadna kobieta nie zdołała nigdy skutecznie stanąć na jego czele. Zwierzęca energia magnatów znajdowała naturalne ujście w przemocy, wojnach toczonych w kraju bądź za granicą; toteż na bardziej pożyteczne tory można ją było skierować dzięki jednoczącej sile i aktywności tronu, którego autorytet zależał od tego, czy monarcha potrafił zarazem ucieleśniać i wznosić się ponad zbójckie cechy wojowniczej arystokracji. Płeć kobieca była w tej sytuacji deprymującą przeszkodą. Polityczny geniusz Elżbiety polegał wszakże na przekształceniu jej w atut. Nie próbowała wcale zatajać swej płci; przeciwnie, stale ją akcentowała. W swoich wielkich mowach zawsze przypominała słuchaczom, że jest kobietą. Jednakże była kobietą *sui generis*. Mogą ją wyrzucić z kraju w jednej spódnicy – oświadczyła – a i tak zdoła na siebie zapracować w każdym miejscu Europy. Miała ciało kobiety, ale „serce i żołądek króla”. Bardzo

się pilnowała, żeby nie powiedzieć: „mężczyzny”. Nie była sufrażystką, nie wierzyła w wyzwolenie kobiet. Nie starała się też grać męskiej roli i w ten sposób ranić dumy mężczyzn, nad którymi musiała zapanować. Anglicy spalili Joannę d’Arc za popełnienie tego właśnie błędu. Elżbieta chełpiła się swą płcią. Jej bronią była olśniewająca garderoba, kolekcja klejnotów budząca zazdrość papieży, peruki, pudry i pomadki oraz powszechna świadomość, że za tymi ozdobami kryje się zdecydowana i władcza osobowość, której lepiej się nie sprzeciwiać. Elżbieta nie potrzebowała mężczyzn, tak jak jej nieszczęsna siostra przyrodnia Maria i jej jeszcze bardziej nieszczęśliwa kuzynka Maria Stuart. Zachowała czystość z wyboru i panieństwo pod wpływem racji politycznych oraz skłonności. Aura tajemniczości otaczająca jej dwór – kult *Faerie Queen*, seksualni faworyci, udawane romanse, polityczne menuety z otaczającymi ją gogusiami – była wyszukany i wyrachowany przedsięwzięciem z zakresu królewskiej dyplomacji, wprowadzanym po to, by zastąpić licencjonowany gangsteryzm męskiej rycerskości systemem bez przemocy, takim, którym mogła manipulować kobieta. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że to, iż musiała zniżyć się do takiej maskarady, uwłaczało godności tej szlachetnej i pełnej cnót królowej, której inteligencja przerastała możliwości otaczających ją dworaków, a zdolności i poczucie odpowiedzialności mogły iść w zawody z zaletami jej najbardziej oddanych i uzdolnionych doradców. Niestety, nie miała innego wyboru.

Za tą fasadą *public relations* Elżbieta starała się jednak z całą mocą nadzorować faktyczne poczynania królewskiej administracji. Musiała wszakże dokonywać wyboru. Dzięki znajomości języków (angielski nie uchodził za język dopuszczalny w dyplomacji aż do końca XVIII wieku) mogła osobiście prowadzić negocjacje z ambasadorami i korespondować z ich mocodawcami; to sprawiało, że mocno trzymała w rękę politykę zagraniczną i wszystkie decyzje w tej dziedzinie należały bezpośrednio do niej. Kierowała także osobiście polityką dynastyczną i religijną, choć z dużymi trudnościami. Natomiast w sprawach finansów miała mniej do powiedzenia, bo choć decydowała o tym, na co i kiedy przeznaczyć określone fundusze, nie mogła już skutecznie śledzić dalszych losów pieniędzy, gdy tylko opuściły skarbiec. Była boleśnie świadoma, że od tego momentu zaczynała się korupcja i niekompetencja*. Nie mogła też ratować się (poza skromnymi wyjątkami dystygowanego piractwa) operacjami zwiększania dochodów Skarbu, do jakich uciekali się Edward IV i Henryk VII, by zapewnić wypłacalność państwa. Elżbieta odziedziczyła pustą kasę państwową w okresie

* O podejmowanych przez Elżbietę gniewnych, lecz nieudanych próbach poprawienia finansów jej armii w Niderlandach, zob. sir John Neale, *Elizabeth and the Netherlands, 1586–1587*, „English Historical Review” XLV, (1930), s. 373–396. O wiele skuteczniej interweniowała przeciw zdecydowanej i interesownej opozycji Burghleya, Leicesterera i Walsingham w sprawach administracji i ceł; por. Howell A. Lloyd, *Camden, Carmarden and the Customs*, EHR, LXXXV (1970), s. 776–787.

szalejącej inflacji i zachowała wypłacalność jedynie dzięki rozpaczliwej praktyce wyprzedazy własności królewskiej oraz tworzenia monopolów handlowych. W istocie różnicę między dochodami a wydatkami Korony cały czas pokrywała żyjąc z kapitału. Z drugiej strony zawsze ostatecznie udawało jej się dotrzymać zobowiązań; Anglia miała lepszą zdolność kredytową niż jakiegokolwiek inne państwo. Prawda polega na tym, że Elżbieta zajmowała się osobiście tyloma sprawami, iloma sensownie mogła. Była pracowitym, oddanym urzędnikiem państwowym, błyskawicznie radziła sobie z robotą papierkową, oszczędzając sobie napojów i jadła; była profesjonalistką oddającą się przyjemnościom zdrowym i funkcjonalnym. Jednakże ekonomiczne problemy jej panowania – oraz gorączkowe wysiłki, jakie podejmowano, by im sprostać – przekraczały możliwości jej osobistego nadzoru, a być może nawet zdolności rozumienia. W ostatecznym rachunku monarchia Tudorów, która starała się ożywić starożytną ideę wszechwładnego monarchy, okazała się niewydolna, ponieważ w miarę rozszerzania się zakresu prac związanych z rządzeniem rzeczą niezbędną stawał się konstytucyjny podział obowiązków i odpowiedzialności. Nawet Elżbiecie zdarzały się potknięcia. W ostatnich latach życia borykała się z trudnościami, którym już nie umiała sprostać. Jak wszyscy jej wielcy poprzednicy, zmarła wyczerpana i rozczarowana, zużyta przez system rządów, który kładł zbyt wielki ciężar na barki jednej osoby, oraz przez niemożliwe do zaspokojenia oczekiwania ludzi, którzy zawsze pragną zbyt wiele od swoich sług na tronie. Dawna monarchia angielska – teatr jednego aktora, jednej aktorki – założona przez Alfreda i z aprobatą przejęta przez Wilhelma Zdobywcę, umarła wraz z Elżbietą. Był to okrutny system: mordował tych, którzy zawiedli, a nadmiarem pracy zabijał tych, którym się powiodło. Trzej najwięksi średniowieczni monarchowie: Wilhelm Zdobywca, Henryk II i Edward III, zostali odarci do naga i pozbawieni pierścieni i kosztowności w chwili, gdy wydali ostatnie tchnienie. Trudno było królowi umrzeć z godnością; nawet Elżbieta straciła pod koniec kontrolę nad ludźmi, których wyniosła na szczyty władzy. Anglicy wypracowali nowy rodzaj stosunków ustrojowych, wnosząc w ten sposób swój wkład do historii ludzkości, nie dlatego, że tak kochali zmiany, ale dlatego, że ich dawny system rządów przekraczał fizyczne możliwości ludzi powołanych, by dźwigali jego ciężar.

Zwracałem już uwagę, że idea procesu rządzenia jako konfliktu między monarchią a Parlamentem była całkowicie obca Anglikom. Monarcha był *de facto* członkiem Parlamentu – jego najważniejszym członkiem. Anglicy wcale nie pragnęli samorządu. Marzyli o silnej konserwatywnej władzy centralnej, w ramach prawa działającej w interesie całego społeczeństwa; w takim systemie decyzje i odpowiedzialność spadały na króla. W zakresie administracji lokalnej brali na siebie pewne zobowiązania, ponieważ nie było nikogo, kto by ich w tym wyręczył, ale nawet w tym przypadku był to samorząd pod komendą króla, a około tysiąca rycerzy-urzędników, którzy w coraz większym stopniu

przejmowali zadania administracyjne, miało poczucie, że są nadmiernie wykorzystywani. Nikt nie zamierzał zwalniać króla z ciężących na nim obowiązków; jednak z drugiej strony trudno było oczekiwać, że zawsze i wszędzie będzie w stanie im podołać ku powszechnemu zadowoleniu. Toteż gdy – jak to często bywało – okazywało się, że nie potrafi się z nich wywiązać, pojawiła się kwestia, kto powinien mu doradzić i pomóc. Pytanie nie dotyczyło jednak wcale roli Parlamentu. Szło o skład Rady Królewskiej. Na tym polegał podstawowy problem polityczny średniowiecza i Anglicy nigdy nie zdołali go rozwiązać. Zgoda kończyła się bowiem na ogólnym założeniu, że królowi powinni doradzać jego „naturalni” doradcy w osobach wielkich magnatów i prałatów, a z czasem nawet to mgliste założenie uległo zupełnej erozji. Anglicy nigdy jakoś nie potrafili zaakceptować istnienia żadnego zbioru spisanych zasad, które nie miały precedensu w tradycji (dopiero w naszych czasach, i to z wielką niechęcią, przyjęli do wiadomości formalne uznanie faktu istnienia funkcji premiera i nigdy w sensie prawnym nie zdefiniowali jego praw i obowiązków). Klauzula bezpieczeństwa zawarta w Wielkiej Karcie Swobód, powołująca do istnienia radę dwudziestu pięciu baronów nadzorujących poczynania króla oraz przyznająca im prawo do oporu, gdyby król złamał postanowienia umowy, była jedynym ważnym punktem Karty, który nigdy nie został zrealizowany, choć dla stronnictwa baronów stanowił sedno całego dokumentu. W połowie XIII wieku wysuwano rozmaite projekty utworzenia zarządzającego komitetu o uprawnieniach ujętych osobnym statutem. Wzorca dostarczały zapewne takie precedensy, jak kolegium kardynalskie w Rzymie, kolegium elektorów w cesarstwie niemieckim, a najpewniej eksperyment łańskiego królestwa Jerozolimy, ograniczonej monarchii opartej na szalonych zasadach teoretycznych kontynentalnego feudalizmu. Warto jednak zauważyć, że najgorętszym zwolennikiem tych pomysłów był cudzoziemiec, Szymon de Montfort, który w końcu sztychował ze wzgardą, że „Anglicy zawsze zwiewali”, gdy przychodziło do nałożenia formalnych ograniczeń na prawo monarchy do wyboru ministrów. Pomysły upadały, co jakiś czas powracano do nich; za panowania Edwarda II i Ryszarda II, małoletności, a potem zniedołężnienia Edwarda III oraz przez całe panowanie Henryka VI i Edwarda IV pojawiały się rozliczne propozycje stworzenia jakiegoś rodzaju formalnej oligarchii, która by rekompensowała jawną niekompetencję monarchy. Żaden z tych projektów nie spotkał się jednak z powszechniejszą aprobatą, żaden też nie wykazał się większą skutecznością. Ostatecznie Anglicy radzili więc sobie, uciekając się do środków nadzwyczajnych, zwykle zrodzonych i topionych we krwi i znaczonych sądowymi morderstwami.

Osobliwą kolejną rzeczą to pragnienie arystokracji, aby zyskać formalną ochronę przed arbitralną samowolą króla – wyrażone w sławnej 39 klauzuli Wielkiej Karty – zostało zniweczone nie przez monarchię, ale rękami samych możnowładców, nieudolnie uzurpujących sobie jej prerogatywy. W XIV i XV

wieku życie magnata, który angażował się w politykę, było znacznie bardziej wystawione na ryzyko niż w czasach Normanów, Andegawenów czy wczesnych Plantagenetów. Wilhelm Zdobywca nie uznawał kary śmierci, w każdym razie w odniesieniu do arystokracji, podobnie jak, generalnie rzecz biorąc, Henryk II, toteż magnat złapany *in flagrante delicto*, podczas jawnej i krwawej rebelii przeciw Koronie, zwykle mógł liczyć na pełny i sprawiedliwy proces. Nie kto inny jak król usiłował w roku 1352 określić, jakie rodzaje przestępstw mają być karane śmiercią pod zarzutem zdrady, i ograniczyć ich liczbę. Jednak w miarę jak przemoc stawała się podstawowym sposobem zmiany grupy rządzącej, standardy postępowania sądowego w sprawach politycznych mocno podupadły. Nie wystarczyło, że Parlament wprowadził haniebną praktykę oskarżania polityków o zdradę stanu (*impeachment*); rywalizujące oligarchie pozwalały sobie wobec przeciwników na bezwzględną pogardę już nawet nie dla materii, ale samych form prawa. Magnatów, którzy brali udział w grze politycznej i przegrali, uznawano za „winnych z tytułu niesławy” i często automatycznie skazywano w ogóle bez żadnego procesu. Masakry sądowe znanych osobistości sceny politycznej osiągnęły taką skalę, że doprowadziły do zmian w strukturze społecznej kraju. Praktykowany przez angielską klasę rządzącą obyczaj wycinania się pod egidą prawa, często na podstawie fałszywych zarzutów lub zgoła bez sądu – przy czym nie szczędzono nikogo, bliskich krewnych ani przyjaciół – zyskał ponurą sławę w całej Europie. Pewien cudzoziemiec na dworze Elżbiety zauważył z niesmakiem, że barbarzyńska angielska arystokracja otwarcie chełpi się swymi przodkami lub krewnymi, którzy skończyli życie na szafocie, klnąc się, we właściwy im ohydny i bezbożny sposób, że nikt nie może uważać się za prawdziwego szlachcica, jeśli nie miał w rodzinie skazanego za zdradę lub ofiary sądowego zabójstwa. Do połowy XVI wieku stare średniowieczne klany praktycznie wyrznęły się w pień na Tower Hill. Rządy wielkich posiadaczy ziemskich w istocie zdyskredytowały się już wiek wcześniej. Sir John Fortescue pisał, że królewscy doradcy nie powinni zasadniczo rekrutować się z szeregow zepsutej, niekompetentnej i samolubnej magnaterii, ale spośród rozważnych profesjonalistów, którzy z całym oddaniem poświęcą się służbie państwu. W sumie Anglicy poszli za tą sugestią i z biegiem czasu Rada Królewska zaczęła w coraz większym stopniu składać się z profesjonalnych przywódców Parlamentu. W ten sposób Parlament został ostatecznie wciągnięty w wykonawcze funkcje władzy; jednak proces ten przebiegał nieświadomie i chaotycznie, nikt też nie pokusił się o próbę nadania mu podstaw teoretycznych, a nawet wskazania jakichkolwiek racji poza pożytkiem i wygodą. W chwili śmierci Elżbiety Anglicy nie dysponowali żadną szerszej podzielaną koncepcją, w jaki sposób należy rządzić krajem. Wszystko wciąż zależało od króla, a jego metody postępowania zwykle nie napotykały oporu, dopóki nie wpadł w tarapaty finansowe. Jeśli król potrafił zachować wyplacalność, w ogóle nie było powodu mu się sprzeciwić.

Nie ulega wątpliwości, że to zgodne poparcie klas posiadających dla silnej władzy centralnej, najlepiej sprawowanej przez jednego człowieka, który dobrze zna się na swojej robocie i respektuje potrzebę zasięgnięcia porady we właściwych kręgach, podzielała większość angielskiego społeczeństwa. Przeciętni Anglicy nie należą do ludzi uległych – nigdy tacy nie byli – są jednak głęboko konserwatywni, szanują hierarchie społeczne, z szacunkiem odnoszą się do istniejących instytucji i obyczajów, do protestu zaś z reguły prowokuje ich dopiero groźba zmiany. To prawda, że wraz z rozwojem przemysłu sukienniczego w ostatnich dziesięcioleciach XIV wieku z wolna zaczynają dochodzić do głosu nieco inne nastroje. W środkowym okresie panowania Elżbiety Parlament trzeźwo zauważył, że „ludźmi, których byt zależy od produkcji sukna, trudniej spokojnie rządzić niż tymi, którzy pracują na roli”. Rozwój przemysłu zbiegał się więc z pragnieniem rozciągnięcia praw politycznych na szersze rzesze ludności. Jednak aż do końcowych lat XVIII wieku zdecydowana większość mieszkańców wyspy brała bezpośredni udział w produkcji rolnej; pracownicy rolni znani są zaś w Anglii z tego, że nigdy nie wysuwają żadnych żądań. (To też nawet dziś, choć wydajność ich pracy znacznie wzrosła i rośnie szybciej niż w innych działach gospodarki, mają najniższe przeciętne zarobki ze wszystkich męskich grup zawodowych.) Co więcej, sama struktura społeczna twardo – a do XIX wieku wydawało się też, że nieuchronnie – opierała się na posiadaniu ziemi. Rdzenni mieszkańcy rzymskiej Brytanii zdecydowanie odrzucili miejską cywilizację oferowaną im przez Rzymian; nawet najbogatsi, akceptując miasta jako centra administracji i ośrodki handlu, budowali swe siedziby na terenie swych wiejskich posiadłości. Anglosasi, społeczność niepoprawnie wiejska, z całkowitą obojętnością patrzyli, jak rzymskie miasta sypią się w proch, swoje własne wznosząc wyłącznie jako rynki handlowe i fortece obronne. Z kolei Normanowie i ich następcy wspierali rozwój miast, traktując je jako źródło dochodów, nie zaś kultury, a ich nieliczne eksperymenty urbanistyczne (takie jak Winchelsea) stanowiły ewidentne fiasko.

Liczyła się tylko ziemia: jej posiadanie powszechnie uważano za podstawowe źródło zadowolenia osobistego, kryterium sukcesu w życiu publicznym i jedyny pewny wskaźnik statusu społecznego. Anglicy respektują hierarchie, ale tylko oparte na posiadaniu ziemi. Stosowany w państwie staroangielskim system *wergildów*, stanowiący rodzaj klasyfikacji, która nie tylko wyznaczała status społeczny, ale także status prawny i polityczny oraz powinności podatkowe i militarne, był ściśle powiązany z własnością ziemską – wyjąwszy kler i bogatszych kupców. System *wergildów* wyszedł z użycia, w miarę jak rozwój prawa zwyczajowego zniósł zasadę rekompensaty pieniężnej za przestępstwa kryminalne, jednakże na jego miejsce, *pari passu*, weszła hierarchia społeczna oparta nie na dziedzicznym systemie kastowym, ale na aktualnym stanie posiadania ziemi.

Anglicy są rzeczywiście bardzo ostro, ale także realistycznie – może nawet cyniczne – świadomi statusu społecznego danej osoby. Człowiek, który, niezależnie od swego pochodzenia, nie miał ziemi, był nikim; człowiek, który, niezależnie od swego pochodzenia, miał ziemię, mógł zajmować należne miejsce w hierarchii społecznej, ze wszystkimi publicznymi prawami i obowiązkami, do jakich upoważniał go posiadany majątek. Z początkiem XIV wieku zaczęto czynić wysiłki, by prawnie zobligować posiadaczy majątków ziemskich określonej wielkości do brania na siebie przywilejów i ciężarów stanu rycerskiego. Od połowy XV wieku prawo powoływania do Parlamentu rycerzy z danego hrabstwa statutowo ograniczono do wolnych posiadaczy majątku ziemskiego dającego przynajmniej 40 szylingów dochodu rocznie i z pewnymi wyjątkami te regulacje pozostały podstawą określania praw wyborczych aż do roku 1832. Szlachectwo zostało zastrzeżone dla ludzi, którzy otrzymywali imienne wezwanie (*writ*) do Parlamentu. Człowiek był więc szlachcicem nie z urodzenia, ale z racji posiadania ziemi. Nawet najstarszy syn para był *commonerem* (należał do gminu), aż do chwili gdy zajął miejsce ojca; młodsi synowie pozostawali *commonerami* przez całe życie i tracili zwykle swą pozycję na drabinie społecznej, chyba że przez małżeństwo lub własną pracę dorobili się ziemi. Formalny status parów nawet najwyższej rangi także był zagrożony, jeśli kurczyły się ich posiadłości. Ten bezwzględny snobizm, z jakim Anglicy traktowali posiadanie ziemi, często przejawiał się z otwartą brutalnością. Warto zacytować statut uchwalony w roku 1478, pozbawiający Jerzego, księcia Bedfordu, wszystkich tytułów z racji nieposiadania wystarczającej ilości ziemi:

[...] jako że jest powszechnie wiadome, iż rzeczony Jerzy nie ma, ani też przez dziedziczenie mieć nie może, dochodu, jakiego wymaga rzeczony tytuł, urząd i godność, lub jakikolwiek tytuł i urząd, oraz jako że nieraz się zdarza, że gdy wielki pan zostanie powołany na wysoki urząd i nie ma należnego dochodu wymaganego przez tę godność, prowadzi to do znacznego niedostatku i ubóstwa i częstokroć staje się przyczyną wielkiego zdzierstwa, przekupstwa i pieniactwa, z wielką szkodą dla kraju, w którym leżą włości jego [...] Przeto król, za poradą swych baronów duchownych i świeckich oraz *commons* zgromadzonych w obecnym Parlamencie i mocą autorytetu wymienionych, nakazuje [...] aby wraz z tą chwilą [...] tytuł księcia i wszystkie tytuły i godności nadane rzeczonemu Jerzemu oraz rzeczonemu Janowi Neville, jego ojcu, utraciły ważność i wszelkie znaczenie. A także aby rzeczony Jerzy i jego potomkowie utracili z tą chwilą prawo do miana książąt, markizów, earłów i baronów.

Aż do końca XIX wieku niewystarczający stan posiadania uważano za absolutny, a przynajmniej stosowny, powód odmowy tytułu para człowiekowi, który skądinąd na taki tytuł zasługiwał z racji swych dokonań w życiu publicznym. Generał, admirał czy polityk mimo odniesionych sukcesów musiał zwykle udowodnić, zanim uznano jego prawa, że posiada znaczny majątek i dochód stosowny

do danej godności. Jeszcze w roku 1918, gdy marszałek polowy sir Douglas Haig za pośrednictwem sir Filipa Sassoon negocjował z Lloydem George'em w sprawie należnego uznania swoich zasług wojennych, zwrócono uwagę, że gdyby przyjął tytuł earla, Parlament musiałby mu przyznać 250 tysięcy funtów, aby uzasadnić ten tytuł; ostatecznie Haig zgodził się na 100 tysięcy.

Ziemia niosła ze sobą bezpośrednią władzę polityczną, a w jeszcze większym stopniu – wpływy; powszechnie uznawano więc, że jej posiadanie musi się wiązać z odpowiednim statusem. Ludzi, którzy posiadają ziemię, należy połączyć więzami lojalności z Koroną. I w drugą stronę: ci, których lojalność budzi wątpliwości, nie mogą jej posiadać. Od początku XIII wieku przeważała zgodna opinia, iż obcokrajowcom, jako że łączą ich więzy lojalności z innym krajem, należy zabronić kupowania ziemi w Anglii. Ostatecznie znalazło to wyraz w stosownym statucie, który zachował moc prawną aż do roku 1870. Jeszcze w roku 1864 lord Palmerston, uzasadniając swój sprzeciw wobec projektu zniesienia tego statutu, pisał do Lorda Kanclerza:

„Nie sądzę, że powinniśmy zmieniać dawno ustanowione prawa naszego kraju tylko po to, aby zadośćuczynić prywatnym zamiarom Obcokrajowca, jakkolwiek byłby godny szacunku i zasługiwał na poważne rozważenie jego prośby [...]. Zgodnie z obyczajami i polityczną organizacją naszego społeczeństwa posiadanie Ziemi jest w tym Kraju bezpośrednio lub pośrednio źródłem Wpływów i Władzy politycznej, które to Wpływy i Władza winny należeć wyłącznie do brytyjskich poddanych i nie mogą w najmniejszym stopniu przejść w Ręce Obcokrajowców. Można wysunąć argument, że posiadanie Własności ziemskiej przez kilku Obcokrajowców nie wywrze żadnego namacalnego wpływu na funkcjonowanie naszego ustroju, jednakże w tym przypadku nie jest to kwestia stopnia, ale zasady i można by na tej samej podstawie proponować przyznanie Obcokrajowcom prawa głosu w wyborach bądź możliwości wpływania na głosy innych Osób biorących udział w wyborach.

Ten brutalnie realistyczny system, wiążący status i władzę bezpośrednio z posiadaniem ziemi, w konsekwencji pozostawiał jednak nieskończenie wiele miejsca na mobilność społeczną. Angielski system klasowy był zawsze bardzo surowy, ale też nigdy nie był zamknięty. Jeśli nawet książęta mogli osuwać się w dół drabiny społecznej, zaopatrzeni na drogę w potężnego statutowego kopniaka od Parlamentu, nuworysze zawsze mogli piąć się w górę*. Zawsze było

* Anglicy są ambitnymi ludźmi. Bardzo ciekawe studium owych ambicji potężnych można znaleźć w *Is He Popenjoy?* Anthony Trollope'a; bohater powieści, dziekan Brotherton, daje klasyczny przykład angielskiej filozofii społecznej: „Osiągnąć wyższą pozycję w świecie jest rzeczą wspaniałą. Pragnienie, jest solą ziemi, ojcem wszelkiej przedsiębiorczości i przyczyną wszelkiego postępu. Ludzie, którzy nie znają takiego pragnienia, są dzikusami i nimi pozostaną. Z tego, co widzę, takie pragnienie jest szczęśliwie niemal powszechne wśród nas, Anglików, i jemu to właśnie zawdzięczamy naszą wysoką pozycję wśród narodów świata”. Ojciec dziekana był zarządcą stajni, jego wnuk zostaje markizem.

mnóstwo wolnych tytułów do wzięcia, a zmiany na szczycie następowały lotem błyskawicy. Zaledwie garstce wielkich rodów magnackich udało się zachować stan posiadania dłużej niż przez stulecie. Głównym powodem tych upadków nie była jednak śmierć na wojnie czy na szafocie, ale brak męskiego dziedzica. W XIV wieku trzynastu earłów zmarło nie zostawiwszy w ogóle potomstwa z prawego łoża, a czterech miało tylko córki. W efekcie gwałtownie zmalała liczba wielkich posiadaczy przy równoczesnym znacznym wzroście obszaru dziedziczonych przez nich majątków. Podstawową przyczyną wybuchu wojny Dwu Róż było właśnie stopniowe zmniejszanie się różnicy między wielkością spadających wciąż dochodów Korony a majątkiem kilku największych magnatów, który stale wzrastał – król stał się jedynie *primus inter pares* wśród kilku najpotężniejszych magnatów, którzy w pojedynkę lub do spółki mogli go odsunąć od władzy wedle swojego widzimisię*. Wszelako wojny i ich następstwa niemal do szczytu starły tych superarystokratów z powierzchni ziemi, a magnateria końca XVI wieku praktycznie stanowiła już zupełnie nowe, odmienne zjawisko.

Angielska arystokracja, chciwa i trzeźwo stąpająca po ziemi, nigdy nie miała większych skrupułów przed wchodzeniem w mariaże z ludźmi niższego stanu – o ile tylko cena była odpowiednia. W XIV wieku jedna trzecia córek rajców Londynu wyszła za szlachciców; w następnym stuleciu ta liczba wzrosła do 50%. Wszystkie profesje: prawo, służba wojskowa, administracja i Kościół, otwierały przed człowiekiem niskiego pochodzenia szansę szybkiego wejścia w wyższe kręgi społeczne, jeśli tylko zebrał dość gotówki, by kupić ziemię. Dla przykładu: jeden spośród najbogatszych i najpotężniejszych prałatów średniowiecza, Wykeham z Winchester, był synem chłopca, a inny, Wolsey z Yorku – synem rzeźnika. Tacy ludzie potrafili osiągać bogactwa i status rzeczywistości bardzo szybko – często w ciągu jednego dziesięciolecia – jednak nikt nie miał im tego za złe, jeżeli równie szybko przejmowali obyczaje i uprzedzenia swego nowego otoczenia. Wszyscy królowie kreowali nowe wielkości, wynosząc poprzez służbę Kościołowi albo państwu ludzi niższego stanu, ale warto zauważyć, że dwaj spośród tych, którzy najlepiej radzili sobie z arystokracją, Edward I i Edward III, byli bardzo ostrożni w doborze kandydatów, awansując tylko takich, którzy cechowali się rozważnym postępowaniem i wcześniej przejawiali zdolność do przejmowania tradycyjnych obowiązków właścicieli ziemskich. Natomiast nuworysz zachowujący się arogancko narażał się na sądowe morderstwo lub (w przypadku pewnego nieostrożnego biskupa) rozerwanie na strzępy przez tłum londyńczyków. Dzieci takich parweniuszy zwykle bez trudu

* Regularne dochody Ryszarda II wynosiły około 120 tysięcy funtów rocznie; dochody Henryka spadły z 75 tysięcy w latach 1422–1432 do 54 tysięcy w dekadzie 1442–1452. Monarchię Lancasterów nazwano więc „ubogą władzą rządzącą za zgodą jej bogatszych poddanych” (A. Steel, *The Receipt of the Exchequer, 1377–1485*, Cambridge 1954).

dostosowywały się do panujących wzorów i rzadko wytykano im pochodzenie rodziców, skoro niewielu mogło pochwalić się głębiej sięgającą genealogią. Gdy wściekły londyński tłum wrzeszczał na Jana z Gaunt [Gandawy], księcia Lancaster [jeden z synów Edwarda III], że jest synem flamandzkiego rzeźnika (powszechnie uważano, że jego matka była cudzołożnicą), dawał upust nie tyle snobizmowi, co ksenofobii.

Angielska klasa posiadaczy ziemskich była więc (i pozostała) otwarta, ponieważ przyjmowano każdego, komu się to należało, bogata, ponieważ obowiązywały surowe finansowe kryteria wstępu, oraz nieliczna, ponieważ usuwano z niej tych, którym się nie powiodło. Sprawozdania podatkowe z roku 1436 ujawniają 51 magnatów o przeciętnym rocznym dochodzie w wysokości 865 funtów, 183 większych *knights* osiągających 200 funtów, 750 mniejszych *knights* osiągających 60 funtów, 1200 *esquires* osiągających 20–35 funtów, 1600 właścicieli majątków osiągających 10–19 funtów i 3400 osiągających 5–10 funtów. (Niektórzy najwięksi posiadacze – nadzorujący zarazem sporządzanie tych sprawozdań – celowo zaniżali swe dochody, w niektórych przypadkach aż o 50%; toteż, na przykład, prawdziwy dochód księcia Yorku wynosił co najmniej 7000 funtów, a nie 3231, jak podano w sprawozdaniu, a earla Warwick – przynajmniej 6000 funtów zamiast 3116; począwszy od VIII stulecia angielska arystokracja na wszelkie sposoby uchylała się od płacenia podatków na olbrzymią skalę i, oczywiście, robi tak do dziś, choć współcześnie proceder ten zwie się unikaniem płacenia nadmiernych podatków.) A zatem mniej niż siedem tysięcy osób posiadało praktycznie cały majątek kraju i panowało nad pozostałymi trzema milionami.

Nasuwa się pytanie, jak to się stało, że wciąż utrzymywała się tak zdumiewająca nierówność ekonomiczna i społeczna? Co powstrzymywało ogromne masy pozbawionych majątku Anglików przed powstaniem i zmieceniem z powierzchni ziemi mikroskopijnej klasy rządzącej? Z pewnością nie istniały żadne fizyczne bariery, które mogłyby ich powstrzymać. Nie było stałej armii. Nawet amatorskie próby podejmowane przez Ryszarda II w celu powołania stałego oddziału łuczników z Cheshire spotkały się z gwałtownym sprzeciwem arystokratów i zostały potraktowane jako jeszcze jeden powód do tego, żeby go usunąć z tronu (i zamordować). Nie było zawodowej policji. Klasa rządząca była uzbrojona i w pewnej mierze wyćwiczona w rzemiośle wojennym, ale ówczesnie taki trening mieli za sobą niemal wszyscy. To prawda, że teoretycznie ludzie o statusie *villeina* nie mieli prawa nosić broni, ale *de facto* ją nosili, a co więcej – w XIV wieku instytucja *villeina* zaczęła gwałtownie zanikać i wkrótce należała już do przeszłości. Zresztą w wielu rejonach Anglii, zwłaszcza na wschodzie i północy, zdecydowana większość chłopów zawsze należała do ludzi wolnych. Tak czy inaczej, potrzeby obronne królestwa skłaniały

władze do tego, by zachęcać chłopów do ćwiczeń w umiejętności posługiwania się bronią, zwłaszcza długim łukiem. Ta potężna i typowo angielska broń – wymagająca długotrwałego treningu – w rękach uzdolnionego łuczника stanowiła w promieniu 600 metrów narzędzie zabójcze: z odległości 100 metrów strzała przebijała kolczugę. Najrzeczniejsi Anglicy umieli z niej zrobić użytek. Całe wioski często trenowały wspólnie jako jeden oddział; zachowało się echo ich brutalnego okrzyku bojowego z Oxfordshire z roku 1355, sygnał do generalnego plądrowania: „*Havok, havok, smygt faste, gyf good knok!*” Prawdopodobnie żadna średniowieczna władza angielska nie zdołałaby się przeciwstawić powstaniu chłopskiemu, które dążyłoby do przejęcia władzy w państwie.

A jednak chłopci nie przejawiali takich zamiarów. W tamtych czasach nie-trudno było zgromadzić tłum złożony z tysięcy, a często nawet dziesiątków tysięcy ludzi. Na każdym kroku widać było nieszczęścia i nędzę; wiele osób cierpiało na różne chroniczne choroby, którym ówczesni lekarze nie potrafili zaradzić, nawet gdyby ich usługi pozostawały w zasięgu biedaków. Liczną grupę stanowili nieuleczalni kalecy. Najmniejsza pogłoska o cudownym uzdrowieniu czy wędrownym uzdrowicielu wprawiała w ruch ogromne masy ludzkie, formujące się w pochody, których władze nie potrafiły w żaden sposób powstrzymać. Te historyczne wędrowki tłumów stanowiły nawracającą cechę życia w średniowieczu. Częściej występowały na kontynencie niż w Anglii, ale pojawiały się i tu; kronikarze z zabobonną dbałością starają się niemal w ogóle o nich nie wspominać, jak gdyby przestrzegali zmywy milczenia nad budzącymi grozę możliwościami tłumy. Nie ulega wątpliwości, że agitatorzy mogliby skierować tę nie kontrolowaną energię w kanały działań politycznych. Jednakże w Anglii najwyraźniej brakowało konspiratorów. Wydaje się, że można wskazać przyczyny takiego stanu rzeczy. Normanowie położyli kres niewolnictwu. Z kolei przypisanie do ziemi w przypadku *villeinów* nigdy nie było w Anglii tak represyjne i rozpowszechnione jak po drugiej stronie Kanału. Zaczęło tracić na znaczeniu już w XII wieku i jego powolne zamieranie, przeciwnie niż na kontynencie, nigdy nie zostało tu skutecznie powstrzymane ani nawet przyhamowane. Co więcej, wielu *villeinów* było ludźmi dość zamożnymi, którym musiało zależeć na utrzymaniu istniejącego porządku; znane są nawet przypadki, że odmawiali zmiany statusu z czysto ekonomicznych powodów. Źródła historyczne wskazują, że bardzo wielu chłopów miało pewien, choćby skromny, majątek. Natomiast dość często wybuchające lokalne zamieszki stanowiły średniowieczny odpowiednik strajków i organizowano je dla osiągnięcia konkretnych, ograniczonych celów, a nie po to, by obalić porządek społeczny. Większość z tych zaburzeń miała na celu cofnięcie zegara dziejów; żadne z nich nie proponowało jakiegokolwiek alternatywnej formy rządów. Angielski chłop średniowieczny był w istocie głęboko konserwatywny, podobnie jak jego robotniczy

potomkowie wiele stuleci później. Strajk generalny w Anglii w roku 1926 zakończył się pełnym powodzeniem: doprowadził do zatrzymania pracy całego przemysłu i transportu, a jednak osiągnąwszy tak wiele, robotnicy nie potrafili posunąć się dalej, ponieważ nie mieli zamiaru – choć była po temu okazja – przejąć władzy w państwie, i w efekcie wrócili do pracy. Tak samo było ze średniowiecznymi powstaniemi chłopskimi: ich polityczne aspiracje w najlepszym razie sięgały przedłożenia władzom petycji z prośbą o naprawienie krzywd, w przekonaniu, że król, gdy tylko dowie się o skargach, bez wahania przywróci dawne, dobre prawa. Zwykle oszukiwano ich niemiłosiernie, a jednak nadal żywili niezachwianą wiarę w sprawiedliwość monarchy, Bożego pomażanca. Nawet w czasach Henryka VIII, który wprowadził dramatyczne zmiany w religijnej strukturze kraju – przeciw którym gwałtownie protestowali chłopi z północy i które faktycznie stanowiły główną przyczynę ich buntu – Pielgrzymi Łaski bez wahania zaufali słowom króla, że krzywdy zostaną naprawione, i spokojnie się rozeszli, wskutek czego zostali następnie zmasakrowani bez litości. Prawdą jest bowiem to, że ci buntowniczy chłopi nie byli wcale gwałtownymi rewolucjonistami, ale gwałtownymi reakcjonistami.

Postawy mas angielskich najbardziej wyraziście rysują się w okresie zasadniczych przemian gospodarczych w XIV wieku. System produkcji rolnej panujący w Anglii we wcześniejszym średniowieczu opierał się na praktyce *high farming*, polegającej na tym, że uprawą wielkich majątków zajmowali się bezpośrednio ich posiadacze, wielcy panowie duchowni i świeccy, w znacznej mierze wykorzystując przymusową pracę chłopów. Niektóre z tych majątków nawet z dzisiejszej perspektywy stanowiły gigantyczne przedsięwzięcia. W roku 1322 kościół katedralny w Canterbury uprawiał 8373 akry ziemi ornej i posiadał 13 730 owiec; przeor Św. Swithina miał 20 000 owiec. Przez dwa stulecia, w miarę jak coraz więcej ziemi poddawano pod uprawę, systematycznie rósł standard życia całego społeczeństwa; stale rosła też populacja wyspy. W początkach XIV wieku pozostały już tylko niewielkie nieużytki i możliwe, że populacja osiągnęła poziom nasycenia – w każdym razie w warunkach znanych wówczas metod eksploatacji ziemi. Wielkie posiadłości były jednak często bardzo niewydajne. Przymusowa praca chłopów była równie nieskuteczna co przymusowa służba rycerzy. Praktyka *high farming* wymagała więc ciągłych zastrzyków kapitału, zwłaszcza w latach nieurodzaju. Po wypędzeniu Żydów wielcy posiadacze mieli jednak kłopoty ze zdobyciem brakujących funduszy, nawet za cenę morderczych procentów; w dodatku na skutek rosnących obciążeń podatkowych często wpadali w poważne długi i stawali się niewypłacalni. W latach 1315–1317 z powodu ulewnych deszczów i powodzi nastąpiły trzy kolejne lata nieurodzaju. Doszło do ostatniej powszechnej epidemii głodu w dziejach An-

glii*. Tysiące chłopów zmarło z głodu; jednakże wielcy właściciele też odczuli jej skutki i *high farming* już nigdy na dobre nie podniosła się z tej katastrofy. Wielu zaczęło więc w zamian za stały czynsz wydzierżawiać znaczne partie swoich gruntów. Równocześnie wraz z upadkiem systemu manorialnego gwałtownie powiększył się rynek pracy robotników rolnych pobierających dniówkę. Uprawa wielkich majątków, nastawiona na produkcję rynkową, traciła ekonomiczną atrakcyjność, część ziemi zamieniła się w nieużytki. Spadek dochodów pieniężnych z rolnictwa stanowił jedną z przyczyn powodujących, że angielska klasa rządząca tak chętnie angażowała się w wojny we Francji – oferowały jedyne znane im zajęcie poza rolnictwem, które obiecywało dochód w gotówce. Chłopi z kolei chętnie brali ziemię w dzierżawę, ponieważ w mniejszym stopniu dotknęły ich skutki recesji w rolnictwie, a panowie lenni chętniej sprzedawali lub dzierżawili ziemię, gdyż musieli zgromadzić pieniądze na podatki wojenne. Co więcej, w następstwie wprowadzenia statutu *Quo Warranto* zmniejszyła się społeczna wartość wielkich latyfundiów.

W tej i tak już dość krytycznej sytuacji pojawił się nowy, rewolucyjny element wraz z nadejściem Czarnej Śmierci. Ta epidemia zakaźnych chorób z przewagą dżumy i zapalenia płuc wybuchła w sierpniu 1348 i trwała aż do końca 1349 roku; druga fala zarazy uderzyła w latach 1361–1362, atakując głównie dzieci, a trzecia – w roku 1369. Drugi atak był prawdopodobnie najpoważniejszy z ekonomicznego punktu widzenia, ponieważ wpłynął na sytuację na rynku pracy w latach 1370. Skumulowany efekt epidemii spowodował dramatyczny spadek liczby ludności: na terenach wiejskich generalnie o jedną trzecią, w niektórych rejonach nawet o połowę i więcej. W tej sytuacji nastąpił natychmiastowy szybki wzrost płac robotników rolnych, które rosły w tempie 30% w latach 1340–1350, a 60% w dekadzie następnej i nadal zwykowały. Pojawiało się także dążenie do poszukiwania lepszych warunków pracy, co sprawiało, że pracodawcy musieli się godzić na liczne ustępstwa i dodatki, aby w ogóle znaleźć jakieś ręce do pracy. Robotnicy polowi, których szczęśliwy pan pozyskał na czas żniw, oczekiwali w południe posiłku złożonego z chleba, piwa i zupy z kawałkiem wołowiny, wieprzowiny lub baraniny albo dania rybnego i pięciu śledzi. Po raz pierwszy w dziejach Anglii klasy posiadające znalazły się na łasce zwykłych ludzi**.

* C. Britton, *A Meteorological Chronology to AD 1450*, London 1937, s. 133. Zob. także: Barbara Harvey, *Population Trends in England, 1300–1348*, „Transactions of the Royal Historical Society”, 1966.

** Właściciele ziemscy gorątkowo starali się zaradzić niedoborom pracowników, stosując narzędzia oszczędzające pracę: upowszechnienie kosy zamiast sierpa i maselnicy do robienia masła datuje się właśnie z tej epoki. Por. B. H. Slicher van Bath, *The Agrarian History of Western Europe*, London 1961.

Bogaci i uprzywilejowani rozpaczliwie starali się odwrócić tę tendencję za pomocą środków prawnych. Rozporządzenia wydane w roku 1349, które po pewnych korektach zyskały w roku 1351 rangę statutu, stanowiły pierwsze z serii wielu posunięć mających powstrzymać wzrost płac i zmusić ludzi do pracy za odgórnie ustalone stawki. Rozporządzeniom towarzyszyły prawa skierowane przeciw zbytowi, które miały wzmocnić pękającą strukturę klasową przez odebranie masom prawa do korzystania z nowo zdobytej siły nabywczej. Przypominało to ekonomiczne ustawodawstwo późnego Cesarstwa Rzymskiego. Wspomniane prawa były jednak całkowicie nieskuteczne, ponieważ nie sposób było zagwarantować ich przestrzegania, a podejmowane gdzieś tam spazmatyczne próby wprowadzania ich postanowień prowokowały tylko wzburzenie chłopów. Zegar dziejów można było cofnąć jedynie przez rzeczywiste i powszechne obniżenie standardu życia mas, pierwsze od kilku stuleci. Taka operacja leżała jednak poza zasięgiem jakiegokolwiek aparatu władzy w średniowieczu, a w istocie nawet współcześnie; mogłaby to sprawić tylko wojna lub naturalny kataklizm. Ustawowe zamrożenie płac było nie do przyjęcia dla chłopów, którzy woleli raczej zrezygnować ze świadczenia swych usług; ostatecznie było też nie do przyjęcia dla właścicieli ziemskich, którzy woleli zapłacić wyższą dniówkę, żeby tylko utrzymać się na rynku. Spadła wysokość rent i ziemia wyraźnie straciła na wartości. Także *villeini* uciekali teraz masowo od swoich panów, ponieważ otwierające się przed nimi możliwości ekonomiczne znacznie przewyższały nieduże ryzyko ewentualnego schwywania. Parlament usiłował zapewnić egzekwowanie powinności pańszczyźnianych, ale było to niewykonalne bez rozbudowanego aparatu represji, który nie istniał. Tam, gdzie podjęto stosowne działania, okazywały się one za słabe, by zmusić chłopów do pracy, ale dość dokuczliwe, by sprowokować ich do aktów przemocy. Co więcej, wolny chłop miał do dyspozycji sądy królewskie; nawet najniższe warstwy społeczne mogły szukać ochrony prawnej i rzeczywiście korzystały z tej możliwości. Chłopi powoływali się w swojej obronie na Wielką Kartę, nawet jeśli jej postanowienia nie stosowały się ściśle do ich sytuacji. Stali się zajadłymi obrońcami swych praw i jeśli sądy ich zawiodły, było pewne, że sięgną po broń, aby chronić się przed tym, co uznawali za nowy rewolucyjny zamach na swe odwieczne prawa. Wybuchwały więc liczne powstania, z których większość z powodzeniem osiągała swe krótkoterminowe cele, polegające na torpedowaniu podejmowanych przez Parlament prób kontrolowania gospodarki.

W latach siedemdziesiątych XIV wieku władza, chwiejąca się w posiadach pod wpływem katastrof wojennych i rozdzierana przez rywalizujące frakcje, ostatecznie porzuciła beznadziejne próby zamrożenia płac; postanowiono ściągnąć nowo zdobyte bogactwa mas za pomocą powszechnych podatków pogłównych, czyli przez nałożenie na każdą osobę dorosłą bezpośredniego podatku o stałej wysokości, niezależnie od dochodu. Ten potworny wynalazek rodem

z kontynentu okazał się doskonałym przepisem na wywołanie zaburzeń społecznych. Próby przeprowadzenia wstępnego spisu powszechnego w roku 1377 doprowadziły do zamieszek w większych miastach, takich jak Londyn, oraz oporu w niemal całym kraju. Nałożenie w roku 1381 podatku pogłównego w wysokości 1 szylinga od osoby stało się sygnałem do wybuchu rewolucji, zwłaszcza w gęsto zaludnionych regionach południowo-wschodniej Anglii. Wieśniak musiał teraz wyłożyć za siebie i żonę 2 szylingi w żywej gotówce, której na ogół nie miał. Wprawdzie pan mógł za niego zapłacić *a conto* przyszłej pracy na swojej ziemi, jednak w wielu wsiach nie było już żadnego pana – wycofał się z uprawy roli – i chłop po raz pierwszy w życiu stanął twarzą w twarz z poborcą podatkowym. Nie mógł zapłacić, więc sięgnął po broń.

Bunt chłopski był jednak w zasadzie wyrazem angielskiego konserwatyzmu, a ściślej biorąc – dwu jego rodzajów. Przedstawiciele klas posiadających chcieli cofnąć wskazówki zegara do początku stulecia, czyli do okresu, zanim chłopci zdobyli swą aktualną pozycję przetargową w gospodarce. Chłopi także chcieli cofnąć zegar dziejów, ale do jeszcze dawniejszej, dość mitycznej epoki. Był to więc konflikt dwu sił reakcyjnych, posługujących się różnymi skalami upływu czasu. Władze postrzegały chłopów jako rewolucjonistów, ponieważ występowali zbrojnie przeciw istniejącym prawom. Chłopi postrzegali władze jako rewolucjonistów, ponieważ za pomocą nowych statutów dążyły do zniszczenia dawnego obyczaju. Swój pierwszy atak zwrócili przeciw Kościołowi, gdyż kościelni posiadacze najbardziej wytrwale i bezwzględnie wprowadzali nowe wynalazki prawne; zresztą antyklerykalizm wzbierał na sile już od ponad dwu stuleci, stając się nową angielską tradycją – najwcześniejsze znane zorganizowane zamieszki chłopskie z lat trzydziestych XIII wieku miały antyklerykalne ostrze. Doszło do ataków na klasztory, a nawet na uniwersytet w Cambridge. Wszelako buntownicy, nawet jeśli antyklerykalni, nie byli nastawieni antychrześcijańsko, przeciwnie – szukali drogi powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa. Celem ataków stali się także prawnicy jako agenci nowych, złowrogich sił. W wielu przypadkach zabierano i palono najświeższe rejestry i archiwa, a prawników chwymano i wieszano w imieniu króla. Natomiast same odwieczne prawa królestwa nie budziły sprzeciwu; na odwrót, buntownicy wychwalali je i cytowali na poparcie swojej sprawy. Ludzie z Kentu oświadczyli, że nie zapłacą żadnych nowych podatków, a nawet w ogóle żadnych podatków „prócz piętnastej części, którą znali i akceptowali ich dziadowie”. Wat Tyler w jednym z postulatów domagał się, aby nie było żadnych nowych praw prócz „prawa z Winchesteru” – było to odniesienie do realnych lub wymyślonych praw Edwarda I, sprzed stulecia. Chłopi domagali się zaniechania prób przywrócenia instytucji *villeina*, powrotu do dawnej praktyki wolnego obrotu ziemią oraz prawa do dzierżawy ziemi po starej cenie 4 pensów za akr.

Program był więc rewolucyjny, został jednak przedstawiony w typowo angielski sposób – jako uświęcenie zmiany przez ubranie jej w szaty powrotu do dawniejszego porządku. Buntownicy zanurkowali w głąb zbiorowej pamięci ludu i wyciągnęli na światło dzienne kilka zaskakujących symboli – jakkolwiek traktowali je w kategoriach zdarzeń realnych, a nie symbolicznych. Rebelianci z Kentu mówili o sobie „ludzie z Kent i Jutowie”. W Anglii wschodniej pojawiły się żądania powrotu „królów hrabstw” Northfolk i Southfolk, którzy wydaliby *county charters* [statuty hrabstwa] na wzór Wielkiej Karty Swobód. Najwyraźniej żywa była tam pamięć czasów przednormańskich, i to nawet nie wielkiego zjednoczonego państwa Wessexu, ale poprzedzających je królestw heptarchii. Tymczasem Norfolk i Suffolk już w połowie VII stulecia, w czasach pochówku wielkiego wodza w Sutton Hoo, były dawno zjednoczone w królestwo Wschodniej Anglii. Buntownicy z roku 1381 sięgali więc pamięcią ponad osiemset lat wstecz, ku formom państwewek plemiennych.

Zamieszki uśmierzone bez większych trudności. Powieszono lub zamordowano kilku przywódców, nie doszło jednak do żadnych represji na szerszą skalę. Państwo nie miało zresztą takich możliwości, a Anglicy zawsze wzdrali się przed perspektywą wojny klasowej. Buntownicy we wszystkich istotnych punktach osiągnęli swoje cele. Na kontynencie podobne – i dużo krwawsze – powstania prowadziły do ostrej reakcji, brutalnie przywracającej system poddaństwa chłopów, który pod pewnymi względami przetrwał aż do czasów rewolucji francuskiej, a nawet dłużej. Jednak w Anglii rewolucja w rolnictwie, której bunt chłopski z 1381 roku był nielogicznym produktem ubocznym, biegła dalej niemal bez przeszkód – z wielką korzyścią dla całego społeczeństwa. Pod koniec stulecia manorialny system *high farming* był już definitywnie martwy i ustąpił pola nowej strukturze, obejmującej wolnych posiadaczy (*freeholders*), dzierżawców (*tenant farmers*) i bezrolnych pracowników najemnych, która utrzymała się aż do końca XVIII wieku.

Rewolta bez wątpienia wprawiła jednak w przerażenie angielską klasę rządzącą. Jedynym rzeczywistym następstwem powstania było więc zdecydowane zwrócenie się możnych przeciw nowemu ruchowi religijnemu związanemu z osobą Wiklefa (Wyclifa). Nastąpiło tu wszakże pomieszanie pojęć, gdyż Wiklef był w wielu kwestiach konserwatystą, wspierającym odwieczne prawa państwa przeciw klerykalnym zakusom Rzymu; cieszył się też poparciem ludzi o orientacji, którą w przyszłości nazwano by wigowską, takich jak Jan z Gaunt, książę Lancaster, i wdowa po Czarnym Księciu. Równocześnie jednak dzięki temu, że posłużył się językiem ojczystym*, zdobył znaczne, rosnące poparcie szerokich mas społecznych; przeciwstawiał się istniejącemu porządkowi w Kościele i kwestionował wiele obowiązujących doktryn religijnych,

* Chodzi o dokonany przez Wiklefa przekład Biblii na język angielski (przyp. tłum.).

stając się wyrazicielem poglądów wielu ubogich księży, zbuntowanych przeciw swoim zwierzchnikom. Niełatwo wszakże przychodziło odróżnić takich religijnych reformatorów od księży w rodzaju Johna Balla, który, uwięziony przez arcybiskupa Canterbury, po uwolnieniu odegrał rolę przywódcy w powstaniu chłopskim. Tak czy inaczej, władze nie miały ochoty bawić się w dzielenie włosa na czworo. Każda innowacja, reforma, zmiana – nazwijcie to, jak chcecie – stanowiła zagrożenie. Toteż w latach osiemdziesiątych XIV wieku poczyniono wiele kroków, aby zdusić ruch lollardów. Prałaci odzyskali inicjatywę; państwo aktywnie wsparło ich poczynania, po raz pierwszy ścigając i paląc heretyków na znaczną skalę. Królowie z dynastii Lancasterów, Yorków, a nawet Tudorów zaczęli odgrywać nową rolę – strażników ortodoksji religijnej. Lęk przed perspektywą przemian ekonomicznych i politycznych zwrócił klasę rządzącą ku dawno zdyskredytowanym ołtarzom. Jedynym namacalnym rezultatem rewolty chłopskiej było więc opóźnienie reformacji w Anglii o sto pięćdziesiąt lat.

Anglicy w końcu zabrali się jednak do zmiany swojej religii – o ile w ogóle można w ten sposób określić to, co wydarzyło się w środkowych dekadach XVI wieku – w typowo angielski, chaotyczny i mętny sposób, aby następnie gratulować sobie poszanowania dla wymogów konstytucji, z jakim tego dokonali, oraz zachwycającego kompromisu, który ostatecznie udało im się wypracować. Tyle że zerwanie z Rzymem, a także trzy stulecia rosnącej wrogości wobec papieżstwa, które je poprzedziły, miały stosunkowo niewiele wspólnego z religią jako taką; podstawowym motywem był antyklerykalizm, stanowiący w istocie postać angielskiej ksenofobii. Papieska agresja z XII wieku zakończyła dawną epokę dobrych stosunków między papieżstwem a Kościołem, będących tak uderzająco konstruktywną cechą społeczeństwa anglosaskiego. Od sprawy Becketa stało się jasne, że te dwie potęgi – jedna narodowa, a druga międzynarodowa – będą odtąd w stanie ciągłych napięć, a często konfliktu, przy czym sympatia opinii publicznej nieuchronnie zacznie się przemieszczać w stronę własnego państwa.

W wieku XIII jednakże nieomal doszło do triumfalnego spełnienia uniwersalistycznych aspiracji papieżstwa. Król Anglii został wasalem papieża. Po raz pierwszy papież miał decydujący głos w sprawie nominacji na główne stanowiska kościelne. Nawet monarcha obdarzony tak silną osobowością jak Edward I nie mógł przeforsować swojego kandydata na arcybiskupstwo Canterbury. Znaczna część kościelnych beneficjów stała się elementem systemu papieskich prowizji, w którego ramach papiescy nominanci, głównie Włosi, czerpali zyski z angielskich biskupstw, kanonii i parafii, w wielu przypadkach nigdy nie postawiwszy nawet stopy na wyspie.

A jednak władza papieża miała charakter bardziej teoretyczny niż praktyczny. Kolejni królowie dostrzegali, na przykład, korzystne strony związków

z papieżem, głównie dzięki temu, że państwo mogło w imieniu papieża nakładać na kler wysokie podatki. W ciągu całego średniowiecza zebrano w ten sposób ogromne sumy; papież, jeśli miał szczęście, dostawał około 10%, resztę brało państwo. Jeśli działania podjęte przez papieża w jakimkolwiek momencie zagrażały Koronie, król mógł natychmiast zwrócić się o pomoc do Parlamentu, a Parlament zawsze wiernie odzwierciedlał rosnący antyklerykalizm mieszkańców Anglii. W roku 1286 Edward I wydał pierwszy antyklerykalny statut, *Circumspecte Agatis*, który zapoczątkował erozję władzy sądów kościelnych. Od tego momentu pozycja papieża wobec angielskiego państwa stale i nieuchronnie stawała się coraz słabsza. Już w roku 1318 papież Jan XXII pisał ze smutkiem, że „status, a co więcej – wolność urzędu Kościoła jest bardziej ponizona i zdeptana w [Anglii] niż w jakiegokolwiek innej części świata”.

Trudno się temu dziwić w obliczu pretensji kleru do statusu odrębnej kasty, która – choć posiadała między jedną czwartą a jedną piątą całego bogactwa kraju – nie odgrywała żadnej określonej roli w społeczeństwie; byli pasożytami i postrzegano ich jako pasożytów, nietrudno więc było nastroić przeciwko nim opinię publiczną we wszystkich warstwach społeczeństwa – ba, nastrojała się ona sama. Jak w pierwszych słowach bulli *Clericos Laicos* przyznawał Bonifacy VIII, „powszechnie wiadomo, że świeccy są wrogo usposobieni wobec księży”. Problem z klerem polegał na tym, że jego członków było zbyt wielu i większość z nich znajdowała się w niewłaściwych miejscach. Pod koniec XIII wieku trzem milionom Anglików służyło 50 tysięcy duchownych. Niemal połowa z nich żyła w około 780 domach zakonnych, nie pełniąc żadnych funkcji społecznych. Istniało bez mała dziewięć tysięcy parafii, ale były rozmieszczone bardzo nierówno. Zbyt wiele skupiało się w miastach – ponad sto w samym Londynie; spośród pozostałych znaczna część leżała w południowo-wschodniej Anglii. Księża nie chcieli pracować w dzikich i ubogich regionach na północy i zachodzie. Dzięki temu łatwiej można zrozumieć różnice regionalne w stosunku do Kościoła. W południowo-wschodniej Anglii nastroje antyklerykalne były silniejsze i częstsze, gdyż ludzie na co dzień stykali się tu z rojnym, leniwym i zachłannym tłumem sług Kościoła; na północy i na zachodzie wrogość wobec Rzymu zawsze była mniejsza, ponieważ kler był tam mniej widoczny i w wielu przypadkach, ze względu na swą niską liczebność, zmuszony pracować naprawdę ciężko.

Przed wszystkim jednak Kościołowi brakowało jakiegokolwiek poczucia misji religijnej. Jego najlepsze umysły, od papieża począwszy, koncentrowały się głównie na utrzymaniu i rozszerzaniu kościelnych przywilejów i jurysdykcji, aż do całkowitego zapomnienia o celach duchowych; średniowieczny Kościół cierpiał na rujnąjącą chorobę legalizmu. Ludzie pokroju biskupa Grosseteste, pobożnego i nieustraszonego pasterza diecezji Lincoln w XIII wieku, należeli do rzadkich wyjątków. Grosseteste nie bez racji twierdził, że ludzie Kościoła

nie powinni przyjmować urzędów świeckich, tylko poświęcić się pracy duszpasterskiej i podnoszeniu moralnego poziomu swych trzód. Jego ostrzeżenia trafiały jednak w próżnię; z punktu widzenia Korony zatrudnianie ludzi Kościoła było tańsze – można im było płacić za usługi beneficjami, a nie w żywej monecie ze skarbcza. Co prawda, trudniej ich było ukarać w przypadku korupcji, jednak w sumie państwo uznawało zatrudnianie kleru za mniejsze z dwu nieszczęść. W rezultacie przeważająca większość biskupów otrzymywała nominację z powodów świeckich. Wielu z nich nigdy nie wykonywało obowiązków duszpasterskich, a nawet nie odwiedzało swych diecezji. Papieże także nie mogli zbyt gorliwie nawoływać do spełniania misji pastoralnej, ponieważ sami korzystali z owoców absentyzmu i pluralizmu. Nic więc dziwnego, że przy braku większej presji ze strony papieża i niewielkim nadzorem ze strony biskupów, gdy na wszystkich szczeblach hierarchii – zwłaszcza na najbogatszych (i najważniejszych) pozycjach – szerzył się absentyzm, szeregowy kler był zanarchizowany i rozwiązły. Większość miała żony lub kochanki oraz dzieci na utrzymaniu. Nieliczni potrafili wypełniać swe religijne obowiązki. Wielu nie potrafiło czytać i pisać, i to nie tylko na najniższym szczeblu; Czarny Książę, na przykład, zdołał osadzić swego przyjaciela analfabetę na biskupstwie Lincoln. Kościół nie orientował się, co się dzieje w parafiach; nawet nie wiedział, ile ich jest. W roku 1371 sądzono, że w Anglii jest czterdzieści tysięcy parafii, kontrola (dla celów podatkowych, nie religijnych) wykazała, że jest ich niecałe dziewięć tysięcy. Nie da się ukryć, że kler był ówczesnie rozmieszczony tak, jak dziś lekarze w krajach Trzeciego Świata: nie w zależności od potrzeb, ale wedle możliwości czerpania finansowych korzyści.

Co więcej, połowa z nich – mnisi objęci regułą zakonną – nie spełniała w ogóle żadnych wyraźnych funkcji publicznych. W „ciemnych wiekach” klasztory odgrywały ważną rolę ekonomiczną i społeczną, jak również kulturotwórczą: nadawały ton procesowi technologicznych przemian w rolnictwie. Jeszcze w początkach XIV wieku mnisi byli nader aktywnymi i zwykle bardzo skutecznymi rolnikami. Jednak załamanie się systemu manorialnego i rozwój praktyki dzierżawienia ziemi przekształciły ich w klasę rentierów, nie odgrywających żadnej roli społecznej poza znaczną konsumpcją i żyjących z pracy innych. W drugiej połowie XIV wieku pojawiają się w Parlamencie i poza nim pierwsze postulaty – często formułowane przez ciężko pracujących księży parafialnych – generalnej konfiskaty majątków kościelnych, zwłaszcza klasztornych. W roku 1385 niektórzy członkowie Izby Gmin pragnęli przejęcia całego doczesnego majątku Kościoła i jak echo odpowiadał im Langland w *Piotrze Oraczu*: „Weźcie ich ziemie, o panowie, i niech żyją z dziesięcin”.

Wyżsi dostojnicy kościelni w istocie ułatwiali wręcz zadanie zwolennikom konfiskat. Niektóre klasztory stanowiły filie zagranicznych domów macierzystych i wszystkie zyski odprowadzały za granicę. Angielska hierarchia nie pro-

testowała więc, gdy Edward I w roku 1295 pod wpływem ksenofobii wywołanej wojną z Francją po raz pierwszy zajął mienie zagranicznych klasztorów. Podobnie postąpił jego syn w roku 1324 oraz jego wnuk w latach 1337–1360 i ponownie w 1369. Zagraniczna własność religijna została w ten sposób całkowicie wchłonięta przez państwo. Izba Gmin domagała się wyrzucenia mnichów-obcokrajowców z Anglii, uważając ich za szpiegów; w sumie ocalało tylko kilka zgromadzeń, które wykupiły akt naturalizacji. Kościół angielski dostał swój udział w łupach, podobnie jak papież. Zresztą papieństwo nie mogło protestować, zważywszy na złowrogi precedens w postaci zniszczenia zakonu templariuszy, co bystro zauważył Langland:

Przez chciwość tego krzyża, ludzie świętego kościoła
Skończą jak templariusze, czas nadchodzi prędko.

Świadome odwołanie się do metod zastosowanych przeciw templariuszom – wymuszane przez tortury wyznania ohydy moralnej, aby usprawiedliwić grabież ich majątku – słyhać w uchwale Parlamentu z 1536 roku, dotyczącej przejścia mienia pomniejszych klasztorów:

Jako że jawne, niegodziwe, rozpustne i odrażające życie co dzień stają się udziałem żyjących w małych i niewielkich klasztorach [...] i jako że zarządcy tych religijnych zgromadzeń znieprawiają w ten sposób, niszczą, pochłaniają i w najwyższym stopniu marnują [...] ściągając na siebie gniew Boga Wszechmogącego, spotwarzając prawdziwą religię oraz godząc w dobre imię Króla Jego Wysokości i całego królestwa...

Kościół rzeczywiście w pewnej mierze stał się architektem swojego upadku. Potężni prałaci nigdy nie wahali się przed wykorzystywaniem majątku Kościoła do własnych celów, a nawet grabieżą, przy zachowaniu bładych pozorów legalizmu. Kardynał Wolsey stał się tylko jednym z wielu, ostatnim w długim szeregu kościelnych konfiskatorów, gdy zlikwidował grupę małych klasztorów, aby ufundować swój Cardinal College (obecnie Christ Church) w Oksfordzie*.

* Kasatę aprobowali również tak zadeklarowani papiści, jak biskup Fisher z Rochester. Wykonawcą poleceń Wolsey'a był w tej sprawie Thomas Cromwell, który dzięki temu zyskał bliższy wgląd w warunki panujące w klasztorach oraz lepszą znajomość prawnych i społecznych aspektów rozwiązywania klasztorów niż ktokolwiek inny w królestwie. Zakonnikom zarzucano nie tyle zepsucie moralne (choć niektórzy byli zepsuci), co przede wszystkim gnuśność i bezczynność; około ośmiu tysięcy kobiet i mężczyzn posiadało jedną ósmą bogactwa kraju. Średnia dla trzystu pięćdziesięciu siedmiu mniejszych klasztorów wynosiła mniej niż czterech zakonników. Klasztor Butley w Suffolk miał tylko dwunastu kanoników, zatrudniał jednak dwóch kapelanów, jedenastu kamerdynerów, fryzjera, trzech kucharzy, rzeźnika, kościelnego, bednarza, trzech piekarzy i piwowarów, dwóch stajennych, dwóch słodowników, tragarza, ogrodnika, sześć praczek, nadzorcę i trzydziestu sześciu robotników rolnych.

W rozwiązywaniu klasztorów nie było więc niczego nowego – zaledwie kulminacja długiej angielskiej tradycji zapoczątkowanej za zgodą papieża. Kościół pożerał sam siebie i był rozdarty przez gwałtowne animozje. Arcybiskup Canterbury, na przykład, nazywał cystersów „najgorszymi sąsiadami z możliwych” z powodu ich chciwości i pieniactwa. Dominikanie nienawidzili się z kanonikami św. Augustyna, a wspólnie nienawidzili i obawiali się franciszkanów. Toczyły się nieustające procesy sądowe między zakonnikami a klerem świeckim, między diecezjami, które wzajemnie obkładały się ekskomuniką, oraz między biskupami a kapitułami. Pewna sprawa dotycząca dziesięciny z klasztoru w Lenton rozpoczęła się za panowania króla Jana i wciąż stanowiła przedmiot zażartego sporu w chwili rozwiązania klasztorów ponad trzysta lat później. Inną, dotyczącą praw dziekana i kapituły z Durham do zarządzania majątkiem biskupstwa w okresie wakatu, po raz pierwszy wniesiono w roku 1283 – przeżyła reformację i po raz ostatni rozpatrywano ją w roku 1939; wciąż pozostaje nie rozstrzygnięta, choć w uśpieniu. Kościół angielski w żadnym momencie swych dziejów nie był w stanie przeciwstawić krytykom jakiegoś jednolitego frontu i dlatego właśnie zaledwie garstka księży stawiała opór henrykowskiej reformacji i elżbietańskiemu kompromisowi. Kler angielski niemal zawsze stawał po stronie władz, nawet gdy szło o prześladowania współbraci. Jedyne wypadki w całych dziejach angielskiego katolicyzmu, gdy większość biskupów zwróciła się przeciw państwu, to kres ostrego kryzysu podczas panowania Jana – a i wtedy tylko na krótko – oraz w pierwszych latach panowania Elżbiety; jednak w drugim przypadku chodziło o biskupów uprzednio bardzo starannie dobranych przez Marię ze względu na ultramontańskie poglądy. Henryk VIII musiał stracić tylko jednego biskupa, Fishera z Rochester, który gwałtownie sprzeciwiał się wszelkiej reformie (zażarcie bronił pluralizmu i księży absentystów) i który z całą pewnością był winny zdrady w roku 1533, gdy zaprosił cesarza do inwazji na Anglię. Natomiast szeregowy kler zwykle po prostu podporządkowywał się wprowadzanym zmianom. Mniej niż 1% zakonników czynnie sprzeciwiło się Henrykowi, gdy zajmował ich majątki; mniej niż 0,5% księży odrzuciło elżbietański kompromis. Być może w czasach reformacji Kościół wojujący nie był jeszcze martwy, ale z pewnością stawiał bardzo słaby opór.

Oczywiście, Kościół angielski był przyzwyczajony do świeckiej supremacji znacznie wcześniej, nim Henryk VIII nadał jej postać formalną. Kres papizmowi w Anglii położyły w istocie wojny z Francją w XIV wieku. Wydane przez Edwarda III statuty *Provisors* i *Praemunire* – traktujące w praktyce posłuszeństwo papieżowi, przeciwnikowi króla, jako zdradę – stanowiły naturalny wyraz angielskiej ksenofobii, potęgowanej przez nienawiść do Francuzów i rodzącą się świadomość narodową Anglików. Zwłaszcza statut *Praemunire* otwierał szerokie pole zastosowań, dając Koronie możliwość oskarżenia każdego, kto sprzeciwia się królowi w sprawach dotyczących religii. Jak zauważył pewien

papista na dworze Henryka VIII, tak naprawdę nikt tego statutu nie rozumiał, a oskarżony na jego podstawie nie mógł się skutecznie bronić, ponieważ statut w istocie znaczył to, czego król sobie zażyczył. A jednak wielu, może nawet większość, Anglików zgodziłoby się, że statut *Praemunire* w swych postanowieniach nie wybiegał poza tradycyjnie uznaną pozycję Korony w stosunkach z papieżem: należał do wielkiej tradycji ciągłości w dziejach Anglii. Takich samych uprawnień zażądał Wilhelm Zdobywca i je otrzymał. Konsekwencje dokonanego przez Jana bez Ziemi poddania królestwa zwierzchności papieża uznano natomiast za przejściową aberrację, a sam hołd – za akt nielegalny i *ultra vires*. Papieże nie mogli wiele zdziałać przeciw spoistości angielskiego państwa. Papież Marcin V w początkach XV wieku wyznał: „To nie papież, ale król Anglii włada Kościołem w swoich dominacjach”. W roku 1486 przewodniczący najwyższego królewskiego trybunału (King’s Bench) i biskup Londynu przytaczali w Parlamencie wiele precedensów na poparcie tezy, że „papież nie może legalnie działać na rzecz naruszenia praw Króla i jego Korony”. Kilku papieży usiłowało namówić monarchów angielskich do zniesienia *Praemunire*, ale zostali odprawieni z kwitkiem. Kontakty indywidualnych księży z Rzymem podlegały dokładnej i bezwzględnej kontroli. W teorii często ustępowano wobec uprawnień papieży, by zaprzeczać im w praktyce. Typowym przykładem była procedura nominacji biskupów. W roku 1446 umożliwiono, na przykład, papieżowi mianowanie nowego biskupa Norwich, jednak zanim pozwolono biskupowi objąć diecezję, musiał formalnie wyrzec się wszystkich postanowień zawartych w powołującej go bulli. Angielscy biskupi i opaci podróżujący do Rzymu musieli przed wyjazdem złożyć obietnicę, że nie będą czynić żadnych kroków prawnych na niekorzyść króla, praw Korony lub praw jej poddanych. Papiescy wysłannicy musieli liczyć się w Anglii z groźbą aresztowania; sporządzono nawet wzór pozwu na taką okoliczność. Nastawienie Anglików wobec Rzymu było powszechnie znane. W roku 1468 poseł księcia Mediolanu narzekał: „Z rana Anglicy są pobożni jak anioły, a po obiedzie robią się jak diabły i patrzą tylko, jak wrzucić papieskiego wysłannika do morza”.

Anglicy rzeczywiście potrafili z niezwykłym talentem łączyć doktrynalną ortodoksję z wściekłym antyklerykalizmem, choć równocześnie potrafili faworyzować herezję, jeśli uważali, że tak będzie dla nich korzystniej. Generalnie ortodoksyjny król, który aktywnie interesował się sprawami religii, stanowił najgroźniejszego przeciwnika, z jakim mógł spotkać się papież. Żaden angielski monarcha nie traktował papieskich pretensji równie ostro jak Henryk V. Jednakże Henryk był pobożnym, pryncypialnym i fanatycznym katolikiem. Osobiście nadzorował palenie heretyków; raz kazał nawet wyjąć z płomieni półżywego kowala, zwolennika lollardyizmu, i zaczął go namawiać do wyparcia się herezji, a gdy ten odmówił, kazał go z powrotem rzucić w ogień. Wyrażnie też uważał się za urzędującą głowę Kościoła w Anglii, osobiście bowiem

przeprowadzał inspekcje klasztorów, przepytował mnichów, naprawiał i karał wykroczenia oraz ustalał reguły postępowania. Z punktu widzenia papieża był to jednak złowrogi precedens, bezpośrednia zapowiedź wydarzeń z roku 1536. Henryka V uważano za prawdziwego syna Kościoła, gdyż nigdy nie rozmawiał podczas mszy i kazał kastrować mnichów za utrzymywanie stosunków seksualnych. Ale właśnie ta gorliwość religijna sprawiała, że stawał się zagrożeniem dla Rzymu. Zresztą Rzym sam był sobie winien. Pretensje papieża do odgrywania roli namiestnika Chrystusa na ziemi prowadziły do analogicznego wyniesienia pozycji monarchy; boska władza monarchy stanowiła świecki odpowiednik kościelnego samouwielbienia. Przy tym król dysponował realną siłą militarną, podczas gdy papież miał jedynie do dyspozycji groźby i klątwy. Henryk V był przekonany, że wykonuje bezpośrednie rozkazy Opatrzności; to Bóg wygrywał jego bitwy i to Bóg nakazał mu wspierać ortodoksję i wykorzeniec nieprawości. Pewnego dnia mógł nakazać mu wykorzeniec nieprawości u źródła, w Rzymie. W XV stuleciu coraz powszechniej panowało wśród ludzi zasad przekonanie, że Kościół potrzebuje reformy. Zwoływano rady ekumeniczne; najlepsi kaznodzieje nawoływali do odnowy. Jednak papieństwo nie było w stanie zreformować się własnymi siłami. Po stuleciu dyskusji o reformie na jego czele znalazł się papież z rodu Borgiów, człowiek pokroju Aleksandra VI, a mnich-reformator Savonarola spłonął na stosie. Papieństwo nie brało religii poważnie aż do lat pięćdziesiątych XVI wieku, a wtedy było już za późno.

Jednak w dłuższej perspektywie dziejowej być może korzystniej złożyło się dla papieża, że angielska reformacja przyszła później. Henryk V byłby znacznie groźniejszym przeciwnikiem niż Henryk VIII. Nie miał dla papieństwa szacunku za grosz; gdy biskup Beaufort, najbogatszy człowiek w królestwie, chciał dostać kapelusz kardynalski bez zezwolenia króla, Henryk natychmiast zagroził mu śmiercią i ukarał gigantyczną grzywną w wysokości 26 tysięcy funtów. Gdyby Henryk V żył kilka miesięcy dłużej, zostałby królem Francji i tyranem na skalę europejską. Był jedynym królem Anglii, który potrafił zarówno zdobyć i utrzymać nowe prowincje, jak i wygrywać zwykłe bitwy. Dość prawdopodobne, że gdyby ten niezwykle gorliwy, nawiedzony przez Boga człowiek dożył wieku średniego, pokierowałby reformacją zupełnie innego rodzaju i stworzył nowy Kościół – wszystko w imię ortodoksji – na europejską skalę i o cesaropapistowskim charakterze. W takim Kościele papież byłby jedynie funkcjonariuszem podległym władzy świeckiej – program Hildebranda *à rebours*.

Jak dalece Anglicy byliby zadowoleni z takiego obrotu spraw, trudno powiedzieć. Większość z nich, w tej mierze, w jakiej w ogóle interesowali się religią, była anglikanami – tak jak zawsze. Chcieli angielskiego Kościoła, kierowanego przez Anglików. Nie mieli nic przeciwko więziom z Rzymem, wszelako pod warunkiem, że papież nie będzie się wtrącał, zwłaszcza w sprawy nominacji biskupich i finansów. Uważali, że w kraju jest zbyt wielu gnuśnych,

rozwiązanych i przestępczych klerków, i zdecydowanie nie godzili się na fakt, że niektórzy z nich byli cudzoziemcami. Ściśle biorąc, cudzoziemcy byli niewinni; ich liczba znacznie spadła w wyniku działania statutu *Provisors*, natomiast liczba przestępstw popełnianych przez kler ciągle rosła. W roku 1515 biskup Londynu uskarżał się Wolseyowi, że dowolna ława dwunastu przysięgłych w Londynie jest gotowa uznać za winnego każdego księdza, „choćby był tak niewinny jak sam Abel”; biskup mówił z przejęciem, jako że jego kanclerz został właśnie oskarżony o zabójstwo krawca*. Londyńscy przysięgli nienawidzili kleru nawet bardziej niż Walijczyków. Nie powinniśmy jednak mieszać antyklerykalizmu z masowym ruchem skierowanym przeciwko ortodoksji. Liczba księży rosła aż do momentu zerwania z Rzymem. Jak wiemy ze zjadliwego opisu Erazma, który około roku 1512 wraz z przyjacielem (prawdopodobnie dziekanem Colet) odwiedził Canterbury, przybytek św. Tomasza w przededniu reformacji wciąż prowadził świetne interesy, także na skalę międzynarodową. Wyciągał 8 tysięcy rocznie (połowa kosztów utrzymania garnizonu w Calais), większość w obcej walucie.

Z drugiej strony istniał w Anglii, i to już od dwu stuleci, pewien znaczący ruch mniejszościowy, aktywnie działający na rzecz radykalnych reform doktryny i organizacji Kościoła. Jego członkowie reprezentowali nurt heterodoksji, który korzeniami sięgał aż do najwcześniejszego okresu chrześcijaństwa na wyspie. Znamienne, że William Ockham, czternastowieczny filozof, który przypuścił frontalny atak na dominującą postać ortodoksji szkół scholastycznych, był oskarżany właśnie o pelagianizm i rzeczywiście podzielał indywidualistyczną koncepcję istnienia wolnej woli, zainicjowaną, jak pamiętamy, w początkach V wieku przez Brytyjczyka Pelagiusza. Tak czy inaczej, nauki Ockhama bezpośrednio zainspirowały Wiklefa, piszącego i nauczającego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIV wieku, a w pracach Wiklefa znajdujemy już niemal kompletny program przyszłej reformacji: kwestię konsubstancjacji, Biblię w języku angielskim i użycie języka narodowego zamiast łaciny, krytykę idolatrii, ideę królewskiej supremacji, zerwanie z Rzymem i konfiskatę własności kościelnej. Wiklef nienawidził biskupów lojalnych wobec Rzymu, oni

* Krawiec nazywał się Richard Hunne. Odmówił, odwołując się do swych przekonań, uiszczenia należności po pogrzebie dziecka, za co został postawiony przed sądem biskupim w Londynie i skazany na ich zapłacenie. Odpowiedział wnosząc pozew na podstawie *Praemunire*, na co biskup Fitzjames, znany reakcjonista, oskarżył go o herezję i skazał na wtrącenie do wieży lollardów w katedrze Św. Pawła. Dwa dni później okazało się, że krawiec nie żyje, a londyńska ława przysięgłych uznała kanclerza biskupa, dr. Horseya, za winnego zabójstwa z premedytacją. Horsey był niemal na pewno winny, ale biskup zignorował werdykt, ogłosił, że Hunne był heretykiem, kazał spalić jego ciało na Smithfield oraz skonfiskować posiadany przezeń majątek, wpędzając w nędzę jego żonę i całą rodzinę. Sprawa wywołała wściekłość londyńczyków i była jedną z przyczyn tak znacznej popularności reformacji w stolicy. Por. A. Ogle, *The Tragedy of the Lollard's Tower*, Oxford 1949.

odpłacali mu tym samym. Uznawany za największego angielskiego uczonego swojej doby, miał za sobą zdecydowane poparcie uniwersytetu w Oksfordzie, który ugiął się dopiero pod presją brutalnych posunięć hierarchii. Nauki Wiklefa silnie przemawiały do antyklerykalnych przekonań Izby Gmin, a także do niektórych bardzo wpływowych, nawet jeśli nielicznych, przedstawicieli klasy rządzącej. Jednak gdy bunt chłopski zasiał panikę w szeregach klas posiadających, organy państwa zostały skierowane przeciwko ruchowi zwolenników Wiklefa. W roku 1401 Parlament uchwalił statut *De Haeretico Comburendo* (O całopaleniu heretyków), upoważniający władze świeckie do realizacji decyzji sądów kościelnych skazujących heretyków na śmierć przez spalenie na stosie. Do czasu reformacji stracono na jego mocy około stu lollardów, kilku jeszcze za panowania Henryka VIII. Ruch lollardów został jednak jedynie zepchnięty do podziemia i nadal cieszył się zarówno znacznym poparciem ludu, jak i wsparciem poszczególnych przedstawicieli ziemiaństwa (*gentry*); jako ruch wyraźnej mniejszości przetrwał aż do lat dwudziestych XVI wieku i stopił się z luteranizmem*. Toteż gdy nadeszło zerwanie z Rzymem, Anglicy mogli w poszukiwaniu argumentów doktrynalnych odwołać się do pewnej własnej, bardzo starej tradycji, do której otwarcie przyznawała się tylko nieznaczną część społeczeństwa. Jedną z przyczyn sukcesu reformacji w Anglii był fakt, że nie wносиła absolutnie nic nowego. Jej wszystkie składniki – antyklerykalizm, antypapizm, wywyższenie Korony w kwestiach religijnych, powszechna zawiść, jaką budziły bogactwa Kościoła, a nawet pragnienie reformy doktrynalnej – były głęboko zakorzenione w angielskiej przeszłości.

Do zerwania z Rzymem, podobnie jak do wybuchu I wojny światowej, mogło dojść dosłownie w każdym momencie. Wszystkie niezbędne czynniki istniały już od dziesięcioleci; brakowało tylko iskry. Pojawiły się złowrogie oznaki, że angielska ksenofobia znów osiągnęła punkt wrzenia. 1 maja (*May Day*) 1517 roku londyński tłum dokonał pogromu obcokrajowców, dwa lata później usunięto z dworu niektórych młodszych przyjaciół Henryka VIII pod zarzutem, że mają „francuskie manieri”. Od chwili gdy Henryk zdecydował się rozwieść z Katarzyną Aragońską, stało się jasne, że jeśli papież nie postąpi po jego myśli, dojdzie do zerwania z Rzymem. Wolsey zdawał sobie z tego sprawę od samego początku i raz po raz ostrzegał papieża Klemensa VII, że od tego rozvodu zależy przyszłość papieżstwa w Anglii. A jednak, co ciekawe, w tej jedynej sprawie Henryk nie miał za sobą poparcia opinii publicznej. To dość dziwne, ale wszyscy królowie Anglii, którzy kłócili się z żonami, zawsze tracili sympatię ogółu Anglików. Nie było żadnego powodu, by Katarzyna cieszyła

* Ruch lollardów był popularny zwłaszcza wśród tkaczy, sukienników, kołodziejów, kowali, cieśli, szewców i krawców. Por. A. G. Dickens, *Heresy and the Origins of English Protestantism*, [w:] *Britain and the Netherlands II*, Groningen 1964.

się popularnością, a jednak była popularna. Także obie izby Parlamentu nie popierały rozvodu, a tym bardziej ewentualnego wyniesienia przez królewskie małżeństwo rodu Boleynów. Przeprowadzając prawną procedurę reformacji w Parlamencie, Thomas Cromwell zawsze pieczołowicie starał się odwrócić uwagę od osobistych aspektów sprawy w stronę bardziej bezpiecznych kwestii nadużyć i przestępstw kleru.

A jednak Henryk bez wątpienia miał prawo ubiegać się o rozwód. Najnowsze dzieje Anglii nie pozostawiały wątpliwości, że posiadanie męskiego potomka, obdarzonego powszechnym poparciem dla swoich praw do tronu, było kwestią o kluczowym znaczeniu dla stabilności władzy, a tym samym stanowiło konieczność wymaganą przez rację stanu. Nie można było dopuścić do tego, aby tak żywotny interes narodowy zależał od poczynań obcej siły – papieństwa, kierującego się przede wszystkim wymogami własnej polityki zagranicznej, a nie względami natury religijnej. Każdy król Anglii, ufny we własne siły, przyjąłby podobną linię postępowania. Co więcej, Henryk wierzył i mógł mieć po temu podstawy, że jego małżeństwo z Katarzyną od początku było zasadniczo nieważne. Z prawnego punktu widzenia doszło więc do obrazy moralności publicznej, jak zauważył Wolsey; niestety, Henryk zignorował ten punkt i oparł swoją sprawę rozwodową na bardziej złożonym i intelektualnie fascynującym argumentacie zbyt bliskiego pokrewieństwa, w której to kwestii zgodna opinia europejskich znawców prawa kanonicznego była przeciwko niemu*. Kłopot z Henrykiem polegał jednak na tym, że był bystrym i niezbyt głębokim pseudouczonym, skłonnym do nagłych wybuchów entuzjazmu: podjął krucjatę, zostać wybranym na cesarza, zrobić z Wolseya papieża, zostać autorem. Teraz z ca-

* Katarzyna była wcześniej żoną Artura, zmarłego starszego brata Henryka, toteż aby Henryk mógł się z nią ożenić, niezbędna była dyspensa papieska, usuwająca przeszkodę kanoniczną zbyt bliskiego pokrewieństwa. Henryk stwierdził później, że tamta bulla nie miała mocy prawnej, gdyż papież, wydając ją, przekroczył swoje kompetencje. W roku 1527 Katarzyna, starając się bronić ważności swego małżeństwa z Henrykiem, oświadczyła, że nigdy nie spała z Arturem. Powinna była jednak powiedzieć to w roku 1503, a wtedy bulla zostałaby wydana na innej podstawie. Stąd *impedimentum publicae honestatis*, jak zauważył Wolsey. Wysuwany przez Henryka argument zbyt bliskiego pokrewieństwa nigdy nie był zbyt mocny; później Henryk sam jeszcze go osłabił, proponując małżeństwo Annie Boleyn, z której siostrą, jak sam przyznał, utrzymywał stosunki seksualne – sytuacja także wykluczająca związek małżeński z racji zbyt bliskiego pokrewieństwa; jeśli zatem małżeństwo z Katarzyną było nieważne, to z tego samego względu nieważne byłoby jego planowane małżeństwo z Anną. Wątpliwe jednak, czy wygrałby sprawę, przyjmując linię zaproponowaną przez Wolseya. Klemens nie mógł udzielić Henrykowi rozvodu, ponieważ nie mógł ryzykować gniewu bratanka Katarzyny, cesarza Karola V. W roku 1530 zaproponował nawet, żeby Henryk, pozostając mężem Katarzyny, poślubił Annę – popełniając tym samym bigamię. Wnikliwą analizę prawa kanonicznego dotyczącego rozwodów można znaleźć w pracy: J. J. Scarisbrick, *Henry VIII*, 1968, rozdz. VII.

łym zapałem rozpoczął karierę zawodowego teologa, jednakże brakowało mu intelektualnych kompetencji, by skutecznie zmierzyć się z problemem*.

Na szczęście uratowała go lekkomyślność i dwulicowość papieża. Klemens najwyraźniej nie potraktował zerwania poważnie, a w każdym razie nie sądził, aby mogło potrwać dłużej. W szczytowym momencie dysputy rozwodowej napisał do Henryka list z prośbą o pomoc dla swego przyjaciela, który zamierzał odwiedzić kilka angielskich bibliotek; zupełnie jakby nie rozumiał, że Henryk – a w istocie wszyscy Anglicy – gra na serio. (W roku 1536, po ścięciu Anny, następcą Klemensa uznał, że rachunki są wyrównane i wszyscy mogą się pogodzić; zupełnie jakby fakt dokonania reformacji w Anglii umknął jego uwadze.) Przede wszystkim jednak Klemens postępował nieuczciwie w trakcie samego rozpatrywania sprawy i dopiero to popchnęło angielską klasę rządzącą, pierwotnie przeciwną idei królewskiego rozwodu, do opowiedzenia się za Henrykiem. Ważką rolę odegrał tu epizod w Londynie, gdzie kardynał Campeggio, legat, działając na podstawie tajnych instrukcji papieża, odroczył sąd kościelny zwołany w celu rozpatrzenia rozwodu z Katarzyną. W tej sytuacji już nawet niezbyt skory do myślenia książę Suffolk nie mógł mieć wątpliwości, że Klemens prowadzi podwójną grę. Książę walnął pięścią w stół i oświadczył: „Na Boga, teraz widzę, iż rację ma stare powiedzenie, że nigdy nie było legata ani kardynała, który by zrobił coś dobrego dla Anglii”. Świadomie odwoływał się do słów wypowiedzianych przez Henryka II podczas kryzysu związanego z osobą Becketa trzysta siedemdziesiąt lat wcześniej: „Mam nadzieję, że moje oczy już nigdy nie ujrzą żadnego kardynała”.

Większość Anglików rozumiała międzynarodowe implikacje reformacji nie lepiej niż książę Suffolk, choć podobnie jak on, instynktownie wyczuwała ich znaczenie. Natomiast dwaj najbardziej przenikliwi ludzie w kraju, More i Cromwell, uchwycili je bez trudności. Wybór dokonany przez Henryka postrzegali nie tylko jako decyzję religijną, ale także jako historyczny wybór w polityce zagranicznej. Obaj byli reformatorami, obaj pragnęli duchowej odnowy Kościoła; we wszystkim innym różnili się całkowicie. More był Europejczykiem, Cromwell – angielskim nacionalistą; symbolizowali podział społeczeństwa na dwie grupy, przez Henryka określane jako „Anglicy-papiści” i „prawdziwi Anglicy”. More reprezentował pradawną mniejszościową tradycję partii imperialnej z roku 410, Gildasa z 550, Wilfreda z VII wieku, Becketa z XII i Stephena Langtona z XIII wieku. W jego oczach Anglia nie była wyspą, ale częścią wielkiej wspólnoty kontynentalnej; nie mogła sama oderwać się i odłączyć w jednostronnym akcie wyboru. Była związana z europejskim chrześcijań-

* Bardziej przychylną ocenę możliwości Henryka wraz ze szczegółową analizą jego metod sprawowania władzy, opartą na bogatych odniesieniach do materiałów źródłowych, można znaleźć w: Lacey Baldwin Smith, *Henry VIII, the Mask of Royalty*, London 1971.

stwem nierozzerwalnym traktatem natury duchowej, który można było próbować reformować, zmieniać od środka, ale którego nie można było pogwałcić, nie obrażając Boga. Nie miało dla niego znaczenia, że większość Anglików, a nawet większość duchownych angielskiego Kościoła, akceptowała separację; takich rzeczy pojedynczy naród nie mógł dokonywać samowolnie. Nadprzyrodzony autorytet wspólnoty ważył więcej niż egoistyczny interes narodu. Jak powiedział swemu sędziemu w Westminster Hall:

Nie jestem zobowiązany, mój Panie, podporządkować mego sumienia Radzie jednego królestwa przeciw Generalnej Radzie Chrześcijaństwa. Albowiem przeciw każdemu z waszych biskupów mam za sobą ponad stu świętych biskupów wymienionej Rady, a przeciw jednej Radzie waszego Parlamentu (Bóg wie, jak bardzo jednej) mam wszystkie Rady, jakie się zbierały przez minionych tysiąc lat. A przeciw temu jednemu królestwu mam wszystkie pozostałe chrześcijańskie królestwa.

More w istocie *explicite* przeczył suwerenności Anglii:

To królestwo, będąc zaledwie jedną, i to niewielką częścią Kościoła, nie może ustanawiać swych partykularnych praw w niezgodzie z ogólnym prawem świętego Chrystusowego Kościoła katolickiego, podobnie jak miasto Londyn, będące zaledwie jednym ubogim członkiem całego królestwa, nie mogłoby ustanawiać praw sprzecznych z aktami Parlamentu.

Można zatem przedstawiać More'a jako zwiastuna współczesnej doktryny internacjonalizmu, zgodnie z którą narody dobrowolnie pozbywają się części swej suwerenności, aby stworzyć kapitał międzynarodowego autorytetu takich organizacji, jak Narody Zjednoczone czy Wspólnota Europejska. Jednak równie dobrze można widzieć w nim jedynie stronnika dawnej, rozpadającej się struktury politycznej, której realia nigdy nie odpowiadały głoszonym ideałom i która właśnie załamywała się pod ciosami nacjonalizmu: Kościoła katolickiego w roli częściowego spadkobiercy imperium rzymskiego. Nurt dziejów biegł przeciw myśli More'a. Jego europejskie chrześcijaństwo było mirażem. Kontynentalny katolicyzm nie stanowił bynajmniej międzynarodowej wspólnoty, działającej na zasadach konsensu i demokratycznej większości głosów, ale bezbronny łup w walce o władzę między rodzącymi się nacjonalizmami. W roku 1534 ortodoksyjne chrześcijaństwo sprowadzało się do interesów domu Habsburgów, którego głową był król Hiszpanii, znacząco więc tyle co hiszpański imperializm. Gdy w tym samym roku papież ostatecznie ogłosił swą decyzję, utrzymując ważność małżeństwa Katarzyny, rzymski tłum wrzeszczał w poczuciu triumfu: „Cesarstwo i Hiszpania!”

Cromwell widział to wszystko aż nadto dobrze. Brakowało mu wprawdzie akademickiego wykształcenia More'a, ale za to o niebo lepiej rozumiał, co się

dzieje w Europie. Jak powiedział arcybiskupowi Cranmerowi, był „hultajem za młodu” i przetań się nieźle po świecie. Prawdopodobnie walczył w armii francuskiej pod Garigliano w roku 1503; był bankierem we Florencji i Wenecji oraz doradcą handlowym w Antwerpii. Prowadził negocjacje z władcami i papieżami. Znał Europę od podszewki i wiedział, że nie jest światem chrześcijańskiej jedności, ale Machiavellego. W roku 1523 jako młody członek Parlamentu wygłosił bardzo znamiennej mowę, ostro krytykując politykę zagraniczną na kontynencie prowadzoną przez Wolseya i króla. To angażowanie się w sprawy Europy – mówił – jest błędem i może okazać się rujnujące; Anglia powinna oglądać się na swój własny narodowy interes i przede wszystkim dbać o jedność Wysp Brytyjskich. Cromwell nigdy, ani na jotę, nie zmienił swych poglądów. Na pierwszym miejscu jest Anglia. Jej Kościół musi odzwierciedlać jej potrzeby, a nie jakiegoś kontynentalnego despoty. Król zasiadający w Parlamencie jest najwyższym i ostatecznym arbitrem przeznaczeń narodu. Nie może być mowy o żadnym ograniczaniu suwerenności kraju. Jak to ujął w projekcie jednego ze statutów: „To królestwo jest cesarstwem” – innymi słowy, nie uznaje nad sobą niczyjej zwierzchności prócz Boga. Nie przypadkiem Henryk kazał przetrząsnąć archiwa w poszukiwaniu dowodów świadczących o tym, że król Artur był cesarzem i wypowiedział wierność Rzymowi. Cromwell, podobnie jak More, wpisywał się w wielką angielską tradycję, tyle że tę, która miała za sobą większość. Jednakże dla przeciętnych Anglików sytuacja wcale nie rysowała się tak jasno. Czuli jedynie w kościach, jak księżę Suffolk, że zagraniczni prałaci nie mają prawa ingerować w angielskie sprawy. Uderzenie tradycjonalistycznej pięści księcia na stół stanowiło więc prawdziwy początek angielskiej reformacji.

Reformacja była w istocie przejawem typowo angielskiego konserwatyizmu; stanowiła jakże znajomą mieszaninę zamętu, pokrętności, hipokryzji i racjonalizacji *ex post facto*. Henryk nigdy nie był całkiem pewny, czy rzeczywiście pragnie zmiany religii, choć są dowody świadczące o tym, że pod koniec życia zmierzał w tym kierunku; jest dość znamienne, że wykluczył biskupa Gardinera, czołowego zwolennika Rzymu, z powołanej przez siebie rady, która miała opiekować się młodym następcą tronu. Nie miał żadnego planu i posuwał się od jednego nadzwyczajnego kroku do następnego. Kiedy w roku 1530 rzucił całemu angielskiemu klerowi w twarz oskarżenie o łamanie statutu *Praemunire*, miał już w rękę wszystkie instrumenty niezbędne do kierowania Kościołem. Godząc się na podporządkowanie królowi wszystkich decyzji konwokacji kleru, Kościół *de facto* uznawał jego supremację. W tej sytuacji niektóre z późniejszych aktów, a zwłaszcza sam Akt supremacji z roku 1534*, były zbędne. Korona przejmowała własność klasztorów w dużej mierze na zasadzie improwizacji, a dalsze

* Chyba że przyjmiemy, iż Henryk po prostu dążył do zastraszenia przeciwników, wtrącając ich w podłą uległość za pomocą nowego prawa, które dawało mu możliwość skazywania ich na śmierć. Thomas More, na przykład, zrzekł się funkcji kanclerza w roku 1532 w proteście

dysonowanie tym majątkiem już w ogóle nie miało nic wspólnego z zasadami sprawiedliwości, poszanowania finansów publicznych, racji ekonomicznych czy elementarnego zdrowego rozsądku.

A równocześnie, patrząc z dzisiejszej perspektywy, możemy wyróżnić w tym pozornym zamieszaniu dwa istotne elementy długofalowej strategii politycznej. Otóż niewykluczone, że Cromwell, jeden z najzdolniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek służyli Koronie, działał o wiele bardziej rozważnie i systematycznie niż jego pan lub niż to się na pierwszy rzut oka wydawało. Cromwell był politykiem parlamentarnym i to za jego poradą reformacja została przeprowadzona za pośrednictwem Parlamentu: niezwykle drobiazgowo i starannie, z poszanowaniem reguł konstytucjonalizmu. Koronę wyposażono w potężny naddatek narzędzi prawnych do walki ze zwolennikami Rzymu, na dziś i na przyszłość. Czemuż bowiem król miałby się bez reszty oddawać w ręce Parlamentu, z pozoru bardziej, niż tego wymagały nakazy obowiązku? We wcześniejszej fazie panowania Henryka zdarzało się, że Izba Gmin potrafiła „zgasić” projekty rządowe (to znaczy je odrzucić); zawsze trzeba się jej było przyprochlebiać. Nie zawsze była jednomyślna: to z okresu panowania Henryka datuje się pierwszy znany przypadek formalnego podziału w Izbie. Odpowiedź, a raczej odpowiedź Cromwella, była niechybnie taka, że Parlament, jako depozytariusz antyklerykalizmu narodu, będzie najlepszym gwarantem trwałości zerwania z Rzymem. I tak też się stało. Od czasu Parlamentu Reformacyjnego monarcha (niezależnie od swoich osobistych poglądów) mógł podejmować decyzje w sprawach religijnych wyłącznie za pośrednictwem Parlamentu. Znamienne, że królowa Maria musiała zwrócić się właśnie do Parlamentu, żeby uzyskać zniesienie praw Henryka, i w niektórych kwestiach spotkała się z odmową. Maria nie mogła do końca cofnąć wskazówek zegara, nie niszcząc samego Parlamentu, co równałoby się wprowadzeniu tyranii monarchy. I choć Parlament przywrócił więzi z Rzymem, wszyscy doskonale rozumieli, że nietrudno będzie te decyzje odwrócić. Nawet tak fanatycznie katolicka królowa formalnie uznała więc suwerenność Parlamentu w sprawach religii – prymat jego postanowień wobec każdego prawa, naturalnego, kanonicznego, i w ogóle czegokolwiek, do czego mógł się odwołać papież. W tej sytuacji elżbietański kompromis religijny był już rzeczą prostą i oczywistą.

przeciw wymuszonemu podporządkowaniu się konwokacji kleru monarsze. Uchylając się od złożenia przysięgi wierności wobec następców Henryka (dzieci Anny), More był winny zaniedbania doniesienia o zdradzie, za co groziło mu uwięzienie na czas nieokreślony, wedle woli monarchy, ale nie kara śmierci. Aktowi supremacji towarzyszył natomiast nowy Akt o zdradzie (*Treason Act*) przewidujący karę śmierci za „złośliwą” odmowę uznania królewskiego tytułu [zwierzchnika Kościoła]. I właśnie na tej podstawie zostali skazani More oraz inni. More musiał czekać czterysta lat na kanonizację – skandaliczny przykład tego, jak Rzym traktuje angielskich świętych. Już w następnym stuleciu John Aubrey zauważył: „Wydaje mi się dziwne, że nie został jeszcze kanonizowany, gdyż bardzo zasłużył się Kościołowi”.

Prócz działań politycznych reformację wzmacniały także posunięcia gospodarcze, sprawiające, że wielu Anglikom osobiście zależało teraz na trwałości dokonanych przemian. Do końca panowania Henryka większość ziem klasztornych przeszła w ręce prywatne. Roczny dochód z tych ziem sięgał 200 tysięcy funtów w cenach z roku 1536; wpływy Korony ze sprzedaży wyniosły nie więcej niż półtora miliona. Gdyby Korona zatrzymała ziemie, przynoszone przez nie zyski już w roku 1547 przekroczyłyby cenę sprzedaży. Taka polityka nie miała więc żadnego ekonomicznego sensu. Jednak królewski rząd nie składał się z głupców. Musimy im oddać elementarną sprawiedliwość, przyjmując, że wiedzieli, co robią. Prawdopodobnie polityka sprzedaży ogromnych obszarów ziemi na bardzo nasyconym rynku była podyktowana względami politycznymi: chodziło o to, by angielskie klasy posiadające miały bezpośredni, finansowy interes w rozwiązaniu klasztorów. Po roku 1545 trudno było znaleźć wśród bogatych i wpływowych Anglików kogoś, kto nie odniósłby osobistych korzyści z reformacji.

Słuszność tej polityki wyszła na jaw, gdy Maria wzięła się do odkręcania dokonań ojca. Mimo prób manipulacji wyborczych, które miały zagwarantować powrót do Parlamentu „ludzi mądrych, poważnych, o katolickich przekonaniach” (czyli starszej generacji), Izba Gmin nie tylko bezwzględnie odmówiła oddania ziemi klasztorom, ale wręcz nalegała na wydanie statutu gwarantującego prawa własności obecnych posiadaczy. Nawet Maria miała nie całkiem czyste ręce. Oświadczyła, że odda ziemie znajdujące się jeszcze w posiadaniu Korony, lecz pozostawiała, na przykład, kwestia „Regale of France”. Ten ogromny i drogocenny klejnot, prawdopodobnie rubin, został ofiarowany sanktuarium św. Tomasza przez Ludwika VII, króla Francji. Jako prawdziwa ozdoba sanktuarium, po zniszczeniu grobowca został chciwie zagrabiony przez Henryka, który kazał zrobić z niego pierścień i nosił go na kciuku. Maria powinna więc teraz oddać klejnot. Tymczasem niczego takiego nie uczyniła, przeciwnie, poleciła umieścić go pośrodku brylantowej kolii, którą nieustannie nosiła publicznie, dzięki czemu cały świat mógł się przekonać, że nawet ona skorzystała na reformacji.

Tak się złożyło, że to właśnie poczynania Marii ostatecznie pogrzyżyły katolicyzm jako religię większości Anglików. Maria przejawiała bowiem wszystkie mordercze instynkty ojca i dziada*. Anglicy zdążyli się już zaznajomić z widokiem ludzi palonych na stosie za poglądy religijne; w ciągu dwudziestu pierw-

* Maria także fizycznie była podobna do ojca: miała jasne włosy. Miała w sobie tę charakterystyczną dla pewnego typu Angielek zawziętość w obronie cnoty, jaka dziś często dochodzi do głosu na konferencjach Partii Konserwatywnej, gdy mowa o wieszaniu albo karaniu chłosta. Odpowiedzialność za stopy spada głównie na nią, gdyż jej mąż Filip II był przeciwny tej polityce; podobnie jak jego ambasador w Londynie, Simon Reynard, który stwierdził, że przynajmniej należałoby zachować egzekucje w tajemnicy. Jednakże dla Anglików, w tym dla Marii, publiczne

szych lat reformacji zginęło w ten sposób około sześćdziesięciu osób. Część z nich stanowili katolicy, część protestanci. Anglicy nie byli zbyt fanatyczni w sprawach religii i traktowali egzekucję jako czysto zawodowe ryzyko fanatyków. Jednak skala prześladowań prowadzonych przez Marię wywołała powszechne wzburzenie. Czegoś takiego jeszcze w Anglii nie widziano – najwyraźniej czuło się posmak kontynentalnych ekscesów. W ciągu trzech lat Maria kazała spalić prawie trzysta osób, w tym sześćdziesiąt kobiet. Co więcej, te publiczne mordy koncentrowały się głównie w rejonach kształtujących opinię publiczną: dwie trzecie w Londynie i *Home Counties* [hrabstwa wokół Londynu], a tylko jedno na północy i jedno na południowy zachód od Salisbury. Wyroki miały też nieprzyjemne ostrze klasowe. Wśród świeckich męczenników nie znalazł się ani jeden człowiek wysokiego rodu. Maria okazywała nikczemną wyrozumiałość wobec dobrze urodzonych, nawet jeśli byli zdrajcami. Idea dwu praw i dwu sprawiedliwości: jednej dla bogatych, a drugiej dla biednych, znów miała w sobie coś z kontynentalnej tyranii i budziła głębokie oburzenie – nie tylko wśród niższych warstw społeczeństwa. Morderstwa osłabiły zapał nawet części najgorętszych zwolenników Marii w łonie Kościoła i już na długo przed jej śmiercią nikt nie miał wątpliwości, że prowadzona przez nią polityka nie tylko poniosła kompletne fiasko, ale przy tym poważnie zaszkodziła angielskiemu katolicyzmowi*. Prześladowania wywołały nienawiść, która na długo odcisnęła się w dziejach Anglii, potwierdzając w oczach większości Anglików, że wrogość wobec cudzoziemców i papieżstwa nie była jedynie uprzedzeniem, ale wyływała ze zdrowych instynktów samozachowawczych. *Book of Martyrs* („Księga męczenników”) Foxe’a ustępowała pod względem liczby sprzedanych egzemplarzy tylko Biblii; leżała w kościołach i w domach Anglików wszystkich stanów. Znał ją każdy umiejący czytać, a tym, którzy nie umieli, recytowano ją na głos. Stała się pierwszą historią Anglii, która dotarła do szerokich mas i dla wielu stanowiła kompendium całej wiedzy, jaką mieli o swoim kraju. Aż do początków panowania Marii w Anglii wciąż rysowała się perspektywa powstania zgodnej wspólnoty wielowyznaniowej. W chwili jej śmierci było to już niemożliwe.

Problem, przed jakim stanęła Elżbieta, wstępując na tron, sprowadzał się więc do pytania, jak położyć kres gwałtownym zmianom religii państwowej,

przeprowadzanie egzekucji stanowiło gwarancję wolności. Publicznych egzekucji broniono jeszcze w sześćdziesiątych latach XIX wieku (np. Palmerston), odwołując się do argumentu, że przyznanie władzom prawa do zabijania ludzi w tajemnicy otwierałoby wrota tyranii.

* Nawet biskup Bonner, arcyłotr w protestanckiej hagiografii, zbierał oficjalne ciągi za ospałość w karaniu heretyków. Łajany za surowość, gdy skazał starego człowieka na chłostę, odparł: „Gdybyś był w jego skórze, uznałbyś to za dogodne złagodzenie pokuty, mieć obity tyłek, ale uratować ciało od spalenia”. Niewykluczone, że prawdziwymi inspiratorami prześladowań byli hiszpańscy spowiednicy Marii. Zob. A. G. Dickens, *The English Reformation*, London 1967, rozdz. II.

ostudzić rosnącą gorączkę morderstw z powodów doktrynalnych i, jeśli to możliwe, oddzielić religię od polityki. Z przekonania była agnostyczką. Poglądy religijne powinny, jej zdaniem, być podporządkowane potrzebom ładu publicznego i społecznego *decorum*. Chętnie zgodziłaby się z opinią Johna Knoxa, a nawet przyjęłaby to jako komplement, że „nie była ani dobrą protestantką, ani też tym bardziej zdecydowaną papistką”. Zgadzała się także ze zdaniem księcia Norfolk, że „Anglia nie zniesie już więcej zmian religii. Naginała się tak często, że jeśli nagnie się ją ponownie, to się złamie”. W chwilach kryzysu i wahań Elżbieta modliła się bez wątpienia do bardzo rojalistycznego Bóstwa, ale poza tym przyjmowała pogląd, podzielany przez większość jej poddanych, że doktryna to nie jest coś, za co rozsądny człowiek mógłby zabijać lub dać się zabić. Nienawidziła kary śmierci, emocjonalnie i z racjonalnych pobudek. Wydawało jej się potworne, że można zabić człowieka tylko za jego przekonania. Podczas jej panowania skazano za herezję tylko cztery osoby; żadna z nich nie wyznawała katolicyzmu i wszystkie stracono wbrew woli królowej. Według Elżbiety ludzie powinni mieć nawet prawo wyrażania swoich poglądów – w zgodzie z rozumem. Jak to ujęła, zwracając się do Izby Gmin: „Niech Bóg uchowa, aby ktokolwiek, wypowiadając krótko swe opinie w tym zgromadzeniu, miał powściągać swój język albo obawiał się mówić wedle swego najlepszego uważania”. Jeśli chodzi o poglądy prywatne: „Nie pragnę wycinać okien w głąb ludzkich dusz”. Poszukiwała więc najszerzego wspólnego mianownika zgody w sprawach religijnych; rozsądnego porozumienia, które poparte ustawą i wspierane przez państwo, zyskałoby społeczną aprobatę. Nie miała natomiast zamiaru tolerować ludzi, którzy chcieliby zburzyć takie porozumienie siłą; uważała takie postępowanie za zdradę, ponieważ było skierowane przeciw wewnętrznemu spokojowi królestwa i z całą pewnością musiałyby prowadzić do rozlewu krwi.

Oznaczało to jednak, że Elżbieta będzie musiała się zwrócić, a czyniła to z największą niechęcią, najpierw przeciw katolikom, a potem przeciw protestantom. Nie chciała nikogo prześladować, jednak jedni i drudzy nie pozostawili jej w końcu innego wyboru. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy po wstąpieniu na tron wydała Akt uniformizmu i Akt supremacji (*Act of Uniformity, Act of Supremacy*); księża zostali zobowiązani do złożenia formalnej przysięgi, a nielicznych, którzy odmówili, pozbawiono jedynie beneficjów. Nie stracono wówczas żadnego katolika, podobnie jak w ciągu wielu lat następnych. Kłopot Elżbiety polegał wszakże na tym, że w chwili gdy zasiadła na tronie, papieństwo zaczęło już traktować religię poważnie, a co gorsza – poczyniło w tym celu pewne kroki. Jeszcze w roku 1541 kardynał Contarini namawiał do zbliżenia z heretykami, jednak w chwili śmierci, rok później, sam był już uważany za heretyka. Jego przeciwnik, kardynał Caraffa, ustanowił w roku 1542 w Rzymie inkwizycję, a w 1555 został papieżem jako Paweł IV. W istocie dokonał tego, o czym mówiono przez ubiegłych sto pięćdziesiąt lat: zreformował Kościół

rzymski, tyle że na bazie doktrynalnego fanatyzmu i bezwzględnego egzekwowania poleceń władzy centralnej. Wprowadził indeks ksiąg zakazanych, zmusił Żydów do noszenia żółtych nakryć głowy i mieszkania w gettach, zdusił ostatnie pozostałości włoskiego renesansu. W roku 1570 równie fanatyczny Pius V rozpoczął działania mające przywrócić Anglię przemocą na łono Kościoła powszechnego. Jednak w tym momencie była to już sprawa daremna. Trudno było się spodziewać, że większość Anglików, niezależnie od swoich przekonań religijnych, zamiast Elżbiety, cieszącej się reputacją rozważnej i cnotliwej władczyni oraz legitymującej mocnym tytułem do tronu w postaci dziedzictwa i poparcia Parlamentu, wolałaby Marię Stuart, królową szkocką, cudzoziemkę, podwójnie obciążoną swym szkocko-francuskim pochodzeniem, głośną cudzołożnicę, być może morderczynię, obdarzoną wyjątkowym talentem do wywoływania kłopotów, gdziekolwiek się tylko znalazła. Nie ma dowodów świadczących o tym, że katolicy jako grupa chcieli usunąć swą królową. Większość z nich nie dałaby za papieża złamanego grosza; nigdy zresztą nie było inaczej. To, na czym im zależało, to była msza i kilka innych duchowych udogodnień starej wiary. Podobnie jak prawdziwi protestanci, byli grupą mniejszościową i Elżbieta była gotowa dać im prawa należne mniejszości. Jednakże papieństwo, ekskomunikując Elżbietę oraz wydając angielskim katolikom polecenie, aby ją zdeponowali, napiętnowało ich brzemieniem zdrady. Karne ustawodawstwo Elżbiety było więc odpowiedzią na agresję papieża; odpowiedziała tak, jak przed nią Wilhelm Zdobywca i Henryk II. Spóźniona reforma w Rzymie zamiast pojednania przyniosła wojnę, która ostatecznie zniszczyła angielski katolicyzm. W tej sytuacji katolicy nie mogli się logicznie bronić, że wciąż służą królowej, nie wyrzekając się równocześnie papieża – stawali się albo złymi katolikami w oczach papieża, albo złymi Anglikami. Campion w swoim sławnym *Brag* skonstruował najlepszą możliwą formułę tej podwójnej lojalności; wtedy nie przekonała nikogo, nie jest przekonująca i dziś. Gdyby bowiem Rzym ponownie zatriumfował w Anglii – czego Campion pragnął, jak otwarcie przyznawał – on sam musiałby następnie, jak każdy posłuszny katolik, wypełniać rozkazy i brać udział we wszelkich aktach zdrady i prześladowań, jakie papież uznałby za stosowne. Anglicy nie zachowują się jakoś specjalnie logicznie, jednak dostrzegali logikę tego problemu całkiem wyraźnie. Co więcej, Campion nie był bynajmniej typowym przedstawicielem ludzi, jakich całe kohorty Rzym nasyłał na Anglię. Bardziej reprezentatywną postacią jest ojciec Parsons, zawodowy spiskowiec. Elżbietańskie prześladowania katolików były więc uprawdliwione przez wzgląd na dobro państwa i bezpieczeństwo publiczne; w sumie prowadzono je z zachowaniem umiaru. Elżbieta nieodmiennie wolała kary pieniężne i więzienie od egzekucji; skazywała przeciętnie nie więcej niż osiem osób rocznie i niemal wszyscy z oskarżonych mieli uczciwy proces. Nie mogła jednak

ocalić angielskiej społeczności katolickiej; w chwili jej śmierci jedynie dziesięć tysięcy osób było gotowych publicznie deklarować się jako zwolennicy Rzymu.

Zagrożenie, z jakim Elżbieta stykała się ze strony protestantów, było dużo większe i w końcu poczuła się zmuszona potraktować je o wiele poważniej. Angielski purytanizm zrodził się wśród uchodźców przed represjami królowej Marii w latach pięćdziesiątych XVI wieku, stanowił więc obcy nabytek, import z kontynentu. Cechowało go nadto dążenie do konsekwencji, zgoła obce umysłowości angielskiej. Przyznawanie, na przykład, wyłącznego autorytetu Pismu św., choć opowiadał się za nim już Wiklef, większości Anglików wydawało się nie bardziej sensowne niż *magisterium* [nauczanie] Rzymu, a doktryna predestynacji – wręcz niedorzeczna. Spór purytanów z władzami rozpoczął się od kwestii szat liturgicznych, jednak szybko objął niemal wszystko, od królewskiej supremacji począwszy. Purytanie, podobnie jak katolicycy ekstremiści, byli przekonani, że religia jest jedyną ważną rzeczą w życiu, podczas gdy większość Anglików sądziła, że jest to coś, czym się człowiek zajmuje w niedzielę. Wywierali jednak wpływy zgoła nieproporcjonalne do swej liczebności, gdyż podobnie jak w naszych czasach komuniści, byli dobrze zorganizowani, zdyscyplinowani i z talentem pomagali sobie opanowywać ważne pozycje w społeczeństwie. Mieli mocną pozycję na uniwersytetach, w czasach gdy coraz większa liczba uczonych trafiała do Parlamentu. Wręcz emanowali hipokryzją. Peter Wentworth i jego brat gorliwie opowiadali się w Parlamencie za prawem do wolności słowa. Nie byli jednak wcale jej zwolennikami. Wierzyli w doktrynalną religię, narzucaną siłą i utrzymywaną za pomocą prześladowań. Wentworth był fanatycznym emisariuszem obcych idei i pragnął przekształcić Anglię w Genewę rządzoną przez kalwinistów.

Na szczęście Elżbieta potrafiła całkiem dobrze radzić sobie z takimi ludźmi. Zawiesiła w czynnościach Grindala, arcybiskupa Canterbury, za to, że był zbyt miękki w stosunku do purytanów, i w roku 1583 powołała Whitgifta, ponieważ był znany ze swych antypurytańskich poglądów. Skazała tylko czterech purytanów, jednak wielu z nich znalazło się w więzieniu, i w sumie udało jej się utrzymać ruch pod kontrolą. Nie musimy specjalnie żałować tych dżentelmenów. W pewnym sensie stanowili zwierciadlane odbicie kontrreformacji, Ignacy Loyola bowiem też był purytaninem, tyle że purytaninem z prawa. Przywilejów, których purytanie domagali się dla siebie, z całą pewnością odmówiliby innym. Jedną z najlepiej uzasadnionych apologii prześladowań, jaka wyszła spod pióra członka sekty w trakcie całego okresu kontrowersji religijnych, była *A Free Disputation Against Pretended Liberty of Conscience* (1649), autorstwa Samuela Rutherforda, prezbyterianina. Inny purytanin, doktor Reynolds z Oksfordu, wystąpił jako bicz Boży na elżbietański teatr, który – jak wynikało z jego *The Overthrow of Stage Plays* (1599) – pragnął kompletnie zlikwidować. Purytanom udało się zmusić londyńskie teatry do wyniesienia się z City do So-

uthwark. Gdyby im się powiodło w skali całego kraju, nie powstałoby wiele spośród najcenniejszych dzieł literatury angielskiej, gdyż nie byłoby ich gdzie wystawić. Szekspir, Jonson i Webster bez wątpienia próbowaliby swych sił w innych profesjach. Purytanie nie wierzyli w rozum, tylko w Biblię. We wczesnym okresie reformacji protestanci zasadnie potępiłi wiele prostackich przesądów papistowskiego Kościoła; takie instrumenty starego reżimu, jak osławiony krucyfiks z Boxley, wystawiono w Londynie na widok publiczny ku ucieście tłumu. Jednak wśród członków wielu sekt protestanckich pojawiły się wkrótce nowe i bardziej jadowite zabobony, wyrastające w wielu przypadkach z literalnego odczytania Biblii. Sam Luter, pogromca odpustów, wierzył, że diabeł specjalnie stworzył muchy, aby go niepokoiły podczas pracy nad uwznioślającymi dziełami. W Genewie palono kobiety i mężczyzn za rzekome roznoszenie zarazy. Przede wszystkim jednak purytanizm odegrał rolę głównego motoru wzmózonych polowań na czarownice. Mimo wysiłków Korony i biskupów zamordowano w ten sposób ogromną liczbę niewinnych kobiet. Wedle niektórych interpretacji polowania wybuchały z przyczyn ekonomicznych: starano się w ten sposób usunąć ze społeczeństwa ubogie kobiety, które inaczej trzeba by karmić z funduszy publicznych. Wydaje się to jednak zbyt cyniczne i okrutne nawet jak na Anglików. Niewątpliwie motywy były różne. Polowanie na czarownice było starą angielską tradycją i w XV wieku nawet żona Humphreya, księcia Gloucester, ledwo uszła z życiem, gdy oskarżono ją na podstawie fikcyjnych zarzutów. Jednak purytańskie rozumienie zła prowadziło do przerażającej eskalacji tych prześladowań*.

Dopiero na tle tej morderczej gorliwości fanatyków możemy docenić osiągnięcia Elżbiety w zaprowadzaniu stabilizacji w angielskim systemie religijnym, opartej na umiarkowaniu, zdrowym rozsądku i tolerancji. Były to jej osobiste sukcesy, gdyż większość jej doradców nie wślawiła się którąkolwiek z wymienionych zalet. Były to także osiągnięcia trwałe, gdyż elżbietańskie porozumienie religijne przetrwało wszystkie burze następnego stulecia i dotrwało do współczesności w z grubsza nie zmienionym kształcie. Elżbieta rozpoznałaby i zaprobowała obrzędy, doktryny, obyczaje, postawy i organizację Kościoła anglikańskiego w jego dzisiejszej postaci. Wszelako Elżbieta – i co do tego nie może być wątpiwości – nie żywiła wielkiego szacunku dla anglikanizmu, a tym bardziej dla większości jego dygnitarzy. To obniżenie rangi klasy kapłanów stanowiło jednak właśnie jądro jej postawy i odzwierciedlało pragnienia ogromnej liczby jej poddanych. Elżbieta czuła, że religia stanowi zbyt niebezpieczny element życia publicznego, by można go było pozostawić bez obaw wyłącznie

* Dokładna liczba ofiar polowań na czarownice w Anglii jest wciąż przedmiotem dyskusji; prawdopodobnie stanowi około tysiąca kobiet w ciągu dwu stuleci. Nowsze i bardziej bezstronne omówienie tematu można znaleźć w książce A. L. Rowse, *The Elizabethan Renaissance: The Life of the Society*, London 1971, rozdz. IX.

w rękach kleru. Religia powinna być sługą społeczeństwa, a nie jego panem. Powinna przynosić pociechę w świecie pełnym cierpienia, a nie dodawać nowe problemy, prowokując spory i podziały rozdzierające społeczeństwo. Z całego serca mogła powtórzyć okrzyk rozpaczy za umiarkowanym protestantem Sebastianem Castello, który w opublikowanym w latach sześćdziesiątych XVI wieku dziele *Whether Heretics Are to Be Prosecuted?* („Czy należy prześladować herezyków?”) wyraził pogląd wszystkich rozsądnych chrześcijan, próbujących przez mgłę zwalczających się dogmatów dojrzeć istotę swej wiary:

O Chryste, stworzycielu i królu świata, czy widzisz? Czyś stał się kimś zgoła innym niż sobą, tak okrutny, tak sobie przeciwny? Gdyś żył tu, na ziemi, nikt nie był równie szlachetny, równie litościwy, nikt równie cierpliwie nie znosił zła [...]. Ludzie smagali ciebie, płuwali na ciebie, sztychli z ciebie, ubrali cię w cierniową koronę, ukrzyżowali cię między łotrami, a ty modliłeś się za tych, którzy to uczynili. Czyś się teraz zmienił? [...] Gdybyś ty, o Chryste, miał nakazywać te wszystkie egzekucje i tortury, cóż by zostało dla Szatana?

Elżbieta czuła, że religię, którą wyznają jej poddani, należy chronić za pomocą umiarkowanej interwencji państwa, działającego w interesie ogółu; kler powinien wykonywać swe powinności kapłańskie, a nie decydować o kształcie religii. Było to typowo angielskie podejście. Religia wyznawana przez danego człowieka jest sprawą między nim a Bogiem, natomiast jej zewnętrzne formy i organizacja są sprawą odpowiednich konstytucyjnych procesów legislacyjnych. Anglicy mogą sobie poczytać za wielką zasługę odkrycie, że biskupów powinni powoływać nie ci, którzy interesują się przede wszystkim religią, ale ci, którzy mają obowiązek dbać o zachowanie porządku społecznego i obyczajności, *decorum*. Podobnie w sprawach doktryny celem unormowań nie było deliberowanie nad szczegółowymi kwestiami wiary, ale naszkicowanie kodeksu na tyle mglistego, niejednoznacznego i ogólnikowego, aby możliwie najwięcej osób mogło zaakceptować go bez ryzyka konfliktu sumienia. 39 Artykułów wiary wspaniale spełniło to zadanie. Nikt i nigdy nie był w stanie zgodzić się z nimi we wszystkich szczegółach czy nawet dokładnie zrozumieć, o co w nich chodzi, a jednak w ciągu następnych stuleci potężna armia księży szczęśliwie przysięgała je podtrzymywać, ponieważ ich duch nie budzi wątpliwości, a są one na tyle pojemne, by objąć szerokie spektrum przekonań. Anglicy nigdy nie popełnili tego błędu, by nałożyć sobie pęta pisanej konstytucji. W połowie XVI wieku pod presją okoliczności nie mieli innego wyjścia niż przyjąć konstytucję w sprawach religii. Rozwiązali problem tworząc dokument, który nie ma sensu w szczegółach, ale jest zachwycająco sensowny jako całość.

Rzecz w tym, że Anglicy nie są i nigdy nie byli narodem religijnym. To dlatego tolerancja zapuściła korzenie najpierw w ich kraju. Oczywiście, były

w Anglii liczne sekty religijnych zelotów: nie tylko protestanci i katolicy, ale także anabaptyści, husyci, mennonici i waterlandyści [odłam mennonitów], socynianie i arianie z Rakowa. Wszelako nawet w sumie nadal stanowili oni mniejszość. Można się nawet spierać, czy Anglia w ogóle kiedykolwiek była krajem chrześcijańskim. Anglicy lubią, żeby ich ochrzczono, wołają brać ślub w kościele, chcą, żeby ich pochowano w poświęconej ziemi i modlą się w chwilach zagrożeń; niezbyt żywo angażują się w religijne kontrowersje i chętnie nadają uroczystościom państwowym oprawę religijną. Natomiast nie są prawdziwie zainteresowani życiem duchowym. Nie można więc traktować angielskiego średniowiecza jako epoki triumfu religii. Niewątpliwie kasta kapłanów odgrywała wówczas centralną rolę w życiu społecznym i w gospodarce. Jednak łatwość, z jaką łamano prawa moralne i sprzeciwiano się sankcjom Kościoła, sugeruje, że najzdrowsze odłamy społeczeństwa nie brały piekielnego ognia na serio. Kościół stanowił profesję, zawód; jednak, generalnie rzecz biorąc, nie był zainteresowany działalnością duszpasterską i pracą w parafiach. W miastach pozycja religii była słaba. Na wsi, w wielu regionach, jeśli ktoś w ogóle służył ludności, to najczęściej rzeczywiście byli to bardzo skromni księża, zwykle półanalfabeci, często nader odlegli od ortodoksji. Większość Anglików nawet nie znała podstawowych artykułów wiary. Anglikanizm poprawił więc nieco sytuację w bogatszych regionach wiejskich, ale nigdy nie był czymś więcej niż zajęciem miejskiej klasy średniej. Protestantyzm wprawdzie wydawał się Anglikom wyznaniem bardziej znaczącym niż katolicyzm, ale jedynie mniejszości, i to niewielkiej. Przez ponad stulecie (1750–1850) istotną rolę w życiu miast odgrywali nonkonformiści, ale znów tylko dla mniejszości. Gdy w wieku XIX do Anglii zaczęli napływać imigranci z Irlandii, księża katolicycy mogli pochwalić się znacznym odsetkiem uczęszczających na msze, choć zawsze zawyżali dane. W sumie jednak można wątpić, czy kiedykolwiek więcej niż 50% Anglików regularnie chodziło na mszę w niedzielę lub poświęcało swemu Kościołowi coś więcej niż piękne słówka i frazesy. W wielu krajach jest całkiem inaczej. W Stanach Zjednoczonych nawet dziś dobrze ponad 50% mieszkańców regularnie chodzi do kościoła w dni świąteczne. Można też powiedzieć, że w Szkocji, Irlandii i Walii jeszcze do niedawna chodzenie do kościoła stanowiło obyczaj większości i religia odgrywała bardzo ważną rolę w ich życiu. Jednak dla Anglików Bóstwo stanowi narzędzie życia społecznego, element ustroju, który prócz religii obejmuje także inne (znacznie ważniejsze) elementy. Elżbieta, która była – jak nigdy nie przestawała powtarzać – „tylko Angielką”, zdołała pierwsza dostrzec ten fakt i wyciągnęła z niego właściwe wnioski.

Zawdzięczamy bardzo wiele tej niezwyklej kobiecie. Nie ulega wątpliwości, że miała wokół siebie olśniewające grono ludzi utalentowanych, polityków, kupców, wojskowych, żeglarzy i artystów. Jednak to ona osobiście podejmowała wszystkie naprawdę ważne decyzje – lub decydowała o ich braku – często wbrew

opiniom swych najzdolniejszych doradców. Czytając listy i dokumenty z tego okresu, analizując strategię w polityce wewnętrznej i zagranicznej, osiągającą kulminację w rozgromieniu Wielkiej Armady, badając rozwiązania problemu sukcesji czy porozumienia religijnego, nie sposób nie dojść do wniosku, że to jej umysł i ręka pewnie kierowały losami narodu. Elżbieta była politycznym geniuszem bardzo rzadkiego rodzaju, gdyż jej poczynaniom przyświecało poczucie tolerancji płynące z gorącego serca i chłodnego umysłu. Odziedziczyła całą siłę woli ojca, jednak bez jego morderczych instynktów. Nienawidziła zabijania i okrucieństwa. Jej wychowawca, Roger Ascham, nauczył ją nienawiści wobec wojny i przemocy, ale tak naprawdę była to lekcja, której nie potrzebowała. Jako młoda kobieta znalazła się w tym strasznym miejscu, w Tower, nie wiedząc, czy wyjdzie stamtąd żywa. W rezultacie postanowiła uczynić Anglię krajem, w którym ludzie umiarkowani i rozsądni będą mogli żyć bezpiecznie i nawet wdawać się w spory, pod warunkiem że ich jedyną bronią będą słowa. Na dwa stulecia potężna fala mordów politycznych i religijnych załała publiczne życie Anglii. Sądowe morderstwa pochłaniały królów, arcybiskupów, szlachtę i wielkich prawników, nie wspominając o niezliczonych ofiarach niższego stanu. Wiele najwspanialszych talentów zniszczył haniebny nonsens szafotu. Jeśli tkanka angielskiego społeczeństwa miała przetrwać, trzeba było położyć kres temu procesowi – i Elżbieta go zatrzymała. Krwawa angielska tradycja została skutecznie wypłeniona, by nigdy w istocie nie powrócić.

Osobistą tragedią Elżbiety był fakt, że także ona, która nienawidziła zabijania, musiała pod przemożną presją okoliczności skazać na śmierć kilka osób. Żaden władca nie przeżywał takiego dramatu, podpisując wyrok. Rozpaczliwie próbowała uratować Marię Stuart. Jej współcześni uważali, że taka pobłażliwość to z jej strony szaleństwo, a nawet gorzej – zbrodnia. „Jej Wysokość Królowa była zawsze damą miłosierną – pisał Burghley – i przez miłosierdzie uczyniła więcej szkody niż przez sprawiedliwość”. Lord Hunsdon ujął sprawę ostrzej, gdy Elżbieta ociągała się z podpisaniem wyroku śmierci na Norfolk:

Znana jest w świecie ze swej mądrości, a z pewnością nie może być większej mądrości nad tę, która nakazuje, aby strzec swego domu, a zwłaszcza już zachowania swego życia. O ileż bardziej jest niezbędne, aby ostrożność zachowała Jej Wysokość, od której życia zależy byt całego państwa, ostateczna ruina całego kraju i ostateczne pograżenie religii. I jeśli przez opieszałość lub z kobiecej litości wszystko to miałyby się wydarzyć, sama wie, za co miałyby odpowiadać przed Bogiem.

Jednak szło nie tylko o kobiecą litość, choć i ona grała swą rolę. Elżbieta nie była nazbyt religijna, ale miała wrażliwe sumienie. Uważała, że zabijanie jest złem. Uważała też, że to niepolityczne, szkodliwe dla jej własnej reputacji suwerena i dla kraju, którym włada. Oświadczyła Parlamentowi, że nie skaże Marii:

Jakże bolesne jest to, że ja, która w swoim czasie ułaskawiłam tylu buntowników, przymknęłam oko na tyle zdrady [...], byłabym teraz zmuszona postąpić inaczej wobec takiej osoby. Czegóż by nie powiedzieli moi nieprzyjaciele, gdyby się rozniosło, że dla swego bezpieczeństwa dziewicza Królowa uważa za stosowne przelewać krew nawet swojej krewnej?

Elżbieta nie zabiła Marii, przeciwnie, zachowała ją przy życiu przez dwa dziesięciolecia, wbrew woli swych poddanych.

Tolerancja i nienawiść wobec przemocy były nowoczesnymi cechami w epoce Elżbiety; jeśli na trwałe stały się cechami charakteru Anglików, w części jej to zawdzięczamy. Była osobą łagodną. Choć nigdy nie spała z mężczyzną, miała serce pełne miłości. Formalne listy, jakie wysyłała swym ministrom i dowódcom, często ozdabiają poruszające i czułe własnoręczne dopiski Elżbiety, skreślone pewnym, eleganckim pismem. Choć wiele z romantycznej tajemniczości otaczającej jej dwór stanowiło efekt świadomych zabiegów, jako element życia publicznego, bez wątpienia ciepłe uczucia łączące ją z jej najbardziej oddanymi sługami były absolutnie szczerze. Na łożu śmierci Burghley prosił syna, aby podziękował królowej za jej łaskawość i dobroć:

Choć nie będzie matką, a jednak okazała się troskliwą opiekunką, karmiąc mnie osobiście swą książęcą ręką, i jeśli dojdę na tyle do zdrowia, bym mógł karmić się sam, będę tym chętniej służyć Jej na ziemi, a jeśli tak się nie stanie, mam nadzieję być sługą Jej i Kościoła Bożego w niebie.

Królowa kochała i rozumiała dzieci. Swemu młodemu chrześniakowi posłała kopię swojej mowy do Parlamentu z roku 1576, ze słowami:

Jack, chłopcze, kazałam pisarzowi spisać ślicznie moje skromne słowa dla twego użytku, jako że takim wyrostkom bronią jeszcze wstępu na zgromadzenia Parlamentu. Rozważaj je w chwilach wolnych i baw się nimi tak długo, dopóki ich dobrze nie pojmiesz, tak abyś później znalazł w nich może co dobrego, gdy już o twej chrestnej matce nikt nie będzie pamiętał; a czynię tak dlatego, że twój ojciec był zawsze gotów służyć nam i kochał nas w biedzie i w niewoli.

Elżbieta odwiedzała chorych; towarzyszyła przyjaciołom leżącym na łożu śmierci, czasem zostawała nawet u nich w domu i osobiście im usługiwała. Owdowiałym posyłała krótkie liściki z kondolencjami. „Moja Wrono kochana – napisała do lady Norris, której syn zginął w Irlandii – nie trudź się szukaniem daremnej pomocy, lecz daj dobry przykład i pociesz tego, który wspólnie z tobą dźwiga jarzmo boleści...” Posłała nawet wyrazy sympatii i wsparcia żonie człowieka, który świadomie zwrócił się przeciw niej i został osadzony w Tower.

Gdy powiedziała, że kocha naród angielski – a nie jest to naród, który przychodzi łatwo kochać komukolwiek – mówiła szczerze. Prawdziwą miarą jej osiągnięć jest to, że potrafiła wyrazić tę miłość w konkretnych czynach i zarazić swój naród upodobaniem zarówno do tych nowych, jak i do tych staromodnych cnót, które były jej udziałem. Dopóki żyć będą Anglicy, nie zdarzy się, że „nikt nie będzie o niej pamiętał”.

Rozdział IV

Naród wybrany

1603–1780

Osobliwym zrządzeniem losu najważniejsza debata w historii politycznej Anglii odbyła się nie w Izbie Gmin, ale w pochodzącym z XV wieku kościele parafialnym pod wezwaniem Św. Marii w Putney. To właśnie tam w ciągu dwu tygodni (począwszy od 28 października 1647 r.) grupa około czterdziestu mężczyzn w trakcie nieformalnych, tajnych spotkań stworzyła podstawy nowoczesnej myśli politycznej – w istocie zarysowała formy życia publicznego, w których żyje dziś około 3 miliardów ludzi. Wybór miejsca spotkań nie miał w tym przypadku jakiegoś specjalnego znaczenia, zadecydowały o nim wyłącznie względy praktyczne. Mężczyźni siedzieli lub stali wokół pustego stołu, przy którym zwykle odprawiano ceremonię Ofiary Pańskiej, nie zdejmując kapeluszy, zgodnie ze zwyczajem, jaki utarł się w Izbie Gmin. Oficjalnie zgromadzenie nosiło miano Rady Naczelnej Armii Nowego Wzoru (New Model Army), siły, która właśnie niedawno rozgromiła wojska króla Karola i praktycznie miała w rękę władzę nad całym krajem. Wśród obecnych znaleźli się wybitni generałowie: Oliver Cromwell, zastępca naczelnego wodza, faktyczny twórca i przywódca armii, oraz jej komisarz generalny, błyskotliwy Henry Ireton, zięć Cromwella, a także waleczni dowódcy regimentów, jak podpułkownik Goffe i pułkownik Rainborough, ludzie skromnego pochodzenia, którzy swe oficerskie szarże zdobyli na placu boju. Byli też młodszy oficerowie i kilku zwykłych żołnierzy, takich jak Edward Sexby; dwaj z nich występują w zapisie debaty po prostu jako „Wołowy Kaftan” i „Człowiek z Bedfordshire”. Ponadto trzech cywili, polityczni radykałowie ze stronnictwa tak zwanych lewellerów, występujący w roli rzeczników interesów prostych żołnierzy. Było to więc nader reprezentatywne zgromadzenie Anglików, obejmujące ludzi wszystkich stanów (z wyjątkiem najwyższych), a w cywilu najróżniejszych zawodów i specjalności. Dosłowny zapis

debaty, dzieło sekretarza Rady Williama Clarke'a, jest miejscami nieczytelny i zagmatwany (Clarke nie najlepiej radził sobie ze stenografią), a także, niestety, niekompletny; przez ponad 250 lat spoczywał w zapomnieniu i dopiero pod koniec XIX wieku wydobyto go z archiwum oksfordzkiego Worcester College, zbadano, zredagowano i opublikowano*. Wszelako idee, które krzyżowały się wokół stołu w Putney – wówczas w całej ekscytującej świeżości ich pierwotnej koncepcji – zdołały od tamtej pory dotrzeć do najdalszych zakątków kuli ziemskiej, podkopując imperia, obalając trony i stając się w końcu uniwersalną monetą obiegową w życiu politycznym. Towarzyszą nam także i dziś. Wszystkie ważniejsze koncepcje polityczne naszego świata, wszystkie przesłanki i założenia, do których odwołują się ludzie zasiadający w Białym Domu, na Kremlu czy Downing Street, w prezydenckich rezydencjach, senatach i parlamentach na wszystkich kontynentach, zostały sformułowane lub przynajmniej zapowiedziane w małym kościółku Św. Marii w Putney.

Jednak zanim prześledzimy przebieg debaty, musimy zrozumieć, jak to się stało, że doszło do niej właśnie w Anglii i dlaczego tylko tu mogła się odbyć. Albowiem równie dobrze mogło w ogóle do niej nie dojść, a wtedy świat wyglądałby dziś zupełnie inaczej i bez wątpienia byłby miejscem dużo bardziej prymitywnym niż to, w którym żyjemy. Mimo to pewne szczególne okoliczności dziejów Anglii – procesy sięgające korzeniami głęboko w przeszłość i w ostatecznym rachunku wynikające z jej specyficznego położenia geograficznego oraz pochodzenia jej mieszkańców – umożliwiły właśnie taki, a nie inny obrót spraw, a tym samym ukształtowały oblicze naszego świata. Przyjrzyjmy się zatem genezie debaty w Putney.

Starożytni Grecy zaczęli właśnie rozwijać pewne zupełnie nowe idee polityczne i naukowe, gdy ich miasta oraz kultura zostały wchłonięte przez imperium rzymskie. Rzym wnosił swego rodzaju porządek, zabijał jednak twórcze myślenie. Jego imperium przez setki lat leżało niczym olbrzymia i nieruchoma kłoda w poprzek strumienia ludzkiego postępu. Rzymianie byli kompilatorami i kodyfikatorami, nie umieli jednak płodzić nowych idei i skutecznie potrafili przeszkadzać w tym innym. Mieli prawniczy temperament i taki też był język, którym się posługiwali. Potrafili zręcznie analizować źródła i znaczenia istniejących pojęć, ale równocześnie to umiłowanie porządku, czego wyrazem był ich aparat pojęciowy – sprawność, jaką nieustannie wykazywał w eksploracji tego, co znane i określone – zamykało na głucho drzwi przed tym, co nieokreślone

* *The Clarke Papers*, red. C. H. Firth, The Camden Society, 1891, tom I. Wraz z *Historical Collections* Rushwortha (8 tomów, 1659–1701) *The Clarke Papers* stanowią najcenniejsze źródło dla tego okresu i szkoda, że nie są dostępne w tanim, popularnym wydaniu. Kościół w Putney znajduje się dziś w cieniu ogromnego, paskudnego, biurowego wieżowca; po drugiej stronie ulicy znajduje się pub oferujący *drag show*, damsko-męską przebieraną.

i nieznane. Intelktualny świat Rzymian był statyczny i w końcu uległ zupełnej degeneracji. Pełna wigoru republika prawników stała się imperium żołnierzy, by na koniec przekształcić się w orientalną despotię. Kurcząc się i rozpadając, wchłonęła religię innego narodu prawodawców – Żydów, tak że w efekcie rzymskie chrześcijaństwo, czerpiąc swe intelektualne koncepcje wyłącznie ze statycznego kanonu świętych i nienaruszalnych tekstów oraz przejmując formy, organizację i dyscyplinę od militarnego imperium w stanie rozkładu, stało się spadkobiercą pozostałości starożytnego Rzymu. Przez tysiąclecia spowijało Europę szczelnym całunem, monopolizując edukację, kulturę, naukę i technikę, odgradzając ludność od swych uczonych tekstów hieratyczną kastą interpretatorów oraz skazując na banicję wszelkie formy badań empirycznych, które wykraczały poza sztywne, tradycyjne wyobrażenia. Intelktualna aktywność została ograniczona do formalnych ćwiczeń teologicznych, polegających głównie na grze słów i poznawczo całkowicie jałowych. Największym sojusznikiem rzymskiego chrześcijaństwa były z kolei polityczne elity świeckiego społeczeństwa, z jego strukturą władzy odzwierciedlającą hierarchiczną wizję religijnego *universum*, żywo zainteresowane tym, by utrzymać świat w stanie letargu i nierówności. W tej internacjonalistycznej Europie Kościół i Państwo zgodnie współpracowały ponad granicami w dziele wyniszczania wszelkich zarodków nowego. Chrześcijańskie imperium dysponowało ponadto uniwersalnym językiem, łaciną, dzięki której mogło kontrolować całość wiedzy i kultywować ją dla wybranej elity.

W tej sytuacji tylko jakieś niezwykle, wyjątkowe współdziałanie destrukcyjnych czynników mogło roztrzaskać tę niewzruszoną skorupę. Idee starożytnych Greków zaczęły przenikać do Europy już w XI wieku dzięki nawiązaniu kontaktów z odgrywającymi rolę pośredników uczonymi arabskimi, a wraz z upadkiem Bizancjum na Zachód dotarło wiele nie znanych dotąd manuskryptów. Wszystko to jednak było za mało. Aby skutecznie wykorzystywać i rozwijać tę wiedzę, potrzebna była taka polityczna organizacja społeczeństwa, w której swoboda badań naukowych nie napotykałaby żadnych przeszkód. Tymczasem Europa pod panowaniem rzymskiego chrześcijaństwa stanowiła oparty na ponadnarodowych zasadach organizacyjnych system wzajemnej ochrony, mający strzec własności klas posiadających, do których należała zarówno ziemia, jak cała ówczesnie dostępna wiedza. System potrafił skutecznie zdławić intelektualną rewolucję XII wieku i narzucić swą negatywną filozofię poznania na dwa kolejne, długie stulecia. Mogło mu się to udać ponownie. Renesans przyniósł wprawdzie nowe wyzwanie, skwapliwie podchwyczone przez surowy, praktyczny geniusz Lutera. Luter – wsparty przez nową siłę niemieckiego nacjonalizmu – z całą mocą uderzył w pokrywającą wszystko odwieczną skorupę, czym zaskoczył zarówno Kościół, jak Cesarstwo w momencie przejściowego braku równowagi, zamętu i zamieszania; w efekcie minęło zbyt dużo czasu, nim zorientowały się w powadze sytuacji, a ich reakcja przyszła za późno. Mimo to wyłom można

było jeszcze załatać: imponująca siła, z jaką kontrreformacji udało się wreszcie zorganizować, i bezwzględność, z jaką przystąpiła do akcji, nie pozostawiały wątpliwości, że protestantyzm na kontynencie czeka ostatecznie ten sam los co poprzednie rewolucje, a dawny porządek zostanie przywrócony. Pojawił się jednak mały szkopuł – Anglia i morski kanał dzielący ją od kontynentu.

W Anglii bowiem współdziałanie sił skierowanych przeciw rzymskiej cywilizacji przybrało zgoła wyjątkowy charakter. Jak pamiętamy, to właśnie ten kraj stał się natchnieniem dla Pelagiusza, gdy po raz pierwszy w ramach chrześcijaństwa rozwinął swą dynamiczną, antydefetystyczną filozofię wolności woli, inicjując tym samym heterodoksyjną, narodową tradycję, która, w tej czy innej postaci, tliła się w Anglii przez wszystkie stulecia. Wyspiarze jako jedyni spośród wszystkich skolonizowanych narodów obalili władzę rzymskich namiestników. I choć w końcu przyjęli rzymskie chrześcijaństwo, nadali mu swoistą wyspiarską postać. Zamieszkiwali jednolite i scentralizowane królestwo, toteż ich religia musiała być zgodna z usposobieniem i duchem narodu. Ich związki z kontynentem były zawsze skomplikowane i nacechowane podejrzliwością; odrzucali kontynentalne normy, a dzielący ich od Europy Kanał sprawiał, że uchodziło im to względnie bezkarnie. System wzajemnej ochrony, obejmujący całą Europę chrześcijaństwa rzymskiego, kończył się u wrót Calais. Reformacja stała się więc w Anglii otwartą deklaracją niezależności od kontynentu, zakorzenionej w tysiącletniej politycznej i intelektualnej tradycji kraju. Jak na ironię, jej twórcą był ostatni średniowieczny król Anglii, człowiek, którego motywy i cele nie były zbyt jasne nawet dla niego samego, obdarzony jednak niezwykle zasobami siły woli i odwagi emanującymi z jego brutalnej natury; ponadto miał do pomocy genialnego organizatora, Thomasa Cromwella, który, by głęboko zakotwiczyć rewolucyjne zmiany w angielskim prawie i tradycji, bezbłędnie wykorzystywał wszelkie możliwości, jakie kryła w sobie szacowna instytucja Parlamentu. Zerwanie z kontynentem potwierdziła ostatecznie i utrwaliła niezwykle córka starego króla, Elżbieta, kobieta nie tylko odważna, ale także mądra, wrażliwa oraz obdarzona poczuciem miary i tolerancji, czego kompletnie brakowało jej ojcu. Wymienione dotąd czynniki można wszakże uznać za przypadkowe. Na równi z nimi istniały jednak inne, powodujące, że starcie między systemem angielskim a kontynentalnym stało się nieuniknione: burzliwy rozwój języka angielskiego, który sprawił, że z biegiem czasu kulturowy monopol łaciny stał się dla Anglików zupełnie nie do zniesienia, ksenofobiczna nienawiść wobec kapłanów i kapłaństwa, od dawna szukająca jakiegoś ujścia, a nade wszystko rosnące wśród Anglików przekonanie, że w istotny sposób różnią się od innych narodów i są powołani do specjalnych przeznaczeń.

I właśnie ten ostatni czynnik odegrał rolę decydującą – stanowił zwornik w wielkim łuku angielskiej reformacji. By zmienić bieg historii świata, trzeba

niezmierzonej energii, a ponieważ trudno ją czerpać wyłącznie z zasobu fizycznych sił społeczeństwa, potrzebny jest jakiś czynnik metafizyczny. Tym czynnikiem, który wspierał Anglików w czasie reformacji i w latach kontrreformacji, umożliwił im zachowanie heterodoksji w Anglii i podtrzymanie jej na kontynencie, pomógł pokonać Wielką Armadę i rozpruć światowe imperium Hiszpanów – słowem, odrzucić bezwładną kłodę rzymskiego dziedzictwa, dzięki czemu strumień postępu mógł znów ruszyć do przodu – nie był to jedynie patriotyzm czy zwykły nacjonalizm, lecz przekonanie o szczególnym powołaniu rasy wyspiarzy, swoisty rasizm, najpotężniejszy ze wszystkich ludzkich impulsów. Anglicy doszli do wniosku, że są ludem wybranym. I właśnie dzięki temu mogli całej kontynentalnej potędze wiary i przesądu przeciwstawić niezmacone przeświadczenie o swojej, inspirowanej przez Opatrzność, racji.

W jaki sposób Anglicy doszli do tak zuchwałego przekonania, że Bóg, uznawszy, iż Żydzi nie sprawdzili się w roli wykonawców Jego wielkich zamierzeń, powierzył wyjątkowe zadanie zbudowania swego Królestwa na ziemi właśnie im, narodowi wyspiarzy? Nie byli przecież szczególnie pobożni. Nie lubili księży i akceptowali wyłącznie ich czysto kapłańskie funkcje. Budowali wprawdzie wspaniałe kościoły i katedry, ale odwiedzali je głównie ze względu na wymogi społecznego *decorum*. Z drugiej strony, wyspiarskie położenie w naturalny sposób sprzyjało ich narodowemu rasizmowi, butnej i agresywnej postawie wobec obcych, sprawiając, że poczucie wyższości, jakie żywili wobec reszty rodzaju ludzkiego, wydawało im się całkowicie usprawiedliwione. Ziarno przekonania, że misją Anglików jest zreformowanie, a nawet więcej – podbój świata, padało więc na nader żyzną glebę. I choć zostali wybrani przez Jehowę, możemy być pewni, że równie chętnie przyjęliby taki mandat z rąk Jowisza, Allaha czy nawet Buddy. Owo objawienie spłynęło na nich wszakże w dość charakterystyczny sposób. Wyrastało bowiem z uwielbienia, jakie Anglicy żywią dla własnej historii, z opacznego pojmowania niektórych ważnych wydarzeń z przeszłości oraz zapierającej dech w piersiach zdolności pisania historii za każdym razem na nowo, tak by odpowiadała ich aktualnym skłonnościom i potrzebom.

Przez całe średniowiecze Anglicy z upodobaniem fabrykowali kroniki dziejów świata, w których niezmiennie przypisywali sobie wybitne znaczenie. W XIV i XV stuleciu, uzbrojeni w odwieczne pretensje i żale, narzucili swe historyczne wizje i mity nieszczęsnym Francuzom. Trudno jednak dokładnie ustalić, kiedy po raz pierwszy zabrzmiało w ich głosie przekonanie, że stali się sukcesorami Żydów w roli narodu wybranego. Wydaje się, że w sposób znaczący musiało do tego dojść w początkach XVI wieku. Był to okres bardzo sprzyjający bujnej produkcji kronikarskiej i historycznej – po większej części czysto fantastycznej natury; strumyk drukowanego słowa w szybkim tempie przekształcił się w rwący potok, rozsiewając ową wiedzę, czy raczej półwiedzę, na temat przeszłości w coraz szerszych kręgach ludzi możnych i wpływowych.

Potężny impuls do sondowania przeszłości przyniósł spór Henryka VIII z Rzymem. Nagle historia stała się polityką; zaczęto skrupulatnie przetrząsać stare biblioteki i foliały w poszukiwaniu strawy dla doraźnych celów politycznych. I tak w debacie z papieżem Klemensem na scenie pojawił się mityczny król Artur jako potężny rzecznik niezależności od papieżstwa. Zaczęto wydobywać z zapomnienia coraz bardziej wątpliwe lub zgoła zmyślane postaci, tylko po to, by wykazać, że Anglia od początku zachowywała wyjątkową pozycję w stosunkach z resztą chrześcijańskiej wspólnoty. Gdyby Anglicy czytali Bedę, znaleźliby gorzkie prawdy na swój temat. Ale nie czytali Bedy; czytali Gildasa i Nenniusza, Geoffreya z Monmouth oraz następne generacje historyków obficie czerpiących z ich fantazji. W ten sposób mit został oficjalnie podniesiony do rangi faktu. Formy przyjmował różne. Jedni wierzyli, że chrześcijaństwo zgodnie z bezpośrednimi instrukcjami apostołów przyniósł do Brytanii Józef z Arymatei, inni wiedzieli w tej roli św. Pawła, a jeszcze inni wierzyli, że to sam Chrystus złożył na wyspie specjalną wizytę. Wszyscy byli jednak zgodni co do tego, że Brytania otrzymała świętą wiarę bezpośrednio z apostolskiego źródła – rzec by można, jeszcze ciepłą, prosto z Ziemi Świętej – bez pośrednictwa Rzymu. Papieże nie mieli tu nic do roboty. Jak to osobiście ujęła królowa Elżbieta: „Gdy Augustyn przybył tu z Rzymu, w naszym królestwie mieliśmy już biskupów i księży”. Co więcej, Cesarstwo Rzymskie otrzymało wiarę świętą właśnie za pośrednictwem Brytanii. Konstantyn był Brytyjczykiem, jego matka Helena była córką brytyjskiego króla Coilusa. A zatem – pisał Foxe – „z pomocą brytyjskiej armii [Konstantyn] uzyskał [...] pokój i ład dla całego powszechnego Kościoła Chrystusowego”. Na jakież zatem specjalny autorytet – w rzeczy samej, na jaki autorytet w ogóle – mógł powoływać się papież czy którykolwiek z kontynentalnych władców, duchownych bądź świeckich, w swych roszczeniach wobec Anglii?

Musimy przy tym pamiętać, że mit narodu wybranego pozostał wspólną własnością wszystkich angielskich sekt religijnych; miał charakter bardziej rasowy, plemienny niż teologiczny. I jak do Wielkiej Karty odwoływali się zarówno Pielgrzymi Łaski, jak purytanie, tak nawet najzagorzalsi katolicy byli przekonani o szczególnej roli Anglii w dziejach zbawienia. Król Filip II, przywiązany do własnych mitów w tej materii, musiał być zapewne mocno wzburzony, gdy podczas pierwszego kazania, jakie wygłosił w jego obecności nie kto inny, jak zawołany papista kardynał Pole, dowiedział się, że Anglia była „*prima provinciarum quae amplexa est fidem Christi*” – pierwszym krajem, który otrzymał wiarę Chrystusową. Co więcej, kontynuował Pole, „niezmierzone połacie świata otrzymały światło religii z Anglii”. Królowa Maria kiwała głową z gorącą aprobatą: ona również wierzyła, że tak właśnie było. Wszystkie angielskie sekty religijne, przy wszelkich dzielących je różnicach doktrynalnych, zgodnie głosiły, że Bóg obrał sobie Anglików do specjalnych przeznaczeń: nawet Laud, gorliwie trudzący się, by cofnąć wskazówki zegara reformacji, na-

uczwał, że *ecclesia anglicana* jest prawdziwym Kościołem Piotrowym, czystym, samotnym i nieskalanym.

Mimo to było jasne, że największy pożytek z tego dynamicznego mitu będą mieli zwolennicy zerwania z religią panującą na kontynencie, a zwłaszcza ci wszyscy, którzy pragnęli oprzeć chrześcijaństwo w Anglii na fundamencie możliwie najszerszego narodowego konsensu. Mit bowiem nie tylko stąpiął w jedno narodową religię i poczucie plemiennej, rasowej tożsamości, ale także wyraźnie odstaniał istotę zamiarów, które kierowały Bogiem, gdy wyznaczał Anglików na swój naród wybrany: szło o zniszczenie Rzymu i duchową odnowę całego chrześcijańskiego świata. Pomyśleć tylko, jak potężnym narzędziem stałoby się to przykazanie w rękach tak agresywnego i fanatycznie wojowniczego polityka, jakim był Henryk V! Z drugiej strony tak wyraźnie zarysowany cel umożliwiał wykreowanie najpotężniejszej siły jednoczącej społeczeństwo – wspólnego wroga: papieża, potężnego i odrażającego ziemskiego narzędzia Szatana, które Bóg nakazał Anglikom wyplenić i zetrzeć z powierzchni ziemi, wraz z jego wszystkimi świeckimi wasalami w rodzaju króla Filipa i jemu podobnych.

Mit narodu wybranego stawał się w ten sposób podwaliną elżbietańskiego porozumienia religijnego oraz niezwyklej narodowej jedności, którą udało się Elżbiecie utrzymać. Przy tym nie chodziło wcale o pobożność. Mit formułował jedynie cel i ideologiczną strukturę dla brutalnego i ślepego rasizmu, jaki stopniowo zbierał w Anglii przez całe średniowiecze. W drugim roku panowania królowej John Aylmer, przyjaciel Aschama, napisał w swoim *An Harborow for faithfull and true subjects*, że Anglia jest dziewiczą matką drugich narodzin Zbawiciela. Anglicy powinni więc dziękować Bogu, że nie urodzili się Francuzami, Niemcami czy Włochami (doprawdy, nie trzeba ich było do tego zachęcać). Bóg obdarzał Anglię wieloma łaskami i wraz ze swymi aniołami walczył po jej stronie przeciw wszystkim jej wrogom:

Bóg jest po stronie Anglików. Albowiem potykacie się nie tylko za sprawę swojego kraju, ale też, i nade wszystko, w obronie Jego prawdziwej religii i Jego umiłowanego syna Chrystusa. [Anglia powiada do swych dzieci:] „Bóg powierzył mi oto największy i najdoskonalszy skarb i zechciał w swej łasce, aby dla dobra i szczęśliwości waszej i wszystkich świadków z mojego łona wyszedł sługa Chrystusowy John Wilef, który porodził Husa, który porodził Lutra, który porodził prawdę”.

Mit skryształizował się ostatecznie w olbrzymich woluminach księgi Foxe'a, która, mimo wysokiej ceny i pokaźnych rozmiarów, rozeszła się w Anglii, jeszcze przed końcem stulecia, w nakładzie ponad 10 tysięcy egzemplarzy – więcej niż było parafii w całym kraju. Jak pamiętamy, dzieło Foxe'a praktycznie uniemożliwiło realizację restauracji katolickiej w postaci planowanej przez królową Marię. Co ważniejsze jednak, mit narodu wybranego – w kształcie, jaki nadała

mu księga Foxe'a – stawał się wystarczającą przesłanką do uznania słuszności drogi, którą podążyła Anglia w epoce elżbietańskiej: poczyniła samej królowej, narodowego Kościoła opartego na pewnej dozie tolerancji, polityki zagranicznej rządu, rozwoju drukarstwa, edukacji i wykorzystania języka narodowego w roli narzędzia kultury i nauki*.

Foxe, podobnie jak wielu innych autorów, dobitnie akcentował wyjątkową rolę Elżbiety w misji narodu Anglików: przyrównywał ją do cnotliwej i dziewiczej Debory, szczególnie, duchowej służki Pana, powołanej z Jego rozkazu, by ochronić prawdziwą religię i poprowadzić Anglików do zwycięstwa nad Jego wrogami. Takiej wojny, powiadał Foxe, nie mogą jednak prowadzić sami monarchowie, to wojna wszystkich stanów narodu wybranego. Odwołując się do historii Anglii, Foxe dowodził, że jedynym prawdziwym probierzem wierności jej ludu wobec Boga była gotowość do wzniesienia buntu, gdy władcy, za podszeptem zepsutych doradców, wchodzili na złą drogę. W swych opowieściach o latach panowania królowej Marii Foxe uwydatnia zwłaszcza postaci męczenników z ludu, również kobiet; oni także, na równi z bogatymi i wykształconymi, mieli swą rolę do odegrania. Tak oto relacjonował przypadek Alice Driver, która odparła swym prześladowcom:

Jestem uczciwą córką biedaka i nigdy nie bywałam na uniwersytetach, jako wy, panowie, ale nie raz prowadziłam pług przed moim ojcem, Bogu niech będą dzięki. Alieści w obronie prawdy Bożej i w sprawie Chrystusa, Pana mojego, za jego łaską śmiało stanę przeciw każdemu z was, panowie, by ją obronić i zachować...

Religia zrównywała więc wszystkie klasy, a nawet płci; wszyscy powinni się zjednoczyć w narodowym dziele sprawy Bożej. Foxe mocno podkreślał znaczenie narodowej jedności Anglików: zakończenie ostatniego wydania, jakie przygotował do druku przed śmiercią, było wymownym wołaniem o tolerancję, w zgodzie z religijną polityką królowej:

I jeśli nie byłoby końca naszym dysputom i wzajemnym sporom, niech chociaż umiar przyświeca naszym afektom [...], jako że Bóg umieścił nas, Anglików, tutaj razem, w jednej wspólnotcie i także w jednym Kościele, jak na pokładzie jednej łodzi, nie niszczmy jej zatem i nie dzielmy, bo łódź podzielona zatonie, ale niech każdy cierpliwie spełnia swe powinności tam, gdzie został powołany.

Nie trzeba dodawać, że taka misja wymagała aktywnej i agresywnej polityki zagranicznej, prowadzonej w ścisłej zgodzie z protestanckimi (to jest angielskimi) interesami. Zgromadzonym w kościele Św. Pawła w Wielki Piątek 1570

* Najlepszą i najpełniejszą analizę wpływu mitów historycznych na angielską religię i politykę można znaleźć w pracy Williama Hallera *Foxe's Book of Martyrs and the Elect Nation*, London 1963.

roku Foxe oświadczył, że choćby Anglia była słaba, a jej wrogowie silni, runą, jak runęły mury Jerycha; niech przeto strzegą się możni i potężni, wielki Turek, wielki kalif Damaszku i „wielki kalif” starego Rzymu, „i wszyscy inni okrutni tyrani i mocarze tego świata, którzy ośmielili się podnieść swój miecz na zgubę świętych Chrystusowych”. Angielscy piraci i podróżnicy, którzy w latach panowania Elżbiety zaczęli rozpowszechniać narodowe postannictwo po całej kuli ziemskiej, przyjmowali słowa Foxe’a całkiem dosłownie. Wyruszając w roku 1577 w rejs dookoła świata, Drake zabrał ze sobą kopię wielkiego dzieła: czytał na głos co bardziej pouczające fragmenty swoim ponurym, hiszpańskim więźniom, a w wolnych chwilach własnoręcznie kolorował ilustracje. Niemal pierwszą rzeczą, jaką zrobił po zwycięstwie nad flotą hiszpańską w Kadyksie w 1587 roku, było wysłanie listu do Foxe’a z podziękowaniami za jego modlitwy.

Misja Anglików miała jednak charakter nie tylko militarny, ale także kulturowy. John Jewel ogłosił, że angielski jest szczególnym językiem spraw boskich; Foxe dorzucił do tego przekonanie, że wynalazek druku był cudem, który Bóg jawnie uczynił, aby dopełnić dzieła naprawy swego Kościoła:

I ile będzie pras drukarskich na świecie, tyle będzie wież obelżniczych zwróconych przeciwko wyniosłemu zamkowi Św. Anioła, toteż albo papież będzie musiał zakazać rozwoju wiedzy i druku, albo druk doprowadzi w końcu do jego upadku.

Ten nacisk na duchowy wymiar słowa drukowanego, kategoryczny nakaz szerzenia prawdy, tak szybko i powszechnie jak to tylko możliwe, sprawił, że runęły średniowieczne wartości i systemy obronne. Religia to Słowo – Biblia – a Słowo brzmiało teraz po angielsku. Narodowy język wyparł łacinę z roli języka teologii oraz obrządku i w błyskawicznym tempie zaczął wkraczać w inne sfery życia, chronione dotąd przed intruzami z niższych warstw społecznych przez martwą kulturę klasyczną. Wkrótce dały o sobie znać uwolnione w ten sposób potężne energie narodu, zwłaszcza w dziedzinie teatru, ale także w pozostałych dziedzinach literatury i nauki. Na skromnym poziomie bieżących wydarzeń politycznych władze wydawały lub inspirowały niezliczone pamflety broniące ich poczynań lub bezlitośnie atakujące przeciwników, wewnętrznych i zewnętrznych, i niejedno z tych pisemek wyszło spod pracowitego pióra samego sir Williama Cecila. *Arte of English Poesie* Puttenhama i *Defence of Poesie* Sidneya dawały teoretyczne uzasadnienie porzucenia łaciny jako podstawowego środka ekspresji poetyckiej na rzecz angielskiego. Gloryfikacja Anglii i jej krajobrazów, mieszkańców oraz historii stała się tematem niezliczonych utworów. Jedna trzecia sztuk Szekspira koncentrowała się wokół tematów historycznych: część z nich wykorzystywała wątki z dziejów rzymskich przykrojone do bieżących angielskich potrzeb, dziesięć dotyczyło historii Anglii. A przecież były jeszcze *Commonwealth of England* sir Thomasa Smitha, *Principal Navigations*

[...] of the English marines and explorers Hakluyta, Remains... Concerning Britaine Camdena i jego Britannia, Survey of London Stowa, Historie of England Daniela, a za czasów Jakuba I – stanowiąca ukoronowanie ich wszystkich, ogromna History of the World Raleigha. Wyswobodzenie się z martwego uścisku łaciny sprawiło, że na scenę wkroczyły zupełnie nowe klasy i kategorie ludzi, zwłaszcza w osobach skromnych londyńskich rzemieślników konstruujących precyzyjne instrumenty nawigacyjne, które w przyszłości staną się podstawą rozwoju rewolucji naukowej, a w konsekwencji także rewolucji przemysłowej.

W rzeczy samej to zwłaszcza żeglarze – ludzie, których życie i fortuna zależały całkowicie od precyzji posiadanych instrumentów nawigacyjnych i map, a więc od swobodnego przepływu wiedzy i idei oraz postępu filozofii eksperymentalnej – byli najgłębiej wdzięczni za szansę, jaką elżbietańska Anglia dała nowej kulturze i to oni najbardziej gorliwie zaczęli głosić doktrynę narodu wybranego. Jeden z nich, John Davys, wyraził ideę posłannictwa Anglików w skrajnej postaci:

Nie może być wątpliwości, że to my, Anglicy, jesteśmy tym ludem zbawionym i mocą wiecznej i nieomyłnej woli Pana predestynowanym do tego, by iść między niewiernych, na wszystkie morza, i one wyspy i sławne królestwa, aby głosić pokój Słowa Bożego. Bo czyż nie zostaliśmy powołani na górę Synaj, by przynieść światło wszystkim pozostałym ludom ziemi? I czyż nie mamy prawdziwej służebnicy Pańskiej, aby panowała nad nami? To tylko my, przeto, możemy być onymi jaśniejszymi posłańcami Pana, my – i nikt prócz nas.

Wyrażona tak dosadnie i bez osłonek doktryna szczególnego posłannictwa Anglików nie mogła spotkać się z powszechną aprobatą w społeczeństwie, które, zwłaszcza pod koniec panowania Elżbiety, w błyskawicznym tempie osiągnęło zdumiewający poziom rozwoju intelektualnego. Trudno, na przykład, pogodzić ją z duchem większości dzieł Szekspira, zwłaszcza z jego subtelnymi i niezależnymi sądami na temat narodowego charakteru Anglików. Ale nawet jeśli wielu, włączając w to bez wątpienia królową, odmawiało przełknięcia mitu w całości, przyswajano sobie przynajmniej jakąś jego część. Można wątpić w chrześcijańską prawowierność niektórych najwybitniejszych umysłów epoki: jedni byli ukrytymi deistami, inni agnostykami, a ludzie takich jak Raleigh i Francis Bacon można było nawet podejrzewać o ateizm. Jednak każdy z nich znalazł sobie w mieście coś, co pasowało do jego gustu i przekonań. W takiej czy innej postaci trudno mu się było oprzeć. A poza tym, nawet jeśli z dzisiejszej perspektywy mit narodu wybranego może budzić odrazę, w ówczesnej sytuacji miał w sobie coś z konieczności dziejowej. Niczym ogromny rakietowy silnik wyniósł społeczeństwo angielskie poza sferę grawitacji martwego świata średniowiecza

i bezpiecznie umieścił je na swobodnej orbicie. A gdy już raz wszedł w tkankę społeczeństwa, stał się gwarancją, że nie będzie powrotu do trwającej dwa tysiące lat stagnacji, zapoczątkowanej przez rzymski podbój Grecji. Ludzkość osiągnęła pewien rodzaj wyzwolenia i zmierzała teraz naprzód, niesiona na fali samonapędzającego się strumienia postępu, którego bieg przyszłe zdarzenia mogły wprawdzie spowolnić, ale nie mogły go zatrzymać, a tym bardziej odwrócić. Ten strumień wciąż niesie nas ze sobą, z coraz większą szybkością.

Jednakże kierowanie takim królestwem i jego mieszkańcami, którzy kipiąc od świeżo wyzwolonych energii, niecierpliwie rwali się do bombastycznie zakrojonej, niemal maniakalnej misji podboju świata, niosło ze sobą niespotykane dotąd problemy, i pozostaje niepodważalnym świadectwem wyjątkowych politycznych talentów Elżbiety, że gdy już nie mogła ich rozwiązać, potrafiła przynajmniej utrzymać je pod kontrolą. Zawsze musiała się liczyć z groźbą, że jej poddani pozrywają normalne więzy społeczne. Były też inne źródła zagrożeń. Ceny rosły systematycznie od lat trzydziestych XVI wieku, a wiele form dochodów, w tym dochody Korony, nie nadążało za tempem inflacji; toteż, niestety, mimo surowych rygorów oszczędnościowych królowa była zmuszona do regularnej sprzedaży ziem koronnych; pod koniec swego panowania żyła głównie z kapitału i w chwili jej śmierci monarchia była dużo słabsza finansowo niż w dniu, w którym zasiadła na tronie. Wzrosła zależność Korony od subwencji parlamentarnych i rząd coraz bardziej musiał teraz zabiegać o przychyłność Izby Gmin. Równocześnie po odejściu Cecila do Izby Lordów w Izbie Gmin zabrakło sprawnego kierownictwa; jego syn z pewnością nie był już tak zręcznym politykiem. Potężna osobowość królowej do samego końca rekompensowała więc liczne dojmujące słabości aparatu władzy; istniejący konsens w dużej mierze opierał się na osobistym autorytecie Elżbiety, a jej ostatnią mowę do Parlamentu, tak zwaną „Złotą Mowę”, starzy członkowie Izby wspominali z nabożną czcią (jak zobaczymy) jeszcze kilkadziesiąt lat po jej śmierci. Ostatnia dekada jej rządów nie była jednak pomyślna dla kraju: fatalna pogoda przynosiła złe zbiory, w handlu zapanowała recesja, potężne sumy pochłaniała ciągnąca się wojna z Hiszpanią. Ogromne zmiany w zakresie własności ziemskiej, jakie zaszły w ciągu minionych siedemdziesięciu lat, zmieniły strukturę klasy posiadaczy ziemskich w tempie niezwykłym nawet jak na warunki angielskie. Elżbieta, kontynuując tradycyjną politykę Tudorów trzymania arystokracji w ryzach, z rozmysłem dbała o zachowanie *status quo* w Izbie Lordów; w efekcie większa część ziemi znalazła się z czasem w posiadaniu członków Izby Gmin. Ziemianie (*gentry*) już w XV wieku zaczęli przejmować miejsca parlamentarne z okręgów miejskich (*boroughs*); po pierwsze, sami ponosili koszty swego posłowania, po drugie, zwykle mieli tak wielką władzę w okolicy, że *boroughs* nie

miały innego wyjścia, jak wybrać ich do Izby*. Pod koniec panowania Elżbiety Izba Gmin stanowiła prawdziwą ostoję ziemiaństwa, które stało się najbogatszą i najbardziej wpływową klasą w społeczeństwie.

Tak wyglądała monarchia, którą odziedziczył Jakub Stuart, król szkocki, zabójczo, niestety, nieświadomy jej słabości i ograniczeń. Powitano go z pewnym entuzjazmem, jako protestanta z urodzenia, mężczyznę, który jako ojciec dwóch synów zagwarantował już męską sukcesję, oraz jako doświadczonego władcę. Jakub odwzajemniał ten entuzjazm. Był królem niemal od kołyski, a mimo to wiódł żalostną egzystencję, szarpany przez rywalizujące frakcje mafijnej szkockiej szlachty; jego życie często było w niebezpieczeństwie, sakiewka zwykle pusta, za mentorów miał nietolerancyjnych kalwińskich duchownych, a do tego nikłą satysfakcję przewodzenia półbarbarzyńskiemu i zbankrutowanemu kieszonkowemu państewku na obrzeżach cywilizacji. Tymczasem teraz miał objąć dostojny, starożytny i bezpieczny tron, pełen godności hierarchiczny Kościół, skarb pękający od złota, wykwintną, zamożną arystokrację, wspaniały dwór, kraj, w którym rolnictwo i rzemiosło, sztuka i nauka, edukacja i handel kwitły jak nigdy dotąd – a w każdym razie tak mu się wydawało. Odziedziczył nawet magiczny dar leczenia poddanych ze skrofulów, który Elżbieta traktowała z przymrużeniem oka, jako tradycyjną zabawę, ale przesądny Jakub przyjmował z najwyższym zachwytem.

Nawet zdecydowani zwolennicy poglądu odmawiającego jednostkom wpływu na bieg dziejów mieliby poważne kłopoty, gdyby chcieli zaprzeczyć szybkości, perwersyjnej przebiegłości i absolutnemu zdecydowaniu, z jakim Stuartowie zniszczyli to angielskie dziedzictwo. Anglicy zawsze byli oddanymi monarchistami, szanowali silną władzę, głęboko kochali swoje prawa, tradycje i ustalone zwyczaje, nienawidzili nagłych zmian i chętnie przyznawali Koronie monopol na stosowanie przemocy – czyż rozsądny król mógłby prosić o więcej? A do tego zaraz na początku panowania Jakubowi poszczęściło się

* Por. J. S. Roskell, *The Commons in the Parliament of 1422*, Manchester 1954, oraz *English Historical Documents*, tom IV, 1327–1485, wyd. A. R. Myers, London 1969, s. 475–476. W XVI wieku ziemianie zasiadający w Izbie z okręgów miejskich z reguły sami płacili swoje koszty parlamentarne; około roku 1515 nawet *knights of the shires*, przedstawiciele hrabstw w Parlamencie, zaczęli już „podejmować” (tj. przekupywać) elektorów. W roku 1601 James Harrington, członek Izby z Rutlandii, obliczał, że zasiadanie w Parlamencie będzie go kosztowało 200 funtów. Szczegółowe omówienie tematu można znaleźć w pracy J. E. Neale, *The Elizabethan House of Commons*, London 1963, rozdz. XVI. W połowie XVII wieku fakt, że członek Izby dostaje za swą funkcję pieniądze, był najwyraźniej rzeczą niezwykłą, gdyż Aubrey opowiada o tym, jak to Andrew Marvell „cieszył się tak wielką miłością swego rodzinnego miasta, Hull, że wybrało go na swego przedstawiciela w Parlamencie i obdarowało zaszczytną pensją, żeby mógł je godnie reprezentować”. W roku 1677, pragnąc uwolnić się od patronatu [tj. korupcji] ze strony dworu, członkowie Izby bezskutecznie usiłowali przywrócić do życia dawne statuty przewidujące opłacanie członków z mocy prawa; tematu nie poruszano przez następne dwieście lat.

jak już nigdy żadnemu Stuartowi. Odkrycie, że katolicycy spiskowcy, kierowani przez jezuitów, zamierzali wysadzić w powietrze w jednej gigantycznej eksplozji króla wraz z obiema izbami Parlamentu, stanowiło patriotyczny scenariusz, który wzbudziłby nieklamany podziw nawet tak pomysłowego polityka jak Burghley; a do tego spisek naprawdę istniał i można to było udowodnić. Trudno było wymyślić zdarzenie mocniej spajające króla z uczuciami nowych poddanych – podkreślające wspólnotę ludzkiego losu, czających się zagrożeń i solidarność wszystkich stanów królestwa. Był to nieoceniony dar, zdarzenie, którego rocznica powinna być – i była – co rok świętowana na pamiątkę dramatycznych wydarzeń.

A jednak nie minęło 40 lat i naród poczuł się zmuszony wystąpić zbrojnie przeciwko królowi. Przy tym jedyny problem, jaki staje tu przed historykiem, to pytanie, dlaczego nie doszło do tego wcześniej. W istocie wszystkie poczynania i zaniechania Jakuba mogły stanowić zarzewie gwałtownego protestu. I rzeczywiście, nawet najbardziej zagorzały angielski monarchista nie mógł z czystym sumieniem darzyć kogoś takiego szacunkiem. Oto portret Jakuba pióra jednego z jego dworzan, sir Anthony Weldona:

Był średniej budowy i – choć w szatach zdawał się bardziej korpulentny niż był z natury – dość jednak otyły, szaty ciągle robiono mu szersze i luźniejsze, kubraki mocno watowane dla ochrony przed sztyletem, pudry z wieloma zakładkami i mocno wypchane. Z natury był bojaźliwy, co też było przyczyną watowanych kubraków; swymi dużymi oczami toczył za każdym nieznanym, jaki znalazł się w jego otoczeniu. Miał bardzo rzadką brodę. Język, za duży jak na jego usta, sprawiał, że zawsze mówił jakby z pełnymi ustami i pił bardzo niezgrabnie, jak gdyby przeżuwał napój, który wylewał mu się z ust i spływał do kubka po obu stronach.

Skórę miał miękką jak tafta jedwabna, i taka też była w dotyku, gdyż nigdy rąk nie mył, tylko wycierał palce delikatnie wilgotnym końcem serwetki. Prawdą jest, że pił bardzo często, ale raczej z nawyku niż z upodobania, gustując w winach takiej mocy jak *frontinack*, *canary* czy wino z High Country lub Tent i piwo szkockie, które, gdyby nie miał bardzo mocnej głowy, mogłoby mu zaszkodzić, choć rzadko pił więcej jak cztery kubki na raz, często nie więcej jak jeden czy dwa.

Jakub wyrażał się w sposób karczemny, a jego obsceniczne żarty wywoływały słabo ukrywane odruchy obrzydzenia u dworzan, którzy nie należeli przecież do ludzi nazbyt wstydliwych. Elżbieta w pewnych sytuacjach nie szczędziła mocnych słów, ale zasadniczo ceniła sobie skromność i poszanowanie przyzwoitości, miała bardzo silne poczucie godności osobistej, a jej maniery stanowiły wzór dworności i wdzięku; wyrażała się łagodnie, powściągliwa w tym, jak i we wszystkich innych sprawach, była naprawdę wielką damą, królową w każdym calu i równie wysokie wymagania stawiała dworzanom, zwłaszcza gdy szło o zachowanie wobec dam – bezwzględnie karała wszystkich, którzy

im uchybiali. Anglicy zawsze żywili podobne oczekiwania wobec swoich monarchów, uwielbiając tych, którzy im nie sprawili zawodu. Tymczasem Jakub, jakby dla kontrastu, był nieokrzesanym dzikusiem. Podczas polowania uwielbiał zanurzać swe pałkowate nogi we wnętrznościach zabitego jelenia, wywołując tym komentarz starego elżbietanina sir Johna Haringtona: „Widząc te maniere, pomyślałem, że oto dzikie bestie gonią za szlachetnym stworzeniem”. Francuski ambasador szydził zaś, że „gdy [Jakub] pragnie mówić jak król, odzywa się tonem tyrana, a gdy się zniża, staje się wulgarny”. W przeciwieństwie do Elżbiety, Jakub krył się przed widokiem poddanych; gdy mu zwrócono uwagę, że pragną jedynie ujrzeć jego oblicze, odparł: „Na rany Chrystusa! Ściągnę też spodnie, żeby zobaczyli mój tyłek”. Nie tylko masy poddanych, ale także wiele wpływowych lokalnych osobistości stwierdzało, że nie mają dostępu do króla. Elżbieta nie szczędziła starań, żeby znać osobiście wszystkich ważniejszych ludzi w królestwie. Przeglądała listy sędziów pokoju z całego kraju, zaznaczając nazwiska tych, których pragnęła ponownie widzieć na urzędzie; chwaliła się, że zna każdego z nich. Jakub nie znał nikogo poza wąskim kręgiem ludzi dworu i władzy; w dodatku, zamiast starannie równoważyć siły rywalizujących frakcji, jak to czyniła Elżbieta, dosłownie rzucał się w ramiona kolejnych faworytów: najpierw Szkota Carra, potem Villiersa, któremu nadał tytuł księcia Buckingham. Jakub nienawidził kobiet. Uwielbiał upijać młode damy, by patrzeć, jak mdleją i wymiotują u jego stóp*. A gdy tak siedział, zaśmiewając się, bawił się swymi genitaliami – odrażający nawyk, który nie uszedł niczyjej uwagi. Doprawdy, trudno było nie zauważyć jego homoseksualizmu, skoro ujawniał się z nim w towarzystwie, obdarzając lepkimi pocałunkami Jerzego Villiersa i obmacując jego ciało. Listy, jakie posyłał do swego „słodkiego dziecięcia i żony”, podpisane „twój stary, dobry ojciec i kum”, były przynajmniej prywatne; gorzej, że broniąc wobec lordów z Rady swej decyzji nadania tytułu earla młodzikowi, aby usprawiedliwić homoseksualizm, posunął się do bluźnierstwa:

Możecie być pewni, że kocham earla Buckingham bardziej niż kogokolwiek i bardziej niż was tu zebranych. Chciałbym, abyście zrozumieli, że mam do tego prawo i nie chciałbym, aby ktoś miał to za ujmę, jako że Jezus Chrystus czynił tak samo, a zatem nie można mnie za to winić. Chrystus miał swojego Jana, a ja mam swojego Jerzego.

Anglicy zawsze z odrazą patrzyli na homoseksualizm osób publicznych i karali go z dziką bezwzględnością. Bardziej znamienne, że Jakub wzbudził

* Sir John Harington („Jack” z listu królowej Elżbiety) opisał z jadowitymi szczegółami niesmaczną orgię wyprawioną w 1606 roku na cześć szwagra króla Jakuba, Christiana z Danii. „Dwór króla Jakuba – pisał z kolei Aubrey – tak dalece odbiegał od dwornych obyczajów wobec kobiet, że damy, a nawet sama królowa, nie mogły spokojnie przejść obok apartamentów króla, nie narażając się na jakiś afront”. Bardzo nieprzychylny wizerunek Jakuba można znaleźć w: J. P. Kenyon, *The Stuarts*, London 1967, bardziej zycyliwy w: David Mathew, *James I*, London 1967.

pogardę nawet francuskiego ambasadora, człowieka obytego ze znaczną tolerancją seksualną, jaka panowała na dworze Henryka IV.

Król [pisał ambasador] [...] odbył podróż do Newmarket, podobnie jak niegdyś pewien inny władca na Capri. Zabiera ze sobą swego ukochanego Buckinghama, pragnąc być mu raczej przyjacielem niż królem i kojarząc jego imię z antycznymi postaciami legendarnych przyjaciół. Takimi zwodniczymi tytułami stara się ukryć skandaliczne postępkę, a ponieważ siły zawodzą go w tej materii, karmi swe oczy tam, gdzie nie może już zadowolić swych innych zmysłów. Nieodmiennie końcem wszystkiego jest butelka.

Naturalnie, wiedza o tych poczynaniach ograniczała się do stosunkowo wąskiego kręgu, choć trudno było uniknąć plotek. Natomiast na pewno nie dawało się ukryć okrucieństwa, z jakim Jakub traktował wybitne postaci życia publicznego, a także nasilających się dowodów zepsucia i korupcji osób zajmujących kluczowe stanowiska w państwie. Sposób, w jaki świadomie zniszczył Ralegha, uczynił z niepopularnego monopolisty bohatera narodowego. Opowiadano i wierzono wówczas (dziś wiemy, że to prawda), iż Jakub celowo przekazał władzom hiszpańskim szczegóły dotyczące ostatniej wyprawy Ralegha, aby mieć pewność jego klęski. Egzekucja starego galanta i uczonego była więc w istocie morderstwem z premedytacją. Jakub zamierzał nawet otwarcie upokorzyć naród, nad którym panował, proponując królowi Hiszpanii, że przekaże mu Ralegha, tak aby można go było powiesić publicznie na placu w Madrycie, ale nawet Hiszpanie wzdrali się przed takim pomysłem. Ralegh, kończąc swoją historię świata wymownym pozdrowieniem Śmierci Mścicielki, niewątpliwie miał na myśli znenawidzonego Jakuba, choć, jak się okazało, był to trafny komentarz do losu jego syna Karola:

O Śmierci wymowna, potężna i sprawiedliwa! Przekonujesz tych, którzy niczyjej nie słuchali rady, czynisz to, czego nikt nie ośmielił się zrobić, i tego, komu świat cały pochlebiał bez miary, ty jedyna ze świata ze wzgardą usuwasz!

Jakub odebrał solidne wykształcenie zgodne z ówczesnym zwyczajem, wszelako była to stara, tacińska wiedza średniowiecznego świata. Był z niej bardzo dumny, toteż odczuwał gorzkie i mściwe rozczarowanie, gdy okazało się, że nie przyczynia się do przełamania obcości najwybitniejszych przedstawicieli nowej eksperymentalnej nauki przyrodniczej, jaką zastał w Anglii. „Jego Wysockość zasięgał rady raczej czasów minionych niż tych, co nadchodzą” – pisał Bacon. W osobie Bacona Jakub istotnie mógł mieć wyjątkowo przenikliwego doradcę, ale próżny król unikał kontaktu z człowiekiem tak bardzo przewyższającym go intelektualnie, wolał odgrywać rolę uczonego mentora wobec nieoświeconych, młodych filistrów, jak Carr czy Villiers. Jedynym intelektualnym partnerem króla był w tej sytuacji hiszpański ambasador Gondomar, człowiek

podobnej formacji, z którym mógł mamrotać długie sylogizmy po łacinie. Jakub rzeczywiście obawiał się nowej nauki i podobnie jak papieże uważał ją za czynnik wywrotowy. Elżbieta nie poddała cenzurze ani jednej pracy o charakterze naukowym, humanistycznej czy przyrodniczej. Za panowania Jakuba, a w jeszcze większym stopniu jego syna Karola, coraz trudniej było opublikować coś nowego. Niektóre najważniejsze dzieła Ralegha, Bacona i Coke'a dotarły do czytelników dopiero dzięki rewolucji parlamentarnej z lat czterdziestych XVII wieku. Jakub nie zdołał wprawdzie powstrzymać publikacji *History of the World* Ralegha, która, ku jego wściekłości, stała się autentycznym bestsellerem, jednak skonfiskował wiele rękopisów Ralegha, podobnie jak Karol uczynił z pracami Coke'a; jego oficerowie przetrząsnęli dom starego sędziego, gdy ten leżał na łożu śmierci*. Jakub rozwiązał Society of Antiquaries (Towarzystwo Miłośników Starożytności), gdyż nawet badanie przeszłości wydawało mu się nieść zagrożenie dla statycznego, zastygłego społeczeństwa, jakie pragnął stworzyć.

Stuartowie zwrócili się więc przeciw całemu potężnemu nurtowi rozwoju Anglii, jak gdyby rozpaczliwie usiłowali zatrzymać w locie pędzący w przyszłość pocisk. W dodatku zachowywali się tak, jakby posiedli szczególny, nieomylny dar urażania najgłębszych uczuć i przyzwyczajęń Anglików. Wszyscy z ulgą przyjęli koniec wojen z Hiszpanią, ale już nie projekt hiszpańskiego mariażu, który, jak rozumieli wszyscy prócz Jakuba, nieuchronnie oznaczał fundamentalne ustępstwa na rzecz interesów katolickich i kontynentalnych. Niedorzeczna ekspedycja Karola i Buckinghama po rękę infantki nie tylko upokorzyła Anglików, ale także kosztowała ich wiele bezcennych klejnotów koronnych: wielki rubin zabrany przez Henryka VIII z grobowca Becketa, który zdobił następnie królową Marię, zniknął w chciwej dłoni jakiegoś dworaka w Eskurialu. Wznowiono stosunki z Watykanem. Dokonana przez Holendrów zdradziecka masakra angielskich osadników w Amboyna [na Molukach], gorąco komentowana w całej Anglii, pozostała bez odwetu (aż do czasów Cromwella). „Heroiczne plany inwazji i opanowania Ameryki” snute przez Ralegha zostały całkowicie storpedowane; w istocie państwo w ogóle przestało popierać przedsięwzięcia kolonialne i Jakub usiłował nawet zlikwidować Kompanię Wirginii, której skarbnika, sir Edwina Sandysa, głęboko nienawidził; prywatne przedsięwzięcia kolonialne w duchu tradycji elżbietańskich kontynuowano więc wbrew ostrej opozycji Jakuba i Karola. W roku 1633 Karol posunął się nawet do tego,

* W roku 1631, gdy Karol usłyszał, że Coke zamierza napisać książkę o Wielkiej Karcie, zakazał jej publikacji. W XVII wieku uważano, że *Magna Charta* jest potencjalnym narzędziem walki z władzą wykonawczą. Clarendon, prawdopodobnie kłamliwie, opowiada, że gdy w Izbie Gmin „z całym unizieniem wspomniano o prawie i Wielkiej Karcie, Cromwell odpowiedział, że ich *magna carta* [ang. *cart* – pierdzieć] nie będzie rządzić jego poczynaniami”. W roku 1667 za ten sam żart zaatakowano w Izbie Gmin Najwyższego Sędziego Keelinga, zarzucając mu, że „skłania się ku arbitralnym rządóm w sądownictwie”.

że zabronił angielskim statkom wpływania na Morze Śródziemne. Tymczasem dworem i rządem co jakiś czas wstrząsały kolejne skandale. Żonę Carra skazano za trucicielstwo, ale wyrok ograniczył się do zesłania na wieś. Lorda Audleya skazano na śmierć za „sodomie, nienaturalne cudzołóstwo i kazirodzstwo” (był także papistą). Lord skarbnik, a potem lord kanclerz zostali uznani za winnych korupcji. Zwalniano sędziów za odmowę ferowania wyroków po myśli władz. Stosunki Jakuba z Parlamentem ostatecznie załamały się w roku 1611 i żaden król z dynastii Stuartów nie zdołał ich już naprawić, z wyjątkiem krótkiego okresu lat 1660–1661.

Nic dziwnego więc, że Anglicy w poczuciu coraz większego narodowego upokorzenia – w swego rodzaju akcie zbożnego rozpamiętywania dawnej sławy i powodzenia – zwrócili się pamięcią ku czasom Elżbiety. Rocznicę jej wstąpienia na tron, 17 listopada, świętowano ogniskami i wyraźnymi aluzjami do obecnej sytuacji. Jak musiał przyznać biskup Goodman, fanatyczny zwolennik Stuartów (w końcu został papistą):

[...] po kilku latach, które przyniosły nam szkockie rządy [...], zupełnie jakby odżyła postać Królowej; jej pamięć rozkwitła w całej świetności – takie bicie w dzwony, powszechna radość i kazania upamiętniające jej osobę, w wielu kościołach wymalowany wizerunek jej grobu, że w rezultacie głębsza powaga i większa radość towarzyszyły pamięci jej koronacji niż rocznicy przyjazdu króla Jakuba.

Czytano i pamiętano „Złotą Mowę” w jej różnych wariantach – był to rodzaj działalności wywrotowej, której Stuartowie nie mogli skutecznie cenzurować, podobnie jak nie mogli powstrzymać innych przejawów popularności Elżbiety*. Jej wyrazem był wspaniały hołd, jaki złożył małej księżniczce Szekspir w epilogu swojej ostatniej sztuki, *Henryk VIII*, a także sztuka poświęcona samej Elżbiecie, autorstwa Thomasa Heywooda, którą po raz pierwszy wydano w 1605 roku, a następnie z racji ogromnej popularności opublikowano prozą i w formie kupletów heroiczych. Obu Stuartom, Jakubowi i Karolowi, musiało się robić niedobrze na sam dźwięk imienia Elżbiety, która nawet po śmierci wydawała się mieć niewyczerpany kredyt uczuć i lojalności swych poddanych. Tam, gdzie mogli, dusili je bez skrupułów. Wspomnienia z dworu autorstwa sir Anthony Weldona, pełne wyraźnych odniesień do wspaniałości poprzedniej epoki, nie mogły ukazać się drukiem; podobnie *Life of Sidney Fulke Greville’a* z aluzjami do „zniedołożenia” i „zniewieścienia” ery Stuartów. Podobnych

* Mowa została ponownie wydrukowana w styczniu 1642 roku, w odpowiedzi na podjętą przez Karola próbę zastraszenia Parlamentu, oraz jeszcze raz w marcu 1648 roku, na progu drugiej wojny domowej. Zarówno Jakub, jak Karol nieudolnie próbowali odwoływać się do pamięci Elżbiety, ale jej czar nie chciał działać na ich korzyść. Zob. C. V. Wedgwood, *Oliver Cromwell and the Elizabethan Inheritance*, Neale Lecture 1970.

przykładów było bez liku. Jednakże pamięć czasów Elżbiety – obdarzona tą potężną siłą, jaką Anglicy zawsze nadają swym tradycjom, gdy służą one jako instrumenty bieżącej i przyszłej polityki – cały czas żyła pod powierzchnią, by z dramatyczną siłą wrócić na arenę w roku, gdy Karol, na gruzach swych rządów, zwołał ostatecznie jesienią 1640 roku Długi Parlament. Jego członkowie uważali siebie – zupełnie słusznie – za wcielenie ludzi epoki elżbietańskiej. Nie przypadkiem matka Cromwella, jego żona i ulubiona córka nosiły imię Elżbieta; sam Cromwell nieustannie odwoływał się do „sławnej pamięci Elżbiety”, a gdy znalazł się u władzy, postrzegał siebie jako, w pewnym skromnym sensie, jej prawego następcę. Nie przypadkiem też Długi Parlament, skoro tylko się zebrał, jednogłośnie obwołał rocznicę jej koronacji dniem solennych postów, pokory i modlitwy. Rankiem, w kaplicy Św. Małgorzaty w Westminsterze, kaznodzieja Cornelius Burges napominał Izby Lordów i Gmin: „Pamiętajcie i rozważcie, że tego właśnie dnia [...] przed 82 laty to królestwo poczęło na nowo powstawać z martwych”. Po południu zaś wysłuchali Stephena Marshalla: „Tego dnia, 82 lata temu, Pan objawił między nami swą Dobrą Nowinę”. Anglia była ludem wybranym, a Parlament w imieniu Anglików powinien „zawrzeć solenne przymierze z Panem”. Odradzał się patriotyczny duch Anglików.

Historia Anglii stanowi *continuum* i z niezwykłą wytrwałością powracają w niej wciąż pewne podstawowe wzory wydarzeń, nawet jeśli na długie dziesięciolecia nikną z pola widzenia. Ostatecznie zawsze odrzuca obce ciała. Dynastia Stuartów była niewątpliwie aberracją – jej destrukcja była więc nieunikniona. Zwraçała się przeciw tak podstawowej i głęboko zakorzenionej wspólnotocie narodowych przekonań, że odrzucając Stuartów, Anglicy poczuli się nagle zmuszeni działać wbrew swym najgłębszym instynktom i ważyć się na gigantyczny skok w zupełnie nieznaną przyszłość. W Wielkiej Rebelii, jak się ją mylnie nazywa, pierwotnie nie chodziło wcale o religię, konflikt klasowy, instytucję monarchii czy władzę Parlamentu albo kwestie opodatkowania i prawo własności czy ochronę poddanych przed wszechwładzą Korony – choć oczywiście dotyczyła wszystkich tych wymienionych spraw. W swej najgłębszej istocie wyrażała ona pragnienie odzyskania poczucia narodowej godności, szacunku dla siebie samych, była więc kwestią dumy i patriotyzmu; stanowiła wyraz miłości, jaką Anglicy darzyli siebie wzajem i swój kraj. Stuartowie zdradzili narodową misję Anglików; Anglicy pragnęli ją teraz odzyskać. Czytając wspaniały pamflet Milтона *Of reformation touching Church discipline* cały czas musimy pamiętać, że inspiracją dla tych wzniosłych słów, oszałamiających swą śmiałością, nie były szczegółowe kwestie zarządzania Kościołem, ale potężna, wszechograniająca wizja narodowego przeznaczenia. Monarchia przestała skupiać na sobie i spajac uwagę narodu. Niczego już nie uosobiała i nie reprezentowała nikogo; abdykowała mocą własnych szaleństw i, z konieczności, depozytariuszem zaufania

narodu stał się Parlament. Co zatem miał uczynić? Milton nie miał wątpliwości: winien poprowadzić naród wybrany w dziele sprawy Bożej. Zbliża się chwila spełnienia Bożych zamiarów, pisał, a naród Anglików, który już wcześniej często spełniał Jego poruczenia, miał ponownie stać się Jego wysłannikiem. Anglia została wybrana przez Boga, aby „zadeła w ewangeliczną trąbę przed wszystkimi narodami”. Mając cały szeroki świat do wyboru, Bóg „już dawno obdarzał tę wyspę szczególnie łaskawym spojrzeniem”. Toteż, jak głosi pamiętna fraza, Anglikom przypadła chwała i przywilej bycia „pierwszymi bojownikami w każdej wielkiej rewindykacji należnych praw”. Anglii nie wolno zapomnieć, że to jej przypadło „pierwszeństwo w nauczaniu narodów, jak mają żyć”. Teraz, jako że Bóg dekretuje „nowy i wielki okres w dziejach Swego Kościoła, aby zreformować samą reformację, nie czyni zatem nic innego jak objawia Siebie Swoim Anglikom; jak powiadam, Jego słowa zwrócone są najpierw do nas”.

Anglia, na którą patrzył Milton w roku 1640, zdawała się leżeć w gruzach. Była duchowym, moralnym i fizycznym bankrutem. Utraciła swą duszę, szacunek innych narodów, stabilność wewnętrzną i zwierzchnią pozycję na Wyspach Brytyjskich. Zniknęły wszystkie stare, dobrze znane wyznaczniki życia narodu. Bezmyślna i haniebna wyprzedaż tytułów podkopała status arystokracji. Tylko w latach 1603–1629 sprzedaż tytułów arystokratycznych, głównie w ręce niezamożnych dworzan, przyniosła ponad 620 tysięcy funtów. Stuartowie całkowicie zarzucili uprawianą przez Elżbietę politykę starannego gospodarowania honorami, których wartość polegała na rzadkości; Jakub tak wytrwale sprzedawał tytuły szlacheckie (*knighthoods*), że w końcu żaden szanujący się człowiek nie miał na tytuły ochoty, a jego syn Karol w ciągu pięciu lat obłożył ziemian odmawiających przyjęcia tytułu grzywnami na sumę 173 537 funtów. To z kolei obniżało rangę monarchii, będącej ostatecznie jedynie szczytem piramidy, której niższe szeregi zaczęły tracić jakiegokolwiek znaczenie. Obaj Stuartowie, Jakub i Karol, czuli się zobligowani do podkreślania, a nawet definiowania, szczególnej natury władzy monarszej; coś, czego Elżbieta nigdy nie musiała robić. Jednakże definicja prowokowała kontrdefinicję; tajemnica oparta na konsensie, powszechnej zgodzie, stała się przedmiotem publicznej debaty. I to jakże mizernej, zważywszy na argumentację z strony króla! Najlepsze, na co potrafił się zdobyć mętny umysł Karola, to następujące wyjaśnienie, gdy starał się wyłożyć swoją teorię władzy biskupowi Juxonowi:

Gdy chodzi o lud, prawdziwie pragnę jego wolności i swobód, równie mocno jak każdy; wszakże muszę ci powiedzieć, że ich wolności i swobody polegają na tym, że mają nad sobą rząd, owe prawa, dzięki którym mogą cieszyć się swym życiem i majątkiem. Udział w rządzeniu to nie jest coś, co się im przynależy. Poddany i władca to są dwie zupełnie odmienne istoty.

Jednakże cały polityczny rozwój angielskiego społeczeństwa dowodził, że poddany i władca to nie są dwie całkiem odrębne istoty: stanowili elementy tego samego mistycznego, tajemniczego ciała, pracowali we współdziałaniu, byli nierozłączni. „Panuję za sprawą waszej miłości” – oświadczyła raz Stara Królowa. Dość ciekawe, że fakt, iż nie można bezkarnie analizować istoty państwa, uchwycił nie kto inny jak Thomas Wentworth, earl Strafford, złowrogi wykonawca polityki Karola. Jak oświadczył Radzie Północy, gdy został mianowany jej przewodniczącym: „Kto z jakichkolwiek bądź powodów będzie próbował wnikać swymi pytaniami w prawa królów i ludu, nigdy nie będzie już w stanie na powrót spleść ich i przywrócić im poprzedniej urody i ładu, w jakim je zastał”. Król i Parlament stanowili tkaninę bez szwów; teraz została rozdarta na dwie wrogie sobie części.

W Kościele lata zgody także należały do przeszłości. Być może jej ostatnim przejawem był wielki przekład Biblii [*Authorized Version*], przy którym zgodnie współpracowali duchowni wszystkich orientacji. Od tego momentu hierarchia, pod wpływem Korony, stale przesuwiała się na prawo, w stronę przywilejów prałatów, i coraz bliżej Rzymu. Zarzucono strategię Elżbiety polegającą na trzymaniu religii z dala od polityki. Znaczna część Anglików, którzy pozostali wierni umiarkowanej, centrowej pozycji, charakterystycznej dla Kościoła elżbietańskiego, dowiadywała się teraz, że są purytanami i prezbyterianami. W istocie byli anglikanami, których do opozycji wobec biskupów zmuszała postępująca romanizacja episkopatu. Niewykluczone, że arcybiskup Laud i Karol całkiem szczerze zapewniali, że nie pragną podporządkowania Kościoła Rzymowi, jednak na to właśnie wskazywała logika wszystkich podejmowanych przez nich działań. Stworzone przez Lauda imperium kościelne w sądownictwie stanowiło wierną kopię programu Hildebranda, z którym naród angielski walczył, w końcu z powodzeniem, przez stulecia. Zaczęto odwracać bieg reformacji. Podjęta przez Karola próba narzucenia rzymskiego systemu kościelnego Szkotom nie tylko przyczyniła się do jego ostatecznego upadku, ale także stanowiła jakże wyraźny dla Anglików sygnał, że Karol pragnie cofnąć wskazówki zegara dziejów we wszystkich dziedzinach. Laud już się do tego zabrał. Wydany jeszcze przed śmiercią Jakuba dekret z roku 1624 zabraniał druku i sprowadzania wszelkich książek dotyczących religii, organizacji Kościoła i spraw państwowych bez uprzedniej zgody władz; w roku 1637 Laud uzyskał dekret Izby Gwiazdziej zakazujący druku, reprodukcji i sprowadzania wszelkich książek bez jego zgody. Drukarzy omijających zakazy karano pręgierzem i chłostą, a czołowych dysydentów, jak np. Prynne’a, skazano na okaleczenie [obcięto mu uszy]. Charakterystyczne, że Laud zakazał publikacji wielkiej księgi Foxe’a, która w sercach Anglików ustępowała tylko Biblii. A także, co znamienne, gdy pewien autor zwrócił się w 1637 roku do Karola o zgodę na ponowny druk swojego poematu upamiętniającego wykrycie Spisku Prochowego, spotkał się z odmową:

„Nie jesteśmy dziś aż tak źli na papistów, jak byliśmy 20 lat temu”. Anglicy nie mieli wątpliwości, że Laud zamierza negocjować nowe więzi ich Kościoła z Rzymem; jego polityka zmierzała nieuchronnie w tym kierunku. W Londynie i innych miastach otwarcie odprawiano mszę, a Karol coraz bardziej stawał się nie tyle głową Kościoła, co jego zwykłym członkiem, tak jak jego średniowieczni poprzednicy, a także współcześni mu władcy na kontynencie.

Konsens w sferze władzy także kompletnie się załamał. Państwo było bankrutem. W ciągu minionych stu lat dochody Korony wzrosły tylko trzykrotnie, podczas gdy ceny wzrosły ponad czterokrotnie. Za panowania Jakuba i jego syna sprzedaż gruntów koronnych odbywała się w przyśpieszonym tempie. Żaden z nich nie miał najmniejszego poczucia wartości pieniądza, nie umiał zarządzać posiadanymi zasobami. Samej tylko arystokracji rozdali podarunki i fawory warte 3 miliony funtów. Przekształcili system monopoli, który budził wzburzenie już za Elżbiety, w ogólnonarodowy skandal, sami nie odnosząc przy tym żadnych większych korzyści; Pym powiedział na przykład Izbie Gmin, że monopol winny zarabiał 360 tysięcy funtów rocznie, ale Karol dostawał z tego mniej niż 30 tysięcy. Próby wprowadzenia na dwór doradców finansowych z zewnątrz, jak choćby Lionela Cranfielda, potentata z City, prowadziły jedynie do nowych skandali. Gdy Karol usiłował utrzymać się z pieniędzy zebranych od syndykatów z City, nieomal doprowadził je do bankructwa, podobnie jak Edward III trzysta lat wcześniej. Nie mógł natomiast uzyskać pieniędzy legalnie, w postaci subwencji Parlamentu, ponieważ nie chciał uznać roli Parlamentu w systemie władzy opartym na konsensie; nie chciał uznać, że w ogóle potrzebny jest jakiś konsens. Usiłował zbierać podatki metodami pozaprawnymi, ale bez powodzenia – w końcu Parlament powstał właśnie po to, żeby praktycznie zagwarantować ściągalność nałożonych podatków; do tego właśnie służyła Izba Gmin. Bez pomocy Parlamentu Korona nie mogła marzyć o zebraniu pieniędzy i to niezależnie od tego, do jakich wyroków mogłaby przymusić sądy. Podatek okrętowy rodził wściekłość i opozycję, ale przynosił coraz mniej gotówki; z czasem koszty jego ściągania przekroczyły wpływy. Zrozpaczony Karol zwrócił się w końcu do wrogów Anglii za granicą. Dostał trochę od Hiszpanii w zamian za nieczne usługi przeciw własnym poddanym. Zaaapelował do papieża. Jakże się musiał śmiać stary *pontifex*! Na jakim świecie Karol żyje? – zapytał. – Czy nie wie, że papież nie d a j ą pieniędzy, tylko je b i o r ą ?

Konsens w dziedzinie prawa także należał do przeszłości. Odwieczny system, mimo całego uwielbienia, jakim go Anglicy darzyli, na ich oczach ulegał zupełnemu rozkładowi. Sądy prawa powszechnego, *common law*, traciły na znaczeniu albo były w ogóle pomijane, a ich sędziów zwalniano lub terroryzowano. Sądy specjalne, prerogatywne, którymi Tudorowie z taką zrećnością posłużyli się, żeby zapewnić Koronie monopol na stosowanie przemocy

i podkreślić jedność narodu, stały się narzędziami dzielenia społeczeństwa, potwornymi instrumentami tyranii, całkowicie poza wszelką kontrolą prawa. Co więcej, broniły się przed krytyką z dziką bezwzględnością, przed którą żaden Anglik, niezależnie od statusu, nie mógł czuć się bezpiecznie. W roku 1638 za rzekomą obrazę trybunału Izby Gwiazdzistej, przestępstwo nie znane prawu zwyczajowemu czy statutowemu, sir Thomas Wiseman został skazany na 10 tysięcy funtów grzywny i 7 tysięcy odszkodowania, pozbawiony tytułu baroneta, szlachectwa, skazany na obcięcie uszu, pręgierz oraz więzienie na czas nieokreślony, wedle woli i życzenia monarchy. Gdy prawo nie tylko zawodzi jako gwarant bezpieczeństwa życia i własności, ale wręcz samo stanowi źródło zagrożenia dla obu, poddany zostaje zwolniony z posłuszeństwa wobec prawa i społeczeństwo obywatelskie się rozpada.

Takie były odczucia Anglików w roku 1640, i to nie tylko na poziomie jednostek, ale także w sensie społecznym, w skali całego narodu. Jeżeli ludzie mogli zawrzeć kontrakt z Bogiem, to tak samo ich stosunki z królem czy państwem miały charakter umowy; jeżeli król nie wywiązywał się z umowy, zaniebując swe obowiązki władcy, kontrakt tracił ważność i należało zawrzeć nowy, precyzyjniej formułując warunki. Na czym polega podstawowa rola władzy? Na obronie królestwa. To właśnie na tym polu najwyraźniej było widać niepowodzenia Karola. Lata 1629–1640 stanowiły ostatni w dziejach Anglii okres jednoosobowych rządów monarchy i zapisały się jako totalna katastrofa. Jakub kompromitująco zawiódł jako obrońca protestanckich interesów w Niemczech; Karol porzucił sprawę protestancką we Francji po upokorzeniu w La Rochelle. Od tego momentu Anglia utraciła wszelkie wpływy na kontynencie. Zarzucono elżbietańską ideę panowania na morzach – i to nawet przybrzeżnych, w Kanale i na Morzu Irlandzkim. W roku 1631 piraci północnoafrykańscy bezkarnie najechali wybrzeża Irlandii i Kornwalii, biorąc w niewolę wielu poddanych króla Anglii. Statki, które Karol zamierzał zbudować za pieniądze z podatku okrętowego, miały jedynie wzbudzać szacunek dla jego władzy na wodach Kanalu, a nie posłużyć do reaktywowania polityki elżbietańskiej. W roku 1639, wobec dominacji Holendrów na morzach, Karol podjął się, za gotówkę, przewieźć przez tereny angielskie żołąd dla wojsk hiszpańskich walczących w Niderlandach – osobliwa rola dla angielskiego monarchy. Cała sprawa wyszła na jaw wskutek potyczki między statkami hiszpańskimi i holenderskimi na angielskich wodach terytorialnych, kiedy to Holendrzy pognali pokonanych Hiszpanów na brzeg, bez żadnej przeszkody czy protestu ze strony władz angielskich. Anglicy byli zaszokowani nie tyle samą obrazą, co brakiem reakcji: była to pierwsza rzecz, o którą zamierzał zapytać króla Parlament, gdy wreszcie został zwołany.

Ostateczne upokorzenie przyniosła jednak utrata zwierzchnictwa na Wyspach Brytyjskich. Karol usiłował narzucić swoją wolę Szkotom i nie tylko poniósł porażkę, ale w dodatku został kompletnie rozgromiony: armia szkocka

zajęła hrabstwo Northumberland i wiele miast na północnym wschodzie, a Karol mógł powstrzymać ich dalszy marsz na południe jedynie za cenę ogromnych sum, których nie miał. Wydało się Anglikom niepojęte, że dożyli dni, gdy „takie żebracze padalce podnoszą swe rogi” i mają być zdani na łaskę „pustogłowych gamoni” i „zdziczałych szaleńców”. Ale i tak – przy całej swej nienawiści do Szkotów i strachu przed nimi – jeszcze bardziej bali się i nienawidzili Irlandczyków; i to właśnie Irlandczycy, wzniecając kolejny bunt, ostatecznie doprowadzili do upadku absolutyzmu Stuartów. Do Londynu dotarły wieści, że irlandzcy katolicy powstali *en masse* i wyrznęli w pień wszystkich protestantów; że w Irlandii nie ma już żadnej władzy świeckiej zdolnej ich powstrzymać i że wkrótce będą w Anglii. Bunt w Irlandii stał się niespodziewanym ciosem, który przekształcił narastającą recesję w katastrofalne załamanie rynku, najgorsze od niepamiętnych czasów. Kryzys uderzył z niesłychaną mocą w najbardziej rozwinięty gospodarczo region, południowo-wschodnią Anglię, a zwłaszcza w przemysł sukienniczy. Wśród historycznych nawoływań do działania na Londyn ruszyły wielotysięczne deputacje pod wodzą urzędników miejskich i miejscowego ziemiaństwa, z petycjami i żądaniem odszkodowań. W tej sytuacji kryzys, tak czy inaczej, musiał doprowadzić do zmiany rządów; wszelako wraz z kilkoma innymi czynnikami doprowadził do zmiany ustroju.

Najtrudniej przychodziło jednak ludziom uwierzyć, że te wszystkie nieszczęścia, które spadły na Anglię, stanowiły czysty zbieg niefortunnych przypadków: przecież nawet największa nieudolność ze strony Karola i jego ministrów nie mogła spowodować takiej ogólnonarodowej katastrofy w każdej sferze aktywności państwa. To musiał być spisek. Zaczęto podejrzewać – a na pozór przemawiało za tym wiele dowodów – że Karol, Strafford i Laud świadomie dążą do zniszczenia angielskich wolności i religii protestanckiej, pragnąc ustanowić na ich miejscu katolicką monarchię absolutną na wzór kontynentalny. Porozumienie z Hiszpanią, negocjacje z Rzymem, zubożenie protestanckiego matecznika w Londynie i regionie południowo-wschodnim, który stanowił zawsze oparcie dla konsensu politycznego wypracowanego przez Tudorów – wszystko to zdawało się zmierzać w jednym kierunku. W całej Europie rozwiązania ustrojowe oparte na dawnych średniowiecznych podstawach padały pod ciosami tyranii: w Kastylii i Aragonii padły Kortezy, Richelieu zniszczył Stany Generalne we Francji, Gustaw Adolf zabił Riksdag w Szwecji. Czy angielski Parlament miał być następny? Jeden z parlamentarzystów – dworzanin Karola – sformułował w roku 1628 otwarte ostrzeżenie:

Nie gniewajcie Jego Wysokości atakami na jego prerogatywy, abyście nie zniszczyli w nim miłości, jaką obdarza parlamenty [...] We wszystkich chrześcijańskich królestwach, jak wiecie, parlamenty były od niepamiętnych czasów, dopóki monarchowie nie zaczęli rozeznawać się w swej własnej sile; a widząc niespokojność ducha swoich

parlamentów, zaczęli, krok po kroku, obstawać przy swoich prerogatywach, aż w końcu jęli obalać parlamenty w całym chrześcijaństwie, z wyjątkiem naszego kraju [...]

Jednak ludzie zasiadający w Długim Parlamencie wcale nie mieli wrażenia, że będzie to „krok po kroku”, ale że raczej nastąpi nagły i bezpośredni zamach na cały angielski ustrój polityczny. Wykonawcą planu miał być Strafford, a jego narzędziem – armia szkocka albo irlandzka lub jakaś armia z kontynentu (krążyły fantastyczne i atawistyczne pogłoski, że Duńczycy lądują na wschodnim wybrzeżu), albo wszystkie trzy na raz. Na złowrogie wezwanie króla powstaną regiony, o których Henryk VIII powiedział niegdyś, że to „najbardziej dzikie i nieokrzesane hrabstwa królestwa”, innymi słowy, jak to ujął pewien członek Parlamentu z Gloucester, „wyjdą ze ślepej Walii i innych mrocznych krańców ziemi”. Król nie tylko zdradził misję Anglików, ale wręcz zaczął zagrażać leżącemu u jej podstaw poczuciu tożsamości etnicznej. Szło już nie o klasę czy religię – zagrożona była sama angielska cywilizacja.

Na tym tle wydarzenia lat 1640–1660 przestają więc jawić się jako wynaturzenie, aberracja, ale stanowią powrót do pewnych głównych nurtów dziejów Anglii. I znów, jak to zwykle bywa z Anglikami, okazuje się, że bieg wydarzeń zdominowały trzy istotne paradoksy. Po pierwsze więc, to nieprawda, że Parlament obalił rządy Karola. Wprost przeciwnie, upadły z własnej nieprzymuszonej woli. W chwili gdy zwoływano Długi Parlament państwo przestało już spełniać wiele ze swych funkcji. Wedle trafnej oceny Parlamentu jedynym skutecznym sługą Karola był Strafford; skoro tylko został aresztowany i stracony [jako zdrajca], „stuknięty w łeb jak dzika bestia”, by użyć słów jednego z parlamentarzystów, aparat władzy uległ kompletnej dezintegracji. Wielu ministrów uciekło za granicę. Pozostali oddali się Parlamentowi do dyspozycji, prosząc o rozkazy i pełnomocnictwa*. Karol został bez skarbu, bez armii, aparatu sędziowskiego i administracji. Wściekły, zdumiony i niemal kompletnie samotny podążył bez żadnego widocznego celu do Yorku, gdzie zwołał coś, co w jego intencji miało być (tak można przypuszczać) wielką radą królestwa – zgromadzeniem, które już w XII wieku wydawałoby się anachronizmem – ale nikt się nie stawił. Nie wiedział, co robić dalej. (Jedyne zdecydowane posunięcie Karola w Yorku – rozpaczliwa próba odzyskania wpływów i rozwiązania wątpliwości co do jego lojalności wobec państwa – polegało na schwyтaniu i powieszeniu

* Zob. Perez Zagorin, *The Court and the Country: The Beginnings of the English Revolution*, London 1969, s. 210. Jeśli chodzi o zachowania administracji królewskiej podczas wojny domowej, zob. G. E. Aylmer, *The King's Servants: the Civil Service of Charles I, 1625–1642*, London 1961, s. 337–417. Najlepsza współczesna praca na temat tego okresu to: Ivan Roots, *The Great Rebellion, 1642–1660*, London 1966.

dwu księży katolickich, z których jeden był bezbronnym dziewięćdziesięcioletnim starcem; sądzę, że to okrutne i bezcelowe morderstwo zwalnia Anglików, dziś i wówczas, z wszelkiego moralnego obowiązku współczucia wobec tego z góry skazanego na klęskę monarchy.) Karol w efekcie abdykował; w tej sytuacji Parlament musiał wypełnić próżnię władzy i zagwarantować bezpieczeństwo zagrożonemu krajowi, który został porzucony i zdany na łaskę wrogów. Parlament formalnie zaprosił monarchę do konsultacji w sprawach kierowania krajem; wezwał króla do stawienia, tak jak uprzednio Korona zwykła zwoływać Parlament; nie było jednak żadnej odpowiedzi.

W istocie w terminach prawnych reakcję króla można zinterpretować jako akt buntu – i tu leży drugi paradoks. Wznosząc swój sztandar w Nottingham, Karol uczynił gest tradycyjnie związany z buntem wobec legalnej władzy (choć sprawa była i jest dyskusyjna). Wyatt „wzniósł swój sztandar” w roku 1554, Northumberland w 1569; planujący rebelię w roku 1601 Essex został zmuszony przez swych stronników do rozwinięcia sztandarów w Walii. Taki akt zwykle figurował w formalnych oskarżeniach o zdradę. Stąd logiczna konkluzja w akcie oskarżenia wysuniętym przez Parlament wobec Karola, że zbuntował się nie tylko przeciw narodowi, ale także przeciw samej Koronie.

To zaś naturalnie wyjaśnia słaby odzew, jaki wzbudziła akcja Karola. Tu jednak dochodzimy do trzeciego paradoksu: wojna domowa wybuchła właśnie dlatego, że Karol był całkowicie osamotniony. Parlament zorganizował swą armię jedynie na pokaz, jako *bluff*; nikomu nie przyszło do głowy, że może być naprawdę potrzebna. Powszechnie sądzono, że król poczuje się zobowiązany do podporządkowania się narodowi i zaakceptuje jego warunki. Jednakże przyjęcie takiego założenia wywołało w efekcie zmianę nastawień. Król usiłował zniszczyć porządek konstytucyjny, co zostało udaremnione. Teraz jednak sam fakt jego słabości i izolacji groził powstaniem radykalnej nierównowagi sił na korzyść drugiego bieguna sceny politycznej. A w każdym razie tak zaczął interpretować sytuację znaczny odłam klas posiadających; ludowe powstanie na południowym wschodzie, nasilające się w latach 1641–1642 ataki na domy ludzi zamożnych wydawały się potwierdzać obawy. Nastąpiło więc wyczuwalne przesunięcie uczuć opinii publicznej w stronę króla, wypływające jednak wcale nie z pragnienia przyłączenia się do jego zbrojnego buntu – nikt nie wierzył, że do tego dojdzie – ale z chęci takiego poszerzenia bazy jego zwolenników, aby stworzyć konstytucyjną pozycję przetargową i w ten sposób odtworzyć tradycyjną równowagę sił, jaka istniała za czasów Elżbiety. Obie strony w istocie pragnęły powrotu tamtego porządku i na tym polega tragizm ówczesnej sytuacji. Jedynie Karol, jego rodzina i grono najbliższych zwolenników woleli wojnę od kompromisu. Wszelako Karol przekształcił to politycznie motywowane poparcie w instrument militarny; było wystarczająco silne, by wraz

z aliantami z kontynentu, siłami prokatolickimi i ekonomicznie zacofanymi regionami wysp wszcząć wojnę domową. Była to jednak przerażająco chybiona kalkulacja, zamęt, z którego po raz pierwszy angielski geniusz konstruktywnej hipokryzji nie potrafił się wymotać i dla przywrócenia politycznego konsensu trzeba było użyć siły.

Tak oto Anglicy nagle znaleźli się w sytuacji zupełnie dla siebie nowej, wobec czegoś, przed czym wszystkie instynkty nakazywały im się wzdragać z najwyższą obawą – w sytuacji bezprecedensowego kryzysu, dla której historyczna pamięć narodu nie dostarczała ani oczywistych rozwiązań, ani wskazówek postępowania. Rewolucjoniści w Ameryce, we Francji i carskiej Rosji mieli w przyszłości odziedziczyć szacowny korpus rewolucyjnej teorii i praktyki, wywodzących się właśnie z angielskich doświadczeń. Sami Anglicy nie mieli żadnych, choćby namiastkowo podobnych, wzorów. Powstanie w Niderlandach było wojną przeciw obcemu despotyzmowi; pouczające były dzieje Wenecji, ale nie odpowiadały angielskim warunkom. Oba przypadki studiowano zresztą bardzo wnikliwie, czerpiąc wiedzę z pierwszej ręki: ponad stu Anglików rocznie jeździło na studia do Lejdy, bywali także (np. Milton) w Padwie, która dzięki protekcji Wenecji, z dala od nadzoru inkwizycji, stanowiła najbardziej wolny uniwersytet w katolickiej Europie. Jednak we wszystkich podstawowych kwestiach Anglicy byli zdani na własną historię i własną tradycję intelektualną.

Ta ostatnia nie była przy tym wcale tak mizerna, jak mogłoby się wydawać. Reformacja dokonała swego. Zniesienie dawnej cenzury kościelnej za Edwarda VI, rozwój anglikańskich szkół i kolegów, a zwłaszcza rozkwit nauczania w rodzimym języku, zaowocowały powstaniem wielu dzieł niezależnej myśli, silnie nacechowanych akcentami narodowymi, równocześnie jednak podporządkowanych zasadom nowej, rodzącej się filozofii empirycznej, która odrzucała zatechły, zamknięty obieg myśli świata rzymsko-średniowiecznego. W ciągu jednego stulecia, począwszy od lat sześćdziesiątych XVI wieku, Anglia z kraju zacofanego stała się, dzięki rewolucji technologicznej – opartej głównie na udoskonalaniu przyrządów pomiarowych – intelektualnym liderem i na progu wojny domowej w dziedzinie techniki była najbardziej rozwiniętym krajem na świecie. To prawda, że wprowadzenie ścisłej cenzury i dążenie Lauda do poddania całego życia umysłowego silnej kontroli władz kościelnych zahamowało rozwój i szerzenie wiedzy. Laud zamknął usta wielu badaczom, a innych zmusił do emigracji. Wykorzystując monopolistyczną pozycję Oksfordu i Cambridge – stanowiących wówczas, jak i później, główne przeszkody na drodze rozwoju wiedzy w Anglii – starał się na powrót wyczarować świat średniowiecza. W swoich dążeniach spotkał się z entuzjastycznym poparciem starszej generacji donów, pełnych obaw, że nowa nauka zagrozi ich statusowi i dochodom. Poparli go także czołowi przedstawiciele świata medycznego z College of Physicians, kurczowo wierni starożytnej pseudonauce Hipokratesa i Galena.

W 1635 roku Laud, który wraz z innymi biskupami udzielał licencji lekarzom, chirurgom i akuszerkom, ograniczył prawo praktyki medycznej do osób z tytułem akademickim, eliminując w ten sposób lekarzy o nastawieniu empirycznym. Żaden z czołowych przyrodników i matematyków nie znalazł zatrudnienia na uniwersytetach. Biskup Williams lamentował: „I cóż to za smutne położenie, że w tak wielkim i zasobnym królestwie nie ma publicznej zachęty do tego, aby doskonalić się w jakiegokolwiek profesji poza teologią i prawem”.

Jednakże, mimo wszystkich przeszkód, rozwój nauki nie uległ zahamowaniu. W roku 1614 Szkot John Barclay zauważył: „Nie ma w filozofii i matematyce, geografii i astronomii myśli tak płodnej i zdumiewającej, która by nie powstała na tej wyspie lubo nie znalazła tu zwolenników i wnikliwych praktyków”. Dla londyńskiej społeczności naukowej i handlowej twierdzą nowych prądów i poglądów stał się Gresham College, gdzie zgodnie z wolą założyciela wykładano zarówno po łacinie, jak po angielsku, i który zyskał sobie ten rodzaj poważania, jaki London School of Economics zdobyła pod wodzą Laskiego, stając się uczelnią śmiałą, nonkonformistyczną, niebezpieczną dla Kościoła i państwa. Mimo cenzury wiele dzieł przedostawało się przez oka sieci, w tym niezmiennie popularna *History* Raleigha. Wywrotowe manuskrypty krążyły z rąk do rąk, podobnie jak dziś w ZSRR [pisane w 1970 r.]. Zarówno Pym, jak Hampden mieli, na przykład, kopie zakazanych prac Raleigha. W Anglii istniał potężny podziemny świat intelektualny, który momentalnie dał o sobie znać z chwilą zwołania Długiego Parlamentu.

Nowa nauka stanowiła przy tym materiał wywrotowy bardziej przez sposób, w jaki ją odbierano, niż przez wzgląd na jej intencje. I jakkolwiek Raleigh był, według króla Jakuba, „zbyt cięty w krytyce książąt”, stary elżbietanin wcale nie nawoływał do buntu. Wskazywał jedynie, że jak dowodzi historia, ludy istotnie obalały tyranów; ale już samo to, w połączeniu z doktryną Foxe’a o duchowej powinności stawiania oporu, wystarczało. Co więcej, Raleigh nie krył, że biorąc pod uwagę naturę angielskiego społeczeństwa, całkiem prawdopodobne było powodzenie takiego oporu. „Rolnicy i *yeomani* Anglii są najbardziej wolni ze wszystkich [rolników] na świecie [...], a to nie niewolnik, ale człek wolny ma odwagę i poczucie wstydu chroniące przed tchórzostwem”. W przeciwieństwie do Francji, gdzie lud nie ma „ani odwagi, ani broni”, „siła Anglii w rzeczy samej opiera się na ludzie i *yeomanach*”. Podkreślał także nowe znaczenie *gentry*, „zastępów ładu i porządku w królestwie”. „Przeto na lud, w tych ostatnich czasach, należy zważać nie mniej niż na lordów”.

Bacon także był bystrym obserwatorem zmian, jakie zachodziły w społeczeństwie, choć postrzegał je głównie w kategoriach ekonomicznych. Wielbił Niderlandy, gdzie „bogactwo znajdowało się w wielu rękach”, i widział oczyma duszy Anglię, w której „[bogactwo] jest udziałem kupców, mieszczan, rzemieślników, drobnych posiadaczy ziemi, farmerów na wsi i im podobnych”. Politycz-

nie był zwolennikiem monarchii, a nie Parlamentu – i to, w pewnym sensie, monarchii absolutnej – wszelako istotną i rewolucyjną treścią, jaką znajdowano w jego dziełach, był zadający kłam jego politycznym przeglądom intelektualny empiryzm. Społeczeństwo średniowiecza tkwiło w poddaństwie, ponieważ zgodnie sądzono, że postęp w świecie doczesnym jest niemożliwy: człowiek żył w dolinie płaczu, z której uwolnić mogły go jedynie śmierć i zbawienie. Wszelki postęp umysłowy polegał wyłącznie na dochodzeniu do coraz precyzyjniejszych rozróżnień pojęciowych w obrębie posiadanego systemu wiedzy, za pomocą czysto werbalnych metod sporu i analizy. Bacon odrzucił oba te założenia ze wzgardą. „Poznanie, osiągnąwszy wyzwolenie – by tak rzec, wiek dojrzałości [...] musi z konieczności zapewnić poprawę ludzkiego bytu i wzrost panowania człowieka nad naturą”. Słowne dysputy były więc jałowe, w istocie szkodliwe: „spory religijne [...] nieuchronnie muszą hamować postęp nauki”. Rodzą to, co Milton nazywał „tym beczelnym jarzmem kasty kapłańskiej, pod brzemieniem inkwizytorskiej i tyrańskiej głupoty, której żaden wolny i wspaniały duch kwitnąć nie może”. Jedyna droga do postępu wiodła przez działanie, empiryczne eksperymenty: „Wytrwałość rękodzielników przynosi pewne drobne udoskonalenia rzeczy już wynalezionych, a przypadek pozwala nam czasem natknąć się podczas eksperymentów na coś zgoła nowego, wszelako wszystkie dysputy uczonych mężów nigdy nie doprowadziły do odkrycia żadnej naturalnej przyczyny, której by dotąd nie znano”. Świat zmienił się pod wpływem druku, prochu i kompasu, i na wszystkie trzy ludzie „wpadli za sprawą przypadku”. Jeśli przypadek, traf, może czynić takie cuda, o ileż szybszy będzie postęp, gdy eksperymenty będziemy planować, koordynować i wspierać wszelkimi zasobami państwa. „Naturę można podbić jedynie słuchając jej głosu [...], wiedza i władza człowieka w końcu staną się tym samym. Ci, którzy są nieświadomi przyczyn, zawodzą w działaniu”. Bacon był jednak prawdziwym Anglikiem, toteż uważał, że ten triumf człowieka nad naturą będzie równoznaczny z odzyskaniem dawnej szczęśliwości – rewolucja naukowa nie tyle wystrzeli rodzaj ludzki w przyszłość, co zniesie konsekwencje Upadku i przywróci dzieciom Adama (którymi, naturalnie, są głównie Anglicy) ich utracone dziedzictwo. Trudno byłoby jednak Baconowi przypuszczać, że taki „postęp w przeszłość” spotka się z wdzięcznym przyjęciem ze strony monarchy pokroju Jakuba, który pragnął, aby jego poddani byli równie „nieświadomi przyczyn” co „zawodni w działaniu”.

Dość ciekawe, że twórcą praktycznej ideologii oporu, której brakowało w tych szeroko zakrojonych koncepcjach intelektualnej rewolty, był śmiertelny wróg i rywal Bacona, Coke. Można powiedzieć, że prawnicy – a Coke stanowił prawdziwe ucieleśnienie ducha tej profesji – byli tyleż ojcami angielskiej rewolucji, co jej grabarzami. Coke dużo szybciej niż Bacon trafił do umysłów Anglików, zwłaszcza członków Parlamentu pochodzących z *gentry*, ponieważ

nauczał, że monarchia Stuartów zasadniczo stanowi odstępstwo od tradycji angielskiej, a ich poczynania nie sankcjonuje żaden starożytny precedens – i to było właśnie to, co Anglicy pragnęli usłyszeć. Ten nieprzyjemny stary sędzia, który potrafił przywiązać swoją córkę do łóżka i tak długo bić ją bez litości, póki nie zgodziła się poślubić człowieka, który miał mu zapewnić powodzenie u dworu, wiedział więcej na temat prawa niż ktokolwiek inny w królestwie. Czego nie wiedział, to wymyślił, tak żeby pasowało do koncepcji, i nikt nie ośmielił mu się przeciwstawić. Sprowadzając prawo powszechne, *common law*, do zbioru obszernych komentarzy, w istocie obdarzył Anglię czymś na kształt zagmatwanej, pisanej konstytucji, opartej na prawie zwyczajowym i statutowym (w opozycji do aktów sądów królewskich) oraz idei suwerenności Parlamentu (w opozycji do prerogatyw Korony). Jego koncepcje można w skrócie nazwać utylitarystycznym mitem; nauczał na przykład, że instytucja Parlamentu sięga czasów sprzed pojawienia się króla Artura i dopiero w latach sześćdziesiątych XVII wieku królewscy uczeni, przekopując się przez foliały zgromadzone w Tower, odkryli, że Parlament powstał za Plantagenetów. Z drugiej strony był to rodzaj twórczego uprawiania historii, jakim Anglicy zawsze posługiwali się dla celów politycznych – świecki odpowiednik teorii narodu wybranego stworzonej przez Foxe'a – kreujący ideowe źródło dla nowego konsensu w Parlamencie. Podobnie jak to się działo w przeszłości, przywołano rewolucyjny konserwatyzm, aby usunąć z nawy angielskiego państwa znieawidzoną innowację rządów Stuartów. Prawo powszechne, *common law*, powiada Coke, „stanowi wyraz absolutnej doskonałości rozumu [...], wydoskonalone i oczyszczone przez wszystkich najmądrszych ludzi w minionych wiekach [...], i bez narażania się na wielkie ryzyko i niebezpieczeństwo, nie można go poprawiać ani zmieniać”. I cóż miałby nieoświecony król Szkotów odpowiedzieć na tak majestatyczne i lapidarne frazy? W ten sposób prawo posłużyło starymu sędziemu do zniszczenia odziedziczonej przez Jakuba struktury państwa Tudorów, która opierała się na monarszej prerogatywie. Coke miał także dar układania celnych wyrażań, które następnie mniej uczeni członkowie Izby mogli bezmyślnie powtarzać jako odkrywcze dogmaty. Jakim prawem królewscy oficerowie mogli ośmielać się przeszukiwać czyjaś majątność, skoro „dla Anglika jego dom jest jego twierdzą”? Monopole były z kolei po prostu sprzeczne z artykułami 29 i 30 Wielkiej Karty, a „*Magna Charta* jest takim jegomościem, który nie zna nad sobą władcy”. Każdy Anglik, powiada Coke, przychodzi na świat obdarzony bezcennym dziedzictwem, którego poskapiono niższym rodzajem: „Starożytne i doskonałe prawa Anglii są przyrodzonym i najbardziej dostojnym, a też najlepszym dziedzictwem, jakie mają poddani tego królestwa, jako że dzięki niemu nie tylko mogą cieszyć się swym własnym dziedzictwem i majątnością w radości i pokoju, ale także bezpieczeństwem swoim i swego najdroższego kraju”. Jeśli król swą polityką

staje na drodze do tej szczęśliwości, działa poza prawem i poddani nie tylko mogą, ale są wręcz zobowiązani mu się przeciwstawić. W ten sposób widzimy, że Henryk VIII, przeszukując archiwa, aby dowieść swych racji wobec papieża, ustanowił wzorzec postępowania, który wykorzystano przeciw jego spadkobiercom, by pozbawić ich wszystkiego, co uważał za swe niewzruszone zdobycze.

Tak więc pod sztandarami Foxe'a i Coke'a „naród parlamentarny”, pewny swych racji historycznych i w poczuciu misji, ruszył na wojnę przeciw zbuntowanemu królowi. Jednakże trąby brzmiały niezbyt pewnie i mury Jerycha nie runęły od razu. Pym, zręczny przywódca Parlamentu, potrafił w walce z Karolem doskonale wykorzystać niejasno określone uprawnienia i procedury Izby Gmin; w dodatku z instynktem prawdziwego rewolucjonisty ponad poszukiwanie chwiejnego konsensu całej Izby przedkładał zdecydowane działania wąskich elit. Po odejściu z obu Izb rojalistów miał wolną rękę w kwestiach konstytucyjnych. Jednak ani on, ani earl Essex [wódz naczelny wojsk Parlamentu] nie mogli wygrywać bitew. W tej sytuacji niewielki krąg prawników i ziemian, którzy kierowali pierwszą fazą wojny domowej, dążący w istocie do rozwiązań w duchu późniejszego kompromisu wigowskiego z roku 1688, nie miał innego wyjścia jak odwołać się, *in extremis*, do pomocy niższych warstw społeczeństwa i włączyć je w obręb „narodu politycznego” w roli wojowników – obrońców konstytucji. Ostatecznie Parlament wygrał wojnę bez trudu, ponieważ Armia Nowego Wzoru dała swoim żołnierzom prawa wyborcze. Jej oficerowie i szeregowcy na ogół nie mieli dotąd prawa udziału w życiu politycznym i życiu Kościoła państwowego. Byli to kupcy, rzemieślnicy, farmerzy, także robotnicy lub posiadacze tak niedużych majątków, że z trudem przekraczali barierę cenzusu wyborczego. Nawet dowódcy regimentów pochodzili z niższych klas. Pułkownik Ewer był służącym, Harrison synem rzeźnika, Pride woźnicą u piwowara, Okey wyrabiał świece łojowe, Hewson był szewcem, Goffe solarzem, Barkstead złotnikiem, Berry kancelistą, Kelsey wyrabiał guziki. Cromwell nie chciał mallowanych oficerów, jak earl Manchester, ponieważ sądził, że „dopiero wtedy będzie lepiej, gdy Manchester będzie się zwał Mr Montague”. „Lepsi prości ludzie niż żadni”. Natomiast w oddziałach pragnął mieć ludzi, którzy mając już niewielki majątek, chcą i potrafią go pomnożyć, „dobrze uzbrojeni wewnątrz w spokojność sumienia, a na zewnątrz w dobrą broń z żelaza, będą jak jeden mąż bronić się twardo i zaciekle atakować”. I takich właśnie ludzi dostał pod komendę. Jak zauważył Richard Baxter: „Ci ludzie pojmwali o wiele więcej niż zwykli żołnierze [...], a walcząc nie dla pieniędzy, ale w imię tego, co brali za szczęście ogółu, tym bardziej byli zobowiązani do męstwa”. Wielu z tych żołnierzy i oficerów żywiło (w oczach Cromwella) dziwne i szalone opinie w sprawach religii, ale uważał, że przede wszystkim trzeba uwzględnić ich lojalność i determinację: „Państwo, wybierając ludzi do służby, nie zważa na

ich poglądy: wystarczy, że będą gotowi wiernie mu służyć”. W istocie ta bezkompromisowość poglądów stanowiła najlepszą rękojmię, że będą walczyć aż do zwycięstwa. Cromwell nie miał cierpliwości do ludzi, którzy troszczyli się o pokój, zanim cała rzeczywista władza znalazła się bezpiecznie we właściwych rękach. Gdy w listopadzie 1644 roku Manchester biadał: „Nawet jeśli pokonamy króla dziewięćdziesiąt dziewięć razy, on wciąż pozostanie królem. Ale jak on nas raz pokona, zawiśniemy na stryczku”, Cromwell odparował gniewnie: „Milordzie, w takim razie na cóż w ogóle sięgaliśmy po broń? Chodzi o to, żeby już więcej nie walczyć. A jeśli tak, musimy oprzeć pokój na tak trwałej podstawie jak nigdy dotąd”. Cromwell doskonale rozumiał, że jego ludzie nie lękają się stryczka, ponieważ wiedzieli, że nie leży to w zamiarach Opatrzności; podobnie jak ich generał, byli Anglikami Pana Boga.

A zatem Parlament wygrał wojnę, ponieważ wprowadził na scenę zupełnie nową klasę ludzi skromnego pochodzenia, którzy, po raz pierwszy w dziejach Anglii – po raz pierwszy w dziejach świata – zostali wezwani przez państwo, by służyć nie jako mięso armatnie, ale jako czujące i myślące istoty. Naturalnie, przeciw takiej armii nie mieli szans zagraniczni najemnicy Karola, próżni dworacy ze swymi chciwymi orszakami czy spędzony siłą motłoch irlandzkich, walijskich i szkockich chłopów. Z chwilą powstania Armii Nowego Wzoru sprawa króla była przegrana. Jednakże jej podstawowe znaczenie nie było militarne, ale polityczne – stanowiła olbrzymi krok na drodze wyzwolenia ludzkości z mroków niewoli.

Dla Denzila Hollesa i innych polityków parlamentarnego centrum koniec wojny stanowił jedynie preludium do negocjacji z królem na temat porozumienia, które byłoby do przyjęcia dla klas posiadających. Pertraktacje można było bezpiecznie zostawić w rękach *gentry*. Jeśli zaś chodzi o Armię Nowego Wzoru, była dżinem, którego należało niezwłocznie wepchnąć z powrotem do butelki i mocno zakorkować; z wyjątkiem, naturalnie, oddziałów niezbędnych do pacyfikacji „irlandzkich dzikusów”. Taki właśnie program przedstawiono Armii, brutalnie i z arogancją, której pozazdrościć mógłby sam Karol. Pym niewątpliwie znalazłby jakiś kompromis, ale Pym już nie żył. Jego następcy odmówili zapłaty zaległego żołdu rozpuszczanym oddziałom, wszelkich rent dla rodzin poległych, a nawet, o zgrozo, amnestii za bezprawne czyny popełnione na rozkaz w trakcie działań wojennych. Co do Cromwella i jemu podobnych, to Cromwell już wcześniej zapowiadał, że jeśli Parlament zwolni go ze służby, zaciągnie się po stronie sił protestanckich w Niemczech; a niech sobie jedzie. I tak rozpoczęły się trójstronne rokowania Cromwella i Iretona z królem i większością parlamentarną, a równocześnie – proces kształtowania się politycznych ruchów w wojsku, wyboru delegatów, czy raczej agitatorów, z każdego regimentu, reprezentujących opinię szeregowych żołnierzy. Król został wzięty do

niewoli, armia zbliżyła się do Londynu. Dżin nie chciał wrócić do butli; pytanie brzmiało, czy w kościele w Putney uda się go odegnąć?

W tym momencie, we wrześniu 1647 roku, spektrum życia politycznego w Anglii, wewnątrz obu Izb i poza Parlamentem, wyglądało – ujmując od lewicy ku prawicy – następująco: na skrajnie lewym skrzydle znajdowali się pałkarze (*clubmen* – gwałtowni, rewolucyjni anarchiści), następnie diggerzy (kopacze – komunistyczni pacyfiści pod wodzą Geralda Winstanley’a), lewellerzy (wyrównywacze – grupa społecznych demokratów; skrzydło cywilne pod wodzą Lilburne’a, wojskowe – Edwarda Sexby i innych agitatorów), independenci (radykalni oficerowie wywodzący się z *gentry*, pod wodzą Cromwella, z około sześćdziesięciosobową frakcją parlamentarną), prezbiteriańska partia centrowa (większość członków Izby, której przewodziła grupa Denzila Hollesa, dążąca do konstytucyjnego kompromisu z królem w duchu wigowskim), ukryci i jawni rojaliści (głównie w więzieniu lub na wygnaniu). Wszystkie grupy były mniejszościowe, choć największe stanowili niewątpliwie prezbiterianie, a w dalszej kolejności independenci. Cromwell, wiedziony bardziej instynktem niż na podstawie wyraźnego i z góry założonego planu, starał się w tej sytuacji znaleźć dla tych rozmaitych opcji jakiś wspólny mianownik, rodzaj narodowego konsensu, opartego na szeroko akceptowanym programie tolerancji i reform.

Jednak na początek należało zadbać o jedność w armii. W czerwcu Ireton, zięć Cromwella, uzdolniony prawnik i polityk, napisał deklarację jedności armii z Parlamentem, nadając jej szerokie podstawy filozoficzne:

[...] jako że nie jesteśmy jedynie armią najemników, opłacanych, aby służyli jakiejś arbitralnej władzy państwa, ale zostaliśmy wezwani przez Parlament, który w wielu deklaracjach błagał nas, abyśmy bronili słuszných Praw i Wolności naszych własnych i całego ludu; i jako że w zgodzie z własnym osądem i sumieniem stanęliśmy w ich obronie i wytrwaliśmy przy nich, i zgodnie z pierwszymi, sprawiedliwymi pragnieniami waszej Deklaracji [...] i naszym własnym przekonaniem, we wszystkim, co dotyczy tych naszych fundamentalnych praw i wolności jesteśmy zdecydowani, dla spełnienia przyrzeczonych celów, domagać się uznania i dochodzić należnej władzy i praw tego królestwa w Parlamencie, przeciw każdej samowolnej władzy, przemocy i uciskowi, i przeciw wszelkim partykularnym partiom i interesom.

Prawo do oporu wysunięte przez armię opierało się na „Prawie Natury i Narodów” oraz „czynach naszych przodków sławetnej pamięci, które wiodły do uzyskania takich praw i wolności, jakie zdobyli za cenę swej krwi, a do których my (zarówno ze względu na tę krew, jak i później przelaną krew naszych drogich przyjaciół i towarzyszy broni), wystawiając na szwank naszą własną, nie rościmy sobie pretensji”. Innymi słowy, program armii był skromny. Dopóki parlamenty będą „sprawiedliwie konstytuowane, to znaczy

wybierane w sposób wolny, równy oraz regularny” na określoną prawem długość kadencji i zwoływane w określonych przedziałach czasu, armia z ochotą podda się ich autorytetowi:

Tak więc, obdarzone taką władzą i takim sposobem powoływane parlamenty staną się mocnym fundamentem przynajmniej nadziei na powszechne i równe prawa i wolność dla nas i dla wszystkich wolno urodzonych ludzi w tym kraju; my zaś ze swojej strony swobodnie i z radością powierzmy nasz udział czy należną nam część [władzy] w tym królestwie owej wspólnej nawie parlamentów i nawet jeśli może się zdarzyć (gdy chodzi o nasze osoby), że nie powiedzie nam się w jednym przedsięwzięciu, będziemy mogli mieć w ten sposób nadzieję (jeśli racja jest przy nas), że powiedzie nam się lepiej w następnym.

Jednakże w kościele w Putney szybko wyszło na jaw, że w oczach lewicy taki program oznaczał rezygnację z walki o wszystkie kluczowe sprawy. Gwarantował jedynie władzę i regularne posiedzenia Parlamentu, pozostawiał niekniętą kwestię jego obecnego składu. Ten jednak opierał się na uzurpacji, był efektem narzucenia „normańskiego jarzma” wolnemu niegdyś społeczeństwu anglosaskiemu, które wszystkim swoim członkom przyznawało podstawowe prawa. W ramach pierwotnej umowy społecznej, powiadał Wildman, „prawdziwej i starożytnej, podstawowej konstytucji”, król i lordowie nie zajmowali żadnej wyróżnionej pozycji. Dlaczego prawo miałoby teraz sankcjonować fakt przywłaszczenia? „Spór polega na tym, czy powinniśmy zmieniać stare fundamenty rządu w naszym kraju, tak aby dać królowi i lordom to, co przedtem nigdy do nich nie należało?” Co więcej, nawet jeśli się zgodzić, że władza powinna należeć do Izby Gmin, prawa wyborcze, na których podstawie dokonano jej elekcji, obejmowały obecnie tak niewielką część ludności, że na stałe gwarantowały zachowanie władzy w rękach klas posiadaczy ziemskich. To też agitatorzy wysunęli program, w którym prawo głosu przyznano wszystkim dorosłym mężczyznom z wyjątkiem służby i biedaków otrzymujących zasiłek.

Cromwell był przerażony. Zmiany proponowane przez agitatorów niepokoiły go nie dlatego, że szły w złym kierunku, ale dlatego, że sięgały tak daleko. „Doprawdy – oświadczył – ta propozycja wprowadza bardzo znaczne zmiany w rządach panujących w tym królestwie, w rzeczy samej zmianę rządów, jakie nim władały odkąd, mogę chyba tak powiedzieć, stało się narodem”. Przyjmując jednak, że propozycja zostałaby zrealizowana: czyż nie może wnet pojawić się inna grupa ludzi, z nowym pomysłem, i zaproponować jeszcze dalej idące zmiany? Dokąd by nas to zaprowadziło? Anglia stałaby się drugą Szwajcarią, z osobną konstytucją dla każdego kantonu. „Czy nie oznaczałoby to skrajnego zamętu?” Tak, to doprowadziłoby do „ostatecznego zniszczenia narodu”. Anglicy są konserwatywni, niechętni zmianom; nie ma sensu proponować im pisa-

nej konstytucji, dopóki „duch i usposobienie członków tego narodu nie są przygotowane na to, aby ją przyjąć i się do niej stosować”. Anglikom trzeba się przy- pochlebiać, trzeba ich namawiać; „będą ogromne przeszkody na tej drodze”.

Co więcej – oświadczył Ireton, człowiek, podobnie jak Cromwell, zamożny – podstawą angielskiego ustroju politycznego jest aksjomat, że władza powinna iść w parze z własnością; „jeśli usunięciem tę zasadę, usuniecie w ten sposób wszystko”. Człowiek ma prawo głosu dzięki temu, że stale przyczynia się do wzrostu pomyślności państwa, na przykład przez posiadanie ziemi albo członkostwo w korporacji handlowej; w ten sposób inwestuje w społeczeństwo i może zgodnie z prawem ubiegać się o wpływ na rządzenie tymże społeczeństwem. „A teraz możemy rozważyć, do jakiego prawa odwołujecie się, twierdząc, że wszyscy ludzie powinni mieć prawo głosu w wyborach. Czy to jest prawo natury? Jeśli przyjmiecie to za podstawę swojej tezy, to myślę, że musicie wtedy odrzucić także wszelką własność”. Prawo głosu musi być ograniczone do ludzi, którzy „są trwale zaangażowani w pomyślność państwa”. Dajcie to prawo człowiekowi, który nie ma więcej trwałej własności niż „może unieść ze sobą”, człowiekowi, który „dziś jest tu, a jutro będzie gdzie indziej”, a zobaczycie, że nic nie powstrzyma go przed kradzieżą za pomocą praw sankcjonujących odbieranie własności innym. Jeśli prawo głosu przypadłoby mu zgodnie z prawem natury, to i równy podział majątku także byłby prawem natury. W rezultacie mielibyśmy jedynie chaos i przemoc. Cromwell wtórował, że jeśli władza w państwie dostałaby się, dzięki powszechnemu prawu głosu, „ludziom, którzy dbają tylko o to, żeby oddychać”, to „konsekwencją tej zasady byłaby anarchia, wszystko musiałoby się skończyć anarchią”^{*}.

Ten argument wywołał jednak gwałtowny sprzeciw ze strony radykalnie nastrojonego pułkownika Rainborough. Dlaczego mieliby zakładać, że wszyscy ludzie są źli? Dlaczego przyznanie ludziom prawa głosu miałoby prowadzić do zniszczenia własności, nie mówiąc już o anarchii? Bóg dał nam przykazanie: „Nie będziesz kradł”. To jest prawdziwe prawo własności. Czy pokładają tak małą wiarę w mieszkańcach Anglii, że nie ufają, iż nawet mając władzę we własnych rękach, nie będą posłuszni tak podstawowemu przykazaniu? Pytanie, na które trzeba znaleźć odpowiedź, brzmi: na mocy jakiego prawa i jakimi

^{*} Teoria Cromwella i Iretona pozostała obowiązującą doktryną angielskiego prawa konstytucyjnego aż do reformy wyborczej z roku 1832 (*Reform Bill*). Zachowawczy sędzia szkocki lord Braxfield podczas procesu Thomasa Muira, oskarżonego w 1793 roku o podżeganie do buntu, ujął ją niemal w tych samych słowach co Ireton: „Rząd w każdym kraju powinien być niczym korporacja handlowa, a w tym kraju jego udziałowcami są właściciele ziemscy i tylko im przysługuje prawo do posiadania reprezentacji; co zaś się tyczy pospółstwa, które nie posiada nic prócz rzeczy osobistych, jak państwo może zabezpieczyć wobec niego swe prawa? Jakie ma zabezpieczenie majątkowe, że będą oni płacić podatki? Mogą spakować swoje dobra, zarzucić na plecy i w mgnieniu oka zniknąć z kraju, wszelako własności ziemskiej nie można zabrać ze sobą w ten sposób”.

sposobami zdobywano własność w przeszłości? A poza tym, dodawał Maximilian Pettus, dlaczego „trwałe zaangażowanie” miałyby być określone przez sumę co najmniej 40 szylingów [10 funtów] rocznego dochodu z wolnego posiadania ziemi? Dlaczego odmawia się prawa głosu ludziom, którzy uzyskują ponad 100 funtów, ale z dzierżawy? Ireton pośpiesznie odparł, że nie bronił i s t n i e j ą c y c h miar cenzusu wyborczego, które mogą być nieprawdłowe, ale jedynie twierdził, że m u s i być jakiś cenzus.

Na to jednak radykałowie nie chcieli się zgodzić. Jak zauważył jeden z nich, pojęcie „wolno urodzony” jest ważniejsze niż „wolne posiadanie” – ludzie są ważniejsi niż rzeczy. „Głównym celem tego rządu jest ochrona zarówno osób, jak majątku i jeśli jakieś prawo miałyby wziąć w posiadanie moją osobę, to jest ona cenniejsza niż mój majątek”. Majątkowe kryteria cenzusu wyborczego, dodawał Rainborough, oznaczają, że władza będzie zastrzeżona dla bogatych – jednej piątej społeczeństwa. Rezultat? „Powiem, że jedna część narodu uczyni woły robocze z pozostałych czterech piątych i w ten sposób największa część narodu stanie się niewolnikami”. Na co obrońcy *status quo* wysuwali argument, że „takie właśnie jest obecne prawo tego królestwa”. O co więc była cała ta wojna? „Co stanie się z tymi wszystkimi, którzy ponieśli w obecnej wojnie takie trudy dla Parlamentu Anglii, zrujnowali się stając do walki, ryzykując wszystkim, co posiadali? Oni także są Anglikami”. A teraz odmawia im się prawa głosu, aby „nie mogli powiedzieć niczego na swą obronę”.

Rainborough nieustannie wracał do jedyne pytania, na które Ireton i Cromwell nie potrafili dać mu żadnej odpowiedzi (nikt nie potrafi). „Jak to się dzieje, że jedni ludzie są posiadaczami, a inni nie?” Na jakich zasadach prawa czy sprawiedliwości to się opiera? Nie istniały takie zasady: o obecnym rozkładzie własności zadecydował przypadek, los, dawne wydarzenia, często krwawe i niesprawiedliwe. Czy ten stan miał odtąd zostać zamrożony na wieki na skutek obdarzenia władzą wyłącznie tych, którzy już i tak mają wszystko inne? Na to Ireton odparł, z pewnym samozadowoleniem, że dopóki Bóg nie da wyraźnego znaku, że własność winna być podzielona na nowo, obecny stan musi pozostać nienaruszony: „Własności nie dało mi prawo Boże ani prawo natury, ale jest ona ustanowieniem ludzkim. Mam własność i pragnę się nią cieszyć nadal”. Zniszczyć prawo własności to „rzecz zła sama w sobie i stanowiąca obrazę dla świata”.

Ta absolutystyczna obrona prawa własności prywatnej wywołała chyba najbardziej błyskotliwą i gorzką replikę w całej debacie. Jej autorem był prosty żołnierz, Edward Sexby. „Walczyliśmy za to królestwo i ryzykowaliśmy życie, a wszystko w tym jednym celu: żeby odzyskać nasze przyrodzone prawa i przywileje, należne nam jako Anglikom, a [wasze] argumenty mówią, że n i c t a k i e g o n i e m a. Wiele tysięcy spośród

nas, żołnierzy, ryzykowało swoje życie i mamy niewiele majątku w tym królestwie, jeżeli chodzi o ziemię, ale mamy nasze przyrodzone prawa. Ale teraz widać, że jeśli człowiek nie ma w tym królestwie własnej ziemi, nie ma żadnych praw w tym królestwie. Dziwię się, że tak bardzo nas oszukano. Bo jeśli nie mieliśmy żadnych praw do tego królestwa, to byliśmy zwykłymi najemnikami”. Sexby miał wszakże pewną nowinę dla konserwatystów (chodziło o Iretona i Cromwella): „biedni i ubodzy tego królestwa” oddali wszystko, co mieli, „jak tylko ich było stać”, za „dobrą tego królestwa”; nikt ich teraz nie pozbawi ich praw i kłamstwem było mówienie, że dążą do „anarchii i zamętu” – mają za sobą „prawo Boże i prawo własnego sumienia”. „I powiem wam krótko, co myślę. Jestem zdecydowany moich przyrodzonych praw nie oddać nikomu”.

Studiując zapis tej debaty, odnoszę wrażenie, że właśnie w tym momencie Cromwell uznał, iż nie można jej prowadzić dalej, aż do logicznych konkluzji, nie narażając się na zniszczenie samej rewolucji, a w konsekwencji na powrót najczarniejszej reakcji, która dla nich wszystkich oznaczać będzie śmierć. Wiedział, że, logicznie ujmując, on i Ireton nie mają racji, słuszność jest po stronie Sexby’ego i Rainborough. Jednak uważał, że nie logika jest tu najważniejsza. Liczył się konsens, osiągnięcie kompromisu opartego na możliwie najszerszej podstawie powszechnej zgody. Tylko w ten sposób można było skłonić ten głęboko uśpiony, konserwatywny i tradycjonalistyczny naród do ruchu naprzód, w przyszłość. Powiedzenie, że „pół bochenka jest lepsze niż żaden”, znano już wcześniej i nie po raz pierwszy w dziejach Anglii zdominowało ono wówczas debatę polityczną; pojawia się do dziś, gdy tylko Anglicy zbierają się, by omówić jakiś sporny problem. Dobrze podsumowuje bezmyślny zdrowy rozsądek, z jakim Anglicy zwykle podchodzą do kwestii politycznych. Pytanie stojące przed Cromwellem brzmiało więc: w którym miejscu należy bochenek przekroić? I jak dojść do porozumienia co do tego, gdzie należy dokonać cięcia, gdzie ma spaść ostrze noża? „Działajmy, ale działajmy w jedności” – powiedział. Nie miało sensu zmuszanie Parlamentu do akceptacji powszechnego prawa głosu, nawet jeśli teoretycznie było to najszuszniesze rozwiązanie; można je było osiągnąć jedynie siłą miecza, „a to, czego pragniemy, to porozumienie”. Uśpiony naród w żadnym wypadku nie zniesie takiego przewrotu: wnet okaże się, że aktywiści polityczni nie mają szerokiego poparcia, nastąpi dramatyczny zwrot nastrojów opinii i król odzyska wszystko dokładnie w chwili, gdy został ostatecznie pokonany.

Cromwell zabrał się więc za poszukiwanie kompromisu, zręcznie wspierany przez Iretona, który dowodził, że jest przecież równie radykalny jak pozostali. Czyż nie jest zwolennikiem regularnie zwoływanych parlamentów, wybieranych z równych okręgów wyborczych? Jeśli chodzi o poszerzenie zasięgu praw wyborczych, nie będzie miał nic przeciwko temu, o ile naprawdę takie będzie życzenie „większości tych, których mam powody uważać za ludzi uczciwych

i prawego sumienia”. Zgodzono się, że ci, którzy pomagali Parlamentowi, powinni otrzymać prawo głosu jako swe niezbywalne prawo; zgodzono się też, że sprawę związku własności prywatnej i władzy politycznej należy jeszcze dokładniej rozważyć w przyszłości. W początku listopada przekonano agitatorów, żeby spokojnie wrócili do regimentów. 15 listopada stracono z wyroku sądu polowego jednego z radykalnych żołnierzy. W ciągu dwu następnych lat Cromwell odpolitycznił armię. W tym czasie spełnił również większość postulatów radykałów. Karol Stuart został ścięty. Izba Lordów zniesiona. Cromwell nie obdarzył jednak ludu władzą znoszenia własności prywatnej. Nie wierzył ludowi w żadnej sprawie. Czy uratował rewolucję? A może ją zdradził? Historia Anglii nie zwykła udzielać jednoznacznych odpowiedzi na tak precyzyjne pytania.

Jednak niezależnie od tego, czy Cromwell zdradził rewolucję, czy nie, Anglia, którą stworzył, a raczej uwolnił z więzów przeszłości, była czymś całkowicie nowym, dziwnym i zachwycającym. Rok 1640 stanowi wielki przełom w dziejach wyspiarzy; w trakcie następnych 20 lat na wyspach dokonano się wiele zmian, których siły konserwatyzmu nie były później w stanie odwrócić i chociaż eksperyment w sumie poniósł klęskę, Anglia roku 1660 zawierała już chromosomy nowoczesnego kraju, pierwszego w dziejach świata. Odziedziczony przez nas obraz cromwellowskiej Anglii – purytańskiej, nietolerancyjnej, wrogiej sztuce i wszelkiej przyjemności, ograniczającej wolności militarnej dyktatury, kształtowanej przez ciasny horyzont religijnego światopoglądu – jest nie tylko fałszywy, ale stanowi dokładne przeciwieństwo prawdy. Ruch, któremu przewodził Cromwell, wyzwolił uśpione energie Anglików, a on sam był, jak to później ujął Milton w *Samsonie walczącym*,

przez niebiosą
obdarzony odpowiednią siłą
by wyzwolić mój kraj.

Wszystkie wielkie rewolucje – amerykańska w 1776 roku, francuska w 1789, rosyjska w 1917, chińska w 1949 – miały w pewnym istotnym sensie charakter patriotyczny; wypływały z poczucia narodowej frustracji, z przekonania, że istniejąca struktura społeczeństwa nakłada niezdolne ograniczenia na ducha i twórcze możliwości narodu. Także w tym, podobnie jak w innych sprawach, rewolucja angielska, rozpoczęta w roku 1640, ustanowiła wzorzec. Nagle, gdy spod pras drukarskich popłynął nieprzerwany strumień zakazanych dotychczas książek, a nowe idee, nareszcie jawnie wyrażane, walczyły w niezliczonych sporach i gorączkowych rozmowach o ludzkie umysły, Anglicy zaczęli doświadczać tego radosnego oszołomienia, które Stendhal tak wspaniale ukazał na przykładzie Mediolanu w *Pustelni parmeńskiej*, a którego sam byłem świadkiem w pierwszych dniach po zwycięstwie Castro na Kubie. Przez

dziesięciolecia wspaniałe talenty i pomysły wrzały pod powierzchnią restrykcyjnej skorupy Anglii pierwszych Stuartów. Konserwatysta Donne z obawą wyszydzał nowe wiatry:

A nowa filozofia wszystkiemu dziś przeczy
 Żywiol ognia zgaszony, odrzuca, zbyteczny
 [...]

 Książę, Poddany, Ojciec, Syn, zapomniane więzy
 Gdyż każdy człek sądzi, że sam ma być
 Feniksem.

To właśnie dzięki Cromwellowi Feniks mógł w Anglii powstać z popiołów. „Szacunek dla starożytności, niby mocą jakiegoś czaru – pisał Bacon – trzymał ludzi z dala od postępu w naukach”. Wiele lat przed rewolucją doradzał Buckinghamowi, aby uczynił „to, czego, jak sądzę, nie uczynił nikt, odkąd żyje na świecie... a to, abyś popierał, zachęcał i promował ludzi utalentowanych, we wszystkich dziedzinach, stanach i profesjach”. Na takiej właśnie formule opierała się Armia Nowego Wzoru, i to nie tylko w sensie ściśle militarnym. Zapatrzeni w starożytne autorytety medycy z College of Physicians wsparli po większej części szeregi wojsk rojalistów, których też całymi tysiącami wyprawiali, lecząc ich z odniesionych ran, na tamten świat: w Armii Nowego Wzoru istniała zorganizowana służba medyczna, zasilona przez wzgardzonych chirurgów praktyków i skromnych aptekarzy; służba, którą rozciągnięto następnie na republikańską marynarkę wojenną, dzięki czemu Robert Blake mógł zapewnić Anglii światową supremację na morzu. Fizyczna siła Anglii Cromwella opierała się więc zasadniczo na nowej nauce przyrodniczej. Przed ludźmi utalentowanymi otwierały się szerokie perspektywy*. Dla Milтона Londyn był wówczas „miastem wytchnienia, twierdzą wolności”, gdzie ludzie „czytali, studiowali,

* John Cooke, jeden z członków trybunału sądzącego Karola, był zwolennikiem darmowej opieki medycznej dla biednych; Samuel Herring proponował powszechne bezpłatne usługi świadczone przez lekarzy, którzy byłiby opłacani przez państwo – program zrealizowany w Anglii dopiero w roku 1948, w Ameryce nie zrealizowany do dziś. Gazeta lewellerów „Moderate” przepowiadała wynalezienie machin latających. „Doświadczenie co dzień poucza nas, że nic nie jest niemożliwe dla człowieka”. Jeśli chodzi o rolę Cromwella w tych burzliwych czasach, por. błyskotliwą biografię pióra Christophera Hilla *God's Englishman*, London 1970 [wyd. pol. *Oliwer Cromwell i Rewolucja Angielska*, przełożyła Irena Szymańska, Warszawa 1988]. Hill w pracy *Intellectual Origins of the English Revolution* wnikliwie zauważa logiczne związki między nową nauką przyrodniczą a radykalną polityką: zwolennicy Parlamentu byli heliocentrystami, rojalisci ptolemeistami i, jak widać z popularnych almanachów, teoria Ptolemeusza zniknęła wraz z Karolem I; Kopernik „zdemokratyzował kosmos”, niszcząc hierarchiczną strukturę niebios, Harvey „zdemokratyzował” ludzkie ciało, detronizując serce. (Ale Harvey był rojalistą; jak podaje Aubrey, podczas bitwy pod Edgehill opiekował się królewskimi synami.)

próbowali wszystkiego, poddając się sile rozumu i argumentacji”; jak ujmował to John Hall w roku 1649, Anglia została obdarzona „najwyższym duchem, brzemienią w wielkie dokonania [...] dążąc do odkrycia nowego świata wiedzy”. Sir Arthur Haselrig, członek Parlamentu, podsumował cały eksperyment stwierdzeniem, że kraj „przeżywał długie lata w krótkim czasie”.

Cromwell miał świadomość niezwykłości chwili dziejowej. Czytał *History* Ralegha. Sam był dzieckiem ery elżbietańskiej; pragnął przywrócenia jej świetności w bardziej trzeźwym, naukowym duchu. Przeżył wszystkie upokorzenia, jakich przysparzały narodowi rządy Karola, kiedy to, wedle słów ambasadora Wenecji, „Anglia stała się narodem bezużytecznym dla reszty świata i w konsekwencji niewartym uwagi”. Myślał o emigracji, aby uwolnić się od cierpień, jakich nie szczydziło życie w Anglii i nawet przysiągł, że tak uczyni, jeśli Parlament nie przyjmie Wielkiej Remonstracji. Cromwell żywił niewzruszoną pewnością co do przeznaczenia Anglii, płynącą z przynależności do znacznej i rozgałęzionej rodziny ziemiańskiej. Gdy po raz pierwszy wybrano go do Parlamentu, w 1628 roku, w Izbie zasiadało dziewięciu jego kuzynów; 17 kuzynów i 9 innych krewnych wchodziło, w różnym czasie, w skład Długiego Parlamentu. Cromwell był, już wówczas, jednym z niewielu ludzi, którzy mogli wywieść swą genealogię z czasów przed podbojem normańskim. Jego rodzina brała aktywny udział w walce o wolność. Sześciu kuzynów zostało uwięzionych za odmowę udzielenia Koronie wymuszonej pożyczki w roku 1627; Hampden, a także człowiek, który podjął się jego obrony w sprawie podatku okrętowego, również byli kuzynami Olivera. Cromwell był Anglikiem z krwi i kości. W jego oczach Karol był jedynie niekompetentnym zagranicznym awanturnikiem, człowiekiem, którego duma i podstępność kosztowały morze niewinnie przelanej uczciwej angielskiej krwi – po obu stronach konfliktu; człowiekiem, który zasłużył na karę jak zbrodniarz. Jego syn był nieudolnym, samolubnym i zepsutym próżniakiem: „będzie nieszczęściem, klęską dla nas wszystkich”; do szczęścia potrzebował jedynie „baraniej łopatki i dziwki”. Było nie do pomyslenia, żeby tacy ludzie mogli zasiadać na tronie Elżbiety i mieć zaszczyt trzymania w swych rękach losów Anglii.

Nie ulega wątpliwości, że Cromwell na swój spokojny, ostrożny, ale głęboko namiętny sposób był przekonany o boskiej misji Anglików. Jako Lord Protektor oświadczył w maju 1654 roku:

Spytajcie wszystkich innych narodów, a przyświadczą zgodnie, zaiste bowiem takie są zrządzenia Pana, jak gdyby powiedział: „Anglio, ty jesteś moim dziecięciem pierworodnym, moją rozkoszą między narodami”; i na całym świecie Pan nasz nie upodobał sobie tak żadnego innego narodu.

Jednakże sam Cromwell nie uciekał się do mesjanizmu. Jego zwycięstwa były zrządzeniami Opatrzności; znalazły zwieńczenie w „ostatecznej łasce” suk-

cesu pod Worcester w roku 1651 – w ostatniej bitwie z jego udziałem. Wszelako Bóg jedynie postanawiał, reszta była sprawą człowieka, aby siłą swej sprawiedliwej racji i zapobiegliwości wypełnił Boskie postanowienia. Podzielał pogląd Ralegha, że historia jest niczym raz nakręcony zegar biegnący zgodnie z Bożym zamiarem; jednak na jej konkretny kształt wpływają drugorzędne przyczyny stanowiące wynik ludzkich wysiłków. Podobnie jak Henryk V, którego pod wieloma względami przypominał, wiedział, że podczas bitwy ma Boga po swojej stronie, ale w przeciwieństwie do Henryka nie rozkoszował się liczebną słabością swych sił; wyjąwszy bitwę pod Dunbar, zawsze starał się zapewnić sobie przewagę dział i ludzi. Odrzucał rentierską religię katolików, w której wierzący czerpał ze skumulowanych cnót świętych; jego wiara była aktywna, ożywiona duchem przedsiębiorczości, dynamiczna – jak sam mawiał, „mocował się z Bogiem”.

Pod władzą Cromwella Anglia stała się światową potęgą, ale nie mocą wiary, tylko swych dokonań. Armia Nowego Wzoru skutecznie egzorcyzmowała nocne koszmary całych pokoleń angielskich władców i polityków: otwarte „tylne drzwi” w Irlandii i niebezpieczeństwo inwazji z północy. Problemy, które wciąż mieszały szyki Edwardowi I i Elżbiecie, rozwiązano w trakcie dwu szybkich kampanii i Cromwell mógł zwołać pierwszy imperialny Parlament, zapewniwszy, pod angielskim zwierzchnictwem, doskonały spokój na Wyspach Brytyjskich (co nie znaczy sprawiedliwość). Był tak wszechpotężnym panem Anglii, że mógł potraktować rojalistyczne powstanie z płynącą z absolutnej pewności siebie wyrozumiałością, niemal ze wzgardą. Wrogość, z jaką rewolucja angielska spotykała się w rojalistycznej Europie, nawet w Rosji, wnet przekształcała się w nerwowy respekt, a potem strach, gdy ruszyły do akcji angielskie armie i floty. Tylko w latach 1649–1651 wypłynęło na morza 40 nowych, ogromnych okrętów wojennych wyposażonych w ciężkie działa. Nowe pokolenie generałów, kapitanów i admirałów skromnego rodu, entuzjastycznych urzędników, fachowców od spraw wojskowych, profesjonalnych dyplomatów o surowych obliczach, wspieranych przez najświeższej daty sprzęt i urządzenia, finansowanych dzięki ogromnym sumom, jakie Parlament zbierał teraz w postaci podatków, roznosiło rewolucyjne dokonania szeroko po świecie. W każdym miejscu, gdzie Stuartowie znajdowali schronienie i pomoc, mogły nagle pojawić się okręty Blake’a i „czerwone kurty” Cromwella, by siać zniszczenie bez ostrzeżenia. Anglia gwałtownie odzyskiwała mocarstwową pozycję, a wraz z nią znów dochodził do głosu budzący grozę rasizm Anglików. W roku 1651 Parlament uchwalił Akt Nawigacyjny (*Navigation Act*), poddający angielski import i eksport zasadom ścisłego merkantylizmu, co zaowocowało szybkim wzrostem angielskiej floty handlowej i zainicjowaniem szerokiego programu ekspansji handlowej. Za Cromwella Portugalia stała się angielskim satelitą. Anglicy wkroczyli do

Brazylii; pokonane Niderlandy musiały zadowolić się podrzędną rolą w międzynarodowym systemie gospodarczym. Mazarin nie bez racji obawiał się, że rewolucja uczyni Anglię potężną, gdyż wolny Parlament będzie z ochotą finansował ekspansjonistyczną politykę. Francja mocno odczuła pięść Cromwella, w następnej kolejności poszła Hiszpania – Anglicy rozbili jej imperium w Indiach Zachodnich, zajęli Jamajkę, przechwycili jedną flotę płynącą ze skarbami z Ameryki, drugą zniszczyli w zasięgu dział hiszpańskich fortów; po raz pierwszy zablokowali wybrzeża Hiszpanii na sezon zimowy dzięki zdolnej do działania przez cały rok flocie Blake'a. Anglicy przejęli pełną kontrolę nad Kanałem i wpłynęli na Bałtyk. Po drugiej stronie Atlantyku angielskie kolonie wreszcie doczekały się wsparcia ze strony państwa. Na Morzu Śródziemnym marynarka angielska z łatwością zdobyła dominację, tłumiąc piractwo, mszcząc zniewagi dotyczące angielskich kupców i podróżników, wymuszając tolerancję religijną i poszanowanie dla handlu na władcach Tétuanu i Tunisu. Był to początek dyplomacji kanonierek – także i w tym Cromwell położył podwaliny dla trzech następnych stuleci Imperium (w imieniu Boga, naturalnie).

A mógł zająć o wiele dalej; każdy, kto studiuje materiały dotyczące tego zdumiewającego okresu, odczuwa zapewne ulgę, że Cromwell w istocie powściągnął swe ambicje. Człowiek tak zdecydowany, stojący na czele rewolucji, która wprzęgła całe nowe klasy ludzi – świeży zasób talentów i energii narodu – w entuzjastyczną służbę państwu, ma w rękach potężną siłę i może uczynić w świecie wiele dobrego i wiele zła. Napoleońska Francja stała się panem Europy właśnie dzięki energiom wyzwolonym przez taką rewolucję; nie zdobyła panowania nad światem i ostatecznie została pokonana tylko dlatego, że na przeszkodzie stanęła jej równie potężna siła angielskiego nacjonalizmu, który sam był owocem rewolucji. Jednak w siedemnastowiecznej Europie nie istniał żaden tego rodzaju czynnik gwarantujący równowagę sił – z wyjątkiem Holandii narodowe energie wszędzie drzemały, sparaliżowane, pod brzemieniem ograniczeń cywilizacji świata rzymsko-średniowiecznego. Dla Anglików był to moment straszliwej pokusy – takiej, jakiej zapewne uległby Henryk V, gdyby żył dłużej. W latach pięćdziesiątych, powiada Thurloe, Cromwell „nosił u pasa klucze do kontynentu i mógł dokonywać nań inwazji i wpuszczać tam armie i wojska wedle swego uznania”. Co więcej, Cromwell nie tylko miał okazję, ale nadto, wraz z całym narodem Anglików, dysponował – jak wierzyli – mandatem udzielonym przez samego Boga. Anglicy Pana Boga mieli dokończyć Jego reformacji, a jak mieli tego dokonać, jeśli nie przez zniszczenie potęgi katolicyzmu na kontynencie? Wszystkie udane rewolucje mają skłonność do tego, żeby się rozprzestrzeniać, eksportować i w ten sposób tworzyć tyranie nie tylko za granicą, ale także u siebie w domu. Nie ma wątpliwości, że gdyby Cromwell wkroczył do Europy, kontynentalne monarchie padłyby jak domek

z kart, a katolicyzm w południowej i centralnej Europie zostałyby oderwany od swoich świeckich fundamentów.

Z pewnością wiele głosów popędzało Cromwella, by się nie ociągał. George Fox, wówczas z całą pewnością jeszcze nie pacyfista, łajał armię za to, że nie potrafi ponieść protestantyzmu do Włoch i do Hiszpanii. Andrew Marvell starał się antycypować przyszłe wypadki:

W granicach państw gdy stanie,
Wyznaczy kres tyranii*.

Sam Cromwell także czasem zapuszczał się myślami w te strony. Miał podobno powiedzieć do generała Lamberta: „Gdybym był tak młody jak ty, ani chybi jeszcze przed śmiercią zastukałbym do bram Rzymu”. Na szczęście więc zapewne wiek powstrzymał Cromwella przed angażowaniem się w podobne przedsięwzięcia. W chwili zwołania Długiego Parlamentu był już po czterdziestce, gdy osiągnął pełnię władzy – dobrze po pięćdziesiątce; zmęczony wojnami, sporami, ciągłym przelewem krwi, jakiego był świadkiem, był zdecydowany, póki mu życia starczy, utrzymać w jedności „to biedne, udręczone królestwo” i z niechęcią myślał o przyjmowaniu jakichś nowych i nieznanymi powinności. A poza tym – w tej jak i wielu innych sprawach – musiał też brać pod uwagę głębokie przekonanie swych rodaków, że ich Boska misja spełni się na oceanach: że jeśli chodzi o kontynent, to najbezpieczniej jest odwrócić się do niego dobrze uzbrojonym tyłem i że byłoby ryzykownie posyłać angielskich żołnierzy w głąb europejskiego lądu, poza zasięg działań angielskich okrętów. W ten sposób złowrogi rozdział w dziejach Anglii nigdy nie został otwarty.

Zamiast podbijać kontynent, Anglicy skoncentrowali się na dążeniu do supremacji kulturalnej, naukowej i technologicznej, na wypełnianiu programu Bacona. Maszyny, zakazane za panowania Karola, wróciły do łask i znalazły szerokie zastosowanie. Złamano monopol na wydobycie surowców mineralnych. W Oksfordzie zapanował „duch Greshama” i zaroilo się od badaczy przyrody, którzy po Restauracji przenieśli się do Londynu, gdzie założyli Royal Society. Rewolucja szła w jednej parze z edukacją**. Nawet Clarendon, który

* Przekład Aleksandra Mierzejewskiego w: *Poeci języka angielskiego*, t. II, Warszawa 1970. (przyp. tłum.).

** Nie umknęło to uwadze Karola Dickensa, por. słowa Joe Gargery'ego na temat pani Gargery w *Wielkich nadziejach*: „Ona nie ma zbyt wielkiej ochoty, trzymać u siebie w domu uczniów, a zwłaszcza nie miałaby ochoty, żebym ja został uczniem, z obawy, że mógłbym pójść w górę. Jak jakiś buntownik, pojmujesz?” Współczesna konserwatywna teoria edukacji odmawia przyznania szans rozwoju dzieciom z rodzin robotniczych w imię tak zwanej „rodzicielskiej wolności” [decydowania o losach dziecka] – uwspółcześnionej wersji paternalistycznej teorii monarchii absolutnej autorstwa Filmera.

nienawidził Cromwella, przyznawał, że za czasów Protektoratu Oksford „wydał plon nadzwyczaj dobrej i solidnej wiedzy we wszystkich dziedzinach nauki”. Już w roku 1641 mieszkańcy Manchesteru wystąpili z petycją o założenie uniwersytetu, jako że „wiele dojrzałych i wiele rokujących nadzieje umysłów bezpowrotnie marnieje z braku nauczania”; także York poszedł śladem Manchesteru. Izba Gmin powołała Komitet do spraw Rozwoju Postępu w Naukach; zaproponowano założenie uniwersytetów w Walii, w Norwich i Durham. Charleton w *The Immortality of the Human Soul* (1657) radował się, że „Brytania, która jeszcze wczoraj była sceną wojny i zniszczenia, dziś staje się szkołą sztuk i dworem dla wszystkich Muz [...]”.

Łatwo przedstawiać wojnę domową jako konflikt dwu kultur: parlamentarnej nauki i rojalistycznej sztuki. I rzeczywiście, niektórzy członkowie Izby Gmin nie znosili kolekcji dzieł sztuki zebranej przez Karola, głównie jednak dlatego, że król nie kwapił się, żeby za nią zapłacić; byli przeciwni „marnotrawieniu milionów funtów na zgniłe stare malowidła i marmury z odłamanymi nosami”. Jednak początkowa nietolerancja szybko zniknęła w miarę urzeczywistniania się Cromwellowskiej wizji społeczeństwa. Próby ustawodawstwa skierowanego przeciw teatrowi pozostały na papierze i były *de facto* nie do wyegzekwowania; w istocie powstało w tym okresie więcej sztuk teatralnych niż poprzednio, a wielcy poeci spotykali się z szerokim uznaniem i byli honorowani wspaniałymi publicznymi posadami. Cromwell zdecydowanie powstrzymał rozpraszanie narodowych zbiorów dzieł sztuki, a jego dwór w Hampton, dokąd przybywali wysłannicy europejskich monarchów, by złożyć mu należny hołd, stanowił wzór skromności i dyskretnego splendoru*. Być może z myślą o homoseksualizmie szerzącym się za panowania Stuartów, Cromwell po raz pierwszy zezwolił kobietom na występowanie na scenie. Był namiętym wielbicielem muzyki, sfinansował wykonanie pierwszej opery angielskiej, polecił zainstalować w Hampton Court organy i jeśli tylko sprawy państwowe pozwalały, urządzał co wieczór przyjęcia z muzyką. Brudne, oszczercze opowieści o wydarzeniach w Hampton stanowią naturalnie wytwór propagandy rojalistów, a do tego są wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony zarzucano Cromwellowi, że wprowadził obyczaj „płaszczenia się na modłę francuską”, z drugiej – że pozwalał na poufałość, jaka nie przystoi angielskiemu władcy. Jeszcze zajadlej atakowano jego żonę, zarazem za „zuchwałą pospolitość” jej prostych gustów i za to, że

* A także ostrych środków bezpieczeństwa. Karol II oferował pensję 500 funtów rocznie do końca życia „dla każdego poddanego któregokolwiek z naszych trzech królestw, który za pomocą pistoletu, miecza lub trucizny, lub wszelkimi innymi środkami i sposobami, pozbawi życia rzeczonoego Olivera Cromwella”. Karol omawiał także ze swym bratem projekt uśmiercenia Cromwella za pomocą maszyny piekielnej – pierwszy znany przykład planowania zamachu bombowego na określoną osobę. Szczegóły życia na dworze Cromwella omawia Ernest Law w *History of Hampton Court Palace*, tom II, London 1888.

odgrywała wielką damę; rojaliści sztydzi, że jest „żwawą gospożą” i utrzymywali, że ma sekretne przejścia do wszystkich komnat, żeby zaskakiwać służbę bez uprzedzenia; oskarżano ją też o pijaństwo i o prostackie umizgi do żołnierzy. W rzeczywistości dwór Cromwella w niczym nie przypominał miejsca, gdzie, jak utrzymywali rojaliści, panowała „milcząca pantomima wykrochmalonej powagi hipokrytów”; przeciwnie – rozbrzmiewał piosenkami i śmiechem. Powagę zachowywano głównie na użytek cudzoziemców, by zrobić na nich odpowiednie wrażenie. Poza tym jednak Cromwell bardzo lubił „żarty i wygłupy”. Podczas wesela swojej córki Frances i pana Richa rozlewał „grzane wino z mlekiem wśród dam, aby im popłamić suknie, co przyjmowały jako zaszczyt, albo też posmarował wszystkie krzesła, na których miały siadać, słodyczami”. Bulstrode Whitelock zapisał, że:

Czasami bawił się z nami radośnie i odkładając na bok swą wielkość odnosił się do nas nadzwyczaj familiarnie; dla rozrywki układał z nami wiersze, tak że każdy musiał spróbować swego dowcipu. Zwykle wołał o fajki z tytoniem i świeczkę, a czasem sam zażywał tytoniu. Potem wracał do swych poważnych i wielkich spraw i często zasięgał w tym naszej porady.

Natomiast wszelkie opowieści o zniszczeniu przez Cromwella skarbów kościelnych i witraży stanowią czysty wymysł powtarzany przez pokolenia torysowskich księży; dowody wskazują, że w rzeczywistości było akurat odwrotnie*. Cromwell był bardzo oddany sztuce, w jego sypialni wisiało „pięć bardzo pięknych arrasów przedstawiających Wulkana i Wenus”. Jednakże i w tej mierze wszelkie poczynania Cromwella przesłaniają nam dziś kłamliwe mity.

Wspominałem już wcześniej, że tolerancja kwitnie w Anglii tylko pod panowaniem silnej władzy. Cromwell był równie silny co tolerancyjny. Z dumą mówił Mazarinowi o wielu katolikach, których uratował od prześladowań. Zdecydowanie przeciwstawił się paleniu czarownic i popierał wysiłki (charaktery-

* Sprawę omawia G. F. Nuttall w rozprawie *Was Cromwell an Iconoclast?*, „Transactions of the Congregational Historical Society”, XII. Zniszczeń przypisywanych Cromwellowi z reguły dokonano w czasie reformacji. Nie znamy żadnego udokumentowanego przypadku celowego ograbiania kościołów czy to przez Cromwella osobiście, czy przez jego ludzi, choć oczywiście systematycznie „czynił afronty” zamkom rojalistów. Jeśli chodzi o analizę mitów otaczających postać Cromwella, zob. Alan Smith *The Image of Cromwell in Folklore and Tradition*, „Folklore”, 1968. Pozbawieni dyscypliny Kawalerowie zostawiali po sobie o wiele większe zniszczenia; wzburzony Anthony Wood tak skomentował ich pobyt w Oksfordzie: „Jeśli chodzi o bliższą charakterystykę dworu, to choć byli strojnie i wykwintnie odziani, zachowywali się odrażająco i po barbarzyńsku, zostawiając po odjeździe wszędzie swe ekskrementy, na każdym rogu, w kominkach, izbach, komórkach na węgiel i piwnicach. Grubiańscy, kłótlivi, rozpustni, próżni, puści, bezmyślni”.

styczne dla tego okresu wolności) zmierzające do poprawy statusu kobiet*. Praktycznej cnoty tolerancji nauczył się na polu bitwy. Jak napisał do spikera Izby Gmin po udanym oblężeniu Bristolu:

Prezbiterianie, independenci, wszyscy byli tu ożywieni tym samym duchem wiary i modlitwy [...]. Tutaj są zgodni, nie znają między sobą różnic; szkoda, że i gdzie indziej tak być nie może. Wszystkich wierzących łączy prawdziwa jedność, a ta jest najchwalebniejsza, gdyż wewnętrzna i duchowej natury [...]. Jeśli zaś chodzi o jedność form, zwykle zwaną uniformizmem, każdy chrześcijanin będzie dla dobra pokoju studiował i czynił tyle, na ile pozwoli mu sumienie; gdy idzie o myślenie, nie oczekujemy wszak od braci innego przymusu, jak przymus światła rozumu.

I ponownie w roku 1650:

Zaiste, myślę, że ten, kto najlepiej się modli, będzie walczył najlepiej. I wolałbym raczej, żeby dozwolony był wśród nas mahometanizm, niż żeby któreś z dzieci Bożych miało być prześladowane.

W roku 1656, mimo zdecydowanej opozycji niemal wszystkich stronnictw politycznych i religijnych, sprowadził do Anglii na powrót Żydów, którzy nie mieli tu wstępu od czasów Edwarda I. W ten sposób, przynajmniej w Anglii, zasiano znów ziarna tolerancji religijnej, po raz pierwszy wprowadzonej przez królową Elżbietę; wszelako dokonanie tego samego w Irlandii, jak się okazało, wykraczało poza możliwości i wyobraźnię Cromwella**.

O wiele mniejsze sukcesy odnosił w kwestii ustanowienia stabilnych stosunków między władzą wykonawczą a Parlamentem. Cromwell od początku do końca dążył do szerokiego porozumienia różnych sił politycznych. Wierzył, że Bóg przemawia przez jego Anglików, jednak słowo Pańskie okazywało się wielokształtne; ludzie dosłuchiwali się w nim różnych odcieni i każdy był na swój sposób prawdziwy. Cromwell preferował więc koalicje, mając niewątpliwy talent do ich zawiązywania i utrzymywania w zgodzie. Był bardzo dobrym słuchaczem i z reguły nie podejmował decyzji, póki nie wysłuchał wszystkich punktów widzenia; lubił ucztować z przedstawicielami wszystkich stronnictw, przysłuchując się w milczeniu gorączkowym dysputom. Był idealistą, który pragnął, żeby ludzie nie musieli uprawiać polityki; wziął na siebie ciężar władzy

* Cromwell był spadkobiercą radykalnej tradycji dążeń do poprawy i ochrony statusu kobiet, zwłaszcza w kwestii przemocy fizycznej wobec żon. Tradycja ta datowała się od *Jane Anger her protection for women* (1589), oraz *Apologie for Women* (1609) Williama Heale'a. Niektóre odłamy independentów zezwalały kobietom na uczestnictwo w kierowaniu Kościołem; w tym okresie wygłaszały kazania, brały udział w demonstracjach, składały petycje. Por. Christopher Hill, *Intellectual Origins of the English Revolution*, 1965, s. 275.

** Zob. Dodatek II: *Cromwell i Irlandia*.

jedynie „dopóki Bóg uzna za stosowne używać człowieka do takich celów”. Tymczasem jednak radośnie pracował w zgodzie z tradycjami angielskiego pragmatyzmu. Jak powiada Abbot: „Cromwell z osobliwą zręcznością pracuje na rzecz pogodzenia ludzi najróżniejszych przekonań i ze wszystkich partii wybiera najzdolniejszych”.

Co innego jednak na co dzień uprawiać taką politykę, a co innego dać jej trwałe podstawy teoretyczne. Parlament, dający za Plantagenetów i Tudorów poparcie poddanych Koronie, w roku 1611 przeszedł do opozycji. Przy istniejącym prawie wyborczym nieuchronnie był zdominowany przez warstwę ziemiańską, którą w praktyce interesowało jedynie zagwarantowanie stabilności własności ziemskiej i niskie podatki; stawiała okoniem wobec wszelkich prób reform i w istocie opierała się samej zasadzie istnienia władzy wykonawczej. Izba Gmin kontrolowała swój skład dzięki arbitralnemu prawu nieprzyjmowania i usuwania niepożądanych osób. Cromwell przejął to prawo od Izby, pragnąc stworzyć jakieś skutecznie działające ciało ustawodawcze. Eksperymentował z prawem wyborczym. Próbował parlamentów mianowanych. Zwiększał liczbę miejsc przypadających hrabstwowi, potem liczbę miejsc z okręgów miejskich. Jednak za każdym razem w Parlamencie zjawiali się wciąż ci sami ludzie, a nie mając w swym gronie konstruktywnego przywódcy, osobowości na miarę Pyma, stanowili w efekcie irytującą przeszkodę dla wielkich Cromwellowskich wizji. Ci ludzie nie zaaprobowałiby wspaniałych projektów reformy prawa, na których Cromwellowi najbardziej zależało; jak gniewnie zauważył, gdy tylko poruszysz temat reformy prawa, członkowie Izby zaraz oskarżają cię o zamach na świętą własność prywatną. Ze smutkiem uświadomił sobie, że Parlament jest strażnikiem nie tyle wolności, co istniejącego podziału własności, jak dzieje się zresztą do dziś. Mógł, oczywiście, zmienić skład Izby w drodze radykalnego rozszerzenia zasięgu praw wyborczych. Cromwell obawiał się jednak, że powszechne prawo głosu przyniesie w rezultacie zwycięstwo rojalistom: „Gdyby o całości miało decydować powszechne głosowanie kapryśnych mas, jakże szybko ich własne dobro, spokój i bezpieczeństwo zostałyby zmiecione i zdruzgotane”. Zwrócił się więc ku systemowi kierowania Parlamentem za pomocą frakcji, który na następne sto lat zapewnił Anglii stabilność polityczną. Cromwell był więc pierwszym wigiem, ogniwem łączącym system Burleigha z systemem Walpole’a.

Z drugiej strony Cromwell był – tak jak tego zawsze namiętnie pragnął – uosobieniem ideałów Elżbiety, jej prawym dziedzicem. Z najwyższą niechęcią zniósł monarchię i szybko wrócił do poglądu, że władza musi „mieć w sobie coś z monarchii”. Nie chciał być królem; zgodził się zostać, z braku lepszych rozwiązań, „pojedynczą osobą”. Pod jego panowaniem system pracował skutecznie: „Wszystkie sprawy w spokoju czekają, co jego wysokość postanowi i jakie ustanowi prawa. Wszystko zależy wyłącznie od niego”. Gdyby Cromwell

żył jeszcze rok dłużej, z pewnością przyjąłby koronę i założył własną dynastię; rojaliści poparliby takie rozwiązanie, ponieważ byli przywiązani do monarchii jako takiej, a nie do Stuartów. Cromwell padł jednak ofiarą tradycyjnego angielskiego zabójcy – zapalenia oskrzeli. Jego syn otrzymał urząd pozbawiony magii praw dziedziczości i wkrótce z niego zrezygnował. Cromwell mógłby wybrać Lamberta, najzdolniejszego ze swoich pomocników (Ireton i Blake nie żyli), ale z powodu sporów z Protektorem Lambert nie miał odpowiedniej pozycji i autorytetu, niezbędnych przy delikatnej misji godzenia interesów armii i Parlamentu. W tej sytuacji szkockie dowództwo armii zdołało ponownie wprowadzić na tron Stuartów, przy mieszanych uczuciach części angielskiego społeczeństwa. Cromwellowska wizja rozwiązała się i bieg rozwoju Anglii uległ spowolnieniu. Gdyby postępował w tym samym tempie, a co za tym idzie, nabrał naturalnego przyspieszenia, rewolucja przemysłowa nastąpiłaby już pod koniec XVII wieku, a my żylibyśmy dziś w XXI stuleciu ze wszystkimi jego cudami i grozą.

Restauracja naturalnie częściowo cofnęła zegar dziejów, w typowo angielskim duchu chaotycznego kompromisu. Jedni z bohaterów republiki stali się ofiarami represji, inni prosperowali w najlepsze; wszystko było loterią. Karol II mściwie wyrównał niektóre osobiste porachunki, ale był zbyt słaby albo zbyt leniwy, żeby podjąć wysiłek i ryzyko powszechnych prześladowań, ograniczył się więc jedynie do wyrzucenia z grobów szczątków kilku wielkich angielskich patriotów. Miał swoją łopatkę baranią i dziwkę. Utrzymano niektóre reformy; inne wymazano, lecz wkrótce pojawiły się pod zmienioną postacią. Przywrócenie arbitralnej władzy monarszej ze wszystkimi prerogatywami było już niemożliwe, mimo to nadal oczekiwano, że król, w jakiś tajemniczy sposób, będzie jednak rządził. Wybory rojalistycznego Parlamentu (*Cavalier Parliament*) oznaczały potężny zwrot na prawo, ale w ciągu roku konserwatywna większość stopniała bez śladu i odtąd ostatni Stuartowie zawsze musieli zmagać się z opozycją. Karol znalazł w końcu, w osobie earla Danby*, polityka parlamentarnego obdarzonego pewnymi cromwellowskimi talentami, ale Danby miał w ręku zbyt mało rządowych synekur, by stworzyć w Izbie skuteczną większość

* Przypadek tego człowieka dobrze ilustruje zamęt powodowany przez obyczaj zmieniania nazwisk przez angielskich polityków w miarę pięcia się w górę drabiny społecznej. Zaczął karierę jako sir Thomas Osborne, baronet, po czym został wicehrabią Latimer (1673), earlem Danby (1674), markizem Carmarthen (1689), by na koniec przybrać tytuł księcia Leeds (1694). Nawet najlepiej poinformowani czasem tracili orientację. I tak Fred Robinson, późniejszy wicehrabia Goderich, a jeszcze później markiz Ripon, skołował nawet swojego własnego premiera, Canninga, który w sierpniu 1827 roku, napisawszy memorandum na temat sytuacji w Portugalii, powiedział do swego sekretarza: „Wyślij to do Godericha i Robinsona”. (W. D. Jones, *Prosperity Robinson*, London 1967, s. 152).

– w efekcie Karol zrezygnował z szukania oparcia w Parlamencie i rządził za pomocą zagranicznych subsydiów.

Powrót do starej polityki kontynentalizmu musiał przynieść fatalne skutki. Zbyt świeża była jeszcze pamięć triumfów Cromwella, by opinia publiczna mogła spokojnie przystać na destrukcyjne posunięcia Karola w polityce zagranicznej: katastrofalne wojny z Holendrami, gwałtowny spadek poziomu ochrony przez państwo angielskiego handlu i przedsięwzięć kolonialnych, przyzwolenie Karola – w istocie aktywne wsparcie – dla wzrostu groźnej potęgi Francji na kontynencie, złowrogą woń tajnych układów, tak zabójczych dla angielskich interesów, że król nie ośmielał się zdradzić ich warunków nawet swym najbliższym doradcom. A co więcej, kontynentalizm nieuchronnie na powrót otwierał kwestię katolicką – nie sposób było ich rozdzielić. Ostatni królowie z dynastii Stuartów nie byli, w jakimś znaczącym sensie, katolikami; trudno nawet przyjąć, że w ogóle wierzyli w Boga (choć Jakub II zabobonnie czcił Matkę Boską). Wszelako potrzebowali katolicyzmu jako jedynej siły zdolnej wspierać ich wizję autokratycznej monarchii. Prędzej czy później musieliby spróbować przywrócić go w Anglii, mocno włączając ją w obręb systemu kontynentalnego, dzięki czemu każdy bunt przeciw tronowi wywołałby reakcję całej społeczności europejskiej. Ostatnie lata rządów Karola II stanowiły więc *continuum* z panowaniem jego brata Jakuba II. Z wiekiem „Stary Rowley” zrzucił maskę tolerancji, stając się coraz bardziej obsesyjnie podejrzliwy, zamknięty i mściwy. Na dworze zapanowała atmosfera dekadencji, charakterystyczna dla końcowych lat panowania jego dziada, jak zauważył Evelyn tuż przed śmiercią Karola:

[...] niewysłowiony przepych i zapamiętanie w rozrywkach, polowania i wszelka rozwiążłość, jak gdyby zapomniano w ogóle o Bogu [...]. Król siedzi i bawi się ze swymi konkubinami, Portsmouth, Cleveland, Mazarin etc.; francuski chłopiec śpiewa w tej wspaniałej galerii miłosne piosenki, a w tym czasie około dwudziestu znamienitych dworzan i innych zepsutych osób gra w basseta przy wielkim okrągłym stole, przed nimi, w banku, przynajmniej 2 tysiące funtów w złocie [...] sześć dni później wszystko obróciło się w proch.

Karol prorokował, że jego dziwaczny i ekscentryczny brat nie utrzyma się na tronie dłużej niż cztery lata – i miał rację. Nowy monarcha nie próbował jednak żadnych zmian polityki, a jedynie coraz szybciej starał się ją zrealizować, przejawiając przy tym niemal całkowitą obojętność na głos opinii publicznej. W końcu to Karol II mianował sędzią najwyższym Jeffreysa, powierzając mu zadanie zmiążdżenia sądów – nurt wrogości wobec monarchii Stuartów zaczął wzbierać, zanim Jakub znalazł się na tronie. Jakub miał jednak także swój własny, niepowtarzalny udział w tworzeniu długiej listy szaleństw i głupoty Stuartów. Jego rzadka ślepotą na uczucia i myśli innych ludzi dawała o sobie znać nawet w amorach, gdy usiłował uwieść Miss Hamilton „opowiadając

jej o złamanych nogach i rękach, zwichniętych łopatkach i innych osobliwych, a zabawnych przygodach”. Podczas gdy Karol gardził Anglikami, Jakub gwałtownie ich nienawidził: „Zna Anglików – powiadał – i wie, że nie można ich przymusić do spełniania obowiązków sprawiedliwym traktowaniem”. A jakie były ich obowiązki? Jakub wyliczył je na głos: „podążać ślepo za jego życzeniami oraz z oddaniem służyć jego dobru, bez żadnych warunków i żadnych zastrzeżeń”. Nic więc dziwnego, że nawet angielscy rekuźanci, co do jednego, nie chcieli znaleźć się na tak źle sterowanej łodzi. Z lekceważeniem traktował wszelkie przyziemne środki mogące zapewnić bezpieczeństwo tronu (choć nie czuł najmniejszej odrazy do morderstwa sądowego). Zrezygnowany Jeffreys zanotował: „Wszystkiego ma dokonać Święta Panienska”. Jakub szybko więc znalazł się znów na wygnaniu, na dworze francuskim, gdzie werdykt opinii brzmiał: „Gdy go słuchasz, rozumiesz, dlaczego się tu znalazł”.

W ten sposób Anglicy, chcąc nie chcąc, musieli, podobnie jak w XV wieku, zabrać się za wyszukanie takiej linii królewskiej, która odpowiadałaby ich potrzebom. Parlament znalazł się w roli pracodawcy, który daje ogłoszenie o wolnej posadzie szefa organizacji, wszelako liczba potencjalnych kandydatów była mocno ograniczona, a wymagane kwalifikacje (które nie miały nic wspólnego z morale, inteligencją czy uzdolnieniami) były ściśle określone. Po części sprawa dotyczyła geografii. W jaki sposób mocno i trwale związać monarchię z południowo-wschodnią Anglią – jak było za Tudorów – i zapobiec tym samym nieuchronnemu – jak działo się za Stuartów – przesuwaniu się środka ciężkości polityki angielskiej ku celtyckim obrzeżom oraz „nieokrzesanym i barbarzyńskim” terenom Anglii północnej i zachodniej? Wilhelm III przeszedł długą drogę, nim znalazł rozwiązanie polegające na wciągnięciu Anglii w serię wojen z Francuzami, które można było wykorzystać dla rozwoju angielskiego handlu, oraz na związaniu dworu i rządu niemal nierozzerwalnymi więzami z londyńskim City, zbierającym właśnie owoce finansowej rewolucji, jaką wyzwolił nowy Cromwellowski system podatkowy. Tron zyskał udział w handlowym rozkwicie kraju, wracając w ten sposób do oszczędnych i roztropnych metod Edwarda IV, Henryka VII i jego zdolnej wnuczki. Jednak związanie Korony z *Home Counties* nie załatwiało wszystkiego; potrzebne były jeszcze, statutowo potwierdzone, absolutne gwarancje formalnej sukcesji protestanckiej, by raz na zawsze wykluczyć możliwość dryfowania Anglii w objęcia systemu kontynentalnego. Maria nie pogardzała Anglikami (jak jej ojciec, Jakub), choć wołała Holendrów – była jednak bezdzietna. Anna szczyliła się swą angielską matką i imienniczką, Anną Hyde (która zapisała się w annałach jedynie tym, że potrafiła wychylić kwartę piwa bez zaczerpnięcia oddechu) i poprzedzała swoje mowy świadomym nawiązaniem do dumnych słów Elżbiety: „Jako że, jak mi wiadomo, jestem jedynie Angielką...” Ale i ona, mimo heroicznych wysiłków, nie zdołała urodzić dziecka,

które przeżyłoby okres niemowlectwa. Nagroda powędrowała więc w ręce Hanowczyków, którzy całe swe powodzenie związali z protestantyzmem, przedkładali gromadzenie i wydawanie pieniędzy ponad wszelkie idee polityczne, byli prawdziwie oddani City i co więcej, dorabiali się potomstwa. W ten sposób kontynentalizm został unieszkodliwiony – niepewnie próbował podnieść głowę jeszcze tylko w roku 1715 – a angielska polityka oscyłowała odtąd bezpiecznie między wąskoangielską (*Little Englandism*) orientacją Harleya, Walpole’a i Bute’a oraz Cromwellową tradycją zamorskiej ekspansji handlowej (*Big Englandism*), podtrzymywaną przez Stanhope’a, Cartereta i Chathama. A w dodatku ponad pięćdziesiąt osób legitymowało się lepszym tytułem do angielskiego tronu niż Jerzy I. Był to więc kres Boskiego Prawa Królów i monarchia zaczęła odgrywać taką rolę, jaką Anglicy życzyli sobie jej przyznać, opartą na pozabawionej nonsensów, handlowej zasadzie użyteczności i wygody.

Kończyło się jednak dużo więcej. Wojny domowe i ich następstwa, ze wszystkimi osiągnięciami i rozczarowaniami, przyniosły prawdziwe trzęsienie ziemi w angielskim społeczeństwie; dokończyły dzieła reformacji, zniszczyły dawne oczywistości i przeświadczenia, podając w wątpliwość obyczaje i postawy, które uważano za niepodważalne niemal od początku świata. W swych obszernych kompilacjach Aubrey zauważa ten wielki przełom – koniec starego, średniowiecznego dworu w Whitehall, fakt, że dżentelmeni nie podróżują już wierzchem, tylko w powozach, a zamiast zbrojnych pocztów towarzyszą im jedynie lokaje. Dostrzega też zanik wielu dawnych zwyczajów i wierzeń:

Wojny domowe sprawiły, że wszystkie owe rytuały albo zwyczaje wyszły z użycia. Wojny wykorzeniają nie tylko religię i prawa, ale także przesady, i żaden mag skuteczniej nie przegania fantomów niż proch.

Spółczesność w znacznej mierze traciło charakter patriarchalny. Nie przypadkiem Filmer, ideolog królewskiego absolutyzmu, przyrównywał króla do ojca rodziny. Teraz dzieci zbuntowały się nie tylko przeciw królowi, ale także przeciw własnym rodzicom. Aubrey nie żałował tej strony dawnych obyczajów:

Dzieci z równie bezmierną odrazą witały widok swych rodziców co niewolnik widok swego oprawcy. Dżentelmeni w wieku lat 30 albo 40, zdolni do wszelkich urzędów w państwie, musieli stawać przed rodzicami z odkrytą głową niczym wielkie, durne niemowły, a córki (dojrzałe kobiety) w trakcie wizyty wyniosłej matki miały cały czas stać przy kredensie, chyba że (jak to było w zwyczaju) uznano, iż pożądanym będzie udzielić im pozwolenia (doprawdy), aby klęczały na poduszkach przyniesionych przez służbę; po tym jak odbyły stosowną pokutę na stojąco [...], ojcowie i matki smagali naówczas swoje córki dyscypliną, mimo iż dawno były dorosłymi kobietami.

Rewolucja przyniosła więc także konflikt pokoleń, którego od tamtej pory już nigdy nie udało się zażegnać; stopniowo wszystkie postaci autorytetu poddawano świeckim kryteriom rozumu. Jak ujął to lord Halifax:

Wolność niedawnych czasów przyniosła ludziom tyle oświecenia i tak powszechnie je rozłożyła, że już nie można władać nimi tak, jak byłoby to możliwe w wieku mniejszego postępu nauki [...]. Chęć zrozumienia [...] nie jest dziś równie skromna co niegdyś [...], świat stał się zuchwały, oczekuje racji, i to dobrych racji [...].

Stał się także bardziej cyniczny i skorumpowany. W sercach wyrafinowanych rewolucjonistów republiki, przejętych ideą naukowego poznania przyrody, gorzała iskra czystej, dziecięcej niewinności; połączenie religijnej wiary i naiwnego, świeckiego idealizmu, pragnienia, aby czynić bliźnim dobro na ziemi. Niektórzy Anglicy – niewątpliwie mniejszość, ale silna i obdarzona wyraźną świadomością swych celów – naprawdę wierzyli, że mają do spełnienia misję i że ich czyny winny świecić przykładem całej ludzkości. Przynajmniej raz w dziejach Anglii hipokryzja i wygodna fikcja poszły na bok. Republika z dumą oświadczyła, że akta trybunału, który sądził i skazał Karola Stuarta, będą „żyły i pozostaną zachowane dla potomności ku wiecznej chwale angielskiego państwa, które nie poszło mroczną i krętą drogą, ale wkroczyło na otwartą i prostą ścieżkę Sprawiedliwości, Rozumu, Prawa i Religii”. Lub, jak pisał Milton: „Bóg natchnął Anglików, aby stali się pierwszymi z ludzi, którzy nie zawahają się osądzić i potępić swojego króla”*. Trzeba było pozazdroszczenia godnej ufności w swą rację, pewności siebie, by wyrzec takie słowa, jednak w latach zamętu, jakie nastąpiły po Restauracji, latach poszukiwania, metodą prób i błędów, politycznej stabilności – za cenę rezygnacji niemal ze wszystkich zasad – ta pewność siebie wyparowała i Anglicy ponownie zwrócili się ku niewyczerpanym źródłom swej hipokryzji. Porozumienie z roku 1689 pozbawiło religię

* Proces w całości relacjonowało sześć licencjonowanych gazet, z których dwie zamieszczały suplement zawierający dosłowny zapis rozprawy (trzy nielicencjonowane gazety rojalistyczne odmówiły relacjonowania procesu). Jedyna forma cenzury polegała na usuwaniu wypowiedzi wskazujących na istnienie różnic zdań między członkami trybunału, które ujawniły się podczas wytoczonych im w roku 1660 procesów o królobójstwo Karola I. Natomiast jeśli chodzi o poszanowanie dla sądu, to wcale nie egzekwowano go z całą bezwzględnością. Gdy Bradshaw oświadczył, że król został oskarżony w imieniu narodu angielskiego, lady Fairfax, ukryta w tłumie na galerii, zawołała: „Nawet nie połowy ani ćwierti narodu. Oliver Cromwell to zdrajca”. Gdy nie przestała hałasować, straż skierowała w stronę galerii lufy muszketów („Siedzieliśmy wtedy – wspomina jeden ze świadków – już bardzo cicho”). Jednak pozwolono jej wymknąć się bezkarnie. Fakt, że Fairfax nie odegrał po upadku króla żadnej znaczącej roli w debatach politycznych (zwłaszcza w Putney), czego wymagała jego pozycja, można złożyć na karb tego, że się jąkał, jednak stanowiące wyraźny zgrzyt poglądy lady Fairfax także zapewne się do tego przyczyniły. Jeśli chodzi o proces, zob. esej C. V. Wedgwooda w: *The English Civil War and After, 1642–1658*, red. R. H. Parry, London 1970.

rangi czegoś, za co warto umierać. Dzieje tych lat poddano zręcznej obróbce historyków, tak aby rzeczywiste następstwa gwałtownych działań zwykłych ludzi wyłaniały się z mgły niejasności i dwulicowości jako dziejowa konieczność, wyraz opatrnościowych poczynań wigów. Hooper, biskup Bath i Wells, stał się wyrazicielem nowego, rewizjonistycznego ducha cynizmu:

Nie należało zbyt szczerzyć się Rewolucją [1688], aby uczynić z niej pouczający precedens, ale raczej należało zarzucić na nią zasłonę milczenia i zwać ją wakatem lub abdykacją; słów zaś „Pierwotna Umowa” nie należało wspominać inaczej jak z największą ostrożnością, zbyt bowiem były niebezpieczne, jako że ci, którzy przyjrzeliby się rewolucji nazbyt wnikliwie, wcale nie okazaliby się jej przyjaciółmi, gdyż w takim przypadku korona potoczyłaby się jak piłka i nigdy nie zaznalibyśmy spokoju.

W ten sposób rewolucyjne państwo, w którym monarcha służył jedynie wygodzie i pożytkowi, zostało zręcznie legitymizowane w interesie klas posiadających, którym służyło. Jakub II nie został usunięty z tronu – „ulotnił się”, jak mawia policja; Anglia miała teraz doskonały ustrój i nie przewidywano, żeby kiedykolwiek trzeba było dla przywrócenia ładu uciekać się do użycia siły, chyba że w sytuacji tak niezwyklej, że aż niewyobrażalnej. Nową doktrynę polityczną w swoistej nowomowie przedstawił bezwstydnie Parlamentowi Walpole, praktyczny ideolog konstytucyjnej stabilności:

Prawo nigdzie nie dopuszcza oporu, ale wszędzie podlega on najsurowszym karom w zgodzie z obowiązującym prawem; to, czego nie ma, nie może ani nie powinno być kiedykolwiek przedmiotem opisu, ani zostać uznane przez jakiegokolwiek prawo pozytywne jako rzecz dopuszczalna. Żaden człowiek nie może przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to, czego nie należy się spodziewać, może się wydarzyć i nie należy o tym myśleć, chyba że jakiś ostateczny zamach na prawa królestwa zagraża całej konstrukcji ustroju państwa i nie można spodziewać się żadnego innego sposobu naprawy.

Jednakże stabilności politycznej nie można, oczywiście, kupić za cenę jedynie mglistej i bezsensownej ideologii, rodzaju opium w kwestiach ustrojowych. Potrzeba było czegoś bardziej praktycznego. Przypadkiem angielskie klasy rządzące znalazły stosowne rozwiązanie: korupcję. Zasada była naturalnie znana – doprawdy, rzadko zdarza się coś naprawdę nowego w angielskim życiu publicznym. Władcy i rządy Anglii zawsze w krytycznej sytuacji starały się przetrwać, dając odpowiedniej liczbie wpływowych postaci i rodów dostęp do kasy i zapewniając sobie w ten sposób wystarczającą bazę społecznego poparcia. Niezależnie od różnych wzlotów i upadków system przetrwał aż do końca XVI wieku, ale już wtedy wymagał delikatnego wyczucia równowagi – tego rodzaju, jakim byli obdarzeni Elżbieta czy Cecil. Wraz ze wzrostem politycznego znaczenia *gentry*, która zdominowała Izbę Gmin, zbyt wiele rąk wyciągnęło się

po pieniądze, a rząd miał wciąż za mało stanowisk, aby zaspokoić ich apetyty i stworzyć dzięki temu stabilną większość parlamentarną. Niezwykła ekspansja władzy państwowej za protektoratu wskazała wszakże drogę do ewentualnego rozwiązania, podobnie jak sukcesy w ściąganiu – przez podatki – części gwałtownie rosnących dochodów narodu. Trend wzmocniły jeszcze długotrwałe wojny z Francją, które przyczyniły się do powstania tysięcy nowych posiadłości rządowych, cywilnych i wojskowych, nie tylko w administracji centralnej, ale także w nowych służbach celnych i akcyzowych, finansujących jej działalność. Spadła, zarówno w liczbach bezwzględnych, jak procentowo, liczba posiadłości będących bezpośrednio pod kontrolą dworu (z około 1500 za Karola II do około 1000 za Jerzego I), ale wielokrotnie wzrosła liczba posiadłości znajdujących się w gestii ministrów. Było teraz – by zmienić nieco metaforę – dużo więcej, za to mniejszych, kawałków nieskończenie większego placka. Lub, jak ujął to książę Newcastle, „dość pastwisk, by wyżywić wszystkie bestie”. Miejsce w Izbie Gmin było teraz nie tylko oznaką statusu, ale także towarem handlowym o określonej wartości, którego sprzedaż można było anonsovować w gazetach. Na przełomie stuleci ktoś zauważył, że „stało się dziś powszechnym zwyczajem, że członkowie Izby wpiery kupują głosy [elektorów], po czym sprzedają uzyskane poparcie, które stało się bardzo chodliwym towarem na dworze”. W XVII wieku żaden rząd nie zdołał wygrać wyborów parlamentarnych (wyjąwszy iluzoryczne zwycięstwo z 1661 roku), w XVIII wieku żaden rząd ich nie przegrał.

System podziału łupów nieuchronnie redukowało element wpływu społeczeństwa na wybór parlamentów. W początku XVII wieku opozycyjne parlamenty dążyły do poszerzenia zasięgu praw wyborczych, manipulując korporacjami miejskimi, po roku 1688 nastąpił proces odwrotny, z wyjątkiem kilku liczniejszych okręgów wyborczych, w których ziemiaństwo zostało wyparte z pola przez rozwój miast. W rezultacie coraz mniej elektorów [uprawnionych do głosowania] mogło oddawać swe głosy swobodnie – prawdopodobnie jedynie 5% z 200 tysięcy uprawnionych w roku 1750. Zbyt wielkie pieniądze wchodziły w grę, żeby pozwolić chwiejnej publiczności realnie wpływać na rezultaty. Korporacje miejskie same wspierały ten proces, zaostrzając kryteria członkostwa – im mniej głosujących, tym większe łupówki dla tych, którzy zachowali prawo głosu. Cena miejsca w Parlamencie z okręgu miejskiego skoczyła gwałtownie w XVIII wieku ze średnio 1,5 tysiąca funtów do 5 tysięcy, a gdy przedłużono kadencję Parlamentu do 7 lat, większa stabilność posady zaowocowała dalszym wzrostem ceny. Koszty otwartej rywalizacji wyborczej w okręgu były tak wielkie, że coraz rzadziej dochodziło do takich pojedynków, a jedna walka często mogła przesądzić o losach mandatu na całe pokolenie.

Elementy nowego systemu władzy powstały w roku 1688, ale potrzeba było ponad 30 lat i specjalnych talentów Walpole'a do manipulowania ludźmi, aby zaczął funkcjonować gładko, bez przeszkód. Metodą prób i błędów Walpole

dokończył dzieła korumpowania klasy politycznej. Wierzył w korupcję równie głęboko i namiętnie jak inni w swe przekonania religijne. Sam zbierał ogromne łupy, stale i w sposób wielce profesjonalny*. Równocześnie dbał jednak o to, by inni także dostali swój udział, w ściślejszej zależności od oferowanych wpływów, poczynając od króla, jego dwu stałych kochanek (jednej niskiej i grubej, drugiej wysokiej i chudej), jego niemieckich doradców, Bothmara i Bernstorffa, tureckich służących Mohammeda i Mustafy, i dalej, systematycznie, w dół drabiny władzy. Administracja państwa stała się rodzajem kompanii akcyjnej, w którą ludzie inwestowali pieniądze w nadziei otrzymania dywidendy. Czasami można było liczyć na godziwy zarobek *per saldo*. Książę Chandos wydał, na przykład, w ciągu czterech lat 14 tysięcy na łapówki dla niemieckich ministrów króla i jednej z jego kochanek, uzyskując w zamian tytuł lordowski dla swego ojca, dziekanat Carlisle dla brata i pozycję na dworze dla syna. Nie wszyscy jednak wkraczali do gry w podobnych zamiarach. Niektórzy, jak Walpole, pragnęli władzy dla pieniędzy (jak również dla niej samej), inni, jak książę Newcastle, wydawali pieniądze, żeby zdobyć władzę. Wysoki urząd równie często przynosił majątek co ruinę**. Co więcej, system działał sprawnie jedynie w okresach obniżonej temperatury życia politycznego; gdy podnosiły swoje paskudne łby wojna albo zasady, zaczynał się załamywać. Około 150 *squires* z dalekiej prowincji na stałe pozostawało poza systemem korupcji i zachowywało swobodę

* Dla przykładu, w ciągu czterech lat, 1714–1717, przez ręce Walpole'a przeszło 109 208 funtów 4 szylingi 9 pensów, z czego zainwestował 61 778 funtów 14 szylingów 9 pensów, a resztę wydał. O wiele większe sumy zgarniał (niekoniecznie nielegalnie) jako premier rządu. Co najmniej 250 tysięcy pochłonęła posiadłość w Houghton; samą tylko kolekcję obrazów w chwili jego śmierci wyceniano na 35 tysięcy funtów. Na przyjęcia dla przyjaciół w Houghton wydawał około 200 funtów dziennie; na przykład w 1733 roku rachunek od jednego z dostawców win opiewał na 1118 funtów 12 szylingów 10 pensów. Ponieważ odziedziczony przez Walpole'a majątek ziemski przynosił zaledwie 2 tysiące funtów rocznie i był obciążony długami, znakomita większość wydawanych przez niego pieniędzy musiała pochodzić z funduszków publicznych. Por. J. H. Plumb, *Sir Robert Walpole: The Making of a Statesman*, London 1956, oraz *The King's Minister*, London 1960.

** W roku 1797, po półwieczu utrzymywania siedmiu miejsc w Parlamencie (3 tysiące funtów każde), lord Eliot wyliczył, że w sumie stracił na swoich operacjach. Pitt Młodszy zostawił długi wysokości 40 tysięcy funtów. Lord Liverpool w trakcie 33 lat urzędowania stracił znaczną część majątku. Canning wydał na politykę 60 tysięcy ze stutysięcznego majątku żony. Z kolei Palmerston, który był czynnym politykiem przez ponad 40 lat, potrzebował swojej oficjalnej pensji, żeby zachować wypłacalność (zob. Jasper Ridley, *Palmerston*, 1970). Ostatnim człowiekiem, który dorobił się w tym kraju fortuny dzięki swemu urzędowi, był Lloyd George. W dzisiejszych czasach politycy mogą jednak zarobić duże pieniądze na sprzedaży wspomnień; obyczaj ten zapoczątkował Churchill. W ostatnich latach za światowe prawa do wspomnień premierów płacono sumy rzędu 100, 250 i 240 tysięcy funtów; zwykły minister otrzymał 50 tysięcy. Tego rodzaju system stanowi w moim odczuciu – przynajmniej do pewnego stopnia – nadużycie, ponieważ opiera się na założeniu, że politycy udostępniają sobie nawzajem oficjalne dokumenty, do których nie ma dostępu opinia publiczna, pomnażając w ten sposób handlową wartość swoich memuarów.

politycznego wyboru. Z zasady cisi i zgodni, mogli stać się nieprzewidywalni w chwilach kryzysu. Boswell zanotował przenikliwe uwagi starego wygi parlamentarnego (niemal z całą pewnością Burke'a):

Izba Gmin stanowi mieszane ciało. W żadnej mierze nie jest to substancja czysta, nieskalana, choć nie jest też na pewno w całości skorumpowana, jakkolwiek wiele w niej korupcji. Wielu członków Izby to ludzie, którzy choć generalnie postępują zgodnie z wolą Ministra [premiera], nie pójdą za nim ślepo we wszystkim. Jest też wielu uczciwych, pełnych dobrych intencji dżentelmenów z prowincji, którzy są w Parlamencie jedynie dla zachowania tradycji swojego rodu. Większość z nich podda się wpływowi dobrej mowy.

Dokładnie. Jak Walpole słusznie przewidywał, żeby skutecznie kierować Izbą Gmin, należało pozostać jej członkiem; wszelako pokusa przyjęcia tytułu arystokratycznego była wielka i uległa jej większość wybitnych premierów od obu Cecilów po Chathama – ze swoją szkodą; Walpole wolał wkroczyć na Pola Elizejskie dopiero po wycofaniu się z aktywnego uprawiania polityki. Ale nawet on nie zdołał w końcu uniknąć grozy niepewności, jaką niesie wojna. Co więcej, wzrost stabilności politycznej sprawiał, że bycie w opozycji stawało się czymś godnym szacunku, bezpiecznym, a nawet (na dłuższą metę) opłacalnym. Dopóki opozycja gromadziła się wokół osoby przypuszczalnego następcy tronu, miała charakter personalny i frakcyjny, a zatem nie zagrażała systemowi. Jednakże Jerzy III nie miał dziedzica, dopóki sam nie znalazł się na tronie. Z braku personalnego punktu odniesienia opozycja zaczęła dryfować ku niebezpiecznym wodom ideologii. System zawierał więc zarodki własnego rozpadu.

A co tymczasem stało się z boską misją Anglików? Czy Anglicy wciąż byli narodem wybranym? Sprawa zaczynała wyglądać coraz bardziej wątpliwie. Po pierwsze, wzmożone studia historyczne nad przeszłością rzuciły bardziej rzetelne i spokojniejsze światło na początki dziejów Anglii. Mit nie mógł się ostać w zetknięciu z wnikliwą analizą profesjonalnych badaczy starożytności. Po drugie, można było przypomnieć teraz Anglikom, i to bezceremonialnie, że ich rasa, daleka od czystości, jaką sugerowałyby misja apostołów, była w istocie kundlem, mieszańcem narodów. W roku 1701, znużony nikczemnym sposobem, w jaki Anglicy traktowali cudzoziemców, zwłaszcza Holendrów, Daniel Defoe wyrzucił z siebie kawałek błyskotliwej rymowanki, *The True-Born Englishman*, która cieszyła się niezwykłą popularnością. Anglicy, pokazywał, wcale nie mają się czym szczycić, jeśli chodzi o ich pochodzenie. Są „barbarzyńskim pomiotem [...] mętów przeciągających armii”, „ziemno-wodnym, źle poczętym tłumem”, potomstwem kolejnych inwazji niezliczonych ludów:

Turecki rumak może dłuższą listę przodków podać,
Aby pokazać, z jak dobrego rodu pochodzi.

[...]

Oto herosi, co tak Holendrem pogardzają
I z krzykiem nowo przybyłych cudzoziemców gnają,
Nie pomni, że co do jednego każdy się wywodzi
Z najbardziej łajdackiej rasy, jaka po ziemi chodzi.

Co więcej, proces trwa nadal w najlepsze:

Jesteśmy ściekiem Europy, wychodkiem, gdzie ona
Wydala wszystkie swe wyrzutki, plody poronione.

Prawda jest taka, konkludował Defoe, że prawdziwy Anglik jest „człkiem spokrewnionym z całym kosmosem”.

Sukces tej filipiki pokazywał, że przynajmniej niektórzy Anglicy potrafili się już śmiać z szumnych pretensji swojego narodu – jakkolwiek nie dało się zauważyć żadnego osłabienia aktywnej wrogości wobec obcokrajowców, ani w domu, ani za granicą, czego dowodziła choćby niedorzeczna afera z uchem kapitana Jenkinsa*. Doprawdy, okoliczności tej wojny dobrze odzwierciedlały degenerację poczucia misji: od obowiązku natury religijnej, przy którym korzyści handlowe odgrywały rolę drugorzędną, do całkowitego poddania się motywom świeckim i materialnym. Piewcą nowego sposobu odczuwania był bez wątpienia James Thomson. Radował się nie tylko pięknem Brytanii („Nieba! cóż za rozkoszny widok rozciąga się wokół”), ale jeszcze częściej i dobitniej jej światową misją handlową: nie tylko w *Rule Britannia* („Władaj, Brytano”), pieśni z jego widowiska *Alfred* (1740), która stała się drugim hymnem narodowym, ale także w dziesiątkach innych wierszy i poematów. Czynnikiem sprawcy szczególnej roli Anglii w dziejach z biblijnego Boga przekształcił się w tajemniczą, bezimienną Opatrzność:

Gdyż to Brytyjczykom było
Przeznaczone, dziób ku gwiazdom wzniołszy
Płytkie morza przeciąć, dalej pewnie płynąć
Ku odległym krainom przez bezkresny ocean.

Liberty, 1736

Anglia w istocie stała się już rodzajem ekonomicznego policjanta, łączącego w sobie autorytet moralny i znajomość gospodarczego rzemiosła:

* Wojna angielsko-hiszpańska, która wybuchła w 1739 roku, znana jest jako „wojna o ucho Jenkinsa” – od nazwiska kapitana, który w 1731 roku stracił ucho w wyniku ataku Hiszpanów na statek „Rebeka”, przewożący kontrabandę na Morzu Karaibskim (przyp. tłum.).

A gdy wyniosłe wokół globu płyniesz,
Niech każdy okręt tobie salut daje
I każde państwo zrazu zna swe dobro
Oraz powinność, to jest twoja chwała,
To twoja mądrość; kraju to potęga,
Ku której los ciebie wyzywa.

Thomson, z czujnym spojrzeniem finansisty z City, podkreśla fakt, że to „niekosztowna władza” oraz że handel, a nie nowe terytoria, to teraz cel dla Anglików:

nieskrępowana ładunkiem potężnym
Podboju, czym wielkie imperia rosły i padały.

Britannia, 1729

Ten bombastyczny ton jest w pewnym sensie bardziej obraźliwy niż równie dobitny, ale naiwny i pełen wiary ton Milтона i Foxe'a*. Gdy Bóg zniknął w tle, zysk zajął pierwsze miejsce na sztandarach angielskiego rasizmu. Pod koniec XVII wieku duch angielskich przedsięwzięć kolonialnych uległ zmianie. Oczywiście, zawsze chodziło o handel. Hakluyt młodszy, który wierzył w boską misję równie żarliwie jak każdy elżbietański protestant, dowodził w swoim *Discourse of Western Planting*, napisanym na prośbę Ralegha, że kolonizacja Ameryki Północnej, pochłaniając nadmiar populacji, rozwiąże problem bezrobocia, uniezależni Anglię od innych dostawców surowców, zwłaszcza drewna, i poszerzy jej rynki zbytu dla gotowych wyrobów. Ale równocześnie, co jeszcze ważniejsze, będzie środkiem „cywilizacji” Indian, pozwoli Anglii uwolnić się gospodarczo od nieuleczalnie zepsutej Europy; będzie „miejscem bezpiecznego schronienia [...], jeśliby zmiana religii lub wojny domowe miały wydarzyć się w tym królestwie”. Amerykę Północną „Bóg przeznaczył, aby została sprowadzona na drogę chrześcijańskiej cywilizacji przez naród Anglików”. Ralegh, który lubił Indian (z wzajemnością), uważał, że monstrualne okrucieństwa Hiszpanów w Ameryce ściągnęły na nich gniew Boży i że Anglia ma obowiązek przejąć odpowiedzialność za cały kontynent; gdyby mu pozwolono zrealizować jego wielki „projekt zachodni”, niewykluczone, że mógłby uratować ogromne terytoria przed bezsensowną grabieżą i zniszczeniem, i że Ameryka Łacińska byłaby dziś szczęśliwszym miejscem, niż jest obecnie. Również bardziej

* Horace Walpole wnikliwie dostrzegł hipokryzję, z jaką Anglicy używali słów „handel” i „wymiana” do usprawiedliwienia swoich wojen i agresji. W liście do sir Horace Manna (z 26 maja 1762) pisał: „Nie jestem dobrym Anglikiem, bowiem sądzę, że korzyści z handlu przypadają niewielu, drogo okupione życiem bardzo wielu [...] każdy wiek ma jakiś krzykliwy system służący wyjaśnianiu jego okropności. Podbój, honor, rycerskość, religia, równowaga sił, handel, nieważne co, ludzkość musi krwawić, biorąc jakieś słowo za przyczynę”.

na północ kolonie zakładano nie tylko w celu propagowania wolności religijnej, jak w Massachusetts, ale także po to, by urzeczywistnić nowoczesne idee polityczne. Kompania Wirginii była próbą wcielenia w życie niektórych pomysłów Ralegha, a jej skarbnik, sir Edwin Sandys, szczególnie znienawidzony przez Jakuba I, wierzył, że pierwotnie wszyscy królowie byli elekcyjni. Podobnie jak Ojcowie Pielgrzymi wprowadził tajne głosowanie (zabronione przez Karola I we wszystkich koloniach) i Jakub I całkiem trafnie powiadał o Kompanii, że jest „jedynie szkołą buntowników dla Parlamentu”. Wielu czołowych radykałów parlamentarnych zaangażowało się w działalność Kompanii Wyspy Providence i nie ulega wątpliwości, że polityczne eksperymenty w Ameryce usztywniły reformistyczne nastawienia Długiego Parlamentu. Szowinizm polityki zagranicznej Cromwella krył w sobie potężny nurt idealizmu; Milton, formułując oficjalne stanowisko Anglii wobec Hiszpanii, jako podstawowy powód wojny podaje bestialstwo *conquistadores*.

A jednak kolonie od samego początku stanowiły bardzo wierne odbicie angielskich cnót i występków; niezwykłą mieszaniną chciwości i idealizmu, legalizmu i jawnych anomalii, pozbawionych jakiegokolwiek logiki czy systematycznego porządku, a także (co najbardziej charakterystyczne) od początku wprowadzały jaskrawe innowacje w nieodzownym kostiumie tradycji. Podczas gdy Hakluyt wzywał do tworzenia kolonii, aby nawodnić wyschnięte umysły pogan „słodkim i ożywym likworem Dobrej Nowiny”, Bacon słusznie zauważał, że prawdziwym celem było „jedynie złoto, srebro i doczesny profit”. W Massachusetts prześladowano kwakrów i czarownice, ale rzadko stosowano karę śmierci, nie więziono za długi, dopuszczano małżeństwo cywilne i podniesiono prawny status kobiet. Świeże zwyczaje na siłę wciskano w ramy starożytności, i tak już w 1652 roku Barbados zwracał się z petycją o zwoływanie miejscowego zgromadzenia, jak to było „starodawnym i zwykłym tutaj obyczajem”. Teoretycznie Pensylwania stanowiła własność prywatną, kolonię należącą do swego właściciela; miała jednak wolne zgromadzenie lokalne, celem jej kodeksu karnego była raczej naprawa winowajcy niż zemsta, a w stosunkach z Indianami zachowano niemal czyste ręce; jej założyciel wymyślił nawet pierwowzory Ligi Narodów i suwerennego parlamentu europejskiego. Gdy Anglicy w ślad za zdobyciem przez Cromwella Jamajki zapoczątkowali na Karaibach handel niewolnikami z Afryki, dowodzili, że Indianie pomarliby zmuszeni do ciężkiej pracy na plantacjach, ale dla krzepkich Murzynów transport za ocean był jedynie środkiem wiodącym do zbawienia na tamtym świecie i skromną pociechą już na tym. To kłębowisko chaotycznego myślenia produkowało czasem osobliwe monstra. W okresie Restauracji podejmowano próby zakładania na wpół feudalnych społeczeństw podobnych do tego, jakie krzyżowcy założyli w dwunastowiecznej Syrii. Jedna z takich konstytucji, napisana przez Locke'a w 1669 roku, przewidywała podział kolonii na hrabstwa, z których każde dzieliło się

następnie na senioraty, należące do właścicieli kolonii, oraz baronie, należące do miejscowej szlachty zwanej *caciques* i *landgraves*. Ziemia mogła także należeć do wolnych posiadaczy, którzy mieliby prawo wybierać członków niższej izby parlamentu, podczas gdy szlachta i właściciele stanowiliby pozostałe stany.

Jednak większość kolonii powstawała na zasadzie kontraktu między rządzącymi a rządzonymi, na wzór pierwotnego kontraktu społecznego, który, jak wierzą, został zawarty w czasach anglosaskich, a nawet wcześniej. Kolonie miały więc dzięki temu coś w rodzaju pisanych konstytucji, spisanych jednak w zgodzie z aktualną praktyką handlową, stąd o ile Anglia była tradycyjnym społeczeństwem rolniczym, które ostatecznie przekształciło się w handlowe, to Ameryka była społeczeństwem handlowym *ab initio*, od początku – i na tym polega podstawowa różnica między nimi. Ponadto Ameryka od początku była nader legalistyczna: jej korzenie ideologiczne sięgają okresu, gdy angielscy prawnicy parlamentarni, posługując się prawem zwyczajowym, napisali na nowo historię Anglii i dokonali ustrojowej rewolucji. Przy pewnych ważnych różnicach istniały też paralele w rozwoju wydarzeń po obu stronach Atlantyku. Kolonie z radością witały Republikę i Protektorat, z nieufnością przyjęły Restaurację i stały się jawnie wrogie, gdy Jakub II, idąc w ślady Richelieu, zaczął anulować przywileje kolonii, wciągając je w obręb jednolitej, scentralizowanej administracji królewskiej. W roku 1688, gdy do Ameryki dotarła wieść o rewolucji w Anglii, mieszkańcy Nowej Anglii aresztowali królewskich gubernatorów, twierdząc, że przysługuje im prawo do konstytucyjnego oporu wobec nielegalnej władzy, i zwrócili się do Parlamentu o zalegalizowanie swych kroków *ex post facto*. W osobliwy sposób powtórzyli więc niemal dokładnie poczynania Brytów z roku 410 – złowroga wróżba dla przyszłości tworu, który ludzie właśnie zaczynali nazywać Imperium Brytyjskim.

Anglia utraciła kolonie w Ameryce, ponieważ Anglicy przestali wierzyć w swoją misję daną od Boga. Misja domagała się aktywności: podejmowania świadomych działań na rzecz określonych zadań; wyznaczała cel i środki, jakimi należy go zrealizować; wymagała społeczeństwa w ruchu, pędzącego coraz szybciej ku nowemu *millennium*; podnosiła wielkie kwestie i domagała się jasnych odpowiedzi. Dlaczego tu jesteśmy? Jakie zadanie wyznaczyła nam Opatrzność? Co zatem mamy czynić, aby się z niego wywiązać? W tej wizji Bóg nie był już – jak w świecie średniowiecza – policjantem, ostateczną ostoją sił doczesnego porządku, ale władcym i pedantycznym szefem, głównym budowniczym ogromnej i bardzo pilnej budowy, który wydaje podwładnym dokładne polecenia. Taka wiara kłóci się wszakże ze stabilizacją, a Anglicy, po stuleciu niepokoju i eksperymentów, pragnęli stabilizacji, lub tak się wydawało – a w każdym razie zostali nią obdarzeni. Za stabilizację trzeba jednak płacić. Ceną było więc, przede wszystkim, porzucenie misji, roli wykonawców Boskich zamiarów w dziele naprawy świata; lub, innymi słowy, zredukowanie moralnego

posłannictwa do czysto komercyjnego zadania rozwijania światowego handlu – który i tak rozwijał się samorzutnie zgodnie ze swoją naturą. Ale to nie wszystko, albowiem w praktyce nie można było skłonić tak niezmożonego narodu do rezygnacji z roli ludu wybranego przez Boga – a w tym samym utraty gwarancji wiecznej szczęśliwości – inaczej niż poprzez istotne *qui pro quo* na ziemi. Ten naród, a przynajmniej jego klasę polityczną, trzeba było skorumpować, kupić jego spokój – i tak właśnie się stało. Jak ujął to Walpole: *quiete non movere* – śpiące psy nie czynią hałasu, o ile zostały dobrze nakarmione.

Smutnym komentarzem do dziejów ludzkich społeczności jest fakt, że zwykle dają się namówić do zaakceptowania korupcji jako systemu rządów, o ile uczestniczy w niej wystarczająco szeroki krąg osób. Jak widzieliśmy, ekspansja państwa stworzyła taką sytuację w początku XVIII wieku. Jednak nawet jeśli krąg był dość szeroki, nadal miał ściśle określone granice i liczne grupy znajdowały się poza jego obrębem; prawdopodobnie właśnie dlatego załamał się pod koniec XVIII wieku, że wraz ze wzrostem liczby ludności zrobiło się już zbyt wielu wykluczonych. System eliminował jednak także całe narody. Ze względu na Akt Unii [1701] Walpole uznał za warte zachodu wciągnięcie doń Szkocji, gdyż dysponowała teraz cennymi miejscami w obu Izbach Parlamentu i warto było je kupić. Dzięki temu Szkocja, a w każdym razie jej nizinne regiony, stała się zadowolonym i coraz lepiej prosperującym członkiem wspólnoty; większość Anglików namiętnie dowodziła nawet, że Szkoci dostali dużo większy udział w łupach, niż im się należało. Natomiast Irlandia została z systemu rygorystycznie wykluczona. Wobec postanowień Prawa Poyninga – uzależniającego stanowienie w Irlandii praw od zgody angielskiej *Privy Council* (Rady Tajnej) – lokalny parlament irlandzki był praktycznie bezsilny, a do tego naturalnie Irlandia nie miała do zaoferowania żadnych miejsc w Westminsterze. Stąd lukratywne posady w Irlandii, zarówno kościelne, jak i państwowe, przypadły głównie Anglikom i na liczne pokłady niesprawiedliwości, jakie dźwigali irlandzcy Celtowie, nałożyła się jeszcze jedna klasa rządzących. Wszyscy Irlandczycy, bogaci czy biedni, katolicy czy protestanci, jak jeden mąż oburzali się na te niegodziwości, ale żeby nie wiem jak głośno wzywali o pomstę do niebios, i tak nie mogli liczyć na nią na ziemi, Irlandia leżała bowiem w zasięgu angielskich armat. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z Ameryką. Podobnie jak Irlandia, nie miała swoich miejsc w Westminsterze, także więc była zasadniczo wykluczona z systemu podziału łupów, ale Ameryka leżała trzy tysiące mil i sześć tygodni drogi od źródeł władzy angielskiej. To zaś oznaczało zasadniczą różnicę, zwłaszcza w momencie, gdy na krótko Anglia utraciła absolutne panowanie na morzach.

Czy Ameryka pozostałaby lojalna, gdyby wystarczająco wielu Amerykanów dostało swój udział w łupach? Już wówczas zadawano sobie to pytanie (choć nie w ten sposób). W pierwszym projekcie Deklaracji Niepodległości Jefferson

napisał: „Razem moglibyśmy stać się wielkim i wolnym narodem”, ale koledzy zmusili go, żeby to zdanie wymazał. Zadawano je także po wielokroć od tamtej pory. W roku 1900 lord Rosebery, który pierwszy spopularyzował wyrażenie „Wspólnota Brytyjska” (*British Commonwealth*), w swej mowie rektorskiej powiedział studentom w Glasgow, że „gdyby nie drobny przypadek”, Ameryka zostałaby w swoim czasie większym partnerem w ogromnym transoceanicznym *dominium*, siedziba rządu zostałaby „z całą powagą przeniesiona za Atlantyk, a Brytania stałaby się historycznym sanktuarium i europejską placówką światowego imperium”. Tym „drobnym przypadkiem” było przyjęcie przez Pitta tytułu arystokratycznego [earl Chatham], co, jak stwierdził Rosebery, pozbawiło go „jego świętości i autorytetu” i w ten sposób uniemożliwiło mu zapobieżenie rozłamowi.

Rzeczywiście, historia składa się z drobnych przypadków, ale problem był o wiele poważniejszy, niż zakładał Rosebery. Można go było, oczywiście, rozwiązać, gdyby przyznano Amerykanom jakąś formę reprezentacji politycznej w Westminsterze lub w Ameryce, co z kolei automatycznie zapewniłoby im odpowiedni udział w łupach. Jednak w obu przypadkach na przeszkodzie stały zasadnicze obiekcje natury konstytucyjnej. Cała teoria i praktyka stabilności władzy w Anglii opierała się na założeniu, że angielski system polityczny przybrał swą ostateczną postać i osiągnął doskonałość polegającą na równowadze. Utworzenie w Ameryce parlamentu, wyposażonego w jakieś ograniczone prerogatywy (na przykład w sprawach podatkowych), oznaczałoby przyznanie Amerykanom częściowej suwerenności, a to praktycznie zakwestionowałoby funkcjonowanie całego angielskiego systemu władzy. Jak z całym naciskiem podkreślał Blackstone, odgrywający w XVIII wieku (podobnie jak Coke w XVII) rolę arbitra w kwestiach konstytucyjnych, „istnieje i musi istnieć we wszystkich [formach rządu] najwyższa, niewzruszona, absolutna, niekontrolowana władza, do której należą *jura summa imperii*, czyli prawa suwerenności”. W Anglii taką suwerenną władzą był Parlament, którego postanowień „żadna siła na ziemi nie może unieważnić”. Ta absolutna suwerenność była jedyną alternatywą dla potworności pisanej konstytucji (których Amerykanie, rzecz jasna, się nie obawiali). Władza nakładania podatków „jest nieodzowną częścią każdej najwyższej władzy ustawodawczej”, a zatem, jeśli Parlament „nie miałby tej władzy nad Ameryką, nie miałby nad nią żadnej władzy, a wtedy Ameryka stałaby się z miejsca samodzielnym królestwem”.

Tyle jeśli chodzi o lokalny parlament w Ameryce. A co z reprezentacją w Westminsterze? Tutaj obiekcje były jeszcze poważniejsze. Ameryka stanowiła serię spółek akcyjnych, a ich lokalni zarządcy, czy delegaci do miejscowych zgromadzeń, byli bezpośrednio odpowiedzialni przed swymi mocodawcami; taka kontrola przez elektorat stanowi – wówczas i dziś – istotę całej amerykańskiej teorii politycznej, dzięki czemu można wyjaśnić, dlaczego w Stanach

Zjednoczonych nigdy nie powstały partie ideologiczne. Angielska teoria polityczna była jednak zgoła odmienna; musiała być odmienna, aby usprawiedliwić ów „doskonały ustrój”, stanowiący w rzeczywistości pozbawioną wszelkiej logiki gmatwaninę. Członkowie angielskiego Parlamentu nie byli bowiem wcale przedstawicielami swoich wyborców, byli ludźmi, którym powierzono dobro kraju, a nawet imperium – powiernikami. Jak członek Izby mógł zostać delegowany przez *close* czy *pocket borough* [okręg miejski z niewielką liczbą elektorów uzależniony od lokalnego właściciela ziemskiego]? Nie, po prostu każdy członek Izby, osobiście, był strażnikiem dobra publicznego, działającym wedle swego sumienia i osądu (co Burke mozolnie starał się uzmysłowić elektorom z Bristolu). Członek Parlamentu z Old Sarum, które faktycznie nie miało już żadnych elektorów, był równie upoważniony (a nawet bardziej, jako człowiek całkowicie bezinteresowny) do reprezentowania prawdziwych interesów Amerykanów co człowiek wysunięty przez pełen żądań tłum z Massachusetts. Gdy Amerykanie dowodzili, że nie można się zgodzić, żeby tak kwitnące miasta jak Boston czy Filadelfia nie miały swojego przedstawiciela w Westminsterze, angielski *establishment* odpowiadał, że Manchester, Birmingham czy Sheffield też nie mają. Taka odpowiedź jednak wcale nie uspokajała wzburzonych umysłów za oceanem. Zajadły bostoński demagog James Otis odparł krótko: „Skoro te tak znamienite miejsca nie mają reprezentacji, to znaczy, że mieć powinny”. Prawda polega bowiem na tym, że nie można było przyznać praw konstytucyjnych Amerykanom, nie przyznając ich równocześnie szerokim rzeszom pozbawionych jakiegokolwiek reprezentacji politycznej Anglików; to zaś oznaczałoby kres systemu podziału łupów, a tym samym „ustroju równowagi”, i przyniosłoby powrót anarchii. Angielska klasa rządząca musiała więc wybrać między stabilnością a imperium i choć bardzo ceniła sobie jedno i drugie, wybrała stabilność, podobnie jak ponownie uczyniła w XX wieku.

W ten sposób kierunek ataku amerykańskiego ruchu niepodległościowego wpływał z radykalnej, lewicowej krytyki angielskiego systemu politycznego. Amerykanie przyznawali, że sama zasada była słuszna, ale, jak w przeszłości często dowodzili sami Anglicy, system uległ wypaczeniu i potrzebna była natychmiastowa reforma – powrót do dziewiczych i doskonałych początków. Po pierwsze, zakładano, że konstytucja będzie gwarantować świętą nienaruszalność własności prywatnej; ale jak miałyby tego dokonać, skoro dobra należące do Amerykanów mogą zostać w zgodzie z prawem skonfiskowane przez królewskich urzędników, nad którymi Amerykanie nie mają żadnej władzy? Jak Massachusetts oświadczyło Chathamowi w roku 1768: „Ta wielka zasada natury, iż «to, co człowiek uczciwie zdobył, stanowi jego absolutną i nienaruszalną własność», ta zasada jest fundamentalnym prawem brytyjskiej konstytucji”. Amerykanie mogli się też odwołać do wspaniałego precedensu, szeroko

opisywanego przez historyków: cofnęli się do wydarzeń roku 1640. „Dokonaliśmy tego nie bez pomocy Rushwortha, którego przetrząsaliliśmy w poszukiwaniu rewolucyjnych precedensów z owych dni” – oświadczył Jefferson. Stany Zjednoczone były więc pośmiertnym dzieckiem Długiego Parlamentu*.

I rzeczywiście, Amerykanie z lat sześćdziesiątych XVIII wieku, podobnie jak angielska *gentry* z roku 1640, byli zbrojni w rozległą, szczegółową i (przynajmniej dla nich) nadzwyczaj przekonującą spiskową teorię wydarzeń. Inspiracji poszukiwali głównie u krytyków – z lewa i z prawa – systemu korupcji stworzonego przez Walpole’a, a utrwalonego za rządów Bute’a i Jerzego III. Na lewicy czytali i podziwiali „Independent Whig”, listy Katona w „London Journal”, krytykę teorii submisji autorstwa biskupa Benjamina Hoadleya oraz relację Moleswortha o tym, jak wolne państwo duńskie stoczyło się w absolutyzm. Na prawicy z aplauzem przyjmowali jadowite ataki na korupcję w „Craftsmanie” Bolingbroke’a. Odwoływali się też do wigowskiej teorii wyłożonej przez Thoyrasa, hugenotę na wygnaniu, w jego *Histoire d’Angleterre* (przekład angielski 1725–1731), który ostrzegał przed „zorganizowanym spiskiem” torysów w celu przywrócenia absolutyzmu Stuartów. Gdy po 1763 roku kwestia podatków stała na ostrzu noża, groźba zaczęła się ostatecznie konkretyzować, tym razem pod berłem Hanowerczyków. Sir Lewis Namier zdołał na podstawie dokumentów wykazać, że Jerzy III nie odgrywał roli jednoosobowego rządu torysów, ale osiemnastowieczni Amerykanie i tak by mu nie uwierzyli.

Naturalnie o wiele poważniej traktowano krytyków angielskiego systemu w Ameryce niż w ich własnym kraju. A jednak teoria spiskowa trafiała do przekonania wielu zupełnie niezłe zorientowanym Anglikom. Wydawało się, że wolność wszędzie jest w odwrocie; barbarzyńskie tyranie rodziły się i rosły w siłę na wszystkich kontynentach, w Europie, w Azji, w Afryce. Burke ostrzegał w swoich *Thoughts on the Present Discontents*, że „pewna grupa ludzi [...], aby zagwarantować dworowi możliwość nieograniczonego i niekontrolowanego wykorzystania jego ogromnych wpływów, poddanych jedynie jego

* Wszelkie nieangielskie inspiracje nie miały w przypadku amerykańskich buntowników większego znaczenia. John Adams powoływał się na Platona jako rzecznika równości i samorządu, nie czytawszy jego *Państwa*, a gdy je wreszcie przeczytał, był tak zaszokowany, że uznał je za satyrę! Ważną rolę w kształtowaniu opozycyjnego ducha Amerykanów odgrywały udane potyczki Wilkesa z Izłą Gmin; podobnie jak prace radykałów w rodzaju Priestleya i przede wszystkim Paine’a. To właśnie Paine, w *Common Sense* (1776), ostatecznie pozbawił Amerykanów złudzeń co do szczególnych zalet angielskiego ustroju politycznego. Idea równowagi, stwierdził, to zwykły nonsens; jeśli w Anglii istnieje wolność, to „wyłącznie dzięki usposobieniu (*constitution*) ludu, a nie konstytucji rządu”. Gdzie znajduje się król w Ameryce? „Powiem ci, przyjacielu, króluje w niebiosach i zaiste nie sieje wśród rodzaju ludzkiego takiego spustoszenia jak Jego Zwierzęca Mość z Wielkiej Brytanii”. Por. analiza Bernarda Bailyna, *The Ideological Origins of the American Revolution*, Harvard 1967.

prywatnym kaprysom, [snuła] plan podważenia wszystkich fundamentów naszej wolności”. Po drugiej stronie wielkiej wody teoria spiskowa przybierała dziwaczne i szalone postacie, stapiając ze zdumiewającą łatwością mity historyczne, przesady rasowe i aktualne zdarzenia. Stosunkowo niegroźny pomysł mianowania w Ameryce anglikańskich biskupów stanowił, jak oświadczył John Adams, plan narzucenia „kanonicznego i feudalnego prawa”. Urzędnicy kolonialni, zwłaszcza zajmujący się cłem i akcyzą – równie mocno znienawidzeni w Ameryce co w Anglii – jawili się jako czołowi agenci spiskowi; mówiąc słowami Otisa: „drobna, brudna, zapita, nierządna, zepsuta banda złodziei, żebraków i zesłańców [...] złożona z Turków, Żydów i innych pogan, wraz z kilkoma chrześcijańskimi odstępcami i katolikami”. Za nimi szła „stała armia”, „czerwone kurty”, przed którą ostrzegali wszyscy dobrzy angielscy wigowie, obecnie kwaterująca w Massachusetts, i poprzez „masakrę bostońską” jasno dająca do zrozumienia, czego się można po niej spodziewać.

James Otis, najbardziej historyczny, zajadły i najbardziej popularny propagandzista amerykańskiego ruchu niepodległościowego, sformułował osobliwą teorię dziejów, rodem z Nowej Anglii. Oto Anglosasi mieli parlament wybierany w powszechnych wyborach przez wszystkich wolnych członków społeczeństwa; Normanowie obalili tę tradycję; następnie w trakcie stuleci walk mających kulminację w kryzysie wywołanym przez „ohydłą rasę Stuartów” udało się stopniowo przywrócić wolność w postaci „owego szczęsnego ustroju, jakim się odtąd cieszyła Wielka Brytania”. Teraz jednak ustrój znów był w niebezpieczeństwie i tak jak Sasi migrowali do Anglii w poszukiwaniu wolności, tak samo Amerykanie przepłynęli ocean, żeby stworzyć czystsza i bardziej wolną Anglię. Nie był to wcale jedyny przykład podobnych nonsensów. Ironii dopełniał fakt, że Anglicy po raz pierwszy musieli zmierzyć się z ludźmi, którzy potrafiliby produkować *ad hoc* dowolne ilości pełnych hipokryzji bredni i świętoszkowatych mitów, dokładnie w stylu, jaki oni sami wymyślili.

Mit wielkiego spisku przyjmował wszelkie możliwe postacie i często był wewnętrznie sprzeczny. Ale nawet najbardziej proangielscy Amerykanie dochodzili do przekonania, że coś w tym musi być, w miarę jak w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XVIII wieku coraz bardziej bezradne angielskie rządy zaczęły odwoływać się do przemocy. Jedni sądzili, że spisek datuje się z czasów Restauracji Karola II, inni, że od Walpole’a lub od roku 1763. Często rolę arcyzłoczyńcy przypisowano Bute’owi, a jego wycofanie się z czynnej polityki traktowano jako podstęp: sądzono, że niechybnie powróci na czele swych „szkocko-barbarzyńskich oddziałów”. Kiedy indziej, albo dodatkowo, winą obarczano stronnictwo torysów sprzyjających Stuartom, które znajdowało poparcie w „skorumpowanej, sfrancuziałej części narodu” i działało „z wielkim prawdopodobieństwem w interesie domu Burbonów i Pretendenta” [Karol Edward Stuart, wnuk Jakuba II]. Wszystkie wersje koncentrowały się

jednak zgodnie wokół rażącej, jawnej i otwarcie uznawanej korupcji angielskiego systemu politycznego, zwłaszcza systemu wyborczego, która doprowadziła do zniewieściałości mężny niegdyś i nieustraszonego naród – podobnie jak doprowadziła do ruiny starożytny Rzym – i zmieniła Anglię w „starą, pomarszczoną, zwiędłą, zniszczoną jędrę”. W roku 1770 zgromadzenie miasta Boston podsumowało sprawę następująco:

Cała seria wydarzeń, wiele ostatnich wypadków [...] pozwala zasadnie przypuszczać, że siły imperialnego despotyzmu powzięły i częściowo zrealizowały głęboko ukryty i zdecydowany plan zniszczenia wszelkiej wolności obywatelskiej [...]. Czcigodna i szanowana nigdy forteca angielskiej wolności, wspaniałe dzieło stuleci – brytyjska konstytucja – wydaje się w szybkim tempie popadać w śmiertelną i nieuchronną ruinę. Straszliwa katastrofa grozi powszechnym zamętem i stanowi złowieszcze ostrzeżenie, iż wszystko może zniszczyć, o ile, przez przypadek, my w tych odległych zakątkach ziemi nie zdołamy temu zapobiec, abyśmy nie zostali ze szczętem pogrzebani pod ruinami naszych najtrwalszych praw.

Jednakże – i właśnie w tym punkcie Amerykanie przejęli od Anglików, z całym dobrodziejstwem inwentarza, mit narodu wybranego – Ameryka została na czas ostrzeżona. Obroni siebie samą i przechowa płomień wolności w „kraju wolnych ludzi; ostatnim a z y l u, do którego będą mogli uciec z powszechnego potopu”. Ameryce „może nawet przypaść to wielkie szczęście i honor [...], że uratuje samą Brytanię od ruiny”. Ameryka będzie „właśnie tym miejscem, gdzie powstanie owo wspaniałe królestwo, jakie Chrystus zbuduje na ziemi w przyszłych czasach” i „wzniesie imperium na ruinach Wielkiej Brytanii”. Toteż „za sprawą Bożej obecności Ameryka otwiera dziś nową epokę w dziejach świata”. Stąd zaś już tylko krok do inskrypcji na Statui Wolności zapraszającej „biedne, stłoczone masy”, aby szukały tu schronienia przed potwornościami Europy.

Brzmiało to bardzo dobrze. Jednakże mit, który miał pewne uzasadnienie i w konfrontacji z prawdziwą i groźną (nawet jeśli nieudolną) tyranią Stuartów budził szczerzy i niekłamany entuzjazm w siedemnastowiecznej Anglii, brzmiał zupełnie inaczej i o wiele bardziej podejrzanie w wieku Oświecenia. Wersja historii, jaką prezentował nowy mit – o narodzie bohaterów jak jeden mąż stających przeciw bezlitosnemu i wrogiemu imperializmowi – nie może się ostać po uważnej lekturze dokumentów. Zapewne bliższy prawdy był Jerzy III, gdy utrzymywał, że to raczej niektórzy Amerykanie spiskują przeciwko niemu. Jego sławny list do lorda Northa, wyliczający wszystkie katastrofalne konsekwencje, jakie czekają królestwo i imperium w przypadku poczynienia najmniejszych ustępstw wobec Amerykanów, został całkowicie i bezlitośnie zdyskredytowany przez późniejszy bieg wypadków; można go cytować, jako pogładowy przykład obłąkanego niezrozumienia sytuacji, każdej sile imperialnej, która obawia się, że wycofując się rozsądnie w odpowiednim momencie, może

zagrozić całej strukturze. Ponadto – jak na ironię – może stanowić, na przykład, potężną amunicję przeciw amerykańskiej obecności w Azji Południowo-Wschodniej [pisane w 1970]. Wszelako Jerzy III miał rację, gdy uważał, że liderzy amerykańskich buntowników nie chcą kompromisowego porozumienia w żadnej postaci; niemal od samego początku sporu chcieli jedynie natychmiastowej, absolutnej niepodległości i byli gotowi użyć wszelkich dostępnych środków, by przekonać większość amerykańskich osadników, że trzeba ją zdobyć*.

Dla każdego uważnego czytelnika opublikowanej korespondencji z tego okresu, zwłaszcza sumiennych listów gubernatora Bernarda z Massachusetts, nie ulega wątpliwości, że ruch niepodległościowy był dziełem mniejszości oraz że aż do wybuchu faktycznych walk była to bardzo nieliczna mniejszość. Rzeczywiste, praktyczne powody Amerykanów do niezadowolenia nie były zbyt poważne. Znienawidzone angielskie prawa w praktyce obchodzono bez trudności. Nie sposób było egzekwować ceł, akcyzy, czy praw ograniczających powstawanie amerykańskich manufaktur, i rzeczywiście nie były one przestrzegane; przeciwnie, przyczyniły się do zaangażowania wielkich kapitałów w systematyczny przemysł i omijanie podatków, w czym prym wiedli świetnie na tym prosperujący „patrioci”. Gdy dopuszczano się przestępstw wobec władz, bardzo rzadko winny ponosił karę, gdyż z powodu fałszywych zeznań świadków nie sposób było uzyskać wyroku skazującego; pod tym względem, istotnie, sytuacja przypominała Irlandię, ale w odróżnieniu od Irlandii, w Ameryce nie było przejawów arbitralnych represji. Patrioci od samego początku odwoływali się wyłącznie do argumentu siły, a nie rokowań. W pewnym sensie nie mieli innego wyjścia, szerokie masy były bowiem albo lojalne wobec władz, albo obojętne. Jak ujął to Bernard, „choć przewodzą masom i dowodzą nimi, to przywódców i dowódców jest niewiele”. Ruch niepodległościowy stanowił niezbyt święte przymierze wielkich posiadaczy ziemskich z południa, ruchliwej kasty prawników i miejskiego tłumu z Bostonu, przy czym dwie pierwsze grupy, ukryte za kulisami, manipulowały trzecią. Ameryka rodziła się w aktach zorganizowanej przemocy przebranej za idealizm. Zwolennicy lojalności i królewscy urzędnicy, drukarze odmawiający publikowania wywrotowej propagandy (często bezwstydnymi kalumniami),

* Jerzy III był pierwszym wyznawcą „teorii domina” (list do Northa z 11 czerwca 1779); w przypadku Irlandii nie mylił się aż tak bardzo, jako że Irlandczycy, korzystając z kryzysu amerykańskiego, usiłowali pozbyć się brzemienia prawa Poyninga i powstanie z roku 1798 miało ścisły związek z doświadczeniami amerykańskimi. Podobnie jak prezydent Nixon, Jerzy III mógł także powoływać się na poparcie „milczącej większości”. Przybity Rockingham pisał do Burke’a: „Surowe środki zastosowane wobec Ameryki znajdują pełną akceptację i przyzwolenie większości mieszkańców tego kraju, ze wszystkich stanów, profesji i zawodów”. Jednak militarna porażka spowodowała nieuchronny spadek nastrojów, a co za tym idzie – zasadniczy zwrot w nastawieniu angielskiej opinii publicznej. Na wieść o kapitulacji pod Saratogą Rockingham napisał: „Moje serce czuje ulgę”.

kupcy, którzy nie chcieli bojkotować angielskich towarów, stali się obiektem bezlitosnego ataku; padali ofiarą napadów i skrytobójstw, terroryzowano ich rodziny, niszczone domy. W Bostonie całkowicie spłonął dom gubernatora, zaprojektowany przez Inigo Jonesa, wraz z bezcenną kolekcją manuskryptów i dokumentów; jego rodzina mieszkała tu od 130 lat. Niemniej Massachusetts uchwaliło amnestię dla uczestników zamieszek. Jak dowodzą materiały archiwalne, masakra w Bostonie była świadomie sprowokowanym incydentem, który następnie bezlitośnie wykorzystano w propagandzie zastraszania. Przynajmniej część patriotów pragnęła wmanewrować władze w wysłanie oddziałów, a następnie sprowokować przysłane wojska do dzikich represji. W jakimże innym bowiem celu w kwietniu 1775 roku powstańcy oskałpowałiby i poćwiartowali osłupiałych angielskich żołnierzy, o czym wiemy z listów Anne Hulton? Taktyka dobrze znana ze straszliwych wojen partyzanckich naszych czasów.

Wielu dobrze zorientowanych w sytuacji Amerykanów miało wątpliwości co do motywów przywódców ruchu. Wiadomo było, że Otis zaczął gwałtownie zwalczać władzę, odkąd jego ojcu odmówiono posady sędziego. Inni byli bezpośrednio zainteresowani finansowo w stawianiu oporu: przywódcami Partii Herbacianej byli bostońscy kupcy-szmulglerzy, którzy celowo dążyli do utrzymania wysokich cen na przemycańskie towary; fakt, że wywoływali przy tym gwałtowny odwet ze strony Anglików, stanowił dodatkową premię. Wielu populistów było na krawędzi bankructwa. Spiker Joseph Galloway ze Zgromadzenia Pensylwanii, autor kompromisowego planu, który został bezwzględnie odrzucony – ba, nawet wymazany z dziennika Kongresu – twierdził, że wielu przywódców rebelii było beznadziejnie zadłużonych u kupców brytyjskich i zdobycie niepodległości stanowiło dla nich jedyną nadzieję na zachowanie wypłacalności*. W pewnym sensie była to konspiracja Kataliny. Podobnie jak w Rosji w roku 1917, mała grupa zdeterminowanych i bezwzględnych ludzi pociągnęła za sobą ogromne masy. Pewien kupiec z Marylandu gorzko skomentował pierwszy Kontynentalny Kongres: „[Sam] Adams ze swoją załogą i hardzi sułtani z Południa żonglowali całym zgromadzeniem delegatów”.

* Sam Adams stracił odziedziczone pieniądze, usiłując prowadzić browar; Patrick Henry dwukrotnie zbankrutował jako właściciel sklepu. Jednakże powiązania „patriotów” z przemytem trzeba widzieć w ówczesnym kontekście. Niemal każdy w Anglii i Ameryce angażował się w jakąś formę przemytu. Pastor Woodforde regularnie kupował spirytualia z przemytu, choć szyfrował w swoim *Diary* zapisy dotyczące tych towarów. John Wesley, jak wiemy z jego *Journals*, odkrył, że wielu z jego najwierniejszych zwolenników z Kraju Zachodniego trudniło się szmugłem. Adam Smith powiedział, że przemytnik „byłby pod każdym względem wzorem obywatela, gdyby prawa jego kraju nie czyniły przestępstwem czegoś, co w zgodzie z naturą nim nie jest”. Przemycali nawet członkowie rządu. Walpole, gdy był zwykłym ministrem, zawiązał spółkę z sekretarzem Admiralicji, żeby ni mniej ni więcej tylko, korzystając z barki należącej do Admiralicji, szmuglować ogromne ilości kłaretu, burgunda i szampana. Walpole zajmował się przemytem nawet będąc kanclerzem Exchequeru!

Wraz z rozpoczęciem walk nastąpiła nieuchronna polaryzacja stanowisk. Jednakże nadal można wątpić, czy w jakimkolwiek momencie większość kolonistów aktywnie opowiadała się za niepodległością. Jedna czwarta społeczeństwa pozostała neutralna, jedna czwarta lojalna – 40 tysięcy spośród tych ostatnich wyemigrowało później do Kanady, a wiele więcej chciało się tam znaleźć, ale nie miało środków albo bało się trudów podróży. Wśród powracających, z niesmakiem, do Anglii lojalistów był także pastor Charles Woodmason, który z własnych doświadczeń z pobytu w Południowej Karolinie wiedział, że polityczna struktura Stanów już wówczas opierała się na jawnych nierównościach ekonomicznych, klasowych i regionalnych, utrzymywanych za pomocą terroru. W swojej petycji i remonstracji, przedstawionej w imieniu nieszczęśliwych osadników z głębi Karoliny, daje alarmujący obraz stosunków panujących w niektórych regionach Ameryki w przededniu uzyskania niepodległości: tysiące, powiada, żyją niczym na Węgrzech albo w Niemczech „w stanie wojny, nieustannie narażeni na najazdy huzarów i pandurów”. Ci ludzie rozpaczliwie walczyli o zachowanie jakiegokolwiek, choćby najstabszej, ochrony ze strony władz imperium przeciw miejscowym oligarchiom. Prawda bowiem była taka, że niepodległa Ameryka okazała się równie niezdolna do sprawiedliwego traktowania biednych co Anglia Jerzego III, a jeszcze mniej zdolna do zapewnienia wewnętrznego spokoju. Wolni Amerykanie zabijali się nawzajem w monumentalnym cieniu pompatycznej retoryki płynącej z Filadelfii.

W dodatku była jeszcze drobna kwestia niewolnictwa. Po raz pierwszy przywieziono do Wirginii niewolników murzyńskich już w roku 1619 i w XVIII wieku handel niewolnikami stał się prawdopodobnie największą dziedziną światowego handlu, z pewnością zaś najbardziej opłacalną. Tylko w roku 1768 przywieziono z Afryki ponad 100 tysięcy ludzi, z czego kupcy angielscy i amerykańscy sprzedali 53 tysiące w Indiach Zachodnich i 6 tysięcy w koloniach na kontynencie. W chwili uzyskania niepodległości niewolnicy stanowili niemal jedną piątą amerykańskiego społeczeństwa. Trudno było nie zauważyć tej anomalii. Jeśli, jak dowodzili patrioci, nikt nie musi być posłuszny prawom, których autorytetu nie uzna osobiście lub za pośrednictwem swych przedstawicieli, to co z niewolnikami? To pytanie gwałtownie zadawało sobie wielu idealistów z Nowej Anglii. Przyznawali, że Samuel Johnson miał prawo zapytać w *Taxation no Tyranny*: „Jak to się dzieje, że najgłośniejsze okrzyki na rzecz wolności słyszymy z ust poganiaczy Murzynów?” Bardzo wczesnie podjęto w Nowej Anglii gorączkowe wysiłki, aby przynajmniej zahamować transport niewolników. Nikt nie próbował usprawiedliwiać niewolnictwa na gruncie logiki i moralności. Jednak argumenty natury ekonomicznej na rzecz nieodzowności pracy niewolniczej uznawano za nieodparte. Tak czy inaczej, jeśli oligarchia z Południa była gotowa do zgniecenia z bezwzględny terror buntów rolnych białej biedoty,

żadna siła w Ameryce nie mogła – jak na razie – zmusić jej do wyrzeczenia się czegoś, co uważała za główne źródło swojego bogactwa*.

I tak Anglicy wydali na świat hałaśliwe, szlachetne i nie pozbawione wad potomstwo, przekazując mu swoje tradycyjne, przyrodzone dary idealizmu i hipokryzji. Upodobanie do przemocy, od którego Anglicy zawsze pragnęli się uwolnić – i wreszcie zaczęli to czynić – przeszło na drugą stronę Atlantyku, gdzie zapuściło głębokie, konstytucyjne korzenie. Anglia przekazała Amerykanom także przyrodzone prawa narodu wybranego, podczas gdy sama przyjęła rolę bardziej świecką, z biegiem czasu kształtowaną przez konieczności i moralne dylematy imperium – „brzemień białego człowieka”. W miejsce „Anglików Pana Boga” pojawili się „Amerykanie Pana Boga” i to poczucie Boskich przeznaczeń do dziś tli się w świadomości Amerykanów, formując ich postawy, choć często, doprawdy, w odrażająco zniekształconej i zdegenerowanej postaci – jak choćby CIA, tocząca iście miltonowskie zapasy z KGB, niczym Bóg i Szatan, na wszystkich morzach i kontynentach.

A jednak nie wszyscy Anglicy byli gotowi wyrzec się znamienia ludu wybranego. Pod koniec stulecia William Blake, poeta tyleż anachroniczny co profetyczny, sięgając wstecz ku dniom republiki i wybiegając naprzód ku państwu dobrobytu, w jednym z najbardziej wzniosłych wierszy napisanych w języku angielskim przywrócił do życia niemal zapomnianą legendę o św. Pawle dokonującym nawrócenia Anglii. Najczęściej wiersz nazywa się *Jerusalem*, ale naprawdę nosi tytuł *Milton* – i nie bez racji, gdyż Blake rozpoznał w Miltonie najczystszy głos niebiańskiego patriotyzmu, do jakiego mit zobowiązywał rasę Anglików. I jeśli nawet Blake ujmował legendę w kłamry niepewności, w postaci pytania, jeśli brakowało mu Miltonowskiej heroicznego pewności, był równie mocno przekonany, że ziemskie Jeruzalem kiedyś powstanie, i to właśnie za sprawą Anglików. Nikt, kto słyszał tekst Blake'a śpiewany podczas wielkich zgromadzeń brytyjskiej klasy robotniczej, nie może mieć wątpliwości, że mit wciąż zachowuje swoją magiczną siłę, i że „Wołowy Kaftan” i „Człowiek z Berkshire” wciąż żyją w duszach Anglików.

* Teksty przytoczanych wyżej dokumentów, w tym listy gubernatora Bernarda i Anne Hulton, zeznanie kapitana Thomasa Prestona w sprawie „masakry bostońskiej” oraz petycję i remonstrację Woodmasona, można znaleźć w: Merrill Jensen (wyd.), *English Historical Documents: American Colonial Documents to 1776*, London 1955. Wyrazem poglądów amerykańskich liberałów na temat niewolnictwa był pamflet wielbego Samuela Hopkinsa *A Dialogue Concerning the Slavery of Africans*, wydany w roku 1776. W kwietniu tego roku ustał przywóz dalszych niewolników, ale nawet na Północy niewolnicy nadal pracowali w domach swoich właścicieli.

Rozdział V

Blaski i cienie postępu

1780–1870

W lipcu 1791 roku w Birmingham tłum robotników, wnosząc lojalistyczne i anglikańskie hasła, opanował miasto. Wybili wszystkie szyby w hotelu, w którym odbywało się spotkanie zwolenników reformy parlamentarnej, po czym rozpoczęli wściekły pogrom dysydentów religijnych [nonkonformistów], ze szczególną zjadłością atakując osoby znane z postępowych poglądów politycznych i społecznych. Jednym z obiektów napaści był starszy wiekiem duchowny kalwiński, doktor Joseph Priestley. Znacomity przyrodnik-eksperymentator, wszechstronny uczony, człowiek, który stał się twórcą nowoczesnej chemii. Oświeceni Francuzi uważali go za najwybitniejszego żyjącego Anglika. Zresztą nie tylko oni; Priestley cieszył się powszechnym szacunkiem w nowej republice amerykańskiej i w całym cywilizowanym świecie – był jednym z głównych architektów dynamicznego procesu, który właśnie zaczęto nazywać rewolucją przemysłową. Jednakże Priestley naraził się swoim ziomkom jako orędownik umiarkowanych przemian społecznych oraz krytyk dogmatów państwowej religii anglikańskiej. Uczestnicy zamieszek nie zdołali go zabić. Z całym namaszczeniem dokonali tego jednak *in effigie*. Spalili do szczytu dom i laboratorium Priestleya zawierające kolekcję unikatowych urządzeń pomiarowych oraz przechwycili papiery, w których spodziewali się znaleźć dowody zdrady; dokumenty przekazano władzom (które je zatrzymały). Następnie spalili dwie kaplice dysydenckie i rozpoczęli systematyczną grabież wszystkich domów nie opatrzonych hasłem: „Kościół i Król na wieki”. Dwunastu uczestników zająć, włamawszy się do piwnicy innego dysydenta, pana Rylanda, upiło się do nieprzytomności znalezionym tam winem i upiekło żywcem pod gruzami płonącego domu. Inni zabili niewinnego woźnicę, który usiłował bronić własności swego pana. W trakcie rozruchów zginęło lub odniosło rany wiele

przypadkowych osób. Trzy dni później oddziały *yeomanry* z Warwickshire przywróciły porządek, trzech uczestników zajęć powieszono. Jednakże w wyniku zamieszek grupa postępowych dysydentów uległa rozproszeniu. Priestley, który z bezpiecznej odległości, z pobliskiego wzgórza, ze smutkiem obserwował, jak jego laboratorium pada pastwą płomieni, opuścił hrabstwo, by już nigdy do niego nie powrócić. Trzy lata później wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie podejmowano go z wszelkimi honorami jako wielkiego filozofa i męczennika sprawy postępu.

Ten haniebny incydent stanowi ponure, ale stosowne wprowadzenie w stulecie zmian i reform, dzięki którym Anglia stała się nowoczesnym państwem, oraz przemian gospodarczych, za których pomocą radykalnie zmieniła oblicze świata. Anglicy potrafią czynić zarówno wiele dobra, jak i zła: z niezmożoną energią tworzą wciąż nowe, zapładniające idee i pomysły, po czym śmiało, bez wahania narzucają je opornemu społeczeństwu; ożywieni głębokim poczuciem przyzwoitości i niewzruszeni w obronie zasad moralnych, są bezlitosnymi wrogami niesprawiedliwości; skorzy do filantropii, głęboko pragną przekształcić cały glob w duchu zasad uczciwości i racjonalności, ale zarazem potrafią być ślepi i pełni uprzedzeń, kurczowo wręcz – często gwałtownie – trzymając się przeszłości, na tysiąc sposobów gotowi czcić nonsense, z łatwością ulegają destrukcyjnym wpływom podziałów klasowych, snobizmu oraz ksenofobii; są okrutni – przez swą obojętność, i głęboko konserwatywni – pod wpływem tradycji. W XIX wieku Anglia staje się areną potężnych zmagania między rodzimymi siłami reformy i reakcji, światła i ciemności; walki, która ostatecznie pozostała nie rozstrzygnięta, ponieważ o ile w końcu siły reformy odniosły zwycięstwo, przyszło im zapłacić za to wysoką cenę w postaci bezpowrotnego zniweczenia ogromnych zasobów ludzkiej energii oraz katastrofalnych, jak się wnet miało okazać, opóźnień. Nowoczesne dzieje Anglików to tragiczny ciąg przegapionych okazji, szans bezmyślnie roztrwonionych lub rzuconych na wiatr; to dzieje wielkich ludzi konających w rozpacz, geniuszu i energii wsiąkających w piach tępej obojętności, to dzieje postępowej myśli zmuszonej posuwać się z prędkością lodowca, a także powolnego, pełnego zadufania okopywania się na pozycjach sił przywileju, niesprawiedliwości i obskurantyzmu. Pod wieloma względami nowożytnie dzieje Anglików dobrze ilustrują i wyjaśniają przyczyny wszystkich braków i niedostatków świata, w którym żyjemy – to pouczająca lekcja dla wszystkich narodów.

Z początkiem lat osiemdziesiątych XVIII wieku Anglicy, za sprawą przypadku – geograficznego położenia kraju – a także dzięki własnym dokonaniom, znaleźli się w wyjątkowo korzystnym położeniu, które było efektem połączenia opartego na wolności, choć oligarchicznego, ustroju politycznego oraz wszystkich czynników niezbędnych do zapoczątkowania rewolucji gospodarczej. Poza Anglią jeszcze tylko w dwu krajach – Holandii i Stanach Zjednoczonych –

istniały nieautokratyczne systemy rządów, a równocześnie żaden kraj, prócz Anglii, nie dysponował materialnymi środkami, niezbędnymi do wykreowania samonapędzającego się przyspieszenia rozwoju gospodarczego. Anglia była jedynym dynamicznym czynnikiem w statycznym uniwersum.

Zagraniczni obserwatorzy już od półwiecza dostrzegali związek między wolnością polityczną a gospodarczym powodzeniem Anglików. Wolter, pisząc w latach dwudziestych XVIII stulecia, zauważył w *Listach o Anglikach*, że: „Handel, który wzbogacił mieszkańców Anglii, pomógł im zdobyć wolność, a wolność z kolei przyczyniła się do rozwoju handlu. Na takich podstawach opiera się wielkość państwa”. Angielskie społeczeństwo było otwarte. Nie istniały w nim przedziały klasowe – przynajmniej w sensie prawnym; wszyscy Anglicy byli absolutnie równi wobec prawa. Wprawdzie parowie mogli być sądzeni wyłącznie przez członków swojej Izby Parlamentu, jednak pozostałe przywileje wywodzące się z militarne go systemu rang i godności zmiotła rewolucja lat 1640–1660. W roku 1679 Anglicy uzyskali prawo *Habeas Corpus* [nikogo nie można więzić bez nakazu sądowego]; w roku 1701 wprowadzono zasadę nieusuwalności sędziów. Ława przysięgłych nie odpowiadała już przed urzędnikami państwa za swoje werdykty, a człowiek oskarżony był uważany za niewinnego, dopóki nie udowodniono mu winy przed sądem niezależnym od bezpośrednich wpływów władzy wykonawczej. Absolutna wolność mowy podlegała jedynie precyzyjnie określonym prawom o zdradzie, a na wolność publikacji – z wyjątkiem teatru – wpływało jedynie ryzyko ewentualnego procesu wytoczonego przez poszkodowanego; sytuacja ta w kategoriach prawnych była odpowiednikiem domniemania niewinności. Rząd ograniczał wprawdzie sprzedaż gazet za pośrednictwem podatków nakładanych na papier oraz opłat stempowych, ale i tak liczba tytułów oraz ich nakłady stale wzrastały. W latach 1750–1760 na prowincji pojawiło się sto sześćdziesiąt nowych gazet, na ogół krytycznie nastawionych wobec rządu. W roku 1782 w samym Londynie wychodziło osiemnaście dzienników, z których każdy egzemplarz czytało przeciętnie do pięciuset osób, jako że dawno już poniechano chaotycznych prób zduszenia życia kawiarni, odgrywających rolę ośrodków debat politycznych wiernie rejestrujących niezadowolenie społeczeństwa. Prasa prowincjonalna przekazywała informacje i poglądy dzienników londyńskich, tworząc w ten sposób ogólnokrajową opinię publiczną, którą ukształtowała potężna i anarchiczna stolica – miasto dwa razy większe i kilka razy bogatsze niż wszystkie pozostałe miasta na świecie; miasto, które nie podlegało przy tym żadnej władzy poza samoo graniczeniem czy dyscypliną. W roku 1780 tłum na dwa tygodnie zawładnął Londynem, terroryzując katolików, cudzoziemców i obie Izby Parlamentu. Nie istniały wówczas żadne profesjonalne siły policyjne, a niewielka armia była całkowicie uzależniona od corocznych dotacji Parlamentu. Londyn i inne miasta obdarzone królewskim przywilejem cieszyły się pełną autonomią, natomiast

resztą kraju rządzili, nieodpłatnie, wiejscy dziedzice, dżentelmeni z prowincji, którzy cztery razy do roku spotykali się jako urzędnicy amatorzy, wyposażeni we władzę sędziowską (sędziowie pokoju), by rozstrzygać najważniejsze sprawy w hrabstwie. Administracja, włączając w to nawet niezwykle sprawną służbę pocztową, celną i akcyzową, była nieliczna i większości jej członków nie można było udzielić dymisji, byli nieusuwalni. W Anglii pod koniec XVIII wieku państwo ograniczało swoją rolę do minimum – w stopniu nieporównywalnym z żadnym innym państwem, jakie istniało wcześniej czy później.

W pewnym sensie Anglia była właściwie państwem prywatnym, to znaczy jego głównym celem było zagwarantowanie bezpieczeństwa oraz swobody użytkowania prywatnej własności jednostek. Opierało się na zasadach ustalonych przez prawników interpretujących *common law* w kategoriach etyki i mechanizmów kontraktu – umowy między stronami. Wielkie spory z lat 1640–1660 dotyczyły źródła władzy: czy ma nim być monarchia, własność czy osoba? W roku 1688 spór rozstrzygnięto definitywnie na rzecz własności. Członkostwo w Izbie Lordów stało się własnością dziedziczną (*freehold*), nie podlegającą żadnym ograniczeniom. Podobnie było w wielu przypadkach z miejscami w Izbie Gmin. Niektóre *boroughs* stanowiły po prostu prywatną własność rodów, które z pokolenia na pokolenie desygnowały swojego kandydata do Izby. Pewien członek Parlamentu, protestując przeciw projektowi reformy wyborczej z roku 1831 (*Reform Bill*), z bólem dowodził, że jego miejsce z rodzinnego *borough*, które w myśl projektu miało zostać zniesione, stanowi dziedziczną własność, którą ma prawo przekazać swemu synowi i wnukowi, oraz że projekt „ograbia go z jego przyrodzonych praw” – ironiczne echo gniewnych słów Edwarda Sexby’ego z debaty w Putney. Tam, gdzie nie dało się zastosować zasady dziedziczności, dominowała zasada własności dożywotniej (*lifetime freehold*). W ten sposób dożywotnią własność stanowiły godności biskupów, rektorów, wikarych i kuratów – podobnie jak każdy angaż w armii, który można było sprzedać i kupić po aktualnej cenie rynkowej. Własnością była posada sędziego oraz przeważająca większość stanowisk w administracji. Nawet najskromniejsi słudzy Korony mogli spokojnie cieszyć się do końca życia swoją posadą – chyba że dopuścili się jakiegoś skandalicznego postępuku. W lipcu 1804 roku odkryto, że królewski posłaniec dorobił klucz do skrzyń, w których przewoził dokumenty gabinetu ministrów, i wykorzystał, jak podejrzewano, swoją nielegalnie zdobytą wiedzę do spekulacji państwowymi papierami wartościowymi, co stanowiło nader dochodową aktywność w szczytowym momencie wojny z Napoleonem. Jedyne fakt, że – jak się okazało – nie ma żadnego statutu, na mocy którego można by go pociągnąć do odpowiedzialności, usprawiedliwił w powszechnej opinii tak drastyczny krok, jak zwolnienie go ze służby.

Naturalnie, społeczeństwo oparte na tak jasnych i spójnych zasadach było niezwykle odporne na zmiany. Fakt, że uświęcało niezliczone anomalie i dzi-

wactwa; że było groteskowo niesprawne; że podstawowa struktura angielskiego prawa wyborczego pochodziła z XV wieku i od tamtej pory uległa jedynie drobnym zmianom pod wpływem prywatnych interesów i nacisków, oraz że w najmniejszym stopniu nie odpowiadała potrzebom społeczeństwa, które od tamtych czasów zmieniło się nie do poznania – wszystko to wydawało się mniej istotne od poczucia wszechogarniającego bezpieczeństwa, jakie niosły gwarancje absolutnej nienaruszalności istniejących praw. „Naród polityczny” obejmował jedynie czterysta tysięcy osób, a jego członkowie nie byli sobie równi, jednakże tytuły własności ziemskiej każdego z nich były niekwestionowane i jeśli było go stać na to, by z zgodzie z prawem dokupić więcej ziemi, nic nie stało na przeszkodzie. Okazji było zaś bez liku. Anglia stawała się coraz bogatsza, była sercem imperium bez granic. Człowiek mógł zbić fortunę, mógł kupić sobie prawo głosu, miejsce w Parlamencie, nawet dziedziczne posiadanie *borough*. Mógł kupić wystarczająco wielką posiadłość, by w stosownym momencie z powodzeniem ubiegać się o tytuł para. Społeczeństwo angielskie było otwarte. Wprawdzie władza pozostawała wciąż domeną zakłętą kręgu elity, ale na każdym szczeblu można było znaleźć do niego dostęp; jedyny problem stanowiły pieniądze. Robert Peel senior był synem farmera, który założył manufakturę bawełnianą. Peel rozwinął rodzinną firmę na wielką skalę. Kupił posiadłość w Staffordshire, dającą prawo zasiadania w Izbie Gmin. Okazał się człowiekiem pożytecznym dla władz: zorganizował i opłacał regiment gwardii hrabstwa (*yeomanry*); otrzymał tytuł baroneta. Jego syn, Robert Peel junior, już w wieku dwudziestu jeden lat zasiadł w Parlamencie, a mając lat dwadzieścia cztery został członkiem rządu, by w swoim czasie objąć funkcję premiera. Kariera Peelów stanowiła przykład wyjątkowego sukcesu; jednak podobnych, powszechnie znanych historii było wiele i wszystkie dowodziły tego samego. Społeczeństwo angielskie było stabilne i bezpieczne; co nie znaczy, że było statyczne. Wielka gra o sukces nie należała do łatwych ani przyjemnych, ale jej reguły były jasne i powszechnie zrozumiałe, uświęcone przez tradycję i krew politycznych męczenników. Gdyby raz zaczęto zmieniać reguły, dokąd mogłoby to zaprowadzić? Przecież gdyby znieść choćby tak oczywistą anomalię jak miejsce w Parlamencie z okręgu, który w ogóle nie ma elektorów, oznaczałoby to, że można znieść miejsce z okręgu, który ma ich kilku albo kilkunastu. A wtedy, czy czyjekolwiek głosy wyborcze, czyjekolwiek miejsca byłyby bezpieczne? Jeśli już raz zastosowało się zasady logiki, czy nie powinno się stosować ich zawsze? Człowiek miał prawa, ponieważ posiadał własność, bądź człowiek miał prawa, ponieważ był człowiekiem. Oba systemy były wewnętrznie spójne, ale zasadniczo sprzeczne ze sobą. Angielskie społeczeństwo przeżywało okres burzliwego rozwoju, ale gdyby poddać tę dynamikę procesom logicznego myślenia, w jednej chwili znikną stabilność i pewność. A jeśli zagrożona była własność polityczna, to czy bezpieczne były inne rodzaje własności? Jak oświadczył w roku

1831 pewien udręczony członek Izby Gmin: „W tym roku zabierzecie mi miejsce w Parlamencie, w przyszłym zabierzecie mój zamek”. Jeśli można było pozbawić człowieka jego głosów elektorskich, to czy w ogóle coś jeszcze zachowywało wartość w twardej gotówce, skoro równie dobrze mógł stracić swój dom albo posiadłość? Zdecydowana większość członków „narodu politycznego” nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że może istnieć jakaś pośrednia droga między panującym ustrojem a tym, co Cromwell nazwał „skokiem w ciemność”.

W końcu jednak zmiany nadeszły, jak zawsze pojawiając się w typowo angielskim kłębowisku chaosu i zamętu, pod wpływem rozmaitych, sprzecznych racji (w większości niesusznych) oraz po pokonaniu niezliczonych, wyczerpujących przeszkód, straszliwie opóźniających cały proces. Po pierwsze więc, Anglicy sięgnęli po wypróbowaną metodę poruszania się rakiem; zmierzali w przyszłość z oczami mocno utkwionymi w wymaginowanej przeszłości. Członkowie klasy politycznej byli przekonani, że angielska konstytucja jest doskonała, tyle że została zdeformowana przez całkowicie nie uzasadnione – w istocie nielegalne – innowacje. Należało więc przywrócić jej dziewiczą czystość. Weźmy choćby miasto Londyn, które w jakiś niepojęty sposób zostało pozbawione swoich odwiecznych przywilejów: Wilkes przez dziesięć lat walczył o ich „przywrócenie” – wbijał w ten sposób mocny klin w istniejący system – wykorzystując w swojej kampanii presję opinii publicznej. Pod ciosami rewolucyjnych tradycji jeden po drugim padały odwieczne, fundamentalne bastiony reakcji. Ogólne nakazy aresztowania (*general warrants*) uznano za nielegalne. Izba Gmin zarzuciła praktykę usuwania ze swoich szeregów osób niepożądanych, które skądinąd zostały wybrane w ważnych wyborach, miały więc za sobą głosy elektorów. Odmówiła wprawdzie otwartej zgody na druk sprawozdań z obrad, ale przestała przesładować wydawców łamiących istniejące zakazy. Dało to asumpt do powstania popularnej prasy, koncentrującej się głównie na działaniach Parlamentu, którą czytały liczne rzesze daleko wykraczające poza obręb „narodu politycznego”. Ponadto w ostatnim dziesięcioleciu XVIII wieku sędziowie stracili na rzecz ławy przysięgłych bardzo istotne prawo decydowania o tym, czy nastąpił fakt zniesławienia.

Po drugie, Anglicy jeszcze raz sięgnęli po spiskową teorię dziejów. Jak pamiętamy, pojawienie się tej teorii, w zdeformowanej postaci, po drugiej stronie Atlantyku przyczyniło się do utraty przez Wielką Brytanię kolonii amerykańskich. W kraju okazała się równie skuteczna w dziele podważania, a w końcu całkowitej destrukcji, politycznej władzy monarchii. Jerzy III nie był nowatorem. Co najwyżej opowiadał się za usunięciem niektórych najbardziej dotkliwych przejawów korupcji wypaczających ustrój, o którym (podobnie jak wszyscy) mniemał, że jest doskonały. Naturalnie, wszyscy byli przeciwni korupcji, podobnie jak wszyscy szczerze nie znosili grzechu. Pytanie brzmiało

wszakże: czyjej korupcji, w którym interesie? Jerzy III odziedziczył ustrój polityczny, którego zasady nie zostały nigdzie spisane, były więc elastyczne; w obrębie systemu każdy mógł forsować swoje interesy, nie narażając się na zarzut łamania prawa i nie wywołując otwartego kryzysu. Jednak po przekroczeniu pewnej granicy tego rodzaju naciski zwykle budziły sprzeciw, a tym samym prowokowały kontrnaciski. Walpole stworzył system państwowy służący interesom jednej partii, interesom wigów. Jerzy III uważał, że takie rozwiązanie stanowi bezpodstawne wypaczenie ustroju oraz prowadzi do ograniczenia jego własnych praw politycznych. Usiłował zatem przywrócić równowagę, dążąc do zbudowania neutralnego aparatu państwowego, w którym Korona byłaby wolna od pozaprawnych nacisków frakcyjnych i mogłaby rządzić w interesie całego kraju, a nie jednej partii. Na nieszczęście narzędziem Jerzego w tym dziele był Szkot, lord Bute; co gorsza, jego ofiary, wigowie, uważali, że zostali odarci ze swych przyrodzonych praw. Wigowie ochoczo przystali więc – wręcz uwierzyli, że to fakt – na wersję głoszącą, jakoby król (a raczej jego źli doradcy) zamierzali obalić konsens z roku 1688. Współcześni historycy wiedzą, że to nieprawda; niemniej mają przywilej wglądu w korespondencję króla oraz korespondencję lorda Rockinghama – czego nie mogli uczynić wigowie. Historycy widzą dziś oba zbrocza wzniesienia, podczas gdy wigowie, spowici w dymy pola bitwy, czuli się zagrożeni przez nieznane monstra, czające się po drugiej stronie szczytu. W ten sposób mit podyktował przebieg wypadków. Wielkie rody wigowskie nie widziały niczego złego w korupcji jako zwykłej metodzie sprawowania rządów, była ich *métier*, sami ją wynaleźli. Nie mieli też nic przeciwko temu, aby król stał się udziałowcem systemu. Nie mogli jednak znieść myśli, że mógłby rządzić sam, bez ich udziału.

Polityczna mapa Anglii w XVIII wieku przypominała mapę Świętego Cesarstwa Rzymskiego: mnogość małych, niezależnych państw oraz dwie potęgi – Korona i wigowie. Gdy dwa mocarstwa żyły w zgodzie, wszystko biegło spokojnie; gdy wchodziły w konflikt, następował kryzys. Wigowie mogli zapobiec zagrożeniu ze strony Korony na dwa sposoby: za pomocą politycznej reformy systemu wyborczego, zmieniając kryteria cenzusu wyborczego i zasady rozdziału miejsc w Parlamencie, albo za pomocą reformy finansowej, prowadzącej się do odebrania Koronie środków służących korupcji. Pierwsze posunięcie odebrałoby Koronie pozostające w jej dyspozycji miejsca w Parlamencie, ale zniósłoby także część miejsc należących do wigów. Narodziła się zatem idea „reformy ekonomicznej” – i zaczęła rozkwitać. Początkowo jej zwolennicy rekrutowali się wyłącznie z obozu wigów, którzy prowadzili nieuczciwą grę; postanowili, że pod pozorem troski o zaoszczędzenie pieniędzy podatników będą dążyć do ograniczenia wpływów Korony. Wszelako idea reformy zaczęła żyć własnym życiem i nabrała rozpędu. Ministrowie zaczęli postrzegać efektywność gospodarowania państwowymi pieniędzmi jako cel godny uwagi

sam w sobie, zwłaszcza w sytuacji, gdy kraj znajdował się w stanie wojny. Bunt Amerykanów oraz haniebna niezdolność Korony do tego, by ich sobie zjednać bądź pokonać, umocniła wigów w przekonaniu, że działa tu jakiś spisek; równocześnie jednak sprawiła, że lord North ograniczył nieco ich możliwości czerpania z rządowej sakiewki.

W ten sposób w łonie rządu zagnieździła się idea reformy ekonomicznej. Wkrótce też zyskała swego wybitnego ewangelistę. Lord Shelburne był intelektualistą, znał osobiście wiele czołowych postaci doby oświecenia w Wielkiej Brytanii, Francji i Ameryce, z wieloma korespondował; czytał prace Adama Smitha; zasięgał porady tak niebezpiecznych ludzi jak Priestley czy jego kolega, także dysydent, doktor Price oraz Jeremy Bentham – filozoficznych myślicieli, którzy nie podzielali dominującego wśród Anglików przekonania, że istotą zmiany jest powrót do przeszłości, a także ośmielali się propagować zupełnie nowe koncepcje polityczne, w myśl których podstawą oceny działalności różnych instytucji i urzędów byłoby kryterium użyteczności. W oczach Anglików takie pomysły stanowiły całkowite zerwanie ze znaną rzeczywistością, prawdziwy skok w ciemność. Shelburne przyjmował te perspektywy z radością. Wierzył w nowe systemy. Wigowie w czasie krótkich okresów pobytu u władzy starali się popchnąć naprzód sprawę reformy ekonomicznej za pomocą ustaw Parlamentu. Shelburne zmierzał w tym samym kierunku, działając wewnątrz machiny państwowej. Zaczął rozplątywać niezwykle gąszcz powiązań finansowych między poszczególnymi departamentami. Jego poczynania budziły dreszcz zgrozy w angielskim świątku politycznym i ściągnęły na niego istną lawinę potępień. Shelburne uważał, że stara się jedynie umożliwić rządowi skuteczne działanie, co też uczynił, zarazem jednak demontował cały Walpoleański system polityczny. Wigowie nie mieli pojęcia, dokąd właściwie zmierza, uważali wszakże, że z pewnością jest jakimś spiskowcem i nazywali go „Jezuitem z Berkeley Square”*. Co gorsza, Shelburne nie mógł wytłumaczyć się ze swego postępowania przed Izbą Gmin, ponieważ był parem; w dodatku nie potrafił także wyjaśnić swoich intencji kolegom z gabinetu, ponieważ jak na intelektualistę był wyjątkowo złym mówcą, a jego gniewna autobiografia, czy też apologia, wprowadza jeszcze większy zamęt. Odchodząc przekazał jednak pochodnię młodemu kanclerzowi Exchequeru, Williamowi Pittowi.

Pitt nie był intelektualistą. Od czasu do czasu odświeżał wprawdzie znajomość klasyków czytanych w Eton, jednak poza tym nie ma dowodu, by kiedy-

* Aluzja do postaci wszechpotężnego portugalskiego jezuitę, Malagridy. Przewisko stało się okazją do jednego z charakterystycznych *faux pas* Goldsmitha, który w rozmowie z Shelburne'em oświadczył: „Wiesz, nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego przezywają cię Malagrida, bo przecież Malagrida to był bardzo porządny człowiek”. Analizę dokonanej przez Shelburne'a restrukturyzacji centralnego rządu, zilustrowaną pozytywnym wykresem, można znaleźć w pracy Johna Norrisa, *Shelburne and Reform*, London 1963.

kolwiek zajrzał do jakiejś książki, która nie miała związku z bieżącymi pracami rządu. Na terenie swojej posiadłości w Kent radośnie zniszczył pozostałości po jednym z najważniejszych w kraju fortów z epoki żelaza, szyderczo wyśmiewając protestujących miłośników starożytności. Tytuł poety-laureata przyznał pewnemu najemnemu pismakowi z Parlamentu. Nie cenił szczególnie kontaktów z ludźmi nauki czy pióra, chyba że w interesach. Miał jednak o wiele większy niż Shelburne talent do pracy administracyjnej i w pełni podzielał pasję starego lorda dla sprawy efektywności prac rządu. Adam Smith po spotkaniu z Pittem wyszedł oszołomiony, oświadczając, że teraz o wiele lepiej rozumie własne teorie. Co więcej, Pitt potrafił kierować nie tylko machiną rządową, ale także parlamentarną. Jego rzeczowy styl przemawiania nie wszystkim przypadł do gustu, cechował się jednak godną uwagi jasnością i powagą, *gravitas*. Kierowanie państwem, a zwłaszcza publicznymi finansami, stało się dzięki niemu poważnym zajęciem, opartym na zasadach publicznej uczciwości, a równocześnie stało się czymś powszechnie zrozumiałym. Milczący dżentelmeni z prowincji, którzy utrzymywali równowagę w Parlamencie, witali to nowe zjawisko z radością: nareszcie rozumieli, jak działa fundusz amortyzacyjny długu narodowego (*Sinking Fund*)*.

Pitt był nie tylko inteligentny, ale także kryształowo uczciwy. Nie dość, że w kilku pamiętnych przypadkach odrzucił przysługujące mu zgodnie z tradycją dodatkowe dochody, ale odmówił również oddania całkowicie dopuszczalnej przysługi najważniejszej postaci w swoim okręgu wyborczym. Pozwalał nawet na to, by zalegano mu z wypłatą pensji – zwykły los skromnych urzędników Korony, ale rzecz dotąd nie do pomyślenia w przypadku pierwszego Lorda Skarbu [czyli premiera]. Milczący dżentelmeni z prowincji byli wniebowzięci. W końcu większość z nich nie należała przecież do systemu podziału łupów i nie zamierzali utrwać go w nieskończoność, skoro można było znaleźć lepszy sposób rządzenia krajem. Mogli zresztą podziwiać Pitta jeszcze goręcej, zważywszy na jakże budujący kontrast między efektywnością zarządzanych przez niego finansów publicznych a chaosem panującym w jego prywatnych finansach. Francuski wygnaniec, Chateaubriand, z podziwem komentował, że Pitt był *criblé de dettes* [fr.: po uszy w długach]. W jaki sposób Pitt zdołał, żyjąc tak skromnie, wydać tak wiele, pozostaje nadal zagadką, choć historycy ostatnio bardzo wnikliwie przebadali pozostawione przezeń dokumenty. Wygląda na to,

* Bardziej zjadliwą opinię o talentach krasomówczych Pitta zawiera list Sidneya Smitha do Francisca Jeffreya z 30 stycznia 1806 roku, z okazji śmierci Pitta: „Muszę wyznać, że był jednym z najbardziej błyskotliwych i wymownych niedołęgów, jacy kiedykolwiek stali na czele państwa. Przez piętnaście lat panowania jego elokwencji moje dochody kurczyły się nieustannie [...]. Z końcem każdej popisowej mowy [w Europie] padało jakieś królestwo lub kolejna ekspedycja militarna kończyła się klęską i gdy jego styl wzniósł się na szczyty perfekcji, Europa osiągnęła dno najgłębszego upadku i nieszczęść. Boże, ześlij nam jakąś albo niemowę”.

na przykład, że przy dochodach rządu 10 tysięcy funtów płacił rocznie ponad 7 tysięcy za same konie i utrzymanie stajni, a i tak, gdy chciał się gdzieś dostać, zwykle musiał wzywać dorożkę albo konie pocztowe. Najwyraźniej był systematycznie okradany przez służbę i dostawców; nie miał żony, która mogłaby dopilnować domowego gospodarstwa, i nawet wykorzystywał swoje długi jako wymówkę, żeby odrzucić natarczywe awanse panny Eleanor Eden; ponieważ jednak rzadko płacono jego rachunki i wypłacano pensje dla służby, można powiedzieć, że była w tym pewna elementarna sprawiedliwość*. Największe wrażenie na członkach Parlamentu wywarł jednak fakt, że Pitt bez wahania odrzucił szczerą ofertę kupców z City, gotowych – bez żadnych dodatkowych warunków – zapłacić wszystkie jego długi do wysokości 100 tysięcy funtów. Być może Pitt uważał długi za cenny dowód swojej uczciwości; na pewno zaś wielu tak to postrzegało. Tak czy inaczej, właśnie takimi sposobami Pitt rządził Izłą Gmin. Tam, gdzie jego poprzednicy dawali łapówki, Pitt przyznawał tytuły arystokratyczne, Ordery Podwiązki czy stanowiska lorda-namiestnika – z grubszą system honorów znany z dzisiejszej Anglii. Brał na siebie ogromnie dużo zadań; przez wiele lat nie miał nawet prywatnego sekretarza (posada stanowiła synekurę; nawet król zatrudnił sekretarza dopiero po blisko czterdziestu latach panowania). Żył w nieustannym, ogromnym napięciu. Często, gdy miał wygłosić mowę w Izbie Gmin, tuż przed wejściem na salę obrad chwytaly go bolesne torsje. W połowie lat dziewięćdziesiątych zaczął coraz częściej szukać ulgi w alkoholu, co rodziło dodatkowe problemy**. Zdołał jednak utrzymać władzę, z jedną przerwą, przez ponad dwadzieścia lat, stając się twórcą nowoczesnego systemu funkcjonowania rządu, na który składały się: regularne sprawozdania, systematyczna kontrola wydatków poszczególnych resortów, wspólna kasa,

* Jeśli chodzi o finansowe wymówki w kwestii małżeństwa, por. listy Pitta do ojca Miss Eden, lorda Aucklanda (*Journal and Correspondence of William, Lord Auckland*, 1862, iii, s. 373–374). Podczas wizyty Pitta we Francji w roku 1783 madame Necker poczyniła wstępne kroki zmierzające do wydania za niego swojej córki, znanej w przyszłości jako pani de Staël; Pitt niezwłocznie wrócił do kraju, by nigdy już nie przekroczyć Kanału. Prawdopodobnie nie miał w ogóle żadnego życia seksualnego. Jego status kawalera prowokował nużące angielskie dowcipy (zwłaszcza gdy nałożył podatek od żeńskiej służby) dokładnie tego samego typu, jakie w latach 1902–1905 krążyły na temat Arthura Balfoura, a w latach siedemdziesiątych na temat Edwarda Heatha. Poczucie humoru Anglików ani się nie zmienia, ani nie poprawia na lepsze. Dowcipy, jakie układano na temat pani „Gladys” Wilson w latach 1964–1970, były niemal identyczne jak te, które w latach pięćdziesiątych XVII wieku poświęcano pani „Joan” Cromwell.

** Nalóg premiera pogłębiał dodatkowo obyczaj celebrowania wspólnych obiadów w trakcie posiedzeń gabinetu, który utrzymał się aż do czasu *Reform Bill*. W kwietniu 1828 roku lord Ellenborough, Lord Tajnej Pieczęci, notował w swoim dzienniku: „Kanclerz powiedział do mnie: «Nie powinniśmy kontynuować posiedzeń gabinetu po obiedzie. Wszyscy pijemy za dużo wina i zaczynamy odnosić się do siebie nieprzystojnie». Gdy w obiedzie brali udział lub spełniali rolę gospodarza lord Sidmouth lub lord Bathurst, niewiele spraw udawało się załatwić, jako że wszyscy pogrążyli się w pijaństwie.

kontrola wydatków Skarbu oraz dominująca rola rocznego budżetu. Dziś, gdy wszystkie państwa (przynajmniej w teorii) stosują się do tych zasad, system wydaje nam się prosty i oczywisty. Wówczas stanowił zupełne *novum*, które wcześniej jakoś umknęło uwadze ludzkości.

Głównym celem poczynań Pitta było podniesienie efektywności działań rządu. Z kolei dążenie do większej skuteczności nieuchronnie prowadziło do wzrostu uczciwości aparatu rządowego, tak że w efekcie rzetelność i wysoki standard moralny służb publicznych z wolna stały się zmienną cechą życia Brytyczyków, zyskując (o wiele szybciej) miano odwiecznej brytyjskiej tradycji. Nic dziwnego więc, że wkrótce, niemal przez przypadek, ostatecznie położono kres bezpośredniej władzy monarchii. W roku 1809 Parlament wydał ustawę zakazującą sprzedaży miejsc w Izbie Gmin, to zaś w konsekwencji skutecznie zahamowało możliwość bezpośredniego wpływania na wyniki wyborów za pomocą pieniędzy ze Skarbu. Reszta była już kwestią drobnych porządków i następcy Pitta mogli z entuzjazmem kontynuować proces reform, które on sam zapoczątkował, uciekając się do podstępów. Wprawdzie wojny z Napoleonem przyniosły cudowne rozmnożenie się posad leżących w gestii Korony, co podtrzymywało złudzenie jej wpływów, jednak gdy tylko wojny dobiegły końca, nagle ograniczenie liczebności służb państwowych odsłoniło rzeczywistą sytuację. W latach dwudziestych XIX wieku nieustannie malała liczba posad znajdujących się w gestii ministerstw. Wellington jako premier oznajmił głucho: „Żaden rząd nie może działać, nie dysponując pewnymi środkami nagradzania ludzi, którzy mu służą. Ja nie mam absolutnie żadnych”. Peel, prawdziwy następca Pitta, był gorącym zwolennikiem nowych porządków. W ciągu dwóch lat, jak oświadczył, nie miał do zaoferowania żadnej posady wartej 100 funtów rocznie i jak sięgnąć pamięcią, nigdy wcześniej nie było równie uczciwego rządu. W tej sytuacji podstawowym oparciem dla ministrów musiała stać się opinia publiczna. Althorp w imieniu wigów podzielał to przekonanie, powiadając, iż „dziękował Bogu, że minęły czasy, w których rządy [...] można było sprawować na zasadzie patronatu”. Tak oto doszło do ustrojowej rewolucji, której nikt nie planował i którą niewielu w ogóle dostrzegło, zanim nie została doprowadzona do końca.

Jeśli Anglicy potrafili bez zamieszania czy kłótni przekształcić system administracji centralnej, dlaczego czynili taki problem z reformy parlamentarnej? Odpowiedź nie jest zbyt oczywista, istnieją jednak pewne pouczające wskazówki. Jedną z nich jest stosunek angielskiego społeczeństwa do przestępczości. W XVIII wieku do najczęściej spotykanych przestępstw – zwłaszcza tych uchodzących bezkarnie – należały przemyt oraz wykroczenia przeciw prawom leśnym. Przemytem zajmowali się niemal wszyscy, a równocześnie była to potężna gałąź gospodarki. W latach osiemdziesiątych szmuglerzy sprowadzali do

kraju dobra wartości ponad 3 milionów funtów rocznie; była to wielkość porównywalna z legalnym importem wartości około 12 milionów funtów. Mało kto uważał przemyt za moralnie naganny. Charles Lamb wyraził powszechne przekonanie twierdząc, że „przemytnicy niczego nie kradną prócz cła”. Jednakże proceder ten stanowił zagrożenie dla finansowej stabilności państwa i niemal zrujnował Kompanię Wschodnioindyjską, największą organizację handlową na świecie. Ponadto stanowił poważne źródło przemocy i rozlewu krwi. Lord Pembroke postawił wręcz pytanie: „Czy prędzej Waszyngton podbije Amerykę, czy przemytnicy Anglię?” Ponad siedmiuset uzbrojonych mężczyzn ochraniało transporty kontrabandy zmierzające w głąb łądu, a ponad tysiąc nadzorowało lądowiska na plażach. Przymyt stanowił jednak wyzwanie dla wyobraźni Pitta, ponieważ można mu było zaradzić metodami administracyjnymi. Terenem walnego starcia stał się rynek herbaty. Korzystając z rady Adama Smitha, Pitt radykalnie obniżył cło na herbatę, podnosząc dla zrównoważenia dochodów budżetu podatek od liczby okien. Ceny legalnie sprowadzanej herbaty gwałtownie spadły i przemytnicy stanęli wobec widma ruiny. W odpowiedzi próbowali zdobyć monopol na rynku, przejmując wszystkie dostawy towaru, ale Pitt energicznie interweniował na giełdach herbacianych w Londynie i na kontynencie, finansując swoje operacje za pomocą pożyczki w wysokości 300 tysięcy funtów z Banku Anglii. Następnie w podobny sposób rozprawił się z przemytem wina i spirytualiów. Aby nie wprowadzać żadnych nowych ustaw i nie narażać się na polityczną walkę w Parlamencie, stosował metodę wydawania rozporządzeń, rozciągając zakres obowiązywania *Hovering Act* i *Manifest Act*. Najczęściej jednak korzystał po prostu z uprawnień władzy wykonawczej. W styczniu 1785 roku pojawiły się pogłoski, że zimowe wichury zmusiły największy gang przemytniczy do wyciągnięcia łodzi głęboko na łąd w rejonie plaży w Deal. Pitt nakazał ministrowi wojny, żeby wojsko otoczyło okolicę kordonem, dzięki czemu służby akcyzowe mogłyby bez przeszkód zniszczyć łodzie. Minister odpowiedział jednak, że nie ma takich uprawnień; Pitt skorzystał więc z uprawnień przysługujących mu jako pierwszemu Lordowi Skarbu i operacja zakończyła się pełnym sukcesem. W ciągu kilku lat rozprawiono się z problemem przemytu na wielką skalę i angielski szmugiel wkroczył w epokę przemytu walizkowego.

Jeśli jednak udało się rozwiązać problem przemytu, dlaczego nie można było tak samo poradzić sobie z kłusownictwem? Otóż przemyt był zajęciem ponadklasowym, podczas gdy prawa leśne (*game laws*) stanowiły spektakularny filar klasowej struktury społeczeństwa. Dotyczyły samej jego istoty. Średniowieczni królowie z niebywałą surowością egzekwowali prawa leśne (*forest laws*) dokładnie z tych samych względów: wyznaczali w ten sposób zasadniczą granicę między monarchą a jego poddanymi. Jednakże prawa leśne w dawnej postaci ostatecznie straciły znaczenie w okresie republiki w następstwie potężnej rzezi, która na stałe zmieniła angielski system ekologiczny; ten sam los

spotkał grubego zwierza w prywatnych parkach łowieckich. Myśliwi zwrócili się ku dzikiemu ptactwu i zwierzyńie płowej, a rozpowszechnienie się, po Restauracji, strzelb myśliwskich stworzyło groźbę wybicia wszystkich zwierząt. W roku 1671 wydano więc statut, zgodnie z którym prawo zabijania dzikich zwierząt przysługiwało jedynie posiadaczom majątków ziemskich o dochodzie 100 funtów rocznie albo dzierżaw dających 150 funtów, najstarszym synom dziedziców oraz osobom legitymującym się odpowiednią koncesją. Makler giełdowy, adwokat, chirurg i „inne osoby niższego stanu” mogły atakować zwierzyńę jedynie w towarzystwie uprawnionego myśliwego, ale nie miały prawa zadać jej śmiertelnego ciosu. Sprzedaż dziczyzny została zakazana, posiadanie przez osobę nie uprawnioną było nielegalne; ponadto wprowadzono całą masę innych kłopotliwych zastrzeżeń i ograniczeń, zwłaszcza dotyczących posiadania psów*. Uchwalone prawa naturalnie nie działały i działać nie mogły, przy czym w rezultacie prowadziły do tego, że większość zwierzyńy wpadała w ręce kłusowników. Dziczyńę można było legalnie otrzymać jedynie w prezencie, bardzo wzrosła więc jej wartość prestiżowa, a co za tym idzie – cena na czarnym rynku. Przedstawiciele klasy średniej i nowobogaccy oddawali celny strzał ze „srebrnej flinty” na targu Leadenhall, gdzie dziczyzna docierała w doskonałym stanie aż ze Szkocji dzięki znakomicie zorganizowanej, pokrywającej cały kraj, sieci dostawców złożonej z woźniców i oberżystów. Wędrowni sprzedawcy drobiu kupowali skradzione jaja dzikich ptaków, jaja trafiały na targ w Londynie, gdzie kupowali je właściciele ziemscy, którzy często byli ofiarą tej kradzieży. Gdy dziedzice sami próbowali sprzedawać upolowaną przez siebie dziczyńę na rynku, przegrywali konkurencję z dużo lepiej zorganizowanymi gangami kłusowników. W dodatku poza prywatnym oskarżeniem o bezprawne wkroczenie na cudzy teren mimo stosownego ostrzeżenia, nie dysponowali przeciw wykwalifikowanemu intruzowi żadnym środkiem prawnym; w tej sytuacji *gentry* mogła bezkarnie kłusować na gruntach sąsiadów.

Od początku nikt nie miał wątpliwości, że prawa leśne są niedorzeczne, a jednak utrzymywano je ze ślepyim uporem przez 150 lat – co więcej, podejmowano rozpaczliwe próby, żeby je jeszcze bardziej zaostriżyć. Tylko podczas panowania Jerzego III wprowadzono 32 nowe prawa. Sławne Prawo Ellenborough z roku 1803 wprowadzało straszliwe kary, do kary śmierci włącznie; zostało wzmocnione przez jeszcze bardziej drakoński akt w roku 1817. Kłusownictwo kwitło jednak w najlepsze. Problem polegał na tym, że farmerzy nienawidzili tych praw, ponieważ dziedzice domagali się od nich utrzymywania żywoptotów, farmerzy pomagali więc kłusownikom i *vice versa*. Kłusownicy organizowali się w zawodowe gangi i potyczki z broni palnej stały się czymś

* Prawo z roku 1671 uprawniało ponadto leśniczych do przeszukiwania bez nakazu sądowego domów osób niższego stanu, przyznając tym samym klasie ziemiańskiej przywilej przysługujący w ramach dwunastowiecznych praw leśnych wyłącznie urzędnikom królewskim.

zwyczajnym. Wszyscy mieszkańcy wsi, od książąt począwszy, nosili blizny – znamiona gwałtownych konfliktów, obie strony powoływały uzbrojone armie. Lord Berkeley, na przykład, zatrudniał ośmiu leśniczych, dwudziestu gajowych i trzydziestu innych strażników, nie licząc ludzi dodatkowo zatrudnianych na wieś, że w okolicy pojawił się któryś z gangów. Najgorszymi kłusownikami byli jednak sami gajowi czy leśnicy i z reguły im więcej było strażników, tym mniej dziczyzny. Uciekano się nawet do użycia urządzeń technicznych w postaci pułapek na ludzi i samopałów, jednak Parlament zakazał ich stosowania w roku 1827, ponieważ często zabijały lub raniły zupełnie niewinne osoby, w tym samych właścicieli lasów. Czasem w skład syndykatów kłusowniczych wchodziły całe wsie pod wodzą konstabli i gajowych. W latach dwudziestych XIX wieku jedna szóstka wyroków dotyczyła łamania praw leśnych, a ponieważ tylko nieznaczna część kłusowników stawała przed sądem, nie mówiąc już o wyrokach skazujących, faktyczna skala tego typu przestępstw z pewnością wielokrotnie przewyższała wszystkie pozostałe typy wykroczeń. Prawa leśne zatruwały życie wszystkim mieszkańcom wsi, jednak najbardziej samej *gentry* – ochrona lasów kosztowała majątek, a w zamian dostawali niewiele dziczyzny. Niemniej walczyli w obronie systemu do upadłego, ponieważ stanowił prawny wyraz idealnej, ich zdaniem, struktury społecznej. Nie trzeba dodawać, że gdy wraz z innymi pozostałościami starego reżimu reforma parlamentarna z roku 1831 zmiotła najbardziej jaskrawe aspekty praw leśnych, odnotowano natychmiastowy wzrost pogłowia zwierzyny łownej, dzięki czemu można było urządzać polowania z nagonką w stylu kontynentalnym, tak uwielbiane przez germański element na dworze królewskim*.

* Rozwój i zmierzch praw łowieckich omawia E. W. Bevill w *English Country Life 1780–1830*, Oxford 1962. Dość ciekawy jest fakt, że sędziowie, z taką bezwzględnością dbający o ochronę praw prywatnych właścicieli lasów, nie przejawiali żadnej sympatii dla myśliwych polujących na lisy. Powszechnie uważano, że na lisy można bez przeszkód polować na gruntach sąsiadów – przekonanie oparte na werdykcie sądowym z roku 1656, głoszącym, że „lis jest stworzeniem wyządzającym szkody w Republice”. Werdykt z roku 1656 został ostatecznie obalony w roku 1809 w sprawie *Essex contra Capel*, gdy lord Ellenborough nie pozostawił w swoim uzasadnieniu wyroku wątpliwości, że w świetle prawa myśliwi polujący na lisy [konno, ze sforą psów] dopuszczają się zwykłego przestępstwa wkroczenia na cudzy grunt. Sędziowie strzelali do ptactwa, ale nie brali udziału w konnych polowaniach na lisy, podzielając tym samym opinię bardziej „cywilizowanej” części klasy rządzącej, która polowanie na lisy, w przeciwieństwie do strzelania do ptactwa i łowienia ryb, uważała za sport barbarzyński. Jednakże z typowo angielską przewrotnością werdykt w niczym nie zmienił sytuacji, ponieważ farmerzy, którzy nienawidzili praw łowieckich, generalnie sprzyjali polowaniom na lisy. Ponadto bractwo łowieckie wyraźnie zabiegało w tej kwestii o ich przychylność. Hugo Meynell, twórca nowoczesnej szkoły polowania na lisy, czekał w miejscu zbiórki tylko dziesięć minut na księcia, ale dwadzieścia na miejscowego farmera. W ten sposób polowania na lisy wkroczyły w swoją złotą erę, w momencie gdy w zgodzie z prawem stały się praktycznie niemożliwe. Błyskotliwy opis presji społecznej, jakiej podlegali farmerzy sprzeciwiający się polowaniom na lisy, daje Anthony Trollope w *The American Senator*, London 1871.

Postawy społeczne skłaniające angielską klasę rządzącą do tego, by uważać za własność prywatną nawet ptaki w powietrzu, najdobitniej dały o sobie znać w kodeksie karnym, który pod względem okrucieństwa wobec osoby ludzkiej, przynajmniej w teorii, nie miał w Europie sobie równych. Stała za tym wszakże pewna ponura logika. Albowiem jeśli źródłem wszelkich praw i władzy była własność – jako przeciwieństwo osoby ludzkiej – to państwo całkiem zasadnie przyjmowało, że skradzione dobro wartości pięciu szylingów lub więcej miało w kategoriach równowagi społecznej większe znaczenie niż życie osoby, która je ukradła – na mocy prawa wydanego przez Wilhelma i Marię należało skazać ją na karę śmierci. Toteż nie przypadkiem stulecie następujące po układzie z roku 1689, sankcjonującym własność prywatną jako podstawę życia politycznego, przyniosło potężny wzrost liczby przestępstw zagrożonych w kodeksie najwyższym wymiarem kary z pięćdziesięciu do około dwustu*. Niemal wszystkie występki karane śmiercią dotyczyły naruszenia własności: nabywanie skradzionych dóbr, zabicie lub ranienie bydła, ścinanie rosnących drzew, niszczenie brzegów rzek lub ogrodzeń, złośliwe wycinanie sitowia, niszczenie śluz i kanałów dopływowych, kradzież ryb z prywatnych stawów i rzek, niszczenie stawów, a przede wszystkim pospolita, drobna kradzież.

Pod koniec XVIII wieku większość średniowiecznych i renesansowych elementów aparatu sądowego okrucieństwa wciąż była w użyciu; usuwano je powoli, ale sukcesywnie i z reguły bez większych sporów czy protestów. Palenie kobiet zniesiono w roku 1790, pręgierz w 1816 (wyjąwszy przypadek krzywoprzysięstwa), publiczną chłostę kobiet w 1817, a niepubliczną trzy lata później; wystawianie ciał powieszonych na widok publiczny (*gibbeting*) zniesiono w roku 1834, choć publiczne egzekucje ustały dopiero po śmierci lorda Palmerstona. Ruch na rzecz ograniczenia stosowania kary śmierci wyłącznie do przypadków ciężkich zbrodni przeciw osobie zderzał się jednak z pewnymi podstawowymi przekonaniem społeczeństwa, które okazały się trwalsze niż przypuszczano, tym bardziej że sędziowie uważali się za strażników państwa służącego nade wszystko ochronie własności prywatnej. Próżno było wskazywać, że faktycznie wykonywano tylko niewielką część wyroków (czasem zaledwie jeden na trzysta) oraz że ławy przysięgłych często świadomie zaniżały wartość skradzionych dóbr, żeby uniknąć konieczności wydania wyroku śmierci. Sędziowie twardo obstawali przy obronie zasad. Także apele o to, żeby uwzględnić młody wiek winowajców, trafiały w próżnię. I co z tego, że siedmioipółletnia dziewczynka siedziała samotnie w celi, nie mając nawet takiej pociechy jak lalka.

* Dodatkowym czynnikiem powodującym wzrost liczby przestępstw zagrożonych karą śmierci było głęboko zakorzenione przekonanie klasy rządzącej, że idea wiecznego potępienia przestała spełniać rolę hamulca powstrzymującego ludzi przed zbrodnią. Kiedy przestano wierzyć w piekielne ognie, na ich popiołach stanęły szubienice. Por. D. P. Walker, *The Decline of Hell*, London 1964.

Już była wrogiem systemu i wszystko wskazywało na to, że gdy dorośnie, stanie się jeszcze groźniejsza. W roku 1816 w londyńskim więzieniu Newgate osadzono dziesięcioletniego chłopca skazanego na karę śmierci. Sędzia, który wydał wyrok, oświadczył: „Wobec faktu, że w ostatnich czasach schwytano znaczną liczbę chłopców winnych groźnych przestępstw, zdecydowaną wolą Księcia Regenta było, iżby przykładnie ukarano następnego złoczyncę tego autoramentu, tak aby skutecznie położyć kres licznym przypadkom podobnej deprawacji”^{*}. Rzeczywiście, sprawcami zdecydowanej większości przestępstw, przynajmniej w Londynie, były osoby poniżej dwudziestego pierwszego roku życia; nic dziwnego, skoro dzieci i młodzież stanowiły ponad połowę całej populacji. Jeśli nie będzie się wieszać złodziei, jak inaczej można ich skutecznie ukarać? W roku 1826 minister spraw wewnętrznych Robert Peel pisał do Sydneya Smitha, iż niezwykle trudno sprawić, aby warunki i wyżywienie w więzieniach były gorsze od tych, na jakie członkowie klas przestępczych mogą liczyć na wolności, a tym samym, aby możliwe było utrzymanie czegoś, co nazwał „zbawczym terrorem”.

Niemal przez pół stulecia toczyła się zażarta debata, w której po obu stronach padały namiętne argumenty; gra toczyła się jednak o wysoką stawkę: fundamentalne zasady sięgające samych korzeni wartości społecznych. Jeśli spojrzeć na sukcesy reformatorów, takich jak Bentham, Brougham, Romilly i Mackintosh, wydaje się, że w kategoriach zmian zapisanych w kodeksie karnym osiągnęli niewiele. W rzeczywistości odnieśli jednak zdecydowane zwycięstwo natury ideologicznej, któremu następnie podporządkowały się angielskie rządy. Czy należy uważać Anglika jedynie za posiadacza własności, dodatek do zgromadzonego majątku? Czy też przede wszystkim powinniśmy widzieć w nim istotę ludzką? W toczącej się bitwie nie chodziło więc jedynie o spór między zwolennikami państwa – strażnika własności a zwolennikami idei hu-

^{*} Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaczęło prowadzić statystyki przestępczości, obejmujące teren całego kraju, dopiero w roku 1811, toteż trudno określić całkowitą liczbę skazanych na śmierć oraz liczbę wykonanych wyroków w okresie wcześniejszym. Dla przykładu: w roku 1598 w samym tylko hrabstwie Devon skazano na śmierć 74 osoby, ile jednak faktycznie powieszono? Z pewnością bezwzględność, z jaką Anglicy doby elżbietańskiej karali złodziei, robiła wrażenie na cudzoziemcach, nawet na Iwanie Groźnym. W latach 1607–1616 w Londynie i hrabstwie Middlesex dokonywano przeciętnie egzekucji 78 osób rocznie. Jednak w XVIII wieku różnica między liczbą skazanych a liczbą straconych stale rosła. Najwięcej egzekucji, o których mamy dokładne dane, wykazano w okresie reakcji po wojnach napoleońskich, w latach 1816–1822: ponad 100 osób rocznie. Do roku 1831 liczba wyroków wzrosła do 1549, ale liczba egzekucji zmalała do 52. W roku 1838 reforma ograniczyła zakres przestępstw karanych śmiercią praktycznie do przypadków morderstwa; wydano 116 wyroków skazujących, ale wykonano zaledwie 6 (z drugiej strony, dwa lata wcześniej ponad 52 tysiące osób skazano na karne zesłanie do kolonii na okres od 7 do 14 lat). A tak na marginesie, sędzia mylił się co do Księcia Regenta; Regent był zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci i łatwość, z jaką jego kobiety potrafiły uzyskać od niego ulaskawienie dla faworyzowanych przestępców, stanowiła jeden ze skandali, które przyspieszyły reformę.

manitarnych; odpowiedź wyznaczała w istocie kierunek całej przyszłej polityki. Jeśli społeczeństwo uznaje, że człowiek jest czymś bardziej świętym niż dobra materialne, musi zmienić optykę wszystkich swoich działań. Chodzi nie tylko o to, że osoba powinna zatriumfować nad własnością jako źródło praw politycznych, ale także o to, żeby państwo zaczęło aktywnie tworzyć warunki sprzyjające jej pomyślności: musi ją ochraniać za pomocą publicznej służby zdrowia i ustawodawstwa fabrycznego, w razie potrzeby ubierać i karmić, kształcić oraz obdarzać licznymi prawami, które będą służyć ochronie i rozwojowi jej interesów i potrzeb. Logicznie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby od rezygnacji z wieszania złodziei przejść do obdarzenia ich dobrodziejstwami państwa opieki socjalnej (*Welfare State*)*.

Z punktu widzenia logiki nic nie stało na przeszkodzie, jednakże na drodze reformatorów znalazło się wiele specyficznie angielskich przeszkód, stawiających wyjątkowo silny opór. Jak to się stało, na przykład, że – jak widzieliśmy – tłum robotników ze środkowej Anglii mógł z taką zajadłością rzucić się na domy umiarkowanych reformatorów? Gdy w latach osiemdziesiątych XVIII wieku reforma administracyjna zaczęła przenikać aparat władzy, wydawało się, że istnieje wyjątkowo sprzyjająca sytuacja także dla reform politycznych. Utrata kolonii amerykańskich, którą większość Anglików postrzegano jako katastrofę wynikającą ze słabości systemu, stworzyła korzystny klimat dla przemian. Pogłębiający się kryzys gospodarczy, jaki towarzyszył końcowej fazie konfliktu i utrzymywał się także jakiś czas później, umożliwiał reformatorom wywieranie presji na Parlament za pomocą tradycyjnej metody masowych petycji społeczeństwa. Wszyscy wybitniejsi parlamentarzyści młodego pokolenia opowiadali się w Izbie Gmin za taką czy inną reformą. Co więcej, także poza Parlamentem znaczące kręgi zamożnych członków klasy średniej z radością, wręcz niecierpliwie, wyglądały zmiany. Naturalnie, poszczególne koncepcje różniły się znacznie między sobą i pod pewnymi względami były nawet sprzeczne. Jedni, wskazując na wypadki za oceanem, opowiadali się za odebraniem miejsc w Izbie „prywatnym” *pocket boroughs* i rozdzieleniem ich między nowe miasta, a także za rozciągnięciem praw wyborczych na liczne kategorie osób, które choć posiadały znaczny majątek, nie miały prawa głosu w ramach istniejącego systemu. Inne znaczące grupy, a zwłaszcza potężny sojusz *gentry* i *yeomanów* z Yorkshire, opowiadały się z kolei za znacznym zwiększeniem liczby członków Izby

* Dziewiętnastowieczni sędziowie, dostrzegając fakt, że zmiana filozofii stosowania prawa stanie się ostatecznie przewodnikiem postępu społecznego, nabrali bardzo wysokiego mniemania o swojej pozycji i roli w społeczeństwie. W roku 1848, przewodnicząc rozprawie uczestników zamieszek w Liverpoolu, baron Alderson usłyszał na sali syki dezaprobaty. Gniewnie oświadczył: „Gdzie jest ten, który syczał? Niechże zobaczą człowieka, który sprzeciwia się prawu! Siedzę tu sam, a za mną jest cały majestat Królestwa Anglii; niechże pokaże się ten, kto ośmiela się mu przeciwstawić!”

wybieranych w hrabstwach. W pewnym sensie była to propozycja zachowawcza i nie ulega wątpliwości, że jej autorzy pragnęli właśnie wzmocnienia terytorialnej podstawy istniejącego ustroju politycznego. Niemniej wszystkie reformy prezentowano, co charakterystyczne, w kostiumie powrotu do dawnej doskonałości. Nie sposób było inaczej skłonić wiejskich dżentelmenów z tylnych ław parlamentarnych, żeby zwrócili uwagę na projekt jakiegokolwiek zmiany politycznej, a tym bardziej poparli go w głosowaniu*. Równocześnie jednak każda zmiana była cenna – nawet jeśli jej zwolennicy odwoływali się do zachowawczych pryncypiów – o ile tylko mogła posłużyć do rozbicia zastarzałej skorupy, która więziła polityczny rozwój Anglii. To właśnie takie pobudki kierowały Pittem, gdy w roku 1785 przedstawił własny projekt reformy, odrzucony większością zaledwie 74 głosów (248 do 174). Różnicę uznano za zachęcającą, dobrą prognozę przyszłego zwycięstwa. W rzeczywistości okazała się najlepszym rezultatem ruchu na rzecz reform w ciągu najbliższego półwiecza; tymczasem zaś siły zachowawcze zdołały przy powszechnym poparciu klasy politycznej zbudować bezprecedensowy aparat bezwzględnych represji. To, w jaki sposób do tego doszło, stanowi jedną z największych tragedii w dziejach Anglii.

Część winy spada na samego Pitta oraz Charlesa Jamesa Foxa. Ci niezwykle uzdolnieni politycy mieli od najwcześniejszej młodości niecodzienne możliwości realizowania swych talentów; ucieleśniali najlepsze cnoty starego systemu. Liberalni, otwarci myślowo na nowe prądy, obaj namiętnie pragnęli zmienić świat na lepsze. Ich talenty się dopełniały – złączywszy swe siły mogli w tej dekadzie straconych szans, przed rokiem 1789, dokonać w Anglii pokojowej rewolucji. Tymczasem nie tylko stali się rywalami, ale jako wrogowie zwalczali się zajadle. Konflikt sprowadził do zera polityczne zalety obydwu, wydobywając z nich w życiu publicznym to, co najgorsze. Jako osoby publiczne obaj ulegli degeneracji, a wraz z nimi życie publiczne w Anglii. Początkowo odnosili się do siebie przyjaźnie, nawet z wyraźną sympatią. Gorzka ironia sprawiła, że poróżnili się o Shelburne'a, człowieka, którego nikt nie lubił. Gdy Fox oświadczył Pittowi, że nie będzie służył w żadnym rządzie, na którego czele stoi Shelburne, Pitt nie tylko zerwał prowadzone negocjacje, ale ponadto oświadczył (dotrzymując słowa), że nigdy nie zamieni z Foxem ani słowa w cztery oczy. Uważał, że Fox jest nieodpowiedzialny, skoro pozwala, aby jego prywatne uczucia brały górę nad interesem publicznym; miał rację. Fox uważał Pitta za osobę zimną i bezduszną (w rzeczywistości Pitt był nieśmiały, „najbardziej nieśmiały człowiek, jakiego spotkałem w życiu” – oświadczył jego przyjaciel Wilberforce). Wszelako cały postęp, jaki stał się udziałem Anglików, był właśnie owocem połączenia wysiłków ludzi szaleńczo nieodpowiedzialnych i chłodno opanowanych

* Pitt, przedstawiając swoje propozycje, stwierdził, że projekt zmierza do usunięcia defektów z „pięknej budowli systemu rządów [...], co nie będzie stanowić innowacji [...], ale odnowę konstytucji”. Por. John Ehrman, *The Younger Pitt – The Years of Acclaim*, Cambridge 1969.

– bądź takich, którzy sprawiali podobne wrażenie. Gdy Aneurin Bevan* nazywał Hugh Gaitskella** „zasuszonym arytмомetrem”, nieświadomie powtarzał wzgardę, jaką Fox obdarzał Pitta; gdy zaś Gaitskell wskazywał na brak realizmu Bevana, potwierdzał fundamentalne przekonanie Pitta, że służba publiczna nakłada na każdego polityka, nawet najbardziej błyskotliwego, pewne hamulce i ograniczenia. „Problem z nim polega na tym – słyszałem z ust Gaitskella – że nigdy nie odrabia pracy domowej” – to głos Pitta, dla którego księga rachunkowa stanowiła lekturę do poduszki, a rachunki budżetu państwa były rozkoszną rozrywką nielicznych wolnych godzin. Rzecz w tym, że Fox także nigdy nie odrabiał lekcji. „Choć bardzo lubię samą Izbę Gmin – powiedział swemu przyjacielowi Fitzpatrickowi – nienawidzę tej całej roboty przygotowywania, przeglądania rachunków, szkicowania wniosków pod głosowanie etc”. Porównanie można pociągnąć dalej. Wbrew temu, co sądzili o nich przeciwnicy, żaden z nich – ani Pitt, ani Gaitskell – nie był człowiekiem bez serca. Gaitskell był bardzo oddany swoim przyjaciołom i często dochowywał przyjaźni, nie bacząc na konsekwencje. Uczucia Pitta przybierały na sile z upływem lat. Związki z niewiele znaczącym Dundasem, które początkowo opierały się wyłącznie na kontaktach służbowych (listy Pitta dowodzą, że uważał szkockiego prawnika za osobę niżej postawioną społecznie), po latach stały się dla niego przyczyną głębokiego wstrząsu, gdy okazało się, że nie zdołał uratować swego przyjaciela od potępienia na forum Parlamentu [opozycja oskarżyła Dundasa, wówczas już wicehrabiego Melville, o sprzeniewierzenie rządowych pieniędzy]; zaledwie jeden głos – spikera [przysługujący mu przy równowadze głosów, tzw. *casting vote*] przeważył wtedy na niekorzyść Dundasa. Gdy ogłoszono wyniki, Pitt zalał się łzami, a jego zdenerwowani zwolennicy otoczyli go kołem, aby ukryć ten widok przed rozradowanymi zwolennikami Foxa. Można wątpić, czy Fox był zdolny do równie gorących uczuć. Podobnie jak Bevan, przyjmował liczne hołdy wielbicieli swego geniuszu i uroku osobistego, ale rzadko je odwzajemniał. George Selwyn pisał o nim: „Jestem przekonany, że Charles nie poświęciłby wiele uwagi niczemu, co nie służy jego własnym celom. Jak pamiętasz, powiedziałem kiedyś, że moim zdaniem jest człowiekiem wolnym od urazy i zawiści; wciąż tak uważam i jestem tego pewny. Sądzę jednak także, że nie kocha nikogo prócz siebie”. Podobnie myślał o nim Filip Francis: „Podstawowy defekt jego charakteru i przyczyna wszystkich jego niepowodzeń brały się stąd, że był bez serca”. Tak czy inaczej, ci dwaj wielcy ludzie poróżnili się, a gdy okazało się, że nie są w stanie ze sobą współpracować, reszty dokonała gladiatorska zasada działania angielskiego życia politycznego i potencjalny nie-

* Jeden z czołowych polityków Partii Pracy, w latach 1945–1951 minister zdrowia w laburystowskim rządzie (przyp. tłum.).

** Lider Partii Pracy w latach 1955–1963 (przyp. tłum.).

zwykły sojusz talentów przemienił się w maszynę samozniszczenia. Prócz obu polityków, ofiarą tej wojny stał się naród angielski.

Rozłam między Pittem a Foxem zniweczył perspektywy reformy; rewolucja francuska zniszczyła je na okres kilku dziesięcioleci. Nienawiść Anglików do cudzoziemców, zwłaszcza do Francuzów, jest siłą tak potężną, że żaden reformator nie może dopuścić, aby napiętnowano go skojarzeniami z tym, co dzieje się na kontynencie, nawet jeśli te skojarzenia niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Izolacja geograficzna i ograniczenie zasięgu rewolucji do jednego narodu stanowiły istotne źródło sukcesu zwolenników Cromwella; nie można było ich opatrzyć żadną zagraniczną etykietą, natomiast sami mogli swobodnie się nią posługiwać, zarzucając oponentom, że są marionetkami w rękach sił kontynentalnych, które mieszają się w sprawy angielskie. Tragedia angielskich reformatorów z końca XVIII wieku polegała na tym, że uznano ich za winnych przez skojarzenie. Paryskie wypadki roku 1789 angielska elita polityczna przywitała z pewną ostrożną i ograniczoną sympatią. Sytuacja we Francji zaczęła właśnie budzić w Anglii rosnące zainteresowanie. Trzy lata wcześniej, wykorzystując atmosferę, którą angielski ambasador w Sankt-Petersburgu określił jako „gorączkę zawierania traktatów handlowych z krajem zajmującym dominującą pozycję w Europie”, Pitt wynegocjował z Francją traktatową obniżkę ceł, przynoszącą wyjątkowo korzystne warunki dla angielskiego przemysłu i handlu. Zdecydował się na ten krok po wielu wahaniach i długotrwałym namyśle, dobrze zdając sobie sprawę z antykontynentalnych nastrojów we wszystkich kręgach angielskiej opinii publicznej. Nawet minister spraw zagranicznych w jego gabinecie uważał Francję za „naszego naturalnego i odwiecznego rywala” i sądził, że podejrzenie korzystne warunki traktatu „ożywiły, o ile nie potwierdziły” jego obawy. Pitt przyznawał, że „podstawowym problemem jest pytanie, w jaki sposób położyć podwaliny tego typu związków, a równocześnie ustrzec się od zbyt szybkiego włączenia się w konflikt sił na kontynencie”, pamiętając przy tym cały czas o „konieczności unikania, jeśli to możliwe, angażowania się we wszelkie układy, które mogłyby uwikłać nas w nową wojnę”. Krótko mówiąc, Anglia ostrożnie, acz z korzyścią, porzucała swoją izolację i co zrozumiałe, była bardzo zaniepokojona.

Oczywiście, Anglicy byliby najszcześliwsi, gdyby Francuzi wzmocnili teraz więzi gospodarcze, przyswajając sobie angielskie obyczaje polityczne. Jak oznajmił Shelburne w roku 1782, „konstytucja Wielkiej Brytanii może z powodzeniem zapanować na całym świecie”. Nawet ci, którzy pragnęli ją udoskonalić, uważali, że nadaje się na eksport. Wydaje się, że w tym wczesnym okresie dość powszechnie sądzono, iż francuskie Stany Generalne mogłyby po prostu przyjąć sławną „konstytucję równowagi” z całym dobrodziejstwem inwentarza. Jednakże Francuzi nie lubią przejmować zagranicznych wzorów i jeśli w roku 1789 w ogóle się za nimi rozglądali, to spoglądali raczej w stronę Filadelfii,

a nie Westminsteru. Naturalnie, Anglikom nie przypadła do gustu rola wzgardzonego mistrza: zadowolenie, jakie dotąd odczuwali, szybko przekształciło się w niepokój, potem w lęk, a w końcu w otwartą wrogość. Dzienniki tak skądinąd rozsądnego, o szerokich horyzontach człowieka, jak Arthur Young, który tego fatalnego roku podróżował przez Francję, doskonale obrazują przemiany opinii Anglików: od rosnącej irytacji wobec niepojętego faktu, że Francuzi nie zamierzają przyjąć angielskiego modelu ustrojowego, poprzez przerażenie na widok przemocy i zamętu, aż po końcowy ton czystej ksenofobii.

Nastroje zmieniły się błyskawicznie i już pod koniec roku 1789 sympatia dla francuskich buntowników stanowiła poważne obciążenie w angielskim życiu politycznym. Porównanie wydarzeń we Francji do roku 1688, jakim posłużył się w kazaniu doktor Price, spotkało się z powszechną krytyką; wśród krytyk znalazły się także gwałtowne wywody Burke'a w jego *Reflections*, sprowadzające się w istocie do obaw, że rozprzestrzenianie się francuskich idei mogłoby zniszczyć tę Arkę Przymierza, jaką było angielskie *common law*. Wkrótce nawoływania Foxa, aby Anglicy byli „gotowi równie ochoczo przejmować cnoty Francuzów, jak jesteście niezmiennie skłonni odrzucać wady Francji, kraju występku”, nie miały już żadnego sensu. Anglicy wyraźnie nie mieli ochoty zastanawiać się, co właściwie się dzieje we Francji, ani odróżniać poszczególnych faz rewolucji. Równocześnie coraz dobitniej zaczęli twierdzić, że ci Anglicy, którzy wyrażają umiarkowaną sympatię dla Francuzów, w istocie całym sercem popierają ich najgorsze ekscesy. Rok 1789 początkowo przyniósł wyraźną radykalizację angielskiego ruchu na rzecz reform, czemu towarzyszyło pojawienie się na scenie politycznej osób z niższej klasy średniej i klasy robotniczej organizujących towarzystwa korespondencyjne [służące przekazywaniu informacji] i utrzymujących stały kontakt ze Zgromadzeniem Narodowym we Francji. Grupy te jednak były niewielkie, a cele, jakie sobie stawiały – zdumiewająco skromne. I chociaż książki Toma Paine'a znajdowały zaskakująco wielu nabywców, zaledwie kilka tysięcy osób brało czynny udział w agitacji politycznej. Tymczasem nawet Paine, choć nastawiony bardziej ekstremistycznie niż wszyscy reformiści mieszkający w Anglii, był bardzo umiarkowany jak na warunki francuskie. Jego poglądy na własność prywatną oraz rolę dążenia do indywidualnego bogacenia się z grubsza pokrywały się z poglądami Adama Smitha. Na francuskiej scenie politycznej był żyrondyście, a także jedynym członkiem Zgromadzenia Narodowego, który otwarcie opowiadał się przeciw straceniu króla. Typowa dla postaw angielskich radykałów z niższej klasy średniej była przysięga, jaką składali członkowie Towarzystwa Konstytucyjnego z Sheffield (grudzień 1791 r.):

Z całą powagą oświadczam, że jestem przeciwny wszelkim spiskom, tumultom, zamieszkom oraz podejmowanym w złej woli próbom zmierzającym do zniszczenia, naruszenia bądź zakłócenia spokoju innych ludzi tudzież praw tego królestwa; oraz

że nie mam innych pragnień czy celów ponad to, aby w zgodzie ze wszystkimi miłującymi pokój, prawymi obywatelami tego kraju udzielić mego poparcia przedłożeniu skierowanemu do Parlamentu z prośbą o szybką reformę [wyborczą] oraz równość reprezentacji w Izbie Gmin.

Ten umiar nie dotarł jednak do świadomości angielskich alarmistów. Lamenty pierwszych francuskich uchodźców przybyłych do Anglii utonęły w historycznych krzykach angielskich podróżników i rezydentów; wśród nich, co godne uwagi, także Gibbona, który w liście do lorda Sheffielda pisał, że każdy gest na rzecz reformy może okazać się fatalny w świetle przerażających doświadczeń francuskich:

[...] jeśli zgodzicie się na najmniejszą i mającą choćby największe pozory słuszności zmianę w naszym systemie parlamentarnym, jesteście zgubieni. Będziecie zmuszeni ustępować krok za krokiem, od zasad sprawiedliwych w teorii do czynów zgubnych w praktyce, a wasze pierwsze ustępstwa staną się przyczyną wszystkich kolejnych nieszczęść, za które będziecie odpowiedzialni przed swoim krajem i potomnością [...]. Jeśli to straszliwe ostrzeżenie nie uczyni żadnego wrażenia na majątnych ludziach w Anglii, jeśli nie otworzy wszystkich oczu i nie wzniesie każdego ramienia, będziecie godni losu, jaki was spotka [...]. Możecie być bowiem zmuszeni do kolejnych ustępstw i zniósłszy okręg wyborczy Old Sarum, wnet ujrzycie króla w Newgate.

W tej atmosferze ruch na rzecz reform kompletnie zamarł i wkrótce znalazł się w głębokiej defensywie. Ksenofobiczny obskurantyzm przepojonego nienawiścią tłumu z Birmingham w mniejszym lub większym nasileniu dał o sobie znać w całym kraju. Bezmyślne szyderstwo Wyndhama z wszelkich projektów zmiany systemu wyborczego: „Nikt nie naprawia domu podczas huraganu”, Izba Gmin potraktowała jako bezsporną, najgłębszą prawdę. Pitt wykorzystał rosnącą wrogość wobec Francji jako potężny oręż w walce z opozycją, zarzucając jej brak patriotyzmu, podobnie jak Walpole nękał torysów zarzutami o konszachty ze zdrazieckim dworem Stuartów w St. Germain. Wielu członków opozycji istotnie pośpiesznie schowało głowy, a niektórzy przeszli nawet na stronę rządową. Coraz bardziej szalony głos Burke'a wznosił się do metafizycznego krzyku w apostrofie ku cnotom angielskiego cudownego ustroju:

[...] doskonale uporządkowana budowla naszego Kościoła i Państwa, sanktuarium, święte świątyni tego starożytnego prawa, strzeżona mocą szacunku, mocą władzy, zarazem świątynia i forteca [...], ta budząca bojaźń budowla winna czuwać i chronić podległą sobie krainę [...]. (*Letter to a Noble Lord*, 1796)

Nadejście wojny wzmogło jeszcze publiczną presję na każdego, kogo można było kojarzyć, choćby w najodleglejszy sposób, z zagrożeniem płynącym z kontynentu. W Irlandii oficerowie regimentu *yeomanry* kazali wychłostać

pewnego nauczyciela, ponieważ słyszano, że mówił po francusku, został więc uznany za buntownika. Paine dorobił się opinii potwora, w związku z czym czytanie, wychwalanie, drukowanie i rozprowadzanie jego prac stało się bezspornym dowodem postaw antyrządowych*. W maju 1794 roku w raporcie na temat praktyk wywrotowych parlamentarna komisja do spraw bezpieczeństwa, polegając nieomal wyłącznie na świadectwach płatnych i niezbyt rzetelnych informatorów, oskarżyła nieszkodliwe towarzystwa korespondencyjne o planowanie zamachu stanu. Ruch towarzystw – głosił raport – jedynie pozornie agitował na rzecz reformy parlamentarnej, a jego prawdziwym celem było „pozbawienie Izby Gmin jej funkcji reprezentacji narodu oraz uzurpowanie sobie wszystkich funkcji oraz władzy ciała ustawodawczego”. Był to „zdradziecki spisek mający na celu obalenie istniejących praw i Konstytucji oraz wprowadzenie tego systemu anarchii i zamętu, który z tak fatalnym skutkiem zapanował we Francji”.

Wkrótce przyszła seria represyjnych ustaw, bardzo podobnych do tych, które wiążą dziś ręce opozycji w Republice Południowej Afryki. W myśl postanowień drugiej części *Treasonable and Seditious Practices Act* (Ustawy o zdradzieckich i wywrotowych praktykach) z roku 1795 każdy Anglik, którego słowa, w mowie lub piśmie, mogły zostać zinterpretowane jako podżeganie do nienawiści bądź pogardy wobec króla, rządu czy konstytucji, przy drugim tego rodzaju wykroczeniu narażał się na karne zesłanie na siedem lat do kolonii. *Seditious Meetings Act* (Ustawa o zgromadzeniach mających na celu podżeganie do buntu) z roku 1795 zakazywał organizowania bez zgody władz zgromadzeń powyżej pięćdziesięciu osób; jeśli dwanaście lub więcej osób nie usłuchało rozkazu rozejścia się, groziła im kara śmierci; każdy, kto nawet w trakcie legalnego zgromadzenia nawołuje do zmiany „istniejących praw w jakikolwiek inny sposób niż mocą władzy króla, Izby Gmin oraz Izby Lordów”, mógł zostać aresztowany; przedstawiciele lokalnych władz (*magistrates*) i konstable zostali zwolnieni od odpowiedzialności, jeśli w trakcie rozpraszania zgromadzenia siłą ktoś zostanie zabity lub poturbowany; za czynne utrudnianie aresztowania winnych wykroczeń przeciw ustawie groziła kara śmierci; domy, w których bez

* Co ciekawe, Pitt żywił bardzo wysoką opinię o Paine'ie. Lady Hester Stanhope, siostrzenica Pitta, która prowadziła mu dom, zapisała: „Pan Pitt zwykł był mawiać, że Tom Paine ma wiele racji, jednak zaraz potem dodawał: «Ale co ja mam zrobić? Jeśli kraj zaleją ci wszyscy ludzie, pełni niegodziwości i szaleństw, nie zdołam przecież ich wytrzebić. Z pewnością byłoby bardzo dobrze, gdyby każdy miał dość poczucia rozsądku, by postępować tak, jak powinien, ale tak się rzeczy mają, że gdybym zaczął popierać idee Toma Paine'a, mielibyśmy krwawą rewolucję, po czym wszystko wróciłoby dokładnie do poprzedniego stanu». W taki sam sposób Cromwell myślał o lewellerach. Paine nigdy nie doczekał się należnego uznania w Anglii i podobnie jak wielu sławnych Anglików nie miał także szczęścia po śmierci. W roku 1818 Cobbett wydobyl jego szczątki w Ameryce i przewiózł do kraju, aby je wystawić na widok publiczny. Po śmierci Cobbetta jego syna aresztowano za długi, a kości Paine'a przeszły w ręce wierzyciela, stając się obiektem wielu zniewag.

zezwoleń władz odbywały się „wykłady [...] poświęcone wszelkim kwestiom, które mogłyby stanowić wyraz publicznego niezadowolenia bądź mającym jakikolwiek związek z prawami, konstytucją, rządem lub polityką wymienionych królestw”, mogły zostać uznane za siedlisko zgorszenia publicznego, a ich właściciele obłożeni grzywną wysokości stu funtów za każdy dzień naruszania postanowień ustawy. Uchwalone przepisy były tak drakońskie, że trzeba było dodać specjalne klauzule wyłączające spod ich działania szkoły i uniwersytety. W rezultacie publiczne agitowanie na rzecz reformy, wszędzie poza Parlamentem, stało się przestępstwem.

Do restrykcji prawnych dochodził potok brudnej, kłamliwej propagandy płynącej spod pras drukarskich, w czym dzięki skutecznością wykazywał się stojący na czele bandy najemnych pismaków Gillray. Gillray zręcznie połączył frankofobię z reakcyjnymi nastrojami społeczeństwa. Seria sztychów z 1796 roku, *Promised Horrors of French Invasion (Potworności francuskiej inwazji obiecane)*, ukazuje oddziały francuskie maszerujące ulicą St. James; napastnicy zrzucają z balkonów albo wieszają na latarniach członków Parlamentu lojalnych wobec rządu; worki złota zrabowanego ze Skarbcza jadą do kwatery głównej zwolenników Foxa w Brookes, gdzie na balkonie stoi gilotyna, a na pierwszym planie Fox osobiście chłostuje Pitta. W tym samym roku sir John Dalrymple – starszy ekscentryczny Szkot, który miał nadzieję, przysłużywszy się ministrom, otrzymać tytuł para – wręczył Gillrayowi pieniądze na serię jeszcze straszniejszych widoków: *Consequences of a Successful French Invasion (Konsekwencje udanej inwazji francuskiej)*. Widzimy, jak Francuzi wkraczają do Izby Gmin, zakuwają członków rządu w kajdany przez zesłaniem do kolonii, instalują gilotynę w Izbie Lordów i mordują księży. Na wsi „szeregi Anglików w łachmanach i drewnianych sabotach pracują motykami na polu czosnku”, smagani niczym murzyńscy niewolnicy przez sztychujących francuskich oficerów, a w końcowej scenie w Parlamencie francuski porucznik wskazując na łaskę spikera woła (w zdaniu zręcznie łączącym tradycyjną niechęć do Cromwella z antyfrancuskim rasizmem): „Hej, wyrzucie to błazeńskie berło, ale jeśli jest w nim choć odrobina złota, pošlijcie je do mojej kwatery”.

Kontrrewolucyjny huragan zmiatał wszystko na swojej drodze. Ustawy kneblujące usta społeczeństwu przechodziły ogromną większością głosów i nawet człowiek tak radykalny jak Francis Place przyznawał, że działało się to z pełnym poparciem opinii publicznej. Wigowscy prawnicy byli przygotowani na obronę ofiar nowego ustawodawstwa, ale nie mogli zdziałać wiele więcej. W roku 1797 Grey odważnie bronił francuskiej rewolucji, twierdząc, że „ostatecznie [...] przyczyni się do rozprzestrzenienia na całym świecie wolności i wiedzy racjonalnej”, ale przedstawiony przez niego projekt reformy, ostatni w ciągu następnych kilku dziesięcioleci, który stanowił zapowiedź rozszerzenia zasięgu praw wyborczych z roku 1867, zebrał jedynie 91 głosów – nieugięty trzon zwolenników

Foxa. Rewolucja francuska opóźniła w ten sposób rozwój angielskiej demokracji o blisko stulecie. Trudno winić przywódców wigów, że nie starali się zrobić więcej. Wielu z nich już z racji poparcia dla sprawy wolności kolonii amerykańskich napiętnowano jako ludzi wyzbytych uczuć patriotycznych, a jak powiedział Lloyd George w roku 1914, mając na myśli wojnę burską, od żadnego polityka nie można oczekiwać, że dwa razy w swojej karierze przeciwstawi się powszechnym nastrojom opinii publicznej. Szersze poparcie dla ruchu reformistycznego rozwinęło się w gorączce wojennej. W roku 1798 Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne proponowało nawet utworzenie „lojalnych korpusów” do obrony przed francuską inwazją. John Thelwall, oczyszczony w roku 1794 z oskarżenia o zdradę, zrezygnował z obrony przegranej sprawy; oświadczył, że Anglicy „są zniewoleni, bo są zdegenerowani”. Fox w 1801 roku ubolewał z rozpaczą nad uległością, z jaką masy Anglików zaakceptowały system reakcyjnych rządów Pitta: „Dopóki nie ujrzę, że opinia publiczna przejawia jakieś oznaki niezadowolnienia [...] z systemu władzy absolutnej, nie widzę sensu w powoływaniu się w Izbie Gmin na zasady wolności i sprawiedliwości”. Rzeczywiście, można poniekąd zrozumieć wigów, że przestali pojawiać się w Parlamencie, na który i tak nie mieli żadnego wpływu. Jak pisał Sydney Smith do lady Grey: „Ze wszystkich pomysłowych narzędzi despotyzmu muszę polecić zwłaszcza Zgromadzenie Narodowe, w którym większość bierze pieniądze za uległość, a kilka śmiałych i zdolnych umysłów dzięki swym odważnym mowom utrzymuje naród w przekonaniu, że jest wolny”.

Długotrwałe wojny z Francją stanowiły katastrofę dla Anglików, dla Francuzów i w istocie dla całego świata. Podjęta przez wyspiarzy decyzja, żeby popierać i finansować europejskie monarchie absolutne dążące do zdławienia cieszącego się masowym poparciem ruchu rewolucyjnego we Francji, oczywiście musiała wywołać u Francuzów dobrze nam znaną psychozę obłączenia: odwróciła siły i energię tego wielkiego narodu od pokojowego rozwoju reform, kierując je w stronę militarnych awantur, i w efekcie przyczyniła się do przekształcenia obiecującego eksperymentu powszechnej demokracji w agresywną dyktaturę wojskową. Bezpośrednie koszty wojen poniesione przez Anglików wynosiły 831 milionów funtów (aż do końca XIX wieku brytyjskie wydatki publiczne nie zbliżyły się nawet do poziomu z lat 1810–1815), do czego trzeba dodać trudne do oszacowania koszty pośrednie. Owoce zdumiewającego przyspieszenia tempa wzrostu ekonomicznego brytyjskiej gospodarki, które było tak znamienne dla pierwszej fazy rewolucji przemysłowej, poszły w ten sposób głównie na cele czysto destrukcyjne. Wymogi gospodarki wojennej, a jeszcze bardziej wojna ekonomiczna, jaką Anglia wytoczyła okupowanej przez Francuzów Europie, w połączeniu z francuskimi próbami odwetu, na wiele dziesięcioleci zahamowały rozwój światowego handlu, a w samej Wielkiej Brytanii doprowadziły do trwałych i fatalnych – jak się okazało – wypaczeń struktury rodzącej się

właśnie gospodarki przemysłowej. Wielka Brytania na darmo poświęciła swoją osiemnastowieczną „wspaniałą izolację” i weszła w rolę sponsora kontynentalnej krucjaty bez celu. Udzielane przez nią szczodre subsydia zakonserwowały jedynie kilka zbankrutowanych tyranii, które dzięki angielskiej gotówce mogły spokojnie zmasakrować Polaków i rozdzielić między siebie ich państwo, zachować swoje anachroniczne, w pełni dojrzałe do zniszczenia systemu społeczne oraz opóźnić na całym kontynencie narodziny społeczeństw opartych na prawach człowieka. Pitt trafnie zauważył w okresie negocjowania traktatu handlowego z Francją: „Przekonanie, że jakkolwiek naród mógłby niezmiennie pozostawać wrogiem drugiego, było nieuzasadnione i dziecinne. Pogląd taki nie znajduje uzasadnienia ani w doświadczeniu narodów, ani w historii ludzkości”. Jednakże w miarę trwania wojny tego rodzaju „nieuzasadnione i dziecinne” opinie zaczęły dominować w angielskim życiu publicznym. W czerwcu 1808 roku George Canning, minister spraw zagranicznych, oświadczył w Izbie Gmin: „Będziemy kierować się zasadą, że każde państwo europejskie, które zaczyna z pełną determinacją stawiać opór Potędze będącej – niezależnie od tego, czy proponuje podstępne układy, czy wypowieda otwartą wojnę – wspólnym wrogiem wszystkich narodów, staje się automatycznie, i to niezależnie od tego, jak obecnie kształtują się jego polityczne stosunki z Wielką Brytanią, naszym podstawowym sprzymierzeńcem”. Opór wobec „wspólnego wroga”, mówił dalej, a nawet interesy takich sprzymierzeńców miały mieć pierwszeństwo wobec „interesów specyficznie brytyjskich”.

I tak, skandalicznie ignorując interesy Anglików – często w jawnej wobec nich opozycji – Wielka Brytania uczyniła siebie samą więznię sporów ideologicznych na kontynencie. Ostrożny, acz obiecujący liberalizm młodego Pitta zmieniał się w samonapędzający się konserwatyzm kolejnych prawicowych koalicji, nastawionych wyłącznie na wojnę w polityce zagranicznej i represje w polityce wewnętrznej. Zniszczenie napoleońskiego reżimu stało się jedynym, obsesyjnym celem angielskiej polityki, która w końcowym okresie zmagania znalazła się niemal niepodzielnie w rękach dwu anglo-irlandzkich awanturników, Wellingtona i Castlereagha, wywodzących się z arystokracji angielskich kolonistów w Irlandii – najbardziej zachowawczej klasy społecznej na Wyspach Brytyjskich. Obaj, z racji temperamentu, przekonań i osobistych interesów, byli zwolennikami kontynentalizmu. W polityce wewnętrznej kierowali się tym samym zabobonnym lękiem przed demonem demokracji, który dyktował poczynania europejskich autokratów, i w tym przymierzu najzacieklejszych obrońców przywilejów prawdziwe interesy Anglii poszły w zupełne zapomnienie. W styczniu 1814 roku, przy okazji traktatu z Chaumont, Castlereagh sformułował ideę współpracy wielkich mocarstw ponad głowami poszczególnych narodów. Każde z mocarstw miało wystawić w tym celu 150 tysięcy żołnierzy, a Wielka Brytania

dodatkowo wyłożyć pięć milionów funtów. Castlereagh z radością witał to gigantyczne marnotrawstwo angielskiej krwi i bogactw: „Cóż za niezwykły pokaz siły! Myślę, że to położy kres wszystkim wątpliwościom co do tego, czy mamy prawo wypowiadać się w sprawach kontynentu”. Po wojnie zaś zagwarantuje utrzymanie „porządku rzeczy”. Na czym wskaże polegał ten „porządek”? Burboni w Paryżu, Habsburgowie w Wiedniu, Romanowowie w Sankt-Petersburgu, Hohenzollernowie w Berlinie. Wielka Brytania nie odniosła żadnych korzyści ani z tej wojny, ani z pokoju, wyjąwszy ewentualne członkostwo w międzynarodowym systemie ochronnym przeciw rewolucji, takim, do jakiego zawsze dążyły nieliczne kręgi angielskich kontynentalistów – na szczęście na próżno. Jedyne realne korzyści z wojny wyciągnęły Prusy, którym Castlereagh świadomie zapewnił dostęp do Renu, siejąc w ten sposób ziarno przyszłej dominacji Prus w Europie centralnej. Anglia z wielkim talentem potrafi powoływać do życia nowe monstra – tylko po to, by zgnieść te, które i tak już są skazane na zagładę.

Kontynentalizm za granicą oznaczał kontynentalizm w polityce wewnętrznej. Kres inflacyjnej gospodarki pieniężnej czasu wojny przyniósł załamanie płac, potężne bezrobocie, Prawa Zbożowe [cła na zboże z importu], które miały zagwarantować utrzymanie wysokich cen żywności, a tym samym dochodów klasy rządzącej, protesty robotników przemysłowych, po raz pierwszy ogarniające cały kraj, represyjne ustawodawstwo, masowe wyroki śmierci i zsyłki do kolonii, masakrę biedaków dokonaną przez kawalerię w Manchesterze [tzw. Peterloo – szydercza aluzja do bitwy pod Waterloo]. Anglia zaczęła do złudzenia przypominać Irlandię, dobrze znaną Wellingtonowi i Castlereaghowi, jednakże Anglicy nie mogli zaakceptować takiej Anglii. W Izbie Gmin znaczna, przestraszona większość wciąż popierała politykę rządu – za rządowym wnioskiem o zaniechanie śledztwa w sprawie masakry w Peterloo głosowało 243 członków Izby; zrozpaczeni liberałowie nie dostrzegali żadnej rysy w cynicznym, jednolitym froncie, jaki torysowska oligarchia prezentowała coraz bardziej wzburzonemu społeczeństwu. „Oto nasi panowie! – pisał Sydney Smith – [...] zawsze okazuje się, że jest dwadzieścia [głosów] do jednego przeciwko narodowi. Powiadają (jeśli uwierzyć opozycji), że nie ma nic trudniejszego, niż zastraszyć cały naród, tymczasem w rzeczywistości nie ma nic łatwiejszego, o czym dobrze wie wielki artysta, lord Castlereagh”.

A jednak z czasem potężny obóz reakcji osłabł od wewnątrz. Jego działania były podporządkowane wydarzeniom we Francji. „Wszystko – pisał później Alexander Cockburn – miało związek z rewolucją we Francji, która przez dwadzieścia lat była, nawet jeśli tylko nadano jej taką rolę, tak czy inaczej, wszystkim”. Jednakże odgłos wózków wiozących skazańców na gilotynę znikł w oddali i lęki przed Francją stawały się coraz bardziej jałowym kapitałem politycznym. Rząd nadal odwoływał się do spiskowej teorii dziejów. „Usychają, wręcz konają z tęsknoty za jakimś spiskiem” – pisał Cobbett. Wellington, człowiek skłonny

do ulegania histerycznym omamom, obawiał się buntu w gwardii. Castlereagh rozumował coraz bardziej w kategoriach przemocy, żyjąc całkowicie w świecie fikcyjnych doniesień tajnych informatorów. Na wieść o tym, jakoby Arthur Thistlewood zamierzał ze swymi towarzyszami zamordować cały gabinet ministrów podczas obiadu u lorda Harrowby, Castlereagh zaproponował, żeby obiad odbył się zgodnie z planem, a uzbrojeni po zęby ministrowie dadzą zbrojny odpór wdzierającym się zamachowcom. Plan odrzucono z nie tajonym zdumieniem. Castlereagh zażywał już wówczas eter przed każdą mową w Parlamencie (podobnie jak jego szef, lord Liverpool). Jego umysł zmierzał nieubłaganie ku szaleństwu, a do obaw przed spiskami politycznymi dołączyło się teraz maniackalne przekonanie, że jest szantażowany jako homoseksualista. Część jego kolegów z gabinetu zaczęła już poszukiwać jakiegoś wyjścia z impasu jego polityki.

Na pierwszy ogień poszedł kontynentalizm w polityce zagranicznej. Castlereagh pragnął, aby stworzony przez niego system konferencji przyczynił się do powstania zjednoczonej, reakcyjnej Europy: statycznej konfederacji, wysterylizowanej z wszelkich zarodków radykalizmu; widział w nim „nowy wynalazek w europejskim systemie rządów [...], dający radzie Wielkich Mocarstw skuteczność i nieomal prostotę działania jednego państwa”. Oto znów wracał stary rzymski sen, który wypiarze tylekroć już odrzucali w swoich dziejach. Spośród pozostałych członków gabinetu tylko Wellington zdradzał pewien entuzjazm. Większość podzielała pogląd Greville'a: „W rezultacie jego polityki zostaliśmy, jak nigdy dotąd, wmieszani w sprawy kontynentu, co pociąga za sobą nie kończące się negocjacje i ogromne wydatki”. Ku wściekłości Castlereagha, ekscentryczny car Rosji zdołał skutecznie ośmieszyć jego idee swoimi dziecinnymi pomysłami Świętego Przymierza wszystkich autokratów: katolickich, prawosławnych i protestanckich, wywołując zarazem atawistyczne obawy nawet wśród angielskich ministrów. W roku 1818 pod presją kolegów z gabinetu Castlereagh musiał wystosować protest wobec rosyjskiej propozycji interwencji przeciw rewolucji w Ameryce Łacińskiej, a w 1820 roku zabroniono mu wzięcia udziału w konferencji w Troppau, na której monarchowie przyznali sobie prawo narzucania porządku nieposłusznym narodom. Co więcej, został nawet zobligowany do wydania oświadczenia gabinetu otwarcie odrzucającego tę doktrynę, z wyjątkiem sytuacji samoobrony. Zwierzył się rosyjskiemu ambasadorowi, że serce mu krwawiło, gdy pisał te słowa, co jednak nie do końca było zgodne z prawdą: mocniejsze *passusy* z całą pewnością wyszły spod pióra jego wroga Canninga. Gdy dwa lata później przeciął sobie szczyrykiem tętnicę szyjną, jego polityka była już dawno martwa. W ten sposób Anglicy na sto lat uniknęli pułapki kontynentalizmu – dopóki nie zostali podstępnie wciągnięci w Wielką Wojnę [pierwszą wojnę światową].

Załamaniem się kontynentalnego skrzydła reakcyjnej konstrukcji politycznej nieuchronnie zagroziło jej podstawom w samej Anglii. Przy rosnącym poparciu

społeczeństwa Canning zwrócił się ku prowadzonej w duchu Cromwella i Chatham (Pitt ojciec) polityce ochrony brytyjskich interesów w skali globalnej (*Big Englandism*), utrzymując dzięki królewskiej marynarce przewagę militarną na morzach, a w tym czasie konstytucjoniści [wigowie] pokonali reakcyjnych ortodoksów i stworzyli obskurantcki świat na angielskie towary i idee. Trudno było pogodzić tak ożywiony liberalizm w polityce zagranicznej z utrzymywaniem stanu obłączenia w kraju. Ostatni etap drogi ku reformie, choć nareszcie stanęła otworem, znów zdominowały jednak typowo angielskie paradoksy.

Do powstania pierwszego z nich wybitnie przyczynił się Henry Brougham, jedna z wielkich, zapoznanych postaci dziejów Anglii. Ten wykształcony w Szkocji prawnik, szlachcic z Westmorland, był zdecydowanie najzdolniejszym politykiem swojej generacji. Niemniej, dzięki zdolności wyjątkowego irytowania nawet najgorętszych wielbicieli, zdołał pogrzebać swe osiągnięcia pod lawiną złośliwych anegdot, półprawd, oszczerstw i szkodliwych fikcji, tak że w efekcie historyk musi przedrzeć się przez prawdziwe rumowisko, zanim uchwyci fakt, iż Brougham był największym radykałem swojej doby i prawdziwym architektem wieku reformy. Jakimukolwiek aspektowi wiktoriańskiej rekonstrukcji przyjrzelibyśmy się z bliska, okaże się, że Brougham był pierwszy – wyprzedzał innych o kilkadziesiąt lat. Jego pomysły już przed bitwą pod Waterloo zapowiadały epokę Gladstone'a. Powszechna edukacja, świeckie uniwersytety, wolności osobiste, reforma prawa karnego, powszechne prawa wyborcze, współczesny styl prowadzenia kampanii wyborczej, wolność handlu – był pionierem w każdym z tych zagadnień. W roku 1812 pokonał rząd w sprawie nieszczęsnych *Orders in Council**; wprowadzić za późno, by zapobiec wojnie z Ameryką, gdyż wieści o ich odwołaniu nie dotarły w porę do Waszyngtonu, ale wystarczająco zdecydowanie, by umożliwić szybkie zawarcie pokoju. Było to pierwsze znaczące zwycięstwo wigów od lat. W roku 1820 Brougham przekształcił wigów w partię cieszącą się masowym poparciem. W tym celu posłużył się wszakże bardzo tradycyjnym narzędziem angielskiej opozycji, wykorzystując rozdźwięki w rodzinie królewskiej. Walczył więc o reformę w zgodzie z tradycyjnymi regułami gry polityki angielskiej.

W XVIII wieku opozycja nie miała szans pokonać rządu w wyborach powszechnych. Jej jedyną nadzieją na zdobycie znaczenia, nie mówiąc o władzy, było skupienie się wokół osoby następcy tronu. To właśnie fakt, że przez pierwsze dwa dziesięciolecia panowania Jerzego III nie było dorosłego dziedzica korony, skłonił wigów do eksperymentów z opozycją opartą na zasadach politycznych. Wszelako gdy tylko książę Walii osiągnął pełnoletniość, automatycznie

* Były to rozporządzenia Tajnej Rady lub rządu wydawane w imieniu monarchy; *Orders* z roku 1807 nakazywały wszystkim statkom państw neutralnych, zmierzającym do i z portów zajętej przez Napoleona Europy kontynentalnej, opłacanie cła i wykupywanie licencji na przewożone towary pod groźbą utraty ładunku; było to narzędzie wojny ekonomicznej z Francją (przyp. tłum.).

zajął miejsce patrona opozycji. W roku 1810, gdy jego ojciec nieodwołalnie pograżył się w szaleństwie, Regent był już jednak za stary i zbyt konserwatywny, by tańczyć wigowskiego menueta; jego mentor, Fox, już nie żył i po dwóch latach jałowych negocjacji przyszedł Jerzy IV ostatecznie zdecydował się pozostać przy torysowskich ministrach. Oznaczało to koniec tradycyjnej linii polityki wigów. Regent nie miał syna z prawego łoża, z którym mógłby się poróżnić. Na szczęście dla wigów miał jednak żonę, z którą żył w separacji, a jej prawnikiem był właśnie Brougham. Karolina była kobietą niesympatyczną i bez wątpienia zdradzała męża. Regent przez lata usiłował się z nią rozwieść, jednak sam był zbyt jawnym rozpustnikiem, a do tego prawdopodobnie także bigamistą. W dodatku ostatnia podjęta przez niego próba uzyskania rozwodu wypadła akurat w krótkim okresie, gdy torysi znajdowali się w opozycji, toteż Percival i Eldon stanęli wówczas po stronie królewskiej małżonki – wysmażyli nawet złożoną przez nią deklarację niewinności, którą następnie, po dojściu do władzy, unieważnili mocą sądowego nakazu. Wszyscy mieli więc niezbyt czyste ręce. Gdy Jerzy zasiadł w końcu na tronie w roku 1820, po prostu nie zgodził się na koronację Karoliny, a do tego, wbrew radom gabinetu i biskupów, kazał usunąć jej imię z liturgii kościoła anglikańskiego, pragnąc uniknąć w ten sposób, jak twierdził, świętokradztwa, jakim byłoby zwracanie się do ludu, żeby się za nią modlił.

Tęgo było za wiele nawet dla Anglików, nawykłych wszak do tradycji państwowej hipokryzji. Anglikanie prywatnie, dysydenci i katolicy publicznie modlili się za niešťczęsną kobietę z entuzjazmem i zapałem, które niewiele miały wspólnego z religią. Co gorsza, torysowscy ministrowie pod wpływem logiki wypadków i histerycznego monarchy musieli teraz zwrócić się do Izby Lordów o oficjalne stwierdzenie, że Karolina dopuściła się cudzołóstwa ze swym słuźącym Bergamim i że w związku z tym jej małżeństwo jest nieważne. Dla Broughama, największego prawnika i mówcy swojej doby, trudno było o wspanialszą okazję: monumentalny proces państwowy, skupiający na sobie uwagę całej opinii publicznej i prasy, w sytuacji gdy miał za sobą zdecydowane poparcie społeczeństwa, a królewscy ministrowie znajdowali się w kompletnej rozsypce. Prywatnie uważał, że Karolina jest winna. Ale oczywiście, całkowicie zasadnie, nalegał, aby zostało to udowodnione w sądzie, wiedząc, że to niemożliwe. Jak pokazał przypadek Katarzyny Aragońskiej, Anglicy zawsze stawali po stronie skrzywdzonej królowej, nawet ze szkodą dla swoich interesów; Brougham dorzucił do tego kapitału potężnych emocji równie potężną siłę angielskiej ksenofobii. Wszyscy bez wyjątku świadkowie strony rządowej byli Włochami, a Włosi w powszechnej opinii uchodzili za sprzedajnych kłamców – co zresztą w tym przypadku rzeczywiście było prawdą, wiedziano bowiem, że zostali przekupieni. W krzyżowym ogniu pytań najważniejszy z nich, Theodore Majocchi, musiał całkowicie skapitulować wobec popisu adwokackiej swady i bezwzględności Broughama. Kompletnie zdemoralizowany, trzęsący się ze

strachu nieszczęśnik co najmniej 87 razy powtórzył: „*Non mi ricordo*” [wł.: Nie pamiętam], często w odpowiedzi na pytania, na które we wcześniejszych zeznaniach ze swadą udzielał barwnych odpowiedzi. Anglicy z rozkoszą podchwycili to wyrażenie i jeszcze pięćdziesiąt lat później budziło ono śmiech w londyńskich salonach i pubach. Końcowa mowa obrończa Broughama – w zgodnej opinii ludzi, którzy słyszeli Foxa, Pitta, Sheridana czy Burke’a w ich najlepszym okresie – została uznana za najwspanialszą, jaką kiedykolwiek słyszano. Z wyrafinowanym i mistrzowskim cynizmem konkludował: „Było wołą Kościoła i Króla, aby pozbawić Królową stosownych uroczystych obrzędów. Zamiast tych ceremonii ma teraz za sobą płynące z głębi serca modlitwy całego narodu”. Brougham zjednoczył w ten sposób społeczeństwo przeciw rządzącemu establishmentowi. I choć kwestia dotyczyła głównie świata wielkiej polityki, wykraczała zarazem poza nią, dotykając spraw istotniejszych. Pozostawało bowiem jeszcze proste pytanie o rację, które każdy człowiek mógł sam rozstrzygnąć w swoim sumieniu, i już nie można było ludzi opowiadających się za królową (a tym samym za opozycją) oskarżyć o nielojalność wobec monarchii, brak patriotyzmu albo dążenie do obalenia prawa i konstytucji. Nie można przecież wystać kawalerii przeciw tłumowi wznoszącemu okrzyki na cześć królowej. Cały rządowy aparat represji nagle okazał się zupełnie nieprzydatny. Nastroje ulicy zbiegły się z głosami opinii publicznej. W Eton ziomkowie Karoliny stoczyli walną bitwę z wiernymi królowi uczniami sławnej szkoły. Greville notował: „Odkąd żyję na świecie, nie pamiętam, by jakaś kwestia tak bez wyjątku zajmowała powszechną uwagę, tak całkowicie pochłaniała ludzkie myśli i zdominowała konwersację”. Po raz pierwszy zwycięzcę spod Waterloo powitały gwizdy i jawnie nieprzyjazny tłum niemal ściągnął go z konia. Torysowski członek Parlamentu Edward Wilbraham zaniepokojony pisał do lorda Colchestera: „Radykalizm przybrał postać sympatii dla królowej i porzucił swą dawną formę”. Ministrowie, przerażeni kurczącą się większością w Parlamencie, pośpiesznie wycofali projekt uchwały rozwodowej. Brougham stał się najpopularniejszym człowiekiem w królestwie. Liczne miasta przesłały mu w złotych szkatułach akt nadania obywatelstwa, a dziesiątki pubów przemianowano na jego cześć na Brougham’s Head. Dając wigom lekcję zdobywania szerokiego poparcia oraz skupiając niezadowolone społeczeństwo i klasę rządzącą z kursu wiodącego ku nieuchronnej kolizji w stronę pokojowej reformy. Proces Karoliny przeciął ostatnie więzy między opozycją a rodziną królewską, zastępując je więzami trwalszymi – z narodem. I w ten sposób niedorzeczny incydent wyznaczył istotną cezurę w politycznych dziejach kraju, a niewiele znacząca kobieta wniosła cenny wkład do historii Anglii.

Lekcja nie umknęła uwadze także co bardziej inteligentnych torysów. Co raz wyraźniej zdawali sobie sprawę, że polityczna władza Korony słabnie i że,

jeśli pragną przetrwać, muszą dojść do zgody z opinią publiczną. W latach dwudziestych XIX wieku torysowski monolit pękł na dwie części. Politycy o skłonnościach bardziej liberalnych – Canning, Goderich, Palmerston, Grant, Huskisson – zaczęli przesuwac się w stronę obozu wigów, pozostawiając Wellingtona i Peela na coraz bardziej pograżającym się wraku reakcji*. Jednakże aby zakończyć to półwiecze paraliżu, potrzeba było jeszcze jednego paradoksu. W roku 1800 Pitt obiecał Irlandczykom, że usunie prawną dyskryminację katolików za cenę unii z Anglią: król zmusił go wówczas do wycofania się z tej propozycji. I właśnie kwestia emancypacji katolików dzieliła w największym stopniu liberałów od ultratorysów, z Peelem i Wellingtonem w roli sakramentalnych strażników sprawy protestanckiej. W roku 1829, zaniepokojeni głośnym sukcesem wyborczym Daniela O'Connora w wyborach uzupełniających w Clare County – w myśl obowiązującego prawa mimo zwycięstwa nie mógł zasiąść w Parlamencie – oraz przerażeni perspektywą masowego powstania Irlandczyków (dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy z trzydziestotysięcznej armii stacjonowało w Irlandii lub na wybrzeżach brytyjskich), ultratorysowscy ministrowie nagle zmienili front i rządowe zastępy przeprowadziły w Parlamencie polityczną emancypację katolików. Była to jawna, niczym nie osłodzona zdrada wobec protestanckich dżentelmenów z tylnych ław parlamentarnych, którzy zareagowali gwałtownym oburzeniem. Nagle doznali objawienia: to przecież właśnie stary, skorumpowany system, przez dziesięciolecia tuczony ich milczącymi głosami, umożliwił tak zdradziecki obrót wypadków; to właśnie członkowie Izby z *pocket boroughs* i parowie, do których należały, przeprowadzili ustawę emancypacyjną i zasilili szeregi zdradzieckiej armii Wellingtona. Co więcej, po zniesieniu prawnych restrykcji nic już nie mogło przeszkodzić bogatym papistom w kupieniu sobie miejsc w Parlamencie i obaleniu całego kompromisu anglikańskiego. Dżentelmeni z prowincji wreszcie dostrzegli sens reformy! W ten sposób, jak na ironię, okazało się, że ekstremiści z obu stron mają wspólne interesy i projekt reformy parlamentarnej został wysunięty wspólnie przez ultra-

* Brougham przez wiele lat dowodził, że reformatorzy mogą dojść do władzy jedynie dzięki rozłamowi w szeregach torysów. Dzięki jego argumentacji w wyborach w roku 1826 wielu wigów popierało liberalnych torysów i *vice versa*. Brougham konsekwentnie walczył z władzą wielkich rodów arystokratycznych, występując jako rzecznik opinii szeregowych parlamentarzystów, zwłaszcza w trakcie negocjacji zmierzających do uformowania rządu Canninga w roku 1827; jest niemal pewne, że to on był autorem artykułu wstępnego w „The Times” z 16 kwietnia 1827 roku, wskazującego, że zgodnie z prawem władza w kraju spoczywa nie w rękach wielkich rodów, ale Króla, Lordów i Gmin zgromadzonych w Parlamencie. Brougham ostatecznie poświęcił swoją karierę polityczną w roku 1830, przyjmując stanowisko kanclerza; przekonano go, że jeśli odmówi, Grey zrezygnuje z misji tworzenia rządu i reforma parlamentarna zostanie odłożona na następne 25 lat. Jednak gdyby Brougham pozostał w Izbie Gmin, z pewnością zostałby premierem, przyspieszając epokę reform w duchu Gladstone’a o jedno pokolenie. Por. Chester New, *Life of Henry Brougham to 1830*, Oxford 1961.

torysowskiego markiza Blandford i samego O'Connora. Śmierć nieszczęsnego Jerzego IV przyśpieszyła wybory powszechne. Brougham w trakcie kampanii w Yorkshire przemawiał do tłumów liczących dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy osób – był to przedsmak kampanii w Midlothian prowadzonych pół wieku później [kampanie Gladstone'a przed wyborami w roku 1880]. W lipcu 1830 roku Francuzi, tym razem bezkrwawo, obalili Bourbonów, tak więc przynajmniej raz wydarzenia po drugiej stronie Kanału działały przeciw brytyjskiej reakcji; w listopadzie rozżłoszczeni ultratorysi wyrzucili Wellingtona. I w ten sposób ostatni fragment układanki trafił na swoje miejsce: teraz, gdy pełnia władzy znalazła się w rękach wigów, reforma – taka czy inna – stała się nieuchronna. Mówiąc słowami Macaulaya: „Znam tylko dwa sposoby rządzenia społeczeństwem – za pomocą opinii publicznej albo miecza”.

Wielka reforma parlamentarna (*Great Reform Bill*), podobnie jak *Magna Charta*, powstawała w pośpiechu, a wprowadzano ją w atmosferze zamieszania. W dużej mierze za sprawą przypadku okazała się cudem angielskiej inżynierii społecznej, sławnym pozornym zwycięstwem społeczeństwa. Podwoiła liczbę uprawnionych do głosowania, rozdzieliła na nowo jedną trzecią miejsc w Izbie Gmin i zrjonalizowała kryteria cenzusu wyborczego. Była więc wystarczająco radykalna, by skłonić torysów do zajadłego oporu, a tym samym by wzbudzić w nieświadomym społeczeństwie przekonanie, że obdarzono je czymś niezwykle cennym. W rzeczywistości była bardzo nieśmiała w porównaniu z projektem, jaki jej architekt, lord Grey, proponował niemal czterdzieści lat wcześniej. Zręcznie opóźniła nadejście epoki powszechnych praw wyborczych o następne pięćdziesiąt lat. Przyznając bowiem znaczącej części klasy średniej prawo wstępu do fortecy państwa własności prywatnej, a tym samym poważnie wzmacniając siłę jej garnizonu, równocześnie zatrzasnęła drzwi przed robotnikami. Żaden z nich nie uzyskał prawa głosu, a tym, którzy je dotąd posiadali, zostało odebrane. Za cenę minimalnych ustępstw, które miały zażegnać nadejście rewolucji, reforma skutecznie wytrąciła miecz z ręki zarówno siłom reakcji, jak i siłom demokracji. Nic dziwnego więc, że, wzięwszy pod uwagę instynktowny konserwatyzm angielskiego społeczeństwa i wielowiekowe doświadczenie właścicieli ziemskich w wykorzystywaniu go do własnych celów, ci ostatni bez trudu zdołali obrócić jej zapisy w nonsens. *Gentry* opanowała nowe *boroughs* dokładnie tak samo jak jej przodkowie opanowali w XV wieku stare. Przeprowadzona w roku 1867 szczegółowa analiza pochodzenia społecznego i powiązań członków Parlamentu wykazała, że zmiany w jego społecznym składzie, jakie zaszły w ciągu minionych 35 lat, są niemal niedostrzegalne: „element arystokratyczny” wciąż posiadał 326 miejsc – ponad połowę – i były one równo rozdzielone między dwie wielkie partie. W istocie beneficjenci starego systemu jeszcze skuteczniej opanowali nowy, gdyż dzięki usunięciu jawnych anomalii starego systemu, nowy był dużo mniej narażony na frontalną krytykę.

W ten sposób klasy posiadające odebrały cenną lekcję konsolidacji szeregów za pomocą reformy, wyznaczając nowoczesny kształt brytyjskiego życia politycznego. Co więcej, zastrzyk świeżej krwi, który postawił ustroj polityczny ponownie z głowy na nogi, umożliwił, jak zobaczymy, proces systematycznego unowocześniania rozmaitych instytucji, który w końcowym rezultacie *per saldo* doprowadził do znacznego wzmocnienia pozycji klas uprzywilejowanych. W następstwie reformy parlamentarnej z roku 1831 siły reakcji przegrały bitwę, ale konserwatyzm wygrał wojnę.

Fakt, że Anglicy uniknęli w początkach XIX wieku poważnego kryzysu politycznego, jest tym bardziej godny uwagi, że angielskie społeczeństwo przeżywało właśnie okres niezwykle burzliwych i głębokich przemian gospodarczych i społecznych. Angielska rewolucja przemysłowa z lat 1780–1820 stanowi wielki przełom w dziejach ludzkości. Wyzwoliła ludzkie ciało, podobnie jak reformacja wyzwoliła niegdyś ludzki umysł. W istocie między tymi dwoma procesami zachodziły bardzo bliskie związki. To przecież dzięki temu, że Anglicy zdołali wyrwać się spod władzy Rzymu i odrzucić jego statyczny obraz świata, Bacon dostrzegł perspektywę odwrócenia procesów zapoczątkowanych przez biblijny Upadek, przepowiadając, że człowiek podbije wrogie i nieprzychylnie sobie środowisko. Bacon spodziewał się, że ten zdumiewający proces dokona się bardzo szybko i miał pełne prawo tak sądzić, pisząc u progu wielkich wydarzeń. Po upadku angielskiej republiki proces przemian biegł niewątpliwie wolniej, jednak już nikt nie był w stanie go zatrzymać. I rzeczywiście, już w połowie XVI wieku możemy dostrzec początek łańcucha doniosłych wydarzeń, które przesądziły o kształcie naszej rzeczywistości.

Dzięki położeniu geograficznemu Anglia zawsze znajdowała się zdecydowanie na uboczu kontynentalnego tygla narodów, które, choćby z racji bezpośredniego sąsiedztwa i licznych wzajemnych powiązań, były skazane na dominację sił zachowawczych. Kanał obdarzał Anglików pewną eklektyczną swobodą w przejmowaniu idei z kontynentu; mogli wybierać, nie można ich było przymusić gwałtem. Anglia mogła więc odseparować się od Europy znacznie wcześniej, a wtedy film dziejów świata pobiegłby w szybszym tempie. Tak czy inaczej, gdy wreszcie do tego doszło, było to wydarzenie, które odegrało w historii powszechnej rolę decydującą. Rewolucja religijna umożliwiła rewolucję w dziedzinie edukacji – nie tylko pod względem społecznego zasięgu, ale także w zakresie treści. Nowy typ edukacji zrodził z kolei pierwszą rewolucję naukową i to właśnie wpływ naukowego racjonalizmu na społeczeństwo zaowocował polityczną i ustrojową rewolucją z lat czterdziestych XVII wieku. Od

tego momentu datują się także rewolucyjne przemiany w rolnictwie, które pozwoliły ostatecznie zerwać z produkcją rolną wyłącznie na potrzeby własne oraz umożliwiły handlową i finansową rewolucję z końca XVII wieku. Z kolei połączenie takich czynników, jak napływ taniego pieniądza, stabilność kredytu, szybki wzrost obrotów światowego handlu oraz, co nie mniej ważne, powstanie wyrafinowanego rynku zbytu na towary konsumpcyjne w samej Anglii, przyczyniło się do powstania w latach osiemdziesiątych XVIII wieku rewolucyjnego połączenia kapitału i technologii, które przybrało postać masowej produkcji towarów na potrzeby rynku za pomocą maszyn napędzanych energią przyrody. Te przeobrażenia gospodarcze, którym towarzyszyła administracyjna rewolucja w centralnych organach rządu, wyznaczyły z kolei kształt rewolucji społecznej XIX i XX wieku. Po drodze skończyła angielska religia: Bóg reformacji nie dożył chwili, w której mógłby ujrzeć własne dzieło. Niemniej to właśnie On był pierwszym poruszycielem tego całego procesu. Wszystkie nowoczesne wcielenia Dobrej Nowiny – czy to według Marksa, Mao Tse-tunga, czy Keynesa – stanowią zawsze w prostej linii intelektualne dziedzictwo Biblii protestantów. A gdzieś w tle za tym wszystkim unosi się tajemniczy i szyderczy uśmiech Pelagiusza.

W początkach lat osiemdziesiątych XVIII wieku, gdy wszystkie wskaźniki ekonomiczne nagle skoczyły ostro do góry, Anglia znalazła się w wyjątkowo korzystnej sytuacji. Wprawdzie w różnych miejscach na kuli ziemskiej także występowały już niektóre czynniki umożliwiające proces transformacji gospodarki, jednak tylko w Anglii istniały wszystkie na raz. Ten „cud” dojrzewał przez 150 lat lub – by użyć nieco innej metafory – kumulowanie się konwencjonalnych czynników wzrostu gospodarczego sprawiło, że pod koniec XVIII wieku osiągnęły stan „masy krytycznej” i nastąpiła eksplozja. Jednym z zagadnień, których nie zdołało rozwiązać społeczeństwo rzymskie, średniowieczne i renesansowe, był problem, w jaki sposób zapewnić zarazem bezpieczeństwo i rentowność długoterminowych inwestycji w rolnictwie. Chodziło o problem natury bardziej prawnej niż ekonomicznej, nie można było bowiem zgromadzić niezbędnego kapitału ani sensownie go wykorzystać, dopóki nie pojawiły się, korzystne dla obu stron, prawne formy zabezpieczenia wiarygodności w postaci długów hipotecznych oraz gwarancje zachowania w procesie dziedziczenia integralności majątków ziemskich. Triumf znawców *common law* z lat czterdziestych XVII wieku przyniósł dwojakiego rodzaju rozwiązanie. Z jednej strony zabezpieczenie praw realnych na nieruchomości stwarzało gwarancje, że odpowiednie majątki ziemskie będą przechodziły nienaruszone z pokolenia na pokolenie, z drugiej – możliwość wykupu długu hipotecznego przekształcała hipotekę w bezpieczną formę inwestowania i źródło regularnego dochodu, a równocześnie godny poszanowania sposób gromadzenia kapitału na niezbędne inwestycje. Nie trzeba już było zakopywać pieniędzy w ziemi, a właściciele majątków nie musieli sprzedawać gruntów, żeby zebrać niezbędną gotówkę. Te proste, ale

oryginalne i wyjątkowo skuteczne narzędzia prawno-ekonomiczne przyniosły szybki i stały wzrost produkcji oraz wydajności pracy w rolnictwie. Napływ wolnej gotówki sprawił, że zaczęto na szeroką skalę wykorzystywać istniejącą już wiedzę na temat upraw, która dzięki licznym broszurom i książkom znajdowała się w obiegu już od lat czterdziestych XVII wieku, udoskonalaną następnie w drodze praktycznych eksperymentów. Z początkiem lat siedemdziesiątych XVII wieku rewolucja w rolnictwie stała się faktem, dzięki czemu przez całe następne stulecie farmerzy i właściciele ziemscy mogli systematycznie korzystać z powstałych wówczas rozwiązań*. Pod uprawą znalazło się znacznie więcej ziemi; samo osuszanie terenów bagiennych zwiększyło całkowity areal upraw o 10%. Ogradzania (*enclosures*) gruntów gminnych, aktywnie wspierane przez zdominowany przez *gentry* Parlament [formalnie przeprowadzenie ogradzania wymagało uchwały Parlamentu], zakończyły zapoczątkowany pod koniec XIV wieku, po przejściu „czarnej śmierci”, proces przekształceń struktury angielskiego rolnictwa, wyznaczonej przez trzy warstwy: właściciele ziemskich, farmerów-dzierżawców oraz pozbawionych ziemi robotników rolnych. Ogradzania niosły ze sobą wiele niesprawiedliwości i okrucieństw (podobnie jak w XIX wieku dużo gwałtowniejsze procesy na wyżynach szkockich i w Irlandii), albowiem pozbawiały szerokie masy biedoty wiejskiej dodatkowych, ubocznych źródeł pożywienia i dochodów, uzależniając je niemal całkowicie od płacy za pracę najemną. Jednakże z drugiej strony często po prostu ujawniały istniejącą już na wsi biedę, zmuszając tym samym społeczeństwo do wspomagania ludności wiejskiej za pomocą praw o biednych (*poor law*). Było to powinnością wspólnoty parafialnej, zaakceptowaną zasadniczo już w latach trzydziestych XVIII wieku; w rejonie południowo-wschodnim i midlandach znalazła ona wyraz w niemal powszechnym przyjęciu systemu ze Speenhamland w latach osiemdziesiątych**.

Co więcej, rewolucja w rolnictwie niewątpliwie zapobiegła o wiele większym nieszczęściom niż te, które sama spowodowała, po prostu dlatego, że produkowano teraz i sprzedawano więcej żywności. Nawet pod koniec XVII wieku Anglia eksportowała zboże wartości przeciętnie 250 tysięcy funtów rocznie. Nie

* Do nowych technik należały: użytkowanie łąk zalewowych, hodowla zarodowa, melioracja, wprowadzenie poplonów w postaci rzepy i koniczyny oraz wykorzystanie naturalnych, a nawet sztucznych nawozów. Większości ogrodzeń dokonano już z końcem XVII wieku. Por. E. Kerridge, *The Agricultural Revolution*, London 1967. Produkcji na potrzeby rynku sprzyjał fakt, że w Anglii nie istniały cła wewnętrzne, dzięki czemu stanowiła największy obszar wolnego handlu w Europie, rozszerzony jeszcze przez późniejszą unię ze Szwecją.

** Był to system pomocy ubogim, przyjęty w roku 1795 przez sędziów pokoju z hrabstwa Berkshire na spotkaniu w Speenhamland. Zakładał, że każda rodzina o dochodach niższych niż ustalone minimum niezbędne do przeżycia będzie otrzymywać brakującą część pieniędzy z parafialnego podatku na ubogich (*poor rates*); system uwzględniał wzrost cen żywności (przyj. tłum.).

była to znacząca pozycja w dochodach. O wiele ważniejszy był jednak fakt, że Anglia zdołała uzyskać nadwyżkę produkcji żywności, choć równocześnie musiała wykarmić szybko rosnącą populację na wyspie. Nie wiadomo dokładnie, co spowodowało ten wzrost liczby ludności, wydaje się jednak, że było to zjawisko powszechne na obszarze kontynentu eurazjatyckiego, wynikające być może z wyjątkowo sprzyjających w pierwszej połowie XVIII wieku warunków klimatycznych. W Anglii dodatkowym czynnikiem był niewątpliwie fakt, że od końca XVII wieku nie notowano tu zarazy. Natomiast wzrost standardu życia, zwłaszcza spożycia żywności, z całą pewnością przyczynił się do spadku współczynnika śmiertelności we wszystkich grupach wiekowych, szczególnie wśród niemowląt, a także, jak się wydaje, do nieznacznego wzrostu współczynnika urodzeń. Tak czy inaczej, populacja Anglii, która w początkach XVI wieku wynosiła trzy miliony osób, w roku 1600 osiągnęła cztery miliony, by w roku 1650 dojść do pięciu i pół miliona. Do roku 1750 przekroczyła granicę sześciu milionów, a trzydzieści lat później w Anglii mieszkało już siedem i pół miliona ludzi*. Przypadki podobnego wzrostu liczby mieszkańców zdarzały się w przeszłości w różnych częściach świata, w tym w samej Anglii, i zwykle fakt, że rolnictwo nie potrafiło dotrzymać mu kroku, przynosił „naturalne” korekty w postaci epidemii głodu, zarazy czy wojen. W XVIII wieku nie były one potrzebne; powszechnie akceptowane teorie Malthusa były więc nie tyle błędne, co przestarzałe.

Angielskie rolnictwo nie tylko zdołało wykarmić rosnące masy, ale także nakarmić je lepiej. W Europie kontynentalnej czy w Irlandii zdarzały się okresowe epidemie głodu; zwłaszcza w Irlandii równie szybkemu wzrostowi populacji towarzyszyło przejście na gorszą i z powodu jednostronności niezwykle ryzykowną dietę ziemniaczaną. Tymczasem w Anglii obserwujemy stałą poprawę jakości wyżywienia. Niemal wszędzie miejsce wołów zajęły konie, które wprawdzie zjadały więcej, ale jako podstawowa siła pociągowa były cztery razy wydajniejsze. Nawet najubożsi robotnicy przrzucali się z czarnego pieczywa na białe, nastąpił też znaczny wzrost spożycia mięsa, możliwy dzięki systematycznej hodowli na potrzeby rynkowe. Bakewell z dumą i nie bez racji twierdził, że hoduje owce tyleż dla mas, co dla klas. Choć już od lat osiemdziesiątych XVIII wieku Anglia nie była w stanie eksportować żywności, jeszcze w roku 1830 około 90% nadal pochodziło z produkcji własnej. Było to zdumiewające osiągnięcie angielskiego rolnictwa: bez niego skoncentrowanie takiej liczby ludzi w nowych centrach przemysłowych byłoby po prostu niemożliwe. W XX wieku uprzemysłowieniu nieuchronnie towarzyszył całkowity upadek sektora rolnego. W osiemnastowiecznej Anglii oba sektory rozwijały się równomierne, choć znacznie spadła liczba zatrudnionych na wsi. Ten wzrost wydajności

* Podane szacunki są wciąż przedmiotem kontrowersji. Najnowszą krytyczną analizę wraz z zestawieniem konkurencyjnych wyliczeń można znaleźć w pracy L. A. Clarkson, *The Pre-Industrial Economy in England, 1500–1750*, London 1971, s. 25–41.

pracy na roli musiał stanowić niespotykane zjawisko i zwłaszcza na terenach urodzajnych – jak o tym dobitnie świadczą choćby *Rural Rides* Cobbetta – osiągnięto go za cenę niesłychanych wyrzeczeń i wysiłków. Jednakże alternatywa była jeszcze straszniejsza: powszechny głód szerokich mas ludności. Tymczasem nikt nie głodował i większość jadła nawet lepiej niż kiedykolwiek przedtem*. Wbrew temu, co niegdyś sądzili historycy, angielskie rolnictwo nie sfinansowało rewolucji przemysłowej – jak zobaczymy, nie było to wcale konieczne. Dokoła jednak rzeczy jeszcze ważniejszej: utrzymało przy życiu nowy przemysłowy proletariatus, gdyby bowiem zawiodły krajowe zasoby żywności, nie można by wówczas ratować się importem.

Nie było żadnego problemu z kapitałem na inwestycje. Anglicy zawsze potrafili oszczędzać i zawsze oszczędzali. Już od VIII wieku mieli silny pieniądz, który mimo okresowych szaleństw angielskich władców, aż do niedawna stanowił najbardziej stabilną walutę na świecie. Problem polegał na tym, jak namówić Anglików, żeby puścili swoją gotówkę w ruch – to znaczy jak zagwarantować bezpieczeństwo pożyczek w zamian za niższe zyski. I w tym przypadku decydujące okazały się lata republiki. Monarchia absolutna jest wrogiem bezpiecznego inwestowania. Stuartowie z zasady sprzeciwiali się instytucji banku centralnego jako konkurencyjnej struktury władzy i zawsze istniało ryzyko, że spróbują nie płacić swoich długów, wykorzystując atrybuty władzy wykonawczej. W rezultacie musieli pożyczać na wysoki procent (12%–20%), a ogólna stopa procentowa kształtowała się wówczas w wysokości około 10%. A mimo to nawet wtedy pieniądze kryły się pod ziemią. Okres republiki pokazał natomiast, że rząd cieszący się szerokim poparciem społeczeństwa, z oddaniem stojący na straży świętości własności prywatnej i otwarty na potrzeby kół kupieckich, może zebrać pieniądze nawet w trakcie wojny domowej, płacąc przy tym mniejsze odsetki. Kiedy w końcu wypędzono Stuartów, Anglicy szybko przypomnieli sobie tę lekcję. W roku 1694 Bank Anglii przejął funkcje City w roli głównego bankiera finansującego operacje rządu: uruchomiwszy pieniężne zasoby całego społeczeństwa, zaczął wydawać obligacje i udzielać rządowi pożyczek na 8%, z gwarancjami Parlamentu. Pożyczanie rządowi stało się więc rzeczą bezpieczną, podobnie jak – dzięki zabezpieczeniu praw na nieruchomości i długom hipotecznym – pożyczanie właścicielom ziemskim. Tak oto, w osobliwy sposób, Wielka Rewolucja [1640–1660] uratowała zarówno państwo własności prywatnej, jak i ziemiaństwo, zupełnie tak samo jak w przyszłości Roosevelt uratuje system kapitalistyczny mimo zdecydowanego oporu samych kapitalistów. Wkrótce dały o sobie znać siła i możliwości nowego systemu. Nowe techniki

* W roku 1688 Gregory King oceniał przeciętny dochód w Anglii na 8 do 9 funtów rocznie; średnia dla robotników rolnych, zagrodników i biedaków wynosiła nieco ponad 3 funty. W roku 1780, u progu rewolucji przemysłowej, dochody były dwa razy większe.

bankowe i system międzynarodowych rozliczeń położyły kres starym, prymitywnym metodom przewożenia tysięcy worków z monetami z kraju do kraju. Z kolei na rynku wewnętrznym rozwój giełdy przyczyniał się do większej mobilizacji i szybszej dystrybucji rodzimego kapitału, a wprowadzone w początkach XVIII wieku ubezpieczenia morskie zredukowały udział spekulacji w handlu dalekomorskim*. System przetrwał szczęśliwie nowe i niepokojące zjawisko krachu, jakie przyniosła afera *South Sea Bubble* (bańki mydlane Mórz Południowych), przy czym to nie Walpole opanował kryzys – system uleczył się sam, z czego wyciągnięto pouczającą lekcję, że w kraju nie mogą istnieć dwa rywalizujące ze sobą banki centralne, wspierane przez rywalizujące partie polityczne. Stopa procentowa obligacji rządowych została w roku 1727 zredukowana do czterech procent, a w 1757 roku – do trzech. W ten sposób w połowie XVIII wieku rząd dysponował wystarczającą ilością gotówki na budowę kanałów, dróg i na inne usprawnienia gospodarczej infrastruktury kraju.

Nie było problemu także z technologią. W Anglii, już na długo przed nadejściem wieku pary, używano w przemyśle zdumiewająco wielu maszyn i urządzeń. Wciąż powstawały nowe, czekając na przyszłe zastosowanie. W całym kraju były rozsiane nisze przemysłu, niektóre zorganizowane w stosunkowo spore jednostki. Manufaktury jedwabne, na przykład, już w roku 1700 zatrudniały do siedmiuset robotników. Z kolei ogromne rozmiary Londynu stwarzały konieczność rozwoju gałęzi przemysłu, zaopatrujących metropolię w rozmaite towary, a zatem nastawionych na masową produkcję i wymagających stosowania maszyn na coraz większą skalę. Londyn zużywał ogromne i stale rosnące ilości węgla, pochodzącego głównie z rejonu Newcastle; wydobywanie węgla do stolicy kształtowało oblicze nowoczesnego Newcastle już w połowie XVII stulecia. Już w roku 1654 barkarze ogłosili strajk, domagając się wyższych płac; w 1699 mieli fundusz strajkowy, a gdy ponownie zastrajkowali w 1719, dopiero regiment wojska przywrócił porządek. W połowie XVIII wieku całkowite wydobywanie węgla liczyło się już w milionach ton, a w kopalniach coraz częściej wykorzystywano siłę maszyny parowej. Główny problem procesu uprzemysłowienia polegał zawsze – polega do dziś – na dopływie odpowiedniej rzeszy wykwalifikowanych kadr do wszystkich pośredniczących technologii obróbki metalu. Wiele procesów rozwojowych w angielskiej gospodarce

* Czeki w obiegu wewnętrznym weszły do użytku około roku 1675; w transakcjach międzynarodowych rozliczenia czekowe wprowadzono po roku 1688. Por. J. Spelling, *The International Payments Mechanism in the Seventeenth and Eighteenth Centuries*, „*Economic History Review*”, 2, XIV. Procesowi temu towarzyszył szybki rozwój rządowej statystyki, zapoczątkowanej po objęciu przez ekonomistę Charlesa Davenanta stanowiska Inspektora Generalnego do spraw Importu i Eksportu; jego urząd przedstawiał informacje Skarbowi oraz świeżo powołanej Radzie Handlu. Dokładne statystyki umożliwiały powstanie rozmaitych tanich form ubezpieczeń; dość znamienne, że mniej więcej w tym okresie Anglicy przestali posługiwać się abakusem. Dalsze informacje można znaleźć w pracy P. G. M. Dickson, *The Financial Revolution in England*, 1967.

sprawiło, że w latach pięćdziesiątych XVIII wieku takich ludzi było już pod dostatkiem, przy czym między robotnikami a inżynierami nie istniały żadne bariery klasowe czy instytucjonalne, dzięki czemu przejście od manufaktury do zaawansowanej technologii fabrycznej było sprawą stosunkowo prostą. Na oczekaniu konstruowano nowe maszyny, jeden wynalazek rodził następne. Większość fragmentów układanki leżała więc gotowa, na miejscu, wystarczyło je dopasować i znaleźć brakujące części. Rozstrzygające wydarzenia nadeszły z pewnym opóźnieniem nie dlatego, że nie dysponowano odpowiednią technologią, ale dlatego, że nie było na nią popytu, a ściślej biorąc – dlatego że nie umiano dostrzec jego istnienia.

Zwiększona w XVII wieku, dzięki wprowadzonej za republiki polityce ściągania wysokich podatków, ilość pieniądza w obiegu stworzyła nowy stosunek do konsumpcji. Nawet na wsi miejsce jarmarków i targowisk zajęły sklepy sprzedające towary po stałych cenach. Ten zmierzch obwoźnego handlu znaczył w Anglii świt nowej epoki i takie właśnie znaczenie miało wyrażenie „naród sklepikarzy”, które poza tym nie ma żadnego sensu. Wprawdzie popyt na rynku krajowym nie zrodził jeszcze rewolucji fabrycznej, produkcji na masową skalę, ale przygotował dla niej grunt – producenci zaczęli rozumować w kategoriach milionów, a nie tysięcy odbiorców. Ostatecznie jednak siłą napędową wielkiego skoku z lat osiemdziesiątych XVIII wieku stanowiła przede wszystkim produkcja na eksport. Anglicy wykorzystali zrodzone w erze republiki i rozniesione po świecie przez okręty Blake’a idee merkantylizmu do stworzenia chronionych rynków zagranicznych, otwartych wyłącznie dla towarów angielskich. Toteż dopóki angielski przemysł nie okrzepł na tyle, by podjąć ryzyko wolnego handlu, królewska marynarka wojenna egzekwowała ściśle przestrzeganie zasad protekcjonizmu, po czym Anglicy sprzedali światu te nowe idee jako pierwszy artykuł wiary i moralności. Z początkiem XVIII wieku Anglicy utrzymywali już flotę na poziomie wyznaczanym przez doktrynę „podwójnego standardu” (*double standard*) [flota angielska miała przewyższać połączone siły pozostałych dwu największych potęg morskich]*. Chodziło, oczywiście, o rynki zagraniczne. W latach osiemdziesiątych XVIII wieku cztery miliony Amerykanów dysponowały siłą nabywczą odpowiadającą czterdziestu milionom Europejczyków.

* Po bitwie pod La Hogue w roku 1692 królewska marynarka była zawsze w stanie uniemożliwić francuskim koloniom uzyskanie stałej pomocy z Europy. Anglia już wtedy była czołową potęgą morską. W trakcie wojny o sukcesję hiszpańską przyjęła zasadę, zgodnie z którą Royal Navy powinna liczebnie dorównywać połączonym siłom dowolnych dwu flot wojennych lub je przewyższać. Na przykład w roku 1756 Wielka Brytania miała 130 okrętów liniowych, a Francja i Hiszpania, mimo intensywnego rozwoju floty, jedynie 63 i 46. Ten standard utrzymano do roku 1912, po czym główny cel polityki morskiej ograniczono do zachowania decydującej przewagi nad Niemcami na Morzu Północnym. W roku 1918 Wielka Brytania była wciąż największą morską potęgą świata, jednak w 1922 na konferencji w Waszyngtonie przyjęła zasadę parytetu ze Stanami Zjednoczonymi oraz proporcji 5:3 w relacjach z Japonią.

Równocześnie Anglicy otwierali sobie właśnie, dzięki bezpośredniej aneksji, wymuszonym traktatom i zdławieniu miejscowej wytwórczości, ogromny, stumilionowy rynek w Indiach. Takie było tło nagej eksplozji gwałtownych przemian w przemyśle bawełnianym, która zdominowała pierwszą fazę rewolucji przemysłowej. Bawełna, bardziej niż jakikolwiek inny produkt, kojarzyła powszechny popyt z nowymi metodami masowej produkcji. Fabryki bawełniane zaczęły wyrastać na zapleczu wielkich portów oceanicznych, ostatecznie koncentrując się w Lancashire, wokół największego z nich – Liverpoolu. W pierwszej połowie stulecia gałęzie przemysłu produkujące głównie na potrzeby rynku krajowego zanotowały wzrost produkcji rzędu 7%, pracujące na eksport – 76%; w latach 1750–1770 odpowiednie liczby wynosiły: 7% i 80%. W tym momencie rewolucja wybuchła na całego i wskaźniki dotyczące eksportu poszybowały w górę, osiągając astronomiczne wielkości, zwłaszcza w przypadku bawełny. Główne wynalazki pojawiły się w latach osiemdziesiątych XVIII wieku – w momencie, gdy rosnący popyt sprawił, że stały się nieodzowne. Nowa generacja maszyn zapoczątkowała rozwój fabryk, których wielkość i zagęszczenie, w Manchesterze i innych miastach, budziły zdumienie współczesnych. Ludzie natychmiast zrozumieli, że na ich oczach dokonuje się coś niezwykłego i nieodwołalnego i że świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Rewolucje w dziedzinie religii, polityki, nauki i edukacji przynosiły potężne zmiany w życiu ludzkim, ale w niczym nie zmieniały fizycznego kształtu rzeczywistości. Rewolucja fabryczna przekroczyła tę granicę: przynosiła namacalne świadectwa gigantycznego wzrostu, nowe kształty, kolory, zapachy; odmieniła nawet powietrze, wygląd pól i rzek, znosząc pory roku i przekształcając dawny schemat codziennej egzystencji. Przyniosła zupełnie nową psychologię rozwoju i ruchu oraz nowy kształt stosunków między człowiekiem a naturą.

A jednak, nawet jeśli Anglicy zorientowali się, że powołali do życia zupełnie nowe i niezwykłe zjawisko, nie oznacza to wcale, że rozumieli swoje dziecię albo że mieli jakikolwiek pomysł na to, jak je wychować. Prawdę powiedziawszy, uszkodzili je już przy porodzie: istota była zniekształcona i od początku cierpiała na różne dolegliwości, co się zaś tyczy jej wychowania i edukacji – nie poczyniono żadnych kroków, żeby zapewnić jej rozumny i zdrowy rozwój. Nie ma się czemu dziwić. Anglicy to ludzie pragmatyczni. Działają raczej za pomocą praktycznych posunięć niż wielkich, imponujących koncepcji. Rewolucja przemysłowa była owocem rozwiązywania, na przestrzeni kilku poprzedzających ją stuleci, tysięcy konkretnych i z osobna rozważanych empirycznych problemów, które w procesie akumulacji nagle jakościowo zmieniły sposób funkcjonowania ludzkiej gospodarki. W rzeczywistości biegła więc bez planu, chaotycznie, w atmosferze zamętu – i taka pozostała. Gdyby wydarzenia polityczne XVII wieku potoczyły się odmiennie, gdyby republika się nie załamała, gdyby Anglicy zdecydowali się świadomie kierować rozwojem swego społeczeństwa zamiast

dążyć do stabilności za cenę poddania się ślepych, tradycyjnym skłonnościom do rozwiązań ewolucyjnych – epoka przemysłowa nadeszłaby szybciej, poddana dyscyplinie przewidywania i planowania dalekosiężnych celów. Anglicy żyjący w połowie XVII wieku mieli dość odwagi i optymizmu, by świadomie podejmować wyzwanie dramatycznych wizji własnych przeznaczeń. Mieli poczucie – pewność – radykalnej odmienności swego losu. Bóg miał wobec nich wielkie plany. Nie stracili jeszcze odwagi, która pozwoliłaby im zmierzyć się z tak nowym zjawiskiem jak uprzemysłowienie, rozpoznać jego miejsce w boskich zamiarach, opanować intelektualnie rolę, jaka w związku z tym przypadła człowiekowi w dziele stworzenia Królestwa Bożego na ziemi. Rewolucja przemysłowa przyszła więc do Anglii nie za wcześnie, ale za późno. Już około roku 1700 własność zajęła miejsce moralności w roli fundamentu angielskiego społeczeństwa. W roku 1800 Bóg miał coś do powiedzenia już tylko w kościołach i kaplicach. Resztę spuścizny rozparcelowano między członków indywidualistycznego, świeckiego społeczeństwa, które kierowało się drugorzędnymi motywami i pragnieniami, zgodnie z zasadami, które choć z pozoru wydawały się racjonalne, w rzeczywistości opierały się na anarchicznych, chaotycznych zmianach. Zrobiło się za późno na to, by uchwycić bieg wydarzeń w ramy jakiejś prostej interpretacji i zgodnie z nią wpływać na jego kształt. Nieliczni, którzy próbowali jeszcze myśleć w tych kategoriach, przejawiali raczej skłonności do dostrzegania w nowym zjawisku czegoś nieprzyjemnego, a nawet sprzecznego z wolą Bożą. Milton być może powitałby fabryki z radością, jako owoc Bożej inspiracji; dla Blake'a były to już tylko „mroczne kuźnie Szatana”.

Problem polega na tym, że rewolucja przemysłowa dopadła Anglików w połowie drogi między wiarą a rozumem. Boskie prawa uległy już nieodwracalnej erozji. Nikt nawet nie próbował odwoływać się do nich w praktyce kierowania społeczeństwem przemysłowym – co najwyżej mogły posłużyć w roli środków łagodzących skutki jego funkcjonowania. Z drugiej strony, myśl, że człowiek sam odpowiada za swój los i że sam musi kształtować reguły swego postępowania, posługując się rozumem i doświadczeniem, jeszcze się nie narodziła. W tym przejściowym okresie uważano po prostu, że zasady życia społecznego wynikają automatycznie z procesów działania natury, samoczynnie się kształtują i same zmuszają ludzi do tego, żeby ich przestrzegali. A jeśli tak, to jedynym grzechem będą próby zakłócania ich naturalnego biegu. Człowiek powinien jedynie odkryć, na czym polegają. Pomysł na poły naukowy, w pewnym sensie Newtonowski; równocześnie jednak do pewnego stopnia obskurancki, ponieważ prowadził do tego, że nie odróżniano sił natury, którym trzeba się podporządkować, od sił społecznych, które można było poddać kontroli albo odwrócić kierunek ich działania. W końcu to właśnie przekonanie, że jedynym celem wysiłków intelektualnych jest interpretacja, że korpus wiedzy jest skończony

i zamknięty i że należy jedynie go oczyścić, wypreparować z osadu błędów, stanowił istotę średniowiecznego paraliżu myśli – istotę scholastyki.

Tak dochodzimy do tragedii wieku uprzemysłowienia, tragedii, którą przeżywamy do dziś. Ekonomiści, którzy przejęli rolę scholastycznych uczonych, zapomnieli – o ile kiedykolwiek mieli taką świadomość – o twierdzeniu Bacona, że po to mamy badać naturę, by nauczyć się nad nią panować. Ograniczyli się, jak niegdyś scholastycy, do dogmatycznej teologii, objaśniania praw oraz terroryzowania władz świeckich, które miały po prostu pozwolić owym prawom działać bez ograniczeń. Rewolucja przemysłowa zrodziła się w wieku pragmatyzmu; swoją zdeformowaną dojrzałość osiągnęła pod panowaniem dogmatycznej teorii, która w żadnej sytuacji nie zezwalała na sięgnięcie po pomoc leków czy chirurgicznego noża. Nieliczni, którzy mieli jakikolwiek bezpośredni kontakt z ówczesnymi wydarzeniami i usiłowali opanować je intelektualnie, by tak rzec, z punktu widzenia hali fabrycznej, dochodzili do zgoła odmiennych konkluzji. Już w roku 1815 Robert Owen w swoich *Observations on the Effect of the Manufacturing System* przepowiadał, że rewolucja przemysłowa „zrodzi godne pożałowania i trwałe, nieodwracalne szkody, o ile nie przeciwdziała się jej tendencjom za pomocą odpowiedniego ustawodawstwa i odpowiednich działań”. Nie mógł bardziej dobitnie wyrazić współczesnego, racjonalistycznego punktu widzenia. Jednak jego głos został całkowicie zignorowany. Scholastyczni ekonomiści mieli monopol na uwagę opinii publicznej. Nie byli przy tym ludźmi czynu: niektórzy, jak Malthus, byli duchownymi lub akademikami w szatach duchownych. Inni, jak makler giełdowy Ricardo, oddawali się jedynie spekulacjom finansowym. Nie mieli pojęcia o nowych fabrykach nawet jako obserwatorzy. Usiłowali rozwiązać problemy tego świata w zaciszu swoich gabinetów, we własnej głowie; tworzyli systemy równie wzniosłe i logicznie spójne, a przy tym zamknięte i doskonałe, co summy św. Tomasza z Akwinu czy św. Bonawentury, które, podobnie jak tamte, rozmięły się z rzeczywistością, a przy tym podobnie jak scholastycy, choć różnili się w detalach i toczyli zajadłe spory, opierali się na tych samych założeniach i dochodzili do zgodnych konkluzji. Prawo kanoniczne zastąpili „żelaznymi” prawami płac i teoriami wartości. Stworzyli nowy żargon przesłaniający rzeczywistość. Praktyczny, naukowy, bezlitosny język, z wielką siłą apelujący do intelektualnej elity wychowanej w atmosferze państwa-minimum. Żelazne prawa muszą działać swobodnie, nie można się im przeciwstawiać: społeczeństwo zostałoby zgniecione, gdyby usiłowano powstrzymać ich nieubłagany postęp. Zdumiewający jest fakt, że wszyscy najświetlejsi Anglicy, ludzie nadający ton opinii publicznej, dali się całkowicie uwieść tej doktrynie monstualnego irracjonalizmu. Tych, którzy stawiali opór, z powodzeniem napiętnowano jako obskurantów i wrogów postępu. Co prawda, nie można ich było spalić jako heretyków podważających obowiązującą ortodoksję, ale stopniowo i skutecznie pozbawiono ich wszelkiego wpływu na rozwój wypadków.

Jeśli już dokonywano jakichś analiz w dziedzinie ekonomii, dotyczyły wyłącznie problematyki handlu i finansów, kredytu i podaży pieniądza, relacji między pieniądzem papierowym a rezerwami złota. Te właśnie zagadnienia były tematem obrad komisji parlamentarnych i to one rozpałały namiętności podczas posiedzeń Izby Gmin. Osobliwą koleją rzeczy rewolucja fabryczna narodziła się bez udziału bankowego centrum w Londynie; czerpała środki głównie z zasobów lokalnych albo z własnych dochodów. W dramatyczny sposób odciśnięta się na losach świata handlu i finansów, blisko związanego z Parlamentem i administracją, toteż politycy i ekonomiści analizowali jej następstwa, całkowicie ignorując właściwe problemy procesu uprzemysłowienia. Żaden człowiek elity politycznej nie pofatygował się zwiedzić nowe fabryki. Co najwyżej zgadzano się – a i to niechętnie – na wprowadzenie państwowej inspekcji fabryk, szło jednak wyłącznie o względy moralne, o przeciwdziałanie wyzyskowi ludzi, a nie o to, by zorientować się, w jaki sposób fabryki działają i co można zrobić, żeby usprawnić ich funkcjonowanie. Przez cały okres rewolucji przemysłowej Anglicy uważali się za naród handlowy, a nie przemysłowy, i w istocie sądzą tak do dziś. Peel, który przez blisko 40 lat wywierał największy wpływ na stosunek opinii publicznej do zagadnień gospodarczych, w ogóle nie interesował się sprawami przemysłu, choć jego ojciec był najznaczniejszym spośród pionierów przemysłu bawełnianego. Peel z talentem przewodniczył pracom komitetu zajmującego się kwestią rezerw złota, a w późniejszym okresie stał się architektem doktryny wolnego handlu. Jednakże nie odwiedzał fabryk, nie szukał kontaktu z inżynierami czy wynalazcami. Odwrócił się plecami do świata maszyn, a dzięki pieniądзом, które mu przyniosły, zgromadził godną uwagi kolekcję dzieł sztuki.

W ten sposób Anglicy zmarnowali największą szansę w swoich dziejach. Prawdziwi twórcy rewolucji – mechanicy, wynalazcy, chemicy – często umierali w zapomnieniu, ubóstwie, a nawet, jak w przypadku Priestleya, na wygnaniu. Drugie pokolenie przemysłowców zbijało już wielkie fortuny, ale zwykle nie byli to twórcy nowych rozwiązań, tylko zdolni organizatorzy albo ludzie tacy jak Arkwright, którzy z całą bezwzględnością przywłaszczali sobie prace i pomysły innych. Prawdziwi twórcy przemysłu mieli jak najgorszą opinię wśród zachowawczo nastawionej elity społeczeństwa. Patriarcha rodu Rothschildów powiedział ongiś, że zna trzy sposoby, w jakie można stracić pieniądze: kobiety, hazard i inżynierów. „Pierwsze dwa są przyjemniejsze, trzeci pewniejszy”. Potężną i destrukcyjną rolę odegrał także angielski snobizm. Ludzie od maszyn nie byli dobrze widziani w towarzystwie; aby się tam znaleźć, musieli przejść proces przeobrażenia i oczyszczenia, czyli kupić posiadłość ziemską. Ponieważ, w tym sensie, społeczeństwo angielskie było całkowicie otwarte, ludzie przemysłu nigdy nie stali się zaborczą, skutecznie broniącą swoich interesów, wpływową kastą społeczną. Wśród osób godnych poważania mogli się znaleźć jedynie kupując ziemię, miejsca w Parlamencie, tytuły arystokratyczne i towarzyszącą im

władzę polityczną. Pieniądze stanowiły jedyny materialistyczny motyw pionierów uprzemysłowienia; wszystkie pozostałe: chęć zdobycia pozycji społecznej, wpływów politycznych, publicznego szacunku i uznania intelektualnego, nie były związane z przemysłem, a nawet znajdowały się w opozycji do niego.

Skoro zatem Anglia stała się państwem przemysłowym wbrew nastawieniom wpływowych kręgów społecznych, nic dziwnego, że angielski przemysł rodził się w sposób wysoce niesystematyczny, chaotyczny i gwałtownie nieodpowiedzialny. Stanowił efekt pozbawionej planu aktywności wielu skromnych osób, pozostał więc zdecentralizowany, składał się z wielu małych, co najwyżej średnich firm, często o bardzo wysokim stopniu specjalizacji; nie istniały żadne prywatne ani publiczne naciski wymuszające powstanie zintegrowanej struktury gospodarki w skali ogólnonarodowej czy choćby regionalnej. Fatalne następstwa takiego obrotu rzeczy odczuwamy do dziś. Równocześnie wszystkie przerażające konsekwencje uprzemysłowienia wówczas dawały o sobie znać o wiele silniej niż dziś, a mimo to nikt nie próbował szukać ich przyczyn. I choć Anglicy dobrze znali zalety planowania w prowadzeniu majątków ziemskich – ba, należało to nawet do ich kodeksu moralnego – przemysł powstawał bez jakiegokolwiek jednoczącej wizji czy planu, a nawet świadomości, że taki plan jest w ogóle potrzebny. Pierwszą generację fabryk włókienniczych zbudowano, na przykład, z myślą o wykorzystaniu siły pary jedynie do poruszania maszyn przędzalniczych. Ich gigantyczna produkcja stworzyła zapotrzebowanie na potężną, ćwierćmilionową armię tkaczy pracujących na ręcznych krosnach – całkowicie poza systemem fabrycznym. Gdy jednak skokowo wzrosła liczba napędzanych parą maszyn tkackich (z 2,4 tysięcy w roku 1813 do 224 tysięcy w 1850), niezależni tkacze zostali bez środków do życia – skazani na głód. Ta ludzka tragedia stanowiła zarazem tragedię dla przemysłu, ponieważ nieszczęsne rodziny tkaczy, godząc się na coraz niższe płace, przedłużały z kolei żywot przestarzałych fabryk, pracujących na granicy opłacalności, które dawno powinny zostać zamknięte. Już w latach czterdziestych XIX wieku Anglia straciła technologiczne przodownictwo w przemyśle bawełnianym i nawet obniżone tempo rozwoju można było utrzymać jedynie dzięki wykorzystaniu protekcyjnie chronionych rynków kolonialnych w zacofanych częściach świata.

Wzrost liczby ludności bynajmniej nie był przyczyną rewolucji przemysłowej w Anglii; w rzeczywistości mało brakowało, żeby ją zniszczył. Płace w fabrykach były wyższe niż w gałęziach przemysłu produkujących systemem nakładczym, niemniej były bardzo niskie, głównie dlatego, że większość robotników stanowiły kobiety i dzieci. Niskie płace powodowały jednak niski poziom popytu na rynku krajowym, a co gorsza, usuwały główny motyw zmuszający do systematycznego zastępowania prymitywnych maszyn nową technologią. Środki legislacyjne, które miały położyć kres nadmiernemu wyzyskowi, wprowadzono

za późno i były zbyt nieskuteczne, by producenci zaczęli cenić cnotę efektywności; Anglicy wpadli na ten pomysł dopiero w wieku XX, a do tego czasu ruch związkowy zdołał wypracować potężne mechanizmy obronne skutecznie blokujące tego rodzaju pomysły. Nie zwracano najmniejszej uwagi na skuteczność zarządzania, rachunek kosztów, badania rozwojowe czy planowanie zależności między budową maszyn a kwalifikacjami robotników. Pieniądze można było zarabiać i bez takich ozdobnych dodatków, a jeśli rynek się załamywał i zyski spadały, odpowiedź była prosta: zamknąć produkcję, zwolnić robotników. Podczas okresowych kryzysów na rynku kredytowym, które przychodziły bez ostrzeżenia ani widocznej przyczyny i którym nie potrafiono w żaden sposób zaradzić w latach dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych XIX wieku, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby skompensować spadek eksportu pobudzając popyt na rynku wewnętrznym. Przeciwnie, godzono się na spadek płac i wzrost bezrobocia, a ludzie znajdujący się u steru władzy, nawet wykształceni i oświeceni, jak Peel, po prostu czekali na to, co przyniesie przyszłość – w duchu czystego micawberyzmu [odniesienie do postaci pana Micawbera z powieści Dickensa *David Copperfield*].

Przemysł bawełniany, odgrywający rolę głównego motoru rozwoju gospodarki angielskiej, stracił impet już w latach trzydziestych XIX wieku. Pod wpływem potężnych niepokojów społecznych oraz aktywności pojawiających się w ich następstwie radykalnych ruchów społecznych wiele osób uwierzyło, że rewolucji przemysłowej grozi wkrótce całkowite załamanie. I rzeczywiście – mieli rację. Nie można opierać samonapędzającego się rozwoju przemysłu na jednej i w dodatku tak uzależnionej od wahań koniunktury gałęzi produkcji, jaką był przemysł bawełniany. Czartyści nie bez racji – biorąc pod uwagę obraz otaczającej ich rzeczywistości – odrzucili poszukiwanie ekonomicznych rozwiązań sytuacji i skoncentrowali się wyłącznie na programie politycznym. Na wiele lat przed Marksem uważali, że lada chwila nastąpi ostateczny kryzys kapitalizmu; pragnęli demokracji, aby złagodzić i ucywilizować jego konsekwencje. Za jedyne powszechnie akceptowane panaceum ekonomiczne uważano wówczas zniesienie Praw Zbożowych – jak się wkrótce okazało, środek zupełnie nieadekwatny. Scholastyczni ekonomiści oraz ich polityczni pupile wciąż twardo obstawali przy teorii głoszącej, że robotnikom należy płacić tylko tyle, by nie umarli z głodu; jeśli się będzie im płacić więcej, po prostu będą mniej pracować. Przed rokiem 1870 nikt w Anglii nie uświadamiał sobie ekonomicznej roli wysokich zarobków w przemyśle. Położenie kresu Prawom Zbożowym, twierdzili oświeceni, umożliwi właścicielom fabryk utrzymanie niskich płac, a tym samym wysokich zysków – tak rozumiano postęp.

W końcu angielską gospodarkę, a wraz z nią cały system społeczny, uratował przypadek. Zupełnie jak byśmy mieli do czynienia z najbardziej prymi-

tywnym systemem rolnictwa: gdy wyczerpały się możliwości dotąd uprawianych pól, plemię przenosiło się na nowe, dziewicze tereny. Popyt na wyroby bawełniane podlegał alarmującym fluktuacjom, natomiast popyt na węgiel, którego wydobywanie stanowiło najstarszą gałąź przemysłu, stale wzrastał. W roku 1842 Wielka Brytania wydobywała rocznie 30 milionów ton węgla, dwie trzecie światowej produkcji, choć większość z tego wędrowała do angielskich kominków. I właśnie potrzeby górnictwa dały potężny impuls do rozwoju przemysłu ciężkiego. Konieczność przewożenia coraz większych ilości węgla spowodowała, że siłę pary wodnej w końcu zastosowano także w transporcie. W roku 1825 powstała pierwsza linia kolejowa Stockton–Darlington, służąca do przewozu węgla z pól wydobywczych na północnym wschodzie do portów. Była to prymitywna linia towarowa, z której korzystano tak samo jak z dróg: właściciele węgla dostarczali własne wagony, a nawet parowozy. Linia przynosiła jednak ogromne zyski i dostrzeżono w niej perspektywy na przyszłość. Nastąpił niewielki boom kolejowy w latach 1835–1837 oraz potężny – w końcu lat czterdziestych. Do roku 1850 w Wielkiej Brytanii położono ponad 6 tysięcy mil torów kolejowych. W porównaniu z przemysłem bawełnianym rozwój kolei stanowił o wiele bardziej spektakularne osiągnięcie: koleje nie koncentrowały się w jednym miejscu, ale były wszechobecne i dosłownie poprzecinały wzdłuż i wszerz delikatną, tradycyjną sieć dróg wciąż wiejskiego społeczeństwa. Po drugie, koleje potrzebowały ogromnego kapitału – nie mogły więc opierać się na samofinansowaniu jak fabryki włókiennicze – a ich powstanie było ściśle powiązane z rozwojem wszystkich najnowszych technologii. Koleje dały potężny i trwały bodziec rozwojowy angielskiej gospodarce i zdecydowanie położyły kres pierwszemu kryzysowi kapitalizmu. Pobudziły do życia liczne nowe gałęzie przemysłu metalowego, które z kolei zrodziły następne. Dzięki kolejom zaczęto budować transoceaniczne parowce, to zaś prowadziło do powstania wielkich stoczn. W nowych przemysłach płace były wysokie – musiały być wysokie; stale wzrastał procentowy udział tych gałęzi gospodarki w ogólnej liczbie zatrudnionych. W roku 1914 przemysł metalowy stanowił gałąź gospodarki o najwyższym zatrudnieniu i najwyższych zarobkach. Nastąpił ogromny skok w produkcji stali, przy wciąż rosnącym popycie na węgiel, co dawało w drugim dziesięcioleciu XX wieku pracę dla 1,2 miliona robotników.

Wysokie zarobki robotników i rozwój przemysłu metalowego stworzyły społeczną bazę wiktoriańskiej stabilizacji. Problemy społeczne, które wydawały się nie do rozwiązania i groziły wybuchem jeszcze w połowie lat czterdziestych XIX wieku, w kilka lat później zniknęły z pola widzenia. Ruch czartystowski załamał się, klasa robotnicza na przeciąg jednego pokolenia stała się apolityczna. Podczas burzliwego na kontynencie roku 1848 w Anglii panował spokój; konstable wywodzący się z dolnej warstwy klasy średniej skutecznie trzy-

mali w karcach osłabione i zdezorientowane masy. System polityczny, który z trudem przetrwał kryzys lat 1830–1832, zdecydowanie odzyskał pozycję jedyne go strażnika ludzkiego szczęścia, a uchwały Parlamentu – status jedyne go narzędzia postępu i sprawiedliwości. Nastąpiło odczuwalne złagodzenie napięć między klasami. Zwięźle oddaje to maksyma sformułowana przez Peela: „Niezależnie od wszelkich trudności finansowych czy koniecznych wydatków, musicie tak dostosować podejmowane środki [...], aby nie odbiło się to niekorzystnie na poziomie życia pracujących klas społeczeństwa”. Zasadniczo była to doktryna arystokratycznych torysów, stopniowo jednak akceptowana także przez burżuazję, w pełni już zintegrowaną z klasą polityczną i utożsamiającą się z państwem własności prywatnej. „Klasy średnie wiedzą – stwierdził Shaftesbury – że warunkiem bezpieczeństwa ich życia i własności jest istnienie spokojnego, szczęśliwego i moralnego społeczeństwa”. Robotnicy zwrócili się ku edukacji i samodoskonaleniu. „Pomstujcie na klasy średnie, jak sobie chcecie – oznajmił przeciwnik Praw Zbożowych na mityngu czartystów – ale nie znajdzie się wśród was ani jeden, choćby miał pół pensa na tydzień, który nie pragnąłby samemu do nich należeć”.

Zarazem jednak, o ile druga faza rewolucji przyniosła Anglikom stabilizację polityczną, a nawet pewien poziom powszechnego dobrobytu, ostatecznie pozbawiła ich tej wyjątkowej pozycji, jaką dotąd zajmowali w gospodarce światowej. W pierwszej fazie rewolucji przemysłowej eksportowali wyłącznie dobra konsumpcyjne, w drugiej – maszyny i technologię. Różnica jest zasadnicza. W latach trzydziestych XIX wieku Anglia była jedynym uprzemysłowionym krajem na świecie; Anglicy dokonali cudu i wciąż tylko oni znali tajemnicę sukcesu. Na tym etapie wciąż byli w stanie, świadomie podejmując odpowiedzialność politykę, zastosować wobec reszty świata odmienne kryteria. Mogli ograniczyć zakres procesów uprzemysłowienia do obszaru Wysp Brytyjskich i odmówić pozostałym rozwijającym się krajom, zwłaszcza Stanom Zjednoczonym, Francji i Niemcom, kapitału finansowego, wyrobów przemysłu ciężkiego, wiedzy, doświadczenia i wykształconego personelu, co uniemożliwiłoby im zbudowanie podstaw własnego przemysłu. Taka polityka leżała wówczas całkowicie w zasięgu możliwości Anglików. Niewątpliwie wywołałaby wrogość pozostałych krajów, ale Wielka Brytania była wówczas w stanie zastosować nowe procesy przemysłowe – w stopniu niedostępnym dla innych narodów – do rozwoju technologii zbrojeniowej i osiągnąć zdecydowaną przewagę militarną nad każdym krajem z osobna czy grupą państw. Na tym w istocie polegała angielska polityka morska, utrzymywana mimo rosnących trudności aż do roku 1914. Jednakże stosowane przez Anglików kryterium utrzymywania floty na poziomie przekraczającym wielkość połączonych dwu największych flot rywali zasadniczo miało charakter obronny. Wydaje się, że Anglikom nigdy nie przyszło do

głowy, żeby choćby rozważyć możliwość wykorzystania osiągniętej potęgi przemysłowej do zdobycia i utrzymania światowej hegemonii w dziedzinie zaawansowanej techniki militarnej. Tym mniej wydawało im się słuszne czy pożądane ograniczenie zasięgu epoki przemysłowej do miejsca jej narodzin na Wyspach Brytyjskich. Inne narody mogłyby w tej sytuacji zachować się zupełnie inaczej. Wykorzystując logikę, przewidywanie i narodowy szowinizm do ograniczenia zasięgu przemysłu ciężkiego do terenu własnego państwa, mogłyby zbudować między sobą a resztą świata wysoką i trwałą barierę technologiczną. Anglia była jednak otwartym społeczeństwem; nie czuła się zagrożoną fortecą cywilizacji. Anglicy uważali się za naród lepszy od innych, ale była to wyższość stopnia, a nie rodzaju. Nawet w swojej fazie maniakalnej, gdy widzieli w sobie naród wybrany, uważali się za misjonarzy, a nie konkwistadorów. Nie pragnęli być rasą panów. Świat czekała zatem ewangelizacja, a nie podbój. Wszystko, co angielskie, było na eksport. Pragnęli szczerych pochlebstw w postaci naśladownictwa, a nie serwilizmu helotów. Angielskie obyczaje polityczne i ustrojowe świat mógł przejmować za darmo. Po uczciwej cenie handlowej oferowano mu zaś angielskie obyczaje przemysłowe i doświadczenia. Wydaje się, że nie potrafiliby sobie wyobrazić żadnej innej drogi postępowania. Nigdy nawet nad tym nie dyskutowano. Po prostu pozostawiono rzeczy swojemu biegowi.

W ten sposób w środkowych dekadach stulecia Anglia stała się „warsztatem całego świata”, pomagając w trakcie tego procesu zbudować fabryki konkurencji. W latach pięćdziesiątych Wielka Brytania wydobywała dwie trzecie światowej produkcji węgla, produkowała połowę żelaza, ponad połowę stali, połowę tkanin bawełnianych, 49% wyrobów metalowych i niemal wszystkie maszyny. Uprzemysłowienie kilku głównych państw dokonało się za łaskawym przyzwoleniem Anglików: dzięki angielskim narzędziom, patentom, przemysłowemu *know-how* i wykwalifikowanemu personelowi, a do tego po większej części zostało sfinansowane przez brytyjski kapitał. Do roku 1840 Wielka Brytania zainwestowała za granicą 160 milionów funtów; do roku 1873 już niemal miliard. W tym okresie obroty międzynarodowego handlu wzrosły pięciokrotnie i przekroczyły poziom dwóch miliardów funtów. Wiek kolei parowych stworzył współczesną światową gospodarkę rynkową; angielski wynalazek parytetu złota jako podstawy waluty narodowej znalazł powszechne zastosowanie, a Londyn stał się finansowym centrum międzynarodowego systemu handlowego. Dla Anglików był to moment szczytowego powodzenia i bogactwa. Angielskie idee, instytucje, postawy, smak, rozrywki, moralność, ubiór, prawa, obyczaje, język, literatura, jednostki miary, system rachunkowości, prawo handlowe, bankowość, ubezpieczenia, kredyty, giełda, a nawet – uchowaj Boże! – angielskie pomysły edukacyjne i religia zostały utożsamione na całej planecie z postępuem. Po raz pierwszy niezliczone odmienności setek różnych narodów i dziesiąt-

ków tysięcy lokalnych społeczności zaczęły stapiać się w standardowe formy, a wzorców dostarczała im Anglia*.

Podczas gdy Anglia ewangelizowała świat – wykuwając i eksportując jego matrycę – Anglicy podjęli długotrwałą i pod wieloma względami zakończoną niepowodzeniem walkę o ucywilizowanie siebie samych. Zwykle uważamy wiek XIX za stulecie wielkich reform i rzeczywiście była to epoka przemian w tym sensie, że poddano wówczas krytycznej analizie i transformacji niemal wszystkie instytucje i postawy angielskiego społeczeństwa, tak że w efekcie porządek otaczającego nas dziś świata w większości przypadków stanowi produkt tamtej epoki. Jednakże niewiele pojawiło się rzeczy naprawdę nowych, nie usunięto też niemal żadnych pozostałości dawnych epok; w gruncie rzeczy proces zmian sprowadzał się bardziej do racjonalizacji i wzmocnienia podstawowych składników osiemnastowiecznego społeczeństwa niż do jego gruntownej przebudowy. W wieku reformy w Anglii ograniczono się więc jedynie do swego rodzaju operacji kosmetycznej, liftingu, która pozostawiła nietknięty dawny kościec własności i przywileju, a pod wieloma względami nawet go wzmocniła. Analizując ten proces konserwacji za pomocą zmiany, możemy się wiele dowiedzieć o Anglikach – zwłaszcza jak doszło do tego, że dziś nie potrafią uniknąć spadających na nich przeciwności losu.

W czwartek, 8 października 1885 roku, w Westminster Abbey odbył się pamiętny pogrzeb. Zmarły, earl Shaftesbury, starszej generacji znany bardziej jako lord Ashley, był najbardziej wytrwałym i wszechstronnym ze wszystkich wiktoriańskich reformatorów-samotników. Torys z urodzenia i przekonania, przeciwstawiał się – choć z coraz mniejszym przekonaniem – wszelkim projektom reformy politycznej. Pod pewnymi względami był wręcz reakcjonistą. Jako

* Sprzyjał temu fakt, że Wielka Brytania była także głównym eksporterem ludzi. W latach 1750–1900 ludność Europy wzrosła ze 140 milionów do 401 milionów, a jej udział w ogólnej liczbie mieszkańców globu wzrósł z jednej piątej do jednej czwartej; w Europie udział ludności brytyjskiej wzrósł z 5,7% do 9%. Z Wysp Brytyjskich pochodziła też znaczna część europejskich emigrantów, zwłaszcza w pierwszej połowie XIX wieku; nawet w okresie 1850–1900 10 milionów z 21 milionów europejskich emigrantów pochodziło z Wysp Brytyjskich. Głównym celem emigracji były Stany Zjednoczone. Pierwszy amerykański spis powszechny (1790) ujawnił, że 80% białej populacji było pochodzenia angielskiego, a 92% brytyjskiego. Z 35 milionów świeżych emigrantów przybyłych do Ameryki w latach 1815–1914 20 milionów stanowili Brytyjczycy. W roku 1950 oceniano, że na świecie żyje 140 milionów osób pochodzenia brytyjskiego, z czego połowa w Stanach Zjednoczonych, a jedna trzecia na Wyspach Brytyjskich. Por. D. F. Macdonald, *The Great Migration w: „Britain Pre-Eminent: Studies in British World Influence in the 19th Century”*, C. J. Bartlett (wyd.), London 1969.

ewangelicki fundamentalista był zdecydowanym wrogiem świeckiej edukacji oraz jednym z twórców praw dotyczących świętowania niedzieli (*Sunday Observance Laws*). Nie należał jednak do partii. Uchyłał się od zajmowania stanowisk. Gardził polityką uprawianą za pośrednictwem organizacji, a instytucje rządu uważał za bezosobowe siedlisko cynizmu, materializmu, a często jawnej hipokryzji – miał za sobą długie i gorzkie doświadczenia w prowadzeniu negocjacji z rozmaitymi gabinetami. Przewidywał, że z biegiem czasu rząd, tak czy inaczej, przejmie zadanie ulepszenia świata, na razie jednak święty obowiązek pośredniczenia między bezbronnymi grupami ludzi a niszczącymi ich, ślepyimi bądź złośliwymi siłami spoczywa na nim i podobnych mu idealistach – wolontariuszach. Mówił o sobie, że jest „wielkim *pis-aller*”. Dziś łatwo sztydzić z Shaftesbury’ego zza murów państwa dobrobytu. Emanował wręcz nieznośnym paternalizmem i namaszczonej pobożnością sabbatarian. W istocie reprezentował jednak wszystko, co najlepsze w charakterze Anglików. Nie tylko kochał sprawiedliwość i nienawidził okrucieństwa, ale nadto całą swoją energię w ciągu bardzo długiego życia poświęcił praktycznym działaniom na rzecz zniesienia niesprawiedliwości w angielskim społeczeństwie. Właśnie słowo „praktyczna” najczęściej odnosił do swojej religii. Odrzucał „spekulatywne chrześcijaństwo” ludzi w rodzaju Keeble’a i Puseya, z ich obsesyjnym skupieniem się na kwestiach dogmatu i rytuałów. Szczerze wierzył, że na świecie toczy się prawdziwa walka między dobrem a złem i że chrześcijanin musi się w nią całym sercem zaangażować. Sądził, że diabeł aktywnie działa w świecie za pośrednictwem właścicieli niewolników, fabrykantów, ludzi, którzy wymuszali na Chinach handel opium oraz podżegających ich polityków, ojców bijących dzieci oraz materialistycznego społeczeństwa, które odmawiało tym dzieciom szansy zdobycia wykształcenia; za pośrednictwem pełnych samozadowolenia szeregów wiktoriańskiej klasy średniej i klas wyższych, korzystających z bezprecedensowego bogactwa, opierającego się na grząskim gruncie okrucieństwa i wyzysku. Jego energicznego i namiętnego głosu nie zabrakło w żadnej szczytnej i godnej uwagi akcji w tej epoce. Niezbyt lotny i niezbyt dociekliwy, miał wszakże ogromne serce i sakiewkę (w miarę możliwości) zawsze otwartą dla potrzebujących. Miał smutne dzieciństwo. Jego rodzice byli chłodni, surowi i bezlitośni; pociechę mógł znaleźć jedynie u służby. W prywatnej szkole traktowano go tak brutalnie, że – jak wyznał – nie wiedział, czy bardziej obawiał się rozpoczęcia roku szkolnego, czy początku wakacji i nawet straszne przeżycia w Harrow uważał za szczęśliwe wytchnienie. Podobne doświadczenia nie były wówczas czymś niezwykłym, Anglicy bowiem nigdy nie zapominali o tym, by życie swych dzieci uczynić nieznośnym. Na tym tle Shaftesbury wyróżniał się jednak tym, że już jako człowiek dorosły z pełną determinacją starał się uwolnić od brzemienia okrucieństwa nie tylko dzieci (choć one stanowiły pierwotny obiekt jego troski), ale wszystkie słabe i uciśnione grupy społeczeństwa.

Pogrzeb Shaftesbury'ego stanowił w pewnym sensie odzwierciedlenie wszystkich jego wysiłków. Było to imponujące, dziwaczne, a czasem komiczne (dla nas) zgromadzenie, obrazujące wszystkie nurty wiktoriańskiej filantropii; swoisty apel, parada tych wszystkich sił w łonie bezlitosnego społeczeństwa, które starały się złagodzić jakoś jego okrucieństwo. Całun trzymali mężczyźni i chłopcy z Brygady Czyścibutów, Szkół Przemysłowych, YMCA, Misji Kramarzy, Szkół dla Biedoty, Statków Szkolnych oraz Misji Miasta Londynu. Katedrę i okoliczne ulice Westminsteru wypełniał osobliwie odziany, poruszający tłum wysłanników rozmaitych organizacji z całej Anglii. Reprezentowane tam były: Towarzystwo Pomocy Prześladowanym Żydom oraz towarzystwo działające na rzecz nawrócenia ich na chrześcijaństwo, Towarzystwo Przeciwników Handlu Opium i Stowarzyszenie na rzecz Pokoju między Narodami, stowarzyszenia propagujące budowę fontann z wodą do picia dla biednych oraz produkcję protez dla kalek; było kolegium *Tonic Sol-fa* i członkinie ugrupowania Kobiet Uzależnionych od Alkoholu, Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt i Towarzystwo Zwalczania Wiwisekcji, towarzystwo Domy dla Kalek i Stowarzyszenie Robotników Fabrycznych z Bradford; stowarzyszenia dążące do zapobiegania okrucieństwu wobec dzieci i na rzecz leczenia chorób dróg oddechowych; nade wszystko zaś ogromna różnorodność klubów, stowarzyszeń, lig, unii i misji działających na rzecz poprawy sytuacji ofiar rozmaitych odcieni dziewiętnastowiecznej nędzy – Londyńskie Kwaciarki, Bezrobotni Do-rożkarze, Nie Wyemancypowani Niewolnicy, Ubodzy Kuraci, Synowie Ubogich Duchownych, Uchodźcy Tureccy, Imigranci Włoscy w Potrzebie, Kobiety Nie-widome, Kobiety Upadłe, Dzieci Zaniedbane, Porzucone Sieroty, Marynarze w Potrzebie, Rodziny Ratowników Morskich, Głodujący Chińczycy, Kobiety Indyjskie, Ubodzy Paryżanie, Wdowy po Lekarzach, Zwolnieni Więźniowie, Bezrobotni Kolarze, Ubodzy Irlandczycy, Uchodźcy Francuscy i Dziewczęta Cierpiące na Gruźlicę. W sumie delegacje 232 ugrupowań; gdy przewożono trumnę na miejsce ostatniego spoczynku do Dorset, orkiestra Towarzystwa Trzeźwości Kramarzy grała marsza z *Saula*.

To imponujące zgromadzenie stanowiło prawdziwy zapis wysiłków, a nawet osiągnięć, i z całą pewnością Shaftesbury'emu udało się umieścić wśród praw królestwa zdumiewająco wiele postępowych ustaw, poczynając od jego wielkiej Ustawy Fabrycznej (*Factory Act*) po ustawę o ochronie marynarzy statków handlowych (*Protection of Merchant Seamen*). A jednak umierał niemal w rozpacz: „Nie mogę znieść myśli, że opuszczam świat – pisał w wieku lat osiemdziesięciu czterech – na którym jest tyle cierpienia”. Jego dzienniki i listy przynoszą liczne świadectwa rezygnacji ogarniającej go wciąż na myśl o tym, że tak niewiele zostaje z wysiłków lat i dziesięcioleci, oraz wstrząsu, z jakim za każdym razem odkrywał istnienie niemal na każdym kroku kolejnych obszarów przerażających nieszczęść, domagających się działań legislacyjnych. Stano-

wią straszliwy akt oskarżenia wobec sił obojętności i reakcji w wiktoriańskim społeczeństwie: przemysłowców i ekonomistów, posiadaczy ziemskich i parów, towarzystw ubezpieczeniowych i religijnych grup nacisku; nade wszystko zaś – wobec Izby Lordów, Rady Biskupów i sędziów. Shaftesbury przekonał się, że rządy wszelkich orientacji politycznych okazywały się lodowato obojętne i chętniej mnożyły trudności, niż je usuwały. Od czasu do czasu zdobywał dla sprawy jakiegoś cennego konwertytę: zarówno radykał J. A. Roebuck, jak zwolennik Peela, sir James Graham, w końcu przyznali publicznie, że nie mieli racji, sprzeciwiając się ustawodawstwu fabrycznemu. O wiele częściej jednak ministrowie i prominentne postaci sceny politycznej z lekceważeniem traktowały go jako ekscentrycznego maniaka, neurotyka i zabierającego im czas natręta, źródło – jak to ujął lord Beaumont, rzecznik katolickich parów – „żałosnego żargonu pseudofilantropii”. A przecież wszystkie posunięcia proponowane przez Shaftesbury’ego stanowiły jedynie próbę złagodzenia (rzadko likwidacji) okropności, które dziś, a często już w dziesięć, dwadzieścia lat po jego śmierci uważano za przejaw niesłychanego barbarzyństwa. Życie Shaftesbury’ego stanowiło i stanowi ilustrację zniechęcających trudności, z jakimi musi uporać się każdy, kto próbuje zmienić Anglików na lepsze. Przeprowadzenie w roku 1850 ustaw fabrycznych zajęło mu siedemnaście lat nieustannej agitacji, a z górą drugie tyle poświęcił na to, żeby zagwarantować ich skuteczne funkcjonowanie. Następne siedemnaście lat pochłonęła mu walka o Ustawę o Chorych Umysłowo (*Lunacy Act*), stanowiącą gest zwykłego humanitaryzmu wobec osób chorych psychicznie, i znów kolejne pięć lat, by wcielić ją w życie. Wiele z jego projektów bezlitośnie poszatковано w komisjach parlamentarnych tak, że w efekcie stały się martwą literą prawa. Jako członek Izby niższej często przeprowadzał z powodzeniem swe projekty, by patrzeć następnie, jak padają pod ciosami destrukcyjnego oporu Izby Lordów. Jako par czasami skutecznie pokonywał opór Izby Lordów, by wnet przekonać się, że projekt stracił wszelkie poparcie w Izbie Gmin. Ale najgorsze było to, że gdy wreszcie przeprowadził ustawę przez obie Izby, odkrywał, że została całkowicie unicestwiona przez sędziów.

Historia dzieci-kominiarzy, inaczej „wspinających się chłopców”, jak ich nazywano, stanowi przerażający przykład oporu, jaki angielskie społeczeństwo stawia wobec reform nawet w najbardziej spektakularnych i oczywistych przypadkach nadużyć moralnych. Choć było ich niewielu – zapewne nigdy nie więcej niż dziesięć tysięcy – stanowili dość typowy przykład jednej z wielu zapomnianych i poddanych brutalnej opresji grup społecznych, zbyt słabych, by same się mogły zorganizować, a tym samym całkowicie zdanych na dobrą wolę bojowników filantropii. Ci rekrutujący się z domów pracy (*workhouses*) chłopcy, w wieku od lat czterech, podlegali jako praktykanci ściśle egzekwowanym przepisom prawa o ubogich, w myśl których za ucieczkę groziło im wtrącenie do więzienia i chłosta. Posługiwano się nimi nie tylko do czyszczenia

kominów, ale także do gaszenia pożarów; często zmuszano ich do wspinania się za pomocą klucza długimi tyczkami albo przypalania stóp płonącymi wiązkami siana. Cierpieli na rozmaite choroby zawodowe i wielu z nich ginęło na skutek zaccadzenia. Wszystkie te krzyżące niesprawiedliwości były jednak tym bardziej odrażające, że cała „klasa polityczna” doskonale znała sytuację i los chłopców – nie ukrywano ich przecież przed ludzkim wzrokiem w jakimś zapomnianym kącie regionów górniczych czy londyńskich slumsów, ale regularnie i w biały dzień zatrudniano w domach angielskiej klasy średniej i klas wyższych. Wszyscy wiedzieli, że te malutkie dzieci (wliczając w to kilka dziewczynek) czyszczą kominy. Klasy posiadające opierały się jednak proponowanym zmianom, ponieważ nie miały ochoty przebudowywać kominów ani płacić wyższych stawek towarzystwom ubezpieczeniowym (organizującym opozycję wobec reformy w Parlamencie), które ich zdaniem musiałyby wzrosnąć w następstwie zakazu pracy dzieci. Nikt nie mógł także udawać, że nie słyszał o najgorszych aspektach tego systemu. Już w roku 1760 dwaj nauczyciele szkółek niedzielnych zainicjowali kampanię w sprawie chłopców, a w roku 1785 jeden z nich, Jonas Hanway, opublikował szczegółowy opis ich straszliwego życia w swej *Sentimental History of Chimney-Sweepers in London and Westminster*. W roku 1788 uchwalono ustawę zabraniającą zatrudniania dzieci poniżej lat ośmiu, została jednak całkowicie zignorowana. W latach 1804, 1807, 1808 i 1809 Parlament odrzucał kolejne wersje ustawy. W roku 1817 specjalna komisja parlamentarna zbadała i opublikowała całą listę przerażających udręk chłopców – popartą błyskotliwym artykułem Sydneya Smitha w „Edinburgh Review” – jednakże projekt nowej ustawy opartej na badaniach komisji został odrzucony przez Izbę Lordów. W roku 1834 uchwalono nową ustawę, która podnosiła limit wieku zatrudnianych do lat dziesięciu oraz zakazywała majstrom posyłania dzieci w górę czynnych kominów; ustawa precyzyjnie ustalała także minimalne wymiary przewodów kominowych budowanych w przyszłości: 14 na 9 cali – ustawę powszechnie ignorowano, podobnie jak poprzednie, w niczym więc nie zmieniła sytuacji.

W roku 1840, przy poparciu namiętnego zwolennika reform z Biura Ubezpieczeń Wzajemnych, Thomasa Stevensa, Shaftesbury zdołał przeforsować kolejną ustawę, pokonując przy tym prawdziwie fanatyczny opór. Wszystkie podejmowane przez niego wysiłki, żeby doprowadzić do precedensowych procesów sądowych, zakończyły się jednak porażką – okazało się, że nie sposób uzyskać wyroku skazującego. W 1851 roku Shaftesbury przeprowadził przez Izbę Lordów kolejną wersję ustawy, ale z powodu braku wystarczającego poparcia upadła w Izbie Gmin. Trzecia wersja ustawy, przedstawiona w roku 1853, została przesłana do rozpatrzenia komisji specjalnej, która uznała, że „nie nadaje się do dalszych prac”. W roku 1854 Shaftesbury przeprowadził przez Izbę Lordów czwartą wersję, która jednak przepadła w głosowaniu w Izbie Gmin.

W roku 1855 nie udało mu się doprowadzić nawet do drugiego czytania projektu w Izbie Lordów. W roku 1861 udało mu się osiągnąć to, że sprawą dzieci czyszczących kominy zajęła się Komisja do Spraw Zatrudniania Dzieci i w konsekwencji zdołał nakłonić Parlament do uchwalenia ustawy podnoszącej granicę wieku zatrudnionych do lat szesnastu. Było to w roku 1864; jednakże w dwa lata później komisja donosiła w raporcie, że ustawa poniosła fiasko. Przyczyną tego stanu rzeczy nie była jednak wadliwość zapisów prawnych, ale powszechna zmowa lokalnych władz, sędziów pokoju, policji, sędziów, ław przysięgłych i opinii publicznej, zmierzających do omijania prawa. Chłopczy ginęli nadal w wyniku jaskrawego naruszania postanowień ustawy. Shaftesbury odnotował dwa takie przypadki w roku 1872, a w 1873 przedstawił w Izbie Lordów wyniki śledztwa koronera, który stwierdził śmierć siedmioletniego chłopca na skutek zaccadzenia w przewodzie kominowym. W roku 1875, w następstwie śmierci czternastolatka, Shaftesbury'emu udało się wreszcie doprowadzić do wydania wyroku sądowego, uznającego majstra winnym spowodowania śmierci chłopca. Skazano go zaledwie na sześć miesięcy więzienia, ale sprawą zainteresował się „Times” i dzięki kampanii prasowej Shaftesbury'emu udało się wreszcie przeprowadzić bezkompromisową wersję ustawy, jakkolwiek postawę Parlamentu określił jako „bardzo obojętną”. Potrzeba było dokładnie stu dwu lat, aby zagwarantować spełnienie tego elementarnego aktu sprawiedliwości wobec bezbronnych dzieci.

To rozpaczliwie powolne tempo stopniowego wykluwania się reform odzwierciedla nie tylko niesłychaną obojętność na pozór oświeconej angielskiej opinii publicznej, ale także zwykłą siłę oporu angielskich instytucji, z których większość w ciągu XIX wieku jeszcze bardziej umocniła się na swych pozycjach dzięki poddaniu zewnętrznych bastionów i tak już skazanych na zagładę. W latach 1790–1840 monarchia straciła bezpośrednią władzę polityczną – częściowo na skutek zmierzchu systemu patronatu, częściowo zaś w wyniku szaleństwa Jerzego III, które sprawiło, że stał się niezdolny do sprawowania władzy politycznej, a także, w dalszej kolejności, z powodu gnuśności i obojętności jego synów oraz braku doświadczenia jego wnuczki Wiktorii. Jednakże Wiktoria, gdy tylko nauczyła się manipulować systemem politycznym, szybko odzyskała utracone pozycje. Zdecydowanie odmówiła zachowywania się jak monarchini konstytucyjna; nie zaakceptowała zasady, że król panuje, ale nie rządzi. Pomysł, żeby jej władza ograniczała się jedynie do „prawa do konsultacji, prawa do zachęty i prawa do ostrzegania”, stanowił owoc wyobraźni Waltera Bagehota – znak, że całkowicie nie orientował się w realiach funkcjonowania brytyjskiego systemu politycznego. Jego *British Constitution* stała się bestsellerem i zwiodła szerokie rzesze angielskiego społeczeństwa. Jeśli jednak Wiktoria kiedykolwiek czytała tę książkę (w co można wątpić), dopiero musiały się jej trząść ze śmiechu cofnięte podbródki, jakże musiała klaskać z radości pulchnymi rękami i bębnić

w podłogę krótkimi, grubymi nogami, że taki wyrafinowany wydawca, polihistor i znawca wszelkich zagadnień tak dał się nabrać! Opublikowane listy i dokumenty odsłaniają zupełnie inną historię. Już w latach czterdziestych Wiktorja i jej mąż stale mieszała się do polityki zagranicznej – nieodmiennie po stronie kontynentalnej reakcji; oboje byli zdeklarowanymi członkami związku zawodowego monarchów, podobnie jak Stuartowie. Po śmierci Alberta Wiktorja zaczęła przejawiać coraz większe i coraz bardziej złowieszcze zainteresowanie polityką wewnętrzną – zawsze po stronie reakcji. Po roku 1868 otwarcie stała się narzędziem polityki partyjnej, działając na rzecz torysów, często za poradą, zgodą – a nawet aktywną zachętą – pozbawionych skrupułów konserwatywnych liderów, jak Disraeli czy Salisbury. Liberalni ministrowie, zwłaszcza Gladstone, czuli się zmuszeni traktować ją wyrozumiale, ponieważ wierzono, że sprzeciw mógłby wpędzić ją w obłąkanie, a wtedy Parlament stanąłby wobec kłopotliwych dylematów kryzysu regencyjnego. Naturalnie, mogli obstawać przy swoim w sprawach absolutnie fundamentalnych, ale w kwestii wielu nominacji w Kościele, armii, służbie imperialnej, a nawet w rządzie ulegali jej woli i opiniom. Rzadko otwarcie pokazywała karty (jak w przypadku telegramu do Gordona), prowadziła jednak zdumiewająco wytrwałą aktywność za kulisami. Zawsze rzucała swój ważki głos przeciw reformom i starała się zrobić, co w jej mocy, żeby utracić przedsięwzięcia legislacyjne podejmowane przez liberałów bądź zapewnić wyborcze zwycięstwa torysów. Nie mogła powstrzymać reform, ale mogła je skutecznie opóźnić i osłabić ich działanie. Zadręczała bardziej postępowych ministrów, absorbując ogromną ilość ich czasu swoimi błahymi i egoistycznymi problemami rodzinnymi*. Monarchia konstytucyjna musiała zaczekać na koronację jej pogardzanego syna; jednakże nawet on, choć zasadniczo gotów uczciwie spełniać rolę pośrednika między partiami, odziedziczył

* Oto jeden z wielu przykładów: w sierpniu 1872 roku, podczas manewrów floty, kapitan królewskiego jachtu „Victoria and Albert”, powołując się na fakt, że na pokładzie znajduje się książę Walii, uzurpował sobie prawo oddania salwy armatniej oznajmiającej całej flocie zakończenie manewrów o zachodzie słońca, należące do okrętu dowodzącego flotą admirała. W ten sposób zakpił sobie jednak ze wszystkich tradycji marynarki, ponieważ flota była teoretycznie w stanie wojny i wystrzał armatni stanowił określoną komendę operacyjną. Postępowanie kapitana wywołało powszechne oburzenie w szeregach marynarki: Goschen, Pierwszy Lord Admiralicji, naturalnie stanął po stronie marynarki, gabinet solidaryzował się z Goschenem, jednak królowa zdecydowanie poparła partię dworską i przez dziewięć miesięcy z uporem broniła „swojej armaty”. Afera zakończyła się kompromisem, ponieważ marynarka i rząd pragnęły wrócić do swoich normalnych zadań. Por. Frederick Ponsonby, *Sidelights on Queen Victoria*, London 1930, rozdz. I: „The Fatal Gun”. Egoizm Wiktorji przejawiał się na rozliczne sposoby. Podobnie jak Jerzy III lubiła niedogrzone pomieszczenia, co powodowało cierpienia służby i gości. Podczas posiłków kazała służbie zbierać talerze w tej samej sekundzie, w której sama skończyła danie, a że była obsługiwana jako pierwsza i dosłownie polykała jedzenie, wielu odchodziło od stołu z pustym żołądkiem. Jedynym człowiekiem, który konsekwentnie protestował przeciw takim praktykom, był ósmy książę Devonshire: „Powiadam! Oddaj ten talerz z powrotem!”

po matce tradycję hamowania radykalnych przemian – postawa kultywowana przez monarchię do dziś. Dla reformatora monarchia stanowiła zawsze jeszcze jedną rzekę do sforsowania, a zasoby energii nawet największych dziewiętnastowiecznych pionierów miały swoje granice.

Wokół tronu rozpościerał się potężny bastion w postaci Izby Lordów. Propozycje zniesienia Izby wyższej pojawiły się już w XVI wieku, jednak przez całe stulecie reform żaden wniosek w tej sprawie nie znalazł się nawet w programie obrad Izby Gmin – i to w sytuacji, gdy parowie w ponad stu przypadkach storpedowali zamierzenia członków Izby niższej, otwarcie odrzucając jej ustawy albo zmieniając je nie do poznania. Przez cały wiek XIX w Izbie Lordów zdecydowaną większość mieli torysi, a ich wrogość do nietorysowskich rządów tylko nieznacznie łagodziła polityka kierownictwa partii – nie zawsze realizowana – które starało się nieco powściągać reakcyjne zapędy arystokratycznych prowincjuszy, aby uniknąć niebezpiecznego konfliktu między Izbami. Lordowie, już na długo, zanim zostali ochrzczeni mianem „pudli pana Balfoura”, karnie wykonywali komendy wąskiego kierownictwa partii. W roku 1832 Macaulay zapytał earla Clarendona, w jaki sposób Wellington będzie bronił reformy parlamentarnej w Izbie Lordów. „O, to będzie bardzo proste. Powie jedynie: «Moi Panowie! Baczość! Na prawo patrz! Naprzód marsz!» – i gotowe”. Nawet jeśli lordowie stracili w roku 1832 *pocket boroughs*, zachowali osobisty wpływ na obsadzenie ponad połowy miejsc w Izbie Gmin. W roku 1866 w niższej Izbie Parlamentu zasiadało 37 starszych synów, 64 młodszych oraz 15 wnuków parów; dodać do tego należy około setki osób blisko związanych z arystokracją przez małżeństwo lub związki rodzinne.

Monumentalny *Return of Landowners* (Spis posiadaczy ziemskich) z roku 1873, znany jako *New Domesday*, ujawnił, że w Izbie Lordów zasiadali przede wszystkim członkowie klasy wielkich posiadaczy ziemskich. Jak wyliczył John Bateman w swojej, opartej na *Return*, analizie *The Great Landowners of Britain and Ireland*, 45% wszystkich gruntów uprawnych należało do około dwóch i pół tysiąca osób, głównie parów i bliskich krewnych parów. Właśnie dlatego jedyna w tym okresie porażka parlamentarna posiadaczy ziemskich: zawieszenie ceł zbożowych w roku 1846, wzbudziła taką sensację; nikt się tego nie spodziewał. W rzeczywistości przez okres całej następnej generacji zawieszenie ceł działało na korzyść właścicieli majątków – Peel dążył do pobudzenia zainteresowania właścicieli uprawą, toteż zniesieniu ceł towarzyszyły subsydia z przeznaczeniem na modernizację rolnictwa, zwłaszcza meliorację (tanie, fabrycznie produkowane drewniane dreny melioracyjne pojawiły się w dużych ilościach na rynku w roku 1842). W środkowych dziesięcioleciach XIX wieku stale wzrastała wysokość czynszów dzierżawnych, w dodatku parowie czerpali także ogromne zyski dzięki inwestycjom w budownictwie miejskim, górnictwie, kolejach i portach. W istocie osiągnęli większe korzyści finansowe z rewolucji przemysłowej niż

wszystkie pozostałe klasy, włączając w to samych przemysłowców. Usprawiedliwiając fakt istnienia arystokracji, Bagehot w roku 1867 w charakterystyczny sposób nie doceniał jej potęgi gospodarczej: „W żadnym kraju ten «biedny łajdak milioner» nie jest tak źle widziany jak w Anglii. Każdego dnia ktoś podejmuje próbę i każdego dnia okazuje się, że same pieniądze nie dają wstępu do «London Society». Pieniądz trzymany jest w ryzach i, by tak rzec, onieśmielany przez autorytet innej władzy”. W rzeczywistości parowie bez chwili wahania czy skrupułów wżeniali się w rodziny nowobogackich, o ile tylko warunki kontraktu były zadowalające. Lord Rosebery, na przykład, złowił główną dziedziczkę fortuny Rothschildów wraz z jej stoma tysiącami funtów rocznie, przy własnych dochodach rządu czterdziestu tysięcy, choć Żydzi go niespecjalnie interesowali. Ściśle biorąc, czołowe rody arystokratyczne były znacznie bogatsze nawet od największych przemysłowców: rody Derby, Bedford, Devonshire, Westminster i Sutherland oraz około czterdziestu innych osiągały regularne dochody rządu od stu do czterystu tysięcy funtów rocznie*.

Torysowscy parowie systematycznie i bardzo zręcznie blokowali projekty ustaw liberalnych rządów. Jednak pod wieloma względami znacznie bardziej zdradzieckie i szkodliwe były zachowawcze naciski ze strony parów nominalnie wigowskich czy liberalnych. Jakkolwiek już w latach trzydziestych wigowscy parowie stale przesuwali się w stronę obozu torysów, pozostawiając po sobie próżnię, której nie było komu wypełnić, wciąż pozostawało ich wystarczająco wielu, by skutecznie szantażować przywódców liberalnych. Po zdecydowanym zwycięstwie wyborczym Gladstone'a w roku 1880 earl Fitzwilliam pisał znacząco do earla Granville'a, zastępcy Gladstone'a:

Przypuszczam, że to w znacznej mierze dzięki mojej osobie sześciu liberalnych kandydatów znalazło się w Parlamencie. Moje poglądy polityczne są dobrze znane i mam wszelkie podstawy sądzić, że to właśnie zaufanie do umiaru moich zapatrywań zrodziło ten sukces – rozumiecie przeto, że muszę przejawiać głębokie zainteresowanie formowaniem się gabinetu, który doszedł do władzy głównie dzięki mnie i mojej woli.

Sądząc po zdecydowanie arystokratycznym składzie gabinetu Gladstone'a z roku 1880, aluzja została odebrana właściwie – ku wzburzeniu szeregowych

* Earl Derby otrzymywał prawie 300 tysięcy funtów rocznie samych czynszów dzierżawnych; w roku 1893 zatrudniał 727 osób służby pałacowej, ogrodników i obsługi majątku. Książęta Bedford, Portland, Devonshire, Sutherland i Northumberland oraz markiz Bute byli jeszcze bogatsi. Por. Randolph S. Churchill, *Lord Derby, King of Lancashire*, London 1959. Najbogatszy ze wszystkich był książę Westminster, który miał ponad 250 tysięcy funtów rocznie z samych nieruchomości w Londynie. W swoim domu w Cheshire, Eaton Hall, zatrudniał 85 osób służby pałacowej i w stajniach, 43 ogrodników, 32 osoby w stadninie oraz 168 robotników w majątku. Por. mapka na stronie 138 w książce Gervase Huxley, *Victorian Duke*, Oxford 1967.

liberałów. Z kolei kilka lat wcześniej, gdy Gladstone na pewien czas wycofał się z życia politycznego, jego miejsce zajął lord Harington, człowiek głupi i leniwy, którego pochłaniały przede wszystkim wyścigi konne i kobiety, przy czym decyzję uzasadniano tym, że byłoby rzeczą ubliżającą wybierać między bardziej plebejskimi kandydatami i że wszak „nikt nie powinien poczuć się urażony, że przegrał z najstarszym synem księcia Devonshire”. Mniej więcej z tych samych powodów Rosebery został przywódcą liberałów w roku 1894. Należy dodać, że ta uległość wobec uprzedzeń i interesów wigowskich parów w najmniejszym stopniu się liberałom nie opłaciła: niemal wszyscy wigowie zdradzili ich w roku 1886 w głosowaniu nad *Home Rule* (autonomią dla Irlandii).

Władza parów w znacznej mierze brała się stąd, że zupełnie nie uświadamiano sobie ich apetytów politycznych, a także z samooszukańczych sztuczek, jakimi Anglicy zawsze przestaniąją sprawy podziałów klasowych. Zbyt wielu Anglików wzięło za dobrą monetę szkodliwe nonsensy Burke’a na temat „rycerskości” arystokracji, „owej szczodrej lojalności wobec stanu i płci, tej dumnej uległości, pełnego godności posłuszeństwa, owego podporządkowania się głosowi serca, który nawet w niewoli utrzymuje przy życiu ducha wzniosłej wolności”. Łatwowierni przybysze równie ochoczo akceptowali ten konwencjonalny wizerunek. „Jaki jest pożytek z Izby Lordów?” – pytał Ralph Waldo Emerson i odpowiadał: „Stanowi ona prawdziwy kościół społeczny, źródło natchnienia, uczuć wzajemnie inspirujących kochanka i kochanego [...]. To romantyczna opowieść, wzbogacająca angielskie życie o szersze horyzonty; kraina między niebem a ziemią, przynosząca Anglikom spełnienie ich wyobrażeń, ich baśni i poezji”. Wszelako, gdy przyjrzeć się legislacyjnym dokonaniom lordów, spotykamy doprawdy niewiele rycerskości i żadnego natchnienia. Jak pisał Shaftesbury, postawa lordów jest nieodmiennie „surowa i nieczuła”. Parowie korzystali z niezwyklej zmywy milczenia, która skrywała seksualne występki największych, a także z profesjonalnej biegłości adwokatów w rodzaju sir George’a Lewisa, który specjalizował się w obronie parów przed ciekawością sądów (jego papiery zostały, niestety, zgodnie z jego wolą spalone po śmierci). W większości byli to ludzie samolubni, nieodpowiedzialni, krótkowzroczni i skąpi.

Na korzyść arystokracji pracował także nieposkromiony snobizm klasy średniej, stanowiący znamiennej cechę wiktoriańskiej Anglii, oraz groteskowy kult „dżentelmena” wytrwale propagowany przez takich renegatów sprawy postępu jak choćby Thackeray. Macaulay w roku 1833 z furią opisywał ten stan rzeczy w liście do siostry:

Przekleństwem Anglii jest ślepy upór, z jakim klasy średnie pragną nadać swoim synom status osobnika, którego zwą dżentelmenem. Mnożą się więc wokół nas duchowni bez prebendy, prawnicy bez spraw, lekarze bez pacjentów, autorzy bez czytelników, urzędnicy bez zatrudnienia, którzy mogliby z powodzeniem prosperować i czuć się szczęśliwi jako piekarze, zegarmistrze czy oberżyści.

Macaulay sam był jednak zarówno ofiarą, jak i gorliwym współnikiem systemu: choć był największym mówcą parlamentarnym swojego pokolenia i wiernym stronnikiem partii, wigowie nie dopuścili go do poważniejszych urzędów wyłącznie z powodu zbyt niskiego, w ich oczach, pochodzenia. Taine w swoich *Notes sur l'Angleterre* z 1872 roku trafnie zauważa, że snobizm Anglików stanowi poważne źródło słabości gospodarczej kraju: ludzie, którzy zdobyli majątek, mogą bez trudu wejść w szeregi klasy rządzącej, ale tylko za cenę porzucenia swoich handlowych zainteresowań – zupełnie innego typu elity przemysłowe zaczęły wówczas kształtować się w Niemczech i w Ameryce. Charles de Montalembert w *The Political Future of England* (1856) całkiem słusznie dowodził, że owo pragnienie nowych ludzi, aby wejść w szeregi *gentry*, stanowi źródło politycznej siły i stabilności. Jednakże komu miała służyć ta siła? Czemu miała służyć ta stabilność?

W sumie bezpośrednia i pośrednia władza lordów przetrwała wszystkie legislacyjne zamachy kolejnych rządów: rozszerzenie zasięgu praw wyborczych w latach 1867, 1869 i 1884, *Ballot Act* (1872), *Corrupt Practices Act* (1883) oraz *Redistribution Act* (1885), które w efekcie stworzyły w Wielkiej Brytanii system masowej demokracji politycznej dla mężczyzn. Jako prawodawcy lordowie byli bardziej aktywni i skuteczni w latach dziewięćdziesiątych niż w latach czterdziestych XIX wieku. Być może najrzęczniejszą z ich sztuczek było wypaczenie intencji ustawy o samorządzie lokalnym (*Local Government Act*) z roku 1888, która zastępowała kwartalne sesje sędziów pokoju posiedzeniami demokratycznie wybieranych Rad Hrabstw. W 29 z 48 hrabstw lordowie-namiestnicy (*lord-lieutenants*), którzy przewodniczyli uprzednio sesjom sędziów pokoju, zostali wybrani na stanowisko przewodniczących nowych rad. Parowie zdominowali także niemal wszystkie pozostałe rady, z godnym szacunku wyjątkiem Durham, gdzie zwyciężyli przedstawiciele głównie wiejskich społeczności górniczych. Jak pisał do Salisbury'ego, premiera rządu, earl Harrowby: „Będziemy musieli na następne trzy lata zamieszkać na wsi, żeby doprowadzić sprawę do ładu”. W latach siedemdziesiątych XX wieku w większości hrabstw parowie nadal pilnują, aby wszystko było w należyтым porządku. Za namową markizy Abergavenny Salisbury przyjął politykę mianowania na stanowiska namiestników młodych, „godnych zaufania” parów, którzy mogliby przetrwać każde niebezpieczne interregnum w postaci liberałów u władzy. Earl Powis, którego mianował lordem-namiestnikiem Shropshire w roku 1895, utrzymał się na tym stanowisku do roku 1951, przeżywszy triumfalnie jeden rząd liberalny, trzy labourzystowskie, dwie koalicje czasów wojny, rząd narodowy i trzynastu premierów.

Jak zobaczymy, po roku 1875 [w wyniku kryzysu w rolnictwie] znaczenie posiadania ziemi, stanowiącego podstawę potęgi angielskiej arystokracji, zaczęło ulegać stopniowej erozji, nie tyle w wyniku akcji legislacyjnej co wydarzeń zewnętrznych; równocześnie jednak pod pewnymi istotnymi względami

nadal trwał proces systematycznego wzmacniania systemu klasowego i wciąż pojawiały się nowe dziedziny, na których odciskał swe piętno. Postawę, którą Anglicy gardzili u obcokrajowców jako służalczą, u siebie samych cenili z pełną aprobatą jako „szacunek” czy „błogosławiony snobizm”, jak całkiem serio nazywał ją G. M. Trevelyan. J. S. Mill pisał z rozpaczą do Mazziniego w roku 1858:

Anglicy wszystkich stanów i klas w głębi serca czują się do szpiku arystokratami. Dysponują pewnym pojęciem wolności i przyznają jej pewną wartość, ale sama idea równości jest dla nich obca i obraźliwa. Nie mają nic przeciw temu, że wielu stoi ponad nimi, jednakże pod warunkiem, że ktoś stoi także poniżej [...].

Podobne postawy dawały o sobie znać nawet wśród nowych, labourzystowskich członków Parlamentu (w swoim czasie sami skwapliwie będą zabiegać o tytuły arystokratyczne) oraz ich wyzbytych humoru fabiańskich mentorów. W roku 1906, w przededniu wielkiego zwycięstwa wyborczego sił radykalnych, Beatrice Webb umieściła w dzienniku dość znamienne uwagi na temat dwu przyjęć: jednego u Asquithów, drugiego u lorda George’a Hamiltona. Nie było wątpliwości, które z nich wybrała:

Torysowski arystokrata i jego żona w porównaniu z obyczajami swojej klasy wiedli proste życie, podczas gdy syn przedsiębiorcy z Yorkshire niewątpliwie „używał na całego”, by rzecz wulgarną określić wulgarnym słowem.

Webbowie sami doczekali się tytułów; podobnie zresztą jak Asquithowie. I nawet jeśli *Parliament Act* ostatecznie pozbawił Izbę Lordów prawa weta, nie naruszył w istotny sposób posiadanej przez nich władzy politycznej, a tym bardziej wpływów społecznych, których podstawę stanowiła wtedy, i stanowi do dziś, zasada dziedziczności [członkostwa w Izbie Lordów]. Co ciekawe, ostatnia próba jej zniesienia w roku 1968 została pogrzebana przez zajadłą ponadpartyjną koalicję torysowskich troglodytów i labourzystowskich neandertalczyków, przy czym na czele tych ostatnich stał członek jednej z najznacniejszych rodzin angielskiego establishmentu, która już może poszczycić się dwoma dożywotnimi tytułami parów i jednym *Knight Bachelor*. Jakże śmiałyby się William Pitt – a raczej sztydził, jako że sam gardził tytułami arystokratycznymi i zupełnie słusznie uważał, że jego ojciec popełnił fatalny błąd, przyjmując godność earla Chatham.

Jednym z ważniejszych sposobów, dzięki którym Anglicy doby wiktoriańskiej wzmacniali, a nawet eksportowali, strukturę klasową, było wynalezienie sportu, poddanego następnie ścisłej organizacji wedle kryteriów klasowych. Nie darowano żadnej z powszechnie znanych odwiecznych rozrywek, dodano też kilka nowych. Wyścigi konne skodyfikowano w latach czterdziestych, przy czym dżentelmenom przypadła rola właścicieli i arbitrow (za pośrednictwem Jockey

Club), klasom średnim – trenerów, a proletariuszom – jeźdźców (z wyjątkiem crossu, gdzie mieszanie się klas uważano za pożądane, aby wzmocnić społeczne poparcie dla polowań na lisy). Gdy w roku 1846 sformułowano zasady gry w krykieta, ta niegdyś bezklasowa gra została poddana sztywnym podziałom na dżentelmenów i graczy, przy czym wprowadzono swoisty apartheid w postaci osobnych szatni, a nawet (jeszcze do niedawna) różnic w sposobie podawania nazwisk na tablicy wyników. Polowanie na grubszą zwierzynę przeznaczono dla klas wyższych, wspinaczkę górską dla górnej warstwy klasy średniej, rugby (1846) dla klasy średniej i Walińczyków, wyścigi wioślarskie (1856) dla klas wyższych i dla duchownych, piłkę nożną (1858) dla robotników, golf na otwartej przestrzeni (1861) dla klas średnich i Szkotów oraz, na koniec, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych walki na pięści przekształciły się w boks, w którym *gentry* przypadła rola obserwatorów i sędziów, a robotnikom – zawodników; dla dam łaskawie przewidziano tenis, badminton i krokiet. Każdy mógł więc znaleźć w wiktoriańskim sporcie coś dla siebie i każdy miał w nim ściśle wyznaczone miejsce.

A przecież oprócz potężnych sił dążących do instytucjonalizacji systemu podziałów klasowych w społeczeństwie angielskim do głosu dochodził równie silny nurt zwolenników modernizacji życia społecznego, pragnących zwiększenia jego efektywności. Jak jednak pogodzić ze sobą te dwie potrzeby? Anglicy epoki wiktoriańskiej wypracowali zgrabne, pragmatyczne rozwiązanie, któremu warto się przyjrzeć bliżej, ponieważ stanowi klasyczną ilustrację geniuszu, z jakim Anglicy przekształcają nowość w skamielinę, którą można następnie przedstawić jako rzecz niegroźną dla istniejącej struktury społecznej i to w chwili, w której rzeczywiście zachodzą w niej poważne zmiany. Można wyróżnić trzy elementy tego procesu. Po pierwsze: dokonana przez Pitta i innych administracyjna reorganizacja aparatu władzy państwowej, w myśl tradycji Shelburna, przekształciła skorumpowaną, oligarchiczną i zorientowaną na potrzeby dworu, chaotyczną administrację rządową w zarodek nowoczesnej maszyny państwowej. Administracja mogła teraz podejmować zadania, które dotąd leżały poza zasięgiem możliwości jakiegokolwiek aparatu państwowego. Po drugie, wywodząca się od Benthama tradycja myślenia w kategoriach utylitaryzmu zdecydowanie wskazywała na rodzaj tych zadań: Parlament powinien za pomocą ustaw przekształcić przypominającą dżunglę i skandalicznie ignorującą elementarną efektywność materię życia społecznego w zgrabną i uporządkowaną strukturę, a urzędnicy państwowi powinni dopilnować przestrzegania wprowadzanych przepisów. Oznaczało to jednak nie tylko poszerzenie zakresu prac aparatu państwowego, ale także stopniowe zwiększenie liczebności jego personelu. Wczesne próby ustawodawstwa fabrycznego podejmowane przed rokiem 1833 dowodziły, że bez specjalistycznej służby nadzoru uchwalone prawa pozostają na papierze.

Był to tylko jeden z wielu przypadków. Anglicy już w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku zaczęli podejmować próby zbadania różnych przejawów zła występujących w społeczeństwie, a także poszukiwania środków zaradczych za pośrednictwem machiny komisji parlamentarnych oraz Komisji Królewskiej. Karol Darwin pisał jakiś czas później: „Mam wrażenie, że mój umysł stał się czymś w rodzaju maszyny przetwarzającej ogromne zbiory faktów w prawa ogólne”. Metoda Darwina doskonale streszcza proces powstawania reform. Komisja przesłuchiwała świadków, zbierała ogromne ilości danych, formułowała konkluzje i przedstawiała wyniki Parlamentowi; Parlament wydawał ustawy; rząd wcielał je w życie. Dickens mógł w *Ciężkich czasach* ubolewać nad tym, że ludzie epoki wiktoriańskiej przywiązują nadmierne znaczenie do faktów, ale to właśnie skuteczne odwołanie się do jak największej liczby faktów stanowiło jedyny sposób pozwalający przezwyciężyć bezwład społeczeństwa. Reformatorzy zwykle w końcu odnosili zwycięstwo, ponieważ zwyciężali w dyskusji, zwyciężali zaś w dyskusji, ponieważ tak wykorzystywali fakty, aby apelować równocześnie do ludzkiego rozumu i ludzkich serc, do zmysłu handlowego i zmysłu moralnego. Reformatorzy ożywieni tradycją ewangeliczną, jak Shaftesbury, mogli odwoływać się przede wszystkim do uczuć, równie potrzebni byli jednak ludzie pokroju sir Edwina Chadwicka, wywodzącego się z całkiem odmiennej tradycji filozofii Benthama, którzy potrafili ujmować problemy w kategoriach faktów. Chadwick umiał nie tylko stwierdzić, ale także udowodnić, że reforma pozwoli zaoszczędzić pieniądze. Istota argumentacji zawartej w jego raporcie na temat warunków sanitarnych ludności pracującej (*Report on the Sanitary Condition of the Labouring Population*) – najbardziej imponujące ze wszystkich opracowań autorstwa wiktoriańskich reformatorów – sprowadzała się do tego, że taniej przyjdzie wydawać pieniądze na środki zapobiegawcze w dziedzinie zdrowia publicznego niż zwalczać epidemie. Raport opublikowany w 1842 roku stał się naturalnie bestsellerem; wzbudził zdecydowany opór, ale jak gdyby mocą Bożej interwencji wybuchła epidemia cholery, która ostatecznie przekonała opinię do stanowiska Chadwicka, dzięki czemu *Public Health Act* błyskawicznie przeszedł drogę legislacyjną w Parlamencie w roku 1848. Od tego momentu szermierze faktów, działający w osobliwym, ale skutecznym zaprzęgu z ewangelicznymi moralistami, spotykali się z mniejszym oporem społeczeństwa. W swojej *Apoloogia Pro Vita Sua* Newman szydził z dominującej filozofii:

Cnota jest dzieckiem wiedzy, występki – ignorancji. A zatem na przykład edukacja, czasopiśmiennictwo, podróże koleją, wentylacja, melioracja gruntów oraz sztuki piękne, jeśli tylko stają się powszechnie dostępne, sprawiają, że społeczeństwo staje się moralne i szczęśliwe.

Można się było śmiać – istotnie, wiktoriański sposób traktowania problemu nie wyróżniał się szczególną logiką. Jednakże analizy odwołujące się równo-

częście do faktów i moralności przemawiały silniej do oświeconych warstw angielskiego społeczeństwa, co przynosiło wspaniałe rezultaty legislacyjne. Zrazem pojawiło się jednak pytanie: jak zapewnić realizację nowych praw? Lub raczej: kto miałby zająć się ich urzeczywistnianiem?

W ten sposób dochodzimy do trzeciego elementu: kadr stale rosnących szeregów administracji państwowej. W państwie-minimum urzędnikami zostawali zwykle młodszy synowie rodzin ziemiańskich; posadę dostawali dzięki ministrom, którzy wybierali sobie podwładnych spośród znajomych bądź rodziny, albo dzięki nominacji parlamentarnej. Ludzie tego pokroju na ogół nie byli w stanie podejmować nowych zadań, często nie mieli na to najmniejszej ochoty. A przede wszystkim było ich o wiele za mało. Wyniki spisu powszechnego z roku 1851 ujawniły, że w Anglii jest nieco mniej niż 75 tysięcy urzędników państwowych (we Francji w roku 1846 państwo zatrudniało 932 tysiące osób), z których większość pracowała w służbie celnej, akcyzowej i pocztowej. Zaledwie 1628 osób pracowało w cywilnych departamentach administracji centralnej. Skąd zatem wziąć nowych ludzi? Odpowiedź nasuwała się sama. Reforma parlamentarna z roku 1832 zainicjowała proces wchodzenia klasy średniej w krąg „narodu politycznego”. Teraz należało otworzyć jej dostęp do szeregów administracji państwowej. Naturalnie, w tym przypadku nie można już było stosować arystokratycznych zasad doboru kadr. Należało sięgnąć po kryteria doboru wedle osiągnięć, w drodze egzaminów konkursowych. Przykładu dostarczyła administracja imperialna w Indiach. Rządzenie subkontynentem zamieszkanym przez ponad sto milionów ludzi wymagało stworzenia profesjonalnej klasy urzędniczej, do rekrutacji zastosowano więc zasady rywalizacji konkursowej. System wyłowił wielu ludzi wybitnie uzdolnionych, jak choćby Macaulay, Grote czy James Mill, a uzyskane rezultaty w pełni potwierdziły wartość nowej metody; w roku 1853 rozciągnięto ją na wszystkie stanowiska administracji kolonialnej w Indiach. Lekcję indyjską przeniesiono następnie na grunt angielski; w dwa lata po opublikowaniu raportu Northcote'a-Treveljana z roku 1853 powstała Civil Service Commission i sir Gregory Hardlines mocno usadowił się w siodle. Blamaż wojny krymskiej, niczym następna Boża interwencja, dobitnie wykazał, że kuracji domagają się także siły zbrojne; wkrótce obyczaj kupowania angażów przeszedł do historii i armia ochoczo sięgnęła po uniwersalne panaceum egzaminów.

Triumfalne potwierdzenie skuteczności zasady doboru naturalnego w służbach państwowych, szczęśliwie zbiegające się z opublikowaniem przez Darwina w roku 1859 pracy *O pochodzeniu gatunków* (*Origin of Species*), stanowiło spektakularne i decydujące zwycięstwo oświeconych nad wiktoriańskimi wstecznikami. Przeciwnicy reform zaczęli odtąd, całkiem słusznie, jawić się jako obskuranci. Jednakże niektóre z wysuwanych przez nich argumentów z dzisiejszego punktu widzenia wydają się zaskakująco trafne. Trollope powątpiewał, czy

umiejętność celującego zdawania egzaminów jest akurat najlepszym kryterium doboru kandydatów na urzędników państwowych, i naturalnie w czasach, gdy zasada egzaminów pisemnych znajduje się pod ogniem krytyki, mamy skłonność przyznawać mu rację. Wysuwano jednak także o wiele bardziej zasadnicze wątpliwości, dotyczące samej natury angielskiego społeczeństwa i angielskiego systemu sprawowania władzy. Występując przed komisją parlamentarną w roku 1857, earl Grey ośmieszył się twierdzeniem, że wprowadzenie w armii egzaminów dla oficerów może przyczynić się do wzrostu liczby zachorowań na schorzenia mózgu, jaki ponoć odnotowano we Francji. Grey wyraził jednak także o wiele słuszniejsze obawy. Otóż jeśli za kryterium awansu w wojsku przyjmie się zasługi, armia „zawsze będzie się starała wciągnąć kraj do wojny”. Miał na myśli Napoleona i jego marszałków. Anglicy zawsze niechętnie odnosili się do instytucji stałej armii lądowej, dowodzonej przez zawodowych oficerów. Akceptowali istnienie potężnej floty wojennej, kierowanej przez zawodowców, gdyż flota nie stanowiła zagrożenia dla ich wolności. Natomiast w przypadku armii uważali, że powinna stanowić odzwierciedlenie klasy politycznej, powinna być z nią dosłownie tożsama. Jej oficerowie winni wywodzić się z ziemiaństwa i stanowić nie tyle kastę wojowników, co obronne ramię klasy posiadaczy. Walkę zbrojną postrzegano jako ostateczność. W systemie polegającym na kupowaniu angażów oficerskich służba wojskowa stanowiła więc raczej odmianę kariery społecznej niż zawodowej. Oficerowie nie lubili walczyć, zwłaszcza za granicą, i zwykle przejawiali skłonność do występowania ze służby w obliczu groźby niewygód wojennych. Publiczna kariera arbitra elegancji, „Beau” Brummella, zaczęła się w roku 1799, gdy opuścił 10. pułk huzarów, zde gustowany faktem, że przeniesiono go do Manchesteru; Anglia brała wtedy udział w wojnie na kontynencie, nikt jednak nie powiedział o nim złego słowa. Oficerowie pułków stacjonujących w kraju pogardzali „Indyjczykami”, uważając ich za pospolitych karierowiczów, zawsze gotowych wziąć udział w walce, zawsze wyglądających awansu: ci ludzie najwyraźniej chcieli dostać stopień pułkownika za nic, jedynie za swoje sukcesy i męstwo. Równie dobrze mogli urodzić się Francuzami! Lord Cardigan był zapewne aroganckim durniem, ale miał za sobą całą tradycję angielskiego ustroju politycznego. A w dodatku – mogliby dodać inni – jeśli stary system nie sprawdził się w czasie wojny krymskiej, był to jeszcze jeden dowód na to, że należy unikać takich awantur.

Tego typu argumenty nie mogły jednak skutecznie wyhamować rosnącego impetu wiktoriańskiego oświecenia. Armia, w zgodzie z powszechnymi tendencjami, stała się armią profesjonalną. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku młodzi oficerowie, przebrnąwszy w pocie czoła przez szkoły w Sandhurst i Woolwich, zdeprymowani długimi kolumnami *Army List*, blokującymi im drogę na szczyt, wręcz palili się do udziału w jakiejś wojnie, o czym

wymownie przekonuje nas *My Early Life* Churchilla. Zawodowe ambicje wojskowych stały się potężną siłą napędzającą terytorialny rozwój imperium. Akcja typowej powieści z tego okresu, *The Four Feathers* pióra A. E. W. Masona, koncentruje się wokół postaci bohatera, którego uznano za tchórza, ponieważ wystąpił ze służby, aby uniknąć wojny w Sudanie; Anglia przeszła długą drogę od czasów „Beau” Brummella. Co więcej, w miarę jak sztuka wojenna zaczęła zdobywać miano nauki, zazdrosne spojrzenia angielskich oficerów coraz częściej padały w stronę potężnych, rozbudowujących się wciąż armii kontynentalnych; coraz częściej też oddawali się spekulacjom na temat roli, jaką Wielka Brytania mogłaby odegrać w wielkim konflikcie europejskim. Spekulacje pociągnęły za sobą planowanie, a planowanie – tajne międzynarodowe narady sztabowe, integrację planów i koncepcję sił ekspedycyjnych. Przemiany, jakim podlegał angielski oficer, stanowią jedno z wielu ogniw łańcucha złowieszczych wydarzeń, które doprowadziły do katastrofy roku 1914, topiąc idee skuteczności z raportu Northcote’a-Trevellyana w morzu błota we Flandrii. Co jednak najdziwniejsze, reformy nie pozbawiły ziemiaństwa stanowisk dowódczych, zwłaszcza w kawalerii, a kawaleria zawsze stała na czele armii. Podczas wojny krymskiej dowódcy kawalerii wygubili jedynie swoich ludzi i konie, podczas Wielkiej Profesjonalnej Wojny (1914–1918) wysłali na śmierć całe pokolenie*.

W cywilnych departamentach rządu reformy przyniosły subtelniejsze, ale równie złowrogie i dużo trwalsze zmiany. Stary angielski system polityczny przyznawał wprawdzie prawa wyborcze niewielkiej części społeczeństwa, ale w obrębie swych granic był wyjątkowo reprezentatywny, ponieważ ministrowie bez zastrzeżeń akceptowali zasadę odpowiedzialności przed Parlamentem. Anglicy równie mocno obawiali się „biurokracji” co stałej armii lądowej i jeśli w XIX wieku te obawy wydawały się atawizmem, wiek XX pokazał, że opierały się na zdrowych instynktach. Gdy młoda królowa Wiktoria spytała Palmerstona, jakie są „wpływy biurokracji”, odparł:

W Anglii ministrowie, którzy stoją na czele kilku departamentów władzy państwowej, mogą się każdego dnia spodziewać, że będą musieli bronić swoich poczynań przed Parlamentem i w tym celu muszą ściśle i na bieżąco znać w najdrobniejszych szczegółach wszystkie sprawy, którymi zajmują się ich urzędy, nie ma zaś innego sposobu, aby stale dysponować taką wiedzą, jak osobiste zajmowanie się tymi szczegółowymi kwestiami.

* Co więcej, oficerowie kawalerii, tacy jak lord Trenchard, stworzyli strukturę oraz zainspirowali filozofię działania RAF (Royal Air Force), zwłaszcza ideę bombardowań strategicznych, którą RAF rozwinął, a następnie przekazał Amerykanom (i Rosjanom). Koncepcja termonuklearnego równania z ziemią miast za pomocą rakiet międzykontynentalnych w ostatecznym rachunku wywodzi się więc z pomysłów dziewiętnastowiecznych dowódców kawalerii. Gdy generał Curtis Lemay, szef Dowództwa Strategicznego Sił Powietrznych, mówił o zapędzeniu ludzi bombami „z powrotem do epoki kamiennej”, przemawiał głosem współczesnego lorda Cardigana.

Systemowi angielskiemu przeciwstawił luźną organizację rządów na kontynencie, gdzie władza wykonawcza trafia w ręce ludzi nieodpowiedzialnych. W tym momencie Palmerston przemawiał w duchu tradycji Pitta, który kierował Skarbem tak, jakby to było jego prywatne biuro, inicjując i kontrolując wszystkie szczegółowe posunięcia w dziedzinie państwowych finansów. W podobny sposób Palmerston kierował polityką zagraniczną. Sir George Shee, jeden z podsekretarzy stanu w tymże ministerstwie, pisał w roku 1832 do drugiego, sir Johna Backhouse'a:

Jak wiesz, lord Palmerston nigdy nie konsultuje się z podsekretarzami stanu. Przesyła jedynie pytania, na które trzeba odpowiedzieć, bądź papiery do przepisania, kiedy jest tu wieczorami, a nasze jedyne zadanie polega na tym, żeby uzyskać od urzędników potrzebne informacje.

Urzędnicy byli więc dosłownie kancelistami i nawet podsekretarze stanu, jak wiemy z papierów Palmerstona, musieli od czasu do czasu zajmować się przepisywaniem, gdy kanceliści nie nadążali ze swoją robotą.

To właśnie z racji takich obyczajów niektórzy urzędnicy państwowi starszej daty sprzeciwiali się reformie. Jeden z nich, sir R. M. Bromley, oświadczył w roku 1860 parlamentarnej komisji specjalnej do spraw nominacji urzędników państwowych (Select Committee on Civil Service Appointments), iż zaletą systemu nominacji było to, że integrował Parlament z administracją. Urzędnicy państwowi zwykle mieli liczne powiązania z członkami obu Izb Parlamentu; sami należeli do klasy rządzącej i pod żadnym względem nie stanowili oddzielnej kasty. Otwarta rywalizacja o stanowiska, kontynuowała, doprowadzi ostatecznie do powstania bardzo potężnej biurokracji, którą trudno będzie poddać kontroli politycznej. Do tych uwag możemy dorzucić jeszcze przenikliwe przewidywania sir Henry'ego Taylora z jego *The Statesman* (1836). Rozważając konsekwencje przyznania praw wyborczych szerszym grupom ludności, wskazywał na fakt, że potężni urzędnicy państwowi, którzy chętnie przyjmowali polecenia od zajmującego stanowisko ministra księcia czy earla, będą mniej skłonni słuchać człowieka, który „został wyniesiony na wysokie stanowisko państwowe z niższych warstw społeczeństwa”. Jak zobaczymy, powyższe prognozy znalazły tragiczne potwierdzenie, zwłaszcza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Ministerstwie Skarbu. Zaakceptowanie z początkiem XX wieku zasady kontroli politycznej nad biurokracją zbiegło się z okresem, gdy na szczycie władzy pojawił się nowy typ urzędników państwowych. Byli to ludzie, którzy uważali, że są bardziej kompetentni od polityków, ponieważ swoje stanowiska zdobyli w wyniku twardej rywalizacji w egzaminach konkursowych oraz dzięki awansom za konkretne osiągnięcia – w przeciwieństwie do ministrów, którzy korzystali jedynie z dobrodziejstw instytucji demokratycznych wyborów, wyniesieni do władzy

dzięki głosom zupełnie nieświadomego elektoratu. W ten sposób realna władza zaczęła wymykać się masom z rąk dokładnie w chwili, gdy wydawało się, że wreszcie zaczynają po nią sięgać. Była to nowa wersja starej angielskiej sztuczki ze znikaniem owoców reformy.

Tak czy inaczej, poczyniono stosowne kroki, aby nowi mandaryni aparatu państwowego pochodzili z odpowiednich kręgów i mieli za sobą stosowny trening społeczny. Pytaliśmy, jak pogodzić strukturę klasową ze skutecznością. Odpowiedź przynosił system szkolnictwa. Na początku XIX wieku angielski system edukacyjny przedstawiał obraz specyficznego zamętu: ponad osiemset szkół utrzymywanych przez fundacje dobroczynne, często o wieloletniej tradycji, których pierwotne cele uległy wypaczeniu i które w wielu przypadkach zostały całkowicie zawłaszczane przez klasy średnie i wyższe; dalej – kilka dobrych akademii dysydenckich, które wykształciły liderów i wykwalifikowane kadry pierwszej rewolucji przemysłowej, wreszcie tysiące szkótek niedzielnych, prowadzonych na zasadach dobroczynności przez anglikańskie stowarzyszenia wolontariuszy, które dawały podstawy edukacji części dzieci ze środowisk robotniczych. Na szczycie systemu znajdowały się kolegia Oksfordu i Cambridge, zatrudniające tylko duchownych anglikańskich i przeznaczone wyłącznie dla osób przystępujących do komunii anglikańskiej.

W Anglii zawsze istniała tradycja wszechstronnej i bezklasowej edukacji, sięgająca jeszcze czasów Alfreda. Szkoły prowadzone na zasadach dobroczynności pierwotnie ufundowano właśnie z myślą o rozwoju tego typu edukacji i w XVI wieku otrzymały potężne wsparcie w następstwie reformacji. To właśnie one umożliwiły osiągnięcia Anglików w wieku XVII i to one legły u podstaw ich światowej dominacji. Jednakże państwo własności prywatnej pozwoliło na to, by zostały wchłonięte przez klasową strukturę społeczeństwa i do roku 1800 po szkołach ponadklasowych nie zostało niemal śladu. Tacy ludzie jak Henry Brougham, stojący na czele ruchu zmierzającego do usunięcia deformacji systemu szkół dobroczynnych, pragnęli połączyć tradycje fundacji edukacyjnych z nowym ruchem na rzecz kształcenia ubogich. Brougham otwarcie opowiadał się za modelem szkolnictwa ogólnego. Gdyby jego poglądy zwyciężyły, brytyjski system edukacyjny wyglądałby dziś zupełnie inaczej; byłby o wiele skuteczniejszy, pozbawiony sekciarstwa i bezklasowy. Jednakże Brougham należał do nielicznej mniejszości. Nawet tacy „postępowcy” w dziedzinie edukacji jak doktor Andrew Bell uważali, że edukacja powinna odzwierciedlać i wzmacniać podziały społeczne. W jednej ze swych książek pisał:

Nie proponuje się tutaj, aby dawać dzieciom biedaków wszechstronne wykształcenie czy nawet, by uczyć je pisać i rachować. Takie utopijne programy [...] zakładające powszechne szerzenie wiedzy ogólnej wkrótce [...] wprowadzą zamęt w klarowny porządek stanów i klas społeczeństwa, stanowiący podstawę powszechnego dobrobytu [...].

Istnieje bowiem ryzyko, że poprzez powszechną edukację można wynieść umysły tych, którzy skazani są na mózół codziennej harówki, ponad ich kondycję, a tym samym sprawić, że poczuliby się niezadowoleni i nieszczęśliwi w swym obecnym położeniu.

„Ryzyko” w rzeczy samej nie było zbyt poważne: ćwierć wieku później parlamentarna Komisja do spraw Edukacji Klas Uboższych (1837–1838) wyliczyła, że zaledwie jedna osoba na dwanaście ma jakiegokolwiek wykształcenie, a jedna na dwadzieścia cztery ma wykształcenie przynoszące jej jakąś korzyść praktyczną; w wielkich miastach przemysłowych te proporcje wynosiły odpowiednio: 1:38 (Birmingham), 1:35 (Manchester) i 1:41 (Leeds). Odpowiadając na argumenty Bella, Brougham sformułował w istocie stanowisko dzisiejszych zwolenników wykształcenia ogólnego:

Czyż utrzymujemy, że osoby o pewnym dochodzie rocznym wyczerpują wszystek naturalny geniusz rodzaju ludzkiego? [...] Jeśli zatem wśród dwu milionów osób niższego stanu, którym obecnie odmówiono wszelkiej edukacji, istnieje pewien procent ludzi obdarzonych żywym umysłem, całkowicie dziś zapoznanym i na zawsze straconym dla świata z braku kultywacji, to czy nie byłoby warto [...] poświęcić tej sprawie odrobiny uwagi?

Spółceństwo odpowiedziało zdecydowanym „nie”. Nie tylko Oksford i Cambridge, ale także siedem elitarnych *public schools* zostało wyłączonych z zakresu prac komisji, którą w końcu udało się Broughamowi powołać. Podobnie nie powiodło mu się w sprawie miejskich *grammar schools*, które zostały opanowane przez klasę średnią. W odpowiedzi na jego kampanię doktor Butler, dyrektor Shrewsbury, wyraził sformułowane z klasowego punktu widzenia obiekcje wobec zasady wykształcenia ogólnego, i to o wiele bardziej otwarcie niż jej dzisiejsi przeciwnicy. Rodzice dzieci z klasy średniej, dowodził, z zasady nie mają nic przeciw temu, by ubodzy chłopcy i dziewczęta otrzymywali to samo wykształcenie co ich własne dzieci. Sprzeciwiają się jedynie temu, aby uczyły się wspólnie. „Przebywając w towarzystwie wszystkich nisko urodzonych chłopców z parafii, ich dzieci nie mają szansy nauczyć się lepszych manier czy zasad postępowania, a zatem rodzice czują się zmuszeni zrezygnować z jednego z dwu dobrodziejstw: bądź to z uchronienia umysłów ich dzieci od zaraźliwego kontaktu z wulgarnym przykładem, bądź z zalet instytucji, z których mogliby wszakże skorzystać, nieuchronnie narażając swe dzieci na tak wielkie ryzyko. A zatem, sir, czy sądzi pan, że jakikolwiek kochający i rozsądny rodzic będzie się wahał choćby przez chwilę, którą z tych rzeczy winien wybrać?”

Poglądy doktora Butlera niewątpliwie odzwierciedlały przekonania większości Anglików, toteż rezultaty łatwo można było przewidzieć. Systematycznie

wzmacniano i instytucjonalizowano klasowe podstawy systemu edukacyjnego. Najlepsze szkoły publiczne, po poddaniu ich pewnej reformie, stały się wyłączną własnością klasy wyższej. Już w połowie stulecia wysłanie syna do Eton kosztowało dwieście funtów rocznie. Powstały także nowe szkoły publiczne, pod każdym istotnym względem wzorowane na starych, starannie jednak dostosowane pod względem ceny i aspiracji społecznych do potrzeb i możliwości synów górnej warstwy klasy średniej*. Wymagania egzaminacyjne w służbie państwowej i siłach zbrojnych dostosowano do programów szkół publicznych i podobne relacje utrzymywano między szkołami a uniwersytetami w Oksfordzie i Cambridge. W ten sposób droga na szczyt, nawet w „zreformowanym” i „skutecznie działającym” społeczeństwie, prowadziła wyłącznie przez swego rodzaju szkolne rogatki, pobierające myto w zgodzie z klasową strukturą społeczeństwa. Triumf zasady egzaminów w istocie jeszcze ją wzmocnił. Bogaci dysydenci religijni, którzy pragnęli zapewnić swoim dzieciom karierę państwową, chcąc nie chcąc musieli w tej sytuacji posyłać je do anglikańskich *public schools*. Zniesienie zakazu wstępu dla dysydentów do Oksfordu i Cambridge nie miało w tej sytuacji większego znaczenia. (Katolicy przekształcili własne szkoły publiczne na wzór anglikańskich.) Co gorsza, *grammar schools* robiły, co mogły, żeby naśladować *public schools*; a nowo powstające *secondary schools*, tworzone w końcowych dekadach stulecia, usiłowały z kolei naśladować *grammar schools*. U samego zaś dołu piramidy wprowadzone w roku 1870, *elementary schools*, w których nauka po roku 1880 stała się obowiązkowa, starały się ze wszystkich sił naśladować edukacyjne i organizacyjne wzorce szkół wyższych szczebli. Cały system wzmacniała jeszcze działalność wszechwładnych inspektorów szkolnych, wyłanianych, naturalnie, w drodze egzaminów konkursowych. Pierwsza generacja inspektorów stanowiła jeszcze mieszane towarzystwo, w którym znalazło się miejsce dla kilku oryginałów i ekscentryków, gdyż nowe szkoły publiczne nie zaczęły jeszcze przetwarzać typowego materiału z klasy średniej. Jednakże druga i kolejne generacje w jednolity sposób narzucały stosowanie edukacyjnych modeli szkół elitarnych.

* Jedną z takich szkół wahających się niepewnie między statusem zakładu dla synów *upper class* oraz synów *upper-middle-class* była szkoła w Radley. W roku 1850 jej dyrektor William Sewell wyjaśnił chłopcom w kazaniu, że nie może zaprosić na obiad ich wszystkich. „Ten college, podobnie jak cały system, został pomyślany, jak niejednokrotnie wam mówiłem, jako szkoła dla synów klas wyższych [...]. Czyż muszę mówić wam teraz, moi chłopcy, jakie uczucia chrześcijański dżentelmen, a takimi jesteście wszyscy bez wyjątku tu zgromadzeni, żywi wobec hierarchii społecznej, zwłaszcza zaś wobec szlachetnie urodzonych? [...] Dżentelmen przeto i chrześcijanin, niezależnie od tego, czy jest chłopcem, czy mężczyzną, dobrze o tym wie i jest wdzięczny za to Bogu, że zamiast uczynić wszystkich ludzi równymi, uczynił ich w najwyższym stopniu nierównymi”. Po czym ogłosił, że zamierza zaprosić na obiad wszystkich chłopców arystokratycznego pochodzenia, włączając w to synów biskupów!

W rezultacie doszło nie tylko do wzmocnienia klasowej struktury szkolnictwa, ale także do odrzucenia rzetelnej wiedzy. Chaos panujący w XVIII wieku w angielskim systemie edukacyjnym miał kilka zaskakująco zdrowych właściwości. Niektóre szkoły dla biedoty stały na wysokim poziomie, oferowały bogaty program zajęć i uzdolnionych nauczycieli. Wiele *grammar schools* wprowadziło nauczanie przedmiotów przyrodniczych sto lat wcześniej niż Eton. Akademie dysydenckie zwykle utrzymywały godny podziwu wysoki poziom. Sam brak systemu miał swoje zalety, gdyż umożliwiał rozmaite eksperymenty. Narzucenie w wyniku reformy klasowych wzorów w szkolnictwie doprowadziło do absolutnej dominacji przedmiotów klasycznych (z dodatkiem geometrii Euklidesa), zawdzięczających swe przetrwanie Restauracji 1660 roku, a utrwalenie pozycji – uniwersytetom w Oksfordzie i Cambridge oraz przodującym *public schools*. W ten sposób pod pewnymi istotnymi względami angielski system edukacyjny *de facto* uczynił w drugiej połowie XIX wieku krok wstecz, w czasach gdy w Stanach Zjednoczonych, we Francji, a przede wszystkim w Niemczech organizowano masową edukację nowoczesnego typu.

Sławne szkoły publiczne, po ujednoczeniu formuły w latach czterdziestych XIX wieku, stanowiły osobliwe połączenie koszar wojskowych, utylitarystycznego więzienia, średniowiecznego klasztoru i ateńskiej akademii. Chłostą karano w nich tylko nieco mniej okrutnie niż w armii Wellingtona. Bez wyjątku wszyscy „wielcy” dyrektorzy posługiwali się różgą, choć rekord należał do Mossa z Shrewsbury, który osobiście wymierzył uczniowi osiemdziesiąt osiem uderzeń (inni przekraczali ten wynik, ale tylko chłostając całą klasę). Stosowano całą gamę różnorodnych narzędzi tortur, w tym baty zakończone ołowianymi kulkami. Najgorzej było w Christ’s Hospital (doprawdy!): jeden z chłopców opowiadał, że spędził pół nocy przy łóżku ofiary, odrywając strzępy koszuli od pleców kolegi i wydobywając „przynajmniej kilkanaście kawałków witki brzozonej, które głęboko utkwiły w jego ciele”. Okrucieństwo panowało jednak we wszystkich zakładach – i to w czasach, gdy w nieszczęsnej Polsce, rozdzielonej między trzy imperia, karanie dzieci chłostą było już zabronione przez prawo. We wszystkich szkołach rozpanoszyła się instytucja wysługiwania się przez starszych uczniów młodszymi (*fagging*) – rodzaj więzi wzorowanych rzekomo na wyimaginowanym „systemie feudalnym”. Zapanowaniu nad tą gangsterską mentalnością zbrutalizowanych chłopców miał służyć system Domów (*House*). Arogancję inteligentniejszych tłumiono przymusowym uczestnictwem w grach zespołowych. Pod pewnymi względami władano szkołami niczym średniowiecznym królestwem: narodzinom syna dyrektora towarzyszyło zwykle „darowanie wszystkich kar i obostrzeń”. Szczególnie pieczołowicie dążono do tego, by wyeliminować aktywność seksualną uczniów – niektórym posunię-

ciom inspiracji z pewnością dostarczały doświadczenia Komisji Więziennej*. W Wellington doktor Benson umieścił zasieki z drutu wokół boksów sypialnych. Wydana przez niego instrukcja dotycząca procedury kładzenia się spać przez chłopców młodszych głosiła:

Podczas gdy się rozbierają, matrona i steward chodzą tam i z powrotem środkiem dormitorium, wylapując każdego, kto przechodzi ze swojej sali sypialnej do drugiej [...]. Drzwi do boksów, podobnie jak w Eton, nie powinny stwarzać możliwości zamknięcia się od wewnątrz, mogą być natomiast zamykane od zewnątrz, w tym przypadku do wszystkich powinien pasować jeden uniwersalny klucz.

Większość tych obyczajów, w tym *fagging*, znalazła uznanie raportu Komisji do spraw Szkół Publicznych z roku 1864.

Jeszcze dziwniejszy był fakt, że z programów nauczania rygorystycznie wykluczono niemal wszystko, co wykraczało poza zasób wiedzy dobrze wykształconego obywatela starożytnego Rzymu. Mimo nacisków, rosnących w miarę upływu stulecia, dyrektorzy szkół zdecydowanie opierali się zakusom nie tylko nauk przyrodniczych, w tym geografii, ale nawet nowoczesnej matematyki i historii. Zachowana w papierach Palmerstona praca egzaminacyjna z szóstej klasy pod tytułem „Historia współczesna”, którą w roku 1829 złożył w Harrow, nie sięgała poza panowanie Alfreda. Ależ by się wzburzył stary król, gdyby o tym usłyszał! Niewykluczone, że Wystawa Światowa z roku 1851 wywarła wielkie wrażenie na dyrektorach, a jednak żaden z nich nie uznał za konieczne wprowadzić nauczania przedmiotów przyrodniczych. Hawtrey z Eton uznał ją nawet za świetny temat na konkursową pracę z łaciny (przypomina to więc raczej wysiłki Watykanu z lat sześćdziesiątych naszego wieku, żeby znaleźć łacińskie terminy, za pomocą których będzie można potępić pigułkę antykoncepcyjną). Przemawiając przed Public School Commission, Moberly z Winchesteru tak podsumował postawy dyrektorów wobec nowoczesnej nauki:

[...] chłopiec, który opanował gramatykę, nauczył się mówić i pisać raz na całe życie; na zawsze posiadał instrument sprawowania władzy. Człowiek, który nauczył się praw elektryczności, poznał jedynie fakty naukowe, a gdy fakty się zmieniają, cała jego wiedza będzie na nic.

Broniąc się przed zarzutami krytyków, dyrektorzy odpowiadali, że to, czego uczą, musi odpowiadać wymaganiom i standardom Oxbridge [ironiczna

* Później ten proces uległ odwróceniu. W roku 1929 laburzystowski minister spraw wewnętrznych J. M. Clynes oświadczył (a raczej został poinstruowany przez swoich urzędników, by oświadczyć): „Więzienia Jego Królewskiej Wysokości ucieleśniają niektóre z najlepszych cech naszych szkół publicznych”.

nazwa uniwersytetów w Oksford i Cambridge]. Jednakże było to błędne koło, ponieważ uniwersytety odpowiadały, że muszą opierać się na tym, czego uczą szkoły. Tymczasem Oksford i Cambridge od końca XVII wieku w najmniejszym stopniu nie przyczyniły się do lepszego wykształcenia Anglików, a nawet, prawdę mówiąc, skutecznie je ograniczały. Rewolucja przemysłowa była możliwa tylko dlatego, że tacy dysydenci jak Priestley nie mieli wstępu do szkół uprzywilejowanego systemu anglikańskiego. Przez całe XIX stulecie Oksford, Cambridge i *public schools* wydały niewielu ludzi nauki, inżynierów czy organizatorów przemysłu. Ich produkty zdominowały świat polityki, sądownictwa i Kościoła, a z końcem stulecia także administracji krajowej i imperialnej – oraz, naturalnie, sił zbrojnych. Wśród ich wychowanków zabrakło jakoś twórców bogactwa kraju czy wynalazców. Jeśli chodzi o znanych przyrodników, to lord Rayleigh spędził w Eton semestr, a sir John Herschel kilka miesięcy, Darwin był w Shrewsbury, ale w swojej *Autobiography* napisał: „Nie mogło być nic gorszego dla rozwoju mojego umysłu niż szkoła doktora Butlera”. Wszyscy pozostali bohaterowie angielskiej nauki i przemysłu bez wyjątku chodzili do *grammar schools* albo prywatnych „akademii” dysydenckich bądź, jak Faraday, nie mieli w ogóle żadnego formalnego wykształcenia. Dopóki w Oundle pod koniec stulecia nie pojawił się doktor Sanderson, żadna większa *public school* nie traktowała nauk przyrodniczych poważnie (co prawda, T. H. Huxley ukończył Eton). W dłuższej perspektywie bardziej złowrogie konsekwencje przyniosło jednak promieniowanie tych antynaukowych postaw ze szkół elitarnych na pozostałe typy szkół, które w końcu objęło cały system edukacyjny. W efekcie nie dość, że inżynierowie, naukowcy i przemysłowcy, którzy na własną rękę zdobyli wykształcenie, posyłali swoje dzieci do *public schools* (chłopcy Brunela poszli do Harrow), to jeszcze wiele szkół ożywionych początkowo nowym duchem godziło się na dominację klasyki, żeby pozostać w zgodzie z wymaganiami uniwersytetów. Nawet w kręgach konserwatywnych zaczęto zdawać sobie sprawę, że tak potężny naród przemysłowy jak Wielka Brytania może napytać sobie w ten sposób biedy. „Quarterly Review” ostrzegął w roku 1867:

Anglia, przynajmniej jeśli chodzi o nauki przyrodnicze i eksperymentalne, wydaje się zagrożona osunięciem się do stanu, który w kategoriach języka polityki nazwalibyśmy mocarstwem trzecio- lub czwartorzędnym. Zapewne nasze największe sławy wciąż górują nad wielkimi postaciami innych narodów, jednakże w Anglii przeprowadza się zdecydowanie mniej poważnych, solidnych badań naukowych niż w Niemczech, a nawet mniej niż we Francji.

Oksford i Cambridge opierały się postępom nauki równie zajadle co szkoły. Aż do ostatniej dekady XIX wieku w obu uniwersytetach nie przeprowadzano

niemal żadnych badań empirycznych, a liczba inżynierów ze stopniem akademickim już wtedy była w Anglii bardzo niska w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi i Niemcami*. Fakt, że Wielka Brytania zaczyna stopniowo tracić pozycję największego kraju przemysłowego, można już było dostrzec w latach siedemdziesiątych – w latach osiemdziesiątych nie sposób było mieć co do tego wątpliwości; proces ten nieubłaganie pogłębiał się przez wszystkie następne dziesięciolecia i trwa do dziś. Złożyło się na to kilka czynników, z których niewątpliwie najważniejszym było zacofanie angielskiego systemu edukacyjnego. Tu zaś odpowiedzialność niemal całkowicie spada na Kościół anglikański, uporczywie broniący prymatu wykształcenia klasycznego. Można by wręcz powiedzieć, że o ile triumf anglikanizmu w XVI wieku zapoczątkował drogę Anglii ku pozycjom światowego mocarstwa, to swoiste ożywienie życia religijnego w początkach XIX wieku uruchomiło powolny proces rozkładu, który nieustannie i nieubłaganie toczy się nadal w chwili, gdy piszę te słowa. Anglicy zapłacili za Eton, Harrow, Oksford i Cambridge straszliwą cenę.

Najdziwniejsze było jednak to, że ożywienie, dzięki któremu anglikanie mogli uchwycić w żelaznym uścisku wszystkie elitarne instytucje edukacyjne, przyszło w momencie, gdy na wszystkich innych frontach Kościół państwowy był w odwrocie, podmywany u samych podstaw przez coraz częstsze przypadki odchodzenia od wiary. I chociaż dzięki temu odrodzeniu formalistycznej religijności „Wysokiego Kościoła” (*High Church*) anglikanizm zdołał opanować uniwersytety i dyrekcje *public schools*, to równocześnie zdecydowanie przegrywał na froncie bitew teologicznych: przejście Manninga, Newmana i wielu innych do obozu katolickiego stanowiło wyraźny symptom klęski. W roku 1800 Kościół dysponował jeszcze potężnym zasobem całkiem satysfakcjonujących dóbr doczesnych: przeciętne roczne dochody arcybiskupa Canterbury i biskupa Durham wynosiły 19 tysięcy funtów, stanowisko rektora warte było 7 tysięcy rocznie; pluralizm był zjawiskiem sankcjonowanym i powszechnym – w latach 1780–1829 jego wielebność earl Bridgewater posiadał prebendę Durham i dwa beneficja w Shropshire, choć sam mieszkał w Paryżu w otoczeniu kotów i psów przebranych w ludzkie stroje**. Gdy pięćdziesiąt lat później dochody duchow-

* Podobnie rzecz się miała w wiktoriańskim Oxbridge z naukami medycznymi. Profesorowie medycyny byli, na równi z duchownymi, najzagorzalszymi przeciwnikami reformy uniwersyteckich: w roku 1852 „królewski” (*regius*) profesor medycyny klinicznej w Oksfordzie zdecydowanie popierał arcybiskupa Canterbury w dążeniach do utrzymania przywilejów dobrze urodzonych studentów. W roku 1877 „British Medical Journal” wdał się w przewlekły spór na temat tezy, że przecięte ścięgnięta leczone przez kobietę w okresie menstruacji źle się goją. Jeden z korespondentów uważał, że kwestię „można by rozstrzygnąć za pomocą eksperymentów przeprowadzanych w zakładach dla obłąkanych albo więźniach, pod kierownictwem funkcjonariusza medycznego”.

** Kler anglikański sprawował władzę także w sposób bezpośredni. Choć duchowni nie mogli zasiadać w Izbie Gmin, dysponowali zwartym blokiem 25 miejsc w Izbie Lordów, a do roku

nych wyrównano i oparto na racjonalnych zasadach – ze wszystkich stron dobiegły skargi na ubóstwo kleru; ostatecznie w trakcie trzech ostatnich dziesięcioleci XIX wieku gwałtownie spadła liczba synów rodzin arystokratycznych i ziemiańskich, którzy szukali kariery duchownej – widomy znak, że bitwa była przegrana. Anglikańskie ożywienie religijne – ostatnie, jakie zanotowano w Anglii – poprzedziło epokę wiktoriańską o niemal ćwierć stulecia, toteż w latach czterdziestych było już niemal po wszystkim. Jednakże dzięki temu, że zbiegło się w czasie z okresem potężnego przyrostu bogactwa narodowego, znamenego dla pierwszej rewolucji przemysłowej, oraz okresem, w którym Parlament chętnie przyznawał pieniądze na roboty publiczne z przeznaczeniem na cele budownictwa kościelnego, pozostawiło po sobie spektakularny spadek w postaci 20 tysięcy kościołów – po kolejach żelaznych największy materialny pomnik epoki. Tymczasem już w połowie stulecia coraz trudniej przychodziło zapelnąć je wiernymi. Raport na temat praktyk religijnych z marca 1851 roku wskazywał, że tylko nieco ponad siedem milionów członków osiemnastomilionowej populacji Anglii i Walii chodzi w niedzielę do kościoła, przy czym dla anglikanizmu proporcje były jeszcze bardziej niepokojące. Pozycję w miastach utracił już wcześniej, teraz zaczynał tracić ją na wsi. Korzyści z tej erozji nie przypadły jednak żadnemu z pozostałych wyznań; jedynym prawdziwym zwycięzcą był indyferentyzm religijny. Dzięki zniesieniu w latach dwudziestych prawnej dyskryminacji katolików, bitwa między Kościołami mogła toczyć się na mniej więcej równych warunkach. Głównym terenem zmagania stało się szkolnictwo, a jedynym ich efektem było dalsze zahamowanie procesu jego rozwoju, albowiem niemożność osiągnięcia porozumienia między wyznaniem w jakiegokolwiek kwestii legislacyjnej powodowała dalsze opóźnianie reform – do końca stulecia, a nawet później. Gorliwe dążenia do ewangelizacji dzieci sprowadziły się więc do tego, że dzieci otrzymywały gorsze wykształcenie, które wszakże nie sprawiało, że stawały się lepszymi chrześcijanami.

Ziemia zaczęła się usuwać anglikanom spod nóg w latach pięćdziesiątych. *Principles of Geology* Charlesa Lyella (1830–1833), uproszczone w *Vestiges of Creation* Chambersa (1844), podważyły biblijny opis powstania naszej planety. W ten sposób został przygotowany grunt dla niebywałego powodzenia teorii Darwina w następnej dekadzie. Wybitną postacią życia Kościoła okresu wiktoriańskiego był biskup Wilberforce z Oksfordu, później z Winchesteru; biskup

1832 stanowili znaczną część elektoratu, zwłaszcza w niektórych prestiżowych okręgach, takich jak Uniwersytet w Oksfordzie; to kler ukarał Peela w 1830 roku, usuwając go z Oksfordu. Jeszcze ważniejszy był jednak fakt, że duchowni stanowili ponad połowę sędziów pokoju i mogli, w razie potrzeby, zdominować Sesje Kwartalne oraz inne organy samorządu lokalnego. Więcej szczegółów na temat doczesnej władzy kleru można znaleźć w pracy W. O. Chadwicka *The Victorian Church*, tom I, London 1966.

wstawił się całą serią potyczek z wyznawcami nowego światopoglądu, w których nieodmiennie okrywał się coraz większą śmiesznością*. W roku 1860, gdy w Oksfordzie odbywało się spotkanie Association for the Advancement of Science (Stowarzyszenie Popierania Nauki), Wilberforce – znany już pod prześmiewczym mianem „Soapy Sam” (Słodki Sam) – niebacznie przyjął propozycję, aby zwalczać darwinizm w otwartej debacie z T. H. Huxleyem; biograf biskupa pomija to spotkanie taktownym milczeniem. W tym samym roku Wilberforce zaatakował na łamach „Quarterly” (za okrągłą sumkę 100 gwinei) całkiem nieszkodliwy tom *Essays and Reviews*, zawierający próby sformułowania nowej teologii. W następstwie ataku biskupa dwu autorów oskarżono o herezję, jednakże Privy Council odrzuciła przedstawione dowody jako bezzasadne. Trzeci autor, Benjamin Jowett, został postawiony przed sądem kanclerskim Uniwersytetu w Oksfordzie – przeżytek epoki Lauda, wzbudzający jedynie szydercze uśmiechy – a fakt, że fanatyczni wrogowie Jowetta usiłowali z zemsty zablokować mu pensję, którą otrzymywał jako „królewski” (*regius*) profesor greki, okryły jedynie hańbą cały establishment uniwersytetu. Rzecz w tym, że w przeciwieństwie do katolicyzmu Kościół protestancki nie utrzymywał, że jest wcieleniem tradycji, i nie ustalał obowiązującej interpretacji dogmatów powołując się na swój autorytet; protestantyzm był wiarą opartą na faktach, a dokumentalne świadectwo tych wydarzeń – Biblia – wydawało się właśnie tracić swą moc. Tacy ludzie jak Wilberforce czy Pusey oraz im podobni zachowywali się więc w sposób typowy dla ludzi ogarniętych paniką.

Pobożni poddani królowej Wiktorii starali się włączać nową wiedzę przyrodniczą w obręb swoich przekonań. Po przeczytaniu *The Descent of Man* (*O pochodzeniu człowieka*) Augustus Pitt-Rivers zanotował: „Myśl o tym, jak skromne są nasze początki, może stanowić pobudkę dla pracowitości i poszanowania zasad moralnych”. Kościelny establishment rozciągał coraz bardziej elastyczne doktryny urzędowej wiary. Gdy Darwin zmarł w roku 1882, pochowano go ze wszystkimi honorami w Westminster Abbey. Trzy lata później w Muzeum Nauki odsłonięto popiersie wielkiego przyrodnika, a biskup Canterbury, obecny na uroczystości, wedle relacji naocznego świadka „przez

* Sposób, w jaki rozstał się z życiem, także przyniósł mu wiele rozgłosu. W roku 1873 w trakcie przejażdżki konnej z ministrem spraw zagranicznych, lordem Granville, spadł nagle z konia, ponosząc śmierć na miejscu. Wiktoriańska opinia publiczna była poruszona tym niepodziewanym wyrokiem woli Bożej, jaki dotknął czołową postać jej Kościoła. Lord Shaftesbury zanotował: „Wypadek wstrząsnął mną niczym trzęsienie ziemi. Byłem wręcz struchlały z przerażenia [...], absolutnie ogłuszony ze zdumienia i grozy”. Granville zapewniał wszelako syna biskupa, że jego ojciec zginął w sposób licujący z jego duchową godnością. „Musiał zrobić kompletnego fikołka, gdyż jego stopy były zwrócone w kierunku jazdy, a ramiona leżały równo wzdłuż ciała – w tej pozycji było coś absolutnie monumentalnego”. Lord Edmund Fitzmaurice, *The Second Earl Granville*, 1905, ii, 270.

pół godziny wpatrywał się w marmurowe oblicze swego zwycięskiego wroga”. Jednakże młodsza generacja intelektualistów po prostu odrzucała religię. Tacy ludzie jak John Morley, Leslie Stephen czy historyk Frederick Harrison stracili wiarę w początku lat pięćdziesiątych, a są to tylko trzy przypadki wybrane z bardzo wielu. Wszyscy trzej zostali odrzuceni przez swoje rodziny i całe to dramatyczne doświadczenie odcisnęło się silnym piętnem na ich późniejszym życiu. Morley, podobnie jak wielu ludzi epoki, obawiał się, że utrata wiary, stanowiącej źródło wszelkiego ładu w życiu, może prowadzić do melancholii, a nawet szaleństwa. William Ward z Ruchu Oksfordzkiego (*Oxford Movement*) od pewnego znanego lekarza usłyszał, że „głównymi przyczynami chorób umysłowych w Anglii są presja systemu ekonomicznego oraz niepewność przekonań religijnych”. Ta potrzeba istnienia jakiegoś ładu wyjaśnia popularność Auguste’a Comte’a i innych filozofów systematycznych; Morley i Harrison, na przykład, zostali pozytywistami. Wyjaśnia to także (utrzymujący się do dziś) kult George Eliot, żywy wśród intelektualistów, którzy na ogół nie mają zwyczaju traktować powieści na serio. Choć była agnostyczką i osobą na tyle niekonwencjonalną, że związała się z mężem innej kobiety, Eliot stała się orędowniczką idei prawa moralnego, którą potrafiła wyrazić w kategoriach akceptowalnych dla nowej racjonalistycznej świadomości. Frederick Myers opisuje rozmowę, w której Eliot „wychodząc od pojęć Boga, nieśmiertelności i powinności moralnej, ze straszliwą powagą wykazała, jak niepojęta jest idea Boga, jak nieprawdopodobna nieśmiertelność, a mimo to jak niewzruszony i absolutny może być moralny obowiązek”. Nie każdy jednak potrafił uporać się z dylematem, który głęboko odcisnął się na wczesnej młodości wielu ludzi urodzonych w drugiej połowie stulecia. Dziś fakt, że życie ludzkie może nie mieć ostatecznego celu, wydaje nam się czymś naturalnym, ale dla ludzi epoki wiktoriańskiej była to nowa i trudna do zniesienia perspektywa. Nic dziwnego więc, że tyłu wśród nich było dziwaków – Kitchener, Rosebery, Salisbury, Dilke, Curzon, Carson, Randolph Churchill, Fisher, Rhodes, Milner. Często miejsce utraconej pewności zajmowała skłonność do stosowania przemocy – utrata wiary stawała się jedną z przyczyn wybuchu angielskiego imperializmu.

Naturalnie, Kościół tam; gdzie mógł, odpierał ataki wdzierających się na pokład napastników i jego główną ofiarą stała się – nie trzeba chyba dodawać – płeć słabsza. Tyle że w tym względzie miał za sobą najgłębsze resentymy angielskiego społeczeństwa. Kobiety w wiktoriańskiej Anglii miały mniej praw niż w czasach anglosaskich. Nic dziwnego, skoro wśród różnych dóbr cenionych w państwie własności prywatnej żona stanowiła pozycję bardzo istotną. Do roku 1870 nie przysługiwały jej żadne prawa majątkowe i mąż mógł całkiem bezkarnie przywłaszczać sobie jej dochody, wydając je na przykład na alkohol. Nawet ustawa o majątku kobiet zameżnych (*Married Women’s Property Act*), która wzbudziła tyle wrzawy, niewiele w tej materii zmieniła; została znacznie

osłabiona przez Izbę Lordów, a jej postanowienia do roku 1882 nie obejmowały większości form własności. Żadna kobieta nie miała, rzecz jasna, prawa głosu w wyborach parlamentarnych (pod tym względem, jak i wieloma innymi, Wielka Brytania pod koniec stulecia znalazła się już w tyle za większością krajów rozwiniętych), a nieliczne, które mogły głosować w wyborach do samorządu lokalnego, traciły to prawo z chwilą wyjścia za mąż. Tymczasem, choć małżeństwo oznaczało dla kobiety ścisłe podporządkowanie mężowi, uwolnienie się od tego związku było dla niej rzeczą praktycznie niemożliwą. I w tym przypadku wina za ogromne koszty rozwodu oraz przewlekłość procedury spada na Kościół. Ustawa z roku 1857 tylko nieznacznie poprawiła sytuację, a i tak świadomie dyskryminowała kobiety. Mężczyzna uzyskiwał rozwód w przypadku małżeńskiej niewierności żony; kobieta pragnąca rozwodu musiała udowodnić, że zdrada męża obejmowała ponadto kazirodztwo, bigamię, gwałt, sodomie bądź znęcanie się albo że towarzyszyło jej okrucieństwo w pożyciu małżeńskim. W roku 1901 w Anglii udzielono zaledwie około ośmiuset rozwodów, podczas gdy, dla porównania, w Stanach Zjednoczonych – dwadzieścia pięć tysięcy. Kościół okazał się tak reakcyjny w sprawie reformy prawa małżeńskiego, ponieważ sam nie umiał uporać się z niedostatkami głoszonej przez siebie teologii moralnej – wciąż nie mógł się zdecydować na jakąś definicję ważności małżeństwa. Na początku XX wieku nadal borykał się ze starożytną łamigłówką z Księgi Kapłańskiej: czy można poślubić siostrę zmarłej żony (problem, który wyznaczył bieg całej angielskiej reformacji). Sprawa samorzutnie, z żelazną konsekwencją pojawiała się co roku w debatach wiktoriańskich parlamentów. W drugiej połowie stulecia projekty ustaw w tej materii upadały 29 razy, głównie w Izbie Lordów; jeden z nich precyzyjnie się w końcu przez maszynę legislacyjną jedynie dzięki druzgocącemu zwycięstwu liberałów w roku 1906*.

* W roku 1901 jeden z takich projektów ustawy przepadł w Izbie Gmin dzięki lordowi Hugh Cecilowi, przywódcy torysowskich „chuliganów”, który podczas głosowania szedł ku wyjściu na czworaka, co sprawiło, że nie można było zakończyć głosowania w regulaminowym czasie. Zwolennicy projektu protestowali, zarzucając mu, że postępuje niehonorowo [ang. *it is not cricket* – stąd gra słów w następnym zdaniu]. Cecil odparł: „Nie gram w krykieta, ale bronię transcendentnej świętości więzów małżeńskich”. Ale czy rzeczywiście? Jedną z największych porażek chrześcijaństwa był fakt, że nie zdołało wypracować zadowalających formuł prawa kanonicznego dotyczących ważności małżeństwa. Była to słabość o zasadniczym znaczeniu, dotycząca wszystkich wiernych, gdyż Kościół konsekwentnie opierał swoje teorie społeczne na instytucji rodziny monogamicznej jako podstawowej jednostki społecznej. Niewiele par mogło mieć absolutną pewność ważności swojego małżeństwa, a ponieważ Kościół rzymski, w przeciwieństwie do innych wyznań, nie dopuszczał instytucji rozwodu, podważenie ważności małżeństwa było jedynym dostępnym sposobem uzyskania separacji. Przy czym im wyższa była społeczna pozycja zainteresowanych, tym większe prawdopodobieństwo, że z niego skorzystają; tam, gdzie w grę wchodziła racja stanu i stosunki między państwami, niejasności prawne stanowiły prawdziwe zagrożenie dla jedności chrześcijaństwa. Nie przypadkiem więc źle się skończyły dla rzymskiego chrześci-

Niewątpliwie obawy przed zakusami kobiet wobec tradycyjnie męskich obszarów działalności leżały także u źródła uporczywych dążeń do zduszenia wszelkich publicznych manifestacji płci. Pod tym względem opór wobec reform wyprzedzał epokę wiktoriańską o kilka dziesięcioleci. Tymczasem wzory zachowań płciowych dziewiętnastowiecznych Anglików nie odbiegały zbytnio od tych z innych epok, o czym można się dobitnie przekonać, czytając sprawozdania prasowe z procesów rozwodowych i inne dokumenty. Aktorzy wiktoriańskiej sceny politycznej wcale nie zamierzali zdławić występku. Nie próbowali, na przykład, usunąć prostytutek z ulic Londynu ani zamknąć burdeli, a głównym motywem oszczerczej kampanii skierowanej przeciwko Gladstone'owi była chęć odstręczenia go od zamiaru zamknięcia „domu gościnnego” przy St. George's Road, oferującego usługi wyłącznie członkom Izby Gmin oraz parom. Wiktoriańskie przyjęcia były zasadniczo pomyślane jako okazja do romansów pozamażeńskich, uważanych za rzecz oczywistą, pod warunkiem że nie prowadziły do publicznego skandalu. Jednakże „seks”, podobnie jak demokracja, socjalizm, ateizm, pacyfizm i równość, był słowem wywrotowym. Słowem, które dotyczyło kwestii zbyt drażliwych i niebezpiecznych, aby można je było podjąć w otwartej debacie. Ludzie epoki wiktoriańskiej posługiwali się więc, podobnie jak teatry już od początku XVII wieku, podwójnym słownikiem*. Reforma kształtu stosunków między płciami, utożsamiana z występkiem, padła tymcza-

jaństwa małżeńskie problemy Henryka VIII. Zamęt prawny w tej kwestii do dziś osłabia rzymski katolicyzm, który toczy szkodliwą dla siebie i całkowicie jałową wojnę przeciw ślubom cywilnym. Zdumiewające jednak, że anglikanie także nie zdolali rozstrzygnąć tej kwestii. W roku 1898 biskup Londynu, Mandell Creighton, przyznawał w swoim raporcie dla Komisji Konwokacji do spraw Rozwodów, że „w żadnym innym punkcie Kościół Zachodni nie wykazał takiej niekompetencji, gdyż nie mogę tego inaczej nazwać, jak w kwestiach dotyczących małżeństwa. [...] Kościół doprowadził sprawę do stanu tak skrajnego zamętu, że włączyć musiało się państwo, [...] pozostaje faktem, że Kościół, wykazując zasadniczą niechęć do rozstrzygnięcia tej kwestii, napotkał istotne trudności w określeniu, czym jest małżeństwo [...] oraz jakie są warunki jego ważności”. Nawet dziś księża anglikańscy są głęboko podzieleni w kwestii, czy osoby rozwiedzione mogą, bądź powinny, ponownie zawrzeć związek małżeński w kościele. Gdyby Kościół anglikański wypracował jasną doktrynę małżeństwa, świat nigdy nie usłyszałby o rozwodach cywilnych. W ten sposób w perspektywie historycznej Kościół okazał się nie tyle obrońcą, co wrogiem małżeństwa.

* Ustawa z roku 1606 (3 *James I, Chapter 21*) zakazywała używania języka wulgarnego i bluźnierczego w sztukach wykonywanych publicznie; substytuty słów takich jak *zounds* [od *God's wounds* – wykrzyknik: na rany!, o rany!] można znaleźć już w wydaniu sztuk Szekspira z roku 1623 (folio). Podwójny system utrzymał się do roku 1968, gdy ostatecznie zniesiono cenzurę teatralną. Purytanizm zrodził więc inwencję językową, która w epoce wiktoriańskiej osiągnęła w zakresie słownictwa seksualnego niespotykane rozmiary i bogactwo. Wśród synonimów słowa *whore* (prostytutka) znajdujemy: *academician, biddy, bobtail, bunter, bung-up, cat, cock-chaffer, frow, flymy, pave-thumper, trooper i blownen*; burdel nazywano: *academy, corinth, pegger, pegging-crib, swells-ken i convent*. Por. Ronald Pearsall, *The Worm in the Bud – the World of Victorian Sexuality*, London 1969, rozdz. VIII.

sem ofiarą starej angielskiej metody przesądzania winy przez skojarzenie z obcymi wzorami. Gdy w latach dwudziestych XIX wieku Francis Place wystąpił z ideą kontroli urodzin, przeciwnicy jego kampanii zaczęli wydawać magazyn pod tytułem „Bulldog”. Francja jak zawsze została obsadzona w roli głównego winowajcy. Gumowe prezerwatywy nazwano *french letters*, choć w rzeczywistości po raz pierwszy przywieziono je do Anglii z Ameryki. Ksenofobia mocno dała się również we znaki sir Charlesowi Dilke, znanemu ze swej encyklopedycznej wiedzy na temat polityki międzynarodowej, a także z powiązań z francuskimi republikanami, podczas sprawy rozwodowej Crawfordów. Pani Crawford oświadczyła wówczas: „uczył mnie każdego francuskiego występku”, a jej doradca prawny Henry Matthews grzmiał: „Został oskarżony o to, że dopuścił się z angielską damą czynów, do jakich żaden szanujący się mężczyzna nie posunąłby się z ladacnicą we francuskim burdelu”. (Jeśli chodzi o fakty, to członkowie angielskiej klasy rządzącej, z księciem Walii na czele, stanowili najlepszą klientelę sławnych przybytków przy Rue de Provence. W jednym z nich zainstalowano nawet na cześć angielskich podróżników model wagonu sypialnego umieszczony na maszynerii imitującej ruch pociągu, który wyposażono w namalowaną na płótnie panoramę zamków nad Loarą, przesuwaną się za oknami.) Można by nawet wysunąć tezę, że publiczne milczenie ludzi epoki wiktoriańskiej na temat dozwolonych kontaktów seksualnych oraz publiczne gromienie występku wynikało w znacznej mierze z przekonania Anglików, że stanowią odrębną rasę, która dzięki *splendid isolation* (wspaniałej izolacji) trzyma się z dala od moralnej zgnilizny panującej na kontynencie i w czystości przeznacza całą swoją energię na realizację uświęconego celu, jakim było kierowanie światowym imperium. Seks zniszczył Rzym; Anglicy nie życzyli sobie, aby zniszczył Wielką Brytanię. Wygląda jednak na to, że za tą publiczną fasadą poddani królowej Wiktorii zwykli traktować seks o wiele mniej poważnie, czyniąc z niego główny temat żartów i wesołości. Długie sprawozdania w gazetach z wiktoriańskich spraw rozwodowych (które tak szokowały królową Viktorię, że uskarżała się Lordowi Kanclerzowi) często przerywała uwaga: „śmiech na sali”. Podobnie music hall, wiktoriański ekwiwalent telewizji, dawał upust – naturalnie, w ramach pewnej konwencji – prawdziwie sprośnemu stosunkowi do seksu. Mistrz komicznej aluzji, wielki MacDermott, kładł całą salę pokotem ze śmiechu, śpiewając: „*Jeremiah, Blow the Fire*” (*Dmuchał w ogień, Jeremia-szu*). Warto też odnotować, że to on jako pierwszy użył sławnego „*We Don't Want to Fight, but by Jingo if we Do*”.

Tematem tego rozdziału było rozpaczliwie powolne tempo, w jakim Anglicy zabierali się do tego, aby zreformować i ulepszyć swoje społeczeństwo,

a także to, w jaki sposób zmiany, gdy wreszcie nadeszły, często służyły głównie wzmocnieniu istniejących struktur. Z pewnością tempo tych reform – w epoce, której hasłem było ulepszenie świata – musiało być nie do zniesienia dla oświeczonej części angielskiego społeczeństwa. Weźmy choćby stosunkowo drobną, ale znaczącą kwestię przymusowych podatków kościelnych, trudną do obrony pozostałość dawnych czasów, która nie bez racji powodowała wzburzenie nie tylko zwolenników postępu, ale także apolitycznej większości społeczeństwa. Precedensową sprawę sądową wniesiono w Braintree. Toczyła się przez szesnaście lat, rozpatrywało ją dwudziestu ośmiu sędziów w ośmiu sądach, przy czym w czterech sądach zapadł wyrok za, a w czterech przeciwko wnioskowi o uznanie nieprawomocności opłat i dopiero kompleksowy werdykt Izby Lordów z roku 1853 sprawił, że egzekwowanie opłat stało się w praktyce niezwykle trudne; jednakże przymusowe podatki kościelne zostały zniesione ustawą Parlamentu dopiero piętnaście lat później. W niektórych przypadkach dawne bastiony horroru skutecznie odparowały wszystkie ataki. W 1845 roku „Punch” pod wpływem odrazy, jaką wzbudziły publiczna egzekucja kobiety oraz świętoszkowate namaszczenie, z jakim kapelani więzienni udzielają chrześcijańskiego błogosławieństwa takim aktom sądowego morderstwa, z niewzruszoną pewnością oznajmił: „Na pociechę możemy sobie jednak powiedzieć, że niezależnie od tego, czy służy Boży asystują rzeczy dobrej, czy nie, dni szubienicy są policzone, rozsypuje się i musi runąć – obalona mocą narzędzi nie groźniejszych niż kilka piór gęsich”. Pięknie, tyle że publiczne spektakle trwały nadal przez ponad dwadzieścia lat, a wieszanie zniesiono dopiero w roku 1965 – sto dwadzieścia lat później. Angielscy reformatorzy musieli odczuwać głębokie upokorzenie, widząc, jak inne kraje, niegdyś pogardzane z racji swego zacofania społecznego, doganiają i prześcigają Wielką Brytanię. W roku 1884 Niemcy wprowadziły ubezpieczenia od wypadków oraz państwowe ubezpieczenia na wypadek choroby; pięć lat później wprowadzili emerytury pracownicze. W roku 1905, jeszcze zanim brytyjska Partia Liberalna zaakceptowała zasady państwowej opieki socjalnej, niemal 19 milionów niemieckich robotników korzystało z ubezpieczenia od wypadków, 12 milionów z ubezpieczeń chorobowych, a 14 milionów z ubezpieczeń emerytalnych oraz na wypadek niezdolności do pracy.

Z drugiej strony nie można jednak nie doceniać skali angielskich dokonań w tym zdumiewającym stuleciu. I nawet jeśli w niektórych krajach odnotowywano szybszy postęp w pewnych dziedzinach, to jednak właśnie Anglicy, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, zdołali wykorzystać dla sprawy postępu potężną machinę społecznego konsensu, obejmującego wszystkie warstwy społeczeństwa. Przez stulecia człowiek cierpiał niezliczone udręki; teraz – jeśli tylko chciał ze swej wolności korzystać – był wolny. Historyk Henry Thomas Buckle, pod wieloma względami typowy przedstawiciel epoki wikto-

riańskiej*, zakończył swoją *History of Civilisation* triumfalnym peanem isticie baconowskiego optymizmu:

Możliwości człowieka, w tej mierze, w jakiej możemy polegać na świadectwach doświadczenia bądź analogii, są nieograniczone; nie mamy też żadnych dowodów, które nakazywałyby nam zakreślać, choćby w wyobraźni, granicę, poza którą ludzki intelekt, z konieczności, nie mógłby już dalej sięgnąć.

Anglicy końca epoki wiktoriańskiej – bardziej wyrafinowani i krytyczni, a także bardziej odarci z iluzji – uważali, że to naiwne sentymenty. Powiadali, że Buckle traktował bieg dziejów „jako rodzaj zmagania o zniesienie Praw Zbożowych, w których miejsce taniego chleba zajęłaby wiedza” oraz że w istocie sprowadzał sens postępu do infantylnej śpiewki:

Wierzę, że wszystkie gazy
Mają moc, która podniesie masy.

Leslie Stephen, pisząc o latach pięćdziesiątych XIX wieku, wyśmiewał epokę, w której „ludzie utrzymywali, że Diabeł ostatecznie popełnił samobójstwo na widok Wielkiej Wystawy Światowej, choć przedtem robił, co mu się żywnie podobało, dopóki Luter nie cisnął mu w twarz kałamarnem”. Oczywiście, optymizm Buckle’a był naiwny, jednakże wszystkie prawdy pojawiają się najpierw w takiej uproszczonej postaci. Historia uczy nas, że rezygnacja nigdy nie służy poprawie straszliwego losu ludzkości i że zaufanie do własnych sił naszego gatunku stanowi pierwotny warunek wszelkiego postępu. W XIX wieku Anglicy z wielkimi nadziejami patrzyli w przyszłość i obwieszczali to pozostałym narodom; późniejsze wydarzenia wstrząsnęły tą wiarą, ale jej nie złamały i to dzięki niej ludzkość przetrwała potworności, które ludziom epoki wiktoriańskiej wydałyby się nie do pojęcia.

Co więcej, w tym okresie Anglicy osiągnęli dojrzałość jako naród. Nauczyli się śmiać z rzeczy mrocznych i doceniać znaczenie intelektu. Po raz pierwszy opanowali gwałtowną stronę swojej natury – skutecznie i na dobre. Po pełnym chaosu i zamętu, zatrważającym społeczeństwie lat trzydziestych, które Disraeli opisywał w *Sybil*, dwadzieścia lat później nie pozostało śladu; musiało się ono ówczesnym Anglikom wydawać równie odległe w czasie jak nam Lancashire opisane przez Orwella w *The Road to Wigan Pier*. Anglia końca epoki wiktoriańskiej była głęboko zaszokowana wieścią, że w roku 1886 tłum bezrobotnych powybił w Londynie szyby wystawowe, choć nikt przy tym nie zginął ani nie został nawet poważniej poturbowany. Tradycja protestu bez uciekania się do

* Włączając w to fakt, że w tajemnicy utrzymywał kochankę, panią Faunch. Zob. Giles St. Aubyn, *A Victorian Eminence*, London 1958.

przemocy zdążyła już zapuścić głębokie korzenie; uważano ją za odwieczną i oczywistą. Fakt, że przez pierwsze trzy dekady tego stulecia Anglia często stawała na krawędzi krwawej rewolucji i że tłum uliczny stanowił wówczas podstawowy instrument wprowadzania zmian politycznych, pod koniec stulecia postrzegano jako zjawisko z zamierzchłych epok, czasów równie odległych co Wojny Róż*. W latach osiemdziesiątych można już mówić o małżeństwie między klasą polityczną a całym społeczeństwem – małżeństwie z pewnością niedoskonałym, w którym często dochodziło do kłótni, a od czasu do czasu padały groźby rozwodu, jednak na tyle trwałym, by możliwy był dalszy dialog między nimi, prowadzący do zmian za pośrednictwem form prawnych i konstytucyjnych. W tym samym czasie na świecie wypadki biegły zgoła innym torem. W Stanach Zjednoczonych doszło do bezlitosnej i długotrwałej wojny domowej, która zrodziła tyle samo problemów co rozwiązała i w istocie zinstytucjonalizowała w amerykańskim społeczeństwie tradycje przemocy; Francja przeżyła trzy rewolucje, daremnie poszukując stabilności politycznej; Niemcy zmierzały ku militarnej dyktaturze, a Rosja sposobila się do utrwalenia bestialskiej autokracji, rządzącej w imieniu mitycznego ludu. Anglicy, jak widzieliśmy, zapłacili wysoką cenę za pokój wewnętrzny. Jednakże patrząc na to w kategoriach ludzkiego szczęścia, czy ktoś może powiedzieć, że był to zakup nierozsądny?

Uczciwym pośrednikiem w tej transakcji oraz celebrazem na ślubie między klasą polityczną a narodem był William Ewart Gladstone. Dzieje politycznej pielgrzymki tego niezwykłego człowieka, jego przeistoczenia się z młodzieńca nazwanego przez Macaulaya „wschodzącą nadzieją surowych, nieugiętych torysów” w starego orła demokracji, któremu świat nadał miano „William – przyjaciel ludu”, stanowią w zasadzie opowieść o tym, w jaki sposób Anglicy dochodzili do osiągnięcia politycznej dojrzałości. Potężne zmagania idei toczące się w jego umyśle zarazem kształtowały i odzwierciedlały zmagania toczące się w całym społeczeństwie; jak wszyscy wielcy politycy, Gladstone tyleż przewodził innym, co podążał za ich odczuciami. Tacy politycy zdarzali się już wcześniej – zwłaszcza Peel, a nawet do pewnego stopnia Palmerston. Jednakże

* We wrześniu 1838 roku w Wymondham w Norfolk doszło do incydentu, który mógłby figurować w *The Paston Letters*. W następstwie rozprawy sądowej, dotyczącej prawa własności do posiadłości w Stanfield Hall, jeden z ubiegających się o majątek, pan Larner, zajął posiadłość siłą na czele osiemdziesięciosobowego oddziału swoich stronników, noszących w charakterze liberii gałązki laurowe zatknięte za kapeusze. Ostatecznie zostali usunięci przez 4. regiment dragonów gwardii. Zob. Owen Chadwick, *A Victorian Miniature*, London 1960. Niezdolność władz, jeszcze w latach czterdziestych XIX wieku, do egzekwowania prawa w odległych częściach kraju stanowi temat powieści R. D. Blackmore, *Christowell*, której akcja osadzona jest w Dartmoor. Jednak wraz z rozwojem kolei i elektrycznego telegrafu tłumienie i przewidywanie lokalnych zaburzeń stało się rzeczą coraz prostszą. Nowoczesna technika jest wrogiem tłumy: w dzisiejszych czasach w krajach rozwiniętych skuteczna rewolucja bez zgody lub udziału regularnych sił zbrojnych jest już niemożliwa; nawet w krajach zacofanych staje się to coraz trudniejsze.

o wyjątkowości Gladstone'a decydowało połączenie konserwatywnego temperamentu, radykalnego intelektu i niespokojnego sumienia. Sumienie stawiało pytania, intelekt przynosił odpowiedzi, a temperament włączał je w nurt tradycji. I właśnie dzięki temu niespokojny, zmienny rytm epoki wydawał się czymś równie pewnym i niezmiennym jak to, że ziemia obraca się wokół własnej osi. Trudno o przykład bardziej dogłębnej i rewolucyjnej przemiany poglądów niż rozwój politycznej osobowości Gladstone'a, a mimo to nie sposób wskazać na jakikolwiek konkretny epizod, który wyznaczałby jakościową zmianę jego poglądów; stopniowa, ewolucyjna natura tego procesu nadawała mu znamię nieuchronności. W młodości Gladstone miał inklinacje do stanu duchownego (tak jak kardynał Manning był z natury politykiem) i przez wiele lat postrzegał życie publiczne bardziej w kategoriach kościelnych niż politycznych. W październiku 1832 roku jadł śniadanie ze swoim patronem, księciem Newcastle, który zaoferował mu pewne miejsce w Parlamencie. Zapis tej rozmowy najlepiej ilustruje, jak długa droga czekała tego młodego człowieka w przyszłości:

Książę: Przyznam, że wielkim niepokojem napawają mnie potworności rozbudzenia namiętności politycznych.

Gladstone: Wasza Miłość, sądzę, iż czekają nas czasy, w których te namiętności dadzą o sobie znać, gdyż jeśli po długim okresie powodzenia i spokoju umysły ulegną wzburzeniu [...], zwykle myśl zaczyna biec naprzód, przybierając wszelkie postaci, jakie tylko przybrać zdoła.

K: Tak, w rzeczy samej. Nie ulega wątpliwości, że jeśli jako naród opuścimy Boga, Bóg opuści nas.

G: Zgadzam się, milordzie. I wydaje mi się, iż zbliżamy się do czasów, w których można spodziewać się wydarzeń tak strasznych, że język wzdraga się je wyrazić [...]. Będziemy, jak sądzę, świadkami wielkiej konfrontacji zasad dobra i zła. Wszystko zaś wskazuje na to, że droga ku niej wiedzie przez nadchodzący upadek papieżstwa.

K: Cóż, papieżstwo usiłuje dziś zebrać siły, sądzę wszakże, że to jedynie poprzedzi jego ostateczną porażkę i upadek.

G: Rzymski katolicyzm niesie tyle zła, a jednak perspektywy rysujące się po jego obaleniu są tak zatrważające, że nie wiadomo, czy bardziej życzyć sobie jego przetrwania, czy jego upadku.

K: Pytanie, co może zdarzyć się później, wydaje się w najwyższym stopniu interesujące.

G: Obawiam się, że musi zwyciężyć niewiara – przynajmniej na jakiś czas.

K: Nie ulega chyba wątpliwości, że powinniśmy życzyć sobie jej wykorzenia.

G: Wydaje mi się, że rację mają ci, którzy powiadają, iż stan społeczeństwa kryje w sobie liczne schorzenia – ale myślą się, uważając je za tak powierzchowne, że można je uleczyć na drodze legislacyjnej.

K: Ostatecznie wszystko zależy od jednostek; tego zaś nie da się rozstrzygnąć ustawą Parlamentu.

Wiele lat świetlnych intelektualnych doświadczeń dzieliło ten moment od chwili, gdy okazało się, iż to właśnie Gladstone będzie wierzył – być może głębiej niż którykolwiek mąż stanu – w to, że same działania polityczne mogą stać się siłą moralną i że ustawy Parlamentu stanowią najdoskonalsze narzędzie rozwoju całego społeczeństwa. Naturalnie, człowiek, który mierzył tak wysoko, musiał się liczyć z porażką i gdy spojrzeć na życie Gladstone'a w kategoriach jego zdumiewających zamiarów, istotnie poniósł porażkę. Niemniej ustawy Parlamentu stały się w jego rękach potężną bronią i jego osiągnięcia w tym zakresie nie mają sobie równych w całej historii Anglii. Jednak, co ważniejsze, Gladstone odkrył, że demokracja nie jest potworem, którego trzeba poskramiać czy tym bardziej unikać, ale siłą moralną, którą należy wyzwolić. Nauczył się ufać społeczeństwu i starał się przekazać tę lekcję innym politykom, nie zawsze z powodzeniem. W pewnym sensie takie pojmowanie demokracji stało się jego chrześcijańskim wyznaniem wiary: obdarzmy każdego człowieka wolnością, a w jego umyśle rozjarzy się Boża iskra, świecąca równie jasno, choćby był najniższego stanu i pochodzenia, jak w umyśle człowieka urodzonego do władzy; naturalnie, człowiek może to światło odrzucić, ale nie można odrzucić świadomości posiadania wolnej woli, nie odrzucając zarazem mocy Bożej, a jak pokazuje doświadczenie, w większości przypadków człowiek to światło akceptuje. Ta chrześcijańska teoria demokracji polegała w istocie na wyciągnięciu ostatecznych konkluzji z pelagianizmu; z chwilą gdy Anglicy ostatecznie osiągnęli dojrzałość polityczną, możemy dostrzec w procesie ewolucji, który ich do tego doprowadził, zachwycającą ciągłość i symetrię. Gladstone miał rzadko spotykaną zdolność przyznawania się do błędów, która nie odbierała mu przy tym zaufania do własnego sądu. Odrzucenie elitarnego rozumienia polityki nie tylko nie zmąciło pewności jego przekonań, ale przeciwnie, jeszcze je wzmoгло: źródłem siły stało się teraz dla niego całe społeczeństwo. Szczególnie silne wrażenie wywarło na nim w okresie amerykańskiej wojny domowej zachowanie się przędzalników z Lancashire, którzy nie tylko odrzucili pozorny własny interes, dyktujący im popieranie Południa, ale także wierzyli (w przeciwieństwie do Gladstone'a) w zwycięstwo Północy – przebieg wypadków potwierdził zarówno ich przewidywania, jak prawość postaw. Była to, jak powiedział, „wielka lekcja dla nas wszystkich, dzięki której mogliśmy się przekonać, że w tych nieoświeconych, ale myślących umysłach z wolna kształtują się, jak się okazuje, głębokie, niewzruszone i dojrzałe uczucia i sądy”. Właśnie ten epizod stał się zarodkiem kampanii w Midlothian, źródłem przekonania, że można wprowadzić lud na sam środek sceny politycznej i pozwolić, by wyrażał swoje opinie, niczym zbiorowa wyrocznia moralna, której głosu świat będzie słuchał; od tego momentu już tylko krok dzielił Anglików od uchwycenia zasady samookreślenia i prób zastosowania jej do sytuacji narodu irlandzkiego. I tak w wieku powstawania imperiów, w tym także ich własnego, Anglicy dali życie idei wyzwolonego świata.

Historię tę musimy jednak zakończyć melancholijną kodą. Do swojej teorii chrześcijańskiej demokracji Gladstone dodał na koniec pewne znamienne ograniczenie. U kresu życia sporządził testament dla młodego dziedzica, który miał otrzymać posiadłość w Hawarden, tę, której poświęcił tyle troski i niepokoju i tyle płodnych myśli. Dokument ten nie we wszystkich miejscach jest jasny: Gladstone zachował wiele nawyków myślowych człowieka o akademickiej formacji i często pisał najbardziej zawile tam, gdzie starał się wyrazić myśli najbardziej doniosłe. Jeden z fragmentów, dotyczący społecznej siły klasy ziemiańskiej, brzmi następująco:

Wpływy wynikające z posiadania [majątku ziemskiego] rozciągają się dalej niż sam majątek i stanowią podstawę naturalnego przewodnictwa, opartego na swobodnym przyzwoleniu, które ma szczególną wartość w okresach, gdy większość, w teorii, cieszy się pełnią władzy politycznej, która to władza, z racji nieuchronnych ograniczeń ludzkiej natury, zawsze wszakże może wymknąć jej się z rąk.

Myślę, że Gladstone chciał wyrazić przez to myśl następującą: Anglicy obdarzeni z urodzenia władzą lub przywilejami mają pewne specjalne obowiązki wobec społeczeństwa, polegające na uzupełnianiu niedoskonałości powszechnej demokracji, braków wynikających z politycznych konsekwencji nierówności, których żadna ludzka mądrość nie jest w stanie ostatecznie wyeliminować. Anglicy od czasu do czasu będą ulegać zaślepieniu, stawać się swymi najgorszymi wrogami, albowiem nie zdołają wykorzystać wszystkich możliwości władzy, jaką otrzymali. Wtedy właśnie potrzebna jest elita – nie po to, by rządzić, ale po to, by dzięki jej pomocy ludzie mogli rządzić się sami. Te ostatnie słowa Gladstone'a pisane w lipcu 1897 roku podsuwają ważny klucz do rozumienia dziejów Anglików w naszych czasach. Sugerują, co należy zrobić, aby wspaniałości postępu wzięły górę nad związanymi z nim nieszczęściami. Nim do tego dojdziemy, musimy jednak najpierw prześledzić, w jaki sposób te nieszczęścia pokonały Anglików.

Rozdział VI

Hybris i nemezis

1870–1990

W roku 1870 Anglia w powszechnej opinii uchodziła za najsilniejszy i najbogatszy kraj na ziemi, być może nawet najbogatszy w dziejach ludzkości. Anglicy nie wzbudzali jednak szczególnej sympatii. Prawdę mówiąc, szczerze ich nie znoszono; lord Palmerston, który zmarł pięć lat wcześniej, nie miał co do tego żadnych złudzeń i często powtarzał swoim ambasadorom, że tak bogaty, obdarzony łaskami fortuny i odnoszący sukcesy kraj jak Anglia w sposób naturalny musi budzić zawiść i głosy potępienia; dopóki tego rodzaju reakcje ograniczały się do słów i były tonowane pod wpływem szacunku lub – w razie konieczności – strachu, nie było się czym przejmować. Anglia kierowała się własnymi interesami i potrzebami, które (dzięki wyrokom przyjaznej opatrności) szczęśliwie zbiegały się w dłuższej perspektywie z interesami cywilizowanego świata, a w istocie z interesami całej ludzkości. Anglia podążała w zgodnym rytmie z duchem postępu, ciągnąc za sobą resztę świata. Nie potrzebowała sojuszników w postaci państw narodowych, ponieważ jej prawdziwymi sojusznikami były siły oświecenia – moralnego, ekonomicznego i ustrojowego postępu, które wszak ze swej natury były wszechobecne, trwałe i niezmiennie. Anglicy odkryli fundamentalną prawdę, że moralność w stosunkach między narodami i dążenie do bogactwa nie tylko się ze sobą nie kłóca, ale są w pewnym sensie ze sobą tożsame – jak to ujął Locke: „Widać dziś niezbicie, że cnota stała się najkorzystniejszym nabytkiem i z całą pewnością najlepszym interesem”. Anglicy odkryli tę prawdę na użytek własny, a teraz starali się przekazać ją innym. Bóg stał się Wielkim Księgowym, Najwyższym Rachmistrzem, Prezesem nad Prezesami światowej liberalnej gospodarki, a do realizacji swych celów potrzebował właśnie takich narzędzi jak wolny handel i Royal Navy.

Dokładnie sto lat później, w roku 1970, nic nie pozostało z tej wielkiej wizji. Anglia jest dziś najstarszym i pod wieloma względami najbiedniejszym z krajów wysoko uprzemysłowionych. Drogowskazy wskazujące drogę ku przyszłości już nie znaczą jej marszruty; przeciwnie. Anglicy wciąż są obiektem krytyki – wśród krytyków nie brakuje ich samych – jednak nie dominuje już w niej ton zazdrości i oburzenia, ale raczej zniecierpliwienia i przestrogi. Miejsce lęku zajęła obojętność, szacunek ustąpił politowaniu, a miast podziwu zjawiała się pogarda. Anglicy utracili swą arogancję, a z nią pewność siebie. Świat wydaje im się nagle miejscem pustym i obcym, w którym przyszło im żyć na niewielkim skrawku przestrzeni. Bóg Palmerstona okazał się starym drewnianym bożkiem, ślepym i bezsilnym. Ich modlitwy trafiają w próżnię, a oczy świata zwracają się ku innym narodom. W przeszłości zdarzały się już takie przemiany, ale nigdy nie były tak szybkie i tak definitywne – z całą pewnością zaś nigdy nie przytrafiło się to Anglikom. Zwykły los innych narodów wydaje im się czymś wyjątkowym, niszczycielskim ciosem niesprawiedliwej fortuny, nieprzewidzianym, niezasłużonym, irracjonalnym i w najgłębszym sensie niemoralnym. Gdzie popełniono błąd? Jak do tego doszło? Kto jest temu winien? Kiedy bieg postępu przestał się toczyć w angielskim rytmie? Odpowiedź jest w istocie bardzo prosta – to stara historia pychy (*hybris*) i nieubłaganej kary, jaką na siebie ściąga (*nemezis*).

Ósmego lutego roku 1870 w Oksfordzie miał się odbyć wykład inauguracyjny profesora właśnie utworzonej katedry sztuk pięknych. John Ruskin miał wówczas 51 lat i jego umysłu nie zaćmiewała jeszcze chmura nadchodzącego szaleństwa; był u szczytu swoich możliwości, cieszył się uwielbieniem całego narodu. Jego książki rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a jego powszechnie podziwiany styl często stawał się obiektem naśladownictwa. Nawet w tym wieku polihistorów Ruskin nie miał sobie równych i wielu uważało go za największego z żyjących. W istocie tak wielu, że w amfiteatrze Oxford Museum, gdzie miał się odbyć wykład, już na godzinę wcześniej nie było wolnego miejsca, a setki chętnych tłoczyły się u wejścia; w tej sytuacji przewodniczący, sir Henry Acland, postanowił przenieść wykład do bardziej przestronnego Sheldonian Theatre. Wysoki, szczupły Ruskin niczym Pied Piper poprowadził podekscytowany tłum akademików przez mroźne ulice Oksfordu. Jak się okazało, warto było posłuchać tego, co miał do powiedzenia. W jego wykładzie po raz pierwszy doszła bowiem do głosu nowa nuta, zmiana tonu epoki, choć mówić miał o rzeczach godziwie starożytnych i kuszących (dla uszu Anglika). Nie bez powodu uskarżał się później, że „moi koledzy profesorowie przybyli do mnie ze srogim obliczem, by sprzeciwić się wprowadzaniu tego rodzaju niestosownych i utopijnych tematów do wykładów poświęconych sztuce”. Ruskin skoncentrował się bowiem nie tyle na sztuce przebranej w szaty akademickiego wykładu, czy w ogóle w jakimkolwiek przebraniu, ale na wezwaniu do radykalnego heroizmu.

Staje przed nami przeznaczenie, najwyższe, jakie kiedykolwiek naród miał sposobność przyjąć lub odrzucić. Wciąż jesteśmy nie zdegenerowaną rasą; rasą stanowiącą mieszanekę najlepszej północnej krwi. [...] Wciąż potrafimy zdecydowanie rządzić i z godnością słuchać rozkazów. [...] Czy wy, młodzi Anglicy, uczynicie na powrót swój kraj wspaniałym tronem królów, wyspą, która panując nad światem, stanowi dlań źródło światła, oazę pokoju, mistrzynię sztuk i nauk? [...] Takie właśnie wyzwanie staje przed Anglią i albo Anglia mu sprostą, albo zginie; musi, tak szybko jak to tylko możliwe, założyć kolonie, nawet w najodleglejszych zakątkach globu, zasiedlone przez najbardziej energicznych, najlepszych ludzi; musi przejąć każdy żyzny kawałek pustkowia, na którym zdołają postawić stopę, i nauczyć swych kolonistów, że ich główną cnotą winna być wierność swojemu krajowi, a pierwszym celem – rozwój potęgi Anglii na lądzie i na morzach [...].

Sprawa była poważna, jak zawsze, gdy zamknięci dotąd w swych gabinetach uczeni w piśmie, profesorowie i im podobni odkrywają w sobie z nagłą iskrę natchnienia, która zmusza ich do porzucenia ukochanej dyscypliny wiedzy, by mogli użyć swego autorytetu mglistym, złowróbnym, mistycznym objawieniom dotyczącym przeznaczeń ludzkości – a zwłaszcza jakiejś poszczególnej rasy czy narodu. Oksfordzcy profesorowie gorliwie poświęcali się dotąd blokowaniu rozwoju wiedzy, toteż ich wpływy, choć niemal wyłącznie szkodliwe, miały co najwyżej charakter negatywny. Ruskin zapoczątkował nową modę, oworzył sezon szalonych profesorów. To prawda, że i on miał swojego Jana Chrzciciela w osobie subtelnego i ponoć świętego Johna Henry'ego Newmana. W latach czterdziestych XIX wieku Newman w swoich dublińskich wykładach poświęconych idei uniwersytetu oznajmił studentom między innymi, że główną zasługą angielskich *public schools* był fakt, iż wydały na świat

[...] bohaterów i mężów stanu, twórców literatury i filozofów, ludzi wybitnych ze względu na swe przyrodzone cnoty, sposób postępowania, znajomość życia, celny osąd w sprawach praktycznych, wyszukany smak i dokonania, ludzi, którzy stali się twórcami dzisiejszego oblicza Anglii – kraju zdolnego podporządkować sobie całą kulę ziemską.

Kilka lat później w Irlandii nastąpił wielki głód [w latach 1846–1848] i „bohaterowie oraz mężowie stanu” jakoś zupełnie nie wykazali się, przynajmniej w oczach Irlandczyków, „trafnym osądem w sprawach praktycznych”; w rzeczy samej dowiedli, że nie potrafią, albo nie chcą, złagodzić skutków największego naturalnego kataklizmu w dziejach kraju. Jednak od tamtego czasu idee Darwina już od ponad pokolenia krążyły w powietrzu, toteż zostały nie tylko przyswojone, ale także zwulgaryzowane i zniekształcone, przez co dla wielu Anglików stały się dogodną pożywką dla nowej wersji idei narodu wybranego. Tym razem owa szczególna rasa, ich własna, zawdzięczała swą wyróżnioną pozycję w planach przeznaczenia nie jakimś wątpliwym dokumentom historycznym czy rzekomej działalności apostołów w pierwszym stuleciu naszej ery, ale

procesom naturalnej selekcji, które sprawiają, że tylko najlepiej przystosowani są w stanie przeżyć i panować nad innymi; Anglicy zostali więc wybrani nie przez Boga, ale przez samą Naturę, co można było wykazać za pomocą nieodpartej teorii naukowej. Oczywiście, Darwin niczego takiego nie powiedział i zawsze z całą mocą podkreślał, że procesy doboru naturalnego są moralnie neutralne. Jednakże hasło „naturalnej selekcji” (*survival of the fittest*) wydawało się tak trafnie opisywać wydarzenia z dziejów Anglii oraz dominującą pozycję rasy Anglików, że uczeni mężowie doszli, naturalnie, do przekonania, iż prawa nauki potwierdzają słuszność angielskiej polityki w skali globalnej. Idea była kusząca, a już na pewno dla bystrych, młodych ludzi, nic dziwnego więc, że Ruskin miał wielu gorących zwolenników. A ponieważ był przekonany, że ukształtowanie narodu wybranego wymaga dyscypliny nie tylko intelektualnej, ale także fizycznej, kazał swoim studentom pracować przy budowie dróg pod nadzorem swojego ogrodnika Downsa. Wśród gorliwych budowniczych znalazł się między innymi Alfred Milner, a inny uczeń, Cecil Rhodes, nie brał udziału w pracach tylko ze względu na słabe zdrowie. Tak oto w domu straconych okazji narodził się wiek imperializmu.

Jeśli jednak mamy dobrze zrozumieć dzieje Anglików na przestrzeni ostatnich stu lat, musimy sobie wyraźnie uświadomić, że ta nowa idea imperializmu – zrodzona w Oksfordzie, wykształcona w Westminsterze, a następnie wyeksponowana do kolonii – była pod każdym istotnym względem obca duchowi, w jakim Anglicy zdobywali dotąd swoje terytoria zamorskie oraz nimi zarządzili. W wieku XVI i XVII Anglicy byli nie tylko kupcami, ale także misjonarzami, którzy pragnęli wyzwolić tubylców z mroków pogaństwa, a jeszcze częściej hiszpańskiego katolicyzmu, zdobywając zarazem surowce i nowe rynki zbytu. I nawet jeśli w XVIII wieku ten nurt kolonializmu zniknął z pola widzenia, ustępując ekspansji przeraźliwego materializmu, jaki cechował ogromne handlowe imperium, czerpiące haniebne zyski z procederu niewolnictwa, to jednak wciąż płynął pod powierzchnią zdarzeń. W końcowych dekadach XVIII stulecia idealizm znów stał się jednym z głównych motywów poczynań Anglików w koloniach. Warto zauważyć, że w okresie zawierania unii z Irlandią nie kto inny jak Jerzy III zdecydowanie odmówił przyjęcia tytułu cesarza, powołując się, wedle świadectwa sekretarza Canninga, A. G. Stapletona, na „poczucie, iż jego prawdziwa godność polega na tym, że w Europie i na świecie znany jest pod stosownym i nie budzącym wątpliwości imieniem związanym z Koroną brytyjską”. Wyciągnięto wnioski z lekcji amerykańskiej. Anglicy zaczęli postrzegać swoje panowanie jako okres zasadniczo przejściowy, w którym przypadła im rola bardziej powierników niż posiadaczy. Burke dostrzegał w imperium siłę natury duchowej, a nie fakt okupacji wojskowej: „Dopóki macie tę mądrość, by zachować [...] ten kraj jako świątynię wolności, wszędzie, gdziekolwiek ludzie

będą czcić wolność, będą zwracać ku wam swe twarze”. Anglicy na wiele sposobów odgrywali rolę nauczyciela, zwłaszcza za pośrednictwem religii i handlu, ale nikt nie wątpił, że uczniowie w końcu uwolnią się spod kurateli, dzięki czemu więzy wzajemnego zainteresowania staną się jeszcze silniejsze, bo dobrowolne.

Proces nie przebiegał jednak bez zakłóceń, ponieważ wiele terytoriów przeszło w angielskie posiadanie na zasadzie przypadku, w wyniku sporów, które miały głównie europejski rodowód. Można wszakże mówić o pewnych mocnych i uniwersalnych prawidłowościach. Za burzliwymi debatami dotyczącymi osoby Warrena Hastingsa [gubernator Kompanii Wschodnioindyjskiej w latach 1772–1785; w 1788 postawiony w stan oskarżenia, niewinny w 1795] kryło się coraz powszechniejsze przekonanie, że subkontynentem indyjskim nie można rządzić za pomocą korupcji, czyli metodami, jakie angielscy administratorzy przejęli od hinduskich książąt. Przekupstwo jako metoda rządzenia było już nie do przyjęcia w Anglii, nie można go więc było praktykować gdzie indziej. Hastings nie był łajdakiem, ale przeżytkiem poprzedniej epoki, człowiekiem posługującym się metodami, które nie znajdowały już poparcia angielskiego Parlamentu i opinii publicznej. W miarę jak ustępował system Walpole’a, na puste miejsce nieuchronnie wkroczała „efektywność”. Najważniejsze miały być teraz interesy zdecydowanej większości mieszkańców, czyli tubylców. W okresie bitwy pod Waterloo Anglia była bezpośrednio odpowiedzialna za 87 milionów Hindusów, a pośrednio – jeszcze za 43 miliony. Obejmując stanowisko gubernatora generalnego w Indiach, lord William Bentinck pisał w roku 1828 do Benthama: „Tytularnym władcą będę ja, ale faktycznie to ty będziesz rządził”. W ten sposób Indie w szybkim czasie zostały poddane wpływom zachodnich idei oraz metod uczciwego, systematycznego i konsekwentnego sprawowania władzy. Odwołując się do opracowanego przez Macaulaya wielkiego planu zbudowania w Indiach systemu edukacji, Bentinck w roku 1835 oświadczył, że „treścią wyższego wykształcenia powinna być wiedza Zachodu, w tym także nauki przyrodnicze, a językiem wykładowym powinien być angielski”. Była to decyzja o fundamentalnym znaczeniu, albowiem skierowała dzieje Indii – a w istocie dzieje większości krajów Azji – a następnie Afryki, w zupełnie nowym, radykalnie odmiennym kierunku: setki milionów ludzi miały teraz gospodarczo, politycznie, społecznie i technologicznie podążać drogą wyznaczaną przez kraje Zachodu. Wraz z ideami przyszły maszyny: wiek kolei żelaznych zawitał do Indii niespełna pół pokolenia po szczytowym momencie boomu kolejowego w Anglii, a z każdym nowym wynalazkiem ten poślizg czasowy stawał się coraz mniejszy. Starożytna cywilizacja poddana została potężnym ciśnieniom wymuszonego rozwoju. Bunt Sipajów z roku 1857 nie był wcale narodowym powstaniem przeciw obcym rządóm, gdyż rządy Anglików były dla Indii na ogół korzystne, a ich zakres w sumie niewielki. W istocie był to protest konserwatywnych sił hinduskiego społeczeństwa przeciw niczym nie ograniczonym wpływom

zachodniego stylu życia. Powstanie doprowadziło do licznych korekt w sposobie działania angielskiej administracji, które poprzez świadome wzmocnienie tradycyjnych hinduskich instytucji prowadziły do wyraźnego zwolnienia tempa procesu modelowania Indii według zachodnich wzorców. Nie doszło jednak do bezpośredniej rewizji ostatecznego celu angielskiej dominacji w Indiach. Macaulay przewidywał, że chwila, w której Hindusi „zdobywszy europejską wiedzę [...] zażądamy europejskich instytucji będzie dla Anglików dniem największej dumy w całych dziejach Anglii”. To przekonanie pozostało niezmiennym fundamentem polityki angielskiej aż do początków epoki imperializmu.

Z końcem wojen napoleońskich Anglia stała się duchowym spadkobiercą rozpadających się imperiów europejskich. Anglicy pozostali niemal jedynymi aktorami na światowej scenie politycznej, a ich dominacji zazdrośnie strzegła królewska marynarka wojenna. Nie zamierzali jednak wykorzystywać powstałej sytuacji do budowy imperium, ale raczej do tego, by poddać całą planetę dominacji zasad postępu moralnego i samodoskonalenia, które właśnie zaczęli propagować we własnym kraju. W istocie angielska klasa rządząca była bardziej liberalna w koloniach niż na Wyspach Brytyjskich. W Kanadzie *Quebec Act* z roku 1774 przyznawał oficjalny status prawny rzymskiemu katolicyzmowi i francuskiemu prawu cywilnemu, kładąc kres politycznej dyskryminacji, którą brytyjscy i irlandzcy katolicy musieli znosić jeszcze przez pół wieku. Lojalistyczni uchodźcy ze Stanów Zjednoczonych, którzy osiedlili się w Górnej Kanadzie [prowincja Ontario], nie musieli długo czekać na przyznanie im znacznego samorządu; obie Kanady otrzymały wzorcowe konstytucje w roku 1791. Jednakże tego, co okazywało się właściwe dla europejskich osadników, nie można było w nieskończoność odmawiać innym. Anglicy zdecydowanie odrzucili pogląd Arystotelesa, że „wielu ludzi rodzi się w ignorancji i niewoli, a zatem powinni być niewolnikami”. Dwa lata przed wybuchem rewolucji francuskiej angielscy ewangelicy założyli Stowarzyszenie na rzecz Zniesienia Handlu Niewolnikami, a w roku, w którym obie Kanady otrzymały konstytucje, ufundowało osadę dla wyzwolonych niewolników w Sierra Leone. Wpływy Wilberforce'a i sekty z Clapham dawały o sobie znać w Urzędzie do spraw Kolonii (Colonial Office), zajmującym z wolna pozycję jednego z najważniejszych ministerstw. Urząd był dziełem dwu pracowitych i pobożnych dżentelmenów, lorda Bathursta i jego podsekretarza Henry'ego Goulburna; jednak *spiritus movens* całej instytucji był szwagier Wilberforce'a, James Stephen, który nieprzerwanie zajmował stanowisko podsekretarza stanu aż do roku 1847. Stephen nie zastanawiał się, jak rządzić koloniami; myślał o tym, jak je udoskonalać. Niezwykle pracowity, przejawiał wiele wad doktrynera, równocześnie jednak był człowiekiem ożywionym duchem krucjaty, reformatorem czerpiącym inspirację z głębokiego poczucia moralnego obowiązku wobec poddanych narodów. Nie pytał: „Co tubylcy mogą zrobić dla nas?”, ale: „Co Anglicy mogą zrobić dla tubylców?”

A co mogli zrobić? W tej kwestii istniały dwie konkurencyjne teorie, których zwolennicy odwoływali się do tych samych biblijnych źródeł. Pod koniec XIX wieku w sztuce *Mąż przeznaczenia* Bernard Shaw szydził z hipokryzji, z jaką Anglicy budują imperium: „Gdy [Anglik] potrzebuje nowych rynków dla swojej tandety z Manchesteru, wysyła misjonarza, żeby przekazał miejscowej ludności Dobrą Nowinę pokoju”. Shaw pisał jednak te słowa w świetle doświadczeń brutalnego i cynicznego imperializmu końca wieku. Sto lat wcześniej angielscy misjonarze i koloniści kierowali się zupełnie innymi motywami, a ich skrajny altruizm często stawał się zarzewiem poważnych konfliktów. Cztery wielkie zagraniczne towarzystwa misyjne założone około roku 1800 odrzuciły wszelkie powiązania z instytucjami brytyjskiego rządu w obawie, że organy władzy świeckiej przyniosą ze sobą ucisk i deprawację moralną, podczas gdy ich jedynym celem była poprawa sytuacji tubylców:

Czyż nie powinniśmy starać się podnieść te nieszczęsne istoty z ich obecnego żalostnego położenia, a nade wszystko objawić im błogosławione prawdy, które nie tylko przyczynią się do lepszego pojmowania przez nie rzeczywistości i do moralnego podniesienia ich umysłów, ale także na niezliczone sposoby poprawią ich byt doczesny i wskażą im drogę ku wiecznej szczęśliwości?

Zwłaszcza na Nowej Zelandii Church Missionary Society starało się ze wszystkich sił nie dopuścić do kolonizacji jako śmiertelnego zagrożenia dla swoich podopiecznych:

Gdybyśmy tylko mogli ustrzec Nową Zelandię przed kolonizacją i pozwolili Misji przez pół stulecia lub dłużej na swobodne i nieskrępowane działanie, wielki problem – moralny i polityczny – przechodzenia narodu barbarzyńskiego do stanu cywilizacji zostałby dzięki pomocy Europejczyków rozwiązany, przy równoczesnym zachowaniu w stanie nie naruszonym rasy aborygenów wraz z ich naturalną niezależnością i suwerennością.

Jednakże kolonizatorzy równie gorliwie pragnęli krzewić dobro moralne za pomocą środków praktycznych. Co więcej, wprowadzili do równania dodatkowy czynnik w postaci brytyjskich i irlandzkich biedaków, zamieszkujących przeludnione, jak sądzono, wyspy, którym groziła maltuzjańska katastrofa. A co z przestępcami? Czy nie byłoby lepiej, zamiast ich wieszać, dać im szansę odkupienia win ciężką pracą na praktycznie bezludnych terytoriach? W każdym razie lord Sydney, pełen jak najlepszych intencji minister spraw wewnętrznych, już w roku 1786, o dziesięciolecie wyprzedzając pomysły misjonarzy, zapoczątkował praktykę deportacji skazańców. Do chwili zaniechania tego proceduru w roku 1868 do kolonii zestano niemal dwieście tysięcy osób; rezultat był na ogół pomyślny.

Jeśli zaś chodzi o tubylców, to czyż ich marsz ku cywilizacji nie będzie przebiegał szybciej, gdy okażą im pomoc i dadzą przykład pracowici biali ludzie, którzy uwolnieni od groźby bezrobocia w miastach i głodowej egzystencji na wyjałowionych polach Irlandii i wyżyn szkockich będą mogli spożytkować swoją dotąd nie wykorzystaną energię do budowy nowych światów? Czyż nie widać ręki Boga w tak zręcznym połączeniu dwu całkiem różnych, a tak zbieżnych celów? Z dzisiejszej perspektywy łatwo dostrzec straszliwy błąd tego rozumowania. Jednakże nie tylko misjonarze, ale wręcz każdy zdeklarowany zwolennik przemian w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku w Anglii wierzył w moralne zalety kolonizacji. Napływ imigrantów rozpoczął się po roku 1815, a od roku 1830 zaczął słabnąć. Za działalnością ruchu organizowanego przez National Colonisation Society stali tak prawi i bogobojni ludzie, jak Charles Buller i Edward Gibbon Wakefield, którzy z całego serca wierzyli, że kolonizacja stanowi drogę ku wolności, ku rozwojowi ludzkiego ducha. Biali ludzie będą mieli okazję poprawić w koloniach swój status i pociągną za sobą miejscową ludność. Nie przypadkiem, w następstwie kanadyjskiej rewolty, Buller i Wakefield udali się z lordem Durhamem do Kanady, gdzie wzięli udział w pracach nad Raportem Durhama z roku 1838. Mimo wszystkich nieuchronnych ograniczeń owych czasów Raport stanowił zarys idei przyszłej wspólnoty samorządnych dominiów i do końca lat sześćdziesiątych XIX wieku nie tylko Kanada, ale także Australia, Nowa Zelandia, Nowa Funlandia i terytoria Afryki Południowej były praktycznie samorządne – oznaką zmiany statusu było wycofanie oddziałów brytyjskich, co przyjmowano w Westminsterze z niemal powszechną satysfakcją.

W tym momencie rzeczywiście śmiało można było przewidywać, że powszechne wprowadzenie w imperium zasady autonomii podległych terytoriów nie jest kwestią odległej przyszłości, ale kilku najbliższych dziesięcioleci. Imperium Brytyjskie miało charakter kulturowy, a nie militarny. Pierwsza ekspedycja kapitana Cooka z roku 1768 była zasadniczo przedsięwzięciem o charakterze naukowym i została zorganizowana oraz sfinansowana przez Royal Society w celu włączenia Pacyfiku i mórz południowych w orbitę wiedzy naukowej; proces kontynuowano przez następne stulecie, a pokolenia oficerów marynarki i podróżników zbadały i naniósły na mapy niezliczone archipelagi oraz wybrzeża Oceanu Spokojnego i Indyjskiego. W latach czterdziestych XIX wieku zwrócono się ku wnętrzu lądu, ku Afryce, jednakże motywy tego kroku pozostawały zbieżne z podstawowym celem, jakim było zachowanie pokojowego i humanitarnego charakteru imperium. Angielscy oficerowie armii i marynarki zwykle lepiej znali się na kartografii niż na uzbrojeniu. Wprawdzie założono i obsadzono garnizonem kilka stacji militarno-handlowych: Trincomalee (1786), Mauritius (1810), Singapur (1819), Aden (1839) i Hongkong (1842), jednakże stanowiły one minimalną infrastrukturę, niezbędną ze względów bezpieczeństwa, w której obrębie, jak zakładano, swobodna aktywność handlu,

oświaty i religii przekształci zacofane i barbarzyńskie społeczeństwa w postępowe i wolne. Myśl, być może, naiwna, ale z pewnością wolna od hipokryzji.

W Londynie dały się nawet słyszeć pewne oznaki wyraźnego zniecierpliwienia, że ten proces dojrzewania imperium biegnie zbyt wolno. Patronowały mu idee Adama Smitha, nie Chathama. Początkowo kolonie powstawały, przynajmniej po części, w celu realizacji zasad merkantylizmu, aby zapewnić Anglikom wyłączny dostęp do surowców oraz stworzyć zamknięte dla konkurencji rynki zbytu na angielskie produkty. Jednak rewolucja przemysłowa odebrała sens zasadom merkantylizmu, w każdym razie z punktu widzenia Anglików, i skoro tylko dobiegły końca wojny z Francją, cały system zarzucono na rzecz wolnego handlu, przy zdumiewającym braku sporów i kontrowersji. Huskisson zadał mu śmiertelny cios w roku 1825; w latach czterdziestych oraz pięćdziesiątych zasady wolnego handlu rozciągnięto na całe imperium. W tej sytuacji przy założeniu, że niezależność tak czy inaczej należy się wszystkim terytoriom zależnym, nie było powodu przypuszczać, że należy zachować jakąś formalną strukturę imperium; więzi nieformalne, oparte na wzajemnych korzyściach handlowych i wspólnocie kulturowej, były zarazem trwalsze i tańsze. „Te nieszczęsne kolonie – oświadczył Disraeli w roku 1852 – w ciągu kilku najbliższych lat będą niezależne, a są dla nas niczym kamień młyński u szyi”. Słowa Disraeliego stanowią, być może, skrajnie zjadliwy, gorzki przykład odczuć, które zaczynały dominować w społeczeństwie. Lord Derby odrzucił wysunięte przez Australijczyków żądania aneksji wysp Pacyfiku; zapytał członków australijskiej delegacji, „czy nie chcieliby jakiejś innej planety wyłącznie dla siebie”. Gdy w roku 1872 brytyjska marynarka w końcu weszła do akcji na Pacyfiku, jej celem było położenie kresu uprawianemu przez Australijczyków handlowi Kanakami, który nie bez racji uważano za formę niewolnictwa. W Afryce Południowej Anglicy chętnie pozwolili Burom uwolnić się spod brytyjskiego panowania i ograniczali swoją obecność militarną do akcji obronnych przeciw konfederacjom szczepów Kafirów napierających z północy. W roku 1872 Gladstone uważał, że będzie rzeczą korzystną przyspieszyć proces zwijania imperium. Rok wcześniej, wyrażając dominującą opinię epoki, Bismarck oświadczył: „Kolonie są nam równie potrzebne jak futro polskiemu hrabiemu, który nie ma koszuli”. Jaki jest sens utrzymywania imperium? J. S. Mill w swoich *Considerations of Representative Government* (O rządzie reprezentacyjnym) potraktował sprawę dość ostrożnie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że istnienie imperium ma pewien sens, przecierając tym samym szlaki współczesnej teorii Commonwealthu (Wspólnoty Brytyjskiej). Jego słowa staną się w przyszłości obiegową monetą konferencji premierów Commonwealthu:

Istnieją mocne racje przemawiające za tym, by utrzymać istniejące obecnie delikatne więzi [...]. W znacznej mierze jest to bowiem krok ku powszechnemu pokojowi

i przyjaznej współpracy między narodami. Sprawia, że niemożliwa staje się wojna między znaczną liczbą skądinąd niezależnych krajów [...], a jego zaletą jest także to, iż [...] w rządach wszystkich krajów rosną moralne wpływy i znaczenie Mocarstwa, które ze wszystkich istniejących najlepiej rozumie sens pojęcia wolności.

To zdumiewające, gdy uświadomimy sobie, że te słowa zostały opublikowane dokładnie dziewięćdziesiąt dziewięć lat przed słynnym przemówieniem Harolda Macmillana o „wichrach przemian”. W latach sześćdziesiątych XIX wieku wydawało się, że Anglicy otworzyli ostatni już rozdział epoki kolonialnej i że za moment zamkną ją z pełnym zadowoleniem w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Jak do tego doszło, że księga ponownie została brutalnie otworzona i zapisano w niej nowe, krwawe rozdziały o katastrofalnych następstwach – nie tylko dla Anglików, ale także dla całego świata?

Z pewnością nie możemy całą winą obarczać wyłącznie ludzi idei, takich jak Ruskin. W końcu idee są praktycznie bezsilne, dopóki nie zaczynają równocześnie odzwierciedlać i wzmacniać ludzkich działań. Nie można jednak także Ruskina bez reszty rozgrzeszać. Uczony powinien poświęcić nieco uwagi możliwym sposobom użycia i nadużycia jego idei przez zdesperowanych i pozbawionych skrupułów ludzi czynu. Wykłady Ruskina niezwłocznie opublikowano i zdobyły one wielu czytelników. Jeden z egzemplarzy z pewnością trafił w ręce Beniamina Disraeliego. W roku 1872 Disraeli był starzejącym się i sfrustrowanym politykiem, zbliżającym się do kresu długiej drogi, na której ani razu nie udało mu się, jak dotąd, ujrzeć ziemi obiecanej władzy w całej pełni. Wyraźna większość parlamentarna wciąż wymykała mu się z rąk, a krótkie i zwodnicze okresy sprawowania rządów nieodmiennie kończyły się tym, że z powrotem lądował w ławach opozycji. Korzyści z wielkiej reformy parlamentarnej, którą sam przeprowadził w roku 1867 – znacznie rozszerzając liczbę uprawnionych do głosowania – przypadły głównie liberałom. Disraeli na gwałt poszukiwał jakiejś idei, sprawy, która mogłaby przyciągnąć głosy nowych wyborców na stronę torysów. Disraeli nie był zwolennikiem Darwina, przeciwnie, był „po stronie aniołów”. Jednakże dokonana przez Ruskina transmutacja darwinowskich pojęć – to było coś zupełnie innego. Wyborcy nie byli zachwyceni na wieść o tym, że pochodzą od małpy, ale mogli życzliwie przyjąć wiadomość, że znajdują się właśnie na drodze ku boskości. Tak czy inaczej, Disraeli postanowił rzecz wypróbować i 24 czerwca 1872 roku w Crystal Palace zelektryzował zebranych zupełnie nową wizją imperium, stanowiącą odrzucenie wszystkich jego dotychczasowych poglądów na temat kolonii.

Dlaczego – zadał pytanie – opowiedział się za reformą parlamentarną w roku 1867? Otóż u podłoża owego aktu legło przekonanie, że klasy pracujące są dumne z przynależności do wielkiego imperialnego kraju i pragną

utrzymać jego imperialny charakter. Przez czterdzieści lat liberałowie działali w istocie „na rzecz rozpadu imperium Anglii”. Naturalnie, podobnie jak wszyscy, popiera ideę autonomii. Jednakże tego rodzaju nadaniu „powinna towarzyszyć imperialna taryfa celna”, „militarny kodeks służący obronie kolonii”, gwarancje pomocy ze strony kolonii dla macierzystego kraju oraz „instytucja swego rodzaju rady przedstawicielskiej w metropolii”. Autonomia – tak, ale jedynie „jako element wielkiej polityki konsolidacji imperium”. Tragedia polega na tym, że liberałowie rozpatrują „wszystko w aspekcie finansowym, całkowicie pomijając względy moralne i polityczne, stanowiące o wielkości narodów, przesądzające o tym, że ludzie różnią się od zwierząt”. Następnie ogłosił nową doktrynę świeckiego rasizmu:

Nie jest to wcale sprawa blaha. Idzie bowiem o to, czy zadowolicie się życiem wygodnym w Anglii kształtowanej i urabianej na wzór zasad kontynentalnych, którą w efekcie spotka los, na jaki zasłużyła, czy też pragniecie, by stała się wielkim krajem, imperialnym krajem, krajem, w którym wasi synowie sięgając będą po wybitne stanowiska i cieszyć się będą nie tylko szacunkiem swoich współplemieńców, ale także poważaniem całego świata.

Konsekwencje mowy były osobliwe. Otóż nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że nowa linia polityczna Disraelego wywarła jakikolwiek wpływ na wyniki wyborów z roku 1874, które liberałowie przegrali z wielu innych powodów. Disraeli, gdy już się znalazł u steru rządu, także nie przejawiał żadnych skłonności do tego, by zastosować swoje nowe poglądy w jakiś systematyczny sposób. W istocie był niezdolny do systematycznego działania. Był już stary i zmęczony, w chwili gdy znalazł się wreszcie na czele spójnej większości parlamentarnej. Ciężar legislacyjnych inicjatyw rządu oraz ich realizacja spoczywały głównie na innych, zwłaszcza na Richardzie Crossie. Disraeli, udręczony przez podagrę i załamany po śmierci żony, czasami potrafił skupić swój błyskotliwy intelekt na konkretnych sprawach, które zawładnęły jego wyobraźnią, ale nie był już w stanie pokierować planową, długofalową polityką imperialną. Zakup udziałów w spółce Kanału Sueskiego stanowił instynktowną odpowiedź na jedną z tych finansowych „okazji”, które doprowadziły go w młodości do katastrofy – choć teraz mógł bezpiecznie spekulować, mając za sobą wiarygodność Brytyjskiego Skarbu i potęgę funta szterlinga. W dłuższej perspektywie interes pociągnął za sobą trwającą osiemdziesiąt lat okupację Egiptu, kilka wojen, ogromne wydatki wojskowe oraz kłopotliwe sytuacje polityczne, kulminujące się w upokarzającej awanturze, w którą wdał się sir Anthony Eden w roku 1956. W sumie była to więc chybiona spekulacja, prawdziwy interes w stylu Disraelego. To prawda, udało mu się ofiarować królowej tytuł cesarzowej Indii – coś, co dla pewnych pospolitych cech jej natury miało nieodpartą

moc pociągającą (a przed czym jej dziad, Jerzy III, rozsądnie się wzbraniał), jednakże był to raczej element teatralnych posunięć Disraeliego niż starannie przemyślana próba reorganizacji podstaw brytyjskiego panowania na subkontynencie. Jego namiętne zainteresowanie sprawami Bliskiego Wschodu sprawiło, że został gwiazdą kongresu w Berlinie. Ale i w tym przypadku więcej było popisu niż rzetelnej polityki; przez większą część obrad – wedle relacji ministra spraw zagranicznych lorda Salisbury – Disraeli nie był w stanie kontrolować faktycznego przebiegu negocjacji, częściowo z powodu choroby, a częściowo ze względu na nieznamość francuskiego*. Tak czy inaczej, zupełnie nie pojął sensu planów Salisbury'ego, by korzystając z zawartych porozumień, podjąć niezwłoczne działania brytyjskie w tym regionie. Salisbury pragnął za pomocą brytyjskich konsulów wojskowych stworzyć na ruinach tureckiej Azji imperium w stylu indyjskim lub, jak to sam ujmował, „wesprzeć pokojową inwazję Anglików, która stanowi podstawę naszej polityki zdobywania kontroli nad nowym obszarem”. Wydawałoby się, że to właśnie miał na myśli Disraeli, mówiąc w Crystal Palace o „wybitnych stanowiskach” dla „waszych synów”. Jednakże Disraeli nie poświęcił wiele uwagi planom Salisbury'ego i nie próbował wykorzystać swojego wpływu na Ministerstwo Skarbu, aby zagwarantować finansowe wsparcie dla przedsięwzięcia, które też szybko upadło; bez wątpienia na szczęście. Disraeli był imperialistą w słowach i tylko w słowach. Jego słowa, co prawda, rzeczywiście głęboko zapadły torysom w pamięć; z biegiem czasu stały się konserwatywnym wyznaniem wiary, któremu pozostali wierni przez siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt lat. Imperializm w czynach zrodził się jednak z zupełnie innych powodów.

Dekada lat 1870–1880 odegrała kluczową rolę w dziejach świata, a następstwa jej tragicznych wydarzeń wywarły decydujący wpływ na losy nie tylko Anglików. Nowo powstała, oparta na sieci wzajemnych powiązań gospodarka światowa, która w imponującym tempie rozwijała się nieprzerwanie przez minione trzydzieści lat, po raz pierwszy przeżywała potężne załamanie. Pierwszy kryzys współczesnego kapitalizmu osiągnął fazę kulminacyjną pod koniec lat trzydziestych XIX wieku, w okresie gdy dominującą rolę w światowym handlu wciąż odgrywała gospodarka brytyjska. Wielka Brytania uratowała wtedy siebie samą, a tym samym cały świat, dzięki eksplozji technologicznej związanej z powstaniem kolei żelaznych, stwarzając w ten sposób – a następnie eksportując – matrycę rozwoju przemysłu ciężkiego opartego na węglu i stali.

* „Głuchota, nieznamość francuskiego, a także osobliwy sposób wyrażania się Bismarcka – nic dziwnego, że Beaconsfield nader mgliście zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, rozumie wszystko opacznie i wszędzie dopatruje się spisków”. (Salisbury do lady Salisbury, 23 czerwca 1878.)

Powstały wielkie potęgi przemysłowe: Stany Zjednoczone i Niemcy. Inne kraje – Francja, Belgia, Austria, a nawet Rosja i Japonia – podążyły ich śladem. Współczesna gospodarka ukształtowała się w środkowych dekadach stulecia i przez pewien czas wydawało się, że o jej kształcie decydować będą wyłącznie Anglicy, Londyn pozostanie finansowym centrum świata, a niczym nie skrępowany wolny handel, wprowadzany za pomocą traktatów lub jednostronnych decyzji, stanie się głównym czynnikiem nieograniczonego samonapędzającego się wzrostu gospodarczego. Świat podążał drogą wytyczaną przez Anglię – stąd szalony optymizm lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Jednakże, jak pamiętamy, Anglia była pod wieloma względami krajem bardzo nieskutecznym i niewłaściwie rządzonym. Szansę, jaką otwierała rewolucja bawełniana, zmarnowano, nie bacząc na gigantyczną cenę ludzkich poświęceń. Rewolucję zapoczątkowaną przez kolej żelazną spotkał ten sam los. Wygląda na to, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby zastanowić się nad sensem ekonomicznych aspektów rozwoju kolei. Nikt nie planował krajowej sieci połączeń. Po prostu budowano nowe linie, w zawrotnym tempie, często w ramach bezsensownej konkurencji, czerpiąc kapitały na budowę z niemal nieograniczonego napływu gotówki od ludzi, którzy wyobrażali sobie, że istotą kolei jest przyniesienie zysków. W rzeczywistości niektóre linie nie przynosiły żadnych dochodów. W latach sześćdziesiątych XIX wieku przeciętna stopa zysku ustaliła się na poziomie nie wyższym niż 4% i doszło nawet do spektakularnych bankructw. Za granicą wyciągnięto wprawdzie z angielskiego boomu kolejowego pewne wnioski, ale z pewnością nie wszystkie*. W Europie i w Stanach Zjednoczonych w atmosferze niepomiernego optymizmu rodziły się wielkie projekty inżynierskie, często pozbawione należytych źródeł finansowania oraz systematycznej analizy wiążącej koszty ze spodziewanymi zyskami. O wszystkim decydowali inżynierowie, za którymi ochoczo podążała łatwowierna i chciwa publika.

Pierwszy cios owemu nastrojowi powszechnego optymizmu zadało bankructwo wielkiego domu bankierskiego Overend and Gurney w roku 1866. City nie bez trudności, ale jednak zdołało zażegnać burzę. W roku 1873 wybuchła panika na rynku finansowym w Wiedniu, stanowiąca następstwo orgiastycznego podnoszenia kapitału spółek płynących na fali manii kolejowej w Niemczech. Panika szybko rozprzestrzeniła się na całą Europę centralną. Co gorsza, zbiegła się z kolejowym boomem, a następnie kryzysem w Stanach Zjednoczonych. W roku 1876 załamanie obejmowało już całą gospodarkę. Dwa lata później upadł „niezatapialny”, jak się wydawało, City of Glasgow Bank. Naturalnie, zawsze można się było podźwignąć z upadku i niektórym to się udawało. Jednak spokojny i pełen ufności poranek, który zwiastował wiek węgla i stali,

* Wysoka cena ziemi i wysokie opłaty sądowe sprawiały, że koszt jednej mili linii kolejowej był w Anglii i Walii trzy razy wyższy niż w Prusach, a pięć razy wyższy niż w Stanach Zjednoczonych; E. J. Hobsbawm, *Industry and Empire*, London 1968.

minął na dobre. Do wybuchu paniki mogło teraz dojść każdego dnia, niemal bez ostrzeżenia, w każdym z finansowych centrów świata, a każdy kryzys wywoływał trudne do przewidzenia konsekwencje dla całej gospodarki. Upadek wielkiego banku paryskiego w roku 1882 spowodował dalsze perturbacje w gospodarce światowej: wszystkie wskaźniki skakały teraz w górę i w dół, zamiast gładko sunąć ku górze, co uważano za niewzruszony pewnik ery nowoczesności. Ponadto te powracające wybuchy paniki nie tylko rujnowały bogaczy i inwestorów z klasy średniej, ale stawały się także przyczyną zamykania ogromnych fabryk i wyrzucania tysięcy robotników na bruk, to zaś prowokowało zamieszki i demonstracje, stające się źródłem zupełnie nowego rodzaju presji na rządy, które – niezależnie od swojej orientacji politycznej – musiały teraz reagować na nastroje masowej opinii publicznej. Liberalizm najwyraźniej nie stanowił już odpowiedzi na wszystkie pytania.

Załamaniem się wielkiego boomu przemysłowego z połowy stulecia zbiegło się z kryzysem europejskiego rolnictwa, który także stanowił następstwo rozwoju nowych technologii. Zawieszając cła w roku 1846, Peel pobudził rozwój rolnictwa na kontynencie. To zaś spotkało się z równie energiczną reakcją angielskich farmerów i właścicieli ziemskich: odnotowano wyraźny wzrost poziomu inwestycji, do których zachęcała wysoka i wciąż rosnąca cena ziemi oraz szybki wzrost wydajności. Jak Europa długa i szeroka, wolny handel zdawał się spełniać swoje obietnice: tania żywność oznaczała lepszą dietę i wyższy poziom spożycia szybko rosnących populacji, co z kolei zwiększało popyt na produkty rolne. Wszyscy producenci żywności w Europie produkowali i sprzedawali więcej przy cenach, które dzięki eksplozji przemysłowej utrzymywały się stale na wysokim poziomie. Jednakże okres wzrostu mógł trwać tylko dopóty, dopóki warunki geograficzne chroniły Europę przed pełnymi skutkami wolności handlu. W latach czterdziestych Amerykanie zakładali wielkie pola pszeniczne na Środkowym Zachodzie. Niedostatek rąk do pracy sprawiał, że farmerzy domagali się maszyn. Amerykański przemysł i technologia dostarczyły te maszyny; nastąpił niebывały wzrost produkcji żywności i ceny zaczęły spadać w bezprecedensowym tempie. Kolejne podążały za farmami tak szybko, jak szybko dało się położyć tory, a kładziono je rzeczywiście w ekspresowym tempie. Aby stymulować rozwój rolnictwa i osadnictwa, kompanie kolejowe przewoziły zboże do Chicago po cenie kosztów. Nowe statki parowe wiozły je dalej do Europy przy stale malejących kosztach. W latach pięćdziesiątych, a nawet sześćdziesiątych, masowy transport amerykańskiej żywności przez Atlantyk był wciąż nieopłacalny, ale w roku 1873 wysłanie tony ziarna z Chicago do Liverpoolu kosztowało zaledwie 3,35 funta. Dziesięć lat później było to już tylko 1,2 funta i wartość ta stale spadała. Rozwój technologii zaczął nadążać za wolnym handlem, odstawiając tragiczne dysproporcje światowej gospodarki prowadzonej na zasadach czystego liberalizmu.

Inwazja amerykańskiego zboża przeraziła wszystkich europejskich rolników produkujących na rynki położone w zasięgu kolei. W Anglii wypadki przybrały obrót wręcz katastrofalny, ponieważ napływ taniej amerykańskiej żywności zbiegł się z okresem pięciu kolejnych deszczowych sezonów żniwnych, przy czym lato roku 1879 było najgorsze za pamięci najstarszych wieśniaków. W przeszłości złe zbiory można było sobie zawsze powetować wysokimi cenami, ale teraz ceny gwałtownie spadły. W ciągu dziesięciu lat, od roku 1877 począwszy, cena angielskiej pszenicy spadła z 56 szylingów za kwartę do 31 szylingów, a dochody rolników spadły o 75%. Na kontynencie doszło do podobnych katastrof, pociągających za sobą zdecydowaną interwencję rządów. Jednak w przeciwieństwie do Anglii, w krajach kontynentalnych rzesze uprawiających własną ziemię, lamentujących chłopów liczyły się w miliony; kraje kontynentalne miały także armie z poboru, których trzon stanowili chłopscy synowie. Za Kanałem nie było mowy o tym, żeby dopuścić do zwalniania pracowników rolnych i zmuszania chłopów do emigracji, jak to się już stało w Szkocji i Irlandii. Niemiecka klasa rządząca ujmowała rzecz krótko: „Rolnictwo musi dostarczyć nam żołnierza, a przemysł musi za niego zapłacić”. Ministrowie i parlamenty na Kontynencie uznali ten pogląd za aksjomat (w istocie stanowi wciąż podstawę europejskiego Wspólnego Rynku). W całej Europie rozległ się złowieszczy łoskot zamykanych okiennic – nowe taryfy celne zamykały epokę wolnego handlu. Do roku 1880 system wolnego handlu w skali gospodarki światowej był martwy. Przemysłowcy zaalarmowani końcem ery taniej żywności dla robotników, widząc, jak rządy uginają się pod presją producentów rolnych, także zaczęli wydawać okrzyki przerażenia, dzięki czemu również uzyskali cła na towary przemysłowe. To zaś, naturalnie, rozżościło Amerykanów, którzy nigdy do końca nie zarzucili taryf celnych, a ich system rządów zawsze był bardzo podatny na protekcyjnistyczne żądania potężnych *lobbies*. W roku 1890 Amerykanie wprowadzili system taryf celnych McKinleya, to zaś sprowokowało stosowny odwet ze strony państw Europy kontynentalnej.

Gwałtowne wycofywanie się państw uprzemysłowionych z systemu wolnego handlu sprawiło, że Anglia samotnie wylądowała na mieliźnie. Potężny konserwatyzm Anglików, niechęć do wprowadzenia jakichkolwiek zmian nie poprzedzonych dziesięcioleciem badań i namysłów oraz niezwykle silne i trwałe bariery stające na drodze reformy na każdym szczeblu systemu politycznego wspólnymi siłami uniemożliwiły jakąkolwiek zdecydowaną reakcję. Potrzeba było stulecia, by idee Adama Smitha zdobyły akceptację Anglików i zostały zastosowane. Jednak w roku 1875 stanowiły już angielskie wyznaczenie wiary. Wolny handel stał się tradycją, która istniała (przynajmniej w duchu, jeśli nie w sferze faktów) od niepamiętnych czasów, niemal dodatkowym artykułem Wielkiej Karty Swobód. Stanowił ucieleśnienie istoty angielskiego życia. Porzucić idee wolnego handlu tylko dlatego, że jakieś obce rządy przestały w nie wierzyć?

Równie dobrze można by zaproponować zniesienie monarchii, Kościoła Anglii czy szkół publicznych albo wręcz Royal Navy. Nikt, żaden czołowy polityk, żadna partia, nie był przygotowany na to, żeby choć rozważyć taką propozycję. Kryzys lat siedemdziesiątych ujawnił najgorszą stronę angielskiego sposobu myślenia o sprawach publicznych: zatrucie przez dogmat, niegdyś stanowiący godną podziwu prawdę empiryczną.

Kryzys wykazał także, że Disraeli jest starzejącym się magikiem, który nie ma już w zanadrzu żadnych sztuczek. A przecież wydawałoby się, że powinien to być kulminacyjny moment jego kariery, świadectwo zdumiewającej dalekowzroczności. Disraeli mógłby wszak oświadczyć Parlamentowi: „Stało się właśnie to, co przewidywałem w roku 1846. Katastrofa, którą wówczas przewidziałem, przyszła z opóźnieniem, ale dziś spada na nas z całą siłą. Musimy szybko działać”. Jednak Disraeli niczego takiego nie powiedział. W ogóle nic nie zrobił. Być może czuł się za stary, by ponownie przeciwstawić się powszechnym mniemaniom. A może nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. W roku 1878 ze smutkiem odnotował, że wiele londyńskich domów wielkich rodów arystokratycznych było zamkniętych w sezonie. W jego listach słyhać odgłos utyskiwań starego przyjaciela, księcia Rutlandii, da się także dostrzec refleks spustoszeń, jakie kryzys wyrządził w jego własnym majątku w Buckinghamshire. Disraeli wyraźnie jednak nie uświadamiał sobie, że nie podejmując żadnych działań, zadał morderczy cios grupie społecznej, której interesów sam niegdyś bronił. Nie miał żadnych pomysłów ani żadnej polityki. Jak oświadczył w Izbie Lordów w grudniu 1878 roku:

Rząd Jej Królewskiej Mości nie jest przygotowany – a nie przypuszczam, że jakkolwiek rząd byłby przygotowany – do wprowadzenia jakichkolwiek środków zmierzających do tego, by ulżyć powszechnie występującej w kraju niedoli.

Co się zaś tyczy przyszłości – podobnie jak pan Micawber, dość mętnie dostrzegał

[...] symptomy poprawy i ogólnego polepszenia, które muszą z czasem – być może szybciej, niż kraj jest na to przygotowany – przynieść korzystne rezultaty, jakich zwykle doświadczaliśmy po okresach trudności i wyrzeczeń.

Ta filozofia beśsiły stanowiła wyraz powszechnych nastrojów. Jak ujął to pewien konserwatywny członek Izby Gmin z Liverpoolu:

Nikt nie jest w stanie dokładnie powiedzieć, kiedy „dobre czasy znowu nadejdą”. Ale to, że nadejdą niebawem, jest równie pewne jak to, że po mroku nocy następuje światło dnia. Powodzenie i niedostatek przychodzą cyklicznie; jedno jest po prostu odbiciem drugiego i nie ma nic wspólnego z polityką.

Mówiąc wprost: angielska klasa polityczna abdykowała w czasie tej kluczowej dekady. Gdy w początku lat osiemdziesiątych XIX wieku niewielka grupa zwolenników protekcjonizmu domagała się powołania specjalnej komisji parlamentarnej do zbadania kwestii „tak zwanego jednostronnego wolnego handlu”, bardzo niewielu członków Izby w ogóle pofatygowało się, by wziąć udział w debacie nad wnioskiem. Rzecznik strony rządowej z bezmyślną pewnością siebie oznajmił, że „jednostronny wolny handel jest lepszy niż całkowity brak wolnego handlu” i wniosek został odrzucony siedemdziesięcioma pięcioma głosami przeciw sześciu.

Jak to się stało, że angielska klasa właścicieli ziemskich, która tak zręcznie i skutecznie broniła się przez wszystkie stulecia, była wciąż tak potężna i w istocie miała w rękach wszystkie nici władzy, przyjęła ten niszczący cios niemal bez protestu? Epizod pozostaje całkowitą zagadką*. Fakty mówią jednak same za siebie. W połowie XIX wieku arystokracja po raz pierwszy od czasu Czarnej Śmierci na masową skalę praktykowała *high farming*. W latach osiemdziesiątych wszystko to nagle się skończyło. Władcy Anglii, którzy poprzednio z obojętnością patrzyli na los ręcznych tkaczy i irlandzkich chłopów, teraz gnuśnie przyglądali się, jak ich własne ziemie, a także ich pracownicy, znajomi i krewni padają pod ciosami ślepych sił ekonomicznych. Prawie jedna czwarta obszaru uprawy pszenicy – ponad milion akrów – leżała odłogiem. Sprzedawano albo łączono majątki. Kapitał klas wyższych przepłynął z rolnictwa do City, przemysłu, górnictwa albo za granicę. Niemal sto tysięcy robotników rolnych musiało opuścić wieś; tylko w latach siedemdziesiątych wyemigrowało ponad milion osób. Odkąd sięgają pisane dzieje Europy, Anglia zawsze była krajem wysoko rozwiniętego, bardzo wydajnego rolnictwa; wykazywała przy tym talent do „usprawnień”. W połowie stulecia Anglicy mogli poszczycić się w tej dziedzinie spektakularnymi osiągnięciami, którym towarzyszył wyraźny wzrost płac robotników rolnych oraz ogólny wzrost dochodów ludności wiejskiej. W latach osiemdziesiątych proces rozwoju został zatrzymany, a nawet nastąpił regres. Zanotowano wyraźny spadek wydajności, poziomu inwestycji,

* Nawet rzecznik interesów producentów żywności, Henry („The Squire”) Chaplin, przyznał, że kwestia wolnego handlu „na dobre czy złe została przesądzona za życia poprzedniego pokolenia za aprobatą i świadomą zgodą społeczeństwa”. Młody A. J. Balfour stwierdzając, że argumenty na rzecz wprowadzenia ceł na subwencjonowany cukier produkcji zagranicznej są oczywiste, dodawał: „Naturalnie, doskonale zdaję sobie sprawę, że istnieją nieodparte racje, natury administracyjnej i politycznej, sprawiające, że wprowadzenie takich ceł jest sprawą całkowicie poza dyskusją”. Por. Paul Smith, *Disraelian Conservatism and Social Reform*, London 1967. Oczywiście, nie było żadnych „nieodpartych racji”, a jedynie zabobonny lęk przed zmianą. Kryzys w rolnictwie podważył dobre samopoczucie i pewność siebie klasy posiadaczy ziemskich. Mark Girouard w *The Victorian Country House*, Oxford 1971, zamieścił wykres ilustrujący liczbę dużych domów budowanych na wsi w latach 1835–1890; krzywa rośnie ostro do połowy lat siedemdziesiątych, po czym spada i nigdy już nie wraca do poprzedniego położenia.

standardów upraw. W latach sześćdziesiątych Wielka Brytania produkowała 75% spożywanej przez siebie pszenicy, w latach dziewięćdziesiątych – mniej niż 35%. Ze wzrostem importu żywności zwiększyły się obciążenia bilansu płatniczego kraju. W regionach rolniczych zagościł nastrój przygnębienia, a nawet rozpacz. Prawdziwym poetą tej epoki nie był Kipling, ale Thomas Hardy, który uchwycił smutny, jesienny nastrój zdradzonej wsi:

Zwłokom stulecia rozciągniętym
 Podobny był ten świat
 Pod płytą chmur i pod lamentem,
 Którym go zegnał wiatr.
 Ustał odwieczny puls narodzin
 I wszelki duch u bram
 Jalowych, mroźnych, mrocznych godzin
 Stał drętwo – jak ja sam*.

W wierszu *Drozd o zmroku* Hardy wyobrażał sobie, że ptak ma „Jakąś błogostawioną Nadzieję, jemu znaną / A niedostępną mnie”. Jednakże nadzieja nie wróciła na wieś przez długie dziesięciolecia. Do roku 1913 odłogiem leżały trzy miliony akrów, na których poprzednio uprawiano zboże; w roku 1932 – o ponad połowę mniej niż w roku 1872. Do roku 1914 większość wielkich posiadaczy ziemskich usiłowała zachować majątki z powodów społecznych, jednak po okresie ożywienia czasu wojny, który przyniósł większe zyski, odsprzedali majątki dzierżawcom. Niemal jedna czwarta ziemi w Anglii zmieniła właścicieli – była to największa zmiana od czasu najazdu Normanów. Par bez ziemi stał się normą, wiejski dziedzic rzadkością. W okresie międzywojennym angielskie rolnictwo przeżywało okres największego upadku w swej historii: kraj „leniwych akrów”. Wojna przeciw hitlerowskim Niemcom uratowała je od zupełnej katastrofy, jednak dopiero powojenne rządy laburzystowskie, rozszerzając i udoskonalając wojenny system rządowego interwencjonizmu za pośrednictwem rad spółdzielczych i subsydiów, sprawiły, że brytyjskie rolnictwo odzyskało stabilne podstawy. To odrodzenie było równie błyskawiczne i spektakularne jak poprzedni upadek. W roku 1971 brytyjskie rolnictwo znów było najbardziej produktywnie i wydajne na świecie, o najwyższym stopniu mechanizacji oraz najwyższym udziale naukowych metod upraw, i odniosło bezprecedensowe sukcesy w dziedzinie badań i eksperymentów. Było także wysoce dochodowe: przynosiło ogromne zyski właścicielom, którzy nie pozbyli się ziemi albo ją odkupili. W ten sposób za sprawą typowo angielskiego paradoksu przedstawiciele przemysłowej klasy robotniczej na powrót postawili wiejską elitę na

* Thomas Hardy, 55 wierszy, przełożył S. Barańczak, Kraków 1993.

pedestale*. Oczywiście, w sensie czysto funkcjonalnym – rolnictwo stało się po prostu bardzo wydajną gałęzią przemysłu. Przestało natomiast odgrywać rolę fundamentu klasowej struktury angielskiego społeczeństwa.

Wydarzenia lat siedemdziesiątych XIX wieku zadały niszczycielski cios angielskiemu rolnictwu, podważając siłę sektora gospodarki, który był dotąd wyjątkowo wydajny. Równocześnie pogorszyły sytuację brytyjskiego przemysłu, który już wówczas przejawiał liczne złowrogie oznaki zacofania. Stare, niewydajne fabryki, niski poziom inwestycji, przestarzałe metody, dogmatyczny i pełen samozadowolenia styl zarządzania, brak zainteresowania nowymi technologiami czy modernizacją starych, obronny konserwatyzm klasy robotniczej znajdujący wyraz w restrykcyjnych posunięciach związków zawodowych – wszystkie te cechy już wtedy bez trudu mógł dostrzec każdy wnikliwy obserwator, nie mówiąc o głównych rywalach: Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Amerykańscy przemysłowcy, odpowiadając na wyzwania, jakie przynosił ten ogromny kontynent, rozumowali w kategoriach coraz większych jednostek kapitału, które już z racji samej wielkości umożliwiały inwestowanie ogromnych sum na badania i rozwój technologii oraz zatrudnianie inżynierów i naukowców, coraz liczniej opuszczających mury przyszłościowo zorientowanych amerykańskich uniwersytetów. Niemiecki przemysł ciężki także przechodził proces gwałtownej koncentracji; powstawały ogromne kartele powiązane z bankami gwarantującymi nieustający napływ kapitału na nowe inwestycje i maszyny. Im później jakieś państwo wchodziło w epokę uprzemysłowienia, tym bardziej było prawdopodobne, że zbuduje przemysł o dużym stopniu koncentracji. W Niemczech, a tym bardziej w Rosji i Japonii, państwo aktywnie działało na rzecz przyspieszenia tempa wzrostu, udzielając rządowych gwarancji kredytowych oraz wymuszając racjonalizację produkcji. W Ameryce koła przemysłowe w zorganizowany sposób wykorzystywały możliwości państwa za pomocą grup nacisku w Kongresie. W innych krajach przechodzących okres uprzemysłowienia państwo stawało się potężnym i dynamicznym partnerem. Jedynie w Wielkiej Brytanii rząd pozostawił przemysł własnemu losowi, zdając się na jego możliwości i twardo stojąc na straży liberalnej doktryny, głoszącej, że handel i przemysł „nie mają nic wspólnego z polityką”. Struktura brytyjskiego przemysłu stanowiła wierne odbicie okoliczności jego narodzin: składała się na nią mnogość małych i średnich,

* Utrzymanie swojej pozycji przez największe rody, a nawet pomnażanie bogactwa, dobrze ilustruje tabela porównująca stan posiadania 79 rodów w roku 1967 z rokiem 1873, zamieszczona w pracy Roya Perrotta, *The Aristocrats*, London 1968, s. 151–156. Niektóre rodziny są dziś znacznie bogatsze niż w czasach królowej Wiktorii. 30 akrów gruntów w Londynie należących do księcia Bedford miało w 1967 roku wartość „co najmniej 20 milionów funtów”; książe Westminster (Grosvenor Estates) posiadał w Londynie 300 akrów o wartości przypuszczalnie rzędu 200 milionów funtów.

ściśle wyspecjalizowanych firm o prowincjonalnym charakterze i horyzontach, zwykle należących do jednej rodziny, przekazywanych z pokolenia na pokolenie i zarządzanych niemal jak posiadłość ziemską. Choć Londyn stanowił największy rynek kapitałowy na świecie, Brytyjcy inwestorzy odgrywali niewielką rolę w finansowaniu rodzimego przemysłu – głównie z powodu braku oferty ze strony firm brytyjskich. Bardzo niewiele firm wystawiało swoje akcje do publicznej sprzedaży. Jeszcze w roku 1914 ponad 80% brytyjskich przedsiębiorstw pozostawało całkowicie w rękach prywatnych właścicieli. Brytyjskie pieniądze wędrowały więc gdzie indziej, finansując zwłaszcza ambitne plany inwestycyjne przemysłowych konkurentów Wielkiej Brytanii.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku Wielka Brytania utraciła pozycję największego gospodarczego mocarstwa świata i zaczęła wlec się w tyle za Ameryką i Niemcami, narażona na nowe, kolejne zagrożenia. Załamanie się brytyjskiego rolnictwa oznaczało stały wzrost ilości importowanej żywności, a tym samym konieczność zwiększenia eksportu towarów przemysłowych. Jednakże z tym Brytyjczycy zaczęli mieć kłopoty, w miarę jak coraz częściej zaczęli zderzać się z zagranicznymi handlowcami na rynkach, które jeszcze do niedawna stanowiły wyłączną domenę „warsztatu świata”. Coraz częściej pojawiały się skargi na wysokość cen i jakość brytyjskich towarów, długie terminy dostaw, zadufanie i ignorancję brytyjskich handlowców w porównaniu z dobrze zorganizowaną i pełną determinacji konkurencją. Rzekomą doskonałość brytyjskiego rzemiosła, której ukoronowaniem była Wielka Wystawa Światowa w roku 1851, w niektórych kręgach traktowano już z wyraźnym cynizmem. W maju 1887 roku 24 torpedowce nowej generacji wyruszyły w rejs próbny. Pod koniec pierwszego dnia 8 okrętów było niesprawnych. Psuły się silniki, topiły wały korbowe, rozpadały liny, wybuchła pompa zasilająca, przeciekały główne zawory, łamały się żeberka śrub; na jednym z okrętów, jak stwierdzał oficjalny raport, „spadła korona pieca wytwarzającego parę, załoga maszynowni i ładowni została poparzona wrzątkiem, w następstwie czego trzech ludzi zmarło”. W dziesięciu przypadkach doszło do opóźnień bądź wypadków z powodu defektów urządzeń sterowniczych, ponadto raz doszło do zderzenia, a jeden statek wylądował na skałach. Amerykański reporter, George W. Smalley, sztychł w „New York Herald”:

I jak sądzicie, w jaki sposób Anglicy, którzy mają smykalkę do filozofii, znajdują pocieszenie? O, nawet jeśli u nas jest źle, to u rywali niechybnie jeszcze gorzej. Żelazo złej jakości, krucha stal, złe wykonanie, niedoskonałe projekty – wszystko to niewątpliwie można znaleźć w angielskiej marynarce. Miejmy jednak nadzieję, że to samo można także znaleźć u naszych sąsiadów – odpowie nieugięty Brytyjczyk. Czy naprawdę sądzi, że takie rzeczy zdarzają się, na przykład, u Niemców? W liczbach podsumowanie tej ekspedycji torpedowców wygląda prosto. W ciągu niecałych dwu tygodni na dziewiętnastu okrętach doszło do dwudziestu siedmiu wypadków.

Jeszcze bardziej otrzeźwiająca wiadomość – jedna z wielu, jakie można by tu przytoczyć – przyszła z Nowej Zelandii. W roku 1883 Nowa Zelandia zamówiła w Wielkiej Brytanii dwadzieścia lokomotyw. Po upływie osiemnastu miesięcy dostarczono zaledwie dwa parowozy. Zrozpaczeni Nowozelandczycy przenieśli zamówienie do firmy z Filadelfii, która zrealizowała je w niecałe cztery miesiące; w dodatku każda amerykańska lokomotywa kosztowała 400 funtów mniej niż jej brytyjski odpowiednik.

W wielu dziedzinach decydującym czynnikiem z wolna stawały się korzystniejsze warunki cenowe oferowane przez rywali. W latach 1883–1910 ceny stali w Niemczech i Stanach Zjednoczonych spadły odpowiednio o 20 i 14%, podczas gdy brytyjskie wzrosły o jedną trzecią. Wyjaśnienie tego zjawiska leży głównie w stopniu koncentracji przemysłu oraz w stosowanej technologii. Jak w latach dziewięćdziesiątych Andrew Carnegie oznajmił brytyjskim producentom stali: „Większość brytyjskich maszyn już dwadzieścia lat temu należało oddać na złom. To właśnie dlatego, że trzymacie te zużyte maszyny, Stany Zjednoczone spychają was na szary koniec”. Jednakże były też inne czynniki, które powodowały kurczenie się udziału Brytyjczyków w światowym eksporcie – wszystkie zresztą szeroko komentowane już wówczas: niedostatki umiejętności handlowych, a zwłaszcza brak kompetentnych handlowców, towary nie oznakowane w powszechnie przyjętym systemie miar w kilogramach i metrach, wysyłanie broszur tylko w języku angielskim, fakt, że brytyjscy handlowcy nie znają żadnych obcych języków, brak udogodnień kredytowych, zwłaszcza w porównaniu z tymi, które oferowali Niemcy. Wszystkie te słabości, tak przygnębiająco dobrze znane brytyjskim czytelnikom gazet z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego stulecia, dawały o sobie znać już prawie sto lat wcześniej. Gospodarczy upadek Wielkiej Brytanii ma swe korzenie w odległej przeszłości.

Skoro tylko stopieniu uległo ostrze dynamiki angielskiej gospodarki, do głosu doszły inne konserwatywne czynniki życia Brytyjczyków. Kryzys gospodarczy lat osiemdziesiątych położył kres długotrwałemu zawieszeniu broni między klasą robotniczą a właścicielami fabryk. To właśnie w tym dziesięcioleciu po raz pierwszy pojawiają się takie terminy jak „bezrobotny” (1882), „niezdalny do zatrudnienia” (1887) i „bezrobocie” (1888). Nastąpiło odrodzenie ruchu robotniczego, do pewnego stopnia oparte na zasadach socjalistycznych, które wiązało się z powstaniem Social Democratic Federation (1881) założonej przez H. M. Hyndmana oraz Stowarzyszenia Fabianów (Fabian Society, 1884). Jednak praktyczna reakcja na załamanie się gospodarki przyszła ze strony związków zawodowych, które ślepo i zajadle broniły stanowisk pracy i poziomu życia swoich członków. Większość z tych związków były to bardzo starożytne instytucje. Niektóre mogły doszukać się swoich mglistych pierwocin jeszcze w XVII wieku. Odzwierciedlały chaotyczną strukturę brytyjskiego przemysłu: liczne, pełne osobliwych anomalii, panicznie lękające się zmian oraz posługujące się

złożonymi i irracjonalnymi metodami działania, jak choćby procedury obliczania stawek i definiowania poszczególnych zawodów pochodzące z końca XVIII wieku, a czasem nawet starsze. Ruch związkowy już wówczas stanowił Izbę Lordów brytyjskiej klasy robotniczej, wymachującą historycznymi sztandarami, nastawioną obronnie i z zasady wrogą wszelkim zmianom. Względne osłabienie brytyjskiej gospodarki sprawiło, że na przełomie stuleci Anglicy poczuli się zmuszeni do gorzkiego rachunku sumienia i ślepy konserwatyzm ruchu związkowego stał się przedmiotem ostrej krytyki. S. J. Chapman w pracy *Work and Wages* (1904) zwrócił uwagę na fakt, że robotnicy amerykańscy chętnie akceptują zmiany techniczne, podczas gdy „angielski robotnik niemal nie jest w stanie sobie wyobrazić, że zastosowanie metod oszczędzających pracę może w rezultacie przynieść wzrost płac i wyższe zatrudnienie”. Robotnicy angielscy sięgali pamięcią daleko w przeszłość i były to gorzkie wspomnienia: nowe maszyny postrzegali wciąż głównie jako potencjalne zagrożenie; związki zakładali po to, by bronić stanu posiadania, a nie cokolwiek rozwijać. Gdy brytyjscy przemysłowcy wprowadzali nowe maszyny, często okazywało się, że nie sposób tak dostosować stawek akordowych, by cała operacja była ekonomicznie opłacalna.

Mimo to krytycy zgodnie twierdzili, że główną przyczyną gospodarczego upadku jest konserwatyzm brytyjskiej kadry kierowniczej*. F. A. McKenzie pisał w *The American Invaders* (1902):

Jeśli nasi robotnicy są powolni, to ich zwierzchnicy równie często nie dotrzymują kroku epoce. Mimo wszystkich pojawiających się ostatnio ostrzeżeń, uparcie trzymają się swoich konserwatywnych metod i wydaje się, że jest to tendencja nie do pokonania. Nawet wielkie firmy, cieszące się opinią najbardziej postępowych, bardzo często zaniedbują poszukiwanie nowych usprawnień.

Thorstein Veblen w *Imperial Germany and the Industrial Revolution* pisał, że brytyjski przemysł jest obciążony brzemieniem dawnych osiągnięć. Żałosne skutki tego stanu rzeczy odzwierciedlają statystyki. Wydobycie węgla wzrosło w Stanach Zjednoczonych w latach 1880–1914 o połowę, niemal całkowicie dzięki wprowadzeniu maszyn wydobywczych. W Wielkiej Brytanii, gdzie najwyraźniej nie brakowało rąk do pracy, wydobycie pozostało na niezmiennym poziomie. Jeszcze w roku 1924 mniej niż 20% brytyjskiego węgla wydobywano za pomocą maszyn, dla porównania: w Stanach Zjednoczonych – 70%. Nie ma sensu cytować innych przykładów – są zbyt liczne i wszystkie dowodzą tego samego. Jedynym podstawowym przemysłem, w którym Wielka Brytania zachowała przodownictwo technologiczne w roku 1914, był przemysł ceramiczny. Najbardziej spektakularną porażkę ponieśli jednak Anglicy w przemyśle chemicznym, w którym niegdyś posiadali absolutną dominację. Niemal cały

* Zob. D. H. Aldcroft: *The Entrepreneur and the British Economy, 1870–1914*, „Economic History Review”, sierpień 1964.

światowy eksport w tej dziedzinie przeszedł w ręce Niemców. W roku 1913 udział Anglików w produkcji światowej wynosił zaledwie 11%, podczas gdy udział – Stanów Zjednoczonych 34%, Niemiec – 24%. Niemcy eksportowali teraz dwa razy więcej niż Brytyjczycy, a w niektórych dziedzinach osiągnęli monopol; 90% barwników syntetycznych sprowadzanych do Wielkiej Brytanii pochodziło z Niemiec.

Przemysł chemiczny stanowi kluczowy przykład, ponieważ w tym przypadku zależności między innowacjami, badaniami naukowymi i wynikami eksportu można wykazać w sposób najwyraźniejszy, nie pozostawiający wątpliwości. Klęska brytyjskiego przemysłu stanowiła porażkę brytyjskich menedżerów, ta zaś oznaczała klęskę brytyjskiego systemu edukacji. Synowie i wnukowie pionierów angielskiej rewolucji przemysłowej wychowani w anglikańskich *public schools* i uniwersytetach nauczyli się pogardzać nauką. Brytyjcy przemysłowcy nie tylko nie podejmowali większych wysiłków, żeby wykorzystać możliwości, jakie stwarzała edukacja techniczna, ale często wręcz obdarzali ludzi z tytułami naukowymi w tej dziedzinie wyraźną nieufnością. Niektórzy naukowcy i inżynierowie, absolwenci brytyjskich uniwersytetów, byli zmuszeni do emigracji; zjawisko drenażu mózgow istniało więc już w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. W Wielkiej Brytanii nie brakowało wykwalifikowanych robotników; z drugiej strony wciąż dochowywała się ona wybitnych i oryginalnych twórców w dziedzinie nauk teoretycznych. Jednakże między tymi dwiema kategoriami ludzi brakowało łącznika w postaci twórców nauk stosowanych, którzy jakoś nie mogli znaleźć w Anglii zatrudnienia. W roku 1872 brytyjska delegacja podczas wizyty w Niemczech dowiedziała się, że w samym tylko Monachium w badaniach naukowych bierze udział więcej studentów niż na wszystkich angielskich uniwersytetach. Po roku 1900 w odpowiedzi na rosnącą krytykę utworzono w Wielkiej Brytanii kilka nowych uniwersytetów i politechnik. A jednak w roku 1914 w Niemczech było 58 tysięcy studentów uniwersytetów i 16 tysięcy studentów politechnik, podczas gdy w Anglii odpowiednio 9 tysięcy oraz 4 tysiące. Przy tym nie była to tylko kwestia liczb, ale także postaw wobec przemysłu. E. D. Howard w *The Cause and Extent of the Recent Industrial Progress of Germany* (1907) ujął to krótko: „jedną z najbardziej podstawowych i istotnych przyczyn obecnego powodzenia narodu niemieckiego są bliskie związki istniejące w tym kraju między nauką a praktycznym jej zastosowaniem”. S. J. Chapman przytaczał wypowiedź dyrektora niemieckiej stalowni: „Możemy skutecznie konkurować i osiągać zyski dzięki naukowym podstawom naszego przemysłu oraz technicznej edukacji naszych robotników [...] każdy z naszych majstrów oraz kierowników ma za sobą dwa lata szkolenia na koszt firmy – szkolenia w zakresie edukacji technicznej oraz naukowej”.

Amerykanie przywiązywali wprawdzie mniejszą wagę do nauki niż Niemcy, ale za to zdecydowanie większą – do organizacji produkcji, produkcji masowej,

standaryzacji, kontroli kosztów i marketingu. Współczesny system fabryczny zaczął się kształtować około roku 1900; oparty był na tysiącach zunifikowanych maszyn produkcyjnych oraz idei linii produkcyjnej. Odbierało to sens tradycyjnym metodom brytyjskim, stanowiło natomiast urzeczywistnienie tego sposobu myślenia o przemyśle, którego pionierami byli Amerykanie. Już w roku 1880 Ameryka wytwarzała pewne standardowe maszyny produkcyjne o połowę taniej niż Brytyjczycy. W roku 1913 amerykański eksport w tej dziedzinie przewyższał brytyjski czterokrotnie. Z nadejściem epoki samochodu i trzeciej fazy rewolucji przemysłowej Ameryka już na starcie była daleko przed konkurentami. Brytyjski przemysł samochodowy składał się z wielu małych zakładów wytwarzających ogromną różnorodność modeli, niektóre na zamówienie indywidualnych klientów. Do roku 1913 Wielka Brytania wypuściła na rynek niemal dwieście różnych modeli – ponad połowę bez powodzenia. W roku 1914 żaden brytyjski producent samochodów nie zdołał osiągnąć wskaźnika: jeden egzemplarz na jednego robotnika rocznie; tymczasem Henry Ford już dziesięć lat wcześniej wypuszczał na rynek 1700 sztuk rocznie, zatrudniając 300 osób. Jakość osiągnięć brytyjskiego przemysłu można mierzyć nie tylko wielkością eksportu, ale także za pomocą innych, bardziej złowróbnych wskaźników, zwłaszcza w zakresie morskiej rywalizacji z Niemcami. Admirał Jellicoe, dowodzący Wielką Flotą w roku 1914, trzeźwo zdawał sobie sprawę z tego, że jego okręty pod wieloma względami technicznie ustępują jednostkom przeciwnika; stąd ostrożność, za którą spotykały go niezasłużone ciężki. W trakcie bitwy jutlandzkiej admirał Beatty, widząc, jak dwa angielskie krążowniki wylatują w powietrze, zwrócił się do kapitana swojego flagowca z pełną zdumienia, acz nader trafną uwagą, dobrze puentującą sytuację, w jakiej Wielka Brytania znalazła się w trzeciej fazie rewolucji przemysłowej: „Chatfield, wydaje się, że coś niedobrego dzieje się dziś z naszymi cholernymi statkami”.

Oczywiście – to, w jaki sposób rozkładają się wysiłki narodu, nie jest sprawą ślepego przypadku. Do pewnego stopnia odzwierciedla świadome wybory ludzi. Jak wcześniej podkreślałem, Anglicy nigdy nie traktowali przemysłu bardzo poważnie; swoje osiągnięcia w tej dziedzinie uważali niemal za rzecz pewną i nigdy nie próbowali w jakiś systematyczny sposób zagwarantować sobie utrzymania tego stanu rzeczy. Generalnie rzecz biorąc, ludzie przemysłu nie cieszyli się uznaniem w oczach Anglików, nie mieli więc ani należytej pozycji społecznej, ani przywilejów. Jak na naród przemysłowy – zajmowali wręcz uderzająco skromne miejsce w sferze życia publicznego. Sukcesu w interesach, zwłaszcza w przemyśle, nigdy nie uważano za dowód kwalifikacji odpowiednich do zajmowania wysokich stanowisk państwowych. Peel opierał swoją karierę polityczną nie na fabrykach ojca, ale na własnym, odziedziczonym bogactwie i majątku ziemskim. Ludzie w rodzaju Cobdena i Brighta, którzy byli rzecznikami interesów kół przemysłowych, byli znani z braku talentów w tej dziedzinie (Cobden

zostawił swoją rodzinę bez grosza). Joseph Chamberlain, apostoł przemysłu Birmingham, po prostu pozbył się swoich fabryk w roku 1874, zanim rozpoczął karierę polityczną; 120 tysięcy funtów, jakie za nie otrzymał, stanowiło finansową podstawę kariery politycznej, którą w zasadzie prowadził już z pozycji rentiera. Gdy przyjrzeć się statusowi materialnemu brytyjskich premierów w wieku XX, można zaobserwować ciekawą prawidłowość. Niektórzy, jak Churchill, Eden i Wilson, dorobili się majątku jako pisarze, wykorzystując dostęp do dokumentów państwowych, jaki dawała im uprzywilejowana pozycja. Lloyd George zrobił majątek na szalbierstwach związanych z przyznawaniem honorów i zainwestował go, bez powodzenia, w rolnictwie. Tylko Macmillan miał za sobą udaną karierę biznesmena, jednak – co znaczące – w przemyśle wydawniczym, w którym Wielka Brytania utrzymała czołową pozycję. A. J. Balfour w wieku lat dwudziestu jeden odziedziczył około czterech milionów funtów. Umarł jako człowiek stosunkowo ubogi, a jego dom trzeba było zamknąć. Jak się wydaje, stracił około 250 tysięcy, finansując próby wytwarzania sproszkowanego paliwa z torfu i z pewnością miał na swoim koncie inne nieudane inwestycje.

Szczególnie znaczący wydaje się przypadek Baldwina. Młodość spędził pracując w rodzinnej fabryce przemysłu metalowego – typowym dla środkowej Anglii koncernie średniej wielkości, o lokalnym zasięgu – ściśle wyspecjalizowanej, konserwatywnej, zarządzanej przez ludzi kierujących się dobrymi intencjami, którym jednak brakowało zarówno bezwzględności, jak i dynamizmu. Firma Baldwinów angażowała się więc w rozmaite przedsięwzięcia: była wśród nich i kopalnia w południowej Walii, były fabryki prężalnicze, wytwórnia dywanów, fabryka blachy cynowanej. Zestaw dość przypadkowy i chaotyczny, ale miły dla ucha Anglika. Baldwin barwnie opisał główny zakład w przemówieniu, jakie wygłosił już jako premier w roku 1925:

[...] miejsce, w którym mogłem rozmawiać z ludźmi nie tylko o problemach fabryki, ale także o kłopotach domowych i o ich żonach. Miejsce, w którym strajki i lokauty były nie znane. Miejsce, w którym pracowali dziadowie i ojcowie obecnie zatrudnionych i automatycznie zatrudniali się ich synowie. Było to miejsce, skąd nikt nigdy nie został „wyłany” i w którym odczuwaliśmy naturalną sympatię dla tych, którzy mniej przejmowali się sprawą efektywności niż ludzie w obecnym pokoleniu, i gdzie wielu starszych dżentelmenów zwykło spędzać całe dnie opierając się na taczkach i paląc fajkę.

Ten opis mówi wiele o konkurencyjności w przemyśle brytyjskim, skoro ta firma nie tylko nie znajdowała się na krawędzi bankructwa, ale się wręcz rozwijała, z czasem stając się jednym z poważniejszych producentów w branży. Baldwin, w znacznej mierze dzięki nadzwyczajnym profitom czasu wojny, mógł w roku 1919 szacować swój majątek na pół miliona funtów, z czego jedną piątą w szlachetnym geście podarował narodowi. Jednak i on, podobnie jak Balfour, miał

u schyłku życia kłopoty finansowe. Bonar Law wylądował jeszcze gorzej. Dorożył się pieniędzy w przemyśle żelaznym w Glasgow jako partner w firmie William Jacks. Gdy umierał, posiadane przezeń preferencyjne udziały w tym przedsiębiorstwie były niemal bez wartości, a z 71 tysięcy, jakie po sobie zostawił, 60 tysięcy stanowiły testamentowe zapisy od krewnych – w sumie niezbyt wybitna kariera jak na przemysłowca. Z kolei Neville Chamberlain aktywne życie rozpoczął inwestując w szał na wyspach Bahama 50 tysięcy należących do ojca, które w całości trzeba było spisać na straty. Później osiągał pewne skromne sukcesy w różnych małych firmach w Birmingham, z których największa produkowała koje okrętowe i stelaże na amunicję dla okrętów wojennych – doskonały przykład wąskiej specjalizacji i ciasnych horyzontów angielskiego przemysłu.

Prawda bowiem jest taka, że Anglicy inwestowali intelektualne zasoby swego społeczeństwa w ściśle określonym porządku ważności i przemysł z całą pewnością lądował na tej skali bardzo nisko. System szkolnictwa przeznaczony dla elity był nastawiony przede wszystkim na wychowywanie polityków, prawników i ludzi Kościoła*. Zaszczepiał sposób myślenia szczególnie dobrze dostosowany do potrzeb tych profesji. Z rozmysłem i systematycznie zachęcał najzdolniejszych młodych ludzi do marzeń o karierze premiera, kanclerza czy arcybiskupa. I w ramach tak założonych kryteriów był to system bardzo skuteczny. To nie przypadek, że Anglia umiała przejść od oligarchii do demokracji, a następnie do państwa socjaldemokratycznego bez rewolucyjnych wybuchów przemocy – jedyny kraj na świecie, któremu się to udało. Nie przypadkiem Anglia miała i ma najbardziej stabilny system polityczny ze wszystkich większych państw świata. A także zdobyła (po czym w odpowiednim momencie rozwiązała) największe imperium, jakie kiedykolwiek istniało na świecie – przy minimalnym rozlewie krwi. Anglicy stworzyli i wciąż posiadają wyjątkowo elastyczny i skuteczny system sędziowski, który wyróżnia się zarówno uczciwością, jak i szybkością działania. Potrafili uniknąć wojen religijnych i ograniczyć bitwy doktrynalne do obszaru nauki. Żadna z tych rzeczy nie dokonała się przypadkiem. Wszystkie odzwierciedlają to, do jakiego stopnia Anglicy byli gotowi zainwestować swoje zdolności w tych konkretnych dziedzinach oraz w decydujących o ich kształcie instytucjach. Jak słusznie zauważył Anthony Trollope, szczytem ambicji każdego przyzwoitego Anglika było zostać członkiem Parlamentu. Pozwala to wyjaśnić wysoką temperaturę i elastyczność angielskiego życia politycznego. Nie sposób tego samego powiedzieć o Stanach Zjednoczonych

* Analizy statystyczne można znaleźć w: T. W. Bamford, *The Rise of the Public Schools*, London 1967, zwłaszcza rozdział IX. Z 5034 członków Parlamentu zasiadających w latach 1734–1832 w Izbie Gmin 1714 kończyło jedną z siedmiu elitarnych *public schools*. Nawet w okresie 1918–1935 43% członków Parlamentu było wychowankami szkół publicznych; w roku 1945 30%. W latach 1918–1955 *public schools* wypuściły około 30–40% członków klasy rządzącej; W. L. Guttsman, *The British Political Elite*, London 1963.

czy Niemczech. W żadnym z tych krajów nigdy nie traktowano polityki jako wyjątkowo atrakcyjnego i honorowanego rodzaju kariery życiowej, która przyciągałaby znakomitą większość najlepszych umysłów w kraju. Następstwa takiej sytuacji były – i są – oczywiste. Naród niemiecki, w przeszłości jak i dziś najlepiej wykształcony naród na świecie, pracowity, obowiązkowy, doskonale zorganizowany i wyposażony, dwukrotnie podporządkował się politycznym imbecyloom, którzy doprowadzili go do katastrofy*. Także Ameryka poskąpiła polityce swoich najlepszych umysłów. To wyjaśnia, dlaczego tak długo, od roku 1900 do 1941, wzbraniała się przed podjęciem roli przywódcy demokratycznego świata, choć z racji jej zasobów ludzkich i gospodarczych było to nadzwyczaj pożądane; wyjaśnia to także jej mizerne osiągnięcia, od kiedy w końcu, acz niechętnie, wzięła na siebie to zadanie. To, co zdarzyło się w Niemczech i z Niemcami, a także to, co dziś dzieje się w Stanach (oraz ich poczynania poza granicami) w znacznej mierze stanowi jedynie konsekwencje określonego wyboru priorytetów w dysponowaniu intelektualnymi zasobami elity społeczeństwa. Historia współczesnej Japonii odzwierciedla bardzo podobne wybory. Anglicy wyżej cenili sobie stabilność i niestosowanie przemocy niż osiągnięcia przemysłowe i dostali to, za co zapłacili – nie mniej, nie więcej. Cena, jaką zapłacili, w kategoriach bogactwa społeczeństwa była wysoka. Lord Birkenhead, prowadząc w roku 1921 negocjacje z górnikami i właścicielami kopalń, poczynił uwagę, że gdyby nie miał okazji spotkać się z właścicielami kopalń, uważałby przywódców górników za najgłupszych ludzi w kraju. Czegóż się jednak spodziewał? Sam, w opinii lorda Beaverbrooka, był „najinteligentniejszym człowiekiem w królestwie”. Jednakże człowiek obdarzony takimi zdolnościami nigdy, oczywiście, nie próbowałby szukać kariery w przemyśle węglowym. W sposób naturalny i nieuchronny myślałby raczej o wspaniałych zdobyczach czekających go w świecie prawa i polityki, a sto lat wcześniej mógłby także widzieć się w Lambeth Palace. Angielski system edukacyjny nie miał wcale przyczyniać się do powstania w kraju wolnego od konfliktów i dobrze prosperującego przemysłu węglowego; ledwo co uczył górników czytać i pisać, a właścicielom fabryk oferował w najlepszym przypadku skromną znajomość martwych języków.

* W roku 1914 w Niemczech było tylko 0,4% analfabetów, we Francji 3%, we Włoszech 30%. Jednak rozwój edukacji politycznej pozostawał w Niemczech na bardzo niskim poziomie. Bismarck, jak stwierdził Max Weber, „zostawił po sobie naród, któremu pod każdym względem brakowało edukacji politycznej, naród znajdujący się na znacznie niższym poziomie niż ten, jaki osiągnął pod tym względem dwadzieścia lat wcześniej”. System brytyjski wychował Lloyda George’a, system niemiecki usunął ze stanowiska [premiera] Bethmanna Hollwega, stawiając na jego miejsce najpierw nikomu nie znanego urzędnika George’a Michaelisa, a następnie wielokowego i zniedołężniałego hrabiego Hertlinga. Ostatnio opublikowane dokumenty dotyczące wewnętrznych konfliktów w Niemczech w latach 1914–1918, wydane przez Wilhelma Deista, potwierdzają tę analizę.

W tym świetle trudno się dziwić, że Anglicy, w konfrontacji z coraz liczniejszymi dowodami świadczącymi o tym, iż stracili pozycję czołowej przemysłowej potęgi świata, zaczęli szukać rekompensaty i ulgi nie w rozwiązaniach gospodarczych, ale politycznych. Nie próbowali wykorzystać możliwości państwa do tego, by podnieść efektywność gospodarki. Posłużyli się państwem, aby zwiększyć obszar, na którym fakt, że są mało wydajni, nie miał tak wielkiego znaczenia. Mówiąc krótko, wynaleźli nowoczesny imperializm. Takie rozwiązanie stanowiło – a w każdym razie wydawało się, że stanowi – łatwą drogę wyjścia z kłopotów. Był to jednak wybór podyktowany nie tyle siłą co słabością. Niezdolni do skutecznej rywalizacji na rozwiniętych rynkach, Anglicy postanowili rozszerzyć i wykorzystać strefę swoich wpływów w zacofanych częściach świata. Zasadniczo był to więc powrót do obowiązującego w XVIII wieku wzorca kontaktów handlowych ze światem – surowce z kolonii w zamian za brytyjskie wyroby przemysłowe. Nic dziwnego, że tę drugą fazę eksploatacji z największym powodzeniem udało się zrealizować w Indiach. W ostatniej ćwierci XIX stulecia Wielka Brytania miała stały, często ogromny deficyt handlowy w obrocie towarowym z zagranicą. Różnicę częściowo pokrywał wzrost dochodów z czynników „niewidzialnych” – usług bankowych, transportowych, ubezpieczeniowych i innych oraz dochody z inwestycji zagranicznych – częściowo zaś ogromne zyski, jakie przynosiło Brytyjczykom imperium indyjskie, które to zyski w roku 1914 pokrywały dwie trzecie handlowego deficytu Wielkiej Brytanii. Inne przedsięwzięcia kolonialne były mniej zyskowne. W rzeczywistości w ciągu ostatniego dwudziestolecia XIX wieku eksport brytyjskich wyrobów do obszarów kolonialnych zmniejszył się w porównaniu z eksportem do innych obszarów. Jednak uszło to uwagi Brytyjczyków, w każdym razie w tamtym okresie. Powszechnie wierzono, że obszary zaznaczone na mapach kolorem czerwonym stanowią bardzo dobre tereny dla handlu.

Motywowym ekonomicznym kryjącym się za rozwojem dziewiętnastowiecznego imperializmu towarzyszyły także motywy natury politycznej. Zwłaszcza torysi aktywnie poszukiwali nowych haseł i idei, które można by wykorzystać do zdobycia głosów nowego elektoratu z klasy robotniczej. Liczba uprawnionych do głosowania podwoiła się w latach osiemdziesiątych XIX wieku, obejmując 60% dorosłych mężczyzn. Reforma terytorialnego rozdziału miejsc doprowadziła do powstania równych okręgów wyborczych, a wprowadzenie tajności głosowania i *Corrupt Practices Act* zrównały szanse obu partii. Liczba okręgów, w których dochodziło do bezpośredniej walki wyborczej o mandat, wzrosła z dwu trzecich w roku 1868 do trzech czwartych w roku 1874; w roku 1880 było ich aż cztery piąte, a w roku 1885 walka toczyła się już w dziewiętnastu na dwadzieścia okręgów. Konieczność prowadzenia tak szeroko zakrojonej rywalizacji podczas wyborów powszechnych przyczyniła się do rozbudowania ogólnokrajowego aparatu obu partii; po obu stronach pracowały w nim

już tysiące członków. Torysi musieli skompensować jakoś przewagę, którą liberałowie mieli w większości kwestii społecznych, toteż postanowili w coraz większym stopniu rozgrywać kartę patriotyzmu i imperium. Pod tym względem Disraeli rzeczywiście nadał ton melodii przyszłości. Jednakże dzieło przekucia tych idei w praktyczne rezultaty zwycięstw wyborczych spadło na lorda Randolpha Churchilla. W roku 1884 Churchill zawarł umowę z lordem Salisbury, gwarantującą, że masowy ruch nowych robotniczych zwolenników partii stanie się uległym narzędziem w rękach góry partyjnej; w tym samym roku wprowadził do działalności partii kobiety za pośrednictwem Primrose League. W roku 1900 pierwsi badacze socjologii wyborczej odnotowywali zrzeczność, z jaką torysi wykorzystali szacunek wobec klas wyższych i lojalność wobec imperium, by przekształcić wyborców z dolnej warstwy klasy średniej i klasy robotniczej w aktywistów partyjnych. Naturalnie, w tej sytuacji także prawe skrzydło partii liberalnej uległo pokusie, by igrać z pojęciem imperializmu, ku wyraźnej niechęci Gladstone'a. W roku 1882, głównie w następstwie zobowiązań Disraeliego, rząd Gladstone'a podjął decyzję o ostrzale Aleksandrii oraz rozpoczął okupację Egiptu, głęboko angażując się politycznie w całej dolinie Nilu. Mimo swego zdecydowanego oporu Gladstone nie był w stanie wypłatać liberałów z tych zobowiązań, które doprowadziły do gniewnej i bolesnej rezygnacji Johna Brighta, człowieka, którego liberalizm był jeszcze bardziej nowoczesnego typu niż jego własny. Gladstone ogłosił, że brytyjska obecność wojskowa w Egipcie będzie jedynie „tymczasowa” – tę obietnicę angielskie rządy będą w ciągu następnych sześćdziesięciu lat jeszcze sześćdziesiąt sześć razy uroczyście składać i łamać ponownie. Najbardziej jednak smucił Gladstone'a fakt, że jego młody protegowany, Rosebery, autor wielkich humanitarnych kampanii w Midlothian, stał się najbardziej jawnym, nieprzejednanym i wymownym rzecznikiem imperializmu w łonie Partii Liberalnej. W roku 1892 to właśnie Rosebery uniemożliwił Gladstone'owi ewakuację wojsk brytyjskich z Egiptu. Stary polityk zaczął gorzko żałować, że powierzył Rosebery'emu stanowisko ministra spraw zagranicznych, jednakże nie mógł zapobiec temu, by Rosebery przejął po nim funkcję premiera, gdy sam wycofał się z czynnego życia politycznego, a Rosebery niezwłocznie zaanektował Ugandę i była to pierwsza z bardzo wielu angielskich grabieży w Afryce.

Nowemu imperializmowi brakowało jakiejś jednoczącej teorii, ale bardzo szybko nabrał on wyraźnego rasowego zabarwienia. Droga wskazaną przez Ruskina ochno podążyło plemię ekscentrycznych profesorów. W latach 1881–1882 J. R. Seeley, profesor historii współczesnej na uniwersytecie w Cambridge, wygłosił serię cieszących się wielkim powodzeniem wykładów, opublikowanych następnie pod tytułem *The Expansion of England*; Seeley głosił w nich narodziny wielkiej Anglii, której przeznaczeniem jest rywalizacja z rodzącymi się światowymi imperiami Stanów Zjednoczonych i Rosji. W roku 1885

James Anthony Froude napisał dzieło *Oceana, or England and Her Colonies*, w którym podejmował pewne elementy rasowej teorii historii spopularyzowanej w Niemczech przez Treitschkego: w tym ujęciu Henryk VIII jawił się jako angielski człowiek „z krwi i żelaza”. Powstała cała masa pseudodarwinowskich nonsensów, w które powszechnie wierzone, autorstwa socjologów-amatorów, jak choćby prace Benjamin Kida, który twierdził, że imperialne wojny i zmagania oczyszczają rasę za pomocą naturalnej selekcji, czy J. A. Cramba, który w *The Origins and Destiny of Imperial Britain* (1900) dowodził, że powszechny pokój jest nie do pomyślenia na żywej, rozwijającej się planecie. Imperialiści rodem z uniwersytetów już wtedy zaczęli postrzegać wojnę jako rzecz nieuchronną, a nawet pożyteczną. Naturalnie, niewielu Anglików miało ochotę wyciągać ostateczne logiczne konkluzje z rasowych teorii polityki światowej. Houston Stewart Chamberlain, który ożenił się z córką Wagnera, przeniósł się do Niemiec, by tam rozwijać swe pełnokrwiste aryjskie doktryny, i podczas Wielkiej Wojny stał się gwałtownym krytykiem „rasowej zdrady”, jakiej dopuścili się w jego mniemaniu Brytyjczycy. Angielscy rasistowsy imperialiści musieli także stawić czoło nie kończącym się potokom szyderstw i obelg ze strony fabianów, socjalistów, niezależnych liberałów oraz innych silnych i zdecydowanych grup intelektualistów. Jednakże, przynajmniej w latach dziewięćdziesiątych, narodowy imperializm podbił angielską świadomość polityczną, zachowując wpływy jeszcze przez wiele lat później. W mowie wygłoszonej w Colonial Institute w roku 1893 Rosebery nadał mu pewien pozór szlachetnej pryncypialności, zręcznie łącząc trafną współczesną metaforę z jawną deformacją historii oraz odrobiną typowo angielskiego oszustwa:

[...] posługując się terminologią zaczerpniętą z górnictwa, możemy powiedzieć, że w chwili obecnej „wbijamy kołki” wyznaczające nasze roszczenia na przyszłość [...] mamy powinność, należącą do naszego historycznego dziedzictwa, zadbania o to, aby świat [...] przyswoił sobie język i kulturę angielską, a nie innych narodów [...] jednakże sprzeniewierzylibyśmy się w mojej opinii spoczywającym na nas zadaniom, gdybyśmy uchylili się od przyjęcia odpowiedzialności i nie wzięli przypadającego nam udziału w podziale świata, który nie myśmy narzucili, ale który został nam narzucony.

Daleko odeszliśmy od liberalnego internacjonalizmu Johna Stuarta Milla, wyrażanego trzydzieści lat wcześniej. Idea Anglii jako powierniczki innych narodów ustąpiła o wiele węższej, bardziej egoistycznej i rasistowskiej wizji, którą Rosebery ujął jako „przyszłość rasy, której jesteśmy w chwili obecnej powiernikami”. Koncepcja, zgodnie z którą w pewnym określonym momencie trzeba będzie położyć kres imperium, została zarzucona. Zamiast tego zaczęto uważać, że emigracja daje Anglikom naturalne prawo do aneksji każdego terytorium, na którym kiedykolwiek się osiedlili. Inni apologetci imperium byli mniej wyrafinowani niż Rosebery. Cecil Rhodes w roku 1877 ujął sprawę z uczniacką

dosadnością: „Uważam, że jesteśmy pierwszą rasą na ziemi i im więcej ziemi zaludnimy, tym lepiej dla rasy ludzkiej”. Niektórzy spośród najbardziej zagorzałych imperialistów mieli częściowo niemieckie wykształcenie lub pochodzenie. Alfred Milner, na przykład, urodził się w Niemczech i jeden z jego dziadków był Niemcem (prasa radykalna zawsze pilnowała, aby imię jego ojca drukowano w formie „Karl”). Milner wkroczył w świat polityki jako sekretarz George’a Joachima Goschena, syna niemieckiego kupca, i opuścił szereg liberałów, gdy Goschen złożył rezygnację z powodu stanowiska partii w kwestii autonomii dla Irlandii (*Home Rule*). Milner od początku do końca utrzymywał, że politykę powinny kształtować czynniki rasowe. Wielokrotnie i z naciskiem zaprzeczał, jakoby był „kosmopolitą” (obelga, już wówczas należąca do repertuaru antysemitycznego). W *The Nation and the Empire* (1913) postawił pytanie: „Co rozumiem przez rasę brytyjską? Rozumiem przez nią wszystkich mieszkańców Zjednoczonego Królestwa oraz ich potomków [żyjących] w innych krajach pod flagą brytyjską”. To było wszakże danie dla publiczności. W papierach Milnera odnalezionych po jego śmierci znaleziono dokument zatytułowany: „CREDO – klucz do moich poglądów”. Warto go zacytować:

Jestem brytyjskim (ściśle biorąc – przede wszystkim angielskim) nacjonalistą. Jeśli jestem także imperialistą, to dlatego, że przeznaczeniem rasy angielskiej [...] jest zapuścić nowe, świeże korzenie w odległych krajach [...]. I to nie ziemia Anglii, jakkolwiek by mi była drogą, stanowi podstawową pobudkę mojego patriotyzmu, ale mowa, tradycja, dziedzictwo duchowe, zasady i aspiracje rasy Brytyjczyków [...] wynikające z ich przynależności rasowej. Państwo brytyjskie musi iść w ślad za rasą brytyjską [...]; nie możemy sobie pozwolić na to, by rozstać się z tyłoma najlepszymi ludźmi naszej krwi*.

Uzbrojeni w takie motywacje, po części ekonomiczne, po części rasistowskie, Anglicy zaczęli po raz pierwszy świadomie i na ogromną skalę grabić tereny na całej kuli ziemskiej. W Azji Południowo-Wschodniej, na Pacyfiku, w południowej, centralnej, wschodniej i zachodniej Afryce ogromne terytoria zostały albo zaanektowane bezpośrednio na rzecz Korony, albo umieszczone pod jej „protektoratem”. Brytyjskie rządy składały świętoszkowate deklaracje, że to nie one rozpoczęły rozdrapywanie świata, ale że jedynie w reakcji na poczynania innych musiały, w celach czysto obronnych, nadać formalny status skądinąd już istniejącym strefom angielskich wpływów i interesów. Po większej

* „Times”, wydawany przez jednego z uczniów Milnera, Geoffreya Dawsona, opublikował „Credo” 27 lipca 1925 roku, opisując je jako wyraz „świadomej wiary politycznej jednego z najlepszych i najgłębszych patriotów imperium”, a następnie wydał je w formie ulotki przeznaczony do rozpowszechniania w szkołach. Sprowokowało to ostrą reakcję Agi Khana: „Byłoby absurdem nazywać Indie dominium w imperium opartym na brytyjskim patriotyzmie rasowym”. Zob. A. M. Gollin, *Proconsul in Politics*, London 1964, rozdz. VI.

części są to kompletne brednie. Można winić Stany Zjednoczone, że spowodowały cały proces swoją polityką taryf celnych, tym bardziej że same, naturalnie, angażowały się w „jawnie nakazany przez przeznaczenie” imperializm na śródziemnym i dalekim zachodzie Ameryki oraz w wojny przeciw Meksykowi i Hiszpanii. Także Rosja przez trzysta lat prowadziła systematyczny imperialistyczny podbój Azji, a w ostatnich czasach jej śladem poszła Japonia. Jednak w strefie tropikalnej i subtropikalnej to Brytyjczycy nadawali tempo i byli najbardziej chciwą i najbardziej zaborczą potęgą imperialistyczną. W ciągu niecałych dwudziestu lat Wielka Brytania przywłaszczyła sobie 3,5 miliona mil kwadratowych, do czego należy dodać 1,5 miliona mil pod brytyjskim protektoratem. Była to lwia część, zarówno pod względem ilości, jak i jakości. Niektórzy brytyjscy imperialiści nawet nie próbowali tego ukrywać. W liście do lorda Salisbury Rhodes pisał, iż to zadziwiające, że „człowiek, który nigdy nie podróżował dalej niż do Dieppe czy na Riwierę, nagle odkrywa, że wszystkie miejsca w Afryce Południowej, w których Anglicy mogliby się osiedlić, są już zarezerwowane dla nich przez Wielką Brytanię, a inni nie mają tam dostępu”. Podobnie uważała większość cudzoziemców, zwłaszcza Niemcy. Ci ostatni zorientowali się, że małe państwa, takie jak Belgia i Portugalia, tradycyjni sojusznicy Brytyjczyków, zdołali w jakiś sposób wchłonąć ogromne i cenne terytoria, że Francji nie dostało się nic wartościowego poza południowym wybrzeżem Morza Śródziemnego i że spóźnialscy – tacy jak oni sami i Włosi – zostali nabici w butelkę, zyskując spore kawałki bezwartościowego pustkowią.

Imperializm wyrządził Anglikom różne trwałe szkody, z których nie najmniej istotną było pewne zbrutalizowanie ducha narodu. Jak na ironię, ruch, który miał wynieść na piedestał rasę uważającą się za lepszą od pozostałych, w rzeczywistości przyniósł wyraźne oznaki moralnej degeneracji. Naturalnie, należy tu poczynić poważne zastrzeżenia. Standardy służby kolonialnej ustawiono wysoko. Wielka Brytania rządziła jedną czwartą kuli ziemskiej w sposób autokratyczny, ale rozsądny. Nie było porównania między tym, co działo się na ziemiach opanowanych przez Anglików, a okrucieństwami, jakich dopuszczali się na zajętych przez siebie terytoriach Holendrzy, Belgowie, Portugalczycy, Francuzi, Niemcy i Włosi. Imperium Brytyjskie odzwierciedlało niektóre szczególnie godne uwagi właściwości państwa-minimum w kraju macierzystym. Rządziła nim nieliczna grupa ludzi, wspierana przez niewielką armię i skromne siły policyjne rekrutujące się z członków miejscowej ludności. Rządzący musieli zatem w znacznym stopniu odwoływać się do zgody, a nawet przyzwolenia rządzonych. Pod pewnym względem imperium przypominało więc osiemnastowieczną Anglię: władza znajdowała się praktycznie w rękach „klasy politycznej” rządzącej elity, ale z wielu istotnych wolności korzystało całe społeczeństwo.

Swoboda poruszania się i komunikacji, wolność mowy i prasy, swobodny dostęp do bezstronnego wymiaru sprawiedliwości, wolność dysponowania swoim życiem i majątkiem w ramach wyznaczonych przez prawo – były to bardzo istotne zalety angielskiego systemu. W dodatku w rządzeniu imperium bardzo ściśle przestrzegano surowych Gladstone'owskich reguł zarządzania publicznymi finansami i bezlitośnie karano przejawy korupcji na wszystkich szczeblach władzy. Być może najważniejsze było jednak to, że w ramach autorytarnej struktury imperium w znacznym stopniu egzekwowało przestrzeganie tolerancji religijnej i narodowej. W istocie nie miało innego wyjścia. Imperium Brytyjskie było największym muzułmańskim państwem na świecie, a także największym państwem zamieszkanym przez wyznawców religii hinduistycznej i buddyjskiej; było też największym państwem protestanckim, obejmującym zarazem wiele społeczności, w których dominowali katolicy. Chroniło wolnomysłicieli; z drugiej strony urzędnikiem państwowym był w nim, na przykład, katolicki dziekan Malty. Dzięki imperialnym urzędnikom, wojsku i policji wiele dziesiątków skłóconych narodów mogło współżyć w pokoju. Można wręcz powiedzieć, że na nieszczęście, albowiem akcentowanie swobody przemieszczania się i rygorystyczne tłumienie wybuchów przemocy na tle rasowym i religijnym doprowadziło do tego, że na wielu obszarach tuż obok siebie osiedliły się wrogie sobie społeczności, zwłaszcza w Indiach Zachodnich, we wschodniej Afryce i wschodniej Azji. Z kolei narzucenie zachodnich standardów w dziedzinie ochrony zdrowia doprowadziło do rewolucyjnych zmian przeciętnej długości życia, poważnego ograniczenia liczby zachorowań na choroby tropikalne oraz zdecydowanego spadku śmiertelności niemowląt. Od roku 1898 Wielka Brytania przeznaczała coraz większe sumy na imperialne programy rozwoju gospodarczego, zapoczątkowane w Indiach Zachodnich, ale stopniowo rozciągane na całość imperium. W ten sposób Wielka Brytania, kierując się wysoce altruistycznymi pobudkami, stała się w znacznej mierze odpowiedzialna za trzy podstawowe problemy dzisiejszego Trzeciego Świata: konflikty narodowościowe i rasowe, eksplozję populacyjną oraz wiarę w iluzoryczne panaceum „pomocy zagranicznej” – którą można by nazwać Międzynarodowym Prawem o Ubogich.

Wszelako nawet jeśli imperium obdarzało podległe sobie ludy tymi mieszanymi błogosławieństwami, samym Anglikom wyrządziło jedynie szkody. Jak stwierdziła Annie Besant [reformatorka, angielska przywódczyni India Home Rule League], problem Indii polegał na dumie Hindusów i arogancji Brytyjczyków. Nowy imperializm bardzo ożywił tego ducha arogancji, stanowiąc pożywkę dla narodowego zadufania, które zrodziło się w dobie rewolucji przemysłowej i które przez ostatnie ćwierćwiecze XIX stulecia miało coraz mniej wspólnego z rzeczywistością. W okresie szczytowego rozbuchania ducha imperializmu Wielka Brytania nieustannie traciła pozycję światowej potęgi gospodarczej, politycznej i militarnej. Imperializm skrywał jednak prawdę o upadku

przed oczami Anglików, powstrzymywał ich przed analizowaniem przyczyn i blokował poszukiwanie środków zaradczych. W efekcie Anglicy zapomnieli, że są niewielkim narodem, mieszkającym na niedużej wyspie, niezbyt zasobnej w bogactwa naturalne, i że jeśli chcą przetrwać we wrogim, pełnym rywalizacji świecie, muszą szukać oparcia w swoich zasobach intelektualnych i poczuciu realizmu. Sprawili, że zaczęli przeceniać swoją siłę i ignorować słabości, stanowili więc w tym sensie prawdziwe opium dla ludu, narkotyk rodzący rujnujące fantazje i przynoszący ponure rozczarowanie, gdy prysnęły piękne wizje. Narkotyk ponadklasowy, a ściśle biorąc, taki, który każda klasa mogła zażywać stosownie do swojej pozycji. Najgłębiej i najmocniej, aż do zawrotu głowy, zaciągała się, naturalnie, klasa rządząca, rozdzielając między swych członków bajkowe satrapie. Jedną z ważniejszych narkotykowych orgii, uświetniona mową lorda Rosebery, odbyła się 28 października 1898 roku, podczas pożegnalnego obiadu, jaki Starzy Etończycy wydali na cześć trzech alumnów, którzy wyruszali, by objąć urzędy gubernatora generalnego Kanady, wicekróla Indii i biskupa Kalkuty. Nawet w dziejach tej sławetnej akademii niewiele było scen równie górnołotnego zadufania, samodurstwa i błogich hymnów pochwalnych na własną cześć. „Jesteśmy wychowankami – intonował Rosebery –

[...] szkoły, która w nigdy nie gasnącym, nieprzerwanym strumieniu wiecznego przyływu wydaje wciąż na świat wicekrólów, biskupów i ministrów imperium, których to imperium potrzebuje [...]. Cóż, dla przykładu, uczyniłaby Kanada bez Eton, skoro sześcioro ostatnich jej wicekrólów, nie licząc jednego, było etończykami? [...] Wysłać dzisiaj trzech wybitnych ludzi na trzy niezwykle istotne stanowiska w różnych częściach imperium [...], a gdy zwycięska bitwa dobiegnie końca, staną w szeregu tych, którzy szlachetnie podjęli i triumfalnie spełnili swój obowiązek, przyczyniając się do umocnienia imperium, które wszyscy pragniemy z całej mocy utrzymać, obowiązek, który stanie się dla nich tytułem do chwały i choćby w niewielkim stopniu – gdyż tak wiele jest wciąż do dodania – przysporzy chwały i zasług naszej matce Eton.

Ten sam fałszywy ton rozbrzmiewał teraz na wszystkich szczeblach społeczeństwa. Z zamku Balmoral dobiegło zwulgaryzowane i zdegradowane echo wieku Elżbiety, gdy w sławnej rozmowie królowa Wiktoria spytała Cecila Rhodesa; „Co pan robił od czasu, kiedy widziałam pana po raz ostatni, panie Rhodes?” „Dodałem dwie prowincje do dominiów Waszej Wysokości”. Podczas wyborów Rosebery twierdził, iż nowi wyborcy z klasy robotniczej „czują, że ich osobisty honor i dobre imię związane są z honorem i dobrym imieniem imperium”. W roku 1896 Alfred Harmsworth wypuścił na rynek popularną gazetę, posługując się sloganem: „«Daily Mail» opowiada się za potęgą, supremacją i wielkością brytyjskiego imperium [...], jest ucieleśnieniem i rzecznikiem idei imperialnej”. Rok później diamentowy jubileusz [panowania królowej Wiktorii] ściągnął do Londynu ze wszystkich stron świata istny rzymski

karnawałowy pochód poprzebieranych kukiełek, które paradowały po ulicach metropolii w anachronicznym pokazie zastarzałego militarizmu i plemiennej uległości, składając trybut swemu władcy. W ten oto sposób szczytne ideały wiktoriańskiego społeczeństwa stoczyły się do poziomu bombastycznego i tandetnego teatru. Gladstone żył jeszcze i przyglądał się temu procesowi z goryczą, podczas gdy większość społeczeństwa w zachwyceniu ulegała pośmiertnym triumfom idei Baconsfielda [Disraeli od roku 1876 nosił tytuł earla Baconsfield], które Gladstone niegdyś sam określił jako „paskudny system puszenia się i wrzasku, w którym siła idzie przed prawem”. Gladstone uświadamiał sobie, w złowieszczym przecuciu, że imperializm wiąże handel ze strukturami militarnymi i niesie ze sobą groźbę przekształcenia przemysłu w niewolnika przemocy. Stanowił zaprzeczenie etosu liberalnego, negacją wszystkiego, co obiecywała Wielka Wystawa Światowa z roku 1851. Uczestnicząc w otwarciu Kanału Kilońskiego, gniewnie wybuchnął: „Powiedziano mi, że to przedsięwzięcie czysto handlowe, a widzę tu uzbrojone floty z całego świata”. Nigdy nie miał wątpliwości, że imperializm musi ostatecznie doprowadzić do wojny.

Imperializm żywił się także najgorszymi cechami charakteru Anglików. W Indiach, Egipcie i w innych krajach zachęcano szeregowych żołnierzy, by nosili ze sobą trzciniowe laski, podkreślające ich status władców w oczach miejscowej ludności. Pogardzani w ojczyźnie, tutaj byli panami. Anglicy z klasy średniej, przekształceni w bwana i sahibów, w obłąkańczym pędzie wspinali się na bambusową piramidę kastowego systemu władzy, której fundament opierał się na krzyczącej biedzie ciemnoskórych mas. Iluzję rasowej wyższości podtrzymywały i rodziły ponure realia zastosowania broni palnej i innych rodzajów destrukcyjnej technologii znajdującej się w rękach białych. Czasem Brytyjczycy polowali do spółki z innymi białymi, jak w Chinach, częściej jednak na własną rękę. Karabin maszynowy Maxima, haubica ciągnięta przez muły, uzbrojona rzeczna kanonierka stanowiły ulubione narzędzia imperialistycznych myśliwych rozszerzających granice cywilizacji w zgodzie ze ściśle przestrzeganyymi regulaminami magazynów amunicyjnych. „Imperium to handel” – oznajmił Joseph Chamberlain i głęboko w to wierzył. Gladstone był odmiennego zdania. Typowymi postaciami imperium nie byli wcale kupcy, ale „Bobs” Roberts i Herbert Kitchener, profesjonalni przedstawiciele imperialistycznej formuły militarnej: ciężkie uzbrojenie białych przeciw lekkiej broni ciemnoskórych. Roberts przez 41 lat uczył szczepy w Indiach i Afganistanie zasad prowadzenia ograniczonej wojny lokalnej. Kitchener, kawaler otaczający się eleganckimi, młodymi oficerami z koneksjami, przybrał pozę nowego faraona doliny Nilu. Obaj na krótko spotkali się w Afryce Południowej, gdzie wynaleźli obóz koncentracyjny. Kitchener ucieleśniał ciemną stronę impulsów imperialnych. Był łowcą trofeów z instynktami łupieżcy; nawet imperialistyczna Wielka Brytania nie zawsze mogła zaaprobować jego metody obchodzenia się z więźniami. Zarazem był jednak

skutecznym imperialnym inżynierem. Jego kampanie stanowiły popis nie tyle strategii czy męstwa, ile logistyki; były to zręcznie i systematycznie, a przede wszystkim z żelazną bezwzględnością realizowane operacje, które dzięki wykorzystaniu połączeń kolejowych, łodzi parowych i telegrafu gwarantowały maksymalną koncentrację siły ognia zapewniającej automatyczny sukces w walce w barbarzyńskimi armiami. W dodatku Kitchener był tani. Prowadzone przez niego wojny opierały się na zasadach – by użyć późniejszego terminu – efektywności kosztów. Najpierw przedstawiał „kosztorys”, następnie przeprowadzał operację – ściśle według planu i pod kontrolą Ministerstwa Skarbu.

Kitchener nie żywił żadnych iluzji co do równego traktowania białych i kolorowych przez imperialny wymiar sprawiedliwości. Doprowadziło to do znamiennej próby sił w Indiach, gdzie jako głównodowodzący został podwładnym Curzona, który był wicekrólem. Curzon był jednym z trzech satrapów, na których cześć Rosebery wygłaszał cytowaną mowę. Pod wieloma względami był największym imperialistą z nich wszystkich i gardził – wypływającą ze słabego charakteru, jak twierdził – defensywną polityką Salisbury’ego. Miał jednak silne poczucie zobowiązań, jakie nakładało na Anglików władanie imperium. Pozbawił honorów pewien sławny regiment, który nie dopilnował, aby ukarano morderców hinduskiego biedaka*. Społeczność anglo-indyjska, a zwłaszcza biała armia, darzyła go nienawiścią. Curzon, który miał w sobie rys masochisty, był zadowolony: dowodziło to, że należycie spełnia swój obowiązek. Kitchener, skoro tylko zainstalował się w Indiach, nie miał najmniejszego zamiaru grać drugich skrzypiec pod komendą cywila – zwłaszcza takiego, który poniżał armię. Szybko wykorzystał własny prestiż i wrogość miejscowej społeczności angielskiej, by zmusić Curzona do rezygnacji. W oczach Kitchenera nierówność sił militarnych nie dawała się pogodzić z równością wobec prawa. Cała jego kariera opierała się na świadomym wykorzystywaniu nierówności. W Omdurmanie stoczył wzorcową bitwę całej epoki imperializmu: błyskawicznie, tanio i ostatecznie rozgromił siły Mahdiego dzięki zręcznemu wykorzystaniu broni

* Chodziło o 9. regiment lansjerów, a incydent wydarzył się w roku 1902. Curzon wcześniej zastosował podobną karę okrycia niesławą wobec oddziału Royal West Kents za zbiorowy gwałt popełniony na starszej Birmance w Rangunie. Często jednak Curzon był bezsilny. W roku 1900 szeregowiec Royal Scots Fusiliers zamęczył na śmierć kulisa ciężarkami do ćwiczeń, po czym został uniewinniony. Ławy przysięgłych złożone z Europejczyków zwykle uchylały się od wydawania wyroków skazujących; od czasu Buntu Sipajów tylko dwu Europejczyków powieszono za zabójstwo członka miejscowej ludności, choć takie przypadki zdarzały się coraz częściej. Curzon pełen wściekłości pisał do sekretarza stanu: „To, że takie haniebne czyny, po pierwsze, w ogóle zdarzają się w kraju pod panowaniem brytyjskim, a po drugie, że następnie wszyscy: dowódcy, wysocy urzędnicy, sądy, administracja, zgodnie ochraniają winnego, stanowi w moim przekonaniu ciemną i trwałą plamę na honorze brytyjskiego imienia. Zamierzam, w tej mierze, w jakiej jeden człowiek może tego dokonać, zmasać ją w trakcie mego tutaj pobytu”. Por. David Dilkes, *Curzon in India*, London 1969, t. I, rozdz. VIII.

palnej. Była to bardziej *battu* niż bitwa (*battle*). Niczym echo dobiegające przez dwa tysiąclecia, niosła ze sobą ironiczne podobieństwo do sposobu, w jaki rzymskie legiony wyrznęły Brytów po buncie Boadicei. Nie był to żaden tytuł do chwały, ale takie preludia do postępu cywilizacji stanowiły konieczność. Curzon mógł sobie do woli głosić swoje teorie na temat imperium, ale to nie on musiał wykonywać brudną robotę. Jeśli biali i czarni są równi, to co biali robią w Indiach? I jak się tam znaleźli? Najwyraźniej nie byli równi. Jeśli wykorzystuje się oddziały białych żołnierzy w roli zawodowych morderców podległych narodów, to nie można ich wieszać za to, że czasem zabijają kogoś na stronie – naturalnie pod warunkiem, że ofiara była ciemnoskóra. Curzon miał za sobą prawo, ale to Kitchener wyrażał opinię większości białych mieszkańców imperium. Curzon podał się więc do dymisji.

Prawda jest bowiem taka, że praktyczne realia imperializmu nieuchronnie prowadziły do degeneracji rasy panów. Imperializm zmuszał zwykłych białych ludzi, by zachowywali się jak bogowie – fałszywi bogowie. Niewielka elita rządząca milionami musiała pojąć (lub udawać, że posiadała) boskie kompetencje Zeusa – po prostu po to, by uporać się z codzienną praktyką podejmowania decyzji. Na głowy złych musiały spadać gromy, a dobrych należało nagradzać za pomocą cudów. Dla wielu przedstawicieli elity ta iluzja – to przedstawienie – stała się rzeczywistością: sami zaczęli uważać się za bogów. Dla innych boskie rozdawanie kar i nagród stało się jałową i cyniczną rutyną. W obu przypadkach imperialista stawał się z własnego wyboru gorszym człowiekiem. Imperium nie tyle „kształtowało” charakter, co go deformowało. Ponadto sprawiało, że władcy w równej mierze stawali się więźniami co poddani. Anglicy stali się niewolnikami swoich fantazji: jako jednostki – naśladowując bogów, jako naród – aspirując, na próżno, do tego, by odgrywać w świecie rolę przerastającą ich możliwości. Okazywało się, że nieustannie robią różne rzeczy nie dlatego, że tego pragną, ale dlatego, że są zmuszeni przez okoliczności, które w istocie są panem sytuacji. W swoim sławnym eseju *Polowanie na słonia* George Orwell opisuje, w jaki sposób jako młody, początkujący imperialista po raz pierwszy uświadomił sobie to przeznaczenie. Jako człowiek wyposażony w strzelbę, obdarzony formalną władzą, powinien był panować nad sytuacją. Rozum mówił mu, że słoń jest nieszkodliwy i że nie należy go zabijać. A jednak go zabił, ponieważ tubylcy oczekiwali, że jako władca, stosownie do swej roli, zachowa się w sposób zdecydowany:

Ludzie oczekiwali tego ode mnie i musiałem to zrobić: czułem, jak te dwa tysiące pojedynczych woli nieubłagane popycha mnie naprzód. I właśnie w tym momencie, gdy stałem tam ze strzelbą w dłoniach, po raz pierwszy pojąłem pustkę, daremność panowania białego człowieka na Wschodzie. Oto ja, biały człowiek ze strzelbą, stojący wobec nie uzbrojonego tłumu tubylców, pozornie – czołowy aktor w tej scenie,

w rzeczywistości byłem tylko absurdalną kukielką, popychaną tu i tam mocą woli tych złotych postaci za moimi plecami. Pojąłem w tym momencie, że gdy biały człowiek staje się tyranem, tym, co niszczy, jest jego własna wolność. Staje się pustą, fałszywą kukielką, konwencjonalną figurą sahiba. Albowiem warunki jego panowania sprawiają, że całe życie powinien starać się robić wrażenie na „tubylcach” i w ten sposób w każdej kryzysowej sytuacji musi zrobić to, czego „tubylcy” od niego oczekują. Nosi maskę, a jego twarz ściśle przybiera kształt jej wyłobień.

W ten sposób, na wielu poziomach i na wiele różnych, subtelnych sposobów, Anglicy stali się więźniami swojego imperium, a w końcu jego ofiarami. Ten proces zaczął się jednak już wcześniej, przed nastaniem epoki imperializmu. Imperialistycznej uczcie towarzyszyła bowiem zjawia. Duch Banka potrzęsający krwawymi lokami, zbitymi ze skrzeptą krwią stuleci: najstarsza angielska kolonia, Irlandia. Irlandia była jokerem w angielskiej talii. Zawsze nim była. Stanowiła żywe, naoczne zaprzeczenie angielskich pretensji do miana państwa obdarzonego geniuszem i temperamentem do spełnienia imperialnej misji. W ciągu 750 lat Anglicy co jakiś czas dawali w Irlandii pokaz swoich umiejętności w roli władców i nieodmiennie okazywało się, że nie potrafią podołać temu zadaniu. Anglicy chętnie uważali siebie za ludzi tolerancyjnych, zgodnych, nieskłonnych do przesadnej konsekwencji w kwestiach doktrynalnych, usposobionych pokojowo – o ile nie zostali sprowokowani, chętnie zawierających kompromisy, zręcznie wykuwających rozwiązania polityczne jako alternatywę przemocy, konstruktywnych, niezrównanych twórców instytucjonalnych struktur kanalizujących napiętności i konflikty, zdawałoby się, nie do złagodzenia, a nade wszystko – za ludzi sprawiedliwych. Gorliwie starali się zaprezentować taki wizerunek zarówno sobie samym, jak całemu światu, wysuwając niezliczone przykłady zaczerpnięte ze swych poczynań w krajach rozsianych po całej kuli ziemskiej. Jednak gdy tylko pojawił się wątek Irlandii, cała ta krucha konstrukcja waliła się w proch. Postrzegani z irlandzkiej perspektywy Anglicy okazywali się bezwzględni, ale także niezdecydowani; jawili się jako tyrani i tchórze, niekonsekwentni nawet w stosowaniu przemocy, dziko miotający się między represją, obojętnością a krokami pojednawczymi. Nawet jeśli byli obdarzeni jakimś geniuszem, to w Irlandii ten geniusz najwyraźniej zawiódł. Anglicy nie zaprowadzili tam ani sprawiedliwości, ani stabilności; nie stworzyli żadnych trwałych instytucji, nie przyczynili się do powstania nawet namiastki bogactwa. Długa galeria angielskich postaci wdzierła się na irlandzką scenę: Henryk Plantagenet, Ryszard z Bordeaux, Elżbieta i Cromwell, Wilhelm Orański i Walpole, Pitt Młodszy i Robert Peel. Jednakże Irlandia mieszała im szyki, krzyżowała zapędy, budziła w nich wściekłość z powodu ich własnej bezradności. W konfrontacji z Irlandią Anglicy zwykle znajdowali w końcu ulgę w gorzkim pocieszeniu, że Irlandczycy są narodem niepoprawnym i pozbawionym jakichkolwiek zalet: konsekwencje własnej zbrodniczej niekompetencji

składali tym samym na karb wrodzonej natury nieszczęsnego ludu, który nigdy przez te wszystkie stulecia nie pragnął żadnych więzi z Anglią.

Odkąd tylko papieństwo „oddało” Irlandię Koronie angielskiej, Anglicy w różnych momentach próbowali wszystkich możliwych rozwiązań (prócz jednego): otwartego podboju, częściowego podboju, kordonu sanitarnego, ludobójstwa, asymilacji za pomocą osadnictwa, osadnictwa bez asymilacji, apartheidu, rządów wojskowych, rządów cywilnych, kolonizacji i marionetkowych parlamentów. Każdy z tych eksperymentów nieodmiennie kończył się przemocą. W początkach XIX wieku Anglicy spróbowali unii, to znaczy bezpośrednich rządów Westminsteru. Jedyną rzeczą, której nigdy nie spróbowali, choć wszystkim poza nimi samymi wydawała się jedyną oczywistą metodą położenia kresu tej długiej historii nieszczęść, była jawna i całkowita ewakuacja – do dziś, do chwili, gdy piszę te słowa, jej nie spróbowali. Rządy bezpośrednio okazały się metodą najmniej zadowalającą ze wszystkich, ściągnęły przy tym straszliwe nieszczęścia na oba kraje. W momencie uchwalenia aktu unii populacja Irlandii szybko rosła. W roku 1841 wynosiła ponad 8 milionów osób. Wielki Głód [w latach 1846–1848] zdezwauował pretensje angielskiej rasy panów, sprowadzając ich do właściwych proporcji bezradnych karłów. Jednak wydarzenie, które dla Anglików stanowiło porażkę moralną, dla ich poddanych stanowiło fizyczną katastrofę. W roku 1847 750 tysięcy Irlandczyków brało udział w robotach publicznych, trzy miliony dostawały głodowe racje na koszt państwa. Prawdopodobnie około miliona zmarło. Do roku 1851 populacja wyspy zmalała o 20%. W roku 1861 zmniejszyła się do 5,8 miliona i nadal malała aż do początków XX wieku. Irlandia jest zapewne jedynym krajem na świecie, którego populacja w ubiegłym stuleciu stale i dramatycznie malała – oskarżenie, z którym Anglicy jako „odpowiedzialne mocarstwo” muszą się zmierzyć.

Irlandia zemściła się jednak na Anglikach, i to na wiele sposobów. W XVIII wieku Irlandia stanowiła znaczące źródło materialnego powodzenia Anglików; co roku irlandzcy dzierżawcy przekazywali mieszkającym w Anglii właścicielom majątków około 750 tysięcy funtów. Koszty administracji ponosił, naturalnie, skarb irlandzki. W wieku XIX równowaga korzyści ekonomicznych przechyliła się zdecydowanie w drugą stronę. Coraz więcej irlandzkich majątków nie przynosiło żadnych dochodów, a jeśli aktywnie nimi gospodarowano, pochłaniały z kolei znaczne ilości kapitału. Sprytniejsi właściciele komasowali więc majątki albo pozbywali się ich w całości i gdy w latach siedemdziesiątych XIX wieku doszło do kryzysu w rolnictwie, pojawiły się warunki polityczne, w których kilka kolejnych rządów konserwatywnych mogło uchwalić serię aktów prawnych (1885, 1887, 1891, 1903) umożliwiających irlandzkim dzierżawcom wykupywanie ziemi: 13 milionów akrów zmieniło właścicieli i w roku 1917 w Irlandii było już ponad pół miliona indywidualnych posiadaczy ziemskich. W najmniejszym stopniu nie zmniejszyło to jednak obciążeń, jakie Irlandia

stanowiła dla angielskiego Skarbu – te przez całe stulecie i w początkach XX wieku stale rosły.

Irlandia stała się więc poważnym politycznym, finansowym, militarnym i społecznym obciążeniem dla Anglii. Większość Irlandczyków nigdy nie zaakceptowała unii. W żadnym momencie jej istnienia nie sposób było zarządzać krajem i utrzymywać pokoju w ramach obowiązującego prawa. W rezultacie albo trzeba było prawa zawieszać i godzić się na puszczenie płazem przestępstw politycznych i gospodarczych, albo trzeba było je zaostrzać za pomocą silnych środków przymusu, które wywoływały gwałtowny opór irlandzkiego społeczeństwa oraz potępienie ze strony części angielskiej opinii publicznej. Naturalnie, do roku 1829 [zniesienie politycznej dyskryminacji katolików w całej Wielkiej Brytanii] Irlandczycy jako naród nie mogli korzystać z politycznych aspektów unii. Natomiast po emancypacji katolików w Westminsterze zaczęła zasiadać z biegiem czasu coraz większa grupa irlandzkich członków Izby, stanowiąca poważną przeszkodę w funkcjonowaniu angielskiej maszyny parlamentarnej. Decydującą rolę w tym procesie odegrało wprowadzenie w 1872 roku zasady tajności głosowania w wyborach powszechnych (*Ballot Act*), dzięki czemu dzierżawcy mogli bezkarnie głosować przeciwko swoim panom; od tego momentu Charles Steward Parnell mógł już bez przeszkód zorganizować irlandzkich posłów w niezwykle zdyscyplinowany osiemdziesięciosobowy blok, który nie tylko decydował o utrzymaniu równowagi politycznej w momentach przesileń, ale także w okresach spokoju mógł zablokować legislacyjną aktywność Parlamentu. Jak się wkrótce okazało, przyniosło to bardzo poważne i trwałe następstwa w odniesieniu do Izby Gmin. Wzrost legislacyjnej aktywności rządu oraz wzrost liczby członków Izby aktywnie uczestniczących w pracach Parlamentu zmusił rząd do zaostrzenia reguł procedury parlamentarnej, a tym samym ograniczenia swobody działania posłów z tylnych ław Parlamentu. W latach 1881–1882 Gladstone zażegnał zagrożenie, jakie dla prac Parlamentu stanowiła działalność bloku Parnella, wprowadzając „gilotynę parlamentarną” [metoda zapobiegania obstrukcji parlamentarnej przez wyznaczanie terminu głosowania nad projektem danej ustawy] oraz inne instrumenty umożliwiające przeprowadzenie ustawy przez Izbę. Wprowadzone zmiany w połączeniu z rozrostem aparatu partii oznaczały kres niezależności członków Parlamentu i przekształciły dżentelmenów z tylnych ław, po obu stronach Izby, w zdyscyplinowane oddziały partyjne. To zaś oznaczało, że inicjatywa ustawodawcza w coraz większym stopniu zaczęła przechodzić z Parlamentu jako całości na rzecz egzekutywy ministerialnej. To decydujące wydarzenie, które zdegradowało Parlament do roli forum dyskusyjnego, było zatem głównie następstwem prób połknięcia Irlandii. Pojawiło się pytanie: czy Irlandia jest więźniem Anglii, czy też to raczej Anglia jest więźniem stworzonego przez siebie problemu irlandzkiego?

W roku 1885 Parnell doprowadził sytuację do stanu wrzenia, wykazując, że za pomocą swoich głosów w Westminsterze, a nawet w angielskich i szkockich okręgach wyborczych, Irlandczycy mogą wywierać decydujący wpływ na rząd centralny całego imperium. Był to iście mistrzowski pokaz czysto destrukcyjnej siły, a jego pierwszą ofiarą stali się liberałowie. Gladstone doszedł w tym momencie do przekonania, że aby uratować angielski system polityczny, trzeba dokonać zdecydowanej zmiany kursu polityki – tak jak w roku 1829, 1832, 1846 i 1867. Jednakże wysuwane przez Irlandczyków żądanie większej autonomii, któremu, jak sądził, nie można się już dłużej sprzeciwić, biegło dokładnie pod prąd wzbierającej fali angielskiego imperializmu. Partia, która decydowała się wziąć na siebie odpowiedzialność za zamortyzowanie szoku, jakim będzie dla społeczeństwa zderzenie tych dwu potężnych sił, musiała liczyć się z rozłamem we własnych szeregach. Kto miał podjąć ryzyko? Lord Salisbury w imieniu konserwatystów odmówił wypicia trucizny, którą podsuwał mu Gladstone. Wprawdzie uważał autonomię irlandzką (*Home Rule*) za rzecz pod wieloma względami pożądaną, ale nie sądził, by była czymś koniecznym. Gdyby jej przeprowadzenia podjęli się konserwatyści, partia uległaby rozpadowi, a ocalały szkielet najprawdopodobniej dostałby się w ręce jego głównego oponenta, lorda Randolpha Churchilla. Przyznanie Irlandczykom prawa do autonomii nie stanowiło, jego zdaniem, konieczności natury moralnej: „W polityce nie istnieją żadne absolutne prawdy ani zasady”. Gladstone każdym nerwem swej istoty nie zgadzał się z tą opinią. *Home Rule* uratowałaby angielski Parlament. A w dodatku – nie miał teraz co do tego wątpliwości – stanowiła cel sam w sobie. Chrześcijaństwo i demokracja służyły wszak sobie nawzajem. Jeśli jednostka może zbawić się dzięki wykorzystaniu wolności politycznej, czyż to samo nie odnosi się *a fortiori* do całego narodu? To nacjonalizm stanowił prawdziwą drogę wyznaczoną przez Boga, a nie imperializm. W ten sposób Gladstone ochoczo, niemal niecierpliwie, pognął swoją partię na skały, w imię sprawy, która, jak słusznie wierzył, była nieskończenie ważniejsza niż żywot jakiegokolwiek organizacji politycznej. „A więc? – spytał sir William Harcourt – Czy jesteś przygotowany na to, by iść dalej albo bez Hartingtona, albo bez Chamberlaina?” „Tak, jestem gotów iść naprzód choćby samotnie”.

Rok 1886 stanowi ostatni wielki przełom w ewolucji angielskiego systemu politycznego. Dotychczas w sytuacji, gdy pojawiał się kryzys dotyczący podstawowych kwestii struktury ustrojowej, wielkie partie zawsze potrafiły osiągnąć konsens (czasem dość zgrubny). Od tego momentu dryfowały już osobno – zaczęły kształtować się współczesne monolity lewicy i prawicy. Hartington pociągnął za sobą do torysów ostatnich wigów, Chamberlain, radykalny industrialista, który wkrótce przestał być radykalny, został imperialistą, a w końcu protekcjonistą. Partie zaczęły się kształtować na zasadach klasowych, wyznacza-

nych w coraz większym stopniu przez poziom dochodów i zajęcie. W podłodze Izby Gmin otworzyła się i zaczęła ziać głęboka polityczna przepaść.

Zmiana dała o sobie znać na wiele sposobów – wszystkie godne pożałowania. Gladstone już od dawna niepokoił się coraz niższym tonem moralnym życia politycznego w Anglii. „Demokracja – powiedział – nie uchroniła nas przed wyraźnym spadkiem standardów postępowania osób publicznych. Odpowiedzialność za te zniszczenia ponosi jeden i tylko jeden człowiek – to Disraeli. To on jest Wielkim Deprawatorem”*. Stary szarlatan (w oczach Gladstone’a) znalazł teraz uzdolnionego ucznia w osobie Churchilla. Jego torysowska demokracja, twierdził Gladstone,

[...] nie bardziej przypomina partię konserwatywną, w której się wychowałem, niż liberalizm. W istocie mniej. To demagogia, tyle że demagogia nie uszlachetniona przez miłość i poszanowanie wolności, ale zastosowana w najgorszym stylu, aby odbierać głos pokojowo usposobionym, szanującym prawo elementom gospodarczym, które uszlachetniały dawny konserwyzm. Demagogia żywiąca się wzniecaniem agresywnych namiętności, a zarazem potajemnie i uporczywie przywiązana wciąż, jak zawsze, do niegodziwych zasad kierowania się interesem klasowym.

Kryzys roku 1886 zatruł angielskie życie polityczne świeżą falą nienawiści. Politycy, ludzie sceny publicznej, darzyli się teraz nawzajem pogardą. Londyńskie dobre towarzystwo, które z godnym podziwu opanowaniem przeżyło kryzys lat 1830–1832, rozpadło się na wrogie obozy. Bojkot towarzyski (co ciekawe, słowo pochodzenia irlandzkiego) nie był rzeczą całkiem nową. Już wcześniej uważano, że Gladstone naruszył reguły gry obowiązujące w świecie angielskiej polityki swoimi kampaniami w Midlothian, a Rosebery, który je sponsorował, został uznany za osobę niepożądaną w klubie Travellers. „Jednym z pomniejszych rezultatów wyborów w Midlothian – pisał – było to, że zamknęły się przede mną drzwi wszystkich londyńskich klubów, których nie byłem członkiem. Ponieważ jednak byłem już członkiem osiemnastu, nie miało to większego znaczenia”. Cień irlandzki przydał temu procesowi nowe, złowroge zabarwienie. Książe Westminsteru, który został wyniesiony do władzy przez

* Gladstone generalnie miał rację, jednak jego sąd na temat Disraeliego był nacechowany osobistą wrogością, datującą się prawdopodobnie od czasu przygotowanego przez Disraeliego budżetu na rok 1852, który Gladstone uważał za szarlatański. Gdy Gladstone zajął miejsce Disraeliego na stanowisku kanclerza Exchequeru, wdali się w niegodną kłótnię w sprawie zapłaty za meble przy 11 Downing Street oraz szat kanclerskich, które Disraeli pragnął zatrzymać, twierdząc, że należały niegdyś do Pitta. Gladstone czuł, jak to sam określił, „silne uczucie osobistej odrazy wobec Disraeliego, uczucie zupełnie niepodobne do niechęci”. Por. HMC: W. E. Gladstone, *Autobiographica*, London 1972. Disraeli w pełni odwzajemniał tę wrogość. Po jego śmierci okazało się, że pracował nad powieścią, w której miał nadzieję zniszczyć zwycięzcę z Midlothian za pomocą szysterstwa. Por. wykład Roberta Blake’a z cyklu Leslie Stephen Lecture, *Disraeli and Gladstone*, Oxford 1969.

Gladstone'a i był członkiem jego rządu, ostentacyjnie zjął portret GOM*, zamówiony u Millaisa, i posłał do salonu aukcyjnego. Zelektryzował także londyńskie towarzystwo, odwołując obiad na cześć brata lorda Spencera (Spencer pozostał przy Gladstone) tylko dlatego, że ten zjadł kiedyś obiad z Parnellem. Partyjni *whips* [ludzie odpowiedzialni za utrzymanie dyscypliny partyjnej w Parlamencie] przesyłali paniom prowadzącym wielkie salony listy gości, których nie należało zapraszać. Nie trzeba chyba dodawać, że królowa z właściwym sobie wdziękiem włączyła się do tej kampanii: żaden liberał, wyjąwszy Rosebery'ego, nie otrzymał odtąd zaproszenia do Windsoru czy Balmoralu. Bojkot liberałów i radykałów oznaczał bojkot intelektualistów – wtedy to właśnie w londyńskim towarzystwie zagościła ta nadęta, wulgarna atmosfera bogactwa i snobizmu, zwana edwardiańską, która jednak w rzeczywistości datuje się od czasów królowej Wiktorii. Plutokraci i arystokraci weszli w jawny, niczym nie zamaskowany sojusz.

Rolę głównej postaci na tej zdegenerowanej scenie politycznej zajął lord Salisbury, człowiek cynicznie dążący do władzy, starannie jednak maskujący swoje apetyty. Ze swego pochodzącego z epoki Jakuba pałacu Hatfield oraz z ogromnej, pomalowanej na żółto, posiadłości przy Arlington Street rządził krajem w interesie torysów i swojej rodziny. Powszechnie znane było jego upodobanie do nepotyzmu, podzielane przez jego siostrzeńca Balfoura, który został jego następcą; jego rząd zyskał miano „Hotel Cecil” [rodowe nazwisko lorda Salisbury brzmiało Gaskoyne–Cecil]. Gladstone lubił go niegdyś, a nawet szanował, ale kiedy usłyszał, że Salisbury zniósł zarządzenie, zgodnie z którym członkowie gabinetu powinni zrzec się swych dyrektorskich funkcji w przemyśle, ze smutkiem skonstatował, że Salisbury przejawia „obojętność w pewnych kwestiach honoru, której nie jestem w stanie zrozumieć”. Jednakże Salisbury nie wierzył, że polityka ma cokolwiek wspólnego z moralnością. Publicznie, podobnie jak jego rodzina, demonstrował pełne oddanie dla zasad Kościoła anglikańskiego. Prywatnie uważał, że ludzkość jest przesiąknięta grzechem, a polityka to sztuka rządzenia za pomocą wszelkich dostępnych środków. Za wzniosłą wiktoriańską fasadą był człowiekiem epoki Walpole'a. Za jego kadencji w przydzielaniu urzędów bez skrupułów kierowano się wyłącznie lojalnością partyjną. Lord Kanclerz w jego gabinecie, Halsbury, przydzielał nominacje sędziom i sędziom pokoju wedle barw politycznych, z pełną aprobatą swojego szefa**. Podczas gdy Gladstone przez lata bił się z myślami, kogo obdarzyć tytułem poety laureata, Salisbury po prostu wybrał torysa, Alfreda Austina.

* Grand Old Man – miano nadawane Gladstone'owi (przyp. tłum.).

** Jak przyznała jego córka: „W przypadku wielu stanowisk niepolitycznych był otwarciem stronniczy w swoich decyzjach. Nominacje w wymiarze sprawiedliwości nie wchodziły bezpośrednio w zakres jego decyzji, ale nigdy nie uważał, że jest coś niestosownego w praktyce traktowania tych nominacji jako nagrody za «słuszne poglądy» polityczne”. Lady Gwendolen Cecil, *Life*

Twierdził, że gardzi zaszczytami, ale przyjął Order Podwiązki. Był zdecydowanym zwolennikiem supremacji rasy białych. W mowie przeciwko autonomii irlandzkiej otwarcie oświadczył, że niektóre rasy, „jak Hotentoci i Hindusi”, są niezdolne do rządzenia; Irlandczycy są jedną z nich. Zachęcał Balfoura, żeby donosił na swoich przyjaciół politycznych. Królowej Wiktorii powiedział, że Gladstone jest obłąkany i wspólnie z nią pracował nad wypaczeniem ustroju. Historycy obeszlą się z Salisburyem delikatnie, częściowo dlatego, że mówił i pisał (przynajmniej prywatnie) dokładnie to, co myślał: cechowała go bystra, choć płytka inteligencja, a jego powiedzonka budziły zachwyty salonów. Jednak, gdy przyjrzeć im się bliżej, zdradzają nieprzyjemny nihilizm oraz rys niewyszukanego snobizmu. Nie chciał, by w Anglii zapanowały – jak to ujął – „rządy przekupniów”; prawdopodobnie miała to być aluzja do lidera liberałów, Campbell-Bannermana. Kiedyś podczas obiadu nie poznał swojego głównego adiutanta, W. H. Smitha – tę anegdotę jego córka opowiada w jego oficjalnej biografii z wielkim upodobaniem. Ale, naturalnie, Smith był handlowcem; można wątpić, czy Salisbury pozwoliłby sobie nie zauważyć lorda Lansdowne [przywódca torysów w Izbie Lordów]. Snobizm nie zapobiegł także temu, by pod jego rządami kwitła sprzedaż tytułów arystokratycznych.

Afera ze sprzedażą tytułów pozornie nie ma nic wspólnego z osobą Salisbury'ego, ponieważ całą winą z uporem obciążano Lloyda George'a, który też niewątpliwie solidnie sobie na to zapracował. Sprawa do dziś pozostaje owiana mgłą tajemnicy, gdyż stosowne dokumenty wciąż są niedostępne dla opinii publicznej. Nie ulega jednak wątpliwości, że systematyczna sprzedaż honorów w celach partyjnych kwitła już w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku i że sięgały po nią bez wahania obie partie. Przyjmowała wiele postaci. Pewien torysowski członek Izby Gmin został przekupiony tytułem baroneta, żeby zwolnił swoje miejsce w Izbie, dzięki czemu w wyborach uzupełniających można było wybrać liberała. Rhodes zapłacił jednemu z szefów Partii Liberalnej, Schnadhorstowi, 5 tysięcy funtów, próbując wpłynąć na politykę rządu w Egipcie. Jednak najczęściej tytuły wędrowały do rąk sponsorów partii. Ten plutokratyczny szkielet w szafie nie stanowił wstydlivej tajemnicy jakiejś jednej grupy czy postaci, ale całego systemu politycznego. Jego źródła należy prawdopodobnie doszukiwać się w okresie sojuszu torysów z piwowarami z roku 1874, sprowokowanym podejmowanymi przez Gladstone'a próbami okiełznania plagi pijaństwa. Jak trafnie zauważył później Lloyd George, „powiązania

of Lord Salisbury, London 1931, t. III. Dobrze umotywowaną obronę nominacji podejmowanych przez Halsbury'ego można znaleźć w: R. F. V. Heuston, *Lives of the Lord Chancellors, 1885–1940*, (1964), rozdz. V. Bardziej przychylny wizerunek Salisbury'ego jako człowieka i polityka przynosi doskonale rozdział „Lord Salisbury” w studium Kennetha Rose'a poświęconym młodemu Curzonowi, *Superior Person*, London 1969.

piwowarów z Partią Konserwatywną stanowiły najdalej idący krok w stronę politycznej korupcji w tym kraju”. Intensyfikacja wojny partyjnej zapoczątkowana przez kryzys irlandzki pogłębiła i poszerzyła wpływy pieniądza na politykę, a idealistyczna atmosfera Wielkiej Wojny przekształciła ukryty skandal w jawną aferę. Paradoksalnie to rodzina Salisbury’ego stanęła na czele nagonki na Lloyd’a George’a. Jednak torysi – stanowiło to zresztą główną przyczynę rozpadu w 1922 roku koalicji, na której czele stał Lloyd George – mieli mu za złe nie to, że przyznawano tytuły arystokratyczne w zamian za finansowe wspieranie partii, ale to, że większość gotówki szła do rąk Lloyd’a George’a, a nie do ich własnych. Szczególnie bolesnym ciosem było dla nich postępowanie sir Horace’a Farquhara, dla którego Lloyd George uzyskał tytuł earla, gdy ten wycofywał się z czynnej polityki. Farquhar był skarbnikiem torysów i otrzymał od lorda Astora (który sam dostał tytuł wicehrabiego w 1917 r.) 200 tysięcy funtów. Po śmierci Farquhara szefowie torysów ze zgrozą stwierdzili, że miezek jest pusty. Jak ujął to lord Beaverbrook: „Horace wydał całą pulę”, a „L.G.” dostał z tego 80 tysięcy. Za rządów Baldwina, jak dowodzą dokumenty Davidsona, system uległ zmianie. Zrezygnowano z usług prywatnych pośredników; Maundy Gregory wyładował w więzieniu, a kiedy stamtąd wyszedł, niezwłocznie wysłano go do Francji, gdzie za milczenie pobierał od torysów kwartalną pensję z funduszu partii. Torysi nadal przyjmowali dary od ludzi żądnych tytułów, ale przy ścisłym zachowaniu zasady, że towar będzie dostarczany z ręki do ręki za określone zasługi. Do podobnych transakcji dochodziło jeszcze stosunkowo niedawno. A dziś? Kto wie?*

Napięcia zrodzone przez konflikt dążeń imperialistycznych i kwestii irlandzkiej sprawiły, że obniżanie się poziomu angielskiego życia politycznego przybierało także inne, coraz bardziej niebezpieczne formy. Konsens epoki wiktoriańskiej w jej pełnym rozkwicie koncentrował się wokół akceptacji idei stopniowego rozszerzania zasięgu praw wyborczych, wynikającej z przekonania, że nie doprowadzi to w konsekwencji do rewolucyjnych zmian politycznych i że istniejący system parlamentarny będzie w stanie bezpiecznie je wchłonąć. Była to typowo angielska umowa, niewypowiedziany, obustronny pakt o nieagresji. Demokraci dyskretnie robili swoje, elita z gracją oddawała dotychczasowe pozycje. Obie strony deklarowały, że nie będą uciekać się do ostatecznych kroków. Każda płaciła swoją cenę. Rezultatem był powolny postęp w ramach

* Poczynania lorda Farquhara relacjonuje lord Beaverbrook w książce *The Decline and Fall of Lloyd George*, London 1963. W sprawie przyznawania tytułów w czasach premiership Baldwina zob. Robert Rhodes James, *Memoirs of a Conservative*, J. C. C. Davidson’s *Memoirs and Papers, 1910-1937*, London 1969. Jeśli chodzi o osobę Maundy Gregory’ego zob. Gerald Macmillan, *Honours for Sale*, London 1954; książka zawiera także pożyteczny dodatek poświęcony dziejom systemu honorów. H. J. Hanham w: *The Sale of Honours in Late Victorian England*, „Victorian Studies”, marzec 1960, podaje nieco interesujących szczegółów.

istniejącego stabilnego układu – angielskie rozwiązanie. Jednakże kwestia irlandzka zablokowała ten mechanizm łagodzenia konfliktów, ponieważ *Home Rule* w oczach wielu torysów oznaczała fundamentalną zmianę politycznej geografii kraju, a zatem leżała poza regułami gry. W roku 1893 zdominowana przez torysów Izba Lordów zawetowała *Home Rule*, choć ustawa o irlandzkim samorządzie przeszła w izbie niższej głosami większości wyłonionej w wyborach, w których kwestia irlandzka stanowiła podstawowy temat kampanii wyborczej. Lordowie w istocie mówili więc: demokracja ma swoje granice i to my decydujemy o tym, kiedy zostają przekroczone. Tym razem uszło im to bezkarnie i przez kilka lat przywódcy liberałów godzili się na to, że sprawa samorządu dla Irlandii nie odgrywała żadnej roli w angielskim życiu politycznym. Zachęceni powodzeniem torysi postanowili pójść dalej. W roku 1909 za pomocą Izby Lordów zawetowali budżet. Po dwukrotnych wyborach i groźbie dokooptowania nowych parów *Parliament Act* zniósł prawo weta przysługujące Izbie Lordów. Ostatecznie kryzys doprowadził więc do powrotu sytuacji z roku 1885, w której frakcja irlandzka decydowała o utrzymaniu równowagi parlamentarnej, a uchwalenie *Home Rule* było kwestią życia i śmierci liberalnego rządu – choć oczywiście teraz nie można już było wykorzystać Izby Lordów jako hamulca bezpieczeństwa.

Torysi musieli zadać sobie w tej sytuacji kilka podstawowych pytań. Czy popierają istniejący system rządów w Anglii? Czy są gotowi zaakceptować demokratyczny werdykt społeczeństwa, nawet jeśli jest całkowicie sprzeczny z ich poglądami? Czy ustawy Parlamentu wciąż stanowią ostateczny fundament prawa? Czy też gotowi są przekroczyć granice prawa i uciec się do działań bezpośrednich, pozaprawnych? Pomijając kontekst walki z królewską egzekutywą, angielska klasa rządząca stykała się z takim pytaniem po raz pierwszy, ponieważ dotąd to oni zawsze kontrolowali konstytucyjną maszynę państwa. Teraz ta maszyna znalazła się jednak w rękach masowego elektoratu. Jeśli zgodzą się na to, by walka polityczna wymknęła się z ram i ograniczeń prawa, dokąd mogłoby to doprowadzić? Kobiety walczące o prawa wyborcze już odwołały się do działań bezpośrednich, ale kobiety nie miały żadnych innych środków do dyspozycji. Związki zawodowe – gdy ceny rosły, a poziom życia ich członków spadał – były o krok od użycia strajku generalnego jako narzędzia walki politycznej. Izba Gmin stała się polem bitwy, a lord Hugh Cecil i jego torysowscy „Hugh-liganie” stanęli na czele sił anarchii. Anglicy zawsze na pierwszym miejscu stawiali stabilność i ciągłość. Płacili też za to wysoką cenę, która zwykle spadała na barki klas uboższych i nieuprzywilejowanych. Tym razem poproszono jednak elitę o to, by zapłaciła zaległe zobowiązania: chodziło o protestanckie ziemiaństwo w Ulsterze (mniej martwiono się o protestanckich robotników), które miało podporządkować się rządowi katolickiej większości. Cena miała zatem swój wymiar klasowy i rasowy. Torysom wydawała się jednak nie do przyjęcia.

Z drugiej strony – jeśli zgodzą się na destabilizację kraju, kto ostatecznie skorzysta z chaosu? W pewnym sensie Wielka Brytania u progu wojny 1914 roku stanowiła mikrokosmiczne odzwierciedlenie całej Europy: gdy jedna armia atakuje, pozostałe pójdą jej śladem. Byłby to – określenie, które przewija się przez całą historię Anglików – prawdziwy „skok w ciemność”.

Partia torysów ostatecznie nie potrafiła się zdecydować. Jednakże byli już bardzo blisko – ba, mieli nawet plany – otwartego przewrotu i zdrady. W książce *The World Crisis* Churchill napisał później: „Należy żywić nadzieję, że brytyjscy przywódcy polityczni nigdy już ponownie nie pozwolą sobie na to, by nawzajem się podszczuwać, poganiać, popędzać czy też dawać się popędzać swoim zwolennikom do ekscesów partyjniactwa, którymi obie strony zhańbiły się w roku 1914”. Rozkładając winę równo na obie strony, Churchill ignoruje jednak prawdę. Liberałowie w zgodzie z prawem dążyli do utrzymania konstytucyjnego porządku w kraju; torysi zamierzali mu się przeciwstawić. Co innego fakt, że Edward Carson zorganizował w roku 1912 Ulster Covenant (Przymierze Ulsteru) w celu stawiania oporu *Home Rule*, gdyż nie sposób zaprzeczyć, że ulsterscy Irlandczycy, mając większość, chętnie uciekali się do stosowania przemocy fizycznej. Jednak zupełnie inny sens miało poparcie, jakiego udzielili mu angielscy politycy, nie tylko po to, by zignorować decyzję imperialnego Parlamentu, ale by wręcz dążyć do udaremnienia działań rządu podejmowanych w majestacie prawa. Bonar Law powiedział niemal wszystko, gdy oświadczył: „Jakkolwiek daleko Ulster posunie się w swoim oporze, będę gotów go popierać”. Słowo „poparcie” było jednak mętne i niejasne; mogło znaczyć wszystko, nawet zdradę, mogło też nie znaczyć nic. Przywódcy torysów dali przecież w końcu za wygraną w sprawie *Parliament Bill*, zostawiając lorda Halsbury’ego i innych zwolenników walki do upadłego samym sobie, z poczuciem bezsilności i osamotnienia. Mniej mglisty był wszakże język, jaki pojawił się w tajnych listach i memorandumach, gdy inicjatywę przejął Alfred Milner.

W roku 1913 lord Milner był bezrobotnym konsulem, mającym za sobą długą karierę pełną gwałtownych poczynań w Afryce Południowej. Zwerbował tam i wyszkolił zespół ambitnych młodych ludzi, którzy, w różnym stopniu, wierzyli w jego ideę imperium rasy Anglików. Milner nie rozumiał Anglików, a zwłaszcza nie rozumiał i nie lubił angielskiej demokracji. Nienawidził liberałów, ponieważ w trakcie wyborów w roku 1906 wykorzystali – czyniąc z tego temat gwałtownej i destrukcyjnej kampanii fakt, że zatrudniał w Randzie [kopalnie w Afryce Południowej] chińskich robotników pracujących za długi. W efekcie Milner został upokorzony w Izbie Lordów. W dodatku Milner osobiście nie znosił Asquitha, który ożenił się z Margot Tennant, niwecząc jego własne nadzieje. W kwestii Ulsteru Milner dojrzał szlachetną sprawę: uratować kolonię białych osadników wywodzących się z wyższej, brytyjskiej rasy

od zatopienia w morzu Celtów. Dziewiątego grudnia 1913 pisał do Carsona (z adnotacją „bardzo poufne”):

[...] bardzo szybko musi dojść [...] w Ulsterze do „buntu”. Byłoby niesłychaną katastrofą, gdyby ten „bunt” [...] wypływający z lojalności wobec Imperium i Sztandaru – miał się nie powieść! Jednakże z całą pewnością się nie uda, jeśli my nie zdołamy sparaliżować ramienia, które mogłoby w was uderzyć. Jak tego dokonać? Wymaga to starannych przemyśleń i organizacji tutaj...

„Sparaliżować ramię” mogło oznaczać tylko jedno: sabotowanie działań albo korupcję organów Korony pilnujących przestrzegania prawa, w ostatecznym rachunku – armii. Milner sądził, że uda się doprowadzić do powołania ochotników, i za pośrednictwem National Service League nawiązał kontakty z wieloma oficerami, w tym z szefem pionu wojskowego w Ministerstwie Obrony (Director of Military Operations, DMO), generałem Henry Wilsonem. Wilson był budzącym zaufanie konspiratorem, fanatycznym „Ulsterczykiem” skupiającym w swoich rękach, jak zobaczymy, wiele krętych nici. Był gotów na wszystko. Inni mieli mniejszą ochotę nadstawiać karku i narażać się na prześladowania. W lutym 1914 roku Milner praktycznie opanował angielską Union Defence League (Liga Obrony Unii), zamierzając zorganizować English Covenant [odpowiednik Ulster Covenant Carsona]. Do Ligi należało wiele znanych postaci z establishmentu, jak lord Roberts, Kipling, dr Warren, prezydent oxfordzkiego Magdalen College, oraz znawca prawa konstytucyjnego A. V. Dicey. Liga miała również solidne podstawy finansowe: otrzymywała wsparcie plutokratów i wielkich właścicieli ziemskich – milionerów. Z tajnych, zaszyfrowanych list znalezionych w papierach Milnera wiemy, że na przykład lord Astor obiecał Lidze 30 tysięcy, Rothschild, Iveagh i księżę Bedford po 10 tysięcy każdy. Rozważano rozmaite plany – niektóre zgodne z prawem, inne nie. Dicey chciał po prostu, aby król zdymisjonował Asquitha i rozwiązał Parlament. Co jednak będzie, gdy torysi przegrają wybory? Inny plan przewidywał, że Izba Lordów zawetuje coroczną ustawę wojskową (*Army Bill*). Ale gdy siły zbrojne przestaną istnieć, kto utrzyma w ryzach przemysłowy motłoch? Rozważano także nakłonienie oficerów do tego, by zamiast zmuszać siłą Ulster do posłuszeństwa, wystąpili ze służby w zamian za rekompensatę finansową, gwarantując im przy tym, że gdy torysi wrócą do władzy, będą mogli powrócić na swoje stanowiska w armii. Ale czy nie była to zachęta do buntu w armii? Niektóre pomysły Milnera były ewidentnie tak szalone, że Dicey poczuł się zmuszony przestrzec go w liście, iż naraża się na oskarżenie na podstawie *Treason Felony Act* (Ustawa o Zdradzie). Pewne szczegóły zamiarów Milnera odśladania tajne memorandum znalezione w jego papierach. Mimo zasłony dymnej rzekomego konstytucjonalizmu stanowi otwarty program zamachu stanu w Ulsterze:

Trudność stojąca na przeszkodzie w podjęciu bezpośrednich działań polega na tym, że trzeba zagwarantować, iż podjęte kroki nie będą stanowiły zbyt poważnego szoku dla brytyjskiego poczucia legalizmu. [...] Z tego punktu widzenia w obecnym konflikcie między prawami narodu, a działającą w imieniu Korony tyrańską władzą wykonawczą Parlamentu podstawowe znaczenie ma to, aby [...] pamiętać o tych fundamentalnych zasadach naszego prawa konstytucyjnego, które odpowiedzialność za utrzymanie pokoju w królestwie składają nie na Koronę oraz jej ministrów i urzędników, ale na lokalnych sędziów pokoju, i które, jeśli chodzi o obowiązek wspierania władz lokalnych w spełnianiu ich powinności, nie czynią żadnej różnicy między urzędnikami państwowymi, wojskowymi bądź cywilnymi, a zwykłymi obywatelami.

Mówiąc krótko: zdaniem Milnera, Koronę należy pominąć. Lordowie-namiestnicy, ich zastępcy oraz sędziowie pokoju z Ulsteru powinni się spotkać, wyłonić tymczasowy komitet i powołać „specjalnych konstablów”. Następnie utworzyć tymczasowy rząd i rozesłać listy (projekty tych listów załączono do memorandum), wzywające władze wojskowe i policyjne do poparcia nowego rządu i podporządkowania się wyłącznie jego rozkazom. Cały ten plan, naturalnie, stanowił akt zdrady. Co więcej, zamach stanu w Ulsterze nie miał sensu, nawet na krótką metę, jeśli zamachowcy nie zdołaliby się uchronić przed fizyczną reakcją ze strony Anglii. Ale jak można było jej uniknąć bez obalania – siłą z zewnątrz lub od wewnątrz, w drodze zbrojnego buntu – londyńskiego rządu? Logika planu Milnera wymagała zniszczenia angielskiej demokracji; dokładnie tak samo jak w przypadku algierskich konspiratorów z roku 1958, którzy mogli liczyć na powodzenie jedynie pod warunkiem równoczesnego opanowania centrum władzy w Paryżu.

Czy liderzy torysów byli wtajemniczeni w plany Milnera? Czy by go poparli? Walter Long, torysowski przywódca kręgów ziemiańskich, był prezydentem Ligi (UDL) i omawiał z Milnerem, na przykład, plany drukowania banknotów dla buntowników. Bonar Law stracił jednak wiosną 1914 roku całą odwagę. Odrzucił propozycję w sprawie *Army Bill*; równocześnie partyjni konstytucjonalisci wywierali na niego coraz większą presję, aby nie wykraczać poza ramy prawa. Wielu szeregowych torysów było zaszokowanych sprawą rezygnacji z Curragh [grupa oficerów stacjonujących w Irlandii uzyskała zezwolenie na złożenie rezygnacji ze służby w przypadku otrzymania rozkazu zaprowadzania siłą posłuszeństwa Ulsteru wobec rządu w Londynie], przemytem broni w Ulsterze [w Irlandii obowiązywało embargo na handel bronią] oraz podobnymi próbami przemytu podejmowanymi przez irlandzkich nacjonalistów z Fenian Society. Trudno było się spodziewać, żeby tak chytry ptaszek jak Balfour miał zanurzyć piórka w zdradliwych wodach. Angielska klasa rządząca nie daje się łatwo namówić do otwartej walki, zwłaszcza gdy jej oponenti mają w rękach wszystkie formalne narzędzia sprawowania władzy. Asquith, kolejny szczwany

lis, w lipcu 1914 roku skłaniał się ku kompromisowi i gdyby kryzys potoczył się dalej bez przeszkód, jest dość prawdopodobne, że Anglicy wypracowaliby jakiś pokrętny kompromis, po czym radośnie pogratulowali sobie zwycięstwa jako cudu konstytucyjnego rozsądku itd. Milner mógłby poczuć się bardzo osamotnionym konspiratorem. Wszelako w zaistniałej sytuacji „Ulsterczycy” z głęboką ulgą przywitani kryzys europejski, który oznaczał, że sprawa *Home Rule* zostaje zawieszona na czas nie określony*. Wszyscy bez wyjątku spiskowcy należeli do najbardziej zajadłych zwolenników bezpośredniej interwencji na kontynencie. W ten sposób Irlandia odegrała znaczącą rolę w angielskim *nemezis*.

Pierwsza wojna światowa 1914–1918 stanowiła największą moralną, duchową i fizyczną katastrofę w całych dziejach narodu angielskiego – katastrofę, z której ponurymi konsekwencjami mamy do czynienia do dzisiaj. Jak do tego doszło? Dlaczego Anglicy rzucili się osobiście w wir europejskiego szaleństwa, skoro ani jego przyczyny nie miały z nimi nic wspólnego, ani jego wyniki – niezależnie od tego, która strona by wygrała – nie służyły w żaden widoczny sposób angielskim interesom? Im bliżej przyglądamy się temu pytaniu, tym większej można nabrać pewności, że nie istnieje żadna sensowna odpowiedź. Po raz pierwszy polityczny geniusz Anglików ich zawiódł. Była to wojna, w której nie powinni byli brać udziału. Sprzeczna z najgłębszą naturą ich historii. Anglicy zawsze dążyli do tego, by wzmacniać i podkreślać swoją odrębność wobec Europy kontynentalnej, możliwą dzięki Kanałowi. Przez stulecia z powodzeniem walczyli o uwolnienie się spod wpływów kontynentalnych systemów politycznych, militarnych, religijnych i gospodarczych. W XVI wieku udało im się ten proces doprowadzić do końca, dzięki czemu wyzwolili na wyspie proces dynamicznego rozwoju gospodarczego, stanowiącego podstawę tworzonego przez nich kształtu współczesności. Od tego momentu ingerowali w wydarzenia zachodzące na kontynencie jedynie wtedy, gdy groziły naruszeniem ich odrębnego statusu. Taki jest prawdziwy sens słowa izolacja: to sposób myślenia ludzi, którzy żyją na wyspie i pragną, by morze pozostało ich granicą. Taka postawa nie wyklucza kontaktów, wymiany, współpracy, ale powstrzymuje przed systematycznym angażowaniem się w sprawy Europy kontynentalnej, które ogranicza, a w końcu niweczy przywileje wyspiarskości. Toteż izolacja, właściwie rozumiana, stanowi najtrwalszą odrębną nić przewijającą się przez całą tka-

* To samo dotyczyło jednak Asquitha. „To – powiedział lady Ottoline Morrell 25 lipca – odwróci uwagę od Ulsteru, co jest rzeczą korzystną”. 3 sierpnia oświadczył swojemu koledze z gabinetu, J. A. Pease’owi: „Jedynym jasnym punktem w tej okropnej wojnie, w którą musieliśmy się zaangażować, jest załatwienie sporu irlandzkiego i szczerza zgoda wszystkich sił w Irlandii wspierających rząd w obronie naszych nadrzędnych narodowych interesów”. Por. Cameron Hazelhurst, *Politicians at War, July 1914–May 1915*, London 1971, rozdz. I.

ninę historii Anglii. W roku 1914 ta nić została zerwana i Anglia osunęła się w objęcia systemu kontynentalnego, w których tkwi do dziś? Dlaczego?

Pytanie jest tym bardziej dramatyczne, że to katastrofalne zaangażowanie się w sprawy Europy przyjęło postać destrukcyjnych zmaganiań na śmierć i życie między Anglikami a Niemcami. Z perspektywy dwu wojen światowych nie wydaje się to dziś tak niezwykle. Jednak postrzegany z perspektywy XIX wieku taki obrót wydarzeń wydawałby się czymś zgoła niepojętym. Anglików łączyły z północnymi Niemcami liczne podobieństwa kulturowe i rasowe, swymi korzeniami sięgające okresu tworzenia się obu społeczeństw. Sama Anglia powstała dzięki germańskim osadnikom szukającym wolności i lepszego życia – podobnie jak Ameryka była dziełem Anglików. W VIII wieku Anglicy w poczuciu odpowiedzialności za los pokrewnego ludu nawrócili Germanów na chrześcijaństwo, wciągając ich w obręb cywilizacji. Płomień wolności religijnej zapłonął w Niemczech dzięki Wiklefovi – za pośrednictwem Husa i Lutra – inspirowanemu przez najstarszą tradycję intelektualną wyspiarzy. Anglicy nie raz ulegali ksenofobii i rasizmowi, ale nigdy nie żywili do hanzeatyckich kupców i żeglarzy takiej nienawiści jak do Francuzów i Włochów. Można powiedzieć, że Niemcy zawsze zajmowali uprzywilejowane miejsce w angielskim obrazie świata. Współczesne Niemcy powstały nie tyle dzięki Bismarckowi, co dzięki Castlereaghowi, stworzone w następstwie wojen napoleońskich jako instrument obrony i przeciwwaga dla francuskiej anarchii i państwowego barbarzyństwa Rosji. W XIX stuleciu Niemcy stali się modelowymi obywatelami świata kształtującego się podług najlepszych angielskich wzorów: byli pracowici, praworządni, nie znosili przemocy we własnym kraju, cenili wykształcenie, namiętnie praktykując nie tyle rozwijanie abstrakcyjnych doktryn, co poszukiwanie osiągnięć w sferze nauki i technologii, szanowali konstytucyjny porządek i stabilność polityczną. Słowem, dojrzały naród, który dzięki angielskim wpływom był w stanie zdążyć w tym samym kierunku co Anglicy. Nawet ludzie, którzy wywierali najgorszy wpływ na niemiecką politykę w okresie 1870–1914, nie byli wcale bardziej czy mniej reprezentatywni dla Niemców niż, powiedzmy, członkowie gabinetów Percivala czy Liverpoola dla Anglików w okresie analogicznej fazy politycznego rozwoju Anglii. I nawet wszystko to, co najbardziej Anglików w Niemczech irytowało – dążenie do maksymalizacji eksportu wyrobów przemysłowych, umiłowanie morza i potęgi morskiej, pragnienie posiadania kolonii, aby zanieść porządek i dyscyplinę nieoświeconym poganom w Afryce i na Pacyfiku – stanowiło dokładne echo pragnień, ideałów, celów samych Anglików.

Paradoksalność tego, że Anglicy i Niemcy rzucili się sobie do gardeł, pogłębiał jeszcze fakt, że Anglicy zaangażowali się w konflikt w towarzystwie Francuzów i Rosjan – narodów znanych z ekspansji politycznej sięgającej poza granice ich wpływów kulturowych. Francuzi już od XVII wieku konsekwentnie dążyli do przesunięcia swoich granic na północ i wschód poza obszary zamieszkane

przez ludność francuskojęzyczną i Anglicy wydali masę złota, a nawet przelali nieco krwi, aby ich od tego powstrzymać. Głównym celem Napoleona III podczas wojny 1870 roku było przyłączenie do Francji niemieckojęzycznego Luksemburga; jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku francuscy konsulowie w okręgu Saary usiłowali przekonać jego całkowicie niemieckich mieszkańców, żeby zaakceptowali trwałe włączenie Saary do państwa francuskiego. Można się spierać, które z tych państw miało większe prawa do Lotaryngii, ale nie ulega wątpliwości, że Alzacja była krajem o przewadze kultury niemieckiej. Z całą pewnością w roku 1914 we Francji nie dominowało przekonanie, że trwałe i pokojowe rozwiązanie problemów europejskich można osiągnąć jedynie realizując zasadę samostanowienia.

Rosja przez stulecia prowadziła jeszcze bardziej ambitną i bardziej konsekwentną politykę aneksji opartej wyłącznie na sile militarnej rosyjskiego państwa. Żaden kraj na świecie przez całe pokolenia nie wzbudzał w Anglikach równie namiętnej zgrozy i obrzydzenia. Nienasycona w Europie, nienasycona w Azji, moskiewska Rosja pochłonięta ogromne obszary, całe narody w ramach jednej gigantycznej tyranii eurazjatyckiego imperium, które dążyło nie do kulturowego rozwoju swoich kolonialnych poddanych, ale do tego, by ściągać ich w dół; nie do tego, by poprowadzić ich ku samorządowi, ale by na wieki uwięzić ich pod butem rasistowskiej autokracji. Anglicy uważali carską Rosję za najbardziej brutalne i reakcyjne państwo na ziemi. Wielu z nich uważało rosyjskie prześladowania Żydów z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku – które niewiele dzieliło od hitlerowskiej idei „ostatecznego rozwiązania” – za najbardziej haniebną zbrodnię ludzkości w XIX wieku, dokonaną w dodatku przez chrześcijańskie państwo uważające się za kraj cywilizowany. W niezwykle popularnej książce *Democracy and Liberty* (1896) W. E. H. Lecky, dokonując przeglądu społeczeństw osiągnięć ludzkości, pisat:

Doprawdy, żaden kraj współczesnej Europy nie był świadkiem takich obrazów ludzkiego cierpienia i ludzkiego okrucieństwa jak to ponure północne imperium, gdzie ciszę panowania żelaznego despotyzmu z rzadka przerywa coś innego niż jęk konających z głodu, konających od zarazy i prześladowanych.

W pierwszych latach nowego stulecia kolejna fala pogromów nadała pierwszy wielki impet idei syjonistycznego osadnictwa w Palestynie. Rosja stanowiła więc uderzający kontrast w porównaniu z Niemcami, gdzie prosperowały najbogatsze i najwyższej rozwinięte żydowskie społeczności na świecie. Żydzi nie byli przy tym jedynymi ofiarami Rosjan. Carska Rosja prześladowała polskich katolików i litewskich luteran, członków wielu sekt religijnych, ukraińskich i gruzińskich nacjonalistów, Tatarów i Baktów, Łotyzy i Finów, a także wiele plemiennych i wędrownych ludów Azji Centralnej. W miarę jak Rosja przeżywała zmiany –

a zmieniała się istotnie w błyskawicznym tempie – zmierzała w kierunku, który przenikliwi, angielscy obserwatorzy odbierali jako wyraźnie złowrogi. Rosja była ostatnim krajem, który włączył się w proces uprzemysłowienia, ale już w latach dziewięćdziesiątych w bardzo szybkim tempie powstawały tam ogromne jednostki produkcyjne finansowane i kontrolowane przez państwo. W istocie carska Rosja położyła podwaliny stalinizmu i w momencie wybuchu wojny miała już wszystkie najbardziej przerażające cechy sowieckiego państwa niewolników: wszechobecną tajną policję, wspólnoty wiejskie i skolektywizowany sektor rolniczy, zorganizowany antysemityzm, systematyczne prześladowania mniejszości narodowych, kult armii, dążenie do przyłączania nowych terytoriów we wszystkich kierunkach geograficznych, państwowe zarządzanie gospodarką, rosnący sektor państwowy w przemyśle, kierowane przez państwo związki zawodowe i wysokie tempo wzrostu gospodarczego, zwłaszcza w nastawionym na produkcję zbrojeniową przemyśle ciężkim*.

Jeśli miało więc dojść do konfliktu między Francją i Rosją a Niemcami, którym Wielka Brytania pomogła objąć rolę strażnika pokoju w Europie Środkowej – „szlachetnego, łagodnego i mężnego strażnika pokoju w Europie”, jak pisał John Morley – dlaczego Anglicy w ogóle się do niego włączyli? Tu dochodzimy do sedna sprawy: to imperialistyczne zadufanie, arogancka pewność siebie (*hybris*) ściągnęła na nich w Europie nieuchronną karę (*nemezis*). Swego czasu lord Salisbury przyjął założenie, podzielane przez wielu jego kolegów, a także podtrzymywane od tamtej pory przez większość historyków, że imperializm i izolacjonizm są ze sobą zgodne, a nawet się dopełniają. W rzeczywistości znajdują się w stanie nieuchronnego konfliktu. Prawdziwym izolacjonistą był piętnasty earl Derby, który równie mocno ubolewał nad ekspansją kolonialną jak nad interwencją w Europie, dostrzegając ich wzajemne powiązania; to dlatego opuścił Disraeliego i przyłączył się do liberałów Gladstone'a, którym służył jako ostrożny i dalekowzroczny minister spraw zagranicznych. Zainicjowane przez Disraeliego ponowne włączenie się Wielkiej Brytanii do polityki europejskiej w roli głównego negocjatora zbiegło się z rozwojem idei imperialistycznych; oba te kierunki polityki pobudzały się i wzmacniały nawzajem**. W sensie praktycznym gwałtowny przykład angielskiego imperializmu stanowił próbę ucieczki przed trudnościami gospodarczymi, łatwą alternatywę

* Por. Lionel Lochan, *The Making of Modern Russia*, London 1962.

** Znaczenie tego faktu dobrze uchwycił Léon Gambetta, ideolog francuskiej polityki rewanżu wobec Niemiec. Francja może sobie pogratiulować, pisał w lipcu 1878 roku: „Anglia zerwała z tym, co nazwałbym jej polityką wyspiarską, na rzecz odnowienia tradycji polityki kontynentalnej [...]. Anglia błyskotliwie na powrót wkroczyła w szranki konfliktu europejskiego”. Gambetta torował szlaki dla sojuszu brytyjsko-francusko-rosyjskiego, zmierzającego do okrążenia i zgnięcia Niemiec. Zob. J. P. T. Bury, *Gambetta and England w: Studies in Anglo-French History*, Alfred Colville i Harold Temperley (wyd.), Cambridge 1935.

dla protekcyjnistycznych taryf celnych, a tym bardziej dla niemiłych realiów towarzyszących przekształcaniu kraju w nowoczesny i wydajny organizm przemysłowy. Wszelako inne mocarstwa też przeżywały trudności. I także pragnęły znaleźć łatwy sposób, żeby przed nimi uciec. Widząc, jak Wielka Brytania unika uczciwej rywalizacji gospodarczej w zakresie wydajności, zaczęły rywalizować z nią w podbijaniu nowych terenów. Ucieczka Anglików ze świata rywalizacji gospodarczej sprowokowała jedynie europejską gorączkę kolonialną. A ponieważ Wielka Brytania była pierwsza przy kolonialnej padlinie i z zadowoleniem zaspokoła swą chciwość, wzbudziła tym wrogość wszystkich spóźnionych; to zaś z kolei prowokowało obronne kłapnięcia lwiej paszczy. W swoim ostatnim profesjonalnym komentarzu na temat polityki międzynarodowej (1908 r.) lord Sanderson, oddany sekretarz earla Derby w Foreign Office, napisał: „Czasami odnoszę wrażenie, że cudzoziemcowi czytującemu naszą prasę Imperium Brytyjskie musi się jawić jako ogromny wielkolud opasujący kulę ziemską, wyciągający we wszystkie strony swoje obolałe paluchy, do którego nie sposób się zbliżyć, nie wywołując jego wrzasku”. W pierwszej depeszy, jaką wystął po objęciu stanowiska francuskiego ambasadora w Londynie (1898 r.), Paul Cambon z niepokojem odnotowywał nerwowe, pełne wrogości gesty, jakie angielscy imperialiści zaczęli wykonywać przy najłżejszym alarmie – dokładne odwrócenie, jak słusznie zauważał, pokojowego internacjonalizmu, jakiemu Anglicy hołdowali przez minione osiemdziesiąt lat. W momencie wybuchu wojny burskiej Wielka Brytania nie tyle znajdowała się w izolacji, która sugeruje brak kontaktów, ile była zewsząd narażona na konflikty z imperialistycznymi rywalami. Zawisła nad nią groźba powtórki wydarzeń, które w początku lat osiemdziesiątych XVIII wieku położyły kres pierwszemu Imperium Brytyjczyków. Europejskie mocarstwa obserwujące przebieg wojny burskiej były rozdarte między zawiść, jaką budziły posiadłości Brytyjczyków, a pogardę dla nieudolności, z jaką ich bronili. Tradycyjną podstawę siły i bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii stanowił fakt, że nie miała żadnych wspólnych granic z europejskimi mocarstwami, które mogłyby stać się przyczyną konfliktów. Tak było jeszcze w roku 1870. Jednak w roku 1914 miała już wspólne granice ze wszystkimi imperialistycznymi rywalami na kuli ziemskiej. Imperializm zmusił ją więc do kontaktów z Europą – w pogoni za układami pokojowymi, wyznaczaniem stref wpływów, w końcu w poszukiwaniu sojuszników. Innymi słowy, imperializm gwarantował, że następny konflikt europejski będzie wojną na skalę globalną i że z wielkim prawdopodobieństwem Wielka Brytania zostanie do niego wciągnięta.

Imperializm gwarantował także, że będzie to wojna radykalnie odmienna od wszystkich dotychczasowych – wojna angażująca wszystkie siły narodów, której celem będzie całkowite zniszczenie przeciwnika. Imperializm zakładał bowiem ideę wyższości rasowej. Była to śmiertelna gra, w której uczestniczyły rasy panów z własnego nadania. Można zaobserwować, jak w mowie

i piśmiennictwie okresu przedwojennego kategorii zdegenerowanego darwinizmu zaczęły stopniowo przenikać do języka dyskusji politycznej. Na podstawie koncepcji rasowego pochodzenia narodów zaczęto rozwijać obłąkane teorie determinizmu w stosunkach międzynarodowych. Proniemiecko zorientowani Anglicy nie mówili teraz o Francuzach inaczej jak „Celtowie”, a zwolennicy Francji nazywali Niemców „Hunami”. Przyszła wojna – pisał Kajzer – będzie „ostatnią bitwą między Teutonami a Słowianami”, i obawiał się, że „Anglosasi znajdą się w niej po stronie Słowian i Gallów”. W ten sposób imperialistyczne doktryny wyższości rasy białych nad ludami o ciemnej skórze przyczyniły się do katastrofalnej degeneracji ducha samych białych. Europejczycy zaczęli widzieć w sobie nawzajem nie wysoko rozwinięte istoty ludzkie, ale rywalizujące ze sobą stada rasowych zwierząt, skazanych na to, by jak dzikie bestie wzajemnie wyrzynać się w rozpaczliwej walce o przetrwanie najlepiej przystosowanego gatunku. Europa rozpalona pragnieniem, by narzucić „cywilizowaną” władzę białych afrykańskim prymitywom, sama stała się sceną konfliktów plemiennych, toczonych przez wojowników uzbrojonych we wszystkie najnowsze zdobycze współczesnej techniki wojskowej. Wojna tego rodzaju, wypływająca z rasistowskich korzeni imperializmu, musiała więc wciągnąć nie tylko dwory, rządy oraz zawodowe armie, ale całe narody gotowe eksterminować inne nacje w walce o przetrwanie za pomocą ludobójczej broni palnej – wynalazku białych, który umożliwił imperializm.

Takie perspektywy stworzyła Anglikom ich własna arogancka pycha – *hybris*. Anglicy wnieśli znaczący wkład w narodziny epoki wojny totalnej; niemniej wciąż mogli uniknąć zaangażowania się w katastrofę, do której powstania sami się przyczynili. A jednak zostali w nią wciągnięci – w wyniku wadliwego funkcjonowania systemu politycznego, pewnych z pozoru drobnych, ale decydujących błędów w funkcjonowaniu demokracji. Warto przyjrzeć się bliżej, jak do tego doszło. Jest to historia po części natury politycznej i dyplomatycznej, po części militarnej. Oba aspekty są zresztą ze sobą związane, choć odrębne: pierwszy przesądził o tym, czy Anglicy wezmą udział w wojnie, czy nie, drugi wyznaczył rodzaj zaangażowania militarnego, typ wojny, jaką przyjdzie im stoczyć. Przyjrzyjmy się im po kolei.

W grudniu 1905 roku sir Edward Grey objął tekę brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. Przyczyny tej nominacji w całości wiązały się z toczącą się w łonie partii liberalnej walką o władzę, a zwłaszcza z manewrami, jakie towarzyszyły formowaniu rządu. Swego czasu Grey zawarł z dwoma pozostałymi czołowymi imperialistami z kierownictwa partii, Haldane'em i Asquithem, tzw. układ z Relugas, który miał pozbawić Campbell-Bannermana, „zwolennika Burów” oraz tytularnego lidera partii, praktycznego wpływu na politykę liberalistów, gdy znajdą się u władzy. Przymierze załamało się (w znacznej mierze

dzięki zdecydowaniu lady Campbell-Bannerman), jednakże imperialiści w zamian za uległość dostali kluczowe ministerstwa: Asquith – skarbu, Haldane – obrony narodowej, a Grey – spraw zagranicznych. Grey pracował tu już niegdyś jako podsekretarz stanu (podzielając powszechnie panujące wówczas nastroje antyfrancuskie). Poza tym nie miał żadnych kwalifikacji na to stanowisko. Spędził senne dzieciństwo i młodość na wsi i został odesłany z Oksfordu do domu za „niepoprawne lenistwo”*. Niewiele czytał i nie władał żadnymi obcymi językami. Wywodził się z northumbryjskiej *gentry* i wszystkie jego życiowe zainteresowania zamykały się w wąskich horyzontach rozrywek wiejskiego świata, gdzie w wolnych chwilach oddawał się paradoksalnie sprzecznym pragnieniom, zabijając ryby i chroniąc ptaki. Z wyjątkiem jednej wizyty w Indiach Zachodnich nie wyściubił nosa poza wyspy brytyjskie i wyjątkowo nie cierpiał kontynentu. W Izbie Gmin cieszył się szacunkiem, zwłaszcza ze strony torysów, którzy uważali, że jak na liberała ma „właściwy ton”. Podejrzliwy wobec demokracji, trzymał się z dala od wzbierającej fali radykalizmu, jaki ogarnął Izbę Gmin po spektakularnym zwycięstwie wyborczym liberałów w styczniu 1906 roku. W przeciwieństwie do Gladstone’a nie wierzył w istnienie zbiorowej mądrości mas. Stanowił więc doskonały materiał na narzędzie losu ściągającego na Anglików katastrofę. Trzeba powiedzieć, że w życiu prywatnym był osobą niezwykle wprost przyciągającą nieszczęśliwe wypadki (w tej mierze z wyjątkiem pechowego cesarza Austrii nie miał sobie równych wśród współczesnych mężów stanu). Doprawdy, obecność losu w jego życiu prywatnym robi wrażenie. Jego pierwsza żona zginęła w zderzeniu powozów. Druga zmarła nagle. Jednego z jego braci bawół stratował na śmierć. Inny został rozszarpany na strzępy przez lwa. Oba domy, jakie posiadał, spłonęły. Na starość oślepił i umarł bezdzietnie, a jego arystokratyczna linia wygasła. Wszystko, czego dotknął, wliczając w to brytyjską politykę zagraniczną, zdawało się nosić piętno zagłady**.

* Jednakże w latach dwudziestych wybrano go kanclerzem uniwersytetu w Oksfordzie, jeszcze raz ilustrując tradycyjne preferencje Oksfordu dla „charakteru” w przeciwieństwie do wykształcenia.

** Wydaje się, że Grey cierpiał na pragnienie śmierci. Mając niewiele ponad czterdziestkę z zadowoleniem notował, że siwieją mu włosy, i pragnął być o trzydzieści lat starszy. W roku 1912 pisał do przyjaciela, że z przerażeniem patrzy na współczesne „ohydne miasta” i „upiorną rywalizację” we współczesnym świecie; gdyby Bóg podzielał jego poglądy, „wielkie kraje przemysłowe zniknęłyby z powierzchni ziemi w jakiejś potężnej katastrofie, gdyż krajobraz stał się w nich odrażający, a życie niemożliwe”. Stan odrętwiałej niechęci do jasnego uzmysłowienia sobie faktu zbliżającej się katastrofy, w jakim Grey tkwił w ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny, w lipcu 1914 roku, zabarwiały jedynie rozpaczliwe wysiłki, żeby pozbyć się nalogu palenia, który – jak mu powiedziano, bez wątpienia błędnie – miał być przyczyną pogarszania się jego wzroku. Więcej szczegółowych informacji na temat tego dziwaka (oraz bardziej wspaniałomyślną ocenę jego kariery) znaleźć można w pracy Keitha Robbinsa *Sir Edward Grey*, London 1971.

Grey odziedziczył po swoim poprzedniku, lordzie Lansdowne, polityczne porozumienie z Francją, w ramach którego oba kraje zdołały z powodzeniem dojść do zgody w sprawie swoich sprzecznych interesów w różnych częściach świata, zwłaszcza w Maroku i w Egipcie. Umowa stanowiła element ogólnych dążeń do załagodzenia napiętych stosunków między mocarstwami, jakie powstały w wyniku rozdrapywania świata. Podobne porozumienie Anglicy podpisali z Japonią i mieli nadzieję, że uda im się także podpisać je z Niemcami i Rosją. Jednakże francuska *entente* miała charakter szczególny. Po pierwsze, okazała się nieoczekiwanie pożyteczna pod koniec roku 1905 w kontekście dramatycznej francusko-niemieckiej konfrontacji w Maroku. Po drugie, dla wielu wpływowych ludzi w Anglii oznaczała o wiele więcej niż zwykłe porozumienie. Już w roku 1878, król, wówczas książę Walii, powiedział Gambetcie, że pragnie sojuszu angielsko-francuskiego. Edward mówił z niemieckim akcentem (jego ojciec był Niemcem), jednak z temperamentu i upodobań był namiętnym frankofilem. Nienawidził ludzi, którzy rządili Niemcami, a zwłaszcza swojego siostrzeńca Kajzera. Krótkie, okazjonalne uwagi, jakie pisał na przedstawianych mu do wglądu depeuszach dyplomatycznych, stanowią świadectwo stałej nieufności wobec intencji Niemców: „Równie absurdalne co fałszywe” (o niemieckich skargach); „Jak zwykle, idzie o zastraszenie” (niemieckie traktowanie Hiszpanii); „Mówiąc wprost – Niemcy wyrzucają Francję z Maroka i sami zajmują jej miejsce”; „Niemcy z pewnością będą działać przeciw nam – za naszymi plecami”. Edward nie był w tych uczuciach osamotniony. Coraz więcej Anglików było zaniepokojonych niemieckim programem morskim, który zagrażał utrzymaniu angielskiego tradycyjnego „podwójnego” standardu wielkości floty. Samo w sobie wszystko to mogło nie mieć większego znaczenia. O wiele ważniejszy był jednak fakt, że grupa bardzo wpływowych przeciwników Niemiec pojawiła się w Foreign Office.

Gdy Grey objął swój urząd, ministerstwo znajdowało się u progu historycznych przemian. Lord Sanderson, najważniejszy w ciągu kilku minionych dziesięcioleci stały urzędnik ministerstwa, odchodził właśnie na emeryturę. Syn torysowskiego członka Izby Gmin, pracę w Foreign Office dostał na zasadzie patronatu. Pochodził więc sprzed epoki egzaminów konkursowych oraz ambitnej biurokratycznej elity. Hołdował starym tradycjom ministerstwa, jeszcze z czasów Palmerstona (którego portret zdołał jego sanktuarium). Sanderson uważał, że urzędnicy powinni nosić w sezonie cylindry i kultywować kaligrafię niezbędną do przepisywania depeusz. Darzył wielkim szacunkiem pamięć swojego dawnego szefa, earla Derby – wydał drukiem jego mowy – który zapisał mu w spadku 10 tysięcy funtów. Podobnie jak Derby uważał, że nie ma czegoś takiego jak „dobre” i „złe” mocarstwa, wobec których Wielka Brytania powinna zachowywać niezmienną postawę; przeciwnie, powinna dążyć do utrzymywania przyjaznych stosunków ze wszystkimi państwami, na zasadzie

wzajemnych korzyści. A przede wszystkim był zdania, że politykę zagraniczną powinien kształtować minister wraz z gabinetem oraz otwarcie bronić jej na forum Parlamentu. Zadania ministerstwa ograniczały się jedynie do tego, by mu w tym pomagać. Sanderson nosił duże, grube okulary i przezywano go „Lamps” („Latarnie”). Grał na flecie.

Gdy rozpoczynało się panowanie Greya, Sanderson miał za sobą czterdzieści siedem lat pracy w ministerstwie i z początkiem roku 1906 przeszedł na emeryturę. Jego następcą, sir Charles Hardinge, był zupełnie innym typem człowieka: przebojowy, doskonale zorganizowany imperialista, przyszły wicekról Indii (mało brakowało, a zginąłby od bomby wrzuconej do jego *howdah* [siedzenie z baldachimem na grzbiecie słonia]) oraz ekspert w dziedzinie efektywności. Przeprowadził rewolucję, którą Sanderson od dawna opóźniał, i przekształcił ministerstwo w wyposażoną w ogromną władzę maszynę polityczną. Nadeszła epoka mandarynów. Urzędnicy wyższego szczebla zostali zwolnieni z rutynowych obowiązków i otrzymali zadanie „wymyślania” strategii politycznej, którą mieli następnie referować w długich memorandumach. Przepływ informacji zreorganizowano w taki sposób, żeby ministerialna hierarchia mogła przechwytywać depeche, zanim wylądują na biurku ministra. W łonie Foreign Office zaczął się kształtować wewnętrzny konsens, wywierający decydujący wpływ na kształt brytyjskiej polityki zagranicznej. Od początku nie było najmniejszych wątpliwości, w jakiej sprawie mandaryni są zgodni. „Wymyślanie” polityki sprzyjało aktywnemu stylowi pracy, ten zaś oznaczał, że trzeba wybrać „przyjaciół” i zidentyfikować „wrogów”, a następnie działać na ich niekorzyść, budować sojusze i wchodzić w obręb systemu europejskiego. Wszyscy nowi mandaryni byli frankofilami, większość opowiadała się za imperializmem i zachowaniem unii z Irlandią. Należeli do nich: sir Francis Bertie, potężnie zbudowany arystokrata, znany jako „Byk”, w późniejszym okresie ambasador w Paryżu, gdzie (wedle słów Greya) „niezwykle skutecznie i z całym oddaniem” pracował na rzecz zbliżenia angielsko-francuskiego, poza nim Louis Mallet, sekretarz Greya, George Spicer (*Assistant Clerk*), Arthur Nicolson, namiętny wielbiciel Francji, który stał na czele urzędu w przededniu Armageddonu i (wedle relacji syna) był zdecydowanym zwolennikiem Unii; przede wszystkim zaś *Chief Clerk*, Eyre Crowe*.

Poza generałem Wilsonem Crowe skupiał w ręku najwięcej nici zakulisowych posunięć prowadzących do brytyjskiego zaangażowania w nadchodzącej wojnie. Syn dyplomaty i historyka sztuki oraz Niemki o nazwisku Asta von Barby, urodził się w Lipsku, do szkoły chodził w Düsseldorfie i Berlinie, mówił doskonale po niemiecku, a po angielsku i francusku z akcentem. Mimo swego

* Dalsze informacje na temat Foreign Office w tym okresie w: G. W. Monger, *The End of Isolation: British Foreign Policy, 1900–1907*, Edinburgh 1963, oraz Zara S. Steiner, *The Foreign Office and Foreign Policy, 1898–1914*, Cambridge 1969.

pochodzenia oraz faktu, że jego żona była Niemką, nienawidził Rzeszy Kajzera. Uważał ją za wroga libertariańskiej demokracji. Jednak, co ciekawe, sam był niemal karykaturą ekscentrycznego, z lekką agresywnego niemieckiego profesora. Miał piaskowożółte kręcone włosy, nosił niedopasowane garnitury (jego kapelusze rozwścieczały starego Sandersona), podróżował metrem („podziemiem”, jak je nazywał) i całymi godzinami przekopywał się przez wojskowe i dyplomatyczne dzieje Europy, gromadząc argumenty na rzecz swoich teorii. Był kapitanem ochotników i nawet usiłował walczyć w Afryce Południowej. Przezywano go „Bird” („Ptak”). Pod wodzą Hardinge’a zorganizował przejęcie władzy w ministerstwie przez kastę biurokratycznych mandarynów, a w dodatku był głównym źródłem idei dla nowej maszyny. Ministerstwo było całym jego życiem; wszystkich ludzi z zewnątrz, zwłaszcza polityków, którzy usiłowali wyrobić sobie opinię w sprawach polityki zagranicznej, zbywał jako „wścibskich natrętów” – dyplomacja to była sprawa dla ekspertów. Wszystko to bardzo przypominało procesy zachodzące w tym czasie w Berlinie.

Już w roku 1905 w Londynie dała o sobie znać grupa ludzi, którzy niecierpliwie pragnęli, wykorzystując jako pretekst kryzys marokański, przekształcić *entente* z Francją w faktyczny sojusz wojskowy: lord Esher, przyjaciel króla Edwarda i frankofil gorliwie działający za kulisami, sir George Clerk, sekretarz Imperialnego Komitetu Obrony (Committee of Imperial Defence), naturalnie Wilson oraz Paul Cambon [ambasador Francji]. Ten ostatni dostał od swojego rządu polecenie, by z początkiem roku 1905, gdy torysi znajdowali się jeszcze u władzy, rozpocząć rozmowy wojskowe; nie przyniosło to jednak specjalnych rezultatów. Wyglądało na to, że większe szanse na sukces rysują się wraz z objęciem ministerstwa przez nie wtajemniczonego i łatwowiernego Greya; toteż 29 grudnia 1905 roku Grey otrzymał list od pułkownika Repingtona, wojskowego korespondenta „Times”. Repington, były oficer, który w następstwie skandalu obyczajowego (romans z mężatką) musiał opuścić służbę, był urodzonym plotkarzem, intrygantem oraz aktywnym rzecznikiem sojuszu z Francją: człowiek pokroju Wilsona, tyle że na mniejszą skalę. Repington zwrócił się do Greya z pytaniem, w imieniu francuskiego *attaché* wojskowego majora Hugueta, czy byłoby rzeczą stosowną zwrócić się do francuskiego sztabu z pytaniem o ich propozycje. Grey wyraził zgodę. W styczniu Cambon złożył mu osobistą wizytę, podczas której zaproponował, aby francuscy *attachés*: wojskowy i marynarki wojennej, przeprowadzili rozmowy z angielską Admiralicją i Ministerstwem Obrony (War Office). I tym razem Grey się nie sprzeciwił.

Wszystkie późniejsze wydarzenia stanowiły następstwo tych fatalnych spotkań – Anglicy zaczęli zmierzać ku katastrofie. Mówię: Anglicy, ale naturalnie Anglicy nic o tych spotkaniach nie wiedzieli. Najbardziej brzemiennej decyzję w ich dziejach podjęto w tajemnicy, w atmosferze spisku. W roku 1906 żaden

angielski gabinet, a zwłaszcza gabinet liberalny, z całą pewnością nie zaaprobowałby wojskowego sojuszu z Francją czy jakimkolwiek wielkim mocarstwem; jeszcze mniej prawdopodobne, że taki sojusz zyskałby poparcie Parlamentu, nie mówiąc już o wyborcach. Należy jednak właściwie rozumieć stanowisko Greya. Zważywszy na sposób, w jaki całą sprawę mu przedstawiano, Grey mógł odnieść wrażenie, że rozmowy wojskowe toczyły się już w przeszłości pod egidą poprzedniego rządu i że poproszono go jedynie o zatwierdzenie ich kontynuacji, a nie inauguracji. Jednak w takim przypadku powinien, oczywiście, zażądać wglądu w odpowiednie dokumenty, a już z całą pewnością – uzyskać aprobatę całego gabinetu. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że wiedział, co robi i że już wówczas znajdował się pod wpływem ministerialnego „konsensu”. Jeśli tak, to kłamał przed Izbą Gmin, gdy 19 lutego oznajmiał: „[nasze stosunki z Francją] pozostają dokładnie takie, jakie były, bez zmian” – był to jawne zniekształcenie faktów. Co więcej, od tego momentu sam zaczął działać coraz bardziej potajemnie. Premier był wprawdzie informowany, okrężną drogą, o rozmowach, ale Grey nakłonił go, by nie zwoływać w tej sprawie posiedzenia gabinetu. „Niektórzy ministrowie – powiedział – byłiby zdumieni faktem rozpoczęcia takich rozmów”. Było to bardzo łagodne sformułowanie: gabinet z całą pewnością sprzeciwiłby się całemu przedsięwzięciu. Campbell-Bannerman zachowywał się więc także w sposób nieodpowiedzialny*. Naturalnie, rozmowy musiały prowadzić – tak zostały pomyślane – do połączenia strategicznego planowania obu krajów na wypadek ewentualnego konfliktu, co z kolei nieuchronnie sprawiło, że Francuzi uważali, iż Wielka Brytania wzięła na siebie moralne zobowiązanie do udzielenia im pomocy w razie wojny z Niemcami. Campbell-Bannerman niewątpliwie nie zdawał sobie sprawy z istniejących w Foreign Office nacisków na rzecz przekształcenia porozumienia w faktyczny sojusz wojskowy. Jednakże dostrzegał istotę sprawy. „Jesteśmy blisko wielce honorowego porozumienia – pisał – ale miejmy nadzieję, że nic złego się nie zdarzy”. Jeszcze lepiej uświadomił sobie sytuację, gdy podczas spotkania z Clemenceau omawiał wspólne rozmowy sztabowe. Campbell-Bannerman oznajmił wówczas francuskiemu premierowi, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby gabinet i Parlament zgodziły się na wysłanie oddziałów na kontynent. Na co zdumiony Clemenceau odpowiedział: to po co w ogóle były te rozmowy? W istocie trudno było mieć wątpliwości, w którą stronę wszystko się

* Tym bardziej że wiele podróżował i był pod pewnymi względami najlepiej wykształcony ze wszystkich liberalnych ministrów. Mówił płynnie kilkoma językami i bardzo dobrze znał Europę. „C-B” jako jedyny z liberalnej elity przejawiał pewną pogardę dla „starożytnych uniwersytetów”, uważając, że dawały wykształcenie, które miało walor jedynie towarzyski, i że nawet w tych dziedzinach, w których rzekomo prezentowały najwyższy poziom, tj. w dziedzinie klasyki i teologii, w istocie były niekompetentne. Jednakże „C-B” był leniwy i w roku 1906 wołał już unikać spornych, drażliwych kwestii.

potoczy, odkąd Foreign Office zaczęło wywierać presję. Latem 1906 roku Grey usiłował powstrzymać Haldane'a (który, naturalnie, znał sekret) przed udziałem w niemieckich manewrach wojskowych, argumentując, że zirykowałyby to Francuzów; po licznych przepychankach Haldane w końcu pojechał, jednak w październiku Grey, grożąc rezygnacją, skutecznie udaremnił kurtuazyjną wizytę orkiestry Coldstream Guards w Niemczech, twierdząc, że „nasza polityka zagraniczna więcej już nie zniesie”. Knollys, sekretarz króla, uważał za rzecz co najmniej dziwną, że „władca tego kraju, wspierany przez sekretarza stanu do spraw wojskowych, nie może wysłać nawet orkiestry wojskowej za granicę bez zgody Ministerstwa Spraw Zagranicznych”. Prawda była jednak taka, że choć nie wiedział o tym ani rząd, ani Parlament, ani opinia publiczna, Wielka Brytania stała się z wolna polityczną marionetką Francji.

Z początkiem roku 1907 Crowe zakończył ministerialną burzę mózgow, przedstawiając obszerne memorandum, na białozielonym papierze, dotyczące brytyjskiej polityki zagranicznej. Był to po części jednostronny, rozbudowany przegląd stosunków angielsko-niemieckich, częściowo zaś nawoływanie do zdecydowanego oporu wobec wszelkich niemieckich pretensji terytorialnych. Crowe dowodził, że „nowy duch”, jaki Wielka Brytania wykazała w sprawie Maroka (to znaczy przyjęcie roli francuskiej marionetki), wywarł na Niemcach wstrząsające wrażenie, powstrzymując ich agresywność, i sprawił, że w przyszłości w podobnej sytuacji zastanowią się dwa razy:

Będzie dla nich zachętą do wytrwania w tej postawie, jeśli spotykać się będą ze strony Anglii z niezmienną uprzejmością i rozumą we wszystkich sprawach interesujących obie strony, ale także z natychmiastową i zdecydowaną odmową podejmowania jakichkolwiek jednostronnych interesów (*one-sided bargain*) czy układów, oraz z niewzruszoną determinacją w obronie brytyjskich praw i interesów we wszystkich miejscach na kuli ziemskiej. Nie ma skuteczniejszej drogi do tego, by zdobyć szacunek niemieckiego rządu i niemieckiego narodu.

Naturalnie, był to przepis na nieuchronną katastrofę. Memorandum przedstawione gabinetowi nie zawierało żadnych odniesień do angielsko-francuskich rozmów sztabowych, prawdziwie „jednostronnych interesów”, o ile kiedykolwiek coś takiego istniało. Nie zwracano w nim także uwagi na fakt, że tę samą metodę rozwiązywania poważnych sporów między mocarstwami, która w przypadku Francji przybrała postać *entente*, można z równym powodzeniem zastosować wobec Niemiec. Wprost przeciwnie, memorandum stanowiło rozbudowany scenariusz, oparty na wybiórczo dobranych argumentach, który przydzielał europejskim mocarstwom role bohaterów i złoczyńców – krok jawnie sprzeczny z duchem tradycyjnej brytyjskiej polityki wobec kontynentu. Jeden egzemplarz łaskawie przesłano staremu Sandersonowi, który był już na emeryturze. Ku konsternacji ministerstwa, odpowiedział własnym memorandum,

wyrażającym sprzeciw wobec opinii Crowe'a; był to dokument pełen dojrzałej mądrości, a zarazem wolny od emocjonalnych komentarzy na temat zdolności intelektualnych „Birda”. Memorandum Sandersona spowodowało protekcyjny komentarz Greya i zostało ostatecznie przesłane rządowi (rok później) wraz z obszerną krytyką ze strony Crowe'a.

I to było niemal wszystko, co aż do roku 1911 rząd wiedział na temat brytyjskiej polityki zagranicznej, za którą był odpowiedzialny przed Parlamentem i narodem. Grey znajdował się teraz całkowicie w rękach ministerialnych mandarynów i był zdecydowany ominąć konstytucyjny tryb postępowania. Do wściekłości doprowadzał go fakt, że członkowie Izby Gmin mają prawo regularnie żądać od niego wyjaśnień na forum Parlamentu. Jak pisał do Nicolsona (3 października 1906 r.): „Członkowie Izby nabrali obyczaju zadawania pytań i wzniesienia debat, a tymczasem wiele spraw w polityce zagranicznej, które przyciągają uwagę opinii lepiej byłoby pozostawić w spokoju”. Haldane powołał sztab generalny oraz „siły uderzeniowe”, które miały zostać wysłane do Francji. Za radą Repingtona zmieniono ich nazwę na „siły ekspedycyjne”, żeby nie alarmować angielskiej opinii publicznej. Gdy wreszcie powiadomiono Parlament o ich powstaniu – a stanowiły wszak posunięcie otwierające zupełnie nowy rozdział w dziejach brytyjskiej polityki wojskowej, w dodatku zaplanowane dokładnie po to, by wciągnąć Anglię w sojusz z Francją – Haldane oświadczył Izbie Gmin, że siły ekspedycyjne są niezbędne, ponieważ „musimy chronić odległe wybrzeża imperium przed atakiem z zewnątrz”. Niewiele różniło się to od rozmyślnego, celowego kłamstwa i doprawdy trudno pojąć, dlaczego nie wzbudziło podejrzeń pozostałych ministrów*. Naturalnie, istniała tradycja, zgodnie z którą sprawy polityki zagranicznej leżały w gestii członków Izby Gmin i ministra spraw zagranicznych; Gladstone podczas swej ostatniej kadencji dla podkreślenia tego faktu siadał z Roseberym przy osobnym stole. Nie było jednak precedensu dla świadomego oszustwa. Stary Campbell-Bannerman zabrał tajemnicę do grobu, nie informując gabinetu o rozmowach, które cały czas nieubłaganie posuwały się naprzód, pogłębiając militarne zaangażowanie Wielkiej Brytanii i coraz mocniej krępując jej swobodę działania. Jeszcze bardziej złowrogi jest fakt, że Asquith, który w kwietniu 1908 roku zastąpił Campbell-Bannermana na stanowisku premiera, dopiero po trzech latach dowiedział się od Greya o tych rozmowach. Przeżuwał wiadomość we właściwy sobie, powolny sposób przez kilka miesięcy, po czym oświadczył Greyowi (wrzesień 1911 r.): „Nie należy zachęcać Francuzów do tego, aby w obecnie istniejących

* Haldane, głośny, pewny siebie prawnik, głęboko przekonany o swojej przenikliwości i inteligencji, nie doceniał przewrotności brytyjskich generalów: „nasi drodzy generalowie to anioły, nie sposób inaczej nazwać tych prostych, pełnych godności ludzi”. Por. Peter Rowland, *The Last Liberal Governments, the Promised Land 1905–1910*, London 1968.

okolicznościach budowali swoje plany na gruncie jakichkolwiek założeń tego rodzaju (to jest możliwości brytyjskiej pomocy)". Grey odparował: „Gdybyśmy zabronili naszym ekspertom wojskowym kontynuować rozmowy z Francuzami, wywołałoby to konsternację. Nie ulega wątpliwości, że rozmowy i nasze dotychczasowe wystąpienia zrodziły oczekiwania co do naszej pomocy. Nie widzę sposobu, w jaki można by temu zaradzić”. W końcu pod wpływem nalegań Johna Morleya, który zorientował się, co się święci, gabinet został w listopadzie poinformowany o prowadzeniu rozmów i poświęcił im dwa długie posiedzenia. Ustalono wówczas, że nie wchodzi w grę podejmowanie jakichkolwiek zobowiązań wobec Francuzów i że żadne dalsze rozmowy nie mogą toczyć się bez wyraźnego zezwolenia gabinetu. Ale nawet na tym etapie rząd nie poznał całej prawdy (w istocie Grey przez cały czas uniemożliwiał członkom gabinetu dostęp do wielu kompromitujących dokumentów swojego ministerstwa). Kiedy rok później członkowie gabinetu odkryli, że rozmowy rozpoczęły się już w 1905 roku, Grey otrzymał polecenie napisania formalnego listu do Cambona – w którym ministrowie osobiście wprowadzali poprawki – podkreślającego fakt, że Wielka Brytania nie podjęła żadnych zobowiązań wobec Francji. To właśnie ten list Grey odczytał 3 sierpnia 1914 roku w Izbie Gmin (pomijając najistotniejszy, destrukcyjny *passus*) w swojej sławnej mowie, która nie pozostawiała wątpliwości, że Wielka Brytania przystąpi do wojny. Niemniej jeśli chodzi o poczynania Foreign Office, Greya, sztabów wojskowych i francuskiego rządu, list do Cambona pozostał przez te wszystkie lata w praktyce martwą literą – wszyscy działali przy założeniu, że w przypadku niemieckiego ataku na Francję na Wielkiej Brytanii ciąży niezbywalne moralne zobowiązanie przyjscia Francji z pomocą z wykorzystaniem wszystkich posiadanych sił i możliwości.

Jeśli chodzi o historię polityczną i dyplomatyczną, niewiele już zostało do dodania. Gdy w Sarajewie bomba poszła w górę, Grey zrobił w ramach swoich ograniczonych możliwości wszystko, co mógł, aby zapobiec wybuchowi europejskiego konfliktu. Było to jednak niemożliwe. Dziś wiemy już, że niemiecki establishment cywilny, wojskowy i przemysłowy był zdecydowany rozpocząć prewencyjną wojnę z Francją i Rosją, wykorzystując każdy pretekst gwarantujący poparcie Austriaków, toteż Niemcy skwapliwie wykorzystali serbski zamach*. Grey mógł tylko zdecydować czy Wielka Brytania ma włączyć się do wojny, czy nie. Jednak decyzję w tej sprawie podjął już dawno (a raczej została podjęta za niego): w razie wybuchu wojny Wielka Brytania musi stanąć po stronie Francji, żeby umożliwić destrukcję niemieckiego militarizmu. Dla

* Fritz Fischer, *Germany's Aims in the First World War* (wydanie angielskie, 1967), zwłaszcza świadectwa hrabiego Tiszy, hrabiego Czernina („Niemcy żądały, by ultimatum wobec Serbii zostało sformułowane właśnie w takich, ostrych słowach”), Josefa Baernreithera, Otto Noetzscha, Arthura von Gwinnera, admirała Georga von Mullera, Kurta Riezlera, s. 88–92.

brytyjskiej partii wojennej problem Belgii był nieistotny; ściśle biorąc, Belgia stanowiła jedynie środek, za którego pomocą Grey mógł sprzedać wojnę swoim kolegom z gabinetu. Ministerstwo Spraw Zagranicznych od dawna, za aprobatą Greya, zakładało, że Wielka Brytania musi w razie konieczności przyjąć do wiadomości jednostronne pogwałcenie przez Francuzów neutralności Belgii*. Angielsko-francuskie sztaby były nawet przygotowane na to, że pogwałcą ją wspólnie; wystosowane przez Belgów zaproszenie stanowiło w tej sytuacji dodatkową premię. Oczywiście, Asquith chwycił się sprawy neutralności Belgii jako jedyne sposobu umożliwiającego utrzymanie jedności gabinetu, a tym samym partii liberałów, co stanowiło przez cały czas główny problem zaprzętający jego uwagę. Spiesząc mu z pomocą, Grey podczas dwu posiedzeń, 31 lipca i 2 sierpnia, posłusznie wprowadził kolegów ministrów w błąd co do swoich rozmów z niemieckim ambasadorem Lichnowskim. Sztuczka się powiodła – tylko Morley i Burns złożyli rezygnację. (Nikommu nie przyszło do głowy spytać: jeśli idziemy do wojny w obronie Belgii, to w jaki sposób zamierzamy ją obronić? Dobrze pytanie, zważywszy, że nie istniały żadne plany pomocy Belgii.) Grey dostał swoją wojnę. Gdy już było po wszystkim, syn sir Arthura Nicolsona, Harold, napisał: „Sir Edward Grey dzieli wraz z Bethmannem Holwegiem [kanclerz Rzeszy Niemieckiej w latach 1909-1917] zaszczytne miano jedyne go męża stanu okresu przedwojennego, któremu moralnie nie sposób niczego zarzucić”. Pięknie, jednak świadectwa, jakimi dziś dysponujemy, dowodzą, że obaj byli równie winni co pozostali. Co się zaś tyczy Greya – historia przyznała mu ponurą godność człowieka, który ściągnął na Anglików największe nieszczęście w całej historii Anglii.

Anglicy wkroczyli więc w wielką wojnę na kontynencie jako polityczna marionetka Francuzów; co gorsza, od samego początku byli także ich marionetką militarną. Oszukańcza polityka Greya, polityka tajnych, niepisanych sojuszów, postawiła Anglików w najgorszej z możliwych sytuacji. Albowiem skoro Grey nie mógł dać Francuzom żadnych formalnych zobowiązań, nie mógł z kolei domagać się prawa do partnerskiego traktowania, a zwłaszcza nie mógł zapytać o warunki francuskiego sojuszu z Rosją (nigdy ich nie poznał) stanowiące klucz do całego mechanizmu wojny. Wielka Brytania skazywała się w ten sposób na konieczność podporządkowania się biegowi wydarzeń, o których kształcie decydowała carska autokracja. *Entente* miała jednak jeszcze dziwniejsze oblicze. Angielsko-francuskie rozmowy sztabowe przesądziły o tym, że brytyjska armia,

* 15 listopada 1908 roku Crowe przedstawił memorandum na temat neutralności Belgii. Hardinge komentował: „W przypadku ewentualnego powalenia neutralności Belgii przez Francję w trakcie wojny z Niemcami w obecnej sytuacji jest wątpliwe, czy Anglia i Rosja ruszyłyby palcem, aby utrzymać neutralność tego kraju”. Gdyby jednak dopuścili się tego Niemcy, „jest prawdopodobne, że zaszłaby przeciwna ewentualność”. Grey uważał, że komentarz Hardinge’a „trafia w sedno”. Por. *British Documents on the Origins of the War*, vol. IX, London 1926, s. 375-78.

w swej istniejącej postaci, miała nieść pomoc Francuzom. Jednakże rozmowy nie dawały brytyjskiemu sztabowi prawa wglądu we francuskie plany wojenne, co stanowi niezbywalny element formalnego sojuszu. W ten sposób siły ekspedycyjne stawały się podporządkowanym partnerem w przedsięwzięciu, którego cele były przed nim ukryte. Churchill w 1912 roku zanotował: „Spoczęły na nas obowiązki wynikające z sojuszu, bez płynących z niego korzyści, a przede wszystkim bez dokładnego określenia warunków”. Francuzi twierdzili, że wypełniają swoje zobowiązania w zakresie strategii morskiej, przejmując odpowiedzialność za rejon Morza Śródziemnego, co umożliwiła Brytyjczykom koncentrację floty wojennej na Morzu Północnym. W przededniu wojny wykorzystywali ten argument jako narzędzie moralnego szantażu, twierdząc, że świadomie pozostawili bez obrony wybrzeża Kanalu. „Czy chcecie dopuścić do ostrzału Cherbourga i Brestu, skoro to za waszą poradą i zgodą, w naszym i waszym interesie, skoncentrowaliśmy wszystkie swoje okręty gdzie indziej?” – krzyczał Cambon do Greya 1 sierpnia. W rzeczywistości Francuzi nie mieli wyboru i musieli zgromadzić całą flotę na Morzu Śródziemnym, żeby skutecznie ochronić transport swoich sił z Afryki Północnej przed działaniami floty austriackiej.

Jeśli chodzi o rozmowy wojskowych, politycy uważali, że nie powinni się nimi interesować. Jak ujął to Grey w rozmowie z Asquithem: „Nigdy nie wiedziałem, co [sztab generalny] ustalił – zakładaliśmy jednak, że rząd ma całkowitą swobodę decyzji, a wojskowi będą wiedzieli, co zrobić, jeśli dostaną odpowiedni rozkaz”. Od momentu rozpoczęcia rozmów sztabowych los miliona brytyjskich żołnierzy był przesądzony. Gdy w początkach 1906 roku zachwycony major Huguet udał się do Paryża wyposażony w zgodę [Greya] na zadanie francuskim sztabowcom pytania, w jaki sposób Brytyjczycy mogą pomóc Francuzom, odkrył, że eksperci z Deuxième Bureau sporządzają plany inwazji na Anglię! Francuzi o choczko podchwycili jednak angielską ofertę. Naturalnie brytyjskie oddziały powinny stanowić po prostu jednostkę w ramach armii francuskiej! („*L'armée britannique [...] devra [...] être liée à celle de l'armée française, c'est-à-dire, être placée sous la même direction*”). Francuzi z uporem, bezwzględnie i w końcu skutecznie naciskali na takie rozwiązanie, chociaż formalnie nie dostali najwyższego dowództwa nad siłami brytyjskimi aż do roku 1918. Idiotyzm brytyjskich zobowiązań opisywał później sir William Robertson, CIGS*: „w zamian za współpracę nie byliśmy ze swej strony w stanie domagać się respektowania naszego prawa do analizowania planów Francuzów. W chwili wybuchu kryzysu było już na to za późno i w efekcie nasza polityka wojskowa na długo została całkowicie podporządkowana polityce francuskiej, o której mieliśmy niewielkie pojęcie”. W rzeczywistości było o wiele gorzej: brytyjskie wysiłki wojenne aż do ostatniego dnia wojny były w praktyce podporządkowane

* Chief of Imperial General Staff – Szef Sztabu Imperium Brytyjskiego (przyp. tłum.).

polityce Francuzów, która polegała na tym, by wciągnąć oba narody w toczoną na froncie zachodnim wojnę na wyniszczenie; Wielka Brytania miała w niej dostarczyć pełny wkład armatniego mięsa.

Wciągnięcie Wielkiej Brytanii w wielką wojnę lądową na kontynencie stanowiło także cel poczynań generała Wilsona i w istocie większości czołowych dowódców armii brytyjskiej. Była to zwykła kwestia „skrzywienia zawodowego”. Wilson zanotował w swoim dzienniku, że Stamfordham, sekretarz Jerzego V, „powiedział między innymi, że bardziej niż ktokolwiek inny jestem odpowiedzialny za przystąpienie Anglii do wojny. Myślę, że miał rację”. Galijska strategia Wilsona odniosła triumf z dwu powodów. Po pierwsze, politycy uważali, że ich odpowiedzialność kończy się z chwilą podjęcia decyzji o przystąpieniu do wojny. Reszta należy do dowódców armii. Myśl, że w przypadku bezlitosnych i totalnych zmagających między całymi narodami absolutnie niezbędny jest pewien stopień kontroli politycznej nad wojskiem, po prostu nie przyszła im do głowy. Po drugie, Anglicy padli ofiarą niekompetencji swoich admirałów. Jako zawodowcy admirałowie naturalnie nie mieli najmniejszego zamiaru zrzec się czołowej roli na rzecz armii, jednak nie zrobili nic, aby temu zapobiec. Podczas kryzysu w Agadirze w sierpniu 1911 roku Asquith zwołał posiedzenie Komitetu Obrony Imperium (Committee of Imperial Defence), aby rozważyć „działania, jakie należałoby podjąć w przypadku interwencji w wojnie europejskiej”. Był to jedyny przypadek, aż do momentu deklaracji o przystąpieniu do wojny, gdy doszło do spotkania władz cywilnych i wojskowych w celu omówienia strategii postępowania, i tylko jeden młodszy oficer, kapitan Hankey z Marines, zdawał sobie sprawę, że jest to moment o podstawowym znaczeniu. Tydzień wcześniej wystosował długi list do Reginalda McKenna, Pierwszego Lorda Admiralicji, zwracając uwagę na pilną konieczność czynienia przez marynarkę aktywnych kroków w celu przedstawienia spójnej alternatywnej strategii działania:

[...] jak powszechnie wiadomo, DMO generał Wilson, który postawił na pierwszym planie to zagadnienie [tj. sił ekspedycyjnych], jest całkowicie opętany ideą działań lądowych na kontynencie. [...] Nie tylko uważa, że wojskowa akcja lądowa jest niezbędna dla zachowania równowagi sił w Europie, ale także, że potrzebna jest nam do tego armia z poboru. Jeśli uda mu się w tych okolicznościach doprowadzić do podjęcia decyzji na korzyść działań lądowych, będzie dążył do tego, by wciągnąć nas w wojnę lądową na całego.

Hankey proponował, żeby Admiralicja albo nie zgodziła się na przewóz wojsk lądowych, albo stanęła na stanowisku, że idea sił ekspedycyjnych jest „całkowicie błędna”. Tymczasem admirałowie nie tylko zignorowali tę przenikliwą radę, ale całe spotkanie zakończyło się ich sromotną porażką (i katastrofą dla angielskiego narodu). Admiralicja nie powołała sztabu generalnego;

nie odrobiła pracy domowej. Gdy sir Arthur Wilson, Pierwszy Admirał Królewskiej Marynarki, zaproponował w charakterze alternatywy dla planów armii lądowej koncepcję desantu na wybrzeżu niemieckim, naraził się tylko na śmieszność. Sir William Nicholson, Szef Sztabu Imperium (CIGS), oświadczył, że taka propozycja to przepis na pewną klęskę: czy Admiralicja nie studiowała map niemieckiego systemu strategicznych połączeń kolejowych i czy nie zauważyła, z jaką szybkością Niemcy mogą skoncentrować przeważające siły na wybrzeżu północno-wschodnim? Oczywiście, że nie – odparł admirał Wilson – to nie ich interes, żeby mieć takie mapy. Nicholson (wśród swoich wrogów z marynarki znany jako „Old Nick”): „Przepraszam, ale jeśli wtrącacie się w sprawy wojskowe, musicie nie tylko mieć takie mapy, ale także je przestudiować”. Po spotkaniu Hankey ze smutkiem wyznał: „Muszę przyznać, że dowództwo poniosło w tej sprawie ciężką porażkę”^{*}.

Anglicy przystąpili zatem do wojny. Wciąż rysowała się niewielka szansa, że uda im się uniknąć rzezi we Flandrii. Następnego dnia po deklaracji przystąpienia do wojny, 5 sierpnia, Asquith zwołał wielką radę wojenną, którą Henry Wilson określił jako „historyczne spotkanie ludzi, którzy niemal całkowicie nie mieli pojęcia, o czym mówią”. W obradach uczestniczyło czterech polityków, jeden admirał, dwu marszałków polowych (w tym stary Roberts, który miał 82 lata), siedmiu generałów i dwu pułkowników. Zebrani przez jakiś czas – opowiada Wilson – „dyskutowali na temat strategii jak durnie”. Tym razem nikt nie sprzeciwiał się temu, że armia musi przekroczyć Kanał. Dyskusja, wedle relacji Greya, „dotyczyła wyłącznie tego, w jakim momencie można najlepiej wykorzystać siły brytyjskie tak, aby mogły najskuteczniej pomóc armii francuskiej”. Możliwości wyboru były jednak prawie zerowe. Co ciekawe, jedynie generał French, który miał dowodzić siłami ekspedycyjnymi, próbował znaleźć jakiś niejasny sposób na to, by uniknąć natychmiastowego wejścia w wojenną maszynkę do mielenia mięsa. Wedle relacji Wilsona, „naciskał, żeby ruszać od razu i dopiero później zdecydować, dokąd – ale potem niepotrzebnie zgłosił niedorzeczny pomysł, żeby ruszyć na Antwerpię”. Tyle że akurat ta propozycja w kategoriach interesów brytyjskich miała choć odrobinę sensu. W końcu to właśnie o Antwerpię miała toczyć się ta wojna, przynajmniej z brytyjskiego punktu widzenia; to Wielka Brytania stworzyła niepodległą Belgię; w roku 1839 podpisała gwarancje belgijskiej niezależności dokładnie po to, by „rozładować pistolet wycelowany w serce Anglii”. Jednak eksperci z War Office z pogardą odrzucili tę propozycję: cała robota sztabowa była już wykonana, rozpisano

^{*} W listopadzie Hankey zauważył: „Jeśli armia zostanie zaangażowana w zasadniczą kampanię już na samym początku wojny [...], ogromne możliwości, jakie przedstawiają sobą siły morskie, zostaną w znacznej mierze zmarnowane”. Stephen Roskill, *Hankey: Man of Secrets*, t. I, 1877–1918, London 1970.

terminarze, plany transportu, zestawiono rozkłady jazdy kolei francuskich – siły ekspedycyjne miały sformować lewą flankę armii francuskiej*. Los pokolenia został przesądzony. Praktycznie rzecz biorąc, brytyjski system polityczny mógłby równie dobrze nie istnieć. „Fraki” abdykowały. Cały naród został oddany – ze związanymi rękami i nogami – w niewolę generałom. Angielskiemu społeczeństwu przypadła rola statystów, którzy najpierw mieli radośnie wymachiwać chorągiewkami, a potem cierpieć i umierać jak bydlę prowadzone na rzeź. Mimo całej ochrony, jaką dawała im demokracja, lepiej wyszliby na tym, gdyby żyli w imperialnych Niemczech: tam także rządzą generałowie, ale przynajmniej znali się na swojej robocie.

Jednym z niewielu ludzi, którzy przewidzieli rozmiary katastrofy pograżającej Anglię, był John Morley. Na próżno starał się uchronić kraj przed włączeniem się do wojny. Teraz zrezygnował – nie dlatego, iżby sądził, że jego wyjście z gabinetu wywrze jakikolwiek wpływ na rozwój wypadków, ale dlatego, że podobnie jak Bright w roku 1882, pragnął w jedyny dostępny sobie sposób zaprotestować przeciw temu, co uważał za największe zło, sprzeczne z wszelkimi zasadami racjonalności i humanizmu. Powiedział, że wojna zniszczy europejską cywilizację. Nawet jeśli Niemcy zostaną pokonane, ostatecznym rezultatem wojny będzie ustanowienie rosyjskiej tyranii w Europie Środkowo-Wschodniej. „Gramy jedynie w rosyjskiej grze”**. Uważał za rzecz nie do przyjęcia by wielka partia liberalna kształtowana przez Gladstone’a, oraz pokolenia oświeconych ludzi interesu i intelektualistów, stawiających sobie za cel popieranie pokojowego wzrostu dobrobytu i wolności indywidualnej, miała teraz ulec „całkowitemu utożsamieniu się z gabinetem, zdecydowanym podjąć zbrojną interwencję na morzu i na lądzie w Europie centralnej i wejść we wszystkie tryby systemu kontynentalnego”. Zdawał sobie sprawę, że wojna zniszczy partię liberalną; pierwszym krokiem w tym kierunku była zawarta w roku 1915, koalicja z torysami, którzy „liberalizm, stary i nowy, uważali za niebezpieczne i zwodnicze rojenia”. Główną przyczyną, dla której Morley

* Lord Kitchener w formalnych rozkazach, które jako sekretarz stanu do spraw wojny wydał sir Johnowi Frenchowi, pisał: „Zadanie sił znajdujących się pod Pańską komendą polega na wspieraniu armii francuskiej i współdziałaniu z nią w walce przeciw naszym wspólnym wrogom”. Zwycięzca spod Omdurmanu dodał poruszające słowa ostrzeżenia: „Należałoby przypomnieć oficerom, że w tym ich pierwszym doświadczeniu w walkach na terenie Europy należy zachować większą dozę ostrożności, niż miało to miejsce w poprzednich przypadkach kontaktów z niewykształconym przeciwnikiem”. *The Earl of Ypres, 1914*, London 1919, s. 14–15.

** Morley dał wyraz swoim obawom przed „półbarbarzyńskimi rosyjskimi hordami”. Uważał, że „narody słowiańskie przejawiają z racji swego usposobienia i temperamentu największą skłonność do komunizmu”; Rosjanie, dzięki przejściu francuskich idei rewolucyjnych, poprzez sojusz francusko-rosyjski, sprowadzą na Europę śmiertelne zniszczenia. Por. D. A. Hamer, *John Morley, Liberal Intellectual in Politics*, Oxford 1968.

napisał swoje *Recollections*, było pragnienie, aby „rozniecić przed oczami młodych czytelników, którzy mają przed sobą całe życie, jasne światło wierności Rozumowi”. W następstwie zdarzeń zapoczątkowanych w roku 1914 zniknęły dwa światy: świat europejskiej arystokracji oraz świat liberalnego idealizmu. Upadek tego pierwszego wzbudził wśród oświeconych okrzyki radości, ale dopiero z biegiem czasu uświadomili sobie, że zmierzch tego drugiego stanowił zjawisko o wiele ważniejsze, zwłaszcza dla Anglików.

Wojna miała także trzecią konsekwencję, której natury nie uświadamiamy sobie w pełni do dziś. Aby ją zrozumieć, musimy jednak przyjąć długą perspektywę i spoglądając na ponad półwiecze, jakie upłynęło od roku 1914, widzieć nie dwie oddzielne wojny, po których nastąpiły dwa odrębne okresy pokoju, ale jeden nieprzerwany okres dziejów. Jego istotę można by określić jako ponowne wejście Anglików w obręb systemu kontynentalnego, z którego uwolnili się w okresie reformacji. Zerwanie z Rzymem stanowiło nade wszystko wyraz potwierdzenia suwerenności Anglii, jednostronną deklarację niepodległości. Gdy Henryk VIII oświadczył: „To królestwo jest cesarstwem (*empire*)”, chodziło mu po prostu o to, że Anglia nie uznaje żadnej innej ziemskiej władzy i w pełni decyduje o kształcie swoich instytucji politycznych, prawnych, religijnych i gospodarczych. Mocą semantycznego paradoksu ostateczna erozja tak zdobytej suwerenności rozpoczęła się pod koniec XIX wieku, gdy słowo *empire* (*imperium*) przybrało zupełnie inne znaczenie. Imperializm przyniósł Anglikom mniej wolności, a nie więcej. Zmusił ich do nawiązania stosunków opartych na wzajemnej korzyści lub antypatii z pozostałymi wielkimi mocarstwami Europy, co z kolei nieuchronnie prowadziło do utraty swobody wyboru. W roku 1914 Anglicy zrzekli się swej suwerenności i nigdy już jej w pełni nie odzyskali: nawet w chwili, gdy piszę te słowa, znaczne oddziały wojsk angielskich stoją w pogotowiu w sercu Europy kontynentalnej, a ich wycofanie miałoby – jak się uważa – dla Europy i świata tak opłakane konsekwencje, że żaden rząd brytyjski nie ośmielił się podjąć takiej decyzji, choćby nawet była nadzwyczaj pożądana z punktu widzenia Brytyjczyków. W roku 1914 rozpoczął się spektakl trwający do dziś, a Wielka Brytania, przyjąwszy w nim jedną z głównych ról, pozostaje wciąż na scenie, wypowiadając kwestie, których sama nie wybierała.

Naturalnie, w roku 1914 Grey i członkowie angielskiej partii wojennej byli przekonani, że Wielka Brytania nie ma innego wyboru i musi rzucić swoje siły na szale wojny. Bez jej pomocy Francuzi poniosą klęskę, a zwycięstwo nad Francją da Niemcom dominującą pozycję w Europie i w ostatecznym rachunku doprowadzi do rozpadu Brytyjskiego Imperium. Był to jednak pogląd całkowicie błędny. Niemcy bez wątplenia pragnęli stworzyć w Europie centralnej ponadnarodową strukturę gospodarczą, stanowiącą tak czy inaczej nieuchronną konsekwencję potencjału i dynamiki ich gospodarki – strukturę, która ostatecznie i tak powstała. Francja musiałaby wtedy znaleźć w niej swoje miejsce

(co uczyniła obecnie). A Wielka Brytania również musiałaby dojść z nią do ładu, co próbuje uczynić w naszych czasach. Nie istnieją jednak żadne dowody świadczące o tym, że w roku 1914 Niemcy zamierzały, czy nawet pragnęły, szkodzić żywotnym interesom brytyjskim. Nawet ruch na rzecz budowy wielkiej floty wojennej w momencie wybuchu wojny był już w fazie schyłkowej*. Zwycięskie Niemcy naturalnie stwarzałyby Brytyjczykom problemy, jednak byłyby to problemy o wiele łagodniejsze niż te, które zrodziło włączenie się Brytyjczyków do wojny.

Jednakże jest rzeczą nieprawdopodobną, by Niemcy mogły w jakimkolwiek istotnym sensie wygrać tę wojnę. Francja obroniła się nad Marną, w wyniku bitwy, której przebieg nie miał żadnego związku z obecnością brytyjskich sił ekspedycyjnych. Skoro zaś niemiecki „wielki plan” zawiódł, Niemcy stanęli wobec problemu, który zbijał z tropu dowództwo sił alianckich: w jaki sposób w epoce, gdy technika wojenna daje wszystkie atuty broniącym się, pokonać przeciwnika zdecydowanego stosować strategię defensywną? Niemcy toczyli na froncie zachodnim *de facto* wojnę obronną, a skoro tylko wiosną 1918 roku przeszli do ofensywy, proporcje strat po ich stronie natychmiast poważnie wzrosły, co spowodowało militarną porażkę. Najwyraźniej Niemcy nie dysponowali lepszym rozwiązaniem tego problemu niż Joffre, Haig czy Nivelle po stronie alianców. Gdyby Wielka Brytania trzymała się z dala od konfliktu, Francja musiałaby prowadzić wojnę obronną, Niemcy spróbowaliby podjąć wielką ofensywę, a stwierdziwszy, że straty są zbyt duże, jako alternatywę dla kosztownego pata militarnego wybraliby polityczny kompromis. A wtedy neutralna Wielka Brytania dopilnowałaby, aby powojenny kompromis przybrał rozsądną i sprawiedliwą postać. Wielkie mocarstwa kontynentalne odebrałyby zbawienną lekcję, z której Europa wyszłaby jako kontynent bardziej stabilny i moralnie czystszy.

Przystąpienie Brytyjczyków do wojny doprowadziło do tego, że wszystkie wielkie mocarstwa stanęły do śmiertelnej próby sił. Wzmocnienie sił aliantów przez przemysłowe, a przede wszystkim ludzkie zasoby Brytyjskiego Imperium sprawiło, że to oni mogli przyjąć strategię ofensywną. Liczby wskazywały na ogromną przewagę sił ludzkich po stronie aliantów, a liczby nie kłamią! Zwycięstwo w wojnie miało więc przynieść najpierw „wielkie natarcie”, a gdy zawiódło,

* Częściowo dlatego, że coraz więcej Niemców zaczęło zdawać sobie sprawę z tego, iż rozbudowa floty nie tylko prowokuje wrogość Anglików, ale także pochłania środki niezbędne do budowy armii. W długim liście do Edwarda Marsha (prywatny sekretarz Winstona Churchilla, Pierwszego Lorda Admiralicji) Hugh Watson z brytyjskiej ambasady w Berlinie pisał 12 marca 1913 roku o „szeroko rozpowszechnionym w Niemczech przekonaniu, że morska rywalizacja z Anglią jest daremna i że Niemcy muszą trzymać się swojego właściwego oręża, czyli armii. Można wręcz stwierdzić, że Niemcy uświadamiają sobie obecnie, że o życiu narodu decyduje armia, a marynarka jest jedynie siłą pomocniczą, jeśli nie luksusem”. Por. Randolph S. Churchill, *Winston S. Churchill*, London 1969, t. II, cz. 3, 1911–1914, s. 1716–1719.

jeszcze bardziej kosztowna „wojna na wyczerpanie”. W końcu i ta strategia nie dała rozstrzygających rezultatów. Jesienią 1918 roku Haig stał na czele jedynej armii, która teoretycznie wciąż była w stanie podjąć poważniejsze działania ofensywne. Z pewnością był też ostatnim generałem, który wzdragałby się przed narażeniem swych wojsk na straty, a jednak nawet on nie czuł się już na siłach, by podjąć ogromną ofensywę, niezbędną do ostatecznego rozgromienia sił niemieckich. Zawieszenie broni było właściwym określeniem: wojna nie wyłoniła zwycięzcy. Niemcy mieli pełne prawo twierdzić, że postanowienia traktatu wersalskiego nie odzwierciedlały militarnego układu sił w listopadzie 1918 roku. Jak zauważył Mussolini (jest to jego jedyna uwaga warta odnotowania), alianci powinni byli albo zdobyć Berlin, albo nałożyć znacznie mniej uciążliwe warunki układu pokojowego. Pierwsze przerastało ich możliwości militarne, drugie – ich wyobraźnię. Ponowny wybuch konfliktu stał się nieuchronny. Druga wojna światowa wybuchła nie tyle dlatego, że nikt nie wygrał pierwszej, ale dlatego, że traktat wersalski nie uwzględniał tej fundamentalnej prawdy.

Z państw uczestniczących w wojnie Wielka Brytania pod wieloma względami poniosła największe straty, a Stany Zjednoczone były jedynym krajem, który odniósł z wojny korzyści. Oczywiście, było swoistym paradoksem, że rząd liberalny miał poprowadzić Anglików do wielkiej wojny lądowej na kontynencie: potrzeba było ponad dwu lat, aby ów paradoks rozwiązać. Istotą angielskiego liberalizmu stanowiła zawsze realizacja moralnej i praktycznej cnoty wolności: uwolnijmy jednostkę od sztucznych ograniczeń, a urzeczywistni wszystkie drzemiące w niej możliwości umysłu, ciała i duszy. Tu jednak pojawia się pytanie: jak prowadzić zgodnie z tymi zasadami wojnę totalną? Tragedia polega na tym, że Asquith i jego koledzy usiłowali to robić. Angielski indywidualizm ginął, z największym oporem, w błotach Flandrii. Anglicy zawsze uważali za rzecz oczywistą, że wojny (zwłaszcza za granicą) powinni toczyć wynajęci fachowcy, podobnie jak opłaceni fachowcy dowodzili statkami, powozili końmi czy budowali drogi. Wojna to było zajęcie dla biedaków albo zawodowców. Myśl, że służba wojskowa miałaby stanowić konsekwencję obywatelstwa, nigdy nie znalazła w Anglii uznania i gdy pojawiła się ponownie pod koniec XIX wieku, postrzegano ją jako instytucję obcego pochodzenia, propagowaną przez militarystów i skrajną prawicę; liberałowie i pączkująca partia pracy obłożyli ją anatimą. Jeśli potrzeba nam będzie więcej żołnierzy, oczywiście zgłoszą się na ochotnika – na tym polega prawdziwie liberalny stosunek do prowadzenia wojny, o ile w ogóle istnieje coś takiego jak liberalny stosunek do prowadzenia wojny.

Skutkiem takiego sposobu myślenia była prawdziwie liberalna zgoda na śmierć najbardziej dynamicznych, świadomych i odpowiedzialnych przedstawicieli młodego pokolenia Anglików: masakra przyszłej elity wszystkich klas społecznych. Stara zawodowa armia brytyjska została praktycznie już do jesieni

1915 roku starta z powierzchni ziemi; żołnierze z poboru zaczęli wypełniać opustoszałe okopy dopiero w roku 1918. Większość z tych, którzy zginęli między rokiem 1915 a 1918, w okresie „wielkiego natarcia” i doktryny wyniszczania, stanowili ochotnicy, patrioci i idealisci, wychowani w emocjonalnej atmosferze imperialnego samozadufania. W pozostałych krajach europejskich funkcjonowała zasada poboru, gwarantująca prostą, automatyczną równość w szeregach ofiar: rzeź ściągającą swą daninę z całej męskiej populacji narodu, z bezstronną sprawiedliwością zabierając zarówno przeciwników wojny, jak i bohaterów, potencjalnych przywódców, jak i masy zrodzonych do posłuchu. W Wielkiej Brytanii zabrała najlepszych. Zginęło 10% dorosłych mężczyzn poniżej czterdziestego piątego roku życia, a 20% odniosło rany, często bardzo poważne. Ci, którzy przeżyli, nie mieli najmniejszych wątpliwości, że zginął kwiat ich pokolenia; nie sposób ująć tego poczucia w liczbach ani dowieść i dziś być może traktowane z lekceważeniem jako przejaw zwykłego sentymentalizmu, ale wówczas stanowiło powszechne przekonanie, odzwierciedlające straszliwą prawdę. Zakres i rodzaj tych strat nieuchronnie wywierał wpływ na jakość powojennego brytyjskiego społeczeństwa, we wszystkich sferach i klasach. Przyniósł odczuwalne obniżenie się poziomu ducha w sferze publicznej i prywatnej, rodzaj degeneracji, jaką arcybiskup Wulfstan z Yorku analizował i opłakiwał w swoim sławnym kazaniu ponad dziewięćset lat wcześniej.

Jednak z wielu względów jeszcze poważniejsze były straty materialne, które wywarły decydujący wpływ na kształt powojennego życia Anglików. Wielka Brytania przystąpiła do wojny jako najbogatszy kraj na ziemi, największy kredytodawca w historii międzynarodowych stosunków finansowych. Wyszła z niej z długiem narodowym, który wzrósł z 650 milionów do 7 miliardów 435 milionów funtów; bezlitośnie wyprzedano zagraniczne aktywa, aby zapłacić za wojenny import, wchodząc w dodatku w ogromne zadłużenie w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, równoważone jedynie przez pożyczki dla osłabionych sojuszników europejskich, których ci ostatni i tak nie byli w stanie spłacić. W rezultacie londyńskie City sfinansowało wojnę przeciw Niemcom, tak jak w przeszłości finansowało wojny przeciw napoleońskiej Francji, a brytyjski przemysł musiał zapłacić rachunek. Jednak gospodarka, gwałtownie rozwijająca się w końcowych dekadach XIX wieku, obecnie przeżywała okres stagnacji. Po krótkim ożywieniu lat 1919–1920 przyszła trwająca dwadzieścia lat recesja i dopiero wojna przeciw Hitlerowi przyniosła kolejne ożywienie. Kryzys lat 1931–1932 oznaczał jedynie dno długiej depresji, jaka cechowała cały okres międzywojenny. Bezrobocie, które w Wielkiej Brytanii w ostatniej dekadzie przed wojną oscylowało wokół 6%, w latach 1920–1938 wynosiło przeciętnie 14,6%. Choć produkcja przemysłowa i płace realne w końcu wzrosły, wzrost niemal całkowicie dotyczył drugiej połowy lat trzydziestych i został wywołany

wzmocnionym programem zbrojeń; jest dość prawdopodobne, że jedynie druga wojna z Niemcami zapobiegła dalszemu pogłębianiu się tendencji spadkowych.

Mimo ogromnego ubytku sił ludzkich i osłabienia finansowych podstaw gospodarki Wielka Brytania musiała, chcąc nie chcąc, przejąć rolę strażnika nierealistycznego pokoju w Europie. Nie było jednak nikogo innego, kto podjąłby się tego zadania. Stany Zjednoczone, które poniosły najmniejsze straty i odniosły z wojny największe korzyści, po wojnie wycofały się z wszelkich politycznych zobowiązań w stosunku do Europy, które zaczęły właśnie na siebie przyjmować, i wybrały izolację. Francja – główny architekt rozwiązań pokojowych – miała na uwadze tylko jedno: swoje własne bezpieczeństwo, które usiłowała wzmocnić za pomocą papierowych sojuszy z małymi państwami narodowymi, powstałymi z popiołów wschodnioeuropejskich imperiów. Jednak wielki kryzys położył kres tendencjom rozwojowym we francuskiej gospodarce, a w nawet wywołał gwałtowny regres. Francja nie była więc w stanie wywierać żadnej presji militarnej poza swymi granicami, a nawet, jak się okazało, ich bronić. Załamanie się dawnej struktury wielkich mocarstw w Europie już w okresie traktatu wersalskiego postrzegano jako potencjalne źródło przyszłych konfliktów. Aby zastąpić zniszczoną równowagę stosunków dyplomatycznych między mocarstwami, stworzono narzędzie kolektywnego kształtowania stosunków międzynarodowych w postaci Ligi Narodów. Jednakże Liga nie mogła być większa niż suma jej części; nie dysponowała siłami zbrojnymi, a jedynie małym i wciąż malejącym kapitałem autorytetu moralnego. W tej sytuacji efektywny wpływ na politykę europejską w praktyce mogły wywierać jedynie niepewna swej roli Wielka Brytania i coraz bardziej niechętnie angażująca się Francja. O polityce europejskiej decydowali ludzie nieskorzy do wykonywania jakichkolwiek posunięć.

W tej sytuacji było rzeczą nieuchronną, że gdy tylko w Niemczech ponownie w siodle usadowi się jakiś nacjonalistyczny reżim, Niemcy będą dążyć do rozszerzenia swoich wpływów politycznych i gospodarczych w Europie centralnej, co umożliwiała siła i dynamika niemieckiej gospodarki. Pojawienie się takiego reżimu było tylko kwestią czasu. Hitler i jego banda wykorzystali naturalne procesy, do których doszłoby tak czy inaczej. Hitler przejął wszystkie podstawowe cele Rzeszy Kajzera, dążąc do ich osiągnięcia z bezwzględną szybkością, jednak każdy niemiecki rząd w latach trzydziestych zmierzałby w tym samym kierunku. I kto mógł ich powstrzymać? Rosja była jedną z głównych ofiar układów pokojowych; w jej interesie leżało popieranie każdego procesu rewizji granic, który mógł prowadzić do odzyskania części utraconych terytoriów i poszerzenia kordonu sanitarnego dzielącego ją od Niemiec – a zatem działanie na rzecz takiego porządku europejskiego, jaki usatysfakcjonował ją w roku 1945. Francja związała się sojuszami z nowymi państwami, które powstały z popiołów dzięki traktatowi wersalskiemu, jednak nie mogła i z całą

pewnością nie zamierzała walczyć w ich obronie. Armia francuska była nastawiona wyłącznie na prowadzenie wojny obronnej. Myśl, że była jakaś decydująca chwila, moment, w którym można było jeszcze powstrzymać Niemcy, odkąd odrodził się w nich nacjonalistyczny duch, za pomocą gróźb, gestów, a nawet ograniczonych działań politycznych, jest iluzją. Gdyby Francja próbowała zapobiec remilitaryzacji Nadrenii, druga wojna światowa wybuchłaby po prostu trzy lata wcześniej. Z kolei kwestia Czech stanowiła pretekst do wojny, a nie sposób na uratowanie pokoju. W roku 1938 Czechi miały trzydzieści sześć dywizji, Niemcy dwadzieścia jeden oraz czternaście w okresie formowania, Francuzi mieli osiemdziesiąt. Gdyby Czesi stanęli do walki, Francuzi musieliby im pomóc. Jednak Czesi nie bronili swojej wolności ani w roku 1938, ani trzydzieści lat później. Polacy, owszem, byli gotowi walczyć, ale akurat nie w jedynym sensownym w tej sytuacji układzie, jaki stanowił sojusz z Rosją. Wielka Brytania i Francja chętnie udzieliły im papierowych gwarancji, w pełni zdając sobie sprawę, że nie mogą ich honorować. Jeszcze raz powtórzyła się historia Belgii. Wielka Brytania nie mogła fizycznie przeszkodzić Niemcom w agresywnym przytłaczaniu nowych terenów w Europie Środkowej. Wszystko, co mogła, to wypowiedzieć im wojnę, podejmując walkę zawieszoną w roku 1918 z nadzieją, że przeżyje kolejną próbę sił.

I tak właśnie było. Chaotyczne, mętne posunięcia i brak konsekwencji w polityce lat trzydziestych odzwierciedlały jedynie ograniczenia, jakie nałożyła na Wielką Brytanię utrata suwerenności w roku 1914. Jednak tym razem role Anglii i Francji się odwróciły. Teraz Anglicy byli silniejszym partnerem, a Francuzi, czy chcieli tego, czy nie, ich marionetką – jak się okazało, partnerem całkowicie niepewnym. Wielka Brytania wzięła na siebie rolę przekraczającą jej możliwości, której nigdy nie odgrywała w swoich dziejach: rolę obrońcy Europy. Oczywiście, był to absurd. Na szczęście na scenie pojawiły się Ameryka i Rosja, aby uwolnić ją od tego ciężaru ponad siły. W efekcie powstała jednak struktura europejska, która w niczym nie przypominała tej, którą Grey usiłował, jak sądził, uratować w roku 1914. W ten sposób w dużej mierze spełniły się przewidywania Morleya. Z brytyjskiego punktu widzenia obie wojny z Niemcami stanowiły więc wysiłek całkowicie daremny.

Stanowiły także zmarnowaną okazję poznania samych siebie. Kim byli Anglicy? Czy byli Europejczykami, czy nie? Czy granice i układ sił w Europie Środkowej miały tak decydujące znaczenie dla ich własnego losu i powodzenia, że musieli walczyć w ich obronie? Przed rokiem 1914 pytanie to nie stało przed Anglikami jako narodem, a nawet przed ich demokratycznie wyłonionymi reprezentantami. Odpowiedzi – pozytywnej – udzieliło, w atmosferze tajnych układów, kilku wysoko postawionych urzędników państwowych. Nie miało to nic wspólnego z demokracją. Gdyby odwołano się do instrumentów demokracji, odpowiedzi musiałyby wypaść zupełnie inaczej. Wielka Brytania z całą

pewnością odrzuciłaby zobowiązania wobec kontynentu i przyjęła wobec toczącej się wojny postawę obserwatora. Po roku 1918 Anglicy nie mieli już zbyt dużego wyboru. Zostali wciągnięci w masę rozmaitych zobowiązań. Pytanie nie brzmiało już: czy je podejmować, ale: jak się z nich wywiązać?

I w tej właśnie kwestii Anglicy jako naród, zdobyli prawo wyrażenia swej opinii. Nie chodziło przy tym jedynie o ponowne rozszerzenie zasięgu praw wyborczych – w roku 1918, a następnie w 1928, dzięki czemu w efekcie objęły całą dorosłą populację*. Była to także kwestia zmiany postaw angielskiej elity, która zaczęła w praktyce stosować demokrację, zamiast próbować ją obejść. Główną postacią na scenie politycznej okresu międzywojennego był Stanley Baldwin. W roku 1923 został premierem i liderem partii konserwatywnej – wybrano jego, a nie elitarystę Curzona, właśnie dlatego, że był „commonerem”, który przekraczał tradycyjne bariery klasowe. Wybór był więc symboliczny, ale miał także niezwykle istotne znaczenie w praktyce. Baldwin zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwano. Głosił doktrynę pokoju społecznego, klasowego pojednania. Wierzył w demokrację – ku czemu Gladstone zaledwie zbliżył się pod koniec życia. Baldwin zaakceptował suwerenność społeczeństwa – nie tylko w teorii, ale także w praktyce. Zależało mu na tym, żeby demokracja była skuteczna. Rozmyślał nad zapisem debat w Putney. Uwielbiał cytować słowa pułkownika Rainborough: „Doprawdy, myślę, że najuboższy w Anglii ma przed sobą takie samo życie jak najbogatszy”. Rozmyślał także nad eksperymentami ateńskimi. „Staje przed nami wielkie zadanie przeniesienia zasad osobistego udziału w rządach, uczestnictwa w powszechnej dyskusji oraz czynnego przyzwolenia, które skutecznie funkcjonowały w tych niewielkich grupach obywateli i wyznawców, do ogromnych populacji współczesnych państw i imperiów”. Oczywiście, Baldwin nie był socjalistą, uważał, że socjalizm stanowi zaprzeczenie prawdziwej demokracji, degradację człowieka. Droga postępu wiodła od zasady statusu do zasady kontraktu; socjalizm stanowił powrót do zasady statusu. Człowiek powinien uczestniczyć w życiu publicznym jako odpowiedzialna jednostka, nie jako członek klasy czy grupy. A czyż było coś ważniejszego niż to, że te miliony odpowiedzialnych jednostek miały teraz decydować o podstawowych kwestiach pokoju i wojny, a ich demokratycznie wyłonieni przywódcy powinni akceptować ich decyzje?

W latach dwudziestych wydawało się, że na świecie zapanował pokój i niepotrzebne są żadne decyzje. Niemcy pokonane, Rosja bezsilna, Francja, Japonia i Stany Zjednoczone w roli sojuszników lub partnerów. Liga Narodów rozwiązywała mniejsze spory; większych nie było. Nie podejmowano decyzji

* W roku 1911 prawem głosu dysponowało około 60% dorosłych mężczyzn. Jednak wielu najuboższych nie było zarejestrowanych. Co więcej, 500 tysięcy bogatszych elektorów miało dwa albo więcej głosów; w styczniu 1910 roku dwaj bracia mieli razem trzydzieści pięć głosów.

o rozbrojeniu; było ono czymś oczywistym, zrozumiałym samo przez się. Realne wydatki zbrojeniowe spadły dużo poniżej poziomu przedwojennego. Przyjęto sławną zasadę dziesięciolecia [zakładała, że przez dziesięć lat nie będzie żadnych konfliktów zbrojnych w Europie], której przestrzegano aż do roku 1932. Wszystkie kręgi społeczne – a zwłaszcza Churchill, którego Baldwin mianował, jako entuzjastycznego zwolennika Gladstone’a, kanclerzem Exchequeru – pragnęli ograniczenia zbrojeń, jednostronnego albo na mocy układów. Wielka Brytania zrezygnowała z tradycyjnego standardu wielkości floty wojennej oraz roli światowego policjanta na morzach. Z powszechną aprobatą zrezygnowała też z roli największej lotniczej potęgi świata. Utrzymywała armię oficjalnie określaną jako armia z „ograniczoną odpowiedzialnością”. W wyniku wojny imperium jeszcze się powiększyło i Wielka Brytania rządziła teraz ponad jedną czwartą kuli ziemskiej, dysponując siłami zbrojnymi, które nawet w kategoriach średniowiktoriańskich należałoby uznać za skromne. Wszystko to mogło być nierozsądne, ale z całą pewnością było demokratyczne: taki był wybór Anglików.

Oczywiście, od chwili gdy w Niemczech do władzy doszli nacjonałiści, cały obraz zmienił się z dnia na dzień. Skończyła się era stabilności; nie tylko Niemcy, ale także pozostałe mocarstwa starały się teraz wyciągnąć korzyści z nowej sytuacji. Co mieli zrobić Anglicy? Wybór należał do nich. Baldwin był gotów zrobić to, czego zapragną. Jednak Anglicy nie wiedzieli, czego pragną. Nie mieli dostępu do dokumentów, które umożliwiłyby im znalezienie sensownej odpowiedzi na pytanie, jak doszło do wybuchu pierwszej wojny światowej. Dawni przeciwnicy opublikowali wprawdzie potężne tomy „tajnych dokumentów”, które jednak bardziej zaciemniały, niż rozjaśniały sprawę. Prawda na temat rzeczywistych celów wojennych Niemiec, manewrów Greya, wyszła na jaw dopiero w latach pięćdziesiątych. Lord Sankey w rozmowie z Cliffordem Allenem zauważył: „Sądzę, że dziś znalazłoby się niewiele osób, które nie przyznałyby, że wojna z roku 1914 stanowiła tragiczną pomyłkę”. Był to powszechny pogląd, ale opierał się na błędzie. „Pomyłka” polegała na udziale Brytyjczyków w wojnie. Nic nie mogło powstrzymać jej wybuchu; Niemcy byli w tej kwestii zbyt zdeterminowani. Jednak ten fakt uszedł powszechnej uwagi. Przełom lat 1928–1932 przyniósł cały potok antywojennych powieści, wierszy, autobiografii, sztuk i esejów pióra zgorzkniałych uczestników tamtych zmagania, takich jak Sassoon, Graves, Aldington, Blunden, Sherriff, Remarque, które stały się zwieńczeniem gmachu wojennych wspomnień Greya, Churchilla, Lloyd George’a, Wilsona, Repingtona, Ludendorffa i wielu innych. W całym tym zalewie wyjaśnień i analiz prawda ginęła jakoś z pola widzenia. Przyczyn wybuchu wojny doszukiwano się w przedwojennym zamęcie albo w niezdolności do zadośćuczynienia słusznym pretensjom terytorialnym, w wysokim poziomie zbrojeń, w naturze systemu kapitalistycznego albo chciwości potentatów przemysłu

zbrojeniowego. Nikt w Anglii nie próbował jednak postawić tezy, że wina leżała po prostu w niemieckiej agresji. Taka wersja zmuszałaby bowiem do przyznania, że kolejna wojna jest nieunikniona (choć Repington dostarczył w tej sprawie złowróznej wskazówki, tytułując swoje wspomnienia opublikowane w roku 1920 *The First World War*). Powszechnie obowiązująca stała się teza Keynesa głosząca, że traktat wersalski był pokojem niesprawiedliwym i „kartagińskim”. Nikt nie zamierzał walczyć za Wersal albo ponownie się zbroić, żeby go utrzymać. Jeśli jednak pokój zawarty w Wersalu stanowił martwą literę prawa, to jakie prawo rządziło w Europie?

Angielskie społeczeństwo nie tylko miało zmałowany obraz wypadków i było źle poinformowane na temat przyczyn wybuchu wojny w roku 1914; było także podzielone w kwestii, jak zapobiec wybuchowi wojny w przyszłości. Przepaść, jaką w polityce brytyjskiej stworzyły wydarzenia roku 1931 [upadek rządu laburzystowskiego, powstanie rządu jedności narodowej zdominowanego przez torysów], położyła kres wszelkim nadziejom na zgodę między partiami w sprawach polityki zagranicznej. Oficjalna opozycja przestała otrzymywać poufne materiały; co więcej, wcale już tego nie pragnęła. Po dojściu Hitlera do władzy Baldwin, podobnie jak wielu innych torysów, z wolna zwrócił się ku programowi ponownych zbrojeń, jednak nie zamierzał prowadzić ich w tempie szybszym, niż – jak sądził – mogło to znaleźć aprobatę społeczeństwa. Gdy w październiku 1933 roku Niemcy wycofały się z prac Konferencji Rozbrojeniowej, odzyskując pełną suwerenność jako wielkie mocarstwo, torysi natychmiast ponieśli katastrofalną porażkę w wyborach uzupełniających w Fulham. Zmiana nastrojów nie była niczym zaskakującym po sukcesie z roku 1931 – porażkę spowodowały niemal na pewno kwestie związane z prawem do zasiłku dla bezrobotnych i miała niewiele wspólnego z polityką zagraniczną. Baldwin zinterpretował ją jednak jako wyraz masowego sprzeciwu wobec wyścigu zbrojeń. No cóż, świetnie, demokracja przemówiła, musiał więc poczekać na kolejną zmianę nastrojów społecznych, co – jak ocenił – nastąpiło w roku 1935. Do wyborów w roku 1935 poszedł więc z programem umiarkowanych zbrojeń i zwyciężył. Później postawiono go pod pręgierzem za to, że usiłował praktykować, bez wątpienia niezręcznie, teorię demokratycznej kontroli społeczeństwa nad polityką zagraniczną*.

* Sposób, w jaki potraktowano Baldwina, stanowi doskonały przykład błyskawicznego powstawania angielskich mitów. W swojej „prerażająco szczerzej” mowie Baldwin powiedział, że nastroje panujące w latach 1933 i 1934 sprawiły, iż żaden rząd nie mógł zwrócić się do wyborców z programem wznowienia zbrojeń i liczyć na uzyskanie ich mandatu; do roku 1935 nastroje uległy jednak zmianie i „otrzymaliśmy od narodu – ze znaczną większością – mandat na zrobienie tego, czego dwanaście miesięcy wcześniej nikt nie uważałby za możliwe”. Tymczasem słowa Baldwina zinterpretowano w ten sposób, że w roku 1935 przystępował on do wyborów z programem antyzbrojeniowym, ponieważ w żaden inny sposób nie mógłby liczyć na zwycięstwo. Mit

Prawda jest jednak taka, że żaden odłam angielskiej opinii publicznej nie znał odpowiedzi na pytanie, co zrobić z Niemcami. Jedni sądzili, że ponowne zbrojenia doprowadzą do wojny – i mieli rację. Inni, że brak zbrojeń będzie zachętą do wojny – także mieli rację. Wojna była nieuchronna. Przywódcy Partii Pracy i inni ludzie dobrej woli uważali, że Liga Narodów odegra rolę systemu zbiorowego bezpieczeństwa, stwarzając alternatywę dla zbrojeń. Tymczasem w sytuacji, gdy jej liderom brakowało odpowiedniej przewagi militarnej, stanowiła system zbiorowej niepewności. Międzynarodowe organizacje w rodzaju Ligi, podobnie jak demokratyczne parlamenty, mogą skutecznie funkcjonować tylko wtedy, gdy opierają się na rządach prawa. W innym razie same stają się instrumentem niesprawiedliwości, jak często działo się z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Jednakże rządy prawa muszą dysponować aparatem gwarantującym przestrzeganie prawa, a nikt nie proponował, by Liga Narodów miała swoją armię – a już na pewno nie jej najbardziej namiętni zwolennicy. Lewica uważała, że nie można być prawdziwym zwolennikiem Ligi, nie występując przeciw zbrojeniom. Prawica – że nie sposób sprzeciwić się pacyfizmowi, nie będąc równocześnie przeciwnikiem Ligi. Prawica miała za sobą przynajmniej swój dziedziczny, instynktowny odruch, który mówił, że broń zawsze może się przydać. Większość ludzi lewicy posuwała się do granic czystego nonsensu. Attlee: „Opowiadamy się za zbiorowym bezpieczeństwem realizowanym za pomocą Ligi Narodów. Odrzucamy użycie siły jako instrument polityki. Nasza polityka polega na dążeniu do bezpieczeństwa międzynarodowego za pomocą rozbrojenia, a nie zbrojeń”. Można te zdania czytać od przodu do tyłu, od tyłu do przodu, na boki, do góry nogami i jak kto chce – za każdym razem to tylko słowa, bez żadnego sensu. Brytyjska demokracja nie potrafiła poradzić sobie z problemami, jakie stawiała przed nią polityka zagraniczna; być może nic nie było w stanie się z nimi uporać.

Angielski dylemat rozwiązano więc w typowo angielski sposób. W ostatecznym rachunku wszystko zależało od postawy wobec Hitlera. Brytyjska prawica nie miała większych obiekcji wobec poczynań Hitlera w polityce wewnętrznej.

po raz pierwszy pojawił się, w swojej dojrzałej postaci, w „Sunday Express” z 3 września 1939 roku w artykule autorstwa Petera Howarda, późniejszego szefa Moral Rearmament: „[Baldwin] Oświadczył, że nie powiedział wyborcom prawdy na temat powrotu do zbrojeń podczas wyborów powszechnych w 1935 roku, ponieważ uważał, że gdyby tak postąpił, nie głosowałoby na niego. Lord Baldwin wyrządził demokracji większe szkody niż jakikolwiek inny premier Wielkiej Brytanii i z pewnością większe szkody niż jakikolwiek innych człowiek, wyjąwszy Cromwella [sic!]”. Inaczej Cassandra w „Daily Mirror”: „Oto stary i głupi polityk, który podstępnie wprowadził naród w stan samozadowolenia w kwestii zbrojeń z obawy przed klęską wyborczą”. Niektórzy wierzyli nawet, że Baldwin publicznie opowiadał się za „jednostronnym rozbrojeniem”. Tymczasem wszystko, co Baldwin uczynił, ograniczyło się do praktykowania demokracji i mówienia prawdy – ostrzegające ostrzeżenie dla przyszłych polityków. Por. Keith Middlemass i John Barnes, *Baldwin*, London 1969, s. 970-972.

Do pewnego stopnia zyskały nawet aprobatę. Z całą pewnością politycy prawicowi nie uważali, że natura Trzeciej Rzeszy usprawiedliwia postawę antyniemiecką. Niektórzy na początku lat dwudziestych pragnęli nawet ideologicznej krucjaty przeciw Rosji Radzieckiej, ale te dni dawno należały do przeszłości; próby wpływania na wewnętrzną politykę prawicowego reżimu nie wchodziły w grę. Z drugiej strony zdecydowany sprzeciw prawicy budziły dążenia Hitlera na arenie międzynarodowej; dostrzegli w nich starą, dobrze znaną, oburzającą agresję. Z lewicą było dokładnie na odwrót: bezwzględnie krytykowała hitlerowski reżim, ale za rzecz niesłuszną uważała odmawianie Niemcom prawa do zmiany niesprawiedliwego układu pokojowego. Oba skrzydła angielskiego spektrum politycznego miały więc przeciwstawne cele. Spotkały się jednak i zaczęły działać razem, osiągając znaczącą jedność, pod wpływem dwu czynników, które zasadniczo nie miały związku z głównym problemem: z powodu Żydów oraz Hiszpanii. Gdy do świadomości torysów – a zajęło to trochę czasu – dotarły wiadomości o systematycznym niszczeniu przez Hitlera bogatej i wpływowej społeczności Żydów niemieckich, postawa prawicy wobec nazistowskiego reżimu zmieniła się radykalnie. Ruch, który postrzegano jako opokę stabilności społecznej, okazał się jej wrogiem: Hitler w oczach torysów przestał być konserwatystą, dostrzegli w nim niebezpiecznego radykała. Podobny proces transformacji obrazu Hitlera dokonał się na lewicy – tym razem pod wpływem polityki zagranicznej Trzeciej Rzeszy zademonstrowanej w trakcie wojny domowej w Hiszpanii. Dotychczas Hitler i jego akolita Mussolini byli tyranami we własnych krajach; teraz stali się liderami międzynarodowej krucjaty wymierzonej w socjalizm i demokrację. I tak okrężnymi drogami i pod wpływem odmiennych, a nawet sprzecznych motywów emocjonalnych naród angielski zjednoczył się wokół przeświadczenia, że trzeba będzie stoczyć wojnę z Hitlerem. Była to głęboka i trwała jedność; nie miała jednak wiele wspólnego z logiką, a jeszcze mniej z formalnymi mechanizmami demokracji, które tak gorliwie starał się zastosować nieszczęsny Baldwin.

Ciekawym zbiegiem okoliczności tempo oraz przebieg brytyjskich zbrojeń, choć kształtowane całkowicie przez przypadek, przybrały taką postać, że trudno byłoby marzyć o lepszej. Zupełnie jakby jakiś zapomniany angielski bożek pociągał nici zdarzeń. Cykle życiowe współczesnego uzbrojenia stawiają przed planistami delikatny problem wyboru właściwego momentu rozpoczęcia szeroko zakrojonych programów zbrojeń; nawet dziś nie rozumie się tych problemów zbyt dobrze, nie mówiąc już o latach trzydziestych. Gdyby Anglicy zaczęli gwałtowny program zbrojeń w chwili dojścia Hitlera do władzy, i tak nie zapobiegliby wybuchowi wojny, za to musieliby walczyć wyposażeni w ogromne ilości przestarzałego sprzętu. Francuzi, Włosi, Rosjanie, a nawet do pewnego stopnia Niemcy, mieli armie wyposażone w czołgi i samoloty, które w roku 1940 były już całkowicie przestarzałe. W przypadku Francji i Włoch ten

fakt odegrał rolę decydującą. Broń wyprodukowana w okresie bardzo ograniczonego programu zbrojeń z lat 1935–1937 była w momencie wybuchu wojny zasadniczo bezużyteczna. Jednym z owoców tego programu była baza w Singapurze, pierwotnie planowana na lata dwudzieste, której budowę odłożono jednak z przyczyn ekonomicznych. Fatalnie się złożyło, że w ogóle kiedykolwiek ją zbudowano, ponieważ można jej było bronić jedynie przy założeniu zdecydowanej przewagi na morzu i w powietrzu, której Anglicy już nie mieli; w efekcie stracili tylko dwie dodatkowe dywizje, które zostały w niej ulokowane. Podobnie sprzęt zdobyty przez Niemców w roku 1940 wraz z jeńcami wziętymi do niewoli złożyłby się na sporą armię. Jedną z konsekwencji opóźnień programu zbrojeń brytyjskich było zasadnicze przesunięcie priorytetów z ofensywnej na defensywną koncepcję strategii sił powietrznych. W roku 1934 poinformowano Baldwina, że nie sposób pokonać nowoczesnego bombowca; RAF miał zatem być siłą odstraszącą, odpowiadającą terrorem na terror. Gdyby Wielka Brytania rozpoczęła wtedy program gwałtownych zbrojeń, zbudowałaby po prostu więcej bombowców, które z racji swego ograniczonego zasięgu oraz prymitywnych urządzeń nawigacyjnych i celowniczych szybko straciłyby walor skutecznej broni strategicznej. Tymczasem w wyniku wspomnianych opóźnień obawa przed niemieckimi bombowcami doprowadziła do tego, że o wiele korzystniej zainwestowano środki w prace badawcze, które doprowadziły do wynalezienia radaru, a następnie, w miarę rozwoju myśli technicznej, w budowę szybkiego myśliwca oraz szkolenie pilotów w wyrafinowanych technikach obronnych. W ten sposób dzięki osobliwemu paradoksowi opóźnienie realizacji programu masowych zbrojeń umożliwiło Brytyjczykom zwycięstwo w wojnie powietrznej w roku 1940. Co więcej, dzięki opóźnieniom Wielka Brytania w sposób bardziej systematyczny i skuteczny przestawiła się na tory gospodarki wojennej niż Niemcy. W marcu 1938 roku rząd wyraził zgodę na to, by produkcja zbrojeniowa ingerowała w normalny bieg produkcji rynkowej, a Kongres Związków Zawodowych wyraził zgodę na zniesienie restrykcji dotyczących wykorzystania siły roboczej; w lutym 1939 roku zatwierdzono program produkcji samolotów „do granic” posiadanych możliwości [tj. bez oglądania się na koszty]. Wprowadzono wiele elementów planowania produkcji. Dzięki temu Wielka Brytania stworzyła elementy wojennego systemu priorytetów o wiele wcześniej niż Niemcy czy jakikolwiek inny kraj biorący udział w wojnie. We wrześniu 1939 roku Brytyjczycy produkowali więcej czołgów i samolotów niż Niemcy i wydawali na obronę większy procent produktu narodowego brutto. Były to środki, które – udoskonalane jeszcze w długim procesie ostrożnego dochodzenia do pełnej produkcji wojennej – okazały się wystarczające do tego, by zagwarantować Wielkiej Brytanii przetrwanie. Jednak Wielka Brytania nie mogła zrobić nic więcej. Pokonać Niemcy mogli jedynie nowe supermocarstwa

i tylko ich trwała obecność w Europie po roku 1945 mogła zapobiec ponownemu odrodzeniu się Niemiec. W istniejącej sytuacji brytyjski wkład do wysiłku wojennego był bardzo duży w stosunku do możliwości kraju. Wystarczył wprawdzie do tego, by zagwarantować jej miejsce przy stole zwycięzców, ale bardziej w roli widza niż uczestnika. Przypadła jej – mniejsza czy większa – chwała, ale niewiele owoców zwycięstwa. Znow miała masę zakumulowanych długów za oceanem, sprzedała niemal wszystkie płynne aktywa posiadane za granicą, straciła dwie trzecie rezerw złota, musiała uporać się z kłopotliwym bilansem płatniczym w kraju i niemal do szczytu zużyła zasoby swojego przemysłu. Była stara, zmęczona, chora i pozbawiona nadziei. Czterdzieści lat odgrywania roli kontynentalnego mocarstwa zniszczyło angielski sen o potędze (*hybris*). Karę za pychę (*nemezis*) wciąż miała jeszcze przed sobą.

Anglicy pozbyli się swojego imperium w sposób niemal równie chaotyczny i niesystematyczny jak je zdobyli. Patrząc z perspektywy lat siedemdziesiątych, można przedstawiać ten proces jako ćwierćwiecze konsekwentnej angielskiej polityki, stanowiącej realizację planu przekazania władzy lokalnym rządóm pochodzącym z wyboru i przejmującym odpowiedzialność za losy swego kraju w ramach elastycznej struktury Brytyjskiej Wspólnoty Narodów (British Commonwealth) – słowem: spełnienie wizji nakreślonej przez Johna Stuarta Milla w roku 1861. To prawda, że ponad 500 milionów byłych poddanych brytyjskich zdobyło wolność, na ogół bez użycia przemocy, i że nowe państwa, z wyjątkiem Birmy, postanowiły zachować konstytucyjne więzi z Wielką Brytanią. Korzeni idei Commonwealthu, podobnie jak niemal wszystkich angielskich instytucji, można naturalnie doszukiwać się gdzieś w dawnych czasach, nałożywszy strukturę historycznego rozwoju na serię przypadkowych, chaotycznych i często nie powiązanych ze sobą wydarzeń. W istocie jednak terminu „British Commonwealth” po raz pierwszy użył czołowy imperialista Rosebery z myślą o grupie państw zamieszkiwanych przez białą ludność anglojęzyczną, połączonych niezliczonymi podobieństwami instytucji i sposobu życia. Wielorasowy Commonwealth w dzisiejszej postaci stanowi efekt ewolucji, w której znaczącą rolę odgrywał przypadek jako następstwo rosnącej słabości Wielkiej Brytanii na arenie międzynarodowej. Trudno powiedzieć, by ktokolwiek planował jego rozwój. Podobnie jak Magna Charta, stanowi przykład starego angielskiego zamętu. Decydujące dla jego powstania były lata 1946–1947, gdy stan gospodarki brytyjskiej zmusił rząd premiera Attlee do przyspieszenia procesu przechodzenia Indii ku niezależności, co przybrało postać gwałtownego wycofania brytyjskich wojsk i administracji. Decyzja ta oznaczała nie tylko podział wielkiego subkontynentu indyjskiego na zasadach przynależności religijnej, co kłóciło się z całym nurtem oświeconej brytyjskiej polityki w przeszłości, ale oznaczała także stworzenie teokratycznego państwa muzułmańskiego podzielonego na dwie części

przedzielone tysiącami mil terytorium Indii – pewny przepis na przyszły dramat. Oznaczała także ewakuację sił brytyjskich z Birmy, gdzie proces kształtowania miejscowych elit zdolnych do odpowiedzialnego rządzenia krajem był jeszcze w stadium załążkowym. Wyzwolenie subkontynentu indyjskiego stanowiło zatem akt dojrzałości politycznej jedynie w tym sensie, że Wielka Brytania dobrowolnie podjęła decyzję, którą i tak musiałaby wkrótce podjąć pod presją wydarzeń, i uniknęła w ten sposób daremnego rozlewu krwi i niepotrzebnych wydatków. Jednak dziedzictwo, jakie po sobie zostawiła, nie przyniosło jej – ani wówczas, ani dziś – szczególnego powodu do chwały.

Przyjęcie Pakistanu i Indii do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów ustanowiło precedens, do którego mogły odwoływać się wszystkie byłe kolonie i terytoria zależne w procesie odzyskiwania niepodległości w ramach tej samej struktury. Jednak zdumiewająco niewiele wysiłku i myśli poświęcono temu, aby ten proces mógł przebiegać spokojniej i mniej chaotycznie. Co więcej, swobodny przepływ siły roboczej w ramach imperium i procesy kolonizacyjne sprawiły, że w wielu regionach ukształtowały się złożone, pluralistyczne społeczeństwa, co szalenie utrudniało przekazywanie władzy z zachowaniem zasad sprawiedliwości i w sposób gwarantujący stabilność powstających organizmów państwowych. Malajowie i Chińczycy w Singapurze, w Malezji i na Borneo, Murzyni i Indianie w Gujanie, Turcy i Grecy na Cyprze, Żydzi i Arabowie w Palestynie, Europejczycy, Hindusi i Afrykanie w Kenii, Europejczycy i Afrykanie w Rodezji – we wszystkich przypadkach obdarzenie pełną wolnością jednych było równoznaczne z odmówieniem jej innym. Do tego dochodziły inne komplikacje. W wielu rejonach Afryki, zwłaszcza na zachodnim wybrzeżu i w Afryce Środkowo-Wschodniej, arbitralnie i pośpiesznie wyznaczone granice kolonii całkowicie ignorowały miejscowe realia gospodarcze i geografie rozmieszczenia plemion; największe i najważniejsze z tych państw, Nigeria, było rozdarte przez różnice zarówno religijne, jak etniczne. I znów każdy program przekazywania władzy musiał z góry zakładać albo drastyczne niesprawiedliwości wobec mniejszości, albo tworzenie wysoce skomplikowanych i najprawdopodobniej nieskutecznych instytucji federacyjnych. Jednakże najistotniejszym problemem był fakt, że kolejne brytyjskie rządy nie były w stanie udzielić sobie odpowiedzi na pytanie, jaką rolę Wielka Brytania ma odgrywać w powstającej Wspólnocie Narodów i w świecie. Czy ma być jedynie tytularnym przywódcą, skoncentrowanym wyłącznie na swoich wyspiarskich problemach? Czy też centrum globalnego systemu finansów, handlu i wzajemnej obrony? Czy Commonwealth to tylko koda wybrzmiewającej melodii przeszłości, czy też załążek nowej? Czy Wielka Brytania ma być mocarstwem atlantyckim, europejskim czy światowym? Mocarstwem średniej wielkości czy też wielkim mocarstwem? Czy ma realizować swoją politykę za pośrednictwem Commonwealthu, Sojuszu

Atlantyckiego czy Organizacji Narodów Zjednoczonych – a może za pomocą wszystkich trzech równocześnie?

Z pewnością brytyjskim interesom narodowym najlepiej posłużyłoby, gdyby Anglicy wyciągnęli logiczne konsekwencje z tego, w jaki sposób uniezależniły się Indie, i po prostu wycofali się ze wszystkich kolonii tak szybko jak to tylko możliwe, przy uwzględnieniu realiów przekazywania władzy. Jednak Anglicy mieli ogromne kłopoty ze znalezieniem odpowiedzi na którekolwiek z pytań, jakie stawiało przed nimi rozpadające się imperium. Rozdzierały ich sprzeczne impulsy: chciwości, dumy, poczucia odpowiedzialności i wyczerpania. Wycofanie się z Indii usunęło kamień węgielny, wręcz rację bytu utrzymywania imperium „na wschód od Suez” wraz z siecią baz wojskowych. Jednak przypuszczalna konieczność zachowania środków bezpośredniej kontroli nad malajskimi zasobami kauczuku i cyny, a tym bardziej złożami ropy naftowej w rejonie Zatoki Perskiej, podsuwała pozorne racje przemawiające za ich utrzymaniem. Brytyjczycy uciekali się więc do doraźnych posunięć, często źle zaplanowanych, wzajemnie sprzecznych albo szybko zarzucanych, zanim zdołały przynieść spodziewane rezultaty. Tworzyli liczne federacje w Indiach Zachodnich, Nigerii, Afryce Wschodniej, Rodezji, Malezji i Adenie, po czym patrzyli, jak się rozpadają bądź utrzymują przy życiu za cenę rozlewu krwi i straszliwych niesprawiedliwości. Czasem po prostu porzucali odpowiedzialność i uciekali, jak w przypadku Palestyny, gdzie wierzyli, że prześladowacząc Żydów zdobędą przyjaźń Arabów*. Kiedy indziej uparcie trzymali się swej roli, jak na Cyprze, w przekonaniu, że ewakuacja przyspieszy wybuch wojny między wrogimi sobie społecznościami, która może przybrać wymiar międzynarodowy. W Afryce Wschodniej porzucili na pastwę niepewnego losu białych i Azjatów (podobnie jak wiele mniejszościowych plemion). W Południowej Rodezji [dziś Zimbabwe] porzucili Afrykanów i skazali ich na supremację białych. W Sudanie porzucili ludy doliny Nilu, narażając je na rasowe i religijne prześladowania ze strony Arabów. Wielka Brytania nie ruszyła palcem, żeby ochronić czarnych i kolorowych mieszkańców Afryki Południowej czy plemiona Afryki Południowo-Zachodniej albo chrześcijańską ludność Biafry; z drugiej strony wysłała oddziały wojska i policji, żeby chronić moralność malutkiej Anguilli. Brytyjczycy czasami walczyli, kiedy indziej kapitulowali; czasem robili jedno i drugie na przemian. W 1954 roku wynieśli się z rejonu Kanału Sueskiego, by po dwóch latach wrócić przemocą (w towarzystwie Francuzów i Izraelczyków – zdumiewające odwrócenie tradycyjnej brytyjskiej polityki wobec Arabów), po czym opuścili

* 17 czerwca 1948 roku Harold Nicolson zapisał w swoim dzienniku rozmowę z Ernestem Bevinem [ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych] w ambasadzie perskiej: „Nikt jakoś się nie kwapi, żeby mu powiedzieć, iż zasadniczo wcale nie bardziej opta się zachować przyjaźń 200 milionów Arabów niż 200 tysięcy Żydów, «nie wspominając o nafcie»”.

go równie szybko jak się tam znaleźli. Bronili rządów Jordanii i Kuwejtów przed ruchami wyrotowymi, a następnie postanowili wycofać się ze wszystkich swoich zobowiązań wojskowych w tym regionie. W Malezji toczyli udaną wojnę partyzancką, zaprowadzili niepodległość, stworzyli wielonarodową konfederację, która wkrótce upadła, po czym bronili jej członków przed Indonezją, by wreszcie dojść do wniosku, że z powodów finansowych ich obecność w tym regionie jest „niekonieczna”. Aresztowali narodowych przywódców, wtrącali ich do więzienia, uwalniali i przyjmowali z honorami. Planowali potężne systemy międzynarodowych sojuszy obronnych, inwestowali setki milionów w budowę baz wojskowych – na Cyprze, w Afryce Wschodniej, Adenie, Zatoce Perskiej, na Oceanie Indyjskim, w Azji Południowo-Wschodniej – po czym opuszczali je w pośpiechu, często zanim zakończono budowę.

Jednak pod koniec lat sześćdziesiątych gra była skończona. Wszystkie znaczące terytoria uzyskały niepodległość. Anglicy w znacznej mierze stracili zainteresowanie dla Commonwealthu. Torysi nigdy zresztą nie przejawiali zbyt dużego entuzjazmu dla wspólnoty wielorasowej i wielonarodowej, a zbliżenie z Europą prowadziło do gwałtownej dewaluacji ideałów Wspólnoty. Partia Pracy, bijąc się w piersi i ostentacyjnie ociągając, ruszyła w ślad za torysami. Fakt, że w roku 1971 Wielka Brytania nie przewodniczyła już *ex officio* Konferencji Wspólnoty i że odbyła się ona nie w Londynie, ale w Singapurze, stanowił widomy znak, że Anglicy wycofują wszystkie aktywa prócz szyldu. W rzeczywistości uznali wreszcie fakt, że Wielka Brytania już nie jest światowym mocarstwem. Jeszcze w roku 1965 Harold Wilson w mocnych słowach grzmiał, że granice brytyjskie wciąż przebiegają w Himalajach. Ale w roku 1968 zapadła ostateczna decyzja o odrzuceniu resztek polityki wschodniej (tego, co z niej zostało) i w roku 1971 rząd konserwatywny bez rozgłosu przyznał, że od tej decyzji nie ma odwrotu. Los się dopełnił. Anglicy ponownie znaleźli się w roli, jaką odgrywali w XVI wieku: stosunkowo zamożnego państwa średniej wielkości, leżącego niedaleko brzegów Europy kontynentalnej, ponownie pełnego niepewności, na czym polega istota jego związków z lądem, który z pewnym trudem można dostrzec ze skalistego brzegu w Dover.

Godny uwagi jest wszakże fakt, że to doświadczenie związane ze zdobyciem statusu wielkiego imperialnego mocarstwa, a następnie jego utratą – obejmujące niemal dokładnie sto lat angielskiej historii – pozostawiło niewiele śladów w życiu Anglików. Przez jakieś dwa dziesięciolecia pozwalali sobie na entuzjazm imperialistycznej gorączki, jednak nastroje opadły już w okresie wojny burskiej i całkowicie wyparowały przed rokiem 1918. W okresie międzywojennym Anglicy rządili jedną czwartą kuli ziemskiej bardziej z nawyku i szczątkowego poczucia obowiązku niż świadomego poczucia misji. Po roku 1945 głos opinii publicznej odgrywał niewielką rolę w procesie zwijania imperium.

Anglicy pozbyli się swoich ogromnych zamorskich posiadłości z obojętnością, której czasem towarzyszyło uczucie ulgi. Ministrowie, urzędnicy, gubernatorzy podejmowali decyzje – dobre, złe albo neutralne moralnie – niemal bez żadnych nacisków opinii publicznej. Wycofać się czy walczyć? Opuścić dane terytorium czy zostać? Anglicy niezbyt interesowali się tymi problemami. Od czasu do czasu opinia publiczna wybuchała gniewem, gdy terroryści zabijali brytyjskich żołnierzy; falę oburzenia wywołała wiadomość o straszliwej masakrze w Hola Camp w Kenii. Jednak szybko zapominano o takich epizodach. Jeśli w ogóle pojawiały się jakieś reakcje, słuszny gniew i samokrytyka na równi przemawiały za jeszcze szybszym wycofywaniem się z kolonii. Przez kilka tygodni źródłem prawdziwego dramatu stała się afera w Kanale Sueskim, która zrodziła głębokie podziały w angielskim społeczeństwie, przynajmniej gdy chodzi o klasy wyższe i średnie. Ale i ten epizod szybko poszedł w zapomnienie, nie wywierając żadnego wyraźnego wpływu na kurs polityki brytyjskiej. Kres istnienia imperium nie stał się tematem żadnych wyborów powszechnych, a nawet wyborów uzupełniających. Szaleństwa uchodziły bezkarnie, osiągnięcia obywateli się bez nagrody, nikt nie był winny tragicznego chaosu, jaki Anglicy pozostawili po sobie w Palestynie – choć jego konsekwencje świat przeżywa do dziś. Nikogo nie nagrodzono za błyskotliwe operacje na Borneo, jedną z najładziej udanych kampanii w dziejach brytyjskiej wojskowości. Czasami trudno było doprawdy rozróżnić bohaterów i łotrów. Jednego dnia brytyjska opinia publiczna dowiadywała się, że Jomo Kenyatta to „książę ciemności i śmierci”, a następnego, że to starszy, łagodny mąż stanu, strażnik i chluba kenijskiej cywilizacji. Nkrumah przekształcał się z buntownika i skazańca w wyzwoliciela i sojusznika, z tyrańca i ciemniźcy w wygnańca, przy czym wszystkie przemiany docierały do szerokich rzesz Anglików bez wyjaśnień i komentarzy. Arcybiskup Makarios niemal z dnia na dzień z mrocznej postaci lewantyńskiego prałata, pociągającego nici zbrodniczych spisków, zmienił się w filar Commonwealthu i wybitnego polityka przyjmowanego z honorami przez królową. Sceny rozgrywały się jedna za drugą, aktorzy zmieniali się rolami, raz po raz padały znajome frazy, angielska publiczność siedziała w milczeniu, w końcu ziewając z nudów. W roku 1968 rząd mógł z uzasadnioną dumą podać do wiadomości, że w ciągu minionego roku po raz pierwszy w dziejach, być może odkąd istnieją źródła pisane, żaden brytyjski żołnierz nie zginął w czasie służby w żadnym miejscu na kuli ziemskiej. Była to radosna wiadomość, ale jej jedynym namacalnym rezultatem był wyraźny spadek liczby chętnych do służby w armii. Tylko w jednym przypadku Anglicy wykazali zdecydowane i złowrogie zainteresowanie sprawami Commonwealthu: pod presją społeczeństwa politycy zostali zmuszeni położyć kres prawu swobodnego wjazdu do Wielkiej Brytanii, przysługującemu obywatelom krajów Wspólnoty. Był to najdalej idący wyraz społecznego mandatu na rzecz rozwiązania imperium.

Doprawdy, Anglicy pozostali uderzająco niewrażliwi na wszystko, co w czasie tego straszliwego stulecia działo się poza ich wyspą. Zapłacili wysoką cenę, w sensie strat materialnych i ludzkich, za swoją interwencję w sprawy Europy kontynentalnej, a jednak dwie wojny światowe, zdobycie i utrata ogromnych terytoriów wywierały niewielki wpływ na proces nieustannego rozwoju ich własnych instytucji, powolną, niemal niedostrzegalną ewolucję sposobu życia i postaw. W czasie tych stu lat rozpadły się imperia tureckie i austriackie, Rosja, Niemcy, Francja i Chiny przeżyły inwazje i rewolucje, fundamentalne zamachy na całą strukturę istniejącego społeczeństwa, zmiany ustroju, praw i statusu, Japonia stała się ofiarą ataku nuklearnego, długotrwałej okupacji, politycznego eksperymentu. Całe narody rodziły się i znikwały ze sceny dziejów; nawet Stany Zjednoczone, odgródzone bezpiecznie od świata dwoma największymi oceanami, doświadczały wstrząsów wewnętrznych wywołanych zaangażowaniem się w wydarzenia poza swymi granicami. Anglicy bardzo rygorystycznie dbali o to, by ich kontakty z innymi narodami nie miały większego wpływu na bieg życia na wyspie. Zdołali kontynuować rozwój w ścisłej zgodzie z własnymi tradycjami. Wielka Brytania pozostaje najbardziej stabilnym krajem na świecie, absorbującym zmiany w ramach niewzruszonej struktury ciągłości.

Najbardziej stabilny kraj na świecie. A jednak ta historia ma również swoją mroczną stronę. Anglicy, z rzadką konsekwencją, w całych swych dziejach wybierali stabilność, zawsze jednak musieli płacić za nią wysoką cenę – w postaci stłumienia energii, wyparcia się swego naturalnego geniuszu, frustracji dynamicznych sił w łonie społeczeństwa, w postaci zawiedzionych nadziei i zmarnowanych szans. W ciągu półwiecza jakie upłynęło, odkąd pierwsza wojna światowa roztrzaskała starą skorupę życia, Anglicy ostrożnie i z rozwagą przebrnęli przez wszystkie zawirowania czasów zmiany, zarazem jednak ściągęli na siebie wszystkie kary, jakie spadają na tych, którzy zaniedbują inwestowania własnej energii w ryzykowne przedsięwzięcia, dziejowe przygody i eksperymenty.

Pierwsza wojna światowa obudziła nie tylko straszliwe zmyry, ale także marzenia o sprawiedliwości. W efemerycznej literaturze tego okresu daje o sobie znać powszechne przekonanie, że Wielka Brytania znajduje się u progu szybkich, wspaniałych przemian, których żadna siła wewnętrzna nie będzie w stanie powstrzymać, a nawet opóźnić. Brzmiała w tym nuta nastrojów z lat czterdziestych XVII wieku, gdy Anglicy „długo żyli w krótkim czasie” – gorączkowe pragnienie otwarcia się na przyszłość. Pewien obserwator pisał w roku 1916: „Żyjemy w czasie, gdy dni i tygodnie mają pełnię oraz znaczenie lat i dziesięcioleci”. „To straszliwe monstrum, Tradycja, leży powalone w pył” – pisał inny. „Są pewne wielkie wydarzenia historyczne, jak protestancka reformacja czy rewolucja francuska, które na dobre zmieniają losy ludzkości. Wojna była jednym z takich wydarzeń o dalekosiężnych konsekwencjach”. Ten komentarz pochodził z roku 1920.

A jednak w decydującym momencie Anglicy znów odmówili, jak tylekroć w przeszłości, sławnego „skoku w ciemność”. W roku 1916 w akcie desperacji porzucili liberalizm, sięgając, w poszukiwaniu środków przetrwania, po wszelkie dostępne instrumenty państwowego zarządzania gospodarką. Eksperyment przyniósł owoce: stworzona przez Lloyd'a George'a gospodarka wojenna pozwoliła wytrwać Wielkiej Brytanii podczas decydujących momentów zmagañ w roku 1918, które ostatecznie złamały wolę i dyscyplinę zarówno społeczeństwa, jak i armii niemieckiej. Jednak pokój Anglicy poddali bez walki. „Wojna – czytamy w raporcie gabinetu – przyniosła transformację społecznej i administracyjnej struktury państwa, zmiany, których większość ma charakter trwały”. Pozostawało jednak pytanie: jak wiele z nich? Błąd, jaki wówczas popełniono, polegał na tym, że zdecydowano się na zbyt mało. Ludzie, którzy dzięki swej wytrwałości i poświęceniom wygrali wojnę, nie mieli większego wpływu na podjęte decyzje: praktycznie tylko jeden na czterech miał prawo głosu w wyborach w roku 1918. Wybrany wówczas Parlament odzwierciedlał więc nie tyle szczere pragnienie, by zacząć na nowo, ile przemożną chęć wskrzeszenia utraconego świata sprzed wojny – świata, który przez zniekształcającą perspektywę Armageddonu jawił się jako raj utracony.

Naturalnie, tego świata nie można już było przywrócić do życia. W jego miejsce wyłonił się więc pełen sprzeczności, niezborny amalgamat liberalizmu i państwowej kontroli: nad gospodarką. Krótki *boom* lat powojennych cechowała istna orgia pozbywania się przez państwo narzędzi kontroli, czyszczenie pola dla niczym nie ograniczonej swobodnej inicjatywy i przedsiębiorczości. Zmarnowano w ten sposób szansę znacjonalizowania kopalń – największego, najstarszego i najbardziej najeżonego konfliktami sektora brytyjskiego przemysłu. Prowadzone za pośrednictwem państwowych instytucji negocjacje między stronami konfliktu w przemyśle wydobywczym zakończyły się fiaskiem. Gospodarcze postanowienia traktatu wersalskiego na długo zahamowały możliwość trwalszego odrodzenia się światowego handlu, którego obroty, po licznych wahaniami, ustabilizowały się znacznie poniżej poziomu przedwojennego. Ceny wzrosły trzykrotnie w porównaniu z rokiem 1914; wysokie zarobki z czasów wojny zaczęły spadać. Wojna pobudziła, a nawet stworzyła nowe gałęzie przemysłu: silników spalinowych, urządzeń elektrycznych, wyrobów chemicznych; rząd, zamiast wspierać ich rozwój, koncentrował się na bezowocnych próbach ożywienia starych gałęzi, znajdujących się w stanie nieuchronnego upadku. Polityka finansowa i oszczędnościowa pogarszała jeszcze sytuację. Prowadzono politykę deflacyjną za pomocą szkodliwych cięć w wydatkach publicznych i wysokiej stopy procentowej. Podnosiło to jednostkowe koszty brytyjskich towarów eksportowych, udaremniając tym samym wysiłki przemysłu dążącego do utrzymania udziału Brytyjczyków w kurczącym się rynku światowym. Jeden z filarów dawnej gospodarki międzynarodowej, swobodny przepływ towarów,

upadł w efekcie wojen celnych poprzedzających epokę imperializmu. Inny – swobodny przepływ sił roboczej – padł w roku 1914. Brytyjski establishment finansowy i gospodarczy usiłował ślepo podtrzymywać trzeci i ostatni – swobodny przepływ pieniądza, wracając do parytetu złota jako podstawy angielskiego pieniądza. Efekt netto tej polityki – wzrost kursu funta szterlinga, sprzeczny z łatwo obserwowalnymi wynikami brytyjskiej gospodarki – prowadził jedynie do dalszego podrożenia brytyjskiego eksportu. W tej sytuacji właściciele kopalń i fabryk czuli się zmuszeni do obcinania płac i przedłużania czasu pracy, co naturalnie wywoływało rozpaczliwe reakcje obronne ze strony proletariatu.

Świadomość brytyjskich rządów zdominowana była jednak przez paralele z następstwami wojen napoleońskich. Był to jedyny historyczny przewodnik, jaki mieli do dyspozycji, studiowali go więc gorliwie, ale, naturalnie, analogie były fałszywe. Nie potrafili zredukować bezrobocia, nie wiedzieli, jak ograniczyć inflację czy pobudzić produkcję przemysłu. W tym zmiennym świecie jedynym pewnym punktem odniesienia wydawało im się złoto, czcili je więc jak bożka w nadziei na cud. W grudniu 1914 roku J. M. Keynes z radością witał cios, jaki wojna zadała idei nie kontrolowanego międzynarodowego systemu monetarnego. „Jeśli okaże się, że w następstwie toczących się walk złoto zostanie strącone z tronu, z którego despotycznie nami rządzi, i zredukowane do roli konstytucyjnego monarchy, w dziejach świata otworzy się nowy rozdział. Człowiek uczyni kolejny krok naprzód w dziele zdobywania niezawisłości, władzy kierowania swoim losem w zgodzie z własnymi pragnieniami”. Jednak niczego się nie nauczono, niczego nie zapomniano. Złoto, niczym Burbonowie, z powrotem wróciło na tron. A do roku 1936, kiedy to Keynes był w stanie sformułować swój ogólny przepis na to, jak uwolnić się od katastrofy, złoto zdążyło już wcześniej upaść pod własnym ciężarem w katastrofie roku 1931. Przygotowując nowe wydanie *Sagi Rodu Forsyte'ów*, John Galsworthy zauważył w roku 1929: „Wszystko jest dziś względne, nie sposób dłużej pokładać absolutnej wiary w Boga, Wolnym Handlu, Małżeństwie, Papierach konsolidacyjnych [Funduszu Konsolidacyjnego], Węgla czy Kaście”. Problem polegał jednak na tym, że te i inne starożytne bożki przetrwały kryzys, zachowując dość sił, by udaremnić jakąkolwiek zmianę sposobu myślenia. Jak sama Wielka Brytania, kulejąc szły naprzód: wciąż trzymając się na nogach i wciąż starając się dyktować bieg wypadków.

Podobnie jak w okresie ponapoleońskim, ministrowie mylnie zinterpretowali następstwa własnej polityki gospodarczej jako znak, że część klasy robotniczej dąży do wojny klasowej i zniszczenia społeczeństwa. Tak działo się za granicą, mogło więc zdarzyć się i w Wielkiej Brytanii. Ich zachowanie do złudzenia przypominało paniczne kroki Sidmoutha, Castlereagha i Liverpoola. Jeszcze raz angielska klasa robotnicza została uznana za winną na mocy skojarzenia z zagranicznymi wzorcami. Robotnicy, podobnie jak w 1815 roku, chcieli

jedynie zachować swoje, bardzo przecież skromne, zdobycze z czasu wojny. Podobnie jak w 1815 roku, przypisano im czołową rolę w międzynarodowym spisku przeciw własności. Rząd Asquitha z powodzeniem radził sobie z podobnymi konfliktami w przemyśle przed wojną, w minimalnym stopniu uciekając się do użycia siły. Jednak ludzie, którzy poprowadzili Anglię na wojenną rzeź, stracili wiarę w sens metod liberalnych, a nawet w niezwykłą dyscyplinę, powściągliwość i zdrowy rozsądek angielskiego społeczeństwa. Rozumowali wyłącznie w kategoriach przemocy i użycia broni; to oni więc, a nie robotnicy, planowali wojnę klasową. Gdy czyta się zapisy niektórych rozmów ministrów, zachowane w dokumentach gabinetu i dziennikach Toma Jonesa, włosy stają na głowie: odzwierciedlają historyczny fatalizm, który, na szczęście, w ogóle nie dochodził do głosu w obozie robotników. Posłuchajmy na przykład Lloyda George'a:

Nie możemy ryzykować z robotnikami. Jeśli sobie na to pozwolimy, natychmiast stworzymy wroga we własnym kraju, i to wroga, który będzie lepiej wyposażony w niebezpieczną broń niż Niemcy. Mamy w kraju trzy miliony mężczyzn wyszkolonych w posługiwaniu się bronią oraz mnóstwo karabinów i amunicji.

Jeśli nawet Lloyd George mógł do tego stopnia stracić głowę, cóż mówić o innych. Churchill: „musi dojść do konfliktu, który oczyści atmosferę [...] postępując z początku delikatnie, powinniśmy uzyskać potrzebne nam poparcie narodu, a wtedy bardziej efektywnie można będzie wykorzystać oddziały wojska”. W styczniu 1919 roku bez wyraźnego powodu zgromadzono w Glasgow czołgi, wojsko i karabiny maszynowe. Czołgi wyszły na ulice także w Liverpoolu, na Mersey zakotwiczył okręt wojenny utrzymywany stale pod parą, w pełnej gotowości. Rozpoczęto rekrutację „lojalnych byłych żołnierzy” do Oddziałów Obronnych (Defence Units) w sile 70 tysięcy ludzi*. Na posiedzenia rządu wzywano generałów; ministrowie z drżeniem rąk przesuwali po stole dywizje, jak gdyby jeszcze raz toczyli bitwę nad Sommą. Austen Chamberlain: „Stoimy w obliczu sytuacji, która może wymagać użycia wszystkich naszych sił. Jestem zdecydowanie za tym, by utrzymać raczej brytyjskie okręgi węglowe niż te na Śląsku”. Lord Birkenhead: „Powinniśmy bez zwłoki zdecydować, wokół jakich sił mogą się skupić lojaliści. Nie powinniśmy dać się ustrzelić bez walki”. Ten par był najważniejszą osobistością w angielskim systemie sądowym, oficjalnym strażnikiem Królewskiego Sumienia. Podczas publicznego mitingu wrzeszczał na przeszkadzających mu krzykaczy: „Wyjcie dalej, moskiewskie wilki! Poderżniemy wam wasze białe, miękkie gardła!”.

* Pod nadzorem ministra Toma Jonesa, zwanego „sir Hindenberg Geddes”. Publiczne pieniądze wykorzystywano także do przekupywania gazet, zwłaszcza w Szkocji; Thomas Jones, *Whitehall Diary*, I, 1916-25, London 1969, s.139.

Oczywiście, strajk generalny, gdy wreszcie nadszedł, stanowił przykład staromodnego angielskiego przesilenia – zaprzeczenie decydującego starcia. Jak można się było spodziewać (i co potwierdziłoby nawet pobieżne spojrzenie na angielską historię), ani robotnicy, ani ich przywódcy nie mieli najmniejszego zamiaru wszczynać rewolucji. Nie chcieli obejmować władzy w państwie. Chcieli utrzymać swoje obecne płace albo wyrazić solidarność z tymi, którym groziły redukcje zarobków. Komunista Willy Gallacher z żalem wspominał potem: „Urządzaliśmy strajk, kiedy powinniśmy byli robić rewolucję”. Jednak Gallacher mylił się zasadniczo. Nie było szans na „robienie rewolucji”. Gazetka strajkujących, „British Worker”, precyzyjnie wyłożyła ich stanowisko: „Rada Generalna nie występuje przeciw konstytucji”. Wszczyna jedynie „spór przemysłowy [...] nie ma mowy o kryzysie konstytucyjnym”. Rządowy aparat represji okazał się zbędny. Strajkujący grali z policjantami w piłkę nożną – nie mieli nic lepszego do roboty. Armie gotowych do walki entuzjastów z klasy średniej zwerbowane przez obie strony, okazały się bezużyteczne*. Podobnie jak w czasie buntu chłopskiego w XIV wieku, angielscy robotnicy pragnęli spełnienia pewnej pradawnej, wyidealizowanej normy sprawiedliwości społecznej: zademonstrowali swoją solidarność, po czym rozeszli się, pozostawiając władzom kwestię naprawy dojmujących niesprawiedliwości. Jak ujął to [pierwszy premier laburzystowski] Ramsay Macdonald: „Gdyby tę wspaniałą jedność ze strajku [...] zademonstrować w polityce, Partia Pracy mogłaby rozwiązać problemy górnictwa i inne podobne kwestie za pomocą urn wyborczych”. Podobnie myślał Baldwin; gdy strajk dobiegł końca, pragnął jak najszybciej zredukować napięcia społeczne i zachęcić laburzystów do pokojowego przejęcia władzy, choć – naturalnie – „nie za mojej kadencji, o Panie”.

Czy Partia Pracy mogła jednak stać się narzędziem rewolucji gospodarczej i społecznej realizowanej za pośrednictwem procesów parlamentarnych? Czy była w stanie przeprowadzić naród przez kolejny próg, podobny do tego z roku 1832? Partia Pracy była częściowo spadkobiercą Partii Liberalnej – ofiary wielkiej wojny, która zniszczyła liberalizm jako dynamiczną siłę polityczną. Jednak pod każdym istotnym względem Partia Pracy stanowiła przykład typowo angielskiego zamętu – siły, która potrafi coś osiągnąć jedynie przypadkiem. Część jej

* Evelyn Waugh, najdokładniejszy kronikarz lat 1920–1950 w angielskiej prozie, jak zwykle nieomylnie oddaje dominujący nastrój: „Tego wieczoru jedliśmy kolację w Café Royal. Atmosfera była tam nieco bardziej wojownicza, w kawiarni bowiem było pełno studentów, którzy postanowili wstąpić do National Service. Jedna grupa, z Cambridge, podjęła się właśnie tego popołudnia roznoszenia wiadomości dla Transport House, przy sąsiednim zaś stole zasiadła druga, której członkowie zaciągnęli się jako specjalni konstable. Raz po raz jedni albo drudzy rzucali przez ramię prowokacyjne okrzyki, trudno jednak wdać się w poważny konflikt, gdy siedzi się do siebie plecami, wszystko więc skończyło się na stawianiu sobie wzajem wysokich szklanic piwa”. – *Brideshead Revisited*, ks. I, rozdz. VIII.

członków stanowili socjaldemokraci oddający się jakiejś rozwodnionej wersji kontynentalnego socjalizmu. Inną grupę stanowili robotnicy-liberałowie, których dzieje odzwierciedlały losy robotniczych członków Partii Liberalnej (*Lib-Labs*), którym wyznaczono rolę służby na uczie partii Asquitha. Jedynym znaczącym elementem partii był ruch związkowy, ale i on był rozdarty między syndykalizm wrogi metodom polityki partyjnej oraz zwolenników wykorzystania Parlamentu do osiągnięcia celów klasy robotniczej. W roku 1918 Partia Pracy przyjęła socjalistyczną konstytucję, w którą sama nie wierzyła i której nigdy nie próbowała realizować; zarazem jednak wszelkie dążenia do jej rewizji czy sprzeciwu wobec niej uważała za zdradę. Laburzyści zdecydowanie odrzucali metody rewolucyjne, ale równocześnie odrzucali sojusz z bardziej liberalnie nastawionymi zwolennikami kapitalizmu. W ten sposób pozbawiali się jednak wszelkich szans na stworzenie konsensu wyborczego, który poprzednio dawał większość parlamentarną rządów liberalnym. Partia Pracy była skazana albo na pozostawanie w opozycji, albo na formowanie rządów mniejszościowych. Brakowało jej głosów wyborczych, by móc realizować socjalistyczny program gospodarczy i społeczny, a równocześnie (ze względu na brak otwarcia na ludzi spoza swojego obozu) umiejętności zarządzania kapitalistyczną gospodarką. W tej sytuacji, przejmując władzę, godziła się albo na dominację zawodowych urzędników aparatu państwowego, albo na ryzyko prowokowania katastrof; w roku 1931 zdołała nawet połączyć jedno z drugim. Wśród jej przywódców byli i tacy, którzy ignorowali społeczne hierarchie, i tacy, którzy sami do nich aspirowali. Laburzyści uciekali się do wyszukanych, wręcz dzikich sposobów, żeby odseparować się od ruchu komunistycznego, ale równocześnie upowszechniali swoje szalone iluzje na temat Związku Radzieckiego, wystawiając się tym samym na paniczne ataki ksenofobów. Jak na partię, która z nabożną czcią wielbiła fetysz dyskusji wewnętrznej i niezliczone godziny poświęcała na wypracowanie swego programu, jej osiągnięcia legislacyjne w okresie międzywojennym są uderzająco skromne; praktycznie sprowadzają się do *Housing Act* Johna Wheatleya z roku 1924. Jednakże w łonie Partii Pracy nie było zgody co do tego, czym właściwie miałyby się zajmować po objęciu władzy. Uczyc się jej sprawowania? Czy też po prostu wykorzystywać fakt posiadania władzy? Gdy w roku 1924 powstawał pierwszy rząd laburzystowski, David Kirkwood z radością notował: „Biskupi, finansisci, prawnicy i wszyscy wytworni pasożyci żerujący na klasie robotniczej wiedzą już, że to początek końca”. Jednak Macdonald poprosił kolegów z gabinetu, żeby kupili albo wypożyczyli dworskie stroje wieczorowe i sam nosił swój przy każdej możliwej okazji. To jeden z wielu przykładów całkowitego pomieszania celów. Laburzyści za swoje niepowodzenia obwiniali spiski albo „szantaż bankierów”, w istocie padli ofiarą własnej ignorancji, niezdecydowania, wewnętrznych podziałów i tchórzostwa. Najgorszy moment w ich dziejach nastąpił wcale nie w listopadzie 1931 roku wraz z żalosną porażką na rzecz Rządu

Narodowego, ale trzy miesiące wcześniej, w sierpniu, gdy laburzystowscy ministrowie nie zdawali sobie sprawy i nie wpadli na pomysł, że mogą uwolnić Wielką Brytanię od terroru parytetu złota. Przywódcy tej klasy mogą spodziewać się tylko jednego werdyktu wyborców. W latach trzydziestych nie było jednak dużo lepiej: nierealistycznym postawom wobec Niemiec towarzyszyła niezdolność do wypracowania polityki złagodzenia bezrobocia, wykraczającej poza poziom zwykłych sloganów. Partia Pracy zdecydowanie przegrała wybory w roku 1935; także w roku 1940 miała niewielkie szanse, by poprawić ten rezultat. Odpowiedzialność za stracone dekady lat dwudziestych i trzydziestych spada nie tylko na konserwatywną klasę rządzącą, ale także na robotniczą opozycję, która dowiodła, że jest równie niezdolna do rządzenia. Nie ma się czemu dziwić. Naród, który godzi się na śmierć najlepszej części swego młodego pokolenia, nie może oczekiwać cudów od tych, którzy przeżyli.

A jednak Anglikom udało się osiągnąć pewien postęp, we właściwym im, powolnym, denerwującym tempie. Lekcja lat trzydziestych nie poszła całkiem na marne. Gdy zarzucono w końcu idee wolnego handlu [w 1932 r.], brytyjski przemysł stał się zdecydowanie bardziej efektywny, proces koncentracji objął wiele małych i średnich firm, a nauka i technika zajęły bardziej znaczącą pozycję w działaniach systemu edukacyjnego, przemysłu i rządu. Powoli odwrócono kierunek polityki gospodarczej z lat dwudziestych. Także powoli, w miarę jak nowe pokolenie obejmowało kluczowe stanowiska, zaczął kształtować się nowy konsens – dzieło głównie ludzi z klasy średniej, nie związanych z polityką partyjną – dotyczący idei aktywnej polityki państwa na rzecz wprowadzania elementów sprawiedliwości społecznej. Na przykład w lipcu 1935 roku Liberty and Democratic Leadership Group przedstawiła pięcioletni plan działań legislacyjnych, w ramach jednej kadencji parlamentarnej, przewidujący upaństwowienie transportu, energetyki, Banku Anglii, kopalń i zakładów zbrojeniowych, a także subwencjonowanie żywności, tanie mleko dla dzieci, przymusową edukację do lat 16 i uzupełniającą do lat 18 oraz ostro progresywną skalę podatku dochodowego. Dwa lata później dodano narodową służbę zdrowia – jej ideę po raz pierwszy rozważano w Anglii w latach czterdziestych XVII wieku. Grupa twierdziła, że stara dychotomia między „kapitalistycznym systemem wolnej konkurencji a systemem państwowej własności, kontroli i zarządzania” jest „całkowicie poza dyskusją [...]. Albowiem jest rzeczą jasną, że faktycznie istniejący system, tak czy inaczej, przez wiele najbliższych lat będzie miał charakter mieszany”.

Ten ruch na rzecz reform nabrał impetu nie tyle z powodu wybuchu wojny przeciw Hitlerowi, co dramatycznego położenia narodu w latach 1940–1941. Jedność, którą Anglicy wówczas znaleźli, zrodziła nie tylko siłę wojennego oporu pod wodzą Churchilla, ale także potężne pragnienie sprawiedliwości społecznej oraz gorączkowe poszukiwania praktycznych środków, które mogły

ją zagwarantować. Zupełnie jakby rząd podpisał umowę społeczną z narodem: dążeniu do zwycięstwa musi *pari passu* towarzyszyć proces tworzenia społeczeństwa równości, ustępujący pod względem priorytetów jedynie absolutnym koniecznościom nakładanym przez wysiłek wojenny. Machina uruchomiona w celu zwycięstwa w wojnie stanowiła zarazem gospodarczy instrument państwa dobrobytu. Budżet na rok 1941, oparty na teoretycznych ideach Keynesa przedstawionych w pracy *How to Pay for the War* (1940), po raz pierwszy zbudowano przy uwzględnieniu dochodów społeczeństwa jako całości, organizując całkowite zasoby finansowe państwa tak, aby zagwarantować realizację priorytetowych zadań ustalonych na podstawie określonych decyzji politycznych. Biała Księga *Employment Policy* (1943–1944) zaakceptowała fakt, że należy utrzymać „wysoki i stabilny poziom zatrudnienia”, nawet gdyby pociągało to za sobą zagrożenie tradycyjnych celów polityki rządu, takich jak utrzymanie paritetu złota jako podstawy funta szterlinga. Racjonowanie artykułów konsumpcyjnych i podatki wojenne gwarantowały równość w sferze spożycia, a National Service i państwowe zarządzanie siłą roboczą – sprawiedliwe rozłożenie obciążeń. Emergency Hospital Service stanowiła zapowiedź systemu publicznej ochrony zdrowia. Pod koniec roku 1942 sir William Beveridge przedstawił projekt narodowego systemu ubezpieczeń zdrowotnych, daleko wykraczający poza mandat, jaki otrzymał od rządu, nawołujący do zasadniczych reform nie tylko w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, ale także ochrony zdrowia, edukacji, mieszkalnictwa i rynku pracy. W rezultacie powstał zarys systemu przyszłego państwa dobrobytu, a entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotkał się ze strony opinii publicznej, poparcie ze strony Partii Pracy oraz nieufność, a nawet wrogość, jakie wzbudził w kręgach konserwatywnych, wskazywały na przyszłe zwycięstwo wyborcze laburzystów w roku 1945. Społeczeństwo słusznie oceniło, że Partia Pracy daje większe gwarancje wypełnienia kontraktu społecznego niż jej oponenci. Jednak idee leżące u podłoża państwa dobrobytu, program, a nawet szczegółowe rozwiązania legislacyjne, które były jego wyrazem, stanowiły zasadniczo owoc ogólnonarodowego konsensu, z którego polityczne korzyści przypadły Partii Pracy. Zdana na własne możliwości Partia Pracy nigdy jakoś nie okazała się skutecznym narzędziem radykalnych zmian społecznych, a nawet trwalszego reformizmu.

W istocie nawet wyposażona w program i dysponująca społecznym poparciem dla jego realizacji, Partia Pracy jako partia rządząca wykazała pewne charakterystyczne słabości. Choć w teorii akceptowała uniwersalistyczne zasady społeczeństwa dobrobytu, w praktyce je zignorowała, pozostawiając poważne wyrwy w konstrukcji państwa dobrobytu, ochoczo poszerzane przez kolejne rządy torysów. Laburzystowskim ministrom zabrakło siły woli, by zasadam państwowej służby zdrowia podporządkować całą profesję medyczną, a nawet by zreformować jej strukturę. Dopuszczono istnienie prywatnej praktyki me-

dycznej, prywatnych łóżek szpitalnych i prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych. W ten sposób powstały jednak dwa sektory publicznej służby zdrowia, a dysproporcję między opieką medyczną dostępną dla bogatych i biednych pogłębił jeszcze fakt, że nie zdołano doprowadzić do powstania większej liczby szpitali oraz wykształcenia większej liczby lekarzy. To dość zdumiewające, ale lekarze w obawie przed wzrostem konkurencji w zawodzie zdołali nakłonić laburzystowskich ministrów do zmniejszenia liczby studentów medycyny o 10%, wskutek czego liczba absolwentów medycyny zmalała z 14 174 w latach 1949–1950 do 12 937 w latach 1956–1957. W roku 1951 Partia Pracy sama odstąpiła od zasady, że składki na fundusz emerytalny wnosi pracodawca, i nie przywróciła jej, gdy ponownie znalazła się u władzy trzynaście lat później.

Na znacznie szerszym froncie Partia Pracy także wycofała się u progu zmian strukturalnych. System podatkowy okresu wojny prowadził do redystrybucji dochodów; w rezultacie ściągał jednak skutki nierówności, nie dotycząc jego źródeł. Nie poczyniono żadnych kroków, aby ściągnąć za pomocą podatków dochody, a nawet zyski z operacji kapitałowych w okresie wielkiej prosperity lat pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych. W sumie efekt netto gospodarczej polityki laburzystów sprzyjał wzrostowi nierówności. Podczas wojny partia przewidywała, że będzie musiała uporać się ze wzrostem bezrobocia do 8%; jednak po wojnie utrzymano pełne zatrudnienie z powodów, których nikt nie był w stanie do końca zrozumieć, toteż zamiast bezrobocia Partia Pracy musiała stanąć wobec kłopotliwego problemu inflacji, na który nie potrafiła znaleźć – ani w teorii, ani w praktyce – żadnego remedium. Aktywiści Partii Pracy usiłowali bronić inflacji jako formy redystrybucji dochodu, z której zorganizowana klasa robotnicza miała odnieść korzyści. W rzeczywistości jednak ofiarami inflacji byli biedni – korzyści przypadły bogatym; laburzystowska polityka restrykcji nałożonych na dywidendy przyspieszyła wzrost inflacji, prowadząc do wysokiego wzrostu wartości akcji, którymi obrót pozostał, oczywiście, całkowicie nie opodatkowany; w dodatku nie zdołano stworzyć żadnego skutecznego systemu opodatkowania wzrostu ceny ziemi, generowanego i podtrzymywanego przez inflację. Efektem takiej polityki był osobliwy fakt, że w całym okresie powojennym obserwujemy stały i pod pewnymi względami spektakularny wzrost potęgi i władzy klas posiadających. Poziom zarobków ludzi pracy najemnej, jeśli mieli szczęście, dotrzymywał kroku inflacji bądź nieco ją wyprzedzał; jednak prawdziwy wzrost bogactwa i realnych dochodów był udziałem posiadaczy różnych form własności. Laburzyści znacjonalizowali deficytowe gałęzie gospodarki, przepłacając w formie rekompensat ich realną wartość dotychczasowym posiadaczom; pozostawili jednak nietknięte *commanding heights* i dobrze prosperujące sektory. Wszystko, co klasa robotnicza zdobyła w okresie ćwierćwiecza boomu gospodarczego, to iluzja dostatku w postaci dóbr trwałego użytku, ale i one znalazły się poza zasięgiem około jednej piątej populacji. Prawdziwe

bogactwo pozostało z grubsza w tych samych rękach*. Do pewnego stopnia Partia Pracy zdawała sobie sprawę z tej sytuacji, o czym świadczą jej hasła z kampanii wyborczej w roku 1964: jej liderzy mówili o polityce, która nagradzałaby „tych, którzy zarabiają pieniądze, a nie tych, którzy je robią”. Jednak nie potrafiła przełożyć tego rozróżnienia na realistyczne posunięcia w polityce gospodarczej. W istocie w drugim okresie powojennych rządów laburzystów rozdział między bogatymi a biednymi, który poszerzył się znacznie w czasie trzynastu lat rządów torysów, rósł w jeszcze szybszym tempie.

Jedną z podstawowych przyczyn sprawiających, że Partia Pracy nie potrafiła w sposób bardziej radykalny zwiększyć udziału społeczeństwa w korzyściach płynących z gospodarczej prosperity, było niedocenianie konieczności zreformowania systemu edukacji. Jak widzieliśmy, sprawa szkolnictwa stanowiła największą porażkę ruchu na rzecz reform w dziewiętnastowiecznej Anglii. Ta sama sytuacja powtórzyła się w wieku XX. Brougham już w roku 1810 dowodził konieczności istnienia państwowego systemu szkolnictwa ogólnego. Anglicy nie stworzyli go do dziś. Do roku 1900 szkolnictwo podstawowe objęło wszystkie dzieci, ale tylko niewielka część dzieci robotników chodziła do szkół średnich i praktycznie żadne z nich nie kontynuowało nauki na studiach wyższych. W roku 1914 jedynie 200 tysięcy dzieci chodziło do szkół średnich, z czego trzy czwarte do szkół płatnych. W latach 1890–1910 otworzono w Anglii i Walii sześć nowych uniwersytetów; w latach dwudziestych nie powstał żaden nowy uniwersytet i tylko trzy w latach trzydziestych. Realizacja programu średniego wykształcenia dla wszystkich uległa opóźnieniu, najpierw przez cięcia w wydatkach na cele publiczne w latach dwudziestych, następnie z powodu kryzysu roku 1931, a potem drugiej wojny światowej; urzeczywistniono go dopiero pod koniec lat czterdziestych. Mimo to, jak ujawnił to Raport Newsoma

* Istnieją różne metody obliczania rozkładu bogactwa w społeczeństwie, ale wszystkie dowodzą mniej więcej tego samego. W latach 1911–1913 5% populacji posiadało 87% bogactwa kraju; dolne 90% na skali posiadało zaledwie 8% majątku. W latach 1936–1938 górne 5% wciąż posiadało 79% majątku. Mimo wpływów wojennego i powojennego systemu opodatkowania górne 5% najbogatszych nadal posiadało 75% majątku w roku 1960. Co więcej, 58% wszystkich dochodów inwestycyjnych trafiało do rąk zaledwie 1% populacji. Jeśli brać pod uwagę zwykle udziały akcyjne, koncentracja bogactwa była jeszcze większa: 1% najbogatszych miało 81% udziałów i akcji; 5% najbogatszych miało 96%. Podatek od nieruchomości, jedyna forma opodatkowania bogactwa, nie doprowadził do żadnej redystrybucji własności. W latach 1965–1969 stanowił zaledwie 3,5% a dochodów rządu centralnego z tytułu podatków; sto lat wcześniej, w okresie 1868–1877, przynosił 7,9%. W stosunku do całości dochodów społeczeństwa było to zaledwie 1%, najniższa wartość od okresu 1916–1919. Sto lat działalności związków zawodowych i cztery okresy rządów Partii Pracy nie doprowadziły do żadnych wyraźnych zmian w zakresie dystrybucji bogactwa w Wielkiej Brytanii.

z roku 1963, *Half Our Future*, społeczeństwo nie potrafiło skutecznie zadbać o rozwój możliwości dzieci w wieku od lat trzynastu do szesnastu o przeciętnym lub mniej niż przeciętnym poziomie zdolności. Jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe, sytuacja kształtowała się mniej więcej podobnie: w roku 1962 liczba miejsc we wszystkich szkołach wyższych nie przekraczała 200 tysięcy, a dzięki wielkiemu programowi nakładów inwestycyjnych zdołano podwoić ją dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. Program rozwoju systemu szkolnictwa w XX wieku stanowi więc typowy przykład angielskiego tempa reform. Pionierzy zgłaszają projekt; ćwierć wieku później projekt zdobywa poparcie oświeconej opinii publicznej; traf i przypadek, zbieg okoliczności, cięcia finansowe i kryzysy, trudności gospodarcze, aktywność Kościołów, Izby Lordów i inne przeszkody na drodze postępu opóźniają jego realizację o następne ćwierćwiecze; dziesięć lat lub więcej zajmuje wcielenie go w życie. W tym momencie reforma jest już powszechnie akceptowana jako naturalny wymóg zdrowego rozsądku i słyhać świątoszkowate głosy zawodu, że nie zrealizowano jej wcześniej. Tymczasem reszta świata poszła naprzód – zwykle w znacznie szybszym tempie.

Podobnie jak w wieku XIX, to powolne tempo rozszerzania możliwości edukacyjnych na całe społeczeństwo nie tylko nie przyczyniło się do podważenia klasowej struktury społeczeństwa, ale w istocie jeszcze ją wzmocniło. Jest dość znamienne, że właśnie reformy w dziedzinie edukacji stanowiły ten aspekt budowy państwa dobrobytu, który zdominowana przez torysów koalicja czasu wojny była gotowa uchwalić jeszcze przed osiągnięciem zwycięstwa. Ustawa z roku 1944 uznawała w końcu zasadę, uznawano już przez reformatorów dwadzieścia lat wcześniej, że edukacja stanowi proces ciągły, obejmujący wszystkie szczeble kształcenia: podstawowy, średni i wyższy. Ustawa opierała się jednak również na założeniu, że „nie mniej istotne niż zagwarantowanie równości szans edukacyjnych jest umożliwienie ich różnorodności”. W rzeczywistości różnorodność i równość szkodzą sobie wzajemnie: jeśli dążymy do zagwarantowania różnorodności, dzieje się to ze szkodą dla równości. Fakt, że laburzyści zignorowali tę prawdę i nie doprowadzili do wniesienia odpowiednich poprawek do ustawy z roku 1944, pokazuje, do jakiego stopnia nie rozumieli realiów sprawowania władzy i znaczenia sprawiedliwości społecznej. Nie tylko zachowano prywatny sektor w szkolnictwie średnim, ale także w sektorze publicznym wprowadzono formy edukacyjnego apartheidu. Anglicy zafundowali sobie w ten sposób trzy odrębne typy szkół średnich, wszystkie w ostatecznym rachunku finansowane ze źródeł publicznych, albo bezpośrednio, albo w postaci zwolnień podatkowych: jeden w przeważającej mierze dla dzieci z klas wyższych, drugi głównie dla dzieci z klas średnich i trzeci głównie dla dzieci robotniczych. Te podziały sprawiały, naturalnie, że wykształcenie wyższe także było dostępne (lub nie) na zasadach pochodzenia klasowego, przy czym państwo znów płaciło rachunek. W ten sposób dzięki nowym odmianom

starej angielskiej sztuczki okazywało się, że szerokie rzesze podtrzymują, a nawet finansują przywileje nielicznych. Konsekwencje ustawy z roku 1944 stały się w pełni widoczne już pod koniec lat pięćdziesiątych, a jednak w ciągu sześciu lat swoich rządów laburzyści nie podjęli żadnej próby wprowadzenia alternatywnego systemu. Analizując stanowisko, jakie w kwestii reform systemu edukacji zajmowały na przestrzeni ponad półwiecza cztery rządy laburzystowskie, historyk może w tej sytuacji dojść jedynie do wniosku, że ruch robotniczy jako siła zbiorowa nie wierzy w to, że edukacja może odegrać istotną rolę w postępie społecznym i przyczynić się do wzrostu ludzkiego szczęścia. A przecież cała historia, a zwłaszcza historia Anglików, dowodzi, że jest to najważniejszy odrębny czynnik rozwoju. Edukacyjna rewolucja w szesnastowiecznej Anglii uruchomiła łańcuch wydarzeń, który ukształtował współczesną postać świata – i przeciwnie niepowodzenia Anglii w dziele reformy systemu edukacji sprawiły, że straciła pozycję dynamicznie rozwijającej się czołowej przemysłowej potęgi świata.

Ta melancholijna prawda wiedzie nas do pokrewnego i jeszcze bardziej przygnębiającego aspektu angielskiego problemu. Nie sposób utrzymać wysokiego tempa wzrostu gospodarczego, nie zachowując równie wysokiego tempa wzrostu nakładów inwestycyjnych na kształcenie społeczeństwa – nie tylko w sensie umiejętności zawodowych, ale także w sensie kształtowania poczucia odpowiedzialności za pośrednictwem wykształcenia ogólnego. Angielski rządzący establishment, do którego zaliczam także liderów Partii Pracy, zbyt robotników, podsuwając im wykształcenie na poziomie minimalnym – w efekcie kraj musiał zadowolić się bardzo niskim tempem wzrostu gospodarczego. Pierwotną przyczyną względnego osłabienia dynamiki gospodarczego rozwoju Anglii datującego się od lat siedemdziesiątych XIX wieku był fakt, że angielscy przemysłowcy nie potrafili dostosować się do nowych technologii, co odzwierciedlało z kolei rodzaj wykształcenia, jakie z własnej, nie przymuszonej woli sobie zafundowali. Te negatywne tendencje zostały jeszcze od tamtej pory wzmocnione zarówno przez siłę, jak i ograniczenia brytyjskich związków zawodowych.

W społeczeństwie, w którym panuje wolność polityczna, a zarazem niesprawiedliwość społeczna, jest czymś naturalnym, że robotnicy tworzą własne organizacje, pragnąc wywierać wpływ na bieg wydarzeń. Jednak rodzaj tego wpływu będzie zależał od tego, jaki rodzaj wykształcenia sami otrzymają. Jeśli brytyjskie związki zawodowe są tradycjonalistyczne, obskuranckie, niekompetentne, wrogie postępowi, a nawet wręcz reakcyjne – a takie właśnie są – wina za ten stan rzeczy spada na całe społeczeństwo. Anglicy postanowili dać klasie robotniczej bardzo skromne wykształcenie, głównie o charakterze zawodowym, w ten sposób ukształtowali jednak ślepego, upartego olbrzyma, obciążonego wyraźną skłonnością do naruszania prawa. Widziane w długiej perspektywie ostatnich stu lat wpływy brytyjskiego ruchu związkowego na życie kraju były niemal całkowicie destrukcyjne. To nie przypadek. Członek brytyjskiego związku zawo-

dowego zwykle nie próbował określać celów swego działania, a w konsekwencji wykorzystywał posiadaną władzę nie uświadamiając sobie, co właściwie zamierza osiągnąć. Po co w ogóle istnieją związki zawodowe? Czy po to, by dążyć do bezwzględnych podwyżek płac, czy też względnych, w relacji do płac pozostałych grup robotników albo innych klas społecznych? Czy ma walczyć o utrzymanie stawek specjalnych? Czy ma zapobiegać bezrobociu? Walczyć o wzrost zatrudnienia? Poprawę warunków pracy? Podnoszenie wydajności, czy może jej obniżanie? Czy ma wymuszać szybsze tempo zmian, czy raczej się przed nimi bronić? Czy ma szersze cele społeczne – dążenie do równości, podnoszenia pozycji społecznej swoich członków albo całej klasy robotniczej, reformy społeczeństwa, wywierania wpływu na politykę zagraniczną? Czy też ma jedynie chronić interesy partykularnej grupy zawodowej, którą reprezentuje? A jeśli tak, to czy ma chronić całą gałąź przemysłu, czy wyłącznie siłę roboczą? Przywódcy związkowi w tym kraju nie zadawali sobie takich pytań, nie mówiąc już o tym, że nie pytali o zdanie szeregowych członków. Cierpiąc na brak poczucia kierunku działania, związki nieuchronnie stały się głęboko defensywną, konserwatywną siłą angielskiego społeczeństwa, skuteczniej hamującą przemianę niż inne wsteczne siły, których wszak w Anglii nigdy nie brakowało. Najbardziej oczywistym i wszechobecnym efektem ich poczynań było zahamowanie tempa wzrostu brytyjskiej gospodarki, zwłaszcza po roku 1945 – w okresie długo utrzymującej się koniunktury w gospodarce światowej, otwierającej przed brytyjskim społeczeństwem niepowtarzalną szansę podniesienia standardu życia i jakości służb publicznych. Utrudniając wykorzystywanie najnowszych osiągnięć technologicznych umożliwiających podnoszenie wydajności oraz dopuszczając inflacyjny wzrost płac, szkodziły w rezultacie interesom większości swoich członków, przyczyniając się do zwiększenia dysproporcji między ludźmi pracy najemnej a właścicielami oraz do powstania wyjątkowych niesprawiedliwości, dotyczących pracowników o najniższych zarobkach i ludzi najuboższych*. Z godnym pożałowania uporem odmawiały równości szans kobietom, imigrantom i robotnikom niewykwalifikowanym. Jednak w jeszcze głębszym sensie konserwatyzm związków stłumił energię postępowych sił politycznych w Wielkiej

* Relatywne korzyści osiągnięte przez najsilniej zorganizowane grupy zawodowe (w kategoriach płac realnych) w trakcie stulecia 1870–1970 zostały niemal całkowicie wyznaczone przez takie czynniki, jak pełne zatrudnienie i postęp techniczny, a nie przez aktywność związkową. Do grupy, która osiągnęła największy wzrost zarobków w stosunku do roku 1870, należą pracownicy sił zbrojnych, w których w ogóle nie ma związków zawodowych; oczywiście, w tym przypadku decydujące znaczenie miało pełne zatrudnienie i wzrost specjalizacji. Nie trzeba dodawać, że wpływ (bądź jego brak) działalności związków na wysokość płac realnych stanowi przedmiot zażartych sporów; por. Guy Routh: *Occupation and Pay in Great Britain, 1906–1960*, Cambridge 1965, s. 150 i następane; oraz R. Ozanne, *Impact of Unions on Wage Levels and Income Distribution*, „Quarterly Journal of Economics”, t. 73, nr 2, maj 1959.

Brytanii, uniemożliwiając swobodę działania Partii Pracy – politycznego narzędzia związków, finansowanego i podporządkowanego ruchowi związkowemu. Odpowiedzialność za żalosne niepowodzenia laburzystowskiego rządu w latach sześćdziesiątych – choć po części wypływające z tych samych przyczyn, które doprowadziły do kryzysu w roku 1931, spada w ostatecznym rachunku na związki zawodowe, zmuszające ministrów do posługiwania się zachowawczym narzędziem polityki gospodarczej w postaci serii posunięć deflacyjnych, które miały zrównoważyć bilans płatniczy Wielkiej Brytanii w handlu zagranicznym. Gdy ministrowie w akcie desperacji zwrócili się w roku 1969 przeciwko związkom i frontalnie zaatakowali ich przywileje, związki zacieśniły jedynie swój uścisk na gardle Partii Pracy, zmuszając ją do upokarzającej kapitulacji*. W tej sytuacji czymś nieuchronnym stał się powrót konserwatystów do władzy, co z kolei na mocy typowo angielskiego paradoksu otworzyło drogę reformom (zwalczanym, naturalnie, przez Partię Pracy, która po krótkim zachłyśnięciu się wolnością wróciła do roli pokojowego pieska związkowców).

Jednak i w tej dziedzinie, podobnie jak w wielu innych, Anglicy w końcu zdobyli się na reformę. Wybierając stabilność za cenę rezygnacji z wszelkiej zmiany, Anglicy narażają się na konieczność narzucania sobie potem rozpaczliwych środków zaradczych. Wybrawszy przed stu laty imperializm jako łatwą alternatywę dla wydajniejszej gospodarki, stali się więźniami snu o potędze (*hybris*) i ściągnęli na siebie wyrok losu (*nemezis*) w postaci dwu wojen światowych. Teraz, zmarnowawszy ćwierć wieku pokoju i rozkwitu gospodarczego, poczuli się zmuszeni włączyć się, z największą niechęcią, w obręb systemu kontynentalnego, choć zgodnie ze swą historyczną misją powinni zachowywać wobec niego dystans. Tymczasem na mocy paradoksu, który musi być dla Anglików szczególnie bolesny, „Europa”, w której zamierzają rozpuścić swą tożsamość, jest pod każdym istotnym względem kwintesencją historycznych koncepcji niemieckiego ekspansjonizmu: to Mitteleuropa Kajzera i Hitlera, oczywiście wolna od ich barbarzyństwa i wyposażona w napoleońskie ozdoby francuskiego legalizmu, hołdująca wszakże idei, że Europa musi zewrzeć szeregi w obronie przed ciemnymi siłami zewnętrznego świata. Już w roku 1890 niemiecki uczoney Gustav Schmoller po raz pierwszy wystąpił jako orędownik tego „przegrupowania cywilizowanej Europy”:

Obserwator na tyle przenikliwy, by mógł uzmysłowić sobie fakt, że bieg historii świata w XX wieku wyznacza rywalizacja między światowymi imperiami: rosyjskim,

* Główny *whip* partyjny poinformował gabinet, że większość parlamentarzystów z Partii Pracy pod presją związków zawodowych będzie głosować przeciw ustawom opartym na Białej Księdze *In Place of Strife*. W tym momencie, wedle relacji premiera (w rozmowie z autorem) „gabinet zbladł”.

angielskim, amerykańskim i zapewne chińskim, oraz ich dążenie do zredukowania pozostałych, mniejszych państw do roli krajów zależnych, bez trudu dostrzeże w środkowo-europejskiej federacji celnej załączek czegoś, co może uchronić od zniszczenia nie tylko polityczną niezależność tych państw, ale także wyższą, starożytną kulturę Europy.

Inny uczyony, Hans Delbrück, widział w tej „Europie” alternatywę dla „kulturowego monopolu świata anglosaskiego” oraz „rosyjsko-moskiewskiego”. I nie kto inny jak Kajzer z upodobaniem wracał do idei „Stanów Zjednoczonych Europy” jako czegoś, co mógł rzucić w twarz Ameryce i Rosji. W roku 1961, po dwu wojnach światowych i upływie półwiecza, Edward Heath, gorący brytyjski zwolennik Europy, nieświadomie jak echo powtarzał mgliste wizje starego cesarza: „Widzimy dziś na kontynencie europejskim wielką grupę państw, pod względem wielkości porównywalną jedynie ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, które w miarę jak będzie rosło ich znaczenie gospodarcze, będą miały też coraz większe wpływy polityczne”. Należy dodać, że Kajzer czasami pragnął włączyć do swojej wspólnoty także Anglików, jednak obawiał się, że zaangażowanie Anglii w sprawy imperium może stanowić barierę nie do pokonania. Nie mógł przewidzieć, że pewnego dnia Anglicy, straciwszy nie tylko swoje imperium, ale nawet wiarę we własne siły, pojawią się na progu Europy w roli wzgardzonego i wytrwałego suplikanta, który prosi o pozwolenie wejścia. „Gdy naród traci wiarę w siebie – pisał Walter Lippman – z radością przyjmuje więzy, żeby uchronić ręce od drżenia”.

A jednak, co ciekawe, choć Wielka Brytania w połowie lat siedemdziesiątych przyłączyła się do Wspólnoty Europejskiej z poczucia słabości i najwyraźniej przyniosło jej to niewiele korzyści, pod koniec tej dekady widać było, że kraj zdołał zaczerpnąć nowe siły z głębokich źródeł narodowego charakteru i zainicjował proces, który na całym świecie przekształcił lata osiemdziesiąte w dekadę odzyskanej wolności oraz wiary w siłę swobodnej przedsiębiorczości i ducha indywidualizmu. Anglicy jeszcze raz, jak tylekroć w przeszłości, wskazali światu drogę.

Przełomowym momentem w tym procesie był rok 1979; bitwa toczyła się przede wszystkim o pozycję i przywileje agresywnego strażnika kolektywizmu, jakim był brytyjski ruch związków zawodowych. Jak już wspominałem, próby zreformowania związków zawodowych podejmowane w latach 1968–1970 przez rząd laburzystowski przyniosły całkowite fiasko oraz upadek rządu Wilsona. Podobne próby podjęte przez konserwatywny gabinet Edwarda Heatha w latach 1970–1974, także na skutek fali strajków kierowanych przez wojowniczo nastroszonych górników, zakończyły się porażką oraz upadkiem rządu i zniesieniem uchwalonych reform. Kolejna seria strajków, głównie w sektorze publicznym w latach 1978–1979, która zyskała miano „zimy niezadowolonia”, fatalnie osłabiła laburzystowski rząd Jamesa Callaghana. Toteż w maju 1979 roku Margaret Thatcher, pierwsza kobieta, która została (w 1975 r.) przywódcą brytyjskiej

partii politycznej, została także pierwszą kobietą, która objęła urząd premiera, prowadząc partię konserwatywną do zwycięstwa w wyborach powszechnych; torysi zdobyli wówczas przewagę 43 głosów w Parlamencie.

Pani Thatcher pośrednio odrzuciła większość założeń powojennej polityki konserwatystów, w tym niepisane porozumienie z Partią Pracy, głoszące, że wiele obszarów brytyjskiego życia publicznego, w tym państwowy sektor gospodarki oraz zasady państwa dobrobytu, stanowią absolutną świętość. Jednak podstawowym celem jej polityki stało się okiełznanie związków zawodowych. Wyciągając wnioski z przeszłości, nie próbowała dokonywać reformy za pomocą jednej kompleksowej ustawy. Działała krok po kroku, wprowadzając w trakcie trzech kadencji parlamentarnych pięć oddzielnych ustaw, które stopniowo zlikwidowały serię przywilejów i immunitetów prawnych ruchu związkowego, dzięki czemu wiele form strajków i pikiet stało się nielegalne – związki naruszające prawo ponosiły ogromne kary pieniężne, w razie potrzeby prowadzące do zablokowania ich kont bankowych. Ponadto pani Thatcher nie pozostawiła także najmniejszych wątpliwości, że działania policji walczącej z wieloma rodzajami pikiet „pochodnych”, w tym masowych pikiet „lotnych”, które stanowiły zwycięską broń związku w latach siedemdziesiątych, zostaną zreorganizowane, poddane scentralizowanej strategii i będą miały pełne poparcie rządu.

Nowa strategia polityczna i nowe prawa wkrótce zostały poddane próbie w trakcie długotrwałej konfrontacji z kierowanym przez Arthura Scargilla Krajowym Związkiem Górników (National Union of Mineworkers, NUM), stanowiącym najbardziej wysuniętą placówkę agresywnego ruchu związkowego lat siedemdziesiątych. Brytyjski przemysł węglowy został znacjonalizowany w roku 1946, dokładnie po to, by położyć kres strajkom i konfliktom. Upaństwowienie nie spełniło jednak tego zadania, gdyż wojowniczy szefowie NUM traktowali Krajowy Zarząd Przemysłu Węglowego (National Coal Board) i jego dyrektorów jako wrogów klasowych, co najmniej równie wrogo nastawionych do robotników jak dawni prywatni właściciele kopalń. Co więcej, górnictwo przynosiło straty, podobnie jak (do lat osiemdziesiątych) niemal wszystkie znacjonalizowane gałęzie przemysłu w Wielkiej Brytanii. Do roku 1984 deficyt przemysłu węglowego wynosił ponad 100 milionów funtów rocznie, toteż 6 marca 1984 roku Krajowy Zarząd ogłosił zamknięcie kilkunastu najbardziej nierentownych kopalń. Scargill dwukrotnie bez powodzenia starał się zorganizować ogólnokrajowy strajk górników, który zgodnie ze statutem związku wymagał 55-procentowej większości w referendum wszystkich członków związku. Jednak w tym przypadku Scargill i jego ludzie ominęli statutowe zasady, podejmując w poszczególnych regionach decyzje o przystąpieniu do strajku nie w drodze powszechnego referendum, ale głosami najbardziej wojowniczych delegatów. W niektórych regionach strajk rozpoczął się 10 marca, a 20 kwietnia specjalna konferencja delegatów 69 głosami przeciw 54 odrzuciła żądanie przeprowadze-

nia ogólnozwiązkowego referendum. Fakt, że strajk został ogłoszony w sposób niestatutowy i niedemokratyczny, znacznie wzmocnił moralną pozycję rządu. Doszło nawet do tego, że górnicy z Nottinghamshire, którzy ostro sprzeciwiali się taktyce Scargilla, przeprowadzili odrębne referendum, w którym cztery piąte opowiedziało się przeciw strajkowi, kontynuując wydobywanie mimo gwałtownych przeszkód ze strony zwolenników strajku, i ostatecznie założyli rozłamowy Związek Demokratycznych Górników (Union of Democratic Miners), rozbijając w ten sposób centralę Scargilla (NUM) na dobre.

Do połowy kwietnia NUM doprowadziła do zamknięcia 131 ze 174 szybów, mając nadzieję pikietami zablokować pozostałe. Jednak tym razem policja (i rząd) były zdecydowane temu zapobiec. 22 października Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, na mocy którego policja mogła uniemożliwiać zorganizowanym grupom górników podróżowanie autobusami na teren obszarów objętych akcją strajkową w celu zakłócania porządku publicznego. Dzięki temu orzeczeniu policja, dysponując skoordynowaną siecią kontroli dróg, zdołała zagwarantować większości górników, którzy sprzeciwiali się strajkowi, możliwość normalnej pracy. W części szybów cały czas kontynuowano wydobywanie, a tym samym podstawowy cel Scargilla, czyli unieruchomienie wszystkich kopalń, wymknął mu się z rąk. Co więcej, Scargill, ignorując lekcję lat dwudziestych, wybrał niewłaściwą porę roku, rozpoczynając akcję na wiosnę. Tymczasem władze, które od dawna spodziewały się nadejścia kryzysu, zgromadziły ogromne zapasy węgla, dzięki czemu zimą 1984/1985 nie trzeba było wprowadzać ograniczeń w dopływie energii i nawet 8 stycznia 1985 roku, gdy odnotowano największe szczytowe zapotrzebowanie na energię elektryczną w dziejach Wielkiej Brytanii, sprostano mu bez większych trudności. Widząc, że strajk nie spełnił swego zadania i nie rzucił kraju na kolana, część górników wróciła do pracy. Pod koniec lutego 1985 roku pracowała już połowa ze 170 tysięcy zatrudnionych przez Krajowy Zarząd Przemysłu Węglowego, a 5 marca krajowa konferencja delegatów podjęła decyzję o zakończeniu strajku, oznaczającą *de facto* akt bezwarunkowej kapitulacji. Koszty tego decydującego zwycięstwa nad ruchem związkowym były ogromne. Pięć osób zginęło, tysiące górników skazano za różne wykroczenia, siedem tysięcy karnie wyrzucono za „poważne naruszenie dyscypliny pracy”, trzydzieści tysięcy straciło pracę – o dziesięć tysięcy więcej, niż wynikało z najdalej idących projektów z okresu przedstrajkowego; centrala NUM, niegdyś największy związek zawodowy w Europie, wkrótce miała już tylko osiemdziesiąt tysięcy członków, co stanowiło jedynie preludium do dalszego stopniowego upadku; same koszty wykorzystania sił policyjnych wynosiły ponad 300 milionów funtów, a całkowite koszty poniesione przez społeczeństwo sięgały miliardów.

Jednak korzyści, jakie kryzys przyniósł społeczeństwu, były o wiele większe. 6 kwietnia 1985 roku pani Thatcher oznajmiła, że „pożegnała – jak to ujęła

– wewnętrznego wroga”. „Mimo brutalnych ataków – oświadczyła 8 kwietnia – górnicy, którzy nie podjęli strajku z uporem bronili swojego prawa do tego, by kontynuować pracę, mogli się przekonać, że stoją za nimi pracodawca i rząd gotowi stanąć w ich obronie. Mam nadzieję i wierzę w to, że inni wyciągną z tej lekcji odpowiednie wnioski dla siebie”. I rzeczywiście wyciągnęli. Najsilniejszą, najmocniej okopaną grupę związkową w Wielkiej Brytanii stanowił związek zecerów przemysłu drukarskiego (National Graphical Association, NGA) oraz związek pozostałych pracowników przemysłu drukarskiego (Society of Graphic and Allied Trades, SOGAT). Wykorzystując ściśle przestrzegane zasady zatrudniania tylko członków związku oraz różne regulacje sprzyjające przerostom zatrudnienia i praktyki znane ogólnie jako „zwyczaje starohiszpańskie”, uzyskiwali wyjątkowo wysokie zarobki (zwłaszcza w rejonie Londynu), wywierając znaczący wpływ na drukowane przy ich współudziale gazety i czasopisma. W latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych coraz częściej korzystali z tej coraz bardziej kosztownej władzy, wstrzymując produkcję, blokując wprowadzanie nowych technologii, a nawet podejmując wszelkie inne decyzje, w coraz większym stopniu bowiem cenzurowali zawartość pism – zarówno w warstwie informacyjnej, jak i komentarzy. Seria szczególnie destrukcyjnych strajków uderzyła w gazety o ogólnokrajowym zasięgu jesienią 1982 i wczesną zimą 1983 roku.

W tym momencie zaczęło jednak odgrywać swoją rolę ustawodawstwo wprowadzone przez panią Thatcher. Obiektem szczególnej nienawiści związków drukarzy stał się nowy dziennik „Today” wydawany przez urodzonego w Azji przedsiębiorcę Eddy Shaha, który rekrutował swoich pracowników spoza tradycyjnych układów panujących w branży; związkowcy starali się więc zablokować jego wychodzenie. 9 grudnia 1983 roku centrala NGA została skazana wyrokiem sądu na zapłacenie 525 tysięcy funtów grzywny za lekceważenie kilkukrotnie ponawianych nakazów sądowych odstąpienia od niezgodnej z prawem aktywności, a także 150 tysięcy za lekceważenie wcześniejszych nakazów. To zwycięstwo na sali sądowej zostało bacznie odnotowane przez największego i najbardziej dynamicznego spośród brytyjskich wydawców gazet, Ruperta Murdocha, właściciela „Times”, „Sunday Times”, „Sun” oraz „News of the World”, o łącznym nakładzie ponad 11 milionów egzemplarzy. W latach 1984–1986 Murdoch potajemnie zbudował w Wapping (we wschodnim Londynie) nową drukarnię, łączącą w sobie najnowsze zdobycze technologiczne w postaci elektronicznego składu i druku z projektem architektonicznym zapewniającym wysoki stopień bezpieczeństwa, zaplanowanym specjalnie z myślą o tym, by uniemożliwić pikietującym związkowcom storpedowanie produkcji. Dwudziestego czwartego stycznia 1986 roku w odpowiedzi na ogłoszoną przez NGA i SOGAT przerwę w druku jego gazet w rejonie Fleet Street, gdzie tradycyjnie je drukowano, Murdoch zwolnił wszystkich pracowników przenosząc

produkcję do Wapping. Już wcześniej podpisał umowę z niezależnie zorientowanym związkiem zawodowym elektryków (EETPU), zgodnie z którą jego członkowie mieli obsługiwać maszyny w nowym zakładzie. NGA i SOGAT były kompletnie zaskoczone. Próbowaly, podobnie jak górnicy Scargilla, odpowiedzieć przemocą. Jednak połączenie nowych technik policyjnych, nowych praw związkowych oraz samej Fortecy Wapping pozwoliło Murdochowi na utrzymanie produkcji i dystrybucji swoich gazet; w efekcie wojowniczy drukarze, podobnie jak dwa lata wcześniej górnicy, musieli uznać się za pokonanych.

W branży nastąpiły radykalne zmiany. „Dawne hiszpańskie zwyczaje” poszły w odstawkę. Niemal całkowicie wyeliminowano przerosty zatrudnienia. Wzrosły zyski wydawców. Powstawały i świetnie prosperowały nowe tytuły. Stare przeżywały okres rozkwitu. Dziennikarze dostali wyższe stawki, a czytelnicy wyższy poziom serwisu informacyjnego, w tym wiadomości z zagranicy. Nastąpił szybki kres cenzury uprawianej przez drukarzy i w świecie wydawniczym powiał wiatr wolności. Czytelnicy ponownie mieli pewność, że na rynku codziennie będzie się pojawiała cała gama tytułów wszelkiego rodzaju. Ale to jeszcze nie wszystko. W świetle spektakularnej porażki dwu najbardziej wojowniczych i najsilniejszych związków wszystkie formy aktywności związkowej wyraźnie osłabły. W latach osiemdziesiątych liczba członków związków afiliowanych przy Kongresie Związków Zawodowych (Trades Union Congress) spadła z 14 milionów do nieco ponad 9 milionów i nadal malała w latach dziewięćdziesiątych. Związki, które zachowały silną pozycję w miejscu pracy, jak EETPU, z czasem podpisywały umowy z pracodawcami o powstrzymaniu się od metod strajkowych. Pojawił się także odrębny ruch – inicjowany przez pracodawców i zaakceptowany przez wielu robotników – negocjowania indywidualnych kontraktów, dzięki czemu wielu pracowników fizycznych osiągało status członków klasy średniej. Przy takim obrocie spraw, w miarę jak rząd pani Thatcher sukcesywnie wprowadzał nowe prawa związkowe akceptowane przez same związki, nastąpił zmierzch gwałtownych metod rozwiązywania sporów. Liczba strajków oraz całkowita liczba straconych dni pracy spadła gwałtownie i w roku 1992 osiągnęła najniższy poziom od ponad półwiecza. Wszystko wskazywało na to, że Wielka Brytania wkroczyła w długi okres spokoju w przemyśle, czego odzwierciedleniem jest wyjątkowo wysoki poziom wydajności pracy – jeden z najwyższych w całym dziejach Anglii.

Wyrwawszy jadowy ząb wojowniczym związkowcom, pani Thatcher mogła wziąć się za ograniczenie rozmiarów publicznego sektora gospodarki. Proces ten obejmował nie tylko zmniejszanie liczby osób zatrudnionych bezpośrednio przez państwo, ale także pozbywanie się przez rząd odpowiedzialności za kierowanie całymi gałęziami przemysłu. Korona brytyjska zawsze angażowała się w pewne rodzaje działalności gospodarczej, na przykład jako właściciel służby pocztowej i stoczni marynarki wojennej. W XX wieku stopniowo i w dość nie-

systematyczny sposób stawała się posiadaczem także innych przedsiębiorstw, zwłaszcza w energetyce i transporcie. Od roku 1945 rządy laburzystowskie pod presją związków zawodowych znacjonalizowały górnictwo i hutnictwo, energetykę, produkcję i dostarczanie gazu, wodociągi i kanalizację, koleje, porty handlowe, kanały, transport drogowy, przemysł lotniczy i okrętowy, większość przemysłu samochodowego, ponadto szyby naftowe na Morzu Północnym, niemal cały przemysł telekomunikacyjny i wiele wiele innych. Wszystkie wymienione gałęzie przemysłu charakteryzowały się niską stopą zysku, wysokimi kosztami, słabą wydajnością, nieefektywnym wykorzystaniem zasobów, wysokimi cenami, niskim poziomem usług oraz, co nie najmniej ważne, niewłaściwą strukturą zatrudnienia. Zamiast przynosić społeczeństwu korzyści, państwowy sektor gospodarki stanowił poważne i stale rosnące obciążenie; w roku 1979 suma pożyczek i strat państwowych gałęzi przemysłu wzrosła do ponad 3 miliardów funtów rocznie.

Rząd pani Thatcher nie wprowadzał programu tak zwanej prywatyzacji w postaci jednorazowej, globalnej reformy, ale podobnie jak reformy związkowe, krok po kroku, w miarę jak malała wojowniczość związków zawodowych i pozwalały okoliczności. Gdy program zaczynał odnosić sukcesy i zdobywać poparcie społeczeństwa, jego skala i tempo wzrosły. W latach osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych w ręce prywatne przeszło około trzydziestu wielkich koncernów, obejmujących około 60% sektora państwowego i zatrudniających ponad 900 tysięcy osób. Denacjonalizacja obejmowała przemysł hutniczy, telekomunikacyjny, energetyczny, naftowy, gazowy, lotniczy, transport drogowy, wodociągi i kanalizację oraz liczne zakłady produkcyjne. Wiele z tych firm przestało być obciążeniem dla budżetu państwa i zamiast strat zaczęło przynosić zyski. British Steel, który jako koncern państwowy przynosił największe straty w swojej historii, stał się na pewien czas najbardziej rentownym koncernem hutniczym na świecie, osiągającym najwyższą produkcję w Europie. Zdenacjonalizowane zakłady zamiast 3 miliardów rocznego deficytu w latach 1989–1990 wносиły do Skarbu ponad 2 miliardy funtów w formie podatków. Ponadto wartość kapitału zgromadzonego dzięki publicznej sprzedaży akcji sektora państwowego osiągnęła do roku 1991 wysokość 34 miliardów funtów, co umożliwiło Skarbowi spłacenie w ciągu zaledwie dwu lat 12,5 procenta całego długu narodowego.

Jeszcze korzystniejszym zjawiskiem związanym z prywatyzacją sektora państwowego był wzrost liczby posiadaczy akcji. Uplynnając tę ogromną liczbę udziałów – największa jednorazowa publiczna oferta w dziejach – rząd przyznał priorytet pracownikom prywatyzowanych gałęzi, a w dalszej kolejności drobnym inwestorom. W obu przypadkach spotkało się to z żywą reakcją zainteresowanych. Dla przykładu: przy sprzedaży British Aerospace akcje wykupiło 89% uprawnionych pracowników firmy, w przypadku Associated British

Ports było to 90%, w British Telecom – 96%, a w Amersham and Cable & Wireless – 99%. Próby włączania pracowników w zarządzanie własnością zatrudniających ich zakładów – zupełnie nieudane w ramach dawnego systemu bezpośredniej nacjonalizacji – zaczęły przynosić owoce z chwilą, gdy sięgnięto po zasady indywidualizmu. Nie tylko pracownicy, ale także znaczna część społeczeństwa zaangażowała się finansowo w proces denacjonalizacji. W znacznej mierze dzięki ogromnej liczbie akcji prywatyzowanych zakładów w połączeniu z preferencjami dla małych pakietów, liczba indywidualnych akcjonariuszy wzrosła w Wielkiej Brytanii z 2,5 miliona pod koniec lat siedemdziesiątych do około 11 milionów w początku lat dziewięćdziesiątych – wzrost z 7% do 25% populacji. Wielka Brytania uczyniła w ten sposób potężny krok w stronę prawdziwie demokratycznego kapitalizmu.

Zyski ze sprzedaży w połączeniu z redukcją strat przynoszonych przez sektor państwowy oraz przejściem ujemnych aktywów w dodatnie pozwolił rządowi nie tylko na zredukowanie długu narodowego (w sumie o ponad jedną piątą w latach osiemdziesiątych), ale także na obniżenie bezpośrednich podatków. Podstawowa stopa spadła z 37,5% a do 25%, a w najwyższym przedziale dochodów z 94% (od dochodów inwestycyjnych) i 87% (od dochodów nieinwestycyjnych, „zarobionych”) do 40%. To zaś z kolei przyniosło torysom sukces wyborczy. Po 19 czerwca 1983 roku pani Thatcher znalazła się na czele większości parlamentarnej z przewagą 144 głosów nad pozostałymi partiami i powtórzyła ten sukces 12 czerwca 1987 roku, gdy konserwatyści zdobyli 375 miejsc, a opozycja laburzystowska 229. Pod koniec roku 1990 pani Thatcher stała na czele rządu już od ponad jedenastu lat, co stanowiło najdłuższą kadencję premiera od czasu lorda Liverpoola (1812–1827). Jednakże cykliczna natura koniunktury gospodarczej sprawia, że rząd, który tak długo znajduje się u władzy, musi uporać się co najmniej z jednym, jeżeli nie z dwoma, okresem recesji. Pani Thatcher przetrwała recesję początku lat osiemdziesiątych. Jednak w roku 1987 nastąpił katastrofalny spadek cen akcji na niemal wszystkich giełdach świata, co zwykle stanowi ostrzegawczy sygnał recesji. I rzeczywiście, w roku 1990 nastąpiła recesja, pogłębiająca się jeszcze w latach następnych. Sama recesja nie musiała jednak zakończyć rządów pani Thatcher. Wbrew licznym głosom krytycznym, pani Thatcher rozpoczęła jednak niezwykle ambitną reformę finansów administracji lokalnej, pragnąc zredukować udział sektora publicznego w jeszcze jednej sferze życia narodu. Program okazał się o wiele mniej popularny, niż się spodziewała i w połączeniu z recesją doprowadził do wewnętrznego puczu w Partii Konserwatywnej; jego uczestnicy zmusili ją do złożenia 20 listopada 1990 roku rezygnacji z funkcji lidera partii oraz premiera – jej następcą został John Major. Utrzymano jednak tempo reform i choć nadal trwała recesja – z powodu odejścia pani Thatcher czy mimo niego – Major zdołał 4 kwiet-

nia 1992 roku poprowadzić konserwatystów do bezprecedensowego czwartego zwycięstwa wyborczego (bezwzględna większość 21 głosów w Parlamencie).

Co więcej, reformy zapoczątkowane w Wielkiej Brytanii wywarły zdecydowany wpływ na resztę świata. Brytyjski sukces prywatyzacji zachęcił inne kraje do naśladownictwa: w Europie, w Afryce, w Azji, obu Amerykach i Australii; w krajach wysoko rozwiniętych jak Japonia, średnio zaawansowanych technologicznie jak Turcja, a także w biednych krajach Trzeciego Świata. Wszyscy, którzy pragnęli zmniejszyć zakres obecności i władzy państwa w gospodarce, przekształcić deficytowe państwowe gałęzie gospodarki w rentowne prywatne, poznać techniki upłynniania ogromnej liczby akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw oraz rozszerzenia zasięgu akcjonariatu, ściągali do Londynu po naukę. Już od bardzo dawna Wielka Brytania nie wywierała tak znaczących wpływów w skali globalnej jako wzór rozwiązywania problemów współczesnej gospodarki.

Wpływy nie ograniczały się zresztą do kwestii prywatyzacji. Ronald Reagan, prezentujący program podobny do modelu rządów pani Thatcher, kładącego największy nacisk na kapitalistyczną przedsiębiorczość, odrzucenie państwowego interwencjonizmu i państwowej własności, odniósł w roku 1980 zwycięstwo w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Reagan i Thatcher zdominowali ideologiczną atmosferę lat osiemdziesiątych, będącą przejawem prokapitalistycznego ducha indywidualizmu, antykolektywizmu i swobodnej, agresywnej konkurencji. Ten powiew nowego przeniknął także za żelazną kurtynę, obejmując chwiejący się Związek Radziecki, gdzie w końcowych miesiącach roku 1991 ostatecznie upadł reżim komunistyczny, znacząc kres stalinowskiego imperium. Znakiem tych lat stało się powszechne odrodzenie ducha wolności: gospodarczej i politycznej, wolności myśli i słowa, swobody praktyk religijnych i przemieszczania się, wolności emigracji, swobody zakładania nowych przedsiębiorstw, gazet i partii politycznych – w tym ekstremistycznych. Niektórzy nierozumnie przypuszczali, że te zmiany oznaczają powszechny triumf liberalnej demokracji. Przenikliwsi zdawali sobie sprawę, że świat wkrocza jedynie w nową, burzliwą, podniecającą i niewykluczone, że niebezpieczną fazę swojej historii. Dla historyka jest wszakże zastanawiające, jak ważną rolę – mimo względnego spadku potęgi gospodarczej i wpływów politycznych – zdołała w tym procesie doniosłych zmian odegrać Wielka Brytania. W chwili gdy zbliżamy się do końca stulecia, wyspiarze znów sięgają po nowe doświadczenia jako „naród ani tępy, ani gnuśny, ale żywego, twórczego i przenikliwego ducha; uzdolniony do wynalazków, subtelny i mocny w rozumowaniu, zdolny wznieść się ku najwyższym szczytom, ku którym sięgnąć mogą możliwości ludzi”. To słowa Johna Milтона, wielkiego angielskiego poety odnowy i odrodzenia.

Dodatek I

Duńczycy i Anglicy

Duńskie osady z IX i X wieku miały często charakter militarny; nazwy miejsc kończące się na *-by* i *-thorpe* pochodzą od imion indywidualnych dowódców. Pięć duńskich fortów z czasem przekształciło się w miasta: Lincoln, Nottingham, Derby, Leicester i Stamford. Charakter tych osad wskazuje na okres masowej migracji, przy czym udział ludności duńskiej wahał się od jednej trzeciej do dwu trzecich całej populacji; obszar najgęściej zaludniony przez Duńczyków to hrabstwa Yorkshire i Lincolnshire. Nazwy ponad sześciuset miejsc kończą się na *-by* (końcówka oznacza „miejsce” albo „miasto”, stąd *by-law* – przepisy), około trzystu na *-throp* i tyle samo na *-thwait*, oraz około stu na *-toft*; jest ich w sumie co najmniej półtora tysiąca. W niektórych regionach Lincolnshire i Yorkshire nazwy pochodzenia skandynawskiego stanowią 75% wszystkich nazw miejsc. Wiele duńskich imion pozostawało w użyciu aż do XII wieku, co dowodzi wolnego tempa procesu asymilacji. Nazwiska pochodzenia duńskiego kończące się na *-son* (Jackson, Johnson) weszły na trwałe do angielskiego systemu nazewnictwa. Język duński wywarł bardzo głęboki wpływ na angielski, zwłaszcza po asymilacji Duńczyków. Staroangielski zapożyczył niewiele słów duńskich, głównie terminy oznaczające wrogość w kontaktach między ludźmi. Później, gdy Duńczycy zaczęli posługiwać się językiem angielskim, zapożyczenia z duńskiego sięgnęły przynajmniej dziewięciuset słów, oznaczających rzeczy codziennego użytku i podstawowe pojęcia, a być może – jest to kwestia dyskusyjna – było ich o tysiąc więcej. Oto garść zupełnie przypadkowo wybranych przykładów: *band, bank, birth, creek, dirt, fellow, gap, kid, leg, link, race, rift, root, score, scrap, seat, sister, skin, skirt, sky, steak, thrift, trust, want* i *window*. Z duńskiego pochodzą także przyimki, zaimki, przysłówki i – co szczególnie znamienne – jedna z form czasownika „być” (*to be*) – *are**. Pochodzenia skandynawskiego są zaimki *they* (oni/one), *their* (ich – dzierż.) i *them* (ich); zwrot *they are* (oni/one są) w całości pochodzi więc z importu. Wpływy języka duńskiego przyczyniły się w znacznym stopniu do uproszczenia angielskiej gramatyki i składni, nadając angielszczyźnie płynność i elastyczność – zmiany

* II os. l.p. oraz I, II i III os. l. mn. (przyp. tłum.).

wyznaczające przejście od staroangielskiego do średnioangielskiego, a zatem do struktury współczesnej angielszczyzny. Lokalnie, w postaci dialektu, wpływy duńskie sięgały jeszcze głębiej. Konkurencyjne angielskie i duńskie warianty rzeczowników pospolitych walczyły o prymat aż do końca średniowiecza, przy czym czasami ostatecznie zwyciężały formy duńskie, jak w przypadku rzeczownika *eggs* (jaja). Dowiadujemy się o tym ze sławnej i bardzo pouczającej przedmowy Caxtona do jego parafrazy *Eneidy* (1470):

Albowiem my Anglicy jesteśmy ludźmi zrodzonymi pod wpływem księżycy, który nigdy nie zaznaje spoczynku, ale zawsze się zmienia, krąglejąc w jednej porze, a niknąc i malejąc w innej. I stąd pochodzi, że w każdym hrabstwie mówi się po angielsku w inny sposób. I tak zdarzyło się raz, że pewni kupcy, którzy wybierali się morzem do Zelandii, znaleźli się w łodzi na Tamizie, a że nie było wiatru wyciągnęli łodzie na brzeg i zeszli na ląd, żeby się pokrzepić. I jeden z nich imieniem Sheffelde, kupiec bławatny, wszedł do chaty i spytał się o jadło, a zwłaszcza pytał o jaja (*eggys*). Ale dobra kobieta odparła, że nie mówi po francusku. Kupiec był zły, bo także nie mówił po francusku, a chciał kupić jaja, a ona go nie rozumiała. Ale wtedy na koniec drugi powiedział, że chciałby kupić *eyren* (jaja – forma staroangielska). I wtedy dobra kobieta rzekła, że rozumie go bardzo dobrze. Boże, i jakże powinien człowiek pisać dziś, *eggys* czy *eyren*? Z pewnością trudno każdego zadowolić z racji różnorodności i zmienności języka.

Stare kodeksy praw angielskich, potwierdzone przez Wilhelma Zdobywcę, uznawały różnice między prawami Wessexu (Kent, Surrey, Sussex, Berkshire, Hampshire, Wiltshire, Dorset, Somerset i Devon), Mercji (Oxfordshire, Warwickshire, Gloucestershire, Worcestershire, Herefordshire, Shropshire, Staffordshire i Cheshire) oraz obszaru Danelaw, który obejmował pozostałą wschodnią i środkową Anglię oraz Yorkshire. Różnice między prawem Wessexu i Mercji były nieznaczne i miały głównie charakter techniczny, natomiast na obszarze Danelaw istniały odrębne instytucje prawne (takie jak oskarżenie wnoszone przez dwunastu przysięgłych (*jury*), którzy podejmowali decyzje większością głosów – technika przyjęta przez prawo angielskie dopiero całkiem niedawno) oraz własny system regulujący tytuły posiadania ziemi. Dzięki *Domesday Book* wiemy, że w wielu rejonach Danelaw o wiele więcej wolnych chłopów posiadało ziemię na własność niż w pozostałych częściach Anglii; bez wątpienia byli to potomkowie duńskich żołnierzy. Duńskie wpływy nie ograniczały się zresztą do Danelaw; widać je, na przykład, w wyszukanych, groteskowych płaskorzeźbach zdobiących normański kościół w Kilpeck w hrabstwie Herefordshire. Po Anglosasach i Brytach Duńczyzy stanowią z pewnością najważniejszy składnik etniczny narodu angielskiego.

Dodatek II

Cromwell i Irlandia

Irlandia tradycyjnie okazywała się grobem dobrego imienia angielskich dowódców wojskowych. Nie zniszczyła reputacji Cromwella, prowadzona bowiem przez niego po mistrzowsku kampania irlandzka przyniosła znaczny sukces. Irlandia okazała się jednak grobem jego reputacji moralnej. Nie ulega wątpliwości, iż Cromwell przyjął pogląd podzielany przez Spensera (który znał Irlandię bardzo dobrze), Bacona i Milтона – w istocie przez przeważającą większość Anglików – że Irlandczycy są ludem niżej postawionym kulturowo, co uzasadnia ich podległość polityczną. W roku 1649 Cromwell był przekonany, że Irlandczycy zostaną wykorzystani do obalenia rewolucji:

Jeśli nasze siły zostaną tam wykorzenione, [Irlandczycy] bardzo szybko zdołają wylądować ze swymi wojskami w Anglii, żeby narobić nam tu kłopotów [...]. Jeśli uda im się kontynuować swe dzieło, uczynią z tego narodu najniezwyklejszych ludzi na ziemi, jako że znani są w całym świecie ze swego barbarzyństwa.

Obawiał się zagrożenia ze strony Irlandczyków bardziej niż jakiegokolwiek innego:

Prędzej dam się pokonać siłom Kawalerów niż Szkotom; Ale prędzej dam się pokonać Szkotom niż Irlandczykom; i myślę że to ostatnie jest najniebezpieczniejsze ze wszystkiego.

A jednak w pewnym momencie pojawiła się na horyzoncie możliwość, że rodowici Irlandczycy mogliby współdziałać z siłami Parlamentu w walce przeciw irlandzkim protestanckim rojalistom. Także lewellerzy agitowali za takim rozwiązaniem; jak ujął to Walwyn: „Sprawa rodowitych Irlandczyków dążących do należnej im wolności jest dokładnie taka sama jak nasza sprawa tutaj, którzy staramy się uratować naszą wolność i uwolnić się od ucisku”. Rada Oficerów przegłosowała uroczyste zapewnienie, że armia nie zostanie użyta ani do „wyniszczenia miejscowej ludności, ani wyzucia jej z majątków”. Jednak pod naciskiem katolickiego kleru, działającego zgodnie z papieskimi instrukcjami, Irlandczycy zwrócili się przeciw Armii Nowego Wzoru.

W przeciwieństwie do wszystkich swoich poprzedników, Cromwell zdecydowanie nie chciał uwikłać się w Irlandii w długotrwałą kampanię. Był chory: „Moje zdrowie doprowadza mnie do szaleństwa” – pisał. Jednakże nic nie świadczy o tym, by stan zdrowia miał jakiś wpływ na jego działania. Był przekonany, że drastyczne środki podjęte w Drogheda i Wexford szybko położą kres oporowi Irlandczyków i „oszczędzą dalszego rozlewu krwi”. Wydarzenia dowiodły, że miał rację. W trakcie innych angielskich kampanii w Irlandii bardzo wielu Irlandczyków ginęło przypadkiem, tylko dlatego, że angielskie oddziały były niezdiscyplinowane i źle opłacane. Cromwellowi dzięki temu, że ściśle egzekwował wobec swoich żołnierzy zasady prawa wojennego oraz, co ważniejsze, zdołał zagwarantować im regularny dopływ żołdu, udało się oszczędzić życie ogromnych rzesz Irlandczyków. Wierzył, że przybywa na wyspę jako dobroczyńca miejscowej ludności:

Przybyliśmy (z pomocą Bożą), by rozniecić i utrzymać blask oraz chwałę angielskiej wolności w narodzie, wobec którego mamy niezachwiane prawo tak uczynić; jako też ludność Irlandii [...] może korzystać ze wszystkich dobrodziejstw wolności i powodzenia na równi z Anglikami, o ile tylko nie będzie stawiała oporu zbrojnie.

Cromwell miał zwłaszcza nadzieję, że uda mu się zreformować panujący w Irlandii inkwizytorski system wymiaru sprawiedliwości. W grudniu 1649 roku błagał Johna Sadlera, żeby ten objął urząd Najwyższego Sędziego w Munster:

Mamy oto wielką szansę, aby ustanowić, zanim Parlament nie postanowi inaczej, taki sposób wymiaru sprawiedliwości wśród tych nieszczęsnych ludzi, który z racji swej prostoty i niskiego kosztu pozwoli nam ich pozyskać, jako że dotąd zwykłą koleją cierpieli taką niesprawiedliwość, tyranie i ucisk ze strony swoich panów, wielkich posiadaczy i tych, którzy powinni wymierzać im sprawiedliwość, jak żaden inny naród, jak sądzę, w świecie, który zwiemy chrześcijańskim.

Ale, oczywiście, jego plany zostały udaremnione przez kler; można powiedzieć, że dopiero w Irlandii Cromwell rozumiał sens reformacji. Choć gotów był stosować zasady tolerancji wobec katolików w Anglii, w Irlandii przekonał się, że Irlandczycy wciąż uwikłani są w przesiąkniętą polityką, kontynentalny rodzaj religii, zdominowany przez kastę kapłanów. Tego nie mógł zaakceptować. Jak oświadczył, niczym echo powtarzając pogląd Elżbiety: „Duchownych uważamy za pomocników, a nie panów wiary ludu Bożego”. Źródła władzy księży dopatrywał się w odprawianiu przez nich mszy. Gubernatorowi Ross oświadczył:

Co się zaś tyczy tego, co wspomniałeś w kwestii wolności sumienia, ja się do niczyjego sumienia nie wtrącam. Ale jeśli przez wolność sumienia rozumiesz wolność odprawiania mszy, to sądzę, że najlepiej będzie ująć rzecz otwarcie i stwierdzić, że tam, gdzie rozciąga się władza Parlamentu Anglii, nie będzie to dozwolone.

Irlandzkim księżom oznajmił, że odprawianie mszy zostało zakazane już osiemdziesiąt lat przed wybuchem buntu w Irlandii w roku 1641 i że zamierza te prawa egzekwować; ale, naturalnie, przed przybyciem Cromwella do Irlandii nigdy nie udało

się skutecznie zmusić Irlandczyków do ich przestrzegania. Swoje prawdziwe motywy obszernie wyłożył, przypominając księżom, że „tak antychrześcijański i dzielący ludzi termin, jak rozróżnienie na kler i laików” był nie znany pierwotnemu Kościołowi:

To wasza duma zrodziła to wyrażenie i podtrzymujecie je dla brudnej żądzy zysku, abyście mogli, utrzymując ludzi w przekonaniu, że nie są tak święci jak wy, sprawić to, że za swoje grosze będą kupować od was odrobinę świętości; to zaś pozwala wam kielznać ich, siodłać i ujeżdżać, jak wam się żywnie podoba.

Mówiąc krótko, Cromwell uważał, że to kler i właściciele ziemscy są prawdziwymi sprawcami irlandzkiej tragedii; jak też w istocie jest do dzisiaj.

Na koniec warto zauważyć, że gdy w roku 1651 generał Monck zdobył miasto Dundee*, zabił równie wielu ludzi co Cromwell po upadku Droghedy, nie mając przy tym za sobą równie silnych racji militarnych; a jednak mało kto dziś o tym pamięta.

* W Szkocji (przyp. tłum.).

Chronologia

- 1900–1700 p.n.e. Pierwsze budowle w Stonehenge
- ok. 250 p.n.e. Pierwsze forty na wzgórzach
- 55–54 p.n.e. Ekspedycje Juliusza Cezara
- 43 n.e. Inwazja za panowania cesarza Klaudiusza
- 61 Stłumienie powstania pod wodzą Boadicei
- 122 Rozpoczęcie budowy Muru Hadriana; Mur Antonina 139–142
- 406 Wycofanie oddziałów rzymskich z Brytanii
- 410 Cesarz Honoriusz zatwierdza zdobytą już *de facto* niepodległość Brytanii
- ok. 460 Utrata kontaktów z Rzymem; osadnictwo anglosaskie
- 516 (?) Bitwa albo oblężenie Badon (*Mons Badonicus*)
- 537 (?) Porażka i śmierć Artura w wojnie domowej
- 570–580 Anglosasi ostatecznie podbijają nizinną część Brytanii
- 597 Augustyn przybywa do Canterbury i przywraca kontakty z Rzymem
- 663 Synod w Whitby aprobuje rozciągnięcie form organizacyjnych chrześcijaństwa rzymskiego na obszary chrześcijaństwa celtyckiego
- ok. 690 Pierwsza kodyfikacja na piśmie praw króla Ine z Wessexu
- ok. 700–750 Powstanie eposu *Beowulf*

- 734 Beda kończy swoją *Ecclesiastical History*
- 757–796 Panowanie Offy z Mercji, największego z królów anglosaskich przed Alfredem
- 825 Wessex zajmuje miejsce Mercji w roli najpotężniejszego państwa anglosaskiego, co otwiera drogę do zjednoczenia Anglii
- 866–871 Inwazja wielkiej armii duńskiej
- 871–899 Panowanie Alfreda z Wessexu; początki *Anglo-Saxon Chronicle*
- 900–950 Podbój obszaru Danelaw; powstanie zjednoczonego państwa angielskiego
- 978–1016 Panowanie Ethelreda Gnuśnego; kolejne duńskie inwazje
- 1016–1036 Panowanie Kanuta
- 1042–1066 Powrót dynastii z Wessexu na tron, panowanie Edwarda Wyznawcy
- 1066 Bitwa pod Hastings; Wilhelm I Zdobywca koronowany w dzień Bożego Narodzenia
- 1070 Lanfranc obejmuje arcybiskupstwo Canterbury
- 1086 Spis *Domesday Book*
- 1087–1100 Panowanie Williama II (Rufusa)
- 1093 Anzelm arcybiskupem Canterbury; później na wygnaniu
- 1100–1135 Panowanie Henryka I; podbój Normandii
- 1135–1154 Panowanie Stefana i spór z cesarzową Matyldą; okres znany jako „anarchia”
- 1154–1189 Panowanie Henryka II
- 1170 Zabójstwo Becketa
- 1169–1170 Początek podboju Irlandii
- 1189–1199 Panowanie Ryszarda I; krucjata i powrót, 1190–1194
- 1199–1216 Panowanie Jana bez Ziemi
- 1204 Utrata Normandii
- 1206 Spór z papieżem Innocentym III w sprawie elekcji Stephena Langtona na arcybiskupstwo Canterbury; papież okłada Anglię interdyktem, Jan składa hołd lenny papieżstwu
- 1215 *Magna Charta Libertatum* (Wielka Karta Swobód)
- 1216–1272 Panowanie Henryka III

- 1258 Prowizje Oksfordzkie, początek rewolty baronów
- 1259 Prowizje Westminsterskie
- 1264 Zwycięstwo Szymona de Montfort w bitwie pod Lewes
- 1265 Parlament Wzorcowy (*Model Parliament*); bitwa pod Evesham i śmierć Montforta
- 1272–1307 Panowanie Edwarda I
- 1282–1284 Podbój Walii przez Edwarda; następca tronu otrzymuje tytuł księcia Walii (1301)
- 1290 Wygnanie Żydów
- 1307–1327 Panowanie Edwarda II
- 1314 Bitwa pod Bannockburn
- 1326–1327 Królowa Izabella i Mortimer pokonują, usuwają z tronu i mordują Edwarda II
- 1327–1377 Panowanie Edwarda III
- 1337 Inwazja na Francję, początek wojny stuletniej
- 1340 Anglicy zwyciężają w bitwie morskiej pod Sluys
- 1345 Prawdopodobna data narodzin Chaucera; ok. 1380 pisze *Opowieści kanterberyjskie*; umiera w 1400
- 1346 Zwycięstwo nad Francuzami w bitwie pod Crécy oraz nad Szkotami pod Neville's Cross
- 1348–1349 Pierwsza faza Czarnej Śmierci
- 1351 Statut o robotnikach i Statut *Provisors*
- 1353 Statut *Praemunire* ograniczający władzę papieża nad Anglią
- 1356 Zwycięstwo Anglików pod Poitiers, prowadzące do traktatu w Bretigny (1361)
- 1362 Język angielski oficjalnie zastępuje francuski w sądach; Langland pisze *The Vision of Piers Plowman (Widzenie o Piotrze Oraczu)*
- ok. 1375–1400 Powstaje *Sir Gawain and the Green Knight*
- 1377–1399 Panowanie Ryszarda II
- 1377–1384 Wiklef w kazaniach występuje przeciw papieżowi oraz potępia występki mnichów i zakonników
- 1381 Rewolta chłopska

- 1399–1413 Panowanie Henryka IV
- 1400–1415 Bunt Walijszyków pod wodzą Owena Glendowera
- 1403 Porażka i śmierć Henryka Percy (*Hotspur*) pod Shrewsbury
- 1413–1422 Panowanie Henryka V
- 1415 Bitwa pod Agincourt
- 1420 Traktat z Troyes uznający prawa Henryka do korony francuskiej
- 1422–1461 Panowanie Henryka VI
- 1430 Prawa wyborcze ograniczone do wolnych posiadaczy majątku ziemskiego przynoszącego dochód w wysokości 40 szylingów rocznie
- 1431 Spalenie Joanny d'Arc
- 1453 Francuzi podbijają Guiennę, koniec wojny stuletniej
- 1455 Bitwa pod St. Albans, początek Wojny Róż
- 1461 Bitwa pod Towton, pozbawienie tronu Henryka VI
- 1461–1483 Panowanie Edwarda IV
- 1469–1470 Sir Thomas Malory kończy pisać *Morte d'Arthur*
- 1470–71 Powrót na tron Henryka VI; śmierć earla Warwick pod Barnet i księcia Edwarda pod Tewkesbury; zamordowanie Henryka VI
- 1476 Pierwsza prasa drukarska w Westminsterze
- 1483 Panowanie Edwarda V, jednego z zamordowanych „książąt w Tower”
- 1483–1485 Panowanie Ryszarda III; jego porażka i śmierć pod Bosworth (1485)
- 1485–1509 Panowanie Henryka Tudora – Henryka VII; małżeństwo z Elżbietą York (1486)
- 1497 Wyprawa Cabota do Ameryki Północnej pod patronatem królewskim
- 1509–1547 Panowanie Henryka VIII
- 1512–1513 Wojna z Francją i Szkocją, bitwa pod Flodden
- 1516 *Utopia* Thomasa More'a
- 1517 Wystąpienie Lutra rozpoczyna reformację; Henryk VIII występuje w obronie papieża i otrzymuje tytuł obrońcy Wiary (*Fidei Defensor*, 1521)
- 1527 Henryk wszczyna proces rozwodowy

- 1529 Upadek Wolseya, otwarcie Parlamentu Reformacyjnego
- 1531–1532 Konwokacja kleru uznaje Supremację Królewską; More rezygnuje ze stanowiska kanclerza
- 1533 Thomas Cranmer mianowany arcybiskupem Canterbury, uznaje ważność małżeństwa Henryka z Anną Boleyn; statutowe zniesienie prawa apelacji do Rzymu
- 1534 Zniesienie władzy papieża nad Anglią; Akt Supremacji; Akt Sukcesji; nowy Statut o Zdradach, egzekucje More'a i biskupa Fishera (1535)
- 1536 Rozwiązanie mniejszych klasztorów, rozproszenie Pielgrzymów Łaski
- 1538 Wydanie Biblii w języku angielskim (*Great English Bible*)
- 1539–1540 Rozwiązanie większych klasztorów
- 1540 Oskarżenie o zdradę i egzekucja Thomasa Cromwella
- 1547–1553 Panowanie Edwarda VI
- 1547–1549 Protektorat Somerset
- 1553–1558 Panowanie Marii
- 1554 Egzekucja lady Jane Grey
- 1554–1556 Anglia ponownie związana z Rzymem; zniesienie ustaw antypapieskich; spalenie Latimera i Ridleya (1555) oraz Cranmera (1556) w Oksfordzie
- 1558 Utrata Calais
- 1558–1603 Panowanie Elżbiety I
- 1559 Akt Supremacji i Akt o Ujednoczeniu przywracają Kościół anglikański
- 1560 Traktat edynburski wyraża poparcie Anglików dla reformacji w Szkocji oraz ustanawia sojusz angielsko-szkocki
- 1563 39 Artykułów Wiary; statut o praktykantach i robotnikach
- 1564 Narodziny Szekspira (zm. 1616)
- 1568 Maria Stuart ucieka do Anglii; stłumienie powstania na północy (1569)
- 1570 Papież Pius V ekskomunikuje Elżbietę
- 1577–1580 Pierwsza wyprawa Drake'a dookoła świata
- 1581 Jezuicka misja w Anglii pod kierownictwem Campiona i Parsons

- 1587 Stracenie Marii Stuart; rajd Drake'a na Kadyks
- 1588 Zwycięstwo nad hiszpańską Wielką Armadą
- 1590 Publikacja *Faerie Queen* Spensera
- 1598 Bunt w Irlandii, ekspedycja Essex (1599), bunt Essex przeciw królowej i jego stracenie (1601)
- 1601–1602 Powstaje *Hamlet* Szekspira
- 1603–1625 Panowanie Jakuba I
- 1611 Niepowodzenie Roberta Cecila, lorda Salisbury, w negocjacjach zmierzających do odstąpienia przez Koronę od dawnych prerogatyw w zamian za ustalone subwencje Parlamentu; koniec konsensu politycznego
- 1620 Wyprawa Pielgrzymów do Nowej Anglii
- 1625–1649 Panowanie Karola I
- 1628 Petycja Praw; zamordowanie Buckingham
- 1629 Rozwiązanie Parlamentu, początek jedenastoletnich osobistych rządów Karola
- 1633 Laud mianowany arcybiskupem Canterbury
- 1637 Precedensowy proces Hampdena w sprawie odmowy płacenia podatku okrętowego
- 1638 Powstanie w Szkocji wywołane próbą wprowadzenia przez Lauda zmian liturgicznych
- 1639 Thomas Wentworth, earl Stafford, główny minister Karola doradza zwołanie Parlamentu; wojna ze Szkocją
- 1640 Krótki Parlament odmawia pieniędzy na wojnę ze Szkocją; Szkoci wkraczają do Anglii; zbiera się Długi Parlament (listopad)
- 1641 Powstanie w Irlandii; zniesienie sądów prerogatywnych; egzekucja Stafforda; uchwalenie Wielkiej Remonstrancji
- 1642–1646 Pierwsza wojna domowa
- 1647 Szkoci przekazują pojmanego Karola Parlamentowi; debaty w Putney
- 1648 „Czystka” w Parlamencie
- 1649 Egzekucja Karola I; Anglia staje się wolną Republiką (*Commonwealth*)
- 1651 Akt Nawigacyjny; publikacja *Lewiatana* Hobbesa

- 1653–1658 Oliver Cromwell Lordem Protektorem; po raz pierwszy kobiety pojawiają się na scenie teatralnej; wykonanie pierwszej angielskiej opery
- 1660–1685 Panowanie Karola II
- 1660 Założenie Towarzystwa Królewskiego
- 1661–1665 *Kodeks Clarendona*; Clarendon, zdymisjonowany ze stanowiska Lorda Kanclerza, ucieka na wygnanie (1667)
- 1663 John Milton (1608–1674) kończy pisać *Raj utracony*
- 1665 Ostatnia wielka epidemia
- 1666 Wielki pożar Londynu
- 1675 Purcell komponuje *Dydonę i Eneasza*; zaprojektowanie londyńskiej katedry Św. Pawła zostaje powierzone Wrenowi (ukończona 1710)
- 1679 Uchwalenie *Habeas Corpus Act*
- 1681 Karol II rozwiązuje swój ostatni Parlament; Dryden publikuje poemat *Absalom i Architopel*
- 1685–1689 Panowanie Jakuba II kulminujące Wspaniałej Rewolucji (*Glorious Revolution*, 1688)
- 1687 Publikacja dzieła Newtona *Principia*
- 1689–1702 Panowanie Wilhelma III i Marii (1689–1694)
- 1689 Uchwalenie *Bill of Rights*
- 1690 Bitwa pod Boyne; publikacja rozprawy Locke'a *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego* (*Essay Concerning Human Understanding*)
- 1692 Masakra w Glencoe
- 1694 Powstaje Bank of England
- 1701 *Act of Settlement* ustanawia zasadę sukcesji protestanckiej
- 1702–1714 Panowanie Anny
- 1704 Bitwa pod Blenheim
- 1707 Akt Unii między Anglią i Szkocją
- 1713 Traktat w Utrechcie
- 1714 Publikacja *Rape of the Lock* Pope'a
- 1714–1727 Panowanie Jerzego I

- 1720 Załamanie się spekulacyjnej kompanii South Seas Company
(*South Sea Bubble*)
- 1726 Swift kończy pisać *Podróże Guliwera*
- 1721–1741 Walpole na czele rządu
- 1729 Wesley zakłada Towarzystwo Metodystów
- 1727–1760 Panowanie Jerzego II
- 1735 Hogarth maluje *Kariere marnotrawcy*
- 1739 Wojna z Hiszpanią (wojna „o ucho kapitana Jenkinsa”)
- 1740–1748 Wojna o sukcesję austriacką
- 1746 Zgnicenie powstania jakobitów („bunt z 1745”) pod Culloden
- 1755 Publikacja *Dictionary* dr. Johnsona [Samuel Johnson]
- 1756–1763 Wojna siedmioletnia
- 1757 Clive zwycięża w bitwie pod Plassey
- 1759 Wolfe zdobywa Quebec
- 1760–1820 Panowanie Jerzego III
- 1763 Początek wystąpień Wilkesa w sprawie wolności prasy
- 1764 Pierwsza maszyna parowa Watta na rynku
- 1765 Cło Stemplowe (Stamp Duty) w koloniach (zniesione w 1766)
- 1768 Pierwsza wyprawa Cooka do Australii; sir Joshua Reynolds
pierwszym przewodniczącym Akademii Sztuk (Academy of
Arts)
- 1770–1782 North na czele rządu
- 1770(?) Gainsborough wystawia obraz *Błękitny chłopiec*
- 1773 „Herbatka bostońska”
- 1775–1781 Wojna o niepodległość Ameryki
- 1776 Publikacja pracy *O bogactwie narodów* Adama Smitha; pierwszy
tom pracy *Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego* Gibbona;
Fragment on Government Benthama
- 1780 Rozruchy Gordona w Londynie
- 1783–1801 Pitt Młodszy na czele rządu
- 1785 Pierwsza maszyna tkacka napędzana energią pary wodnej
- 1788–1795 Oskarżenie parlamentarne Warrena Hastingsa

- 1791 Publikacja pierwszej części *Rights of Man* Toma Paine'a; lojalistyczne zamieszki w Birmingham
- 1793–1802 Wojna z Francją
- 1795 Wprowadzenie systemu pomocy ubogim uchwalonego w Speenhamland
- 1798 Publikacja *Lyrical Ballads* Wordswortha i Coleridge'a
- 1801 Unia Wielkiej Brytanii z Irlandią
- 1803–1815 Wojna z Francją
- 1804–1806 Pitt po raz drugi na czele rządu; koalicja „wszystkich talentów” i śmierć Foxa (1806)
- 1805 Bitwa pod Trafalgarem
- 1807 Zniesienie handlu niewolnikami
- 1808–1814 Wojna na Półwyspie Pirenejskim
- 1811 Jerzy III ostatecznie popada w obłąd
- 1812 *Wędrówki Childe Harolda* Byrona; wojna ze Stanami Zjednoczonymi (do 1814)
- 1813 Publikacja powieści Jane Austen *Duma i uprzedzenie*
- 1815 Bitwa pod Waterloo
- 1818 *Endymion* Keatesa
- 1819 Masakra w Manchesterze (*Peterloo*)
- 1820–1830 Panowanie Jerzego IV
- 1820 Proces królowej Karoliny; Shelley pisze *Adonais*
- 1821 Constable przedstwia obraz *Wóz na siano*
- 1822 Śmierć Castlereagha; Canning ministrem spraw zagranicznych
- 1825 Pierwsza linia kolejowa Stockton–Darlington
- 1829 Zniesienie politycznej dyskryminacji katolików (*Catholic Emancipation Act*)
- 1830–1837 Panowanie Wilhelma IV
- 1830 Otwarcie linii kolejowej Manchester–Liverpool
- 1831–1832 Walka o pierwszą reformę wyborczą (*Reform Bill*)
- 1833 Pierwsza kompleksowa ustawa fabryczna (*Factory Act*); narodziny Ruchu Oksfordzkiego

- 1834 Reforma prawa o ubogich
- 1835 Reforma samorządów miejskich (*Municipal Corporations Act*)
- 1836 Pierwsze epizody *Klubu Pickwicka* Dickensa
- 1837–1901 Panowanie królowej Wiktorii
- 1839 Ogłoszenie raportu Durhama na temat Kanady; szczytowy okres aktywności czartystów
- 1841–1846 Robert Peel na czele rządu
- 1844 Turner przedstawia obraz *Rain, Steam and Speed*; Disraeli publikuje powieść *Coningsby*
- 1845–1846 Wielki głód w Irlandii; zniesienie Praw Zbożowych (1846)
- 1847 Pierwsze epizody *Targowiska próżności* Thackeraya, publikacja *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Brontë
- 1848 *Manifest Komunistyczny* Marksa i Engelsa; powstanie Towarzystwa Prerafaelitów; pierwsze tomy *History of England* Macaulaya
- 1850 Tennyson otrzymuje tytuł Poety Laureata
- 1851 Wielka Wystawa; Landseer przedstawia *The Monarch of the Glen*
- 1854–1856 Wojna krymska
- 1857 Bunt Sipajów
- 1859 Publikacja *O pochodzeniu gatunków* Darwina oraz powieści *Adam Bede* George Eliot
- 1861 Publikacja *Representative Government* J. S. Milla
- 1867 Druga reforma wyborcza (*Reform Act*)
- 1868–1874 Pierwszy gabinet Gladstone'a
- 1870 Reforma systemu szkolnictwa (*Education Act Forstera*); wprowadzenie zasady egzaminów konkursowych na stanowiska urzędników państwowych
- 1871 Zniesienie obowiązku składania anglikańskiego wyznania wiary na uniwersytetach; ustawa o związkach zawodowych
- 1872 Wprowadzenie zasady tajności głosowania podczas wyborów powszechnych (*Ballot Act*)
- 1874–1880 Disraeli na czele trwałej większości parlamentarnej; publikacja *Z dala od zgiełku* Thomasa Hardy'ego (1874)

- 1875 Wielka Brytania kupuje akcje Kanału Sueskiego; pierwsza opera Gilberta i Sullivana *Trial by Jury*
- 1877 Królowa Wiktorija cesarżową Indii
- 1878 Traktat berliński
- 1880–1885 Drugi gabinet Gladstone'a
- 1884 Trzecia reforma wyborcza
- 1885 Śmierć Gordona w Chartumie
- 1886 Trzeci gabinet Gladstone'a i porażka pierwszego projektu autonomii irlandzkiej (*Home Rule Bill*)
- 1886–1892 Salisbury na czele rządu
- 1888 Publikacja *Plain Tales from the Hills* Kiplinga
- 1892–1895 Ostatni, czwarty, gabinet Gladstone'a; druga porażka w sprawie Home Rule; Rosebery na czele rządu
- 1895–1902 Drugi gabinet Salisbury'ego
- 1898 Bitwa pod Omdurmanem
- 1899–1902 Wojna burska
- 1900 Powstanie Partii Pracy; pierwsze wystawienie *Snu Geroncjusza Elgara*
- 1902–1905 Gabinet Balfoura
- 1904 Sojusz z Francją (*Entente Cordiale*)
- 1905 Publikacja powieści *Kipps* H. G. Wellsa
- 1905–1915 Gabinety Campbell-Bannermana i (od 1908) Asquitha
- 1908 Pierwsza ustawa o ubezpieczeniach emerytalnych (*Old Age Pensions Act*)
- 1909 Izba Lordów odrzuca budżet Lloyda George'a
- 1910 Publikacja powieści *Howards End* E. M. Forstera
- 1911 Parlament pozbawia Izbę Lordów prawa weta (*Parliament Act*); początki ubezpieczeń zdrowotnych oraz socjalnych
- 1913 Publikacja powieści D. H. Lawrence'a *Synowie i kochankowie*
- 1914 Uchwalenie *Home Rule Bill*; ustawa zawieszona na czas wojny
- 1914–1918 Pierwsza wojna światowa
- 1915–1916 Koalicyjny gabinet Asquitha

1916–1922	Koalicyjny gabinet Lloyd George'a
1918	Wprowadzenie powszechnych praw wyborczych dla wszystkich dorosłych mężczyzn oraz dla kobiet powyżej trzydziestego roku życia
1920	<i>Government of Ireland Act</i> ustanawia podział Irlandii
1922–1924	Gabinet Bonar Lawa, pierwszy gabinet Baldwina; publikacja <i>Ulisessa</i> Jamesa Joyce'a (w Paryżu) i <i>Ziemi jałowej</i> T. S. Eliota (w Londynie) w 1922
1924	Pierwszy rząd laburzystowski
1924–1929	Drugi gabinet Baldwina
1925	Wielka Brytania wraca do parytetu złota
1926	Strajk generalny
1928	Prawa wyborcze dla wszystkich dorosłych kobiet (tj. powyżej dwudziestego pierwszego roku życia)
1929–1931	Drugi rząd laburzystowski
1931	Utworzenie rządu narodowego; Wielka Brytania rezygnuje z parytetu złota
1932	Wprowadzenie kontroli kursu walut; publikacja <i>Nowego wspólnego świata</i> Aldousa Huxleya
1933	2 955 000 bezrobotnych (styczeń)
1935	Baldwin premierem
1936	Kryzys wywołany abdykacją Edwarda VIII; Keynes publikuje <i>Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza</i> (<i>General Theory of Employment, Interest and Money</i>)
1937	Neville Chamberlain premierem
1939–1945	Druga wojna światowa
1940–1945	Koalicyjny gabinet Churchilla
1942	Ogłoszenie Planu Beveridge'a
1944	<i>Education Act</i> Butlera
1945–1951	Trzeci rząd laburzystowski; nacjonalizacja górnictwa, gazownictwa, energetyki, kolei i Banku Anglii
1948	Powstanie Narodowej Służby Zdrowia; zniesienie prawa wielokrotnego głosowania w wyborach; niepodległość Indii, Pakistanu, Cejlonu i Birmy

1949	Dewaluacja funta szterlinga
1951	Budżet zbrojeń w związku z wojną koreańską; rezygnacja Bevana
1951–1964	Konserwatywne gabinety Churchilla, Edena, Macmillana i Home'a
1956–1957	Kryzys sueski
1957	Ghana pierwszą kolonią Czarnej Afryki, która uzyskuje niepodległość
1964–1970	Czwarty rząd laburzystowski
1968	Dewaluacja funta szterlinga
1970–1974	Konserwatywny rząd Heatha
1974–1979	Piąty rząd laburzystowski
1979	Konserwatywny rząd M. Thatcher (do 1990), następnie J. Majora
1980	Rodezja, obecnie Zimbabwe, jako ostatnia brytyjska kolonia w Afryce uzyskuje niepodległość
1981	„Banda czterech” tworzy Partię Socjaldemokratyczną (Social Democratic Party)
1982	Wielka Brytania wygrywa wojnę z Argentyną o Falklandy
1983	Thatcher wygrywa drugie wybory powszechne
1984–1985	Wielki strajk górników zakończony porażką Scargilla
1987	Thatcher wygrywa trzecie wybory powszechne
1989	Koniec zimnej wojny
1990	Usunięcie Thatcher z funkcji przywódcy Partii Konserwatywnej, jej miejsce zajmuje J. Major
1991	Wielka Brytania podpisuje traktat z Maastricht
1992	Konserwatyści pod wodzą Majora zwyciężają w wyborach powszechnych

Indeks

Zastosowane skróty: (bibl.) – postać z Biblii, (lit.) – postać literacka, (mit.) – postać z mitologii; postacie nam współczesne wyróżniono kursywą.

A

Aaron z Lincoln 113
Abel (bibl.) 161
Abergavenny, 1. markiz 309
Acland Henry, sir 336
Acton John, 1. lord 12
Adam (bibl.) 206
Adams John 241, 242
Adams Samuel 245
Adrian z Afryki Pn., opat 39
Aga Khan 365
Agilbert z Wessexu, biskup 38
Agricola Gnaeus Julius, pretor rzymski 27
Aidan, św. 38
Albert, mąż królowej Wiktorii 304
Aldcroft D. H. 356
Alderson, baron 256
Aldington Richard 410
Aleksander III, papież 102, 104, 111
Aleksander VI, papież 160
Alfred, król Anglii 35, 42, 52–71, 72, 78, 140, 316, 320
Alfred, złodziej 41
Allen Clifford, 1. lord 410

Althorp John Spencer, wicehrabia 259
Ambrosius Aurelianus, król Celtów 33
Andegaweni, dynastia 142
Anjou, ród 66, 83
Anna, królowa Anglii 227
Anzelm, arcybiskup Canterbury, św. 74, 75, 98, 112
Arkwright Richard, sir 292
Artur, bratanek Jana bez Ziemi 123
Artur, król Celtów 33–35, 85, 207
Artur, książę, brat Henryka VIII 163
Arystoteles 132, 340
Ascham Roger 133, 176, 185
Ashe Geoffrey 34
Asquith, Herbert Henry, 1. earl Oksford i Asquith 381–384, 389, 390, 396, 398–401, 405, 423, 425
Asquithowie, ród 309
Asser, biskup 54, 57
Astor William, 1. wicehrabia 379, 382
Attlee Clement, 1. earl 412, 415
Aubrey John 167, 190, 192, 216, 228
Aubyn Gilles St. 330
Auckland, lord zob. Eden William
Audley, lord 195
Audley, ród 66
Augustyn z Canterbury, św. 38, 158
Austin Alfred 377

Aylmer G. E. 202
Aylmer John, biskup Londynu 185

B

Backhouse John 315
Bacon Francis, lord Verulam 112, 188, 193, 194, 205–206, 216, 220, 236, 282, 291, 446
Baernreither Josef 397
Bagehot Walter 303, 306
Bakewell Robert 285
Bailyn Bernard 241
Baldwin, hrabia Flandrii 72
Baldwin Smith Lacey 163
Baldwin Stanley, earl 73, 359, 379, 409–414
Balfour Arthur J., 1. earl 258, 305, 351, 359, 383
Ball John 154
Bamford T. W. 360
Banko (lit.) 372
Barby Asta von 392
Barclay John 205
Barkstead, dowódca regimentu 208
Barlow Frank 69
Barnes John 412
Barracough Geoffrey 13
Bartlett C. J. 298
Basset Ralph 97
Bateman John 305
Bathurst Henry, 1. earl 258, 340
Baxter Richard 208
Beaconsfield, earl zob. Disraeli Benjamin

- Beatty David, 1. earl 358
 Beamond, lord 301
 Beaufort Henry, kardynał,
 biskup Winchesteru 160
 Beaverbrook, Max Aitken, 1.
 lord 361, 379
 Becket Tomasz, św. zob.
 Tomasz Becket, św.
 Beda, historyk 7, 19, 40–46,
 51, 58, 61, 102, 184
 Bedford Herbrand Arthur
 Russel, 2. książę 353, 382
 Bedford Jerzy Neville, książę
 144
 Bedford, ród 306
 Bell Andrew, dr 316, 317
 Benedykt Biscop, opat 40
 Benson Edward, arcybiskup
 Canterbury 320
 Bentham Jeremy 256, 264,
 310, 311, 339
 Bentinck William, lord, gu-
 bernator generalny w In-
 diach 339
 Bergami 278
 Berkeley, 5. earl 262
 Berkeley, ród 66
 Bernard Francis, sir, guber-
 nator Massachusetts 244,
 247
 Bernstorff 232
 Berry, dowódca regi-
 mentu 208
 Bertie Francis, 1. lord 392
 Besant Annie 367
 Bethmann Hollweg 361, 398
 Bevan Aneurin 267
 Beveridge William, 1.
 lord 427
Bevill E. W. 262
 Bevin Ernest 417
 Birkenhead, F. E. Smith, 1.
 earl 361, 423
 Bismarck Otto von,
 książę 343, 346, 361, 382
Blackmore R. D. 331
 Blackstone William, sir 239
 Blake Robert, admirał 216,
 218, 219, 225, 288
Blake Robert 376
 Blake William 247, 290
 Blandford, markiz, 6. książę
 Marlborough 281
 Blunden Edmund 410
 Boadicea, królowa 16, 26, 30,
 371
 Boleyn Anna 163–164, 167
 Boleyn, ród 163
Bolin Sture 26
 Bolingbroke, Henry St. John,
 wicehrabia 241
 Bonar Law Andrew 360, 381,
 383
 Bonet 122
 Bonawentura, św. 291
 Bonifacy VIII, papież 155
 Bonifacy, św. 71
 Bonner Edmund, biskup
 Londynu 169
Bonser Wilfred 54
 Borgiowie, ród 160
 Boswell James 233
 Bothmar 232
 Brabantu książę 123
 Bradshaw John 229
 Braxfield, lord 212
 Bridgewater, Francis Eger-
 ton, 8. earl 322
 Bright John 358, 363
Briton C. 150
 Broc Ranulf de 101
 Bromley R. M., sir 315
 Brougham Henry, 1.
 lord 264, 277–281, 316,
 317
 Bruce Robert, earl Car-
 rick 109
 Brummel George („Beau”)
 Bryan 313, 314
 Brunel 321
 Buckingham, 3. książę zob.
 Villiers George
 Buckle Henry Thomas 329,
 330
 Buddha 183
 Buller Charles 342
 Burboni, dynastia 275, 281,
 422
 Burges Cornelius 196
 Burns 398
 Burghley, William Cecil, 1.
 lord zob. Cecil William
 Burleigh 224
 Burke Edmund 233, 240,
 244, 269, 270, 279, 338
 Burley Walter 132
Bury J. P. T. 387
 Bute John Stuart, 3.
 earl 228, 242, 255, 306
 Butler Samuel, dr 317, 321
 Burns John 398

C
 Callaghan James 434
 Cambon Paul 388, 393, 397,
 399
Camden William 188
 Campbell-Bannerman Henry,
 sir 378, 389, 394, 396
 Campbell-Bannerman,
 lady 390
 Campeggio, kardynał 164
 Campion Edmund 171
 Canning George 225, 232,
 274, 276, 277, 280, 238
 Capel 262
 Caraffa, kardynał 170
 Cardigan, James Brudenell,
 7. earl 313, 314
 Carlyle Thomas 75
 Carnegie Andrew 355
Carr E. H. 12
 Carr Robert, wicehrabia
 Rochford 192, 193
 Carson Edward, 1. lord 111,
 325, 381, 382
 Carteret John, earl Gra-
 nville 228
 Castellio Sebastian 174
 Castle Barbara 73
 Castlereagh Robert Stewart,
 wicehrabia 274–276, 385,
 422
 Castro Fidel 215
 Caxton 444
 Cecil Gwendolen, lady 377
 Cecil, lord Hugh 307, 326,
 380
 Cecil William, 1. lord Burgh-
 ley 139, 176, 177, 187, 189,
 191, 230, 233
 Ceolwulf, król Northum-
 brii 42
 Cezar Gajus Julius (Gaius
 Iulius Caesar) 23, 24, 26,
 27
 Chadwick Edwin, sir 311
Chadwick W. Owen 323, 331
 Chamberlain Austin 423
 Chamberlain Houston Ste-
 wart 364
 Chamberlain Joseph 359,
 369, 375
 Chamberlain Neville 360
 Chambers Robert 323
 Chandos, James Brydges, 1.
 książę 232
 Chaplin Henry, 1. wicehra-
 bia 351
 Chapman S. J. 356, 357
 Charleton Walter 221
 Chateaubriand François de,
 wicehrabia 257
 Chatfield 358
 Chatham 1. earl zob. Pitt
 William

- Chaucer Geoffrey 82
 Chester, Rannulf de Gernon, earl 82
 Churchill Randolph, lord 325, 363, 375, 376
 Churchill Winston, sir 60, 73, 232, 306, 314, 359, 381, 399, 404, 409, 410, 423, 426
 Christian z Danii 192
 Clarendon, Edward Hyde, 1. earl 7, 194, 220
 Clarendon, George Villers, 4. earl 305
 Clarke William 180
 Clarkson L. A. 285
 Clerk George, sir 393
 Clemenceau Georges 394
 Cleveland, nałożnica Karola II 226
 Clovis 122
 Clynes J. M. 320
 Cobbett William 271, 275, 286
 Cobden Richard 358
 Cockburn Alexander, sir 275
 Coilus, król 184
 Coke Edward, sir 194, 206–208, 239
 Colchester Charles Abbot, 1. lord 224, 279
 Colet John, dziekan kościoła Św. Pawła 161
 Colman, biskup Lindisfarne 38, 39
 Colville Alfred 387
 Comte August 325
 Contarini, kardynał 170
 Cook James 342
 Cook Thomas 117
 Cooke John 216
 Cornelius, agent Lancasterów 89
 Courcy Aubrey de, earl Northumbrii 67
 Cramb J. A. 364
 Cranfield Lionel, 1. earl Middlesex 199
 Cranmer Thomas, arcybiskup Canterbury 166
 Crawford, żona Donaldal 328
 Creighton Mandell, biskup Londynu 327
 Croce Benedetto 12
 Cromwell Elizabeth „Joan” 222, 258
 Cromwell Frances 222
 Cromwell Oliver 111, 179, 194, 196, 208–226, 229, 236, 254, 268, 271, 277, 272, 412, 445–447
 Cromwell, ród 66
 Cromwell Thomas, earl Essex 157, 163–167, 182
 Cross Richard, wicehrabia 345
 Crowe Eyre, sir 392, 395, 396, 398
 Curzon George Nathaniel, 1. markiz 325, 370, 372, 378, 409
 Cuthbert, św. 39, 40, 41, 43
 Cyrus, król Persji 22
 Cytha, zona earla Godwine 68
 Czarny Książę zob. Edward (Czarny Książę)
 Czenin, hrabia 397
- D**
 Dalrymple John, sir 272
 Danby, Thomas Osborne, 1. earl 225
 Daniel Samuel 188
 Dante Alighieri 35
 Darwin Karol 311, 312, 321, 324, 337, 338, 344
 Dawid, św. 94
 Davenant Charles 287
 Davys (lub Davis) John 188
 Dawson Geoffrey 365
 Debora (bibl.) 186
 Defoe Daniel 233, 234
 Deist Wilhelm 361
 Delbrück Hans 434
 Derby, Edward Stanley, 15. earl 343, 387, 388, 391
 Derby, Edward Stanley, 17. earl 306
 Derby, ród 306
 Desmond, księżna 137
 Devonshire, ród 306
 Devonshire, Spencer Compton Cavendish, 8. książę 304, 307
 Dicey A. V. 382
 Dickens A. G. 162, 169
 Dickens Karol 220, 294, 311
 Dickson P. G. M. 287
 Dilke Charles, sir 325, 328
 Dilkes David 370
 Dioklecjan, cesarz rzymski 26, 28
 Dionizjusz Exiguus 41
 Disraeli Benjamin, earl Beaconsfield 304, 330, 343–346, 350, 363, 369, 376, 387
- Donne John 216
 Dorset, Thomas Grey, 2. markiz 118
 Downs 338
 Drake Francis, sir 187
 Driver Alice 186
 Dulles John Foster 119
 Dundas Henry, wicehrabia Melville 267
 Dürer Albrecht 35
 Durham, John Lambton, 1. earl 342
- E**
 Eddius Stephanus 40
 Eden Anthony, sir, 1. earl Avon 345, 359
 Eden Eleanor 258
 Eden William, wicehrabia Auckland 258
 Edgar, król Essexu 61, 107
 Edgar, wnuk Edmunda Żelaznobokiego 69
 Edith, małżonka Edwarda Wyznawcy 68
 Edmund Żelaznoboki 61, 69
 Edward Młodszy, król Wessexu 61
 Edward Wyznawca, król Anglii 63, 68, 69, 72, 78, 90, 115, 126
 Edward I Plantagenet, król Anglii 107, 108, 114, 119, 130–134, 146, 152, 154, 155, 157, 218, 223
 Edward II, król Anglii 87, 119, 120, 134, 141
 Edward III, król Anglii 34, 109, 118–121, 135, 140, 141, 146, 147, 158, 199
 Edward IV, król Anglii 88, 114, 120, 122, 135, 136, 139, 141, 227
 Edward VI, król Anglii 141, 204
 Edward VII, król Anglii 83, 303, 391, 393
 Edward, książę Kentu 264
 Edward (Czarny Książę), syn Edwarda III 118, 121, 153, 156
 Edwin, earl Mercji 69
 Edwin, król Wessexu 47
 Egbert, arcybiskup Yorku 40, 42
 Ehrman John 266
 Eldon, John Scott, earl 278
 Eliot George 325
 Eliot John, lord 232

- Elżbieta I 60, 106, 109,
 111, 120, 137–143, 158,
 169–177, 182, 184–199,
 201, 217, 218, 223, 234,
 227, 230, 372, 446
 Elżbieta II 419
 Ellenborough, Edwin Law,
 earl 258, 262
 Emerson Ralph Waldo 307
 Emma, żona Ethelreda, po-
 tem Kanuta 61, 67, 68
 Erazm Desiderius 161
 Esher, Reginald Brett, 2.
 wicehrabia 393
 Essex, Robert Devereux, 2.
 earl 203
 Essex, Robert Devereux, 3.
 earl 208, 262
 Ethelþaed, córka króla Al-
 freda 59
 Ethelred, ealdorman Mercji
 59
 Ethelred II Gnuśny, król
 Anglii 61–64, 67, 68, 69,
 126
 Evelyn John 226
 Ewer, pułkownik 208
- F**
 Fairfax Thomas, lord 229
 Fairfax, lady 229
 Faraday Michael 321
 Farquhar Horace, 1. earl 379
 Faunch 330
 Filip II August, król Fran-
 cji 124
 Filip IV Piękny, król Fran-
 cji 87, 121, 125
 Filip II, król Hiszpanii 73,
 168, 184, 185
 Filmer Robert, sir 220, 228
 Firth C. H. 180
 Firth Charles W., sir 180
 Fisher Fritz 397
 Fisher, „Jackie”, admirał, 1.
 lord 325
 Fisher John, biskup Roche-
 ster 157, 158
 Fitzjames Richard, biskup
 Londynu 161
 Fitzmaurice Edmund,
 lord 324
 Fitz-Nigel Richard 80, 94, 125
 Fitzpatrick 267
 Fitzwilliam, 6. earl 306
 Fitzwilliam, ród 66
 Foliot Gilbert, biskup Lon-
 dynu 102
 Ford Henry 358
- Formozus, papież 71, 72
 Fortescue John, sir 88, 117,
 132, 142
 Fowler Kenneth 121
 Fox Charles James 266–268,
 278, 279
 Fox George 220
 Foxe John 169, 184–187, 198,
 207, 208, 235, 273
 Francis Filip, sir 267
 Franciszek I, król Francji 118
 Freeman A. E. 11, 76
 French John, 1. earl
 Ypres 401, 402
 Frere Sheppard S. 28
 Froude James Anthony 364
 Fulko, arcybiskup Rheims 72
 Furber Elizabeth Chapin 10
 Fusiliers Scots 370
- G**
 Gaitskill Hugh 267
 Gallacher William 424
 Galloway Joseph 245
 Galsworthy John 422
 Gambetta Léon, 387, 391
 Gardiner Stephen, biskup
 Winchesteru 166
 Gardiner S. R. 12
 Gargery Joe (lit.) 220
 Geddes Eric, sir 423
 Geoffrey de Mandeville 84
 Geoffrey z Monmouth, kro-
 nikarz 33, 34, 184
 Gerald Walięzyk 94, 107
 Germanus z Auxerre, św. 32,
 33
 Gibbon Edward 270
 Gigli Silvestro 115
 Gildas, kronikarz 19, 20,
 32–34, 164, 184
 Gillray James 272
 Girouard Mark 351
 Gladstone William Ewart 11,
 277, 280, 281, 304, 306,
 307, 327, 331–334, 343,
 363, 369, 374–378, 387,
 390, 396, 409, 410
 Glanvill Rannulf 124
 Gloucester, Humphrey,
 książę 118, 173
 Goderich Fred wicehrabia
 zob. Robinson, „Prospe-
 rity”
 Godwine, earl Wessexu 68,
 76
 Goffe, podpułkownik 179
 Goldsmith Oliver 256
 Gollin A. M. 365
- Gondomar, Diego Sarmiento,
 hrabia 193
 Goodman Geoffrey, biskup
 Gloucester 195
 Gordon, generał 304
 Goschen, George Joachim, 1.
 wicehrabia 304, 365
 Goulburn Henry 340
 Gracjan, uzurpator w Bryta-
 nii 16, 17
 Graham James, sir 301
 Grant Charles, 1. lord Gle-
 nelg 280
 Granville, George
 Leveson-Gower, 2.
 earl 306, 324
 Graves Robert 410
 Green Charles 46
 Gregory Maundy 379
 Gresham 220
 Greville Charles 276, 279
 Greville Fulke, sir, 1. lord
 Brooke 195
 Grey Charles, 2. earl 272,
 280, 281
 Grey Henry, 3. earl 313
 Grey Edward, wicehrabia
 Grey of Fallogen 389,
 390–399, 401, 403, 408,
 410
 Grey, lady 273
 Greystoke, ród 66
 Grimbald z Rheims 72
 Grindal Edmund, arcybiskup
 Canterbury 172
 Grosseteste Robert, biskup
 Lincoln 155
 Grote George 312
 Grzegorz VII (Hildebrand),
 papież 72, 73, 98, 102,
 111, 160, 198
 Gustaw Adolf, król Szwec-
 cji 201
 Guttsman W. L. 360
 Gwinner Arthur von 397
- H**
 Habsburgowie, dynastia 165,
 275
 Hadrian, cesarz rzymski 27,
 28
 Hadrian I, papież 71
 Hadrian IV, papież 111
 Haig Douglas, 1. earl 145,
 404, 405
 Hakluyt Richard 188, 235,
 236

- Haldane, Richard Burdon, 1.
wicehrabia 389, 390, 395,
396
 Halifax, Charles Montagu, 1.
earl 229
 Hall John 217
 Haller William 186
 Halsbury, Hardinge Giffard,
1. earl 381
 Hamelin z Anjou 102
 Hamer D. A. 402
 Hamilton George, lord 309
 Hamilton, miss 226
 Hampden John 205, 217
 Hanham H. J. 379
 Hankey Maurice, 1. lord 400,
401
 Hanway Jonas 302
 Harcourt William Vernon,
sir 375
 Hardinge Charles, 1.
lord 392, 393, 398
 Hardy Thomas 352
 Harington John, sir 177, 192
 Harleston John, sir 121
 Harley Robert, earl Ok-
ford 228
 Harold, syn Godwina, król
Anglii 68–70, 72, 76
 Harmsworth Alfred 368
 Harrington James 190, 192
 Harrison Frederick 325
 Harrowby, lord 276, 308
 Harrison, dowódca regi-
mentu 208
 Hart Cyril 50
 Harvey Barbara 150
 Harvey William, sir 216
 Haselrig Arthur, sir 217
 Hastings Warren, gubernator
Kompanii Wschodnioindyj-
skiej 339
 Hawkins, agent Lancaste-
rów 89
 Hawtrey Edward, dr 320
 Hazelhurst Cameron 384
 Heale William 223
 Heath Edward 258, 434
 Helena, św. 184
 Hengist, przywódca Sasów 19
 Henry Patrick 245
 Henryk I, król Anglii 73, 75,
79, 80, 83, 84, 85, 90, 97,
116, 126
 Henryk II, król Anglii 80,
85, 86, 90–97, 99–104, 112,
113, 116, 125, 128, 130,
131, 140, 142, 264, 372
 Henryk III, król Anglii 109,
119
 Henryk IV, król Anglii 108,
122
 Henryk V, król Anglii 60,
120, 121, 135, 159, 160,
185, 218, 219
 Henryk VI, król Anglii 114,
135, 137
 Henryk VII, król Anglii 117,
120, 137, 139, 141, 146,
227
 Henryk VIII, król Anglii 35,
104, 105, 106, 108, 115,
118, 120, 122, 132, 133,
138, 149, 158–164, 166,
167, 168, 184, 194, 202,
208, 327, 364, 403
 Henryk IV, król Francji 112,
193
 Hereward, przywódca po-
wstania przeciw Wilhel-
mowi I Zdobywcy 70
 Herring Samuel 216
 Herschel John, sir 321
 Hertling von, hrabia 361
 Heuston R. F. V. 378
 Hewitt H. J. 121
 Hewson, dowódca regi-
mentu 208
 Heywood Thomas 195
 Hibbert Christopher 34
 Hilda, przeorysza Whitby 38
 Hildebrand zob. Grzegorz
VII, papież
 Hill Christopher 216, 223
 Hitler Adolf 406, 407,
411–413, 426, 433
 Hoadley Benjamin, biskup
Winchesteru 241
 Hobsbawm E. J. 347
 Hohenzollernowie, dyna-
stia 275
 Holles Denzil, sir 209, 210
 Honoriusz, cesarz rzymski 21
 Hooper George, biskup Bath
i Wells 230
 Hopkins Samuel 247
 Horsa, przywódca Sasów 19
 Horsely William, dr 161
 Howard E. D. 357
 Howard Peter 412
 Huguet C. J., major 393, 399
 Hulton Anne 245, 247
 Humphrey, książę Gloucester
zob. Gloucester
 Hunne Richard 161
 Hunsdon Henry Carey, 1.
lord 176
 Hunter-Blair Peter 41
 Hus Jan 185, 385
 Huskisson William 280, 343
 Hutchison H. F. 134
 Huxley Gervase 306
 Huxley T. H. 321, 324
 Hyde Anna 227
 Hyde H. Montgomery 111
 Hyndmann H. M. 355
 I
 Inc, król Wessexu 35
 Innocenty III, papież 124,
125, 129
 Ireton Henry 179, 209, 210,
212, 213, 214, 225
 Iveagh, Edward Guinness, 1.
earl 382
 Iwan Groźny 264
 J
 Jacks William 360
 Jakub I Stuart, król Ang-
lii 97, 188, 190–195, 197,
199, 200, 205–207, 236
 Jakub II Stuart, król Ang-
lii 226, 227, 230, 237,
242
 Jakub z Composteli, św. 103
 Jakub, dziekan 38
 Jakub z Savoy 108
 James Robert Rhodes 379
 Jan bez Ziemi, król Ang-
lii 93, 113, 116, 118, 119,
123–129, 158, 159
 Jan VIII, papież 71
 Jan XXII, papież 155
 Jan, św. 192
 Jan z Gandawy (John
Gaunt), książę Lanca-
ster 147, 153
 Jan z Salisbury 103, 125, 131
 Jefferson Thomas 138, 241
 Jeffrey Francis 257
 Jeffreys George, Sędzia Naj-
wyższy 226
 Jellicoe John Rushworth, 1.
earl 358
 Jenkins, kapitan 234
 Jensen Merrill 247
 Jerzy I, król Anglii 228, 231
 Jerzy III, król Anglii 11,
137, 233, 241, 243, 244,
246, 254, 255, 261, 277,
303, 304, 338, 346
 Jerzy IV, król Anglii 135,
278, 281
 Jerzy V, król Anglii 382,
400

- Jewel John, biskup Salisbury 187
 Joanna d'Arc 139
 Joffre Joseph, marszałek francuski 404
 Johnson Samuel, dr 246
 Jones Inigo 245
Jones Thomas 423
Jones W. D. 225
 Jonson Ben 173
 Jowett Benjamin, dr 324
 Jowisz (mit.) 183
 Józef z Arymatei (bibl.) 124
 Juxon William, biskup Londynu 197
- K**
 Kanut, król Anglii 62–65, 68, 69, 129
 Karatakus, wódz Brytów 26
 Karol Edward Stuart, wnuk Jakuba II 242
 Karol I Stuart, król Anglii 76, 135, 194, 195, 197–203, 208, 209, 215, 216, 217, 221, 236
 Karol II Stuart, król Anglii 221, 225–227, 231, 242
 Karol V Habsburg, cesarz 163
 Karolina, królowa małżonka Jerzego IV 278, 279
 Karol Wielki 34, 46
 Katalina 245
 Katarzyna Aragońska 162–165, 278
 Katon 241
 Keeble John 299
 Keeling John, sir, Sędzia Najwyższy 194
Keen Maurice H. 121
 Kelsey, dowódca regimentu 208
 Kenyatta Jomo 419
Kenyon J. P. 192
Kerridge E. 284
 Keynes John Maynard, 1. lord 283, 411, 422, 427
 Kidd Benjamin 364
 King Gregory 286
 Kipling Rudyard 352, 382
 Kirkwood David 425
 Kitchener Herbert, 1. earl 325, 369, 370, 371, 402
 Klaudiusz, cesarz rzymski 25, 26, 27
 Klemens VII, papież 162, 163, 164, 184
- Knollys Francis, 1. wicehrabia
Kowles David 103
 Knox John 170
 Konstantyn I Wielki, cesarz rzymski 17, 27, 184
 Konstantyn III, uzurpator w Brytanii 17
 Kopernik Mikołaj 216
 Krezus, król Lidii 22
- L**
 Lamb Charles 260
Lamb H. H. 78
 Lambert John 220, 225
 Lancasterowie, dynastia 88, 89, 114, 117, 146, 154
 Lanfranc, arcybiskup Canterbury 65, 70, 74, 100, 112
 Langland John 156, 157
 Langton Stephen, arcybiskup Canterbury 113, 125, 128, 164
 Lansdowne, Henry Petty-Fitzmaurice, 5. markiz 378
 Laski Harold 205
 Laud William, arcybiskup Canterbury 184, 198, 199, 201, 204, 205, 324
Law Ernest 221
 Lecky W. E. H. 386
 Leicester, Robert I, earl 82
 Leicester, Robert Dudley, earl 139
 Lemay Curtis 314
 Lewis George, sir 307
 Lichnowsky, książę 398
 Lilburne John 210
 Limburgii, książę 123
 Lippman Walter 434
 Liverpool, Robert Jenkinson, 2. earl 232, 276, 385, 440
 Lloyd George David, 1. earl 145, 232, 273, 359, 361, 378, 379, 410, 421, 423
Lloyd Howell A. 139
Lochan Lionell 387
 Locke John 236, 335
 Long Walter, 1. wicehrabia 383
 Loyola Ignacy 172
 Ludendorff Erich, generał 410
 Ludwik VII, król Francji 168
 Luter Marcin 181, 185, 330, 385
- Lyell Charles 323
 Lumley, ród 66
- M**
 Macaulay, Thomas Babington, 1. lord 7, 281, 305, 307, 312, 331, 339, 346
 MacDermott 328
Macdonald D. F. 298
 Macdonald Ramsay 424, 425
 Machiavelli Niccolo 166
 Mackintosh 264
 Macmillan Harold 119, 343, 359, 379
 Mahdi z Sudanu 370
Maitland F. W. 8, 94
 Majocchi Theodore 278
 Major John 440
 Makarios, arcybiskup 419
 Maksymilian, cesarz 35
 Malagrida, jezuita 256
 Mallet Louis, sir 392
 Malthus Thomas 285, 291
 Manchester, Edward Montague, earl 208, 209
 Mann Horace, sir 235
 Manning Henry, kardynał 322, 332
 Mao Tse-tung 283
Map Walter 83
 Marcin V, papież 159
 Maria II, królowa Anglii 227, 263
 Maria Stuart, królowa Szkocji 139, 171, 176, 177
 Maria Tudor, królowa Anglii 105, 111, 120, 139, 167, 168, 169, 172, 184–186, 194
 Marks Karol 283, 294
 Marsh Edward, sir 404
 Marshall Stephen 196
 Marvell Andrew 190, 220
Marwick Arthur 10
 Mason A. E. W. 314
Mathew David 192
 Matthews Henry, 1. wicehrabia Llandaff 328
 Matylda, cesarzowa 83, 84, 100, 102
 Mazarin Jules, kardynał 219, 222
 Mazarin, nalożnica Karola II 226
 Mazzini 309
 McKenna Reginald 400
McKenzie F. A. 356
 McKinley 349
 Mendès-France Pierre, 11

- Merowingowie, dynastia 38
 Meynell Hugo 262
 Micabwer (lit.) 294, 350
 Michaelis Georg, dr 361
Middlemas Keith 412
 Mill James 312
 Mill John Stuart 309, 344, 364, 415
 Milner Alfred, 1. wicehrabia 325, 338, 365, 381–384
 Milton John 133, 196, 197, 204, 206, 215, 216, 229, 235, 236, 247, 290, 441, 445
 Moberly George, dr 320
 Mohammed 232
 Molesworth 241
 Monck George Albemarle, generał 447
Monger G. W. 392
 Monte Piero da 115
 Montalembert Charles de 308
 Montfort Szymon de, earl Leicester 114, 141
 Morcar, earl Northumbrii 69
 More Thomas, sir 164–176
 Morley John, 1. wicehrabia 325, 387, 397, 398, 402, 408
 Morrell Ottoline, lady 384
 Moss, dr 319
 Muir Thomas 212
 Muller Georg von 397
 Murdoch Rupert 437, 438
 Mussolini Benito 405
 Mustafa 232
Myers A. R. 190
 Myers Frederick 325
- N**
 Namier Lewis, sir 241
 Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów 252, 259
 Napoleon III, cesarz Francuzów 386
Neale John, sir 139, 190
 Necker, madame 258
 Nelson Horacy, 1. wicehrabia 105
 Nenniusz 184
 Neville Cecily, księżna Yorku 137
 Neville Jan 144
 Neville, ród 66
New Chester 280
 Newcastle, Henry Pelham-Clinton, 5. książę 332
- Newcastle, Thomas Pelham, 1. książę 229, 230
 Newman John Henry, kardynał 311, 322, 337
 Nicholson William, 1. lord, generał, sir 401
 Nicolson Arthur, 1. lord Carnock 392, 396, 398
 Nicolson Harold, sir 398, 417
 Nivelles Robert, generał 404
 Nixon Richard 244
 Nkrumah Kwami 419
 Noetzh Otto 397
 Norfolk, Thomas Howard, 1. książę 170, 176
Norris John 256
 Norris Marjorie, lady 177
 North, Frederick, lord, 2. earl Guildford 243, 244, 256
 Northumbrii, księżęta 306
 Northumbrii earl, Aubrey de Courcy zob. Courcy Aubrey de
Nuttall G. F. 222
- O**
 Ockham William 161
 O'Connor Daniel 280, 281
 Odericus Vitalis 80
Ogilvy J. D. A. 42
Ogle A. 161
 Offa, król Mercji 46, 47, 61
 Okey, dowódca regimentu 208
 Oksford, John de Vere, 12. earl 88
 Orosius, historyk 16
 Orwell George 330, 371
 Osborne Thomas, sir, 1. earl Danby zob. Danby, Thomas Osborne
 Oswui, król Northumbrii 38
 Otis James 240, 242, 245
 Otto, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego 123
 Owen Robert 291
Ozanne R. 432
- P**
 Paine Tom 241, 269, 271
 Palmerston, Henry Temple, 3. wicehrabia 145, 169, 232, 280, 314, 315, 320, 331, 335, 336
 Paris de Pozzo 121
 Paris Matthew 7
 Parnell Charles Stewart 374, 375, 377
- Parry R. H.* 229
 Parsons Robert 171
 Paweł IV, papież zob. Carraffa, kardynał
 Paweł z Tarsu, św. 184, 247
 Pease J. A. 384
Pearsall Ronald 327
 Pecham John, arcybiskup Canterbury 180, 130
 Pecoock Reginald, biskup Chichester 122
 Peel Robert (starszy), sir 253
 Peel Robert (premier), sir 73, 253, 259, 280, 292, 294, 301, 305, 323, 331, 348, 358
 Pelagiusz 15, 17–19, 41, 161, 182, 283, 372
 Pembroke, George Augustus, 11. earl 260
 Percival Samuel 278, 385
Perrot Roy 353
 Pettus Maximilian 213
 Piper Pied (lit.) 336
 Pitt William, 1. earl Chatham 60, 228, 233, 239, 240, 277, 309
 Pitt William Młodszy 161, 232, 256–260, 266–268, 273, 274, 279, 309, 310, 315, 343, 372, 376
 Pitt-Rivers Augustus 324
 Piotr, św. 111
 Pius V, papież 171
 Place Francis 272, 328
 Plantageneci, dynastia 142, 207, 224
 Platon 241
 Plegmund, arcybiskup Canterbury 57
Plumb J. H. 232
 Pole Reginald, kardynał 184
Ponsonsby Frederick, sir 304
 Pope Aleksander 111
 Poppelau Nicholas von 137
 Portland, księżęta 306
 Portsmouth, nałożnica Karola II 226
 Powis, earl 308
 Poyning 238, 244
 Preston Thomas 247
 Price Richard, dr 256, 269
 Pride, dowódca regimentu 208
 Priestley Joseph 249, 250, 256, 292, 321
 Prynne William 198
 Ptolemeusz 216
 Pusey Edward 299, 324

Puttenham George 187
Pym John 205, 208, 209, 224

R

Rainborough Thomas, pułkownik 179, 212-214, 409
Raleigh Walter, sir 7, 137, 188, 193, 194, 205, 217, 218, 235, 236
Rayleigh John Strutt, 3. lord 321
Reagan Ronald 441
Regent zob. Edward, książę Kentu
Remarque Erich Maria 410
Repington Charles, pułkownik 393, 396, 410, 411
Reynard Simon 168
Reynolds Henry, sir 172
Rhodes Cecil, dr 338, 364, 368, 378
Ricardo David 291
Rich 222
Richard z Anstey 92
Richelieu Armand, kardynał 201, 237
Ridley Jasper 232
Riezler Kurt 397
Robbins Keith 390
Robert, książę Normandii 79
Roberts Frederick, 1. earl 369, 382, 401
Ryszard z Bordeaux 372
Robertson William, sir 399
Robinson Fred „Prosperity”, wicehrabia Goderich 280
Rockingham, Charles Wentworth, 2. markiz 244, 255
Roebuck J. A. 301
Romanowowie, dynastia 275
Romilly Samuel, sir 264
Roosevelt Franklin De-lano 286
Roots Ivan 202
Rose Kenneth 378
Rosebery, Archibald Primrose, 5. earl 239, 306, 307, 325, 363, 364, 368, 370, 376, 377, 396, 415
Roskell J. S. 190
Roskill Stephen 401
Ross 446
Rothschild Nathan, 1. lord 292, 382
Rothschildowie, rodzina 306
Round J. H. 11
Routh Guy 432
Rowland Peter 396
Rowse A. L. 173

Rufus zob. Wilhelm II
Rushworth John 180, 241
Ruskin John 336-338, 363
Russell John, biskup Lincoln 135
Rutherford Samuel 172
Rutlandii 8. książę, Henry Manners 350
Ryszard I 116, 119, 120, 122
Ryszard II 111, 118, 120, 126, 128, 134, 135, 141, 146, 147
Ryszard II 135, 137

S

Sadler John 447
Sadler Ralph, sir 108, 446
Salisbury, Robert Cecil, 3. markiz 304, 308, 325, 346, 377, 378, 387
Salisbury, lady 346
Sanderson F. W., dr 321
Sanderson Thomas, 1. lord 321, 388, 391, 392, 393, 395, 396
Sandys Edwin, sir 194, 236
Sankey John, 1. wicehrabia 410
Sassoon Filip, sir 145
Sassoon Siefried 410
Scargill Arthur 435, 436
Scarbrick J. J. 163
Schmoller Gustav 433
Schnadhorst Francis 378
Seeley John, sir 363
Selwyn George 267
Septymiesz Sewer, cesarz rzymski 27
Sewell William 318
Sexby Edward 179, 210, 213, 214, 252
Shaftesbury, Anthony Ashley Cooper, 7. earl 296, 298-303, 307, 311, 324
Shah Eddy 437
Shaw George Bernard 341
Shee George, sir 315
Sheffelde 444
Sheffield, John Holroyd Baker, 1. earl 270
Shelburne, William Petty, 2. earl 256, 257, 266, 268, 310
Sheridan Richard Brinsley 279
Sherriff 410
Sidmouth, Henry Addington, 1. wicehrabia 258, 422
Sidney Philip, sir 187
Slicher van Bath B. H. 150
Smalley George W. 354
Smith Adam 245, 256, 257, 260, 269, 343, 349
Smith Alan 222
Smith Paul 351
Smith Sidney 257, 264, 273, 275, 302
Smith Thomas, sir 187
Smith W. H. 387
Solon z Aten 22
Spelling J. 287
Spencer John, 5. earl 377
Spicer George, sir 392
Staël Anne Luise Germaine de 258
Stafford zob. Wentworth Thomas, earl Stafford
Stamfordham, Henry Bigge, 1. wicehrabia 400
Stanhope Hester, lady 271
Stanhope James, 1. earl 228
Stapleton A. G. 338
Steel A. 146
Stefan z Blois, król Anglii 75, 83, 84, 85, 90, 113, 124
Steiner Zara S. 392
Stendhal (Henri Beyle) 215
Stephen Leslie, sir 325, 330
Stephen James 340
Steven Thomas 302
Stigand, arcybiskup Canterbury 69, 72
Stow John 188
Strabon, geograf 25
Stuarci, dynastia 7, 190, 194-197, 201, 207, 216, 218, 221, 225-227, 241, 242, 270, 286, 304
Stubbs William, biskup Oksfordu 12
Sutherland, ród 306
Suffolk, Charles Brandon, książę 164, 166
Suzanne, nałożnica Jana bez Ziemi 124
Swen, król Danii 62
Swift Jonathan 111
Sydney, Thomas Townshend, 1. wicehrabia 341
Szekspir William 173, 187, 188, 195, 327

T

Taine Hippolyte 308
Taylor Henry, sir 315
Temperley Harold 138

- Tennant Margot, lady Oksford 381
 Teodor z Tarsu, arcybiskup Canterbury 39, 40
 Thackeray William Makepeace 307
 Thatcher Margaret 434–441
 Thelwall John 273
 Theobald, arcybiskup Canterbury 100
 Thistlewood Arthur 276
 Thomson James 234, 235
 Thoyras 241
 Thurloe 219
 Tiptoft John, earl Worcester 88, 89
 Tisza, hrabia 397
 Tomasz Becket, św. 94, 99–104, 122, 154, 161, 164, 168, 194
 Tomasz z Akwinu, św. 291
 Tosti, syn earla Godwine 68
 Tout T. F. 12
 Treitschke 364
 Trenchard John, 1. wicehrabia 314
 Trevelyan G. M. 309
 Trollope Anthony 136, 145, 262, 360
 Tudorowie, dynastia 11, 32, 114, 137, 140, 154, 189, 199, 201, 207, 224, 227
 Tukidydes, historyk grecki 7
 Turberville Thomas de 121
 Tyler Wat 152
- U**
 Urban II, papież 75
- V**
 Veblen Thorsten 356
 Vergil Polydore 120
 Villiers George, 3. książę Buckingham 192–194
- W**
 Wagner Ryszard 364
 Wakefield Edward Gibson 342
 Walker D. P. 263
 Walpole Horace 235
 Walpole Robert, 1. earl Oksford 224, 228, 230–233, 238, 242, 245, 255, 287, 339, 372, 377
 Walsingham Francis, sir 139
 Waltheof, earl Northumbrii 71, 76
 Ward William 325
 Warren Herbert, sir 382
 Warwick, Richard Neville, earl 117, 136, 147
 Waszyngton George 260
 Watson Hugh 404
 Waugh Evelyn 424
 Wawlyn 445
 Webb Beatrice 309
 Webbowie, ród 309
 Weber Max 361
 Webster John 173
 Wedgwood C. V. 195, 229
 Weldon Anthony, sir 191, 195
 Wellington, Arthur Wellesley, 1. książę 259, 274–276, 280, 281, 305, 319
 Wentworth Peter 172
 Wentworth Thomas, earl Strafford 198, 201, 202
 Wesley John 245
 Wespazjan, cesarz rzymski 27
 Westminter, Hugh Grosvenor, 1. książę 306, 353, 376
 Westminster, ród 306
 Wheatley John 425
 Whitelock Bulstrode 222
 Whitgift John, arcybiskup Canterbury 172
 Wigg George, lord 130
 Wiktoria, królowa Anglii 83, 303, 304, 314, 324, 328, 353, 368, 377, 378
 Wilberforce Samuel, biskup Winchesteru 323, 324
 Wilberforce William 266, 340
 Wilbraham Edward 279
 Wildman John 211
 Wilfred, św. 39–41, 43, 50, 164
 Wilhelm II, cesarz niemiecki 389, 391, 393, 407, 433, 343
 Wilhelm I Zdobywca 44, 65–74, 76–80, 83, 85, 90, 97, 99, 112, 125, 127, 131, 140, 142, 159, 171, 444
 Wilhelm II (Rufus) 73–75, 127
 Wilhelm III 227, 263, 372
 Wilkes John 241, 254
 William z Braose 123
 William z Malmesbury, kronikarz 33, 78, 83
 William z Norwich, św. 133
 Williams John, biskup Lincoln 205
 Wilson Arthur, sir, admirał 392, 393
 Wilson Harold 258, 359, 418, 434
 Wilson Henry, sir, marszałek 382, 400, 401, 410
 Wilson Mary „Gladys” 258
 Winstanley Gerald 210
 Wiseman Thomas, sir 200
 Wolsey Thomas, kardynał 157, 161–163
 Wolsey z Yorku 146
 Wolter (François Marie Arouet) 251
 Wood Anthony 222
 Woodforde James 245
 Woodmason Charles 246, 247
 Woodville Elizabeth, żona Edwarda IV 136
 Wulfstan z Yorku, arcybiskup 60–64, 67, 69, 406
 Wyatt Thomas, sir 203
 Wiklef (Wyclif) John 122, 153, 161, 162, 172, 385
 Wykeham William 135
 Wykeham z Winchester 146
 Wyndham William 270
- Y**
 York, Richard Plantagenet, książę 117, 147
 Yorkowie, dynastia 135, 154
 Young Arthur 269
- Z**
 Zagorin Perez 202
 Zeus (mit.) 371
 Zosimus, historyk 20

Spis treści

Przedmowa	7
Rozdział I	
Wyspa Pelagiusza (100 p.n.e.–600 n.e.)	15
Rozdział II	
Jedność, stabilność, ciągłość (600–1154)	37
Rozdział III	
„To królestwo jest cesarstwem” (1154–1603)	87
Rozdział IV	
Naród wybrany (1603–1780)	179
Rozdział V	
Blaski i cienie postępu (1780–1870)	249
Rozdział VI	
Hybris i nemezis (1870–1990)	335
Dodatek I	
Duńczycy i Anglicy	443
Dodatek II	
Cromwell i Irlandia	445
Chronologia	449
Indeks	463